



MAGDALENA REWERS

W mroku miasta
Tajemnice

Magdalena Rewers

W mroku miasta.

TAJEMNICE

Wszystko jest możliwe.

Sz szczególnie wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewasz.

Anne Rice „Krzyk w niebiosach”

Wprowadzenie

Kiedy w połowie X wieku Państwo Polskie stanowiło już formalnie silny organizm pod władzą Mieszka I, obejmowało tereny dzisiejszej Wielkopolski, Kujaw i Mazowsza.

W latach 967-972 książę polski prowadził walki o ujście Odry z Wieleciami, w wyniku których opanował Pomorze Zachodnie.

W owych czasach monarchowie posiadali własne drużyny – zbrojne oddziały przyboczne. Z ich pomocą tłumili bunty, na ich czele prowadzili wojny. Drużyny towarzyszyły w objazdach krajowych władców, nie funkcjonowało bowiem pojęcie stolicy, a monarcha nie zatrzymywał się w jednym miejscu na dłuższy czas.

Obok drużyn książęcych istniały drużyny w głównych grodach, wchodząc w skład załóg grodowych.

Prolog

Wielki bór przytłaczał mrokiem i potęgą, ale zaprawieni w bojach wojowie nie z takim przeciwnikiem już się potykali. Noc w tym borze mogła dać im jedynie ukojenie i chwile wytchnienia od ciężaru oręża, którym byli objuczeni.

Unosząc prawą rękę ku górze, Gniewomir dał znać swojej drużynie, że tu staną na nocleg. Stary Gniewko był szczęśliwy, że wyprawa już się skończyła. Teraz musieli tylko szczęśliwie wrócić do swych najbliższych. W odległej osadzie, do której zmierzali, czekały na nich kobiety – matki i żony. Niektórzy mieli też potomstwo – kruchy drobiazg, który sprawiał, że każdy silny i niepokonany mąż wytrwale przemierzał powrotną drogę, by jak najszybciej stanąć w progu domostwa i ścisnąć swymi mocarnymi ramionami, kojąc tym skrywaną głęboko w sobie rodzicielską tęsknotę.

Od wielu dni byli w drodze, a rychły powrót do domu dodawał Gniewomirowi siłę, by nie ustawać w podróży i wieść tę garstkę, która ostała się z boju. Nie tylko znój bitwy dawał się wszystkim we znaki, również podróż, w której niewiele jedli i jeszcze mniej odpoczywali, wyrwała na ich obliczach piętno wyczerpania. Marzył, by wszyscy wreszcie wyciągnęli swe obolałe kości na wygodnych posłaniach i ogrzali się przy ciepłym ognisku.

Rośli mężowie stanęli na niewielkiej polanie pod okazałymi dębami, by rozpaść ognisko i posłać legowiska na nadchodzącą noc. Pozostało ich sześciu – wspaniałych wojowników, których postura oraz rynsztunek niezaprzeczalnie świadczyły, że byli biegli w sztuce rycerskiej i że na niejednej potyczce zaprawiali się w swym rzemiośle. Szczególnie jednak Bogusław wyróżniał się z tej drużyny.

Gniewomir przyglądał się swemu podopiecznemu z nieskrywanym uznaniem. Patrzył jak płowowłosego rycerza, wyzwalając nogi ze strzemion i zwalnając lejce, uważnie obserwując niebo, na którym leniwie zachodziło słońce. Gdy tak spoglądał na mieniącą się ponad konarami drzew ognisto-szarą poświatę, jego zadumane oblicze wyrażało głęboką troskę.

– Widzę niepokój w twych oczach, Bogusławie – odezwał się Gniewomir, chcąc wyrwać go z zadumy.

– To nie niepokój. To myśli nad straconymi dokuczliwie mnie drążą.

– Jesteś wielkim wojem, mój chłopcze, zbyt doświadczonym i zbyt biegłym w swym rzemiośle, by drążył cię tak wielki frasunek – odpowiedział Gniewko, patrząc, jak masywny mężczyzna zsiada z konia.

– Daleko mi do was, Gniewomirze. – Bogusław niezmiernie cenił starszego, bardziej doświadczonego kompana. – To wielki honor służyć pod twą komendą i uczyć się od ciebie rycerskiego rzemiosła. Jednak rzemiosło nasze okrutne i niemiłosierne dla tych, którzy je pokochali. Widzę, jak niewielu z nas się ostało i za każdym razem strata kompanów przenika mnie coraz głębszym bólem.

Milcząc, Gniewko uśmiechnął się smętnie – sam czuł ten ból od lat, więc cóż mógł odpowiedzieć? Że to minie? Niemożliwe – ten rodzaj bólu nigdy nie przemijał. Zatem nie dyskutowali więcej; ich powołaniem były czyny nie słowa. Stary wódz wiedział, że nie czas na dysputy o śmierci i znikomości życia wojów, zaś skromność Bogusława nigdy nie pozwoliłaby mu przyznać, jak wielkim i bitnym jest wojownikiem. Przez lata walk z pogańskimi plemionami nie raz dowiódł swej tężyzny fizycznej i siły charakteru. Spokojny, rozsądny, prawy, mężny i bezinteresowny – taki druh to skarb. Dobrze było mieć go w swojej drużynie i wiedzieć, że zawsze można na nim polegać. Gniewomir był pewien, że gdy sam odejdzie, jego miejsce zajmie właśnie Bogusław.

Znużony długą drogą dowódca ciężko opadł na konar pod dębem, chcąc dać odpocząć swoim starym kościom. Wiedział, że mimo przygnębienia, Bogusław zajmie się wszystkim, co niezbędne, aby ich nocleg był wygodny i bezpieczny.

Pozostali wojowie też rozlokowali się na popasie. Rozkulbaczywszy konie, Sławoj wyznaczał miejsce na ognisko, a Ziemowit i Janko, rozprawiając o powabnych kształtach swych oblubienic, układali gałęzie, moszcząc legowisko.

Jesienny wieczór robił się coraz chłodniejszy, zszarzałe liście opadały na polanę poruszane przenikliwym wiatrem, a szaro-mleczna mgła zaczynała rozpościerać swe przenikliwe chłodne, wilgotne skrzydła. W tej ponurej aurze potrzeba ogrzania się przy gorącym ognisku zdawała się coraz bardziej ponaglać. Zmęczenie i ziąb dawały im się we znaki, ale jeszcze dotkliwszy był głód. Tak więc jedzenie najbardziej zaprzętało teraz ich myśli.

– Można by coś upiec na tym ognisku. – Ziemowit zapatrzył się w las, który pograżał się w nadciągającej nocy. – Co myślicie, Gniewomirze?

– Można by, mój Ziemku, można by.

– To pójdę i zapoluję, jak pozwolicie. – Ziemek uśmiechnął się szeroko, jak zwykł to robić zawsze, gdy wódz podchwycił jego pomysł. – Jeszcze zupełnie zmrok nie zapadł, to może jaka rogaczyna by się trafiła.

Ziemowit był najmłodszy w drużynie. Stąd też wszyscy szczerze troszczyli się o tego młokosa o płowych włosach i dużych, błękitnych oczach oraz chłopięcym uśmiechu stale goszczącym na jego słowiańskiej twarzy.

– Ja pójdę – rzekł Bogusław. – Ziemowit dzieciak jeszcze i nie zna tych borów tak dobrze jak ja. A jeszcze okolicę sprawdzę, czy się tam jakie zło nie czai. Pozwólcie mi pójść, Gniewomirze.

Stary woj pokiwał głową. Jak mógł odmówić? Bogusław sprawi się najlepiej ze wszystkich – tego był pewien.

Niezadowolony Ziemowit zaczął coś mrużyć pod nosem. W końcu miał już za sobą kilka poważnych bitew, jakżeby mógł nie poradzić sobie ze zwykłą dziczyzną? Wiedział jednak, że z tymi dwoma nie ma dyskusji. Jedyna rozsądna myśl, która mogła teraz zaświtać w jego głowie, to pokorne przyjęcie decyzji starszych kompanów. Kiwnął więc głową zrezygnowany i odszedł w stronę Mieszka, by pomóc mu rozbijać obozowisko.

Ciemność zapadała coraz szybciej, a osiadająca mgła coraz bardziej ograniczała możliwości ludzkiego wzroku. Jeśli mieli coś zjeść tego wieczora, Bogusław musiał przede wszystkim skupić się na wytropieniu zwierzyny; okolicę popasu sprawdzi, wracając ze zdobyczą. Wydawało się, że najbliższe otoczenie jest bezpieczne, a więc pozostających w obozie pięciu zbrojnych z solidnym orężem nie miało się czego obawiać.

Mimo okazałej postury poruszał się zwinnie, przeczesując gęste krzewy i zarośla. W szybko zapadającej ciemności był tak pochłonięty wytropieniem jakiegokolwiek zwierzęcia, że nie zorientował się, iż sam stał się celem.

Błyskawicznie przemykający między zaroślami kształt był ledwo dostrzegalny. Prędkość, z jaką się poruszał, nie pozwalała wypatrzeć postaci, można było jedynie poczuć złowieszczy podmuch, ustający równie szybko, jak się pojawiał. Ten podmuch zaniepokoił Bogusława. Przystanął więc i z uwagą zaczął nasłuchiwać. Jeśli nie mogę tego zobaczyć, to może choć usłyszę – pomyślał, wyęzając słuch. Wtedy ją zobaczył. Mimo otaczającej mgły widział ją całkiem wyraźnie – stała koło krzewu dzikiej jeżyny, zaledwie kilka kroków od niego. Drobna, mizerna kobieta, prawie jeszcze dziecko, całą swą postacią zdawała się błagać o ratunek. Na jej twarzy malował się smutek, ale coś dziwnego czaiło się w oczach. Coś niepokojącego i mrocznego. Mimo to Bogusław nie poczuł lęku, który powinien był zaalarmować wszystkie jego

zmysły. Czuł jedynie nieodpartą konieczność zaopiekowania się tą zagubioną istotą. Dobry Boże! – pomyślał. Co stało się tej kobiecie, że znalazła się sama w nocy w tym ogromnym lesie? Powoli, by nie przestraszyć dziewczyny potężną posturą i strudzonym wyglądem, podszedł do niej, chcąc zaoferować opiekę i schronienie w obozowisku drużyny. Zbliżał się zahipnotyzowany blaskiem migdałowych oczu, a ona stała w bezruchu, spojrzeniem przyzywając go do siebie. Wtedy wszystko wkoło ucichło, jak gdyby życie na chwilę zamarło i nim zdążył się odezwać, ogarnęła go ciemność i absolutna, nieprzenikniona cisza. Zapadał się w nicość, od której nie było już odwrotu.

Ocknął się i rozejrzał niepewnie. Co u licha? – dumał. Omdlałem? Nie może być.

A jednak coś było nie tak. Nadal królowała ciemność, ale wszystko dookoła zdawało się inne. Niby bór ten sam, ale jakby wyraźniejszy – każde drzewo, krzak, każda najdrobniejsza roślina, każdy listek czy stworzenie widoczne ostrzej i dokładniej niż kiedykolwiek wcześniej. Niebo nad wyraz jasne i bliskie, jakby błyszczało specjalnie dla niego. I ten nieznośny hałas. Słyszał każdy dźwięk wydawany przez żyjący las, każdy szmer, każdy szelest. Rośliny, zwierzęta, wiatr w konarach – wszystko zdawało się krzyczeć, sprawiając, że ciężko było mu zapanować nad chaosem powstającym w jego głowie. No i zapach. Zapach lasu wyczuwalny tak intensywnie, że mógłby go dotknąć. To też dotykał – najpierw wszystkie jednocześnie, a potem każdy z osobna. Pierwsze drzewa, te najbliższe, liściaste i te, które rosły daleko od niego, iglaste. Różne krzewy, małe krzaczki, a dalej kwiaty leśne, wrzośce, które jesienią pachniały najmocniej. I ten jeden szczególnie zapach – dzikiej jeżyny. Nagle przypomniał sobie dziewczynę. Drobną zagubioną niewiastę, której chciał zaoferować pomoc. Co się z nią stało? Gdzie była? Czy jest bezpieczna? Musi ją odszukać i upewnić się, że nic jej nie jest, a wtedy zabierze ją do obozowiska i zapewni bezpieczeństwo, nim noc na dobre zapadnie.

Jakby słysząc jego myśli, w ułamku sekundy stanęła tuż przed nim z szerokim uśmiechem na ustach, wyłaniając się dosłownie znikąd. Towarzyszył jej wzmożony szelest liści – tych zwiędłych, ścielących się pod stopami i tych na drzewach, które jeszcze nie opadły. A wszystko przy akompaniamencie podmuchów wiatru tak silnych, jakby cały świat zawirował.

Oślupiały Bogusław stał, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Paraliżował go niepokój lęgnący się gdzieś w podświadomości. Ale przecież był wojem – mężem, któremu niestraszne najsroższe, najkrwawsze bitwy, dlaczego zatem miałby złąć się drobnej niewiasty?

– Jak mogłaś pojawić się tak nagle? I skąd? Nie widziałem cię przed chwilą w pobliżu.

Choć dopiero co skarcił się za irracjonalne lęki, jego niepokój wzrósł jeszcze, gdy zdał sobie sprawę z jej wyglądu. Była drobna, można by rzec zwiewna, trochę wątła w swej delikatnej postaci i ze szczególną bladością ciała. Zdziwił się, jak doskonale widzi te wszystkie szczegóły.

– Jesteś już – powiedziała spokojnym, niemal dziecięcym głosem, ignorując jego pytania i intensywną ciekawość w oczach. – To dobrze. Od teraz zaczynasz nowe życie. Nauczysz się wszystkiego, poznasz, zrozumiesz... – Spojrzała na niego, a wtedy dostrzegł w jej oczach mrok i pustkę.

To nie były te migdałowe oczy zagubionego stworzenia. To były głodne oczy drapieżnika, łowcy, który nie przepuści żadnej ofierze, jaka nieopatrznie znajdzie się na jego drodze.

Stał i przyglądał jej się wnikliwie, gdy tymczasem dziwnie nieludzka niewiasta zaczęła mówić delikatnym, śpiewnym głosem.

– Witam cię w Mrocznym Świecie. Moim świecie. – Bawiąc się swym długim, rudym warkoczem, którego koniec owijała wokół palca, spojrzała mu prosto w oczy i wyrecytowała:

Jesteś teraz Dzieckiem Nocy.

Nigdy już nie zobaczysz słońca.

Księżyc będzie oświetlał ci drogę.

Noc będzie twoim sprzymierzeńcem.

Dałam ci nieśmiertelność i wszystko, co ze sobą niesie.

Stworzyłam cię na swoje podobieństwo.

Jestem twoim Stwórcą.

Słowa wypowiedziała jak w transie, jakby ich wyartykułowanie miało jakąś magiczną moc. W końcu dotknęła swych ust palcem wskazującym, na którym, nie wiadomo skąd, błyskawicznie pojawiła się kropla krwi, a potem uniosła palec ku górze i dotknęła nim czoła Bogusława.

– Złączyłam cię z sobą, a więc jesteśmy teraz jednością – wyszeptała, jakby dokańczając mantrę.

Przez ułamek chwili wahał się jak zareagować, co odpowiedzieć. Żartuje czy wariatka? – zastanawiał się. Ale na jej twarzy nie dostrzegł rozbawienia. Czyli, jak nic... obłąkana.

Bywało, że po lasach błąkały się szalone kobiety, które postradały rozum. W potyczkach wojennych traciły mężów, w połogach lub za sprawą chorób traciły potomstwo, dotykały je też inne potworności. Ta biedna dziewczyna musi być jedną z nich – podpowiadała mu podświadomość. Oburzenie wzięło jednak górę nad litością względem obłąkanej.

– Stwórcą?! Niewiasto, rozum postradałaś?! Za Boga się uważasz?! – wykrzykiwał, nie wiedząc, czy bardziej pochłania go oburzenie czy niepokój narastający w nim od chwili, gdy pojawiła się we mgle.

Uroczy śmiech rozniósł się po ciemnym lesie, choć jej twarz nie wyrażała radości.

Spojrzała na niego swymi migdałowymi oczami i powiedziała z największą powagą:

– Wąpierz¹. Jesteś wąpierzem, a ja cię stworzyłam, wąpierz. – Bił od niej taki spokój i wiara w prawdziwość wypowiedzianych stwierdzeń, że trudno było zadać im kłam.

Bogusław patrzył z niedowierzaniem. Nie było słów, które przyszyłyby mu do głowy w tym dziwnym, nierealnym momencie. Kobieta stojąca przed nim właśnie wywracała jego świat do góry nogami, a on wewnętrznie czuł, że to wszystko jest do bólu prawdziwe i nie ma już od tego odwrotu.

W tej samej chwili zbliżyła się do niego tak bardzo, że słyszał... i czuł, jak krew przepływa przez jej żyły. Niespotykane dziwne uczucie – stwierdził oszołomiony. Krew w jego żyłach, krew, której ślad pozostawiła na jego czole i ta w niej... jakby wołały siebie nawzajem. Chwyliła go za rękę, a on poczuł, jak łańcuch więzi oplata się wokół niego, nie dając mu możliwości odwrotu. Wiedział, że od tego momentu ta niewiasta będzie już dla niego wszystkim i że on będzie wszystkim dla niej.

– Jestem twoją partnerką, siostrą, żoną. Jestem twoją kobietą – powiedziała, patrząc na niego bez jakichkolwiek emocji. – Jestem twoim stwórcą – dodała po krótkiej pauzie, jakby chcąc nadać tym słowom większego dramatyzmu. – Tak jest z nami teraz i tak było zawsze z każdym wcześniej i będzie zawsze z każdym po nas, kto złączy się krwią – zamilkła, by po chwili spytać. – Rozumiesz?

Rozumiał słowa, które wypowiedziała, ale sytuacja zdawała mu się co najmniej absurdalna. To nedorzeczne, by ta mała niewiasta mogła zrobić z niego wampira i swego wampirycznego małżonka. Słyszał o wampirach. Baby w osadach opowiadały o nich nie raz. Wąpierz – okrutne potwory, krwiożercze i bezlitosne z ogromnymi kłami i równie ogromną siłą. Ta dziewczyna nie wyglądała na silną, ani nie miała kłów. Zresztą... to zabobony – tłumaczył sobie. A on – chrześcijanin – nie dawał wiary zabobonom.

Mimo to czuł, że coś jest nie tak. Chciał wiedzieć co. Zatem pozwoli kobiecie mówić, a gdy skończy, wtedy on powie, co o tym myśli. Tak więc mówiła. Jak to nazwała – przekazywała mu nauki. Powiedziała o nadzwyczajnych mocach – nieludzkiej sile i szybkości, nadnaturalnym wzroku, słuchu i węchu. O możliwości manipulowania ludzką świadomością, by łatwiej było się

pożywiać. Dowiedział się wszystkiego co ważne o głodzie krwi i jego zaspakajaniu, ale też o ogromnym głodzie seksu, który dla wampirów był równie bezlitosny i który nie był dla nich tematem tabu.

Chciał czy nie, z każdym jej słowem coraz bardziej zapadał w Mroczny Świat, stając się członkiem Rodzaju – ludu, o którym do tej pory myślał, że istnieje tylko w ludzkiej wyobraźni.

To były dziwne czasy. Czasy, w których od wieków zakorzenione pogaństwo zderzało się z rodzącym się chrześcijaństwem, i w których życie ludzkie znaczyło mniej niż dobra uprzęż czy ekwipunek rycerski. I właśnie w takich czasach Bogusławowi z Boru przyszło się zmierzyć ze swoją przemianą, za sprawą której stał się wampirem.

Rozdział 1

Poznań – październik 2011

Bywały dni, w których nawet on czuł się dziwnie i to właśnie był taki dzień. W zasadzie lubił jesiennie-zimowe popołudnia. Wcześniej zapadał zmierzch, więc świat stawał się dla niego wcześniej dostępny. Jednak dziś nawet to, że świat zrobił się szybko ciemny, szary i deszczowy nie poprawiało mu nastroju. To, że ludzie go nie zauważali było dobre. Lubiał obserwować, jak zaabsorbowani swoimi sprawami przechodnie przemykali ulicami, nie zwracając uwagi na siebie nawzajem. Dzięki temu mógł być dociekliwym obserwatorem, jednocześnie nie będąc obserwowanym. Wnikliwe przyglądanie się ludziom leżało w jego naturze. Przez lata doskonalił tę umiejętność, by potem na własną korzyść spożytkować każdą zebraną informację. Mając w tej dziedzinie setki lat praktyki, z pewnością doskonale sprawdziłby się w roli detektywa, może nawet szpiega. Ale żadna z tych jakże, na pozór, fascynujących profesji nie leżała w kręgu jego zainteresowań. Kręcąc się między ludźmi, był po prostu jednym z nich – zwykłym facetem, który zarabia na życie i mocuje się z codziennością, by przetrwać w okrutnym świecie i ciężkich czasach. Odkąd sięgał pamięcią, ludzie zawsze uważali, że żyją w okrutnym świecie i w ciężkich czasach. Wieki mijały, świat się zmieniał, a kolejne pokolenia powielały ten pogląd, pielęgnując go w sobie i żyjąc w przekonaniu o jego niezaprzeczalnej słuszności.

Bogusław, czy też Sławek jak go teraz nazywali „przyjaciele”, snuł filozoficzne rozważania o egzystencjalnych rozterkach śmiertelnych i prowadził swoje małe, codzienne obserwacje. Jednak dzisiejszy pośpiech i wzmożony ruch na ulicach zdecydowanie utrudniały mu żywot. Był taksówkarzem i wampirem – wystarczający powód, by nie narażać się na jakiegokolwiek kolizje? Z pewnością. Nie dość, że na jakiś czas straciłby pracę, to jeszcze zwróciłby na siebie uwagę.

Oczywiście ludzką świadomością łatwo było manipulować. Bez problemu mógłby zmanipulować ewentualnych świadków zajścia. Nikt by go nawet nie pamiętał. Jednak zatarcie śladów w postaci niefortunnej ofiary potencjalnej kolizji, to już poważniejsza sprawa. A taksówka bez kierowcy powodująca wypadek w godzinach szczytu w centrum dużego miasta? Dość niecodzienna sytuacja, by zainteresowały się nią wszystkie możliwe media, od lokalnych począwszy, na ogólnokrajowych kończąc.

Już widział te absurdalne nagłówki: TAKSÓWKA WIDMO POTRĄCA PIESZEGO albo DUCH ZA KIEROWNICĄ MORDERCZEJ TAKSÓWKI lub coś jeszcze bardziej pokręconego i pewnie bardziej krwawego. W końcu dziennikarze mieli niespożyte zapasy sił, by prześcigać się w wymyślaniu jak najgłupszych i jak najkrwawszych tytułów, zakładając zapewne, że jedyne, co przyciąga czytelników, to niezdrowa sensacja, a przewrotny, durny tytuł to najlepszy sposób, by zwabić spragnione sensacji masy.

Czasami zastanawiał się, czy ludzie byli naprawdę tak naiwni, że dawali sobie wcisnąć każdy chłam, który zaserwowali im podążający za chorą sensacją dziennikarze? A może z braku dobrego dziennikarstwa, będącego zdecydowanie w odwrocie, brali to, co akurat było dostępne, przełykając zaserwowaną im żabę?

Do dupy z takim dniem – pomyślał, siedząc za kierownicą swojej taksówki, przerwawszy kolejne rozważania nad złożonością ludzkich zachowań i motywacji. Niech już wreszcie skończy

się to szaleństwo.

Fakt, w okolicy dnia Wszystkich Świętych ludzie byli wyjątkowo oteźpiali. Aura przesilenia jesiennego, która rokrocznie ogarniała społeczeństwo, była wystarczającym źródłem ich apatii, ale na kilka dni przed tym wyjątkowo przygnębiającym świętem mieszała się z pospieszną nerwowością, powodując w nich trudną do opanowania mieszaninę emocji. Miotali się więc nieskładnie w przyspieszonym tempie, utrudniając życie sobie nawzajem.

On nie potrzebował pośpiechu. Był zupełnie sam na świecie i nie było mu z tym źle, chociaż czasami myślał, że przydałoby się mieć kogoś tak po prostu, choćby po to, żeby móc pogadać. Może też dlatego był teraz taksówkarzem? Chociaż rozmowy z przygodnymi pasażerami to nie to samo, co rozmowa z kimś tylko „swoim”.

Bogusław nawet nie umiał pomyśleć o takiej osobie, jak o kimś bliskim. Już od tak dawna był sam, że zapomniał o ludzkich odczuciach, stąd też określenie „mój człowiek” zdawało mu się jak najbardziej w porządku. Zresztą „mój” funkcjonowało na porządku dziennym, określając ludzkich sprzymierzeńców, partnerów czy sług członków Rodzaju.

Oczywiście Rodzaj z zasady nie sprzymierzał się z ludźmi, nie zawiązywał z nimi związków partnerskich, rzadko też wykorzystywał ludzką służbę, niemniej zdarzały się wyjątki. Ludzie od zawsze stanowili źródło przetrwania w ich pośmiertnej egzystencji. Odkąd jednak można było czerpać pożywienie z banków krwi i od dobrowolnych dawców, którzy za wysoką cenę chętnie sprzedawali swoją krew na czarnym rynku, relacja ta uległa zmianie.

Pograżony w płataninie nieskładnych myśli o deszczowym dniu, niefrasobliwości przechodniów i „swoim” człowieku, Bogusław wolno prowadził czarną taksówkę poznańskimi ulicami. Właśnie miał przeciąć ulicę Prusa, gdy na przejście, tuż przed maskę jego Mercedesa, wtargnęła kobieta. Tylko jego błyskawiczny refleks i doskonała zdolność widzenia w każdych warunkach – również w ciemności i osiadającej mgle – uchroniły niesforną pieszę przed wypadkiem. Raptownie zahamował, wystawił głowę przez okno i dając upust wrzącym emocjom, krzyknął:

– Hej, kobieto! Na życiu ci nie zależy?! Nie możesz tak bezmyślnie wchodzić mi pod koła!

Kobieta odwróciła się w jego stronę, jakby dopiero teraz zauważyła, że samochód zbliżył się do niej na niebezpieczną odległość. Była niewysoka i miała smutne spojrzenie. Sprawiała wrażenie, jak gdyby to, co się z nią stanie, nie miało większego znaczenia. Była z tych „przeźroczystrych” kobiet, co to przemykają chyłkiem, starając się, by nikt nie zwrócił na nie uwagi. Z tych, które nie znają swojej wartości i są przekonane, że coś takiego jak wartość nigdy nie będzie ich dotyczyć.

– Przepraszam pana bardzo – wymamrotała. – Byłam zamyślona i faktycznie nie zauważyłam, że pan nadjeżdża. Jestem niezmiernie wdzięczna, że uważał pan za nas oboje – powiedziała spokojnie, prawie kuląc się pod jego karcącym spojrzeniem.

Bogusław absolutnie nie spodziewał się takiej reakcji. Nie raz ludzie wchodzili mu pod koła – pijani mężczyźni, roztargnione kobiety, zagonieni biznesmeni czy beztroskie staruszki. Niefrasobliwy pieszy był na porządku dziennym każdego taksówkarza, ale zawsze, gdy zwracał im uwagę, zaczynali wrzeszczeć albo kompletnie go ignorowali, udając, że nic się nie stało. Ta babka była inna. Nie dość, że uznała jego rację, to jeszcze była wdzięczna? Dziwadło. Zaskoczony pokręcił głową i, podciągawszy szybę, ominął kobietę i pomału odjechał, zostawiając ją na skrzyżowaniu. Jednak ów krótki incydent pozostawił w nim nieodparte przecucie czegoś nieuniknionego.

W obszernym, gustownie urządzonej holu mieszkania na drugim piętrze przedwojennej kamienicy przy ulicy Prusa Kaśka bezmyślnie, jakby automatycznie, wiązała buty, siedząc na wygodnym taborecie. Nie miała ochoty wychodzić z domu w tę deszczową pogodę. Na dworze było ponuro i zimno. Ot, typowe październikowe popołudnia. Jednak jej wola, czy też bardziej brak woli, nie miała najmniejszego znaczenia. Kaśka po prostu nie miała wyboru. Jacek zadzwonił przed chwilą i poinformował, że zaprosił Waldków na jutrzejszy wieczór i liczy na przyzwoitą kolację.

– Żeby nie musiał się przed nimi wstydzić, rozumiesz?! – rzucił tonem nie znośnym sprzeciwu.

Ton Jacka na ogół nie znosił sprzeciwu, ale tym razem Kaśka wiedziała, że jest gorzej niż zazwyczaj. Może ma jakieś problemy w pracy – pomyślała, jak zwykle go usprawiedliwiając. A może po prostu ma gorszy okres.

Zawsze starała się tłumaczyć gburowate, opryskliwe, niekiedy wręcz agresywne zachowanie męża. Inaczej, jak mogłaby wytrwać z nim tak długo? Czas, w którym byli zakochaną w sobie parą młodych ludzi, już dawno mieli za sobą. Nie przypuszczała jednak, że po nim nastąpi czas jawnej niechęci, którą Jacek okazywał jej na każdym kroku. Nawet trudno było powiedzieć, kiedy nastąpiła ta zmiana. Wiedziała tylko, że do tak zwanych „dobrych czasów” nie ma już dla nich powrotu. Oczywiście mogła się zastanawiać, gdzie popełniła błąd, pozwalając, by ich udane kiedyś małżeństwo przerodziło się w tę farsę. Niemniej, ilekroć to robiła, nie potrafiła udzielić sobie jednoznacznej odpowiedzi.

Kiedy osiem lat temu urodził się Pawełek, byli naprawdę szczęśliwi. Jacka rozpieła dumą, że ma pierworodnego. Nawet kupił żonie pierścionek z brylantem. Codziennie razem zajmowali się maleństwem i Kaśka widziała, że sprawia mu to ogromną frajdę. Prosto z pracy wracał do domu i natychmiast angażował się w zajęcia przy małym. A pierwsze słowa i pierwsze kroki Pawełka były dla niego niczym przyjazd wesołego miasteczka – niesamowita radość i wielkie świętowanie. Dumny ojciec obdzwonił wówczas rodzinę i wszystkich znajomych, chwając się tym wiekopomnym wydarzeniem. Kaśka zaśmiewała się, siedząc obok męża i kolejny raz wysłuchując tej samej opowieści, w której widziany jego oczami maluch był niekwestionowanym geniuszem na miarę Einsteina, bo właśnie wybełkotał pierwsze słowo i postawił pierwszy chwiejny krok.

Coś zaczęło się psuć, gdy Jacek objął nowe stanowisko w kancelarii. To wtedy zaczął dłużej zostawać w pracy, a kiedy wracał, nie był zainteresowany domem. Jedynie czas spędzany z synkiem potrafił go na chwilę zrelaksować. Dlatego poczuwszy, że ich związek się sypie, Kaśka pomyślała, że może drugie dziecko przywróci im normalny, radosny dom i czułość w małżeństwie. Myliła się. Cholernie się myliła! Teraz była niekochaną żoną z dwójką dzieci i mężem, który przy każdej okazji dawał jej do zrozumienia, jak bardzo jest wściekły z powodu sideł, w które go złapała. Nawet w stosunku do Pawełka zrobił się obojętny. Mała Agata od początku nie miała u niego szans.

Z głową pełną chaotycznych myśli wyszła na deszcz, narzucając na siebie szarą kurtkę z polaru i ruszyła na zakupy do pobliskich sklepów. Wszedłszy na pasy, zdała sobie sprawę, że nawet nie sprawdziła, czy coś nie nadjeżdża. Pisk opon zajadłe dociskanych przez hamulce i zgrzyt ślizgającego się po mokrej jezdni pojazdu uzmysłowiły jej, że popełniła błąd. Na szczęście kierowca taksówki, pod którą weszła, był bardziej przytomny od niej. Nawet powiedział coś na temat jej braku poszanowania dla życia, ale Kaśka nie była pewna, co dokładnie mówił. Założyła, że wina zdecydowanie leży po jej stronie i przyznała facetowi rację, chcąc jak najszybciej

wyplątać się z tej niemiłej sytuacji. Nie lubiła, gdy ludzie zwracali na nią uwagę. Postrzegała siebie jako kobietę przeciętej urody, a dwie ciążę nie dodały jej uroku, odbierając jeszcze młodzieńczą sylwetkę. Tak więc była po prostu mocno przeciętną kurą domową, w tym momencie dodatkowo dość zapuszczoną kurą domową bez makijażu, wędrującą przez miasto w wytartych džinsach, adidasach i szarej kurtce z polaru. Okropność – jęknęła, uświadamiając sobie, jak żaloszny obraz sobą przedstawia.

Taksówkarz też najwidoczniej szybko zdał sobie sprawę z jej nieatrakcyjności, bo powiedział, co miał do powiedzenia, a potem ominął ją i odjechał. Ale wrażenie, jakie po sobie zostawił...

Miał w sobie coś niesamowicie pociągającego, coś, co przykuło jej uwagę, mimo że wcale nie miała zamiaru mu się przyglądać. To była tylko krótka chwila, a jednak dostrzegła w nim swoiste piękno. Niecodzienne piękno. Niepokojące piękno. Miał zniewalająco jasne oczy, błękitne, bystre, wręcz... groteskowo radosne. Kto w taki paskudny dzień ma radosne oczy? – pomyślała, kręcąc głową, uśmiechając się do samej siebie. Napięta, skupiona twarz mężczyzny zdecydowanie kontrastowała z tymi dziwnymi oczami. Dodatkowo podkreślały to rozsypane w nieładzie, płowe włosy, tworząc falowane pasma sięgające ramion. Bardziej przypominał surfera z tropikalnych wysp niż taksówkarza z zalanego deszczem, ponurego szarością głębokiej jesieni miasta w środku Europy. I tylko zdumiewająca bladość jego oblicza przystawała do otaczającej ich rzeczywistości.

Ech... – westchnęła ciężko. Znowu szła ulicą Prusa w kierunku Dąbrowskiego pochłonięta chaotycznymi myślami. Tym razem jednak jej myśli krążyły wokół zagadkowo pięknej twarzy mężczyzny, którą widziała przez chwilę, ale którą zapamięta już na zawsze.

Czarny Mercedes toczył się pomału zasnutymi mgłą ulicami Poznania. Duży, umieszczony na dachu napis TAXI świecił w mroku jak latarnia morska, dając znać przechodniom, że nie muszą moknąć i marznąć w przenikliwym chłodzie jesienno-wieczoru. Pogoda psuła się z minuty na minutę, a opadająca mgła coraz bardziej ograniczała widoczność. Dla wampira mgła nie stanowiła problemu, ale otoczeni nią przechodnie byli zdecydowanym utrapieniem kierowców. Jak otepiali snuli się ulicami, z trudem rozpoznając granice między bezpiecznymi chodnikami, a niosącą zagrożenie jezdnią. Ignorowali sygnalizację świetlną, nie mogąc dostrzec świateł po przeciwległej stronie ulicy. Warunki były tak dokuczliwe, że Bogusław postanowił zakończyć objazd po mieście i wrócić do wynajmowanego mieszkania, które od kilku lat było jego domem. I co z tego, że nie złapał dziś żadnego klienta. Był taksówkarzem bardziej dla pielęgnowania w sobie resztek człowieczeństwa niż dla zarobku. Pieniądze nie stanowiły problemu. Przez setki lat istnienia zdążył zgromadzić wystarczający kapitał, by nie musieć podejmować żadnej pracy. Praca była jedynie hobby i rozrywką niż zatrudnieniem.

Właśnie skręcał w ulicę Bukowską, by dalej zjechać w stronę Matejki, a potem już zabił skok do domu, gdy z krawędzi chodnika zamachał na niego wysoki mężczyzna koło czterdziestki. Mimo paskudnej pogody wyglądał nad wyraz schludnie w sięgającym do połowy łydki płaszczu typu prochowiec przewiązanym szerokim paskiem i z wysoko postawionym kołnierzem. Na szyi miał modnie zmotamy szalik w równie modną, szkocką kratę w odcieniach beżu.

- Jest pan wolny? – zawołał, gdy taksówka zatrzymała się tuż przy krawężniku.
- Dokąd? – zapytał Bogusław, jednocześnie przytakując skinieniem głowy.
- Na Piastowskie. – Mężczyzna miał przyjemny, ciepły głos, który jednakowoż do niego

nie przystawał, a w taki ponury dzień zdawał się brzmieć wręcz nienaturalnie. – Ale mamy pogodę – zagadnął.

– Koniec października... nie ma co się dziwić. – Lakoniczna odpowiedź miała być sygnałem dla pasażera, by nie drażył tematu i odpuścił sobie dalszą rozmowę.

Bogusław nie miał ochoty na pogawędki – nie dziś. Był znużony i zdecydowany jak najszybciej wrócić do domu, bez zabawiania obcego faceta kurtuazyjną rozmową.

W zasadzie, mimo iż potrzeba kontaktu z ludźmi sprawiła, że został taksówkarzem, nie przepadał za wdawaniem się w rozmowy z pasażerami. Kto powiedział, że potrzeba kontaktu znaczy potrzeba rozmowy? – judziła jego podświadomość. Już za czasów ludzkiego życia był niezbyt rozmowny, a wampirza natura uczyniła go jeszcze mniej komunikatywnym. Oczywiście chciał mieć kogoś „swojego” do pogadania, ale przecież czy człowiek zawsze musi postępować konsekwentnie? W tym wypadku miał dwoiste oczekiwania i nie zamierzał z tym walczyć. Niemniej skoro większość pasażerów lubiła sobie pogadać, musiał wliczyć konwersacje w koszty pracy. Bycie człowiekiem niesło za sobą pewien balast, który nie do końca był w smak Bogusławowi, jeśli jednak chciał zachować w sobie tę odrobinę człowieczeństwa, musiał go zaakceptować. Jednym z elementów tego balastu było prowadzenie nie zawsze akceptowanych rozmów. Dziś jednak szczególnie nie miał ochoty na pogawędki. Jego myśli krążyły wokół smutnej kobiety, której o mało przed chwilą nie potrafił. Głupia dziewczyna – pomyślał – jak mogła tak beztrudnie wpakować się na te pasy. I jeszcze ta jej odpowiedź! Dziwadło i tyle. W myślach wyrzekał kobiecie, gdy tymczasem rozmowny pasażer nie dawał za wygraną.

– Panie, październik, nie październik, człowiek swoje plany ma. No nie?

– Czyli?

– No wie pan! Zabawić się, jak to facet. No nie?

Co on ma z tym „no nie?” – zastanawiał się zirytowany.

– Jak to facet... mówi pan – Bogusław odpowiedział dość automatycznie. – To znaczy jak? Tenis, koszykówka, jakieś inne sporty? Bo faktycznie często wożę pasażerów, którzy po pracy chcą rozładować stres na sali gimnastycznej albo na basenie.

– Jaki tam tenis? Ha, ha! Sport to może i tak, ale... kobieta człowieku, kobieta! To jest typowo męska rozrywka!

Bogusław zmarszczył brew i spojrzawszy w lusterko wsteczne, dokładniej przyjrzał się pasażerowi. Dobrze zbudowany, pociągła twarz ze śladami wakacyjnej opalenizny i po męsku przycięte, lekko przyprószone siwizną ciemne włosy w artystycznym nieładzie z dość długą, swobodnie opadającą na czoło grzywką. Na dokładkę ostre rysy idealnie ogolonej twarzy i szydercze spojrzenie ciemnoniebieskich oczu. Atrakcyjny gość – uznał Sławek bez emocji.

– Czyli do żony się pan spieszy?

– Do żony, to ja się spieszyłem dziesięć lat temu – odpowiedział pasażer w taki sposób, jakby właśnie usłyszał najgłupsze pytanie pod słońcem.

Palant. Bogusław nie miał dłużej ochoty na tę zbyt osobistą rozmowę. Niech się chłop wynętrza przed kimś innym. Teraz tym bardziej głos mężczyzny zdawał mu się rzącać nieprzystający do całej reszty – ani do wyglądu, jak zauważył na początku, ani też do charakteru. To był głos ciepłego, kochanego, budzącego zaufanie miśka, do którego z pewnością każda kobieta chciałaby się przytulić. Koleś natomiast miał oblicze i spojrzenie zimnego, wyrachowanego dupka. Może właśnie ten jego głos wabi kobiety? – przemknęło mu przez głowę.

– To który blok na tym Piastowskim? – spytał, chcąc zmienić temat.

– Niech mnie pan wysadzi pod osiemnastką.

Gdy podjechali pod blok, mężczyzna wyciągnął okrągłą kwotę zbliżoną do wskazanej na taksometrze, rzucił na przednie siedzenie obok kierowcy i szybko wysiadł z samochodu.

– Reszty nie trzeba. Do widzenia panu – powiedział, zatrzymując za sobą drzwi.

Najwidoczniej ma już tę trasę obeznaną – skwitował Sławek ironicznie. Koniec na dziś – postanowił, chowając pieniądze do portfela i odjeżdżając od krawężnika. Zdecydował wrócić do domu i pomyśleć nad własnym sposobem zabawienia się „jak to facet”.

Wracał ponurymi ulicami, które z każdą chwilą coraz bardziej pogrążyły się w mleczej mgle. Prowadził swoją taksówkę i zastanawiał się nad minionym popołudniem. Nie spodziewał się, wyjeżdżając dzisiaj w miasto, że najpierw spotka tę zastanawiającą kobietę, a potem tego cynicznego palanta. Na ogół kursy były nudne, z bezbarwnymi, przeciętnymi pasażerami w średnim wieku, albo wręcz przeciwnie – z wyjątkowo barwnymi, młodymi ludźmi, którzy zabalowali w dyskotecę czy na imprezie, przynosili swój doskonały nastrój do jego taksówki. Dziś jednak było inaczej. Cynicznego palanta można olać – pomyślał – pewnie już się świetnie bawi „jak to facet”, więc do diabła z nim. Natomiast kobieta, to była inna sprawa. Sprawa, obok której nie mógł, a może nie chciał, przejść obojętnie.

Już kiedyś spotkał taką kobietę – niepozorną, smutną i zagubioną – która odmieniła całe jego istnienie. (Nie mógł tego nazwać życiem, przecież poniekąd nie żył, wiódł tylko niekończącą się, pośmiertną egzystencję.) Czy teraz miało być tak samo? Czy ta smutna, zaniedbana niewiasta z przejścia dla pieszych na Prusa miała odmienić jego los? Czy miała przerwać jego samotność? Ale przecież nic o niej nie wiedział. Nic, poza tym, co zauważył w pierwszej chwili. Nic poza tym, że w jakiś niepokojący sposób przyciągała go do siebie. Tak bardzo przypominała mu Jagienkę. Może dlatego czuł w związku z nią niepokój. Kochał Jagienkę. Przez tak wiele lat była całym jego światem, a potem odeszła na zawsze. Zmarła prawdziwą śmiercią. Nagle. Zostawiając go samego.

Gdy czarny Mercedes E klasy z napisem TAXI wtoczył się na posesję między ekskluzywnymi apartamentowcami City Parku przy ulicy Ułańskiej, miasto było już kompletnie wyludnione i to nie za sprawą głębokiej nocy, lecz najzwyczajszej w świecie ponurej, październikowej pogody. Mgła gęsto spowijała wszystko, co napotkała na swej drodze, a więc i domy, wśród których znajdował się apartament Bogusława były ledwo dostrzegalne dla oka przeciętnego śmiertelnika.

Zaparkował samochód w podziemnej hali garażowej i wszedł do środka po ciemnych schodach, marząc o przekąsce i przysnucu.

Tuż za progiem mieszkania zsunął skórzane adidasy i odstawił je w kąt przedpokoju, gdzie znajdowała się spora garderoba na wierzchnie okrycia. Zapalił światło, którego tak naprawdę wcale nie potrzebował, i ruszył do kuchni. Przechodząc koło kanapy w pokoju gościnnym, zdjął czarną, skózaną kurtkę z kapturem i rzucił ją na oparcie.

Apartament na pierwszym piętrze był niewielki jak na standardy miejsca, w którym się znajdował. Jednak w ramach tej „niewielkiej” przestrzeni mieściła się zdecydowanie okazałych rozmiarów sypialnia oraz duży pokój gościnny ze sporą kuchnią w przyległym aneksie. Wszystko urządzone bardzo gustownie w nowoczesnym stylu i dostatnio. Jeżeli można by podzielić style na męski i żeński, to apartament zajmowany przez Bogusława miał oczywiście typowy, męski charakter.

Sypialnia ze ścianami w kolorze cappuccino umeblowana była dużą, trzydrzwiową szafą z ciemnego drewna i ogromnym łóżkiem, ze skózanym zagłówkiem w kolorze gorzkiej czekolady, po bokach zwieńczonym nocnymi stolikami z drewna i szkła. W narożniku duży fotel klubowy z wysokim oparciem w stylu Chesterfield obity ciemnobrązową skórą, szklano-aluminiowy stolik i stosowna, stojąca lampa tworzyły kącik czytelniczy. Jedna ze ścian była mocno przeszklona za sprawą dużego okna balkonowego.

Na wystroju pokoju gościnnego również nie szczędzono. Dominowała tu kanapa

narożnikowa ze skóry w kolorze śmietankowym i okolicznościowy stolik typu ława z egzotycznego drewna. Na przeciwległej ścianie wisiał pięćdziesięciocalowy telewizor, pod którym znajdowała się szafka z wysokiej klasy zestawem kina domowego, zapewniającym doskonałej jakości odbiór zarówno programów telewizyjnych, filmów jak i muzyki. Pokój był bezpośrednio połączony z kuchnią wyposażoną we wszystko, co współczesna kuchnia posiadać powinna oraz w sprzęty, które może nie były najpotrzebniejsze, ale podnosiły standard mieszkania, a co za tym idzie cenę najmu lokalu. Paradoksalnie akurat to, co wpływało na horrendalnie wysoki czynsz najmu, miało dla jego najemcy zerową wartość. Jedyнным elementem wyposażenia kuchni, które miało dla niego znaczenie była kosztowna, dwudrzwiowa lodówka z wbudowanym automatem do lodu i podajnikiem napojów. Sławkowi w zupełności starczyłaby zwykła, jednokomorowa chłodziarka typu „Igloo”, ale przecież właściciel wyposażając apartamentu, nie miał pojęcia, że na mieszkanie o zdecydowanie wygórowanej cenie skusi się wampir.

Oczywiście nie można pominąć podłóg z egzotycznego drewna i gustownych grafik na ścianach, oraz łazienki wyłożonej polerowanym gresem w kolorze jasnego beżu, która doskonale korespondowała z resztą lokum.

Sąsiadami Bogusława w większości byli zamożni ludzie biznesu obojga płci, którzy na kilkuletni czas pobytu w Poznaniu zamieszkiwali w miejscu gwarantującym im komfort i niezależność. Zjawisko przyjacielskich relacji sąsiedzkich występujące w typowych osiedlach mieszkaniowych tutaj nie miało miejsca. Każdy cenił prywatność, a stosunki dobrosąsiedzkie ograniczał do kurtuazyjnego „dzień dobry”. Mieszkali tu ludzie w pełni oddani codziennej gonitwie za sukcesem, zbyt zajęci swoimi sprawami, by zwracać jakąkolwiek uwagę na to, kto mieszka za ścianą obok. I tak prawdopodobnie niedługo przeniosą się gdzie indziej, a w ich miejsce pojawią się kolejni, równie zagonieni i równie niezainteresowani.

Spora rotacja lokatorów oraz ich nikłe zaangażowanie w życie lokalnej społeczności dawały staremu wampirovi gwarancję bezpieczeństwa, której nie zaznał od wielu lat. Dzięki niej nie musiał już tak często przenosić się do nowego mieszkania w obawie przed sąsiadami, którzy w pewnym momencie zaczną coś podejrzewać. Oni przenosili się za niego. Widmo cyklicznych przeprowadzek w odstępnie dekady zaczęło się realnie odsuwać na nieokreślone „potem”.

Dekada – niejednokrotnie i to było za długo. Prawdę mówiąc, jeśli nawet sąsiedzi zmieniali się na tyle często, by nie zauważyć czegoś dziwnego w mieszkającym obok lokatorze, to właściciel okazywał się zbyt spostrzegawczy. Tym razem jednak kontakt z właścicielem ograniczał się do korespondencji mailowej i przelewów bankowych. Sporadycznie wymieniali się SMS-ami lub dzwonili do siebie, nigdy jednak nie spotykali się osobiście, co zdecydowanie odpowiadało obu stronom.

Tak więc reasumując, wysoki standard przyjemnie łechtał wampirze ego, sąsiedzi byli, a jakoby ich nie było, i właściciel-widmo – wszystko to składało się na przekonanie Bogusław o słuszności wyboru mieszkania, które obecnie zajmował, z pewnością sporo przepłacając.

Porzuciwszy po drodze buty i kurtkę, Bogusław wszedł do kuchni i zamasyżycie otworzył drzwi lodówki. Czuł potrzebę pożywienia. Arogancki palant wzmógł głód jak zawsze, gdy do głosu dochodziły emocje. Niewiele się zastanawiając, wyciągnął pierwszy z brzegu plastikowy woreczek i przelał zawartość do pękatej szklanki z napisem „Pils”, po czym wstawił ją do mikrofalówki i podgrzał.

Odkąd członkowie Rodzaju posilali się torebkową krwią, pożywianiu nie towarzyszył już, niemal natychmiast po tym następujący, nieodparty głód seksu. To ludzkie tętno i ciepłota połączona z zapachem ludzkiego ciała powodowały seksualny amok. Co prawda teraz posilanie się było raczej jak kroplówka – konieczna, by przeżyć – niż uczta dla podniebienia, ale za to

przestali być niewolnikami permanentnej fizycznej żądzy.

W apartamencie panowała dojmująca cisza. Gdy więc w kieszeni jego spodni zabrzączał dzwonek telefonu, Bogusław podskoczył ogłuszony niespodziewanym dźwiękiem. Spojrzał na wyświetlacz i przesunął palcem po ekranie, odbierając połączenie.

– Cześć, Leon – rzucił przyjaźnie. Doskonale znał właściciela numeru, który wyświetlił się na ekranie.

Leon – niespełna stuletni wampir, przy wiekowym Bogusławie był po prostu oseskiem, ale mimo tak znacznej różnicy wieku, obaj traktowali siebie z szacunkiem i przyjaźnią. Przystojny i zawsze szarmancki, był poniekąd zabawny z tymi nienagannymi manierami, które zdawały się bardziej wyuczone niż wysrane z mlekiem matki. W Mrocznym Świecie jednak umiejętność właściwego obycia wciąż była w cenie, dlatego też Leon szybko wypracował sobie stabilną pozycję wśród członków Rodzaju.

– Hej, Sławek. W domu czy w trasie?

– W domu. Chcesz wpaść na jednego?

– Właściwie, to nie mam teraz na to czasu, chociaż z pewnością powinniśmy pogadać. –

Leon zrobił krótką pauzę, po czym dodał: – Król zwołuje konwent.

Obaj doskonale wiedzieli, że konwent znaczy kłopoty lub w najlepszym przypadku bardzo ważną sprawę wymagającą poparcia prominentnych członków Rodzaju.

– Coś się stało? – pytając, Bogusław starał się zachować obojętność.

– Stary, nie wiem. Chwalimir polecił mi zadzwonić do ciebie i powiadomić o konwencie.

– Leon, wiesz dobrze, że jestem niezależny, nie muszę odpowiadać na jego wezwanie.

– Jesteś, ale wiesz równie dobrze jak ja, że są sytuacje, w których lepiej nie odmawiać...

– Grozisz mi?! – Sławek nie mógł pohamować oburzenia i niegrzecznie przerwał rozmówcy.

– Uspokój się, człowieku! Nikt ci nie grozi. Nawet nie dałeś mi dokończyć zdania.

Chciałem tylko powiedzieć, że bywają sytuacje, w których wszyscy muszą coś z siebie dać, nawet jeżeli im to nie w smak. Myślisz, że król nie wie, jak bardzo cenisz sobie swoją niezależność? Wie i to doskonale, ale widocznie jesteś mu potrzebny.

Przez chwilę panowała drażniąca cisza. Taka, w której obie strony nie wiedzą czy się rozłączyć, czy powiedzieć coś, co złagodzi atmosferę.

Jeśli król potrzebuje niezależnego wampira...? – nawet nie próbował dokończyć myśli.

– Leon, ale po co mu ktoś taki jak ja? Samotnik, bez znaczącej pozycji?

– Tylko tobie się wydaje, że nic nie znaczysz. Może to właśnie twoja niezależność jest teraz najpotrzebniejsza?

– Jest aż tak źle?

Bogusław nie był pewien, jakiej odpowiedzi oczekuje. Z jednej strony chciał, żeby Leon rozwiął jego obawy, ale z drugiej mogło to oznaczać, że szykowały się poważne zmiany, które nie zawsze dobrze wróżyły.

– Wierz mi, Sławek, naprawdę nie wiem, o co chodzi. Mogę tylko przypuszczać, że to grubsza sprawa, bo zahacza o wysoki szczebel.

– Okej – odpowiedział lakonicznie po chwili namysłu. – Powiedz tylko gdzie i kiedy mam się zjawić.

– W rezydencji. Niedziela, godzina dwudziesta.

– Dobrze, będę. Ciebie też zaproszono?

– Tak. Chwalimir uznał, że mogę być pomocny, więc jestem zaproszony razem z pozostałymi.

– To do niedzieli.

– Do niedzieli – odpowiedział młody wampir i się rozłączył.

Bogusław automatycznie przeciągnął kciukiem po ekranie telefonu, by zakończyć i tak już skończoną rozmowę. Usiadł na podłodze obok swojej wypasionej lodówki, oparł się o stalowe drzwi i wziął głęboki oddech.

Przez całe życie starał się trzymać z daleka od wpływowych, posiadających władzę jednostek. Nie rzucać się w oczy, nie zwracać na siebie uwagi – to była jego dewiza. Nie mógł zapomnieć o zabójcy. Pamięć o nim nakazywała niesłychanie daleko posuniętą ostrożność. Zaletą posiadania za sobą wieków egzystencji była doskonała umiejętność stawania się niezauważalnym. Ale to, co udawało się bez problemu wśród ludzi, w Mrocznym Świecie było niemal nieosiągalne. Choćby nie wiadomo jak się starał, zawsze znalazł się ktoś, kto wcześniej czy później sobie o nim przypominał. Tak jak wtedy, gdy o władnięci szczęściem, zapomnieli z Jagienką o ostrożności. Jak wtedy, gdy stracił jedyną kobietę, którą kochał. Wtedy stracił jeszcze coś – przekonanie o swej niezrównanej mocy. Tej nocy przekonał się, że nawet wampir może być słaby i łatwy do pokonania.

Pogrążając się w bolesnych myślach, Bogusław podniósł się z miejsca przy lodówce, przeszedł do pokoju i włączył muzykę. Wygodna kanapa z grubej skóry kusila, by się na niej wyciągnąć i zapaść w spokojną drzemkę, ale on nie miał zamiaru ulegać tej pokusie. Powolnym krokiem ruszył w stronę przeszklonej ściany, stawiając po drodze szklankę z nietkniętą zawartością na stoliku z egzotycznego drewna. Rozsunął grube zasłony z aksamitu i stanął na progu okna balkonowego. Świat na zewnątrz nie był ani odrobinę bardziej przyjazny niż przez ostatnich kilka tygodni, ale chłód i ciemność nie przeszkadzały mu na tyle, by pogrążyć się w melancholii.

To coś w nim wołało...

Rozdział 2

Piątkowy wieczór tylko z pozoru wydawał się zapowiadać atrakcyjnie. Zaproszeni przez Jacka goście nie byli ulubionym towarzystwem Kaśki.

Waldek – biurowy kolega męża, był korpulentnym, gburowatym blondynem ze szczeciniastymi włosami i świdrującymi, szarymi oczkami, którego cechowało wysokie mniemanie o własnej wartości. I jeżeli w kwestii atrakcyjności fizycznej budziło to pewne wątpliwości, bo mówiąc kolokwialnie, urodą nie powalał na kolana, to jako specjalista do spraw prawa rodzinnego miał niezaprzeczalnie najlepsze osiągnięcia w zespole. Otaczała go więc aura atrakcyjności wynikająca z wysokich kompetencji zawodowych, a co za tym idzie adekwatnych zarobków. Kobiety w zespole, któremu szefował Waldek, ulegały pozornemu urokowi szefa, a zasobność jego portfela, przekładająca się na kosztowne ciuchy i niezłej klasy samochód oraz jego pozycja zawodowa, skutecznie zagłuszały marność aparycji, gburowatą osobowość i braki w obejściu towarzyskim.

Najnowszą zdobyczą Waldka była sporo wyższa od niego i niemiłosiernie chuda dwudziestosześcioletnia blondynka o imieniu Wioletta, z którą spotykał się od czterech miesięcy. Dziewczyna pracowała w ich kancelarii zaledwie od roku, ale była na tyle pewna pozycji u boku przełożonego, że jawnie demonstrowała swoje oczekiwania względem szybko rozwijającej się kariery zawodowej w jego zespole. Ponadto oczywiste zakusy Wioletki na zostanie przyszłą „panią Waldkową” rzucały się w oczy równie wyraźnie jak fajerwerki na czarnym niebie w sylwestrową noc.

Że Waldek imponował Jackowi, nie podlegało dyskusji. Nawet mało spostrzegawczy obserwator zauważyłby jego służalczość. Dlatego też co jakiś czas Jacek uznawał za stosowne zapraszać Waldka wraz z partnerką na domowe kolacyjki, by podtrzymać koleżeńskie relacje z bezpośrednim przełożonym, umacniając jednocześnie swoją pozycję w firmie.

Ponieważ obaj panowie pracowali w doskonale prosperującej i cieszącej się wysoką renomą kancelarii prawniczej, ważnym było zachowywanie koleżeńskich stosunków również poza nią. Tworzenie ścisłych relacji na gruncie prywatnym służyło budowaniu silnej i dobrze zgranej drużyny, która sprawdzi się w środowisku zawodowym.

Zbliżała się godzina dwudziesta, na zewnątrz panowała przytłaczająca, październikowa pogoda z wilgotną, gęstą mgłą, dzieciaki poukładane w łóżeczkach pograżały się w coraz głębszym śnie, a stół w gościnnym pokoju stał suto zastawiony, czekając na gości.

– Doprawdy! Nie mogłaś założyć na siebie czegoś bardziej wyszukanego?

Jacek patrzył na Kaśkę z dezaprobatą, gdy ta wyszła z łazienki w długich, czarnych spodniach z żorzęty i koszulowej bluzce w szaro-czarną kratkę. Rude włosy związała w koński ogon szeroką, srebrną klamrą, a dookoła twarzy filuternie falowały pojedyncze kosmyki. Wyrazisty makijaż podkreślał zielono-piwe oczy.

– Jacku, proszę, nie zaczynaj kolejnej awantury. Nie chcę, żebyśmy popsuli sobie wieczór, zanim jeszcze się zaczął.

– Ja chcę tylko, żebyś wyglądała, jak na żonę dobrze sytuowanego prawnika przystało. Wioletta zawsze wygląda tak, że oka nie można od niej oderwać. A ty...? – Pokręcił głową zniesmaczony. – Chociaż raz mogłabyś się bardziej postarać.

Jacek zrzędził, a Kaśkę zapiekły łyzy pod powiekami.

– Wioletka jest dla ciebie wzorem? Tak? – Teraz ona pokręciła głową z niesmakiem. – Czyli chcesz, żebym paradowała z gołym tyłkiem, gołym brzuchem i cyckami na wierzchu?

– No wiesz...? – Zadziornie uniósł jedną brew i spojrział na nią z wyrazem krytyki w

oczach. – Gdybyś miała taką figurę jak ona... to czemu nie?

Nie dam ci się zdołować, gnojku – pomyślała, budząc w sobie uśpione pokłady buntu. Miała już dość tego ciągłego poniżania. W zasadzie Jacek nie przepuścił ostatnio żadnej okazji, by jej dokopać. Wielkimi krokami zbliżał się koniec tego toksycznego związku i tylko nie wiadomo było, kiedy tak naprawdę zapuka do ich drzwi. Zapukali natomiast goście, w porę zapobiegając rodzącemu się małżeńskiemu konfliktowi.

Ledwie Jacek otworzył drzwi, zapach drogich perfum i śmiech rozanielonej jego widokiem Wiolety zagościły w mieszkaniu gospodarzy. Waldek przywitał się serdecznie, ale bez przesadnej wylewności, natomiast nader wylewna Wioletka ochoczo rzuciła się Jackowi na szyję, nie szczędząc mu uścisków i całusów. Po chwili przeniosła swoje zainteresowanie na Kaśkę, niemniej powitanie nie było już ani tak ochocze, ani też tak wylewne. Waldek kipiał dumą, zdejmując płaszcz swojej partnerce i ukazując tym samym jej niewątpliwie, acz skąpo okryte walory fizyczne. W tym momencie Jacek nie omieszkał znacząco spojrzeć na żonę, dając jednoznacznie do zrozumienia, że właśnie tak powinna wyglądać kobieta u jego boku. Cóż, Kaśka z pewnością odstawała sylwetką od lansowanych, nadmiernie wychudzonych modelek.

Mimo kiepsko rozpoczętego wieczoru, spotkanie upływało w zaskakująco miłej atmosferze. Waldek, obrawszy rolę duszy towarzystwa, nieustannie sypał kawałami, a Jacek z Wioletką zanosili się śmiechem po każdym z nich, nawet jeżeli kawał okazywał się niezbyt udany lub brodaty jak Dziadek Mróz. Rozmowy jak zwykle zahaczały o tematy zawodowe, acz w kontekście anegdot i biurowych ploteczek. Kaśka co jakiś czas uzupełniała dania, a Jacek polewał trunki dla poprawy i tak już dobrego nastroju. Krótko mówiąc, czas przy stole z obfitą kolacją i równie obfitym barkiem płynął szybko i wszyscy dobrze się bawili.

– W sobotę zapraszam was do Słodowni na moje urodziny – oznajmił nagle Waldek, gdy kolacja była już daleko posunięta, a w półtoralitrowej butelce Ballantines’a dno zaczynało być coraz bardziej widoczne.

– W którą sobotę? – zapytała Kaśka zapobiegawczo.

– No jak to, w którą? – Waldek zakołysał się na krześle, ustawiając sobie ogniskową tak, by wyraźniej widzieć jej twarz. – No pewnie, że jutro.

– A które to urodziny? – upewniał się Jacek, ignorując zaskakująco bliski termin.

– Czterdziestka, stary! Czterdziestka! Będzie zabawa na całego. Mówię ci... balety do białego rana.

– I w dyskotecę? – Jacek był wyraźnie podekscytowany.

– No a gdzie?! W końcu jeszcze młode chłopaki jesteśmy, no nie?! – Podпиты gość zachichotał, wyraźnie ubawiony własnym dowcipem, a równie wcięty gospodarz ochoczo mu zawtórował.

– Waldek. Bardzo dziękujemy za to zaproszenie, ale chyba nie możemy z niego skorzystać. To takie nagłe ... nie mamy z kim zostawić dzieci. – Kaśka próbowała wykręcić się od zaproszenia. Miała już dość imprezek, które zawsze kończyły się małżeńską awanturą, bo Jacek albo za dużo wypił, albo zbyt angażował się w dwuznaczne relacje z paniami, a najczęściej jedno i drugie.

– Możesz chyba poprosić Gośkę, żeby przyszła? – zapytał wstawiony małżonek, choć w tonie jego wypowiedzi bardziej wyczuwało się nakaz niż pytanie.

– Jacek, tak z dnia na dzień? A poza tym, to sobotni wieczór. Gośka z pewnością będzie miała własne plany.

– To weekendowe ogniste bzykanko może chyba przelożyć na następny tydzień, no nie? – zapytał ironicznym tonem, jednocześnie posyłając znaczące mrugnięcie w kierunku Waldka.

– Jaceek... – Przyjmując błagalny ton, Kaśka starała się ukryć oburzenie. – Jak możesz?

Gośka jest moją przyjaciółką. Proszę cię... – delikatnie zgańnęła męża.

– Taka laska jak ona z pewnością bzyka na lewo i prawo. Na dodatek jest sama, to jak myślisz? W celibacie żyje?

– Możemy o niej nie rozmawiać? W końcu naszych gości nie interesuje, co myślisz o mojej przyjaciółce.

Nie zwracając uwagi na słowa żony, pijany Jacek skierował wzrok w stronę Waldka i zapytał:

– Nie widziałeś naszej Gosi, co stary? A żałuj, jest sztuka, że hej – wymamrotał i z szyderczym uśmiechem puścił kolejne oczko, nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do jego przemyśleń względem Gośki.

Od tego momentu wieczór nie był już dla Kaśki taki zabawny. Cholerka – zakłęta w duchu, zdając sobie sprawę, że znowu mają problem, który, jak zwykle, będzie musiała sama rozwiązać. Ale nie podda się tak łatwo, o nie. Niech Jacek też pomyśli, kogo zaangażować do opieki nad dziećmi na jutrzejszy wieczór.

Kiedy bladym świtem mocno zawiani goście wychodzili wreszcie do domu, równie mocno podchmielony Jacek ledwo trzymał się na nogach wspierany na ramieniu niedocenianej małżonki. Niemal przestępując z nogi na nogę, Kaśka nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zamknie za nimi drzwi i błyskawicznie wkulnie się do łóżka, urządzając sobie „higieniczny dzień dziecka”. Miała niewiele czasu na sen. Za trzy, najdalej cztery godziny dzieciaki się obudzą i będzie musiała stawić czoła zmęczeniu. Skoro wieczorem ma nienagannie wyglądać i bawić się w dyskotecę do białego rana, każda minuta była teraz na wagę złota. Zaskoczyło ją więc, gdy zwisająca z jej ramienia ręka pijanego w sztok Jacka zaczęła pożądliwie wędrować po jej biuście. Nie bawił się w czułości – przycisnął ją do korytarzowej ściany i jął obleśnie całować i obściskiwać. W Kaśce zaczęło narastać obrzydzenie. Prawda, że bardzo dawno nie uprawiali seksu, zaczęła nawet podejrzewać, że może ma kogoś na boku, ale nie zamierzała być tyłkiem na podporządkowaniu zalanego w trupa faceta, który rano nawet nie będzie pamiętał, że w nocy przeleciał żonę. Odepchnęła go od siebie i nie zwracając na niego uwagi, poszła do pokoju dzieci. Na wąskim materacu służącym jako plac treningowy dla maluchów, przykryła się kocem i zwinęta w kłębek nasłuchiwała. Nie była pewna, czy Jacek nie będzie jej więcej nękał. Gdy upewniła się, że w końcu trafił do sypialni, dając jej święty spokój, szybko zasnęła.

Jazda w bezustannie remontowanym Poznaniu była koszmarem każdego kierowcy. Co rusz kolejną ulicę wyłączano z ruchu, tworząc płataninę przedziwnych objazdów, a oczekujące w gigantycznych korkach pojazdy stanowiły przytłaczający widok w krajobrazie miasta. Jednak piątkowe popołudnia i wieczory były, nie wiedzieć dlaczego, wyjątkowo dokuczliwe. Tłoczące się samochody zdawały się pączkować w niewiarygodnym tempie na oczach podminowanych kierowców, zajmując każdy wolny skrawek ulicznej przestrzeni.

Miejski ruch już prawie zamierał, gdy po północy Bogusław wrócił do swego apartamentu. Jego zmęczenie zdecydowanie odzwierciedlało trudy godzin spędzonych w pracy. Zmęczony wampir – drwiła jego podświadomość. Z lodówki wyjął plastikowy woreczek i przelał jego zawartość do szklanki, by wstawić ją do kuchenki mikrofalowej i podgrzać, powtarzając codzienny rytuał. Jedna porcja wystarczy, żeby zregenerować siły na kolejne dwadzieścia cztery godziny.

Stał ze szklanką ciepłej krwi w ręce w otwartych drzwiach balkonowych i patrzył na strugi deszczu, który od tygodnia bezlitośnie zalewał Poznań. Co za przygnębiająca pogoda – pomyślał, przyglądając się, jak krople deszczu skaczą, odbijając się w kałużach. Setki lat na

karku, a wciąż nie oswoił się z ponurą, jesienną pogodą. Lubił patrzeć w gwieździste, czyste, letnie niebo. Zimowe niebo, które w nocy przybierało chropowatej surowości, też było na swój sposób piękne. Zwłaszcza, gdy otulony mroźną czapą księżyc odbijał swe światło w zasypanym śniegiem mieście. Nawet dość nijakie, wiosenne niebo było, można by rzec, do przyjęcia. Ale to...? To była kpina natury wobec samej siebie. No bo jak natura mogła zafundować światu tak ponury, szary, zalany deszczem i zasnuty mgłą widok?

Bogusław stał i rozmyślał o tym, co znał najlepiej. Świat nieustannie się zmieniał. Ludzie nieustannie się zmieniali. Tylko niebo od tysiąca lat było niezmiennie – nocne, gwieździste było pierwszym obrazem, który ujrzał po swej przemianie. Ten widok miał mu towarzyszyć już zawsze. Na oglądanie błękitnego nieba w blasku słońca stracił, jak wtedy przypuszczał, szansę bezpowrotnie.

Gdy skończyła mówić wiedział, że nie będzie jej teraz zadawać żadnych pytań. Głód – to było pierwsze, co nim zawładnęło. Nie głód wiedzy jednak, a czysty, niepohamowany głód krwi. Musiał go zaspokoić. Skoro wiedział, że bez tego zginie, nie myślał już o źródle swego pożywienia w kategoriach ludzkich. Musiał znaleźć człowieka i napić się jego krwi – to wszystko. Nad resztą pomyśli później.

– Wiem, o czym myślisz.

Zachnął się zaskoczony.

– Mówiłam ci. Jesteśmy połączeni. Czuję to, co ty czujesz i słyszę twoje myśli.

– Jak to możliwe?

– Przez krew. Ona nas łączy w jedno.

– Zawsze?

– Nie. Tylko wtedy, gdy tego chcę.

– A gdy nie chcesz?

– To nie używam tego daru.

– A ja? Jeśli ja zechcę czuć i słyszeć ciebie? Dlaczego tego nie czuję?

– Musisz się najpierw pożywić. Potem cię tego nauczę.

– Jak używać i jak nie używać daru?

– Tak. Jak używać... i jak nie używać daru. – Kobieta zamyśliła się, jakby żałowała, że w ogóle ujawniła mu dar.

Ruszyli w drogę.

– Jestem Jagienka – powiedziała ni stąd ni zowąd, nadając sytuacji rys groteski.

– Miło mi, mnie zwą Bogusław – odpowiedział, brzmiąc w tych okolicznościach równie absurdalnie.

– Wiem. Znam cię. Obserwowałam cię przez wiele dni.

– Jak to?

– Szłam za wami aż od wieleckich ziem. Poznałam was wszystkich.

– Dlaczego ja? – spytał automatycznie. Nie, żeby życzył tego losu któremukolwiek ze swych kompanów. Chciał po prostu wiedzieć, co skłoniło kobietę do tego, by go przemienić.

– Zdawałeś się najodpowiedniejszy. Rosły, mężny, nieugięty. Prawdziwy mąż dla słabej niewiasty. A twoja postura i silny charakter dawały nadzieję, że przetrwasz przemianę.

– O czym ty mówisz? To znaczy... mogłem nie przeżyć? – Do tej pory nie zastanawiał się nad tym.

– Tak. Tylko nielicznym udaje się przeżyć przemianę. Możesz pożywiać się na ludziach setki razy, to łatwe, ale wyssać kogoś, by go przemienić... to bardzo trudne zadanie. Trzeba

wprawy stwórcy i silnego organizmu ofiary.

– Wprawy?! – Przerazenie odmalowało się na jego twarzy.

Pokiwała głową, przytakując.

– Nie każdemu od razu udaje się stworzyć nowego wampira. Ja próbowałam cztery razy.

Dopiero z tobą mi się udało.

– Jestem czwartym człowiekiem, którego chciałaś przemienić?

– Piątym.

– Boże, to... to okropne – wymamrotał. Dlaczego czuł na swych barkach ciężar śmierci ofiar, które nie przetrwały przemiany? Pierwsza noc w jego nowym życiu i już splamiona okrucieństwem tego, czym był. Jak daleko go to zaprowadzi? Czy na skraj człowieczeństwa? Czy zatraci wszelkie ludzkie cechy i stanie się potworem, o jakim ludzie tylko szeptali, by nie przyciągać zła? Czy stanie się prawdziwym Wąpierzem?

– Dlatego jest nas tak niewiele, na tak wielu ludzi wokół – kontynuowała, nie zwracając uwagi na jego przygnębienie. – Jesteśmy wybranymi, nie każdy może być jednym z nas. Nasz Rodzaj jest wyjątkowy.

Nie odpowiedział. Co mógł powiedzieć kobiecie, która czuła się wyjątkowa, będąc potworem?

Ponury, jesienny las nie wydawał się przyjaznym miejscem, stąd nie protestował, gdy wędrowka doprowadziła ich na jego obrzeża. Musieli znaleźć ludzkie siedlisko, by w końcu mógł zapewnić sobie przetrwanie. Ludzka krew – to wszystko, nic więcej się teraz nie liczyło.

Nie szukali daleko. Niewielka, pogrążona w głębokim śnie osada znajdowała się tuż poza skrajem boru, niedaleko szerokiego, rwącego potoku. Usytuowana tak, by zapewnić mieszkańcom bezpieczeństwo i spokój. Bogusław znał zasady zakładania ludzkich sadyb. Nie stawiano zagród na rozstajach dróg, gdzie spotykały się diabły, w pobliżu cmentarza, skąd jego mieszkańcy łatwo mogli wyciągać ludzi z domostw, i na pogorzeliisku czy w miejscu uderzenia pioruna. Miejsce na siedlisko musiało być czyste, nieskałane przelaną krwią człowieka czy zwierza, w pobliżu źródła, w którym nawet zimą nie zamarzała woda. Takie miejsce jak to spokojne, bezpieczne siedlisko, strzegące swej społeczności przed złymi ludźmi i siłami nieczystymi. Mieszkańcy osady nie przypuszczali jednak, że pewnego dnia pojawi się tu siła, która będzie odporna na wszystko, co miało ich strzec. Siła, która nie złęknie się rozety symbolizującej słońce i zapewniającej Bożą opiekę czy znaku palonego krzyża na belce pod stropem. Nie ulęknie się niczego, czym spokojni, prości śmiertelnicy starali się ochronić swoje sadyby przed złem wszelakim, czarami i złośliwymi demonami. To, co wzniesli dla swego bezpieczeństwa według reguły pradawnych wierzeń, tej nocy straciło swoją moc.

Nie było żadnych oznak, by ludzie kręcili się po obejściach. Ciągłe jeszcze wiara w nieokiełznaną moc sił nieczystych zapędzała ich do domostw tuż po zmroku. Tylko psy ujadły zaciekle. Zaskoczony Bogusław patrzył, jak kobieta podchodzi do każdego z nich i głęboko zagląda im w oczy. A potem psy jeden po drugim milkły i zapadały w równie głęboki sen jak ich gospodarze.

Nie ryzykowali wejścia w głąb osady. Pierwsza z brzegu zagroda była równie dobra, by zaspokoić jego głód, jak każda następna. Dlaczego więc miałby ryzykować szukanie gdzieś dalej?

– Widzę, że szybko się uczysz. – W głosie Jagienki słychać było podziw. Nie spodziewała się, że jej wybraneek wykaże taki rozsądek już przy pierwszym polowaniu.

– To nie twoje nauki. To lata doświadczeń na wojnach nauczyły mnie ostrożności.

– A ja myślę, że to instynkt drapieżnika. Polować, lecz nie być upolowanym.

– To właśnie podstawa wojennego rzemiosła – odpowiedział, pobłażliwie się

uśmiechając. – Ach, kobieta. Nigdy nie pojmie, czym jest wojowanie – pomyślał, jakby chcąc ją usprawiedliwić.

Nie zdążył nawet mrugnąć, by zareagować na błyskawiczny ruch koło siebie, gdy ujęła jego twarz w dłoń i spojrzawszy mu w oczy, z niewiarygodną powagą powiedziała:

– Mój drogi, doskonale wiem, co to wojowanie. Od pierwszej chwili po przemianie toczę nieustający bój. Gdybym tego nie robiła, już bym była prawdziwie i ostatecznie martwa.

Teraz on patrzył na tę drobną kobietę z podziwem. Miała nie tylko ducha walki w sobie, ale i ogromną mądrość. – Jak dawno zмага się z tym wcieleniem. Jak wiele musiała doświadczyć, by osiąść tę mądrość? Będzie się musiał wiele od niej nauczyć.

Gdy po raz pierwszy zatapiał kły w gorącej żyłce starego człowieka, modlił się, by go nie zabić. Wiedział, że to niełatwe – Jagienka uprzedzała go przecież w swych pierwszych naukach. Głód krwi odbierał opanowanie i trzeźwość umysłu.

Ważne, by w porę puścić ofiarę. Nie mogę wyssać tego staruszka. Nie mogę go zabić. Prędej sam zginę i nie dokończę przemiany, ale nie zabiję niewinnego człowieka – upominał siebie.

– Nie pozwolę ci go skrzywdzić – usłyszał w swojej głowie kobiecy głos. – Jestem tu i pomogę ci, a ty bądź spokojny. Spokój da tobie siłę woli, byś mógł w odpowiednim momencie skończyć.

– Wyłaź z mojej głowy! – warknął mentalnie. To nic, że chciała go uspokoić. Grzebanie w jego myślach napawało go lękiem. Jak w takiej sytuacji miał się skupić na bezpieczeństwie żywiciela?

Skończył. Stary człowiek poddany sugestii nie miał pojęcia, że tej nocy przyczynił się do tego, iż kolejny wampirz pojawił się na słowiańskich ziemiach, zaspakajając jego krwią swoje pierwsze pragnienie. Ale nie było to jedyne pragnienie, jakie dręczyło tej nocy nowego członka Rodzaju. Niemalże natychmiast po zaspokojeniu głodu krwi ogarnęło go przemożne łaknienie seksu. Każdym skrawkiem swojego ciała doznawał nieodpartej potrzeby posiadania kobiety. Jego nogi, tors, ręce, nawet jego włosy – wszystko było pobudzone, wręcz naelektryzowane pożądaniem. Poczul, jak palą go lędźwie, a członek pęcznieje do rozmiarów, jakich nigdy wcześniej nie osiągnął. Musiał mieć kobietę. Teraz! Natychmiast!

Opuścili osadę równie niepostrzeżenie, jak się w niej znaleźli, a ciemny bór dał im schronienie.

– Wiem, o czym myślisz – powiedziała, gdy byli już głęboko w kniei.

– Znowu? – Ogarnęło go przerażenie.

Boże! Co ona o nim pomyśli, skoro jego potrzeby były tak... nieczyste? Zwierzęce? Tak – zwierzęce. Pokręcił głową sfrustrowany, ale nie mógł tego ujarzmić. Z pewnością żaden człowiek nie czuł nigdy takiej żądzy. On nigdy nie czuł takiej żądzy, więc skąd nagle, teraz? Myśli szalały w jego głowie, a bezradny Bogusław nie mógł nad nimi zapanować, tak jak nie mógł zapanować nad nieustannie narastającym seksualnym pragnieniem.

– To nasza natura, nie wypieraj się jej. Naucz się czerpać z niej przyjemność – jej głos był spokojny, kojący, spojrzenie kuszące i przyzywające. Każdym swoim gestem ofiarowała mu siebie, a on nie był w stanie jej odmówić. On – waleczny, niepokonany w boju ulegał teraz pospolitej, zwierzęcej chuci i nieczystej propozycji tej drobnej kobiety – prawie dziecka.

– Moja propozycja nie jest nieczysta – obruszyła się, ale w jej dziewczęcym głosie nadal była łagodność.

– Jestem chrześcijaninem, niewiasto.

Spojrzała na niego. Bałamutne iskierki rozbawienia zalśniły w jej migdałowych oczach.

– Cóż, chrześcijaństwo to twój wybór – odparła lakonicznie, lekko wzruszając

ramionami.

– Nie rozumiesz? – oburzył się. – Nie posiadę cię bez ślubu. Prędeż pękną mi trzewia, niż wezmę cię i uczynię grzeszną.

– Jesteśmy sobie zaślubieni, rycerzu. Naszym ślubem były słowa, które wypowiadałam w lesie. Tymi słowami oddałam ci siebie i przyjąłam ciebie, a wtedy złączyła nas moja krew.

Rosły wojownik stał i patrzył na kobietę, przypominając sobie tę przedziwną scenę, gdy tymczasem ona mówiła, czarując go migdałowymi oczami i znów filuternie bawiąc się włosami. Nie mógł dłużej się opierać. Uznał jej słowa. Uznał ten ślub. Przecież już nigdy nie będzie prawdziwego, chrześcijańskiego ślubu. Ten musi wystarczyć. Ten jest jedyny, jaki może mieć.

Bogusław bił się z myślami, a ona zbliżała się coraz bardziej, falując biodrami i unosząc kusząco jędrne piersi przy każdym głębokim wdechu. Gdy była już wystarczająco blisko, by jej dosięgnąć, przestał nad sobą panować. Porwał ją w ramiona i przycisnął do swego rozpalonego ciała. Pobliskie drzewo dało im oparcie. Do tego momentu nie był pewien, jak dalece jest skłonna oddać mu siebie. Czy jednak nie odmówi jego pragnieniu, gdy poczuje, jak bardzo nieokiełznana jest ogarniająca go potrzeba? Nie zrobiła tego. Przeciwnie. Podsyciła ten ogień, przywierając do niego gorącymi wargami i drażniąc skórę na jego szyi. Potem odnalazła jego usta i zatopili się w pierwszym namiętnym pocałunku. Ich języki splatały się oszalałe z pragnienia, ich dłonie błądziły po ciele, szukając dla siebie zaspokojenia. Ileż ta mała kobietka miała w sobie nienasyconej pasji? Rozerwał jej koszulę i ujął w dłonie niewielkie piersi, nie miał siły, by okazać im delikatność. Jego ręce były zachłanne, bezwzględne w swej pieśczości – dawały rozkosz jemu, zapominając o niej. Ale ona to znosiła, nie skarżąc się – jego rozkosz oferowała jej satysfakcję. Czyżby to, co robił, nie sprawiało jej bólu? Może nie sprawiało? Może potrafiła czerpać przyjemność z jego doznań? Przecież są jednością, czytała w jego myślach, czuła go. Będzie musiał się tego dowiedzieć, ale nie teraz. Teraz będzie brał tak wiele, jak tylko ona będzie chciała mu dać.

A ona chciała dać wszystko, czego zapragnął. Dyszała podniecona, całując jego klatkę piersiową. Odnalazłszy na wysokości swych ust jego sutek, zaczęła go podgryzać i ssać. On zaś całował jej włosy i pieścił kark, rozkoszując się tym, co z nim robiła. Szarpnęła sznur przy jego spodniach i niespodziewanie szybkim ruchem wsunęła w nie rękę. Drobną dłonią ujęła jego członka i zaczęła pieścić. W tym momencie całkowicie stracił nad sobą kontrolę. Zerwał z niej koszulę, rozchylił jej uda i uniósł ją do góry, po czym nie zastanawiając się, czy jest na to gotowa, nasadził ją na nabrzmiałego z pożądania fallusa. Gdy jęknęła, przeraził się, że zrobił jej krzywdę. Przecież był niewiarygodnie obfity, a ona taka drobna. Ale Jagienka uniosła się na jego członku, po czym ponownie jęknęła, wolno opadając. Ręce miała splecione wokół jego szyi i powoli, z pasją zaczęła się miarowo poruszać. W górę i w dół, w górę i w dół i jeszcze raz, a on przyciskał ją do siebie coraz bardziej. Dyszeli i jęczeli z rozkoszy, nie przejmując się, że las ich słyszy, coraz szybciej zmierzając do spełnienia. Aż poczuł narastający w nim orgazm. Próbował to przerwać, nie będąc pewnym, czy może zostać w niej do końca.

– Nie możemy mieć potomstwa – usłyszał w swojej głowie. – Nie opieraj się. Daj sobie rozkosz. A twoja rozkosz, będzie moja.

Nie potrzebował większej zachęty; uwolnił rozsadzającą go energię. Jego orgazm wystrzelił z dziką potencją, krzyk rozniósł się dalekim echem, a on przyciskał do siebie tę drobną kobietkę trawiony konwulsjami zaspokojonej rozkoszy. Gdy tak ścisnął ją i wypełniał, jej spełnienie zaczęło narastać i nim Bogusław skończył drzeć w błogich dreszczach, krzyknęła, wtórując mu swoim zaspokojeniem.

Kiedy opadli na zroszoną trawę, nawet nie poczuł bijącego od ziemi chłodu. Był tak pochłonięty przeżywaniem tej szczególnej przyjemności, że nic nie mogło go rozproszyć. Wciąż

zespoleni leżeli, dysząc coraz ciszej, coraz wolniej, uspakajając swoje ciała.

Na rany Chrystusa – sapnął oszołomiony. Właśnie miał za sobą najlepszy seks, jakim było mu dane się rozkoszować. Oczywiście zdarzały mu się wcześniej okazjonalne akty miłosne, w końcu był wojownikiem – pożądanym mężem – nie stronił od tego, co z ochotą mu oferowano, ale nigdy nie było w nich takiej pasji, mocy i oddania. Dzisiejsza noc była wyjątkowa, a seks niesamowicie intensywny i żarliwy. Nigdy nie podejrzewałby tej drobnej niewiasty leżącej teraz na jego piersi, że ma w sobie taką moc. Że tak doskonale potrafi wyczuć pragnienia mężczyzny i zaspokoić je bezwarunkowo.

Bogusław pławił się w rozkoszy, ale gdzieś głęboko w nim kreśliła się rysa, pozostawiając szpecący ślad na tej chwili. W niespełna trzydziestoletnim życiu nie zabiegał o względy kobiet. Miał inne pryncypia. Wojenne rzemiosło, drużyna, oręż – to były jego kochanki. A kobieta? Jego niewiasta? Na stabilizację, związek, rodzinę miał dopiero nadejść odpowiedni moment. Nie zdążył – teraz już nie był człowiekiem.

Spojrzał na Jagienkę w tym samym momencie, w którym ona uniosła głowę sponad jego klatki piersiowej i spojrzała na niego. Jeśli czytała mu w myślach, wiedziała. Nie zdradziła się jednak. W jej oczach zobaczył jedynie spełnienie wszystkich męskich fantazji. Zatonął w tym spojrzeniu i już miało tak pozostać na zawsze. Tak w każdym razie myślał w tym momencie i święcie w to wierzył.

Tej nocy zmieniło się wszystko. Miał za sobą pierwsze polowanie, które pozwoliło mu przeżyć własną śmierć i przejść w pośmiertną egzystencję. Miał też za sobą dziki seks, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał. Potem były setki polowań, choć trudno wszystkie nazwać polowaniem – ludzka natura okazała się bardzo pomocna. Człowiek, tak podatny na wpływ zewnętrzny, niejednokrotnie jakby na własne życzenie stawał się źródłem dla niego. A kobiety? Zdarzały się – szybko, bez zastanowienia, chętne, by zarobić. Nigdy jednak, żadna ludzka kobieta nie potrafiła go tak zaspokoić jak jego Jagienka.

Wspomnienia obudziły w nim instynkt wampira. Dziś już za późno – pomyślał. Ale jutro dobrze się do tego przygotuje i uwolni swoją od dawna tłumioną naturę. Jutro zapoluje.

Rozdział 3

W słuchawce rozbrzmiewał już piąty sygnał, a Gośka wciąż nie odbierała. Kaśka właśnie miała się rozłączyć, gdy usłyszała zaspasane „halo?”.

– Gośka, dziewczyno! Nareszcie!

– Nareszcie?! Kaśka, oszalałaś?! Jest... która to w ogóle jest godzina? – sapała sennie do telefonu.

– Dziesiąta, Gosiu.

– No właśnie! Dziesiąta! Kaśka dla mnie, w sobotę, to środek nocy.

– Gosia, wybacz, ale mam do ciebie sprawę i od twojej odpowiedzi zależy, jak potoczy się mój dzisiejszy dzień. – Przybrała być może zbyt błagalny ton, ale wiedziała, że tylko tak może obudzić zaspasane sumienie przyjaciółki.

– Łał! Skoro twój los jest w moich rękach, to wał, kobieto. Odeśpię sobie przy następnej okazji.

– No wiesz... – Cholerka, jak w najdelikatniejszy sposób zrobić przyjaciółkę w opiekę nad maluchami w sobotni wieczór?

– Kaśka! – przez zaciśnięte zęby Gośka warknęła do słuchawki, wykazując pewną nerwowość. – Przestań jęczeć i mów, o co chodzi, albo się rozłączam!

– No dobra. Otóż wiesz, że wczoraj był u nas Waldek z Wioletką. Waldek, jak sobie popił, to chyba za bardzo się przejął tym zacieśnianiem koleżeńskich więzi z Jackiem, bo zaprosił nas na swoją czterdziestkę.

W rozmowie nastąpiła krótka przerwa, podczas której Kaśka zastanawiała się, jak wydusić z siebie to, co najistotniejsze, tymczasem Gośka czekała na dalszy ciąg.

– I? – W końcu zniecierpliwienie wzięło górę.

– No i chodzi o to, że te urodziny są dzisiaj. Jacek zdecydowanie upiera się, żeby pójść, a ja nie mam, z kim zostawić dzieci, więc pomyślałam o tobie.

Ostatnie słowa Kaśka wypowiadała tak cicho, że ledwo słyszała samą siebie. Miała nadzieję, że do przyjaciółki nie dotarły wcale, więc ona będzie kryta, bo wykonała stosowny telefon, a Gośka się nie wścieknie, bo po prostu nie usłyszy prośby. Niestety usłyszała.

– Kobieto! I ty śmiesz mienić się moją przyjaciółką?

– Wiem. Nienawidź mnie. Ja też się za to nienawidzę.

– A za co dokładnie? Za to, że zrywasz mnie w środku nocy? Czy za to, że prosisz mnie o opiekę nad dziećmi, o czym, jak wiesz, nie mam zielonego pojęcia? A może za to, że robisz to na cito i na dodatek w sobotni wieczór?

– Gosiu, za wszystko razem – odparła z pokorą. – Odpowiedzialność... solo, przewiny... hurtem.

– Dobra, idź na tę imprezę z tym twoim przystojnym mężem – rozbawiona szczerą pokorą przyjaciółki, Gośka nie mogła dłużej udawać oburzonej – a ja się zajmę waszą gromadką najlepiej, jak potrafię.

– Wiesz, że doskonale potrafisz. I Gośka... dzięki. Naprawdę nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna. Gdybyś się nie zgodziła, musiałabym zostać w domu, a Jacek i tak by poszedł. Sam.

– Wiem, wiem. Dlatego idź i baw się dobrze. Będę u was o dwudziestej, wystarczy?

– Oczywiście. To pa, do wieczora.

– Pa, na razie.

Kaśce spadł kamień z serca – jeden z wielu, jakie tam zalegały – a ciepłe myśli o ich

przyjaźni zaczęły wędrować po jej głowie.

Znały się z Goską od czterech lat, kiedy ta, jako świeżo upieczona absolwentka anglistyki, zaczęła uczyć języka w przedszkolu Pawełka. Teraz Pawełek chodził do szkoły, a dwudziestodwuletnia Gośka pracowała jako tłumacz w dynamicznie rozwijającej się firmie z szerokimi kontaktami zagranicznymi. Oczywiście sam angielski nie był przepustką do takiego stanowiska. Ale że prócz angielskiego znała jeszcze trzy inne języki i do tego miała prezencję hollywoodzkiej gwiazdy filmowej, propozycje pracy sypały się niemal lawinowo, a oferowane warunki wynagrodzenia przypływały, będąc na utrzymaniu męża Kaśkę, o zawrót głowy. Ale mimo sporej różnicy wieku i znaczącej różnicy w sposobie realizowania siebie, przez ten krótki czas powstała między kobietami przyjacielska więź. Jakby spędziły razem pół życia i miały za sobą najwspanialsze lata wspólnego dzieciństwa.

Sobotni rano nie nastrojał optymizmem. Ślaniający się po wczorajszej libacji małżonek wywłókł się z łóżka w rozchełstany ubrani – najwyraźniej nie rozebrał się przed zaśnięciem. Teraz, drapał się po zmierzwiionych włosach i szeroko ziewał, zionąc przy tym obrzydliwie cuchnącym oddechem. Wszedł do łazienki i przekręcił klucz w zamku.

Kaśka była na nogach od dawna. Mimo krótkiego snu nie mogła dłużej wyleżeć na twardym materacu. Wolała wstać po zaledwie trzech godzinach, niż świadomie i dobrowolnie maltretować obolałe kości. Może jeszcze położy się na chwilę popołudniu i odeśpi. Teraz krzątała się po kuchni, szykując śniadanie, a gdy odświeżony małżonek wkroczył tam ciągle jeszcze lekko tanecznym krokiem, wymknęła się szybko, żeby nie patrzeć na to pożałowania godne widowisko. I tak miała się co uwijać. Do wieczora wszystko musiało być przygotowane dla Gośki, a do tego jeszcze samą siebie musiała w tym czasie wyszykować na imprezkę.

Stała więc w sypialni przed otwartą szafą i przyglądała się swej wyjściowej garderobie. Co wybrać? Trudna decyzja, zwłaszcza że chciała uniknąć powtórki wczorajszego wieczoru i nie dać Jackowi oręża do walki z sobą. Dziś będzie ubrana tak jak „na żonę dobrze sytuowanego prawnika przystało”. Nawet, jeśli coraz mniej podobała jej się rola podporządkowanej kury domowej, to akurat dzisiaj Kaśka nie miała ochoty na bunt. Ten wieczór wykorzysta w stu procentach i będzie się naprawdę dobrze bawić. W końcu nie wiadomo, kiedy znowu trafi się okazja, by szykownie się ubrać i wyjść do dyskoteki? Z kolosalnie wielkim prawdopodobieństwem... nigdy – pomyślała i zaśmiała się gorzko. Choć nie było wiele czasu, by przygotować się do tego wyjścia, zrobi co w jej mocy, żeby wyglądać po prostu świetnie.

Szafa nie powalała na kolana swoją zawartością. Oczywiście, jak każda nieźle sytuowana kobieta, miała w niej sporo dobrych, markowych ciuchów, ale większość z nich była po prostu odzieżą wygodną i praktyczną. Coś, w czym by mogła olśnić wymagającego męża? Trudna sprawa. Mała czarna już dawno stała się jaskrawym przeżytkiem. Aż żal pomyśleć, by się na nią zdecydowała. Nie była do tego stopnia zdesperowana, by kusić się na oklepane pomysły. Owszem, mówiło się, że to klasyka, a ta nigdy nie ulega modom, jednak Kaśka postanowiła uniknąć dziś tej tak zwanej klasyki. Musi wymyślić coś naprawdę wystrzałowego. Odsunęła się od otwartej szafy, by sięść w dużym, wygodnym fotelu z zausznikami, który odziedziczyła po babci. Chciała z dalszej perspektywy przyrzeć się możliwościom ukrytym w szafowym wnętrzu.

Zamiast jednak przyglądać się równo wiszącym ciuchom, Kaśka powiodła wzrokiem po sypialni i zdała sobie sprawę, jak bardzo nie lubi tego miejsca. To właśnie tu ostatnimi czasy spotykały ją same przykrości. To tu odbywały się małżeńskie kłótnie, tłumione sypialnianymi ścianami, by ukryć je przed dziećmi. To tu czekała wieczorami na powrót męża, by w końcu zasypiać w samotności, z paskudnymi myślami kłębiącymi się w podświadomości. To w końcu w tej sypialni wylewała wszystkie łyzy zazdrości, rozczarowania, rozpacz, niewiary i nieakceptacji. A seks? O tym to nawet nie ma co gadać – jęknęła w duchu. Cholera! Jak strasznie nie lubiła tego

pokoju! A rozwarta szafa stała w swym martwym bezruchu, obojętna na jej głęboko frustrujące przemyślenia. Nie domagała się uwagi ze strony Kaśki. To Kaśka potrzebowała jej, a nie odwrotnie. Trzeba było wrócić do rzeczywistości i wybrać coś na wieczór. Nie mogła przecież spędzić całego dnia przed otwartym meblem, który tak jawnie z niej szydził. Bilans na ten moment? Kaśka – 0, szafa – 1. Cholernie wkurzające! Pokręciła głową z dezaprobatą. Nie był to dobry czas na podejmowanie jakichkolwiek decyzji, nawet jeśli tylko chodziło o wybór ciucha na wieczór.

Sfrustrowana wyszła do korytarza, narzuciła kurtkę, wciągnęła nieśmiertelne adidasy i otwierając drzwi, zawołała „wychodzę!” do siedzącego w pokoiku roboczym Jacka.

Drzwi zatrzasnęły się z głuchym łaskotem, a Kaśka już zbiegała po schodach, by nie znaleźć się w polu widzenia męża, gdyby przyszło mu do głowy wyrzucić za nią i spytać, o co chodzi. Tak naprawdę nie chodziło o nic szczególnego. Po prostu cholernie potrzebowała się przewietrzyć, to wszystko.

Na świecie panował głęboki październik, co nie nastrajało najlepiej. Wprawdzie tego roku jesień była wyjątkowo łaskawa, jednak to, że rzadko padały typowo październikowe deszcze i osiadała ponura mgła, nie zmieniało meritum. Tak więc dookoła panowała aura nieuniknionego przemijania, dołączając poznaniaków żałośnie łysiejącymi drzewami i stertami szarzejących liści na chodnikach. A że gdzieś niedługo można było jeszcze nacieszyć oko nikłym pięknem złotej polskiej jesieni? Cóż, wątpliwe pocieszenie.

Szła ulicą Prusa w dół do rynku. Chciała wśród sobotnich zakupowiczów rozładować napięcie, które narosło w niej, gdy w sypialni poddała się nurtowi nieprzyjemnych myśli. Trudno było mówić o spacerze, kiedy przeciskała się między straganami i lawirowała między kotłującymi się ludźmi. Ale tego właśnie potrzebowała – totalnej odmiany – zgiełku zamiast pustki, tłumu zamiast samotności, chaosu zamiast stagnacji. Potrzebowała wszystkiego, co w tym momencie było odmienne od jej smętnej codzienności.

Dostatecznie zmęczona zgiełkiem rynku przeszła jeszcze kilka pobliskich ulic, przyglądając się pięknym, choć często zaniedbanym fasadom starych kamienic. Teraz, w jesiennej scenerii, prezentowały się wyjątkowo marnie.

Mieszkała w Poznaniu od dnia, w którym przyjechała tu na studia. Zakwaterowanie w akademiku czy na stancjach nie nastrajało romantyzmem, ale odkąd wraz z Jackiem przeprowadzili się na Jeżyce i zamieszkali w tej pięknej kamienicy na Prusa, uwielbiała przechadzać się pobliskimi uliczkami. Szczególnie Asnyka z krętym duktem i niewielkim placem zabaw miała w sobie jakiś rzadko spotykany urok. Oczywiście w mieście było więcej takich urokliwych miejsc, jak choćby Skryta czy Zakręt, ale w jej dzielnicy najbardziej malownicza, zdaniem Kaśki, była ulica Asnyka i ta jej w zupełności wystarczała.

Wracając do domu, gotowa była zmierzyć się z czekającą na nią zawartością szyderczej szafy. Nie może być tak, że pokona mnie mebel – zdecydowała i wbiegła na górę, pełna zapału.

Wszedłszy do mieszkania, zrzuciła z siebie kurtkę i buty, zajrzała do pokoju dzieciaków, upewniając się, że przez te ostatnie kilkadziesiąt minut nic spektakularnego się nie wydarzyło i poszła do sypialni. Kiedy około dwudziestej zadzwonił dzwonek, była gotowa i w pełni zadowolona z własnego wyglądu.

Oczywiście pojawienie się Gośki mogło wpędzić w kompleksy każdą przedstawicielkę płci pięknej. Niezależnie od tego, jak bardzo inne kobiety starały się pięknie wyglądać i jak bardzo Gośka nie przykładła wagi do własnego wyglądu, efekt był zawsze ten sam – Gośka była górą. Obojętnie co miała na sobie, jej boskie, niesamowicie zgrabne ciało z wydatnym biustem i długimi nogami sprawiało, że nie sposób było oderwać od niej oczu. Tego wieczora miała niebieskie dżinsy i czarną, trykotową bluzeczkę z długim rękawem i dużym dekoltem. Na szyi

srebrzył się dość szeroki łańcuszek, blond włosy sięgające pasa związane były w koński ogon, delikatny makijaż oczu był prawie niedostrzegalny, a całą ozdobę tego skromnego wizerunku stanowiła krwistoczerwona szminka na ponętnych ustach. I to wystarczyło. Gośka znowu nęciła, nawet jeśli nie było to jej zamiarem. Obyta z permanentnym wyglądem kusicielki, właściwym przyjaciółce, Kaśka zdawała się tego nie dostrzegać. Za to Jacek... Wyjątkowo wrażliwy na kobiece wdzięki, za każdym razem gdy ją widział, był jak zahipnotyzowany. Dziś też trzeba było albo mentalnej ślepoty, albo wyjątkowo wiele taktu, by nie zwracać na niego uwagi. Obie kobiety czuły się nieswojo, udając, że nic nie widzą, z trudem ignorując krępującą samczą reakcję. Kaśka sprawnie i bez zbędnego rozgadywania się zapoznała przyjaciółkę z wszystkimi szczegółami jej dyżuru przy dzieciakach. Gośka z kolei skupiła na niej całą swoją uwagę, by nie dostrzegać śliniącego się Jacka.

Gdy wyszli, wszystkim ulżyło. Jakby nagle opadła magiczna kurtyna i świat zaczął się znowu obracać we właściwym kierunku.

Wezwana taksówka czekała już pod budynkiem. Pulchny taksówkarz zdawał się znudzony i niechętny. Nalana twarz w dużych drucianych okularach sprawiała wrażenie, iż wewnątrz jest pusty jak wydmuszka i żadna, nawet najbliższa myśl nie jest w stanie zwichrzyć jego oblicza. No cóż, to krótka podróż, jakoś zniesiemy siebie nawzajem – pomyślała Kaśka, spoglądając na kierowcę i oczami wyobraźni przywołała nieco zamgloną wizję intrygującego taksówkarza, którego spotkała dwa dni wcześniej. Boże! Jakie on miał oczy – rozmarzyła się. Oczy były w zasadzie całym obrazem, który zapamiętała, ale czy potrzebowała czegoś więcej?

Do Słodowni dotarli sprawnie. W końcu był sobotni wieczór – żadnych niebotycznych korków związanych z pracą, szkołą, zakupami czy innymi obowiązkami roboczego dnia. Ulice były stosunkowo puste i mimo że nieustannie znajdowały się w przebudowie, bez przeszkód dotarli do Starego Browaru.

Wejście do dyskoteki zajął się Jacek, powołując się na zaproszenie czy coś w tym rodzaju. Kaśka nie wnikała w szczegóły. Dużo bardziej intrygowała ją niebotyczna kolejka oczekujących na wpuszczenie, chętnych do zabawy ludzi.

Wszedłszy do środka, rozejrzała się uważnie po wnętrzu. Ostatni raz bawiła się w dyskotekę za czasów studenckich i była to zwykła studencka dyskoteka, a nie lokal będący na szczycie listy topowych miejsc w mieście. Słodownia – pomyślała, lustrując otoczenie. Nie taka duża, jak można by się spodziewać. I rzeczywiście – ciemne, bardzo zatłoczone wnętrze trudno było nazwać atrakcyjnym. Najwidoczniej jednak lokal spełniał pokładane w nim oczekiwania, skoro było tak wielu chętnych, by właśnie tu się zabić.

Po wyjściu z mniejszej przestrzeni, w której znajdowały się jednocześnie holl, szatnia i wejścia do toalet, przeszli do, będącej jej przedłużeniem, sali głównej. Od razu rzucał się w oczy funkcjonalny podział pomieszczenia. Bliższą połowę zajmował długi bar po lewej oraz strefa ze stolikami i miejscami siedzącymi po prawej stronie. Pomiędzy tym znajdował się prawdopodobnie ciąg komunikacyjny, którego w tym momencie absolutnie ciągiem nie można było nazwać, gdyż tłoczący się w nim ludzie, utworzyli coś na kształt barykady, stawiając nie lada wyzwaniem nielicznym zdeterminowanym, by się przez nią przedrzeć. Dalej była strefa tańca z niewielkim podestem, na której kotłował się kolejny tłum. Tłum, a raczej zbita masa ciał, rytmicznie falowała w takt serwowanej przez didżeja muzyki. Pod ścianami z surowej cegły ozdobionymi czarnobiałymi fotosami stał rząd kanap z wysokimi oparciami, a gdzieś tam porozstawiane wysokie okrągłe stoliki umożliwiały konsumpcję płynów na stojąco. W centralnym punkcie stolikowej strefy górowało okrągłe podium z wygodnymi kanapami zwane łożą i pośrodku którego stał Waldek, energicznie wymachując rękami w ich kierunku.

Gdy, przedarłszy się przez rozbawioną gawiedź, dotarli wreszcie na miejsce, okazało się,

że wszyscy goście już są i zabawa rozkręca się w najlepsze. Poza nimi oraz Waldkiem i Wioletą były tu jeszcze trzy inne, nieznane Kaśce, pary. Szczerze mówiąc, nie była nawet pewna, czy w ogóle chce tych ludzi poznawać. Usiadła więc między Wioletą, a swoim mężem, by nie musieć wdawać się w irytujące rozmowy o niczym z obcymi. Poza tym Jacek obok, to była konieczność – niekontrolowany szybko tracił poczucie rzeczywistości, tak w kwestii ilości wypitego alkoholu, jak i obyczajnego zachowania wobec pań. Już po chwili zorientowała się, że te trzy obce kobiety są obce tylko jej, natomiast jako koleżanki z pracy z Jackiem znają się doskonale. Jedna z nich była z mężem, zaś dwie pozostałe otwarcie cieszyły się wolnością singli, a towarzyszący im mężczyźni byli najwyraźniej bardzo tymczasowi. Nie poświęcały im zatem więcej uwagi niż kelnerce, która co jakiś czas pojawiała się, by uprzątnąć ze stolika puste naczynia. Dużo bardziej zabiegały o zainteresowanie nader chętnego Jacka aniżeli o uwagę własnych partnerów. Szczególnie szczupła blondynka o urodzie i figurze typowej seksbomby nie kryła swych preferencji względem męskiego towarzystwa na wieczór. I gdyby nie fakt, że Kaśka była u boku męża niemal przez cały czas, z pewnością chętnie rzuciłaby się w objęcia jak zwykle cholernie atrakcyjnie wyglądającego Jacka.

O co chodzi z tymi seksbombami? Czy istnieje jakieś tajne laboratorium, które produkuje takie cuda i wypuszcza je na rynek w limitowanych seriach ku udręce szarych myszek i kur domowych? – Kaśkę zaczęła nękać mania prześladowcza. Wprawdzie rozglądając się dookoła, ludzie wyglądali z reguły przeciętnie, ale zawsze, w każdej grupie, nie ważne – większej czy mniejszej znajdowała się taka seksbomba. I choć w obecnych czasach posiadanie długich blond włosów, zmysłowych ust i wydatnego biustu było często tylko kwestią odpowiedniej sumy pieniędzy, to tak kusząco zgrabne ciało, nieprzyzwoicie długie nogi i zachwycające oczy jak u dziewczyny kokietującej Jacka, trudno było zamówić u chirurga plastycznego. Co dziwne, właśnie wzrok szarych myszek i kur domowych był szczególnie zorientowany na wyłapanie długich blond włosów, ponętnych ust i nęcącego biustu zdobiącego zgrabne ciało o długich nogach. Niestety, seksbomby równie łatwo przyciągały spojrzenia męskiej części populacji. Tak więc chłopacy owych szarych myszek i mężowie owych kur domowych też nie przechodzili obok nich obojętnie, co oczywiście nie sprzyjało podsycaaniu płomienia domowego ogniska.

Muzyka grała, rozbawione towarzystwo ochoczo popijało, a dość trzeźwa Kaśka przez większość czasu rozmawiała z Wioletką, która w srebrno-śliwkowej kusej sukni z cekinów wyglądała jak wielka, bożonarodzeniowa ozdoba. Przy niej skromna, aczkolwiek elegancka sukienka Kaśki prezentowała się wyjątkowo nie dyskotekowo. Prawdę mówiąc, celowo tak się ubrała. Z jednej strony nie chciała przykuwać uwagi, z drugiej zaś zamierzała zadowolić Jacka, by nie mógł jej nic zarzucić. Kieckę zakupiła w ekskluzywnym butik, gdzie nietuzinkowe rzeczy cechowała wysublimowana elegancja, a nieodzowne modne detale były dodatkiem, a nie sednem stroju. Jej sukienka z modnych detali miała tylko kolor. Wybierały ją razem z Goską, gdy ta pogrążona niedawno w emocjonalnym dołku, poczuła w sobie zew zakupów. Zew zakończył się tym, że chandra ostatecznie odebrała Gośce jakąkolwiek wolę posiadania nowego ciucha, za to przyjaciółkę ubrała od stóp do głów. Kupiły wtedy właśnie tę sukienkę i tego samego koloru skórzane czółenka na półszpilce. Dzięki tej szpileczce łydki Kaśki nabrały smukłości, a ona poruszała się z wdziękiem, oszczędzając sobie nieporadności właściwej kobietom na zbyt wysokich obcasach. Kupiły też czarną, krótką marynarkę z cieniutkiej skóry i czarne, proste kozaki do kolan również na półszpilce. Gośka uważała, że czarne dodatki nadadzą śliwkowej sukience sportowy charakter, w przypadku mniej oficjalnych okazji. Teraz okazja była oficjalna, więc czarny żakiecik i kozaki zostały w domu, czekając, aż nadejdzie ich pora.

Siedzieli zatem w zamkniętym kręgu łoży, nie ruszając się z miejsca, pijąc i przekrzykując muzykę w monotematycznych, zahaczających o sferę zawodową rozmowach.

Sporadycznie ktoś rzucił marnym dowcipem, by po chwili wszyscy wrócili do utartych pogawędek. Tymczasowi partnerzy nudzili się równie mocno jak Kaśka, która czując z nimi więź towarzysko-dyskusyjnej alienacji, od czasu do czasu rzucała im przyjacielski uśmiech. Całe, znające się z pracy, towarzystwo całkiem nieźle się bawiło, co rusz trącąc się kieliszkami, podczas gdy ich zapomniani partnerzy kombinowali, jakby tu skutecznie przekonfigurować sytuację. W międzyczasie blond seksbomba o imieniu Marta zdążyła kilka razy zmienić miejsce, aż w końcu wylądowała bezpośrednio przy Jacku.

Z braku jakichkolwiek perspektyw na dobrą zabawę, zmęczona bezcelowym siedzeniem, Kaśka postanowiła coś ze sobą zrobić. Jako że kilkukrotnie rzucone propozycje pań, by trochę ruszyć zasiedziały tyłki i potaćzyć, odbijały się pustym echem o męską część towarzystwa, postanowiła najpierw pójść do toalety, a potem zobaczyć, co dalej.

To będący w nieustannym ruchu, jak w mrowisku, tłum z ciągu komunikacyjnego zdecydował, którędy Kaśka pójdzie do toalety i nim się zorientowała, stała w pobliżu baru, czekając na kolejną lukę, by przedrzeć się dalej. W pewnym momencie tłum zafalował, sprawiając, że omal nie wpadła na stojącego przy barze faceta. Mężczyzna wyciągnął nawet rękę w jej kierunku, robiąc gest, jakby chciał ją podtrzymać. Nie musiał – na szczęście samej udało jej się zachować równowagę. Niestety wylądowała tak blisko niego, że mógł odnieść wrażenie, iż ma względem niego jakieś konkretne zamiary. Poczuli się niekomfortowo, by nie powiedzieć – głupio. Bo i skąd facet miał wiedzieć, że nie przyszła tu na podryw? Spojrzała na niego, chcąc upewnić się, że wszystko jest okej i wtedy ją poraziło. Ten wzrok! Przypominał jej niedawne spotkanie na skrzyżowaniu. Tamten taksówkarz też miał takie niesamowite, hipnotyzujące wręcz oczy. Ale przecież los nie może być aż tak pokretny, by kolejny raz popchnąć ją w niezręczną sytuację z tym samym facetem. Nie. Pokręciła głową, fałszywie uspakajając samą siebie. To po prostu zbieg okoliczności, że ten też ma jasne, pogodne spojrzenie. Co dziwne, patrząc na nią, zdawał się jakby szczęśliwy. Nie wytrzymałszy tego spojrzenia, spuściła wzrok, jednocześnie przyglądając się reszcie. Łał! I jeszcze raz łał! Reszta okazała się równie zniewalająca. No po prostu ciacho do schrupania na raz. Mniem – uśmiechnęła się w duchu, by w tym samym momencie skarcić się mentalnie. Chyba za dużo wypijaś, Katarzyno Rafalska, że ci takie kosmate myśli po głowie krążą. Choć, co by nie powiedzieć, było na czym oko zawiesić. Mężczyzna nie dość, że atrakcyjny, musiał być również niebywale bogaty. Markowa odzież nie rzucała się w oczy, podobnie jak jej sukienka, ale dla osób znających się na dyskretnym luksusie była oczywistym przejawem zamożności. Do tego na prawej ręce nosił zegarek. I to nie byle jaki zegarek. Widziała taki, gdy oglądała zegarki, szukając gustownego prezentu dla Jacka na zeszłoroczną gwiazdkę. Oczywiście już na wstępie zrezygnowała z zakupu, wiedząc, że i tak nie będzie go nosił, ale fajnie było przymierzyć się do takiego cacka. Jednak ten był absolutnie poza jej zasięgiem – delikatny, w złotej oprawie i w cenie grubo przekraczającej czterdzieści tysięcy złotych. Nawet nie pamiętała jego nazwy, ale zdecydowanie rozpoznałaby go zawsze. Takich kosztowności się nie zapomina. Oderwała wzrok od zegarka, ale już nie spojrzała mężczyźnie w twarz. Przedarła się do toalety, gdzie znowu zetknęła się z kłębiastym tłumkiem, choć dla odmiany tylko żeńskim.

Kobiety poprawiały makijaż, rozmawiały, stojąc w kolejce do ubikacji lub siedziały na kanapie, wyciągając zmęczone nogi daleko przed siebie. No tak, nie wszyscy mają miejsca przy stoliku – pomyślała, spoglądając na okupujące kanapę dziewczyny. W toalecie natknęła się na Wioletę, która wyszła z łoży tuż po niej, ale najwidoczniej łaskawy tłum pozwolił jej krótszą drogą dotrzeć do celu. Teraz wracały razem do mało pociągającego towarzystwa, a nieustannie gadającej Wiolecie buzia jak zwykle się nie zamykała. Tak więc młody chudzielec paplał, zamasyście gestykulując, podczas gdy Kaśka nie zwracała na nią uwagi. Jej uwagę przykuły

zupełnie inne gesty, które rozanielony Jacek wykonywał na ponętym ciele koleżanki Marty. Rozmawiając i, w typowy dla siebie zmysłowy sposób, rzucając powłóczyście spojrzenie, namiętnie gładził jej udo tuż powyżej seksownej koronki samonośnej pończochy. Kiedy żona stanęła przy podium, właśnie zapuszczał się pod obcisłą sukienkę aż po samo biodro. Zorientowawszy się, że Kaśka go obserwuje, wstał, i nim zdążyła podejść do kanapy, pochwycił jej rękę i poprowadził na parkiet.

Tak jak przypuszczał, zaskoczyło ją nieoczekiwane zaproszenie do tańca. Miała, co prawda, marsową minę, ale milczała. Może zbyt duży hałas na parkiecie powstrzymywał ją przed werbalnym atakiem. A może po prostu zamierza udawać, że nic nie widziała – pomyślał. Męczyła go ta sytuacja. Wiedział, że wreszcie będzie musiał powiedzieć żonie, że zamierza odejść, ale póki udawała świętą, cholernie utrudniała mu zadanie.

Taniec się skończył i Kaśka zdecydowanie chciała wrócić do łóż; w drodze zaczęła robić mu wyrzuty. Nie była to karczemna awantura, jaką zwykle robią żony, gdy przyłapią męża na podobnych świństwach, nawet nie małżeńska kłótnia. Ot, krótka sprzeczka, wymiana rozbieżnych zdań i tyle. Taka była jego Kaśka. Czasem chciał, żeby była bardziej zadziorna, żeby zrobiła mu solidną awanturę, wykazała się temperamentem, może nawet obrzuciła epitetami i kazała spadać. Ale nie, ona nigdy nie zniżyła się do tego poziomu – zawsze ułożona, do bólu ugodowa i wyrozumiała. Od czasu do czasu miała sprzeczka, którą szumnie nazywała kłótnią i to wszystko. Aż mdliło! Mały, spokojny rudzielec z osobowością budzącą w nim poczucie winy każdego dnia, gdy tylko otworzył oczy. Jak mógł kiedyś zakochać się w takiej kobiecie? I właściwie co w niej pokochał? Nie potrafił powiedzieć. Wiedział jednak, że kobieta, z którą się ożenił, była inna od tej, która teraz jest jego żoną. Gdy ujrzał ją po raz pierwszy, taką drobną z burzą kasztanowych loków, jawiła mu się niczym lady Marion – delikatna i niewinna. Dziś widział w niej bardziej groteskową Pippi Langstrumpf niż zjawiskową lady, na dodatek podstarzałą i nazbyt krągłą. To niesamowite, jak czas zmienia ludzi i jakie zdumiewające pomyłki popełnia człowiek, gdy jest młody. Ta myśl go oszołomiła; do bólu banalna, ale niestety cholernie, jaskrawo prawdziwa. Dlatego teraz znalazł nie tylko kobietę piękną, ale i z charakterem. Może to nie będzie łatwy związek, ale jednego był pewien – nie zanudzi się w nim na śmierć. Stara żona... to nie dla niego. Potrzebował młodej, żywiołowej partnerki, która doda mu energii, a nie takiej, która działa na niego jak środek usypiający. Psia krew! Jeszcze kilka lat tego apatycznego małżeństwa i coma murowana – przemknęło przez solidnie podchmieloną jaźń Jacka. W końcu miał dopiero trzydzieści osiem lat – jeszcze całe życie przed nim. Tanecznym krokiem wszedł znowu na parkiet i przygarznął w tańcu jakąś młodkę, która nie opierała się jego zalotom.

Bawili się długo. Właściwie Kaśka nawet nie zdawała sobie sprawy, jak jest późno, gdy zaczęli zbierać się do wyjścia. Dopiero kiedy dotarli do domu i na zegarku w sypialni zobaczyła trzecią czterdzieści siedem, poczuła zmęczenie. Jacek był pijany w sztok, jak zawsze, gdy nadarzyła się po temu okazja i teraz trzeba było rozegrać sprawę umiejętnie, by wpakować go do łóżka, nim narobi hałasu i obudzi Gośkę albo, co gorsza, maluchy.

Kiedy wreszcie uporała się z zaciągnięciem go do sypialni, padł na łóżko i momentalnie zasnął. Zdjęła z niego marynarkę i spodnie i w takim stanie nakryła go kołdrą. Nie było sensu walczyć dalej, by go rozebrać. Przecież nic się nie stanie, jak czasem nie prześpi nocy w wygodnej piżamie – pomyślała i wyszła do łazienki. Wróciwszy, wsunęła się cichutko do łóżka i przekonana, że jedynym wysiłkiem, na jaki stać jej męża jest głośne, pijackie chrapanie, nakryła się kołdrą gotowa zasnąć. Jakie więc było jej zdziwienie, gdy nagle poczuła na sobie łapczywy dotyk jego rąk. Ręce Jacka najwyraźniej żyły własnym życiem i gdy ich właściciel pogrążał się w alkoholowej nirwanie, one pełne niespożytej energii wykazywały się zaskakującą aktywnością i

trzeba uczciwie przyznać... dużą zrećnością. Niezależnie od tego jak bardzo nie mogła w to uwierzyć, fakt był taki, że właśnie leżała półprzytomna ze zmęczenia w małżeńskim łóżku, a niemiłosiernie pijany małżonek jednoznacznie dawał jej do zrozumienia, że ma ochotę na seks. Tyle, że ona nie miała. Drugi raz z rzędu chciał od niej seksu w pijackim amoku. To jej uwłaczało. Nie, żeby nie lubiła seksu, absolutnie nie. Lubiła, nawet bardzo, ale chciała czuć się pożądana. Chciała, żeby seks wiązał się z przyjemnością dla obojga, a nie był tylko małżeńskim obowiązkiem. Dlatego znów wywinęła się jego erotycznej eksploracji i poszła spać na twarde materac w dziecięcym pokoju. Oczami wyobraźni widziała już jutrzejsze zaskoczenie Gośki, jeśli ją tam rano znajdzie. Trudno, wytłumaczy się głośnym chrapaniem Jacka. Przecież nie może obarczać przyjaciółki swoimi małżeńskimi problemami.

No i tyle, jeśli chodzi o postanowienie dobrej zabawy na dziś.

Bogusław nie był pewien, jak zamierza spędzić październikowe, sobotnie popołudnie. Wiedział tylko, że ma zamiar solidnie tej nocy zaszaleć. Już dawno nie korzystał z uciech cielesnych, a przecież ile można oszukiwać naturę? Żywienie z woreczka, to jedno, ale masturbacja, to już zupełnie co innego i zdecydowanie nie wchodzi w grę – tej myśli był absolutnie pewien. Odkąd Jagienka zginęła, żywiąc się ze źródła, często korzystał z usług dziwek. Tak było najuczciwiej – kobieta dostawała solidną zapłatę za swoje usługi, a że przy okazji dostarczyła jeszcze jednej rozkoszy swemu gościowi? Cóż, w końcu jej zawód polegał na sprzedawaniu ciała, nikt nie wnikał, do jakiego stopnia to ciało miało być przez klienta wykorzystane, byleby sownie zapłacił. Czasy się zmieniały, pojawiły się banki krwi z ich zawsze chętnymi do zarobku dawcami, tylko problem żądy po posiłku pozostawał zdecydowanie... nabrzmiały. Tak więc pozycja dziwek w Mrocznym Świecie znacznie wzrosła, a ich usługi zyskały na wartości. Dziewczyna na telefon przyjeżdżała do domu na określoną godzinę i podczas gdy wampir spokojnie sączył swoją, jak to żartobliwie nazywali, „krwawą Mary” ona była gotowa zaspokoić go tak w trakcie jak i po posiłku, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, w jakiej grze bierze udział. Nie gryzł, żeby się pożywić. Nie musiał, sącząc podgrzaną krew ze szklanki. Jednak towarzyszące temu solidne rżnięcie było jak wisienka na torcie – nie każdy tort ją ma, ale jak się na nim znajdzie, to wtedy wiadomo, że już lepiej być nie może.

Ostatnimi czasy jednak w większości wypadków sączył ciepłą krew ze szklanki w pustym mieszkaniu, a potem w samotności tłumił swe żądze. Miał dość tego ohydneho procederu. Najwyraźniej zaczynało się w nim odradzać człowieczeństwo. To było frustrujące, ale ostatnio częste odczucie.

Wyprowadził swoją taksówkę z hali garażowej i jak zwykle pomału ruszył w miasto. Rozejrzy się tu i tam i wtedy zdecyduje. Może kino, może kręgle, a może dyskoteka. Może jeszcze jakiś kurs załapie, a dopiero potem postanowi co dalej. Zobaczymy. Gdy skręcił z Ułańskiej w Wyspiańskiego automatycznie zaczął kierować się do centrum. Czasami był jak koń, którego prowadziła droga. Stary Browar – to była pierwsza myśl, która sprecyzowała jego kurs. Tu zawsze znalazło się coś do roboty w sobotni wieczór.

Słodownia zdawała się optymalnym wyborem. Nie przewijały się przez nią tabuny małolatów, chcących dodać sobie lat drapieżnymi makijażami i półnagimi ciałami. Nie katowano gości rozdzierającą ciało na strzępy, agresywną muzyką i nie dopuszczano do incydentów z udziałem zadziornych facetów lubiących rozwiązywać swoje i nie tylko swoje problemy za pomocą pięści. Ot, zwykła dyskoteka i już. To, że zostanie wpuszczony mimo kolejki oczekujących sięgającej następnego piętra, nie ulegało żadnej wątpliwości.

Bogusław stał przy barze, rozglądając się dookoła i obserwował bawiących się ludzi.

Chciał dotrzymać danego sobie słowa i znaleźć odpowiednią partnerkę na nadchodzącą noc. Łatwizna. W dyskotekach bywało wiele kobiet, które, tak jak on, przychodziły tam na łowy. Oczywiście jego łowy znacząco się różniły, ale przecież o tym nikt nie wiedział.

Didżej serwował całkiem znośną muzykę, mogącą zadowolić każdego niezależnie od wieku czy upodobań, a ludzie zgodnie z rytmem, przyjmowali zabawne pozy, często obijając się o innych. Nikt jednak nie zwracał na to uwagi. Wszyscy przyszli tu, żeby dobrze się bawić i tak właśnie było. Uwijający się za barem chłopak serwował kolejne drinki kolejnym zamawiającym, a i kelnerki miały cały czas ręce pełne roboty. O wolnych, siedzących miejscach można było tylko pomarzyć, ale Bogusławowi w zupełności odpowiadało stojące miejsce przy barze. Na co dzień pracując jako kierowca, miał dość siedzenia – od święta mógł postać.

Obserwował więc wędrujących wzdłuż barowego kontuaru ludzi, by wyłowić spośród nich dziewczynę, a może kobietę, która stanie się dziś jego przekąską. Potem się zdrowo zabawią, a rano dziewczyna wyjdzie od niego bezwzględnie szczęśliwa, zupełnie nie pamiętając, że oprócz rozkoszy fizycznej dała mu coś jeszcze – swoją krew. Tak. To całkowicie satysfakcjonujące – pomyślał... i wtedy ją zobaczył.

Kobieta była absolutnie, w stu procentach i całkowicie w jego typie, a do tego wyglądała zjawiskowo. Z pewnością nie była zniewalającą piękną, ale wiedziała, jak osiągnąć efekt intrygującej urody. Niewysoka – z metr sześćdziesiąt, nie więcej, o krągłych kształtach i pięknych kasztanowo-rudych włosach. Drobną twarz umalowała wyraźnie, ale nie wyzywająco, podkreślając delikatne rysy. No i zbyt skromnie ubrana, by uchodzić za bywalczyńnię dyskotek. Miała na sobie elegancką sukienkę, w modnym śliwkowym kolorze, sprawiającą, że jej sylwetka zdawała się zwiewna, jak u nimfy. Żadnego obcisłego topu w krzykliwym kolorze niezupełnie przykrywającego to, co powinien przykrywać czy mini ukazującego kobiece atrybuty. Żadnych legginsów w panterkę czy gigantycznego dekolту sięgającego pasa, który swym rozmiarem mógłby skusić nawet tybetańskiego mnicha. Nic z tych rzeczy. Po prostu skromna, prosta, kosztowna sukienka na szerokich szelkach krzyżujących się na plecach. Ten fason pięknie podkreślał pełne, wreszcie nie kościste, ramiona i równie piękny kark, nad którym swobodnie kołysał się kasztanowo-rudy koński ogon.

Bogusław zapatrzył się na tę uroczą osóbkę i wtedy zdał sobie sprawę, że skądś ją zna. Jeszcze raz spojrzął na jej twarz dojrzałej kobiety, a jednocześnie jakby dziecięco delikatną, z sarnimi oczami i głęboko skrywanym smutkiem. O w mordę! – tak, teraz był pewien, że się nie myli. To ta kobieta zaprzętała ostatnio prawie wszystkie jego myśli. To właśnie ją chciał ponownie spotkać, a nawet, jeśli to możliwe... poznać bliżej. Kobieta szła właśnie w kierunku toalet, przechodząc tak blisko miejsca, w którym stał, że niemal poczuł jej zapach. Niemal – bo trudno było wyłowić pojedynczy zapach w tym kłębowisku wszystkich perfum świata. Przeciskając się tak blisko, że prawie dotknęła jego torsu, zachwiała się, lawirując w tłumie kłębiących się ludzi. Wyciągnął ku niej rękę, ale utrzymała równowagę. Cholera, szkoda. Spojrzała na niego. Najpierw popatrzyła mu w oczy i na moment zatrzymała wzrok, jakby też go rozpoznała, a potem omiotła spojrzeniem całą jego postać i mijając go, poszła dalej. Ten krótki moment wystarczył, by Bogusławowi przeszła ochota na jakiegokolwiek łowy tego wieczora. Wreszcie będzie mógł się uwolnić od tej zaskakującej obsesji. Był diabło szczęśliwy, że los zesłał mu tę okazję. Gdy będzie wracała, poprosi ją do tańca i w końcu ją pozna. Nareszcie. Właściwie nie miał pojęcia, dlaczego ta krótka chwila na przejściu dla pieszych sprawiła, że wciąż o niej myślał. Może drobna postura kobiety, może jej smutne oczy, a może dziwaczna reakcja na jego uwagę. Niemniej wszystko sprowadzało się do tego, że w jakiś pokrętny sposób kobieta budziła w nim tęsknotę, z którą, jak Bóg da, dzisiaj się upora. Ogarnęło go uczucie błogiej euforii. Musi tylko poczekać, aż znów będzie tędy przechodziła.

Muzyka grała, ludzie tańczyli, pili, rozmawiali i wędrowali we wszystkich możliwych kierunkach, co na tej niewielkiej przestrzeni było nie lada wyczynem, a on czekał na swą szczęśliwą chwilę. Gdy się w końcu pojawiła, los okazał się nieprzychylny. Po pierwsze, nie była już sama – obok niej szła młodsza, wyjątkowo chuda i wysoka dziewczyna, która energicznie gestykulując, nie przestawała mówić, usiłując skupić na sobie całą jej uwagę. Po drugie, pokonywały ludzką barykadę od strony stolików, zamiast od strony baru. Będzie trudniej – pomyślał. Teraz to ja będę musiał podejść do niej.

Kobiety skierowały się do łoży, w której, jak wcześniej zauważył, odbywała się jakaś impreza w niedużym, zamkniętym gronie. Ale co to za problem? Przecież może podejść i poprosić ją do tańca; w końcu są w dyskotecce. Nim jednak podszedł na tyle blisko, by wreszcie dopiąć celu, kobieta wyszła z łoży w stronę parkietu, trzymana za rękę przez mężczyznę, którego dobrze pamiętał. Przez dupka, który dwa dni temu kazał się wieźć na Piastowskie, żeby zabawić się „jak to facet”.

Krew zawrzała w nieumarłym ciele Bogusława. Stał i przyglądał się tańczącej parze. Ona tańczyła, ale jakoś bez entuzjazmu, a dupek obmacywał jej plecy i ramiona swymi obleśnymi łapskami. Nie skupiał na niej uwagi, ale obiegał uwodzicielskim wzrokiem wszystkie tańczące w pobliżu kobiety, które nie przekroczyły trzydziestki, a strojem i prowokującym zachowaniem jasno dawały do zrozumienia, czego tak naprawdę tu szukają. Wściekłość kipiała w Sławku i wylewała się z niego jak za długo gotowane mleko. Wiedział, że dłużej nie ma już czego tu szukać. Na byle podryw nie miał ochoty, a na tę kobietę nie miał szans. A może nie jest z nim? – dumał. Może to tylko gość tej zamkniętej imprezy, który poprosił ją do tańca? W czasie, gdy on trawił sytuację, weryfikując z rzeczywistością swoje przypuszczenia, oni zeszli z parkietu. Skupił więc cały słuch na ich rozmowie, by się upewnić.

– Jacek, tyle razy cię prosiłam, żebyś nie robił tego przy mnie – mówiła ona, jednocześnie przyklejając sztuczny uśmiech do twarzy.

– Ale czego ty ode mnie chcesz, kobieto?

– Jak to czego? – usiłowała przekrzyczeć muzykę. – Żebyś przestał obmacywać wszystkie kobiety w zasięgu swoich rąk. Wystarczy, że wypijesz dwa kieliszki i już muszę się za ciebie wstydzić.

– Daj spokój. One są do tego przyzwyczajone – zaśmiał się drwiąco. – Przecież to moje koleżanki z pracy – rzucił nonszalancko, jakby obmacywanie koleżanek było jego służbowym obowiązkiem.

– Jacek! – krzyknęła wyraźnie oburzona. – I ty mi to mówisz tak po prostu... w twarz? Jestem twoją żoną! – krzyczała coraz głośniejsze, a po sztucznych uśmiechach nie pozostał nawet cień.

– Nie zapominaj o tym. Chociaż w mojej obecności trzymaj łapy przy sobie.

– No cóż, moja droga. – Palant miał szkliste spojrzenie, ale nie był na tyle pijany, by nie wiedzieć, co robi, a mimo to dokończył. – Nie zawsze w życiu jest tak, jak sobie tego życzymy.

Posłała mu tak piorunujące spojrzenie, że zadziwiająco, iż z gnojka nie została tłąca się kupka popiołu. Najwyraźniej, widoczne w jej oczach życzenie nie miało mocy sprawczej. Odeszła, zostawiając męża z mętłym wyrazem jego niezaprzeczalnie urodziwej twarzy. Widać było, że koleś nie kryje się z tym, iż wierność żonie nie jest jego najmocniejszą stroną. Co więcej – można było powiedzieć, że wręcz obnosi się ze swoją swobodą obyczajową. Ciekawe, czy jest taki liberalny w przypadku niewierności obojga małżonków, czy to tylko męski przywilej? – zastanawiał się Sławek. Znając dupka, pewnie tylko męski.

A więc sytuacja była jasna. Krótka rzecz ujmując, chamski dupek o prezencji zabójczo przystojnego amanta z hipnotyzującym głosem i powłóczystym spojrzeniem był niewiernym mężem tej delikatnej kobiety, która od dwóch dni stała się obsesją Bogusława, i której pragnął dla

siebie. Cholera, życie nie może być aż tak popaprane.

Kobieta siedziała w łoży z marsową miną, a jej mąż właśnie ruszył na parkiet w poszukiwaniu kolejnej pokusy dla swoich nadpobudliwych rąk.

Uznawszy, że nie ma po co dłużej tu zostawać, Bogusław po prostu wyszedł.

Nie ujechał daleko, gdy dwoje młodych ludzi machnęło z krawężnika, przywołując taksówkę. Początkowo nie zamierzał się zatrzymać. Żadnych pasażerów. Prosto do domu, a tam solidna krwawa Mary – taka była jego pierwsza myśl po opuszczeniu Słodowni. Ale teraz, kiedy październikowy chłód ostudził nieco jego wrzące emocje, zatrzymująca go para nie zdawała się już tak niechcianym balastem. Podjechał więc pod krawężnik i włączył taksometr.

– Dokąd? – zapytał chłodno, gdy wygodnie usadowili się na tylnej kanapie Mercedesa.

– Na Sianowską poprosimy – powiedział chłopak, czule obejmując siedzącą obok niego dziewczynę.

Ruszywszy, Bogusław spojrział we wsteczne lusterko. Tych dwoje nie wyróżniało się niczym szczególnym. Dziewczyna była niewysoka, żeby nie powiedzieć mała, i drobnej budowy. Miała szaro-brązowe włosy do ramion oraz pociągłą twarz z wydatnym nosem i niebieskimi oczami. Chłopak był niewiele wyższy, ale za to dość korpulentny, z przeciętnej urody twarzą i mimo zdecydowanie młodego wieku dość mocno posuniętą łysiną widoczną w obciętych na krótkiego jeża, jasnych włosach. A jednak było w nich coś pozytywnie przyciągającego. Biła od nich dobra energia, jakby emanowało z nich szczęście. Rozmawiali szeptem, ale głosy i wzajemne spojrzenia nie pozostawiały wątpliwości – byli bardzo zakochani i bezgranicznie sobie oddani.

Nawet w środku nocy jazdę na Smochowice trudno byłoby nazwać żabim skokiem. Peryferyjna dzielnica miasta była sporo oddalona od prawie każdego punktu. Niemniej teraz byli już na wylocie z Dąbrowskiego, a więc za chwilę dojadą na miejsce.

– Który numer?

– Dwadzieścia trzy – znów odpowiedział chłopak i znów natychmiast pogrzył się w rozmowie z ukochaną.

Chwilę później pusta taksówka wracała w kierunku miasta, a jej kierowca był absolutnie pewien, że nie czeka go tej nocy już nic więcej niż podgrzana w mikroweli szklaneczka czerwonego płynu w pustym mieszkaniu. Fuck!

Rozdział 4

Nad tym, co zrobić z niedzielnym wieczorem, Bogusław nie musiał się zastanawiać. Królewski konwent był sprawą absolutnie nadrzędną i tylko nagła, ostateczna śmierć mogła go zwolnić z tego obowiązku. Zatem o stosownej porze stary wampir zaparkował swojego Mercedesa na rozległym podjeździe królewskiej rezydencji.

Siedzibę Króla Ziem Zachodnich stanowiła okazała rezydencja w podpoznańskich Chybach, ukryta za wysokim murem wykończonym stylowymi zdobieniami z kutego żelaza. Mur ten stanowił sztuczną granicę pomiędzy rozległym parkiem wewnątrz posiadłości, a dziką przyrodą okalającą ją z zewnątrz. Dla postronnego obserwatora była to kolejna, ekskluzywna nieruchomości jakich wiele w tym rejonie. Wysokie ogrodzenie i rosnąca wzdłuż niego bujna zieleń z imponującymi drzewami skutecznie powstrzymywały wścibskich oglądaczy, zapewniając spokojnym lokatorom tych włości bezpieczeństwo i prywatność. Całości strzegły kamery monitoringu dyskretnie porozmieszczane w obrębie granic nieruchomości oraz niedostrzegalni, dobrze wyszkoleni i odpowiednio uzbrojeni członkowie osobistej ochrony monarchy.

Rezydencję stanowił rozłożysty budynek w stylu „dworek polski”, chociaż słowo „dworek” było solidnym niedomówieniem w stosunku do tejże budowli. Zdecydowanie wielki dwór otoczony imponującym parkiem z wiekowym drzewostanem górował nad pozostałymi budynkami i podjazdem.

Obok wyróżniającego się rozmiarem, śmietankową elewacją i wielospadowym dachem z ceramicznej dachówki dworu, znajdowały się zabudowania gospodarcze, dom gościnny i budynek garażowy. Wszystkie oblicowane klinkierową cegłą z dwuspadowymi dachami krytymi ceglana dachówką.

Brama garażowa była zamknięta, ale i tak było czym oko nacieszyć – na podjeździe roilo się od wysokiej klasy samochodów. Wampiry! – Bogusław pokręcił głową z kpiarskim uśmiechem i rozejrzał się dokładniej wokół siebie. Wśród wielu zaparkowanych aut stały trzy czarne Audi Q7. Luksusowe SUV-y były jednoznacznym sygnałem, że Baronowie Okręgów są już na miejscu.

W społeczności Rodzaju takie zjazdy zdarzały się nader rzadko. Zazwyczaj decyzje dotyczące wszystkich klanów w królestwie podejmowane były jednoosobowo – przez monarchę. Nieczęsto ryzykowano zebranie w jednym miejscu wszystkich włodarzy rządzących regionem Ziem. Wciąż pokutowała budowana doświadczeniem stuleci obawa, że w przypadku zdrady ostateczny kres pośmiertnej egzystencji wszystkich przywódców mógłby doprowadzić do wojny pomiędzy klanami regionu albo, co gorsza, do przejęcia władzy nad nim przez monarchę innych Ziem. Szczęśliwie ze zdradą nie zetknięto się już od wielu dekad, co wróżyło całkiem pomyślną przyszłość temu krewkiemu ludowi.

Szeroka, żwirowa ścieżka prowadziła z parkingu poprzez ganek z zadaszeniem wspartym na podwójnych filarach wprost do masywnych dwuskrzydłowych drzwi królewskiej rezydencji. Kolumnadę zdobiły dwie wielkie donice z przyciętymi w kształcie kuli bukszpanami. Pałacowy budynek okalał nienagannie utrzymany, rozległy trawnik, a całość oświetlały liczne ogrodowe latarenki usytuowane wzdłuż ścieżek i obrzeży trawnika.

Bogusław zatrzasnął drzwiczki Mercedesa i ruszył żwirową ścieżką.

Wysoki, ciemnowłosy, elegancko ubrany mężczyzna zbliżał się do niego powolnym krokiem. Mimo nienagannej prezencji było w nim coś pierwotnego, nieokiełzanego, ale też zadziornie młodzieńczego. Miał szczupłe, sprężyste ciało o idealnych proporcjach i twarz, równie

piękną co niebezpieczną. W ciemnoniebieskich oczach błyszczała zwierzęca dzikość drapieżnika.

– Witaj, Leon.

– Witam. – Leon nie był tego wieczoru zbyt rozmowny.

– To nie dla mnie. – Bogusław od razu przeszedł do sedna, oszczędzając obu kurtuazyjnych wstępów. – Nie chcę wchodzić w układy z żadną władzą.

– Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem. Chcesz się na nas wypiąć? – pytanie Leona brzmiało bardziej ironicznie, niż zamierzał, ale musiał ustawić przyjaciela na właściwej pozycji, jeszcze zanim wejdą do środka.

– Spójrz na nich wszystkich. – Bogusław powiódł ręką po gromadzących się wokół wampirach. Mimo że nie brali udziału w konwencie i z pewnością nie mieli bladego pojęcia, jaka jest przyczyna jego zwołania, bez względu na towarzyszące posiedzeniu okoliczności czuli się w obowiązku licznym stawiennictwem zmanifestować swoje wsparcie dla władcy. – Dla nich władza jest czymś, co daje schronienie i bezpieczeństwo. Są zdeterminowani, by bez reszty bronić tej władzy. Służą temu z takim poświęceniem, że zatracili swoją indywidualność. – Zdecydowanie nie dawał za wygraną.

By zachować jak najwięcej ze swego dawnego człowieczeństwa, stary wampir stronił od zacieśniania więzi z członkami Rodzaju. Obawiał się, że z czasem organizacja pod rządami jednej osoby skupiającej w swych rękach władzę przez stulecia, przestanie być zbiorem indywidualnych jednostek, a stanie się jakby bytem samym w sobie. Bytem doskonałym, który myśli, decyduje i posiada niewiarygodne wpływy, ale poświęci w tak zwanym „dobrze pojętym interesie ogółu” każdego, kto nie stanie po właściwej stronie. Leon godził się na to i dlatego stał w szeregu wygranych. Sławek natomiast próbował walczyć, zachowując swoją niezależność i manifestując ją zawsze, gdy instrumenty władzy zbyt drastycznie zaciskały pętlę na jego wolności. Czyżby właśnie przegrał tę walkę?

Przełknął ślinę. Sposób, w jaki Leon na niego patrzył... Nie podobało mu się to. Młody wampir spoglądał tak, jakby lata ich przyjaźni właśnie popadły w niełaskę.

– Okej – zmieniając front, rzucił do Leona, by go udobruchać. – Chcesz mi powiedzieć, że to, co się tu dzisiaj dzieje, jest aż tak ważne, że poświęciłbyś naszą przyjaźń?

Leon popatrzył na przyjaciela, ale się nie odezwał.

– Jakież przecieki? – dopytywał Bogusław, nie dając za wygraną.

– Wszystkiego się dowiesz, gdy spotkasz się z królem.

– Lakonicznie, acz rzeczowo. Cóż więc mam powiedzieć, młody...? – Zrezygnowany nie próbował nawet ukrywać swej niechęci. Wzruszył ramionami. – W takim razie, prowadź.

Król, czy to nie śmieszne w obecnych czasach? – Bogusław pokręcił głową z enigmatycznym uśmiechem. W rzeczy samej, w dwudziestym pierwszym wieku, gdy narody posiadały prezydentów, premierów lub innych demokratycznie obieranych przywódców, a królowie stanowili jedynie lukrowaną wisienkę na torcie władzy, oni posiadali niekwestionowanych władców, których rządy były autokratyczne, a decyzje niepodważalne i ostateczne. Po prawdzie jednak to sytuacja, w której funkcjonował Rodzaj, była twórcą takiego stanu rzeczy. Wampiry z natury konserwatywne, pielęgnujące swe przekonania przez stulecia istnienia jednostek, nie były tak otwarte na zmiany jak żyjący w zewnętrznym świecie ludzie. To w dużej mierze nadal była dzika społeczność, którą tylko absolutyzm i rządy silnej ręki mogły utrzymać w ryzach. Na dzień dzisiejszy na Ziemiach Zachodnich ręka ta należała do Chwalimira z Toporów – ponad tysiącletniego wampira.

Granice Królestwa Ziemi Zachodnich jak i granice pozostałych państw Mrocznego Świata pokrywały się z granicami państw świata śmiertelnych i tak jak wszyscy pozostali obywatele tego kraju, wampiry przyjmowały administracyjne zmiany, dostosowując do nich własne wyznaczniki

władzy. Nim ludzkie kraje uzyskały swe ostateczne ramy administracyjne, pierwotne państwa wampiryczne wyznaczane były granicami ziem plemiennych, nabierając kolejnych kształtów w rytm historycznych zmian. Niezmienne było tylko jedno – zawsze podział przebiegał w układzie wschodnio-zachodnim i północno-południowym. Ważne było, by w tych granicach zawierały się główne ośrodki miejskie stanowiące centra okręgów z siedzibami królów Ziemi i baronów okręgów.

Królestwo Ziemi Zachodnich obejmowało w tym momencie aktualne województwo zachodniopomorskie z lubuskim i siedzibą okręgu w Szczecinie, dolnośląskie z opolskim i siedzibą okręgu we Wrocławiu, oraz wielkopolskie z siedzibą okręgu i stolicą królestwa w Poznaniu. Król tego terytorium – władca silny, bezwzględny, wymagający, a bywało i bezlitosny, właśnie dzięki tym cechom dzierżył rządy w swych rękach od ponad pięciuset lat.

W Mrocznym Świecie zmiany na królewskim tronie następowały nad wyraz rzadko, choć co sto pięćdziesiąt lat klany miały prawo większością głosów zawetować dalsze rządy swego władcy i powołać nowego króla obranego również większością głosów. Była też inna droga zmiany władcy – absolutnie nie demokratyczna i zdecydowanie krwawa. Na tej drodze śmiałek, który uznał, iż jest dość silny, by stawić czoła panującemu i w bezpośrednim starciu pozbawić go korony (wraz z głową, rzecz jasna), mógł w dowolnym momencie wezwać władcę do walki. Tu nie obowiązywały ramy czasowe kadencji. Tak właśnie Chwalimir objął swój tron, trzymał go już czwartą kadencję i nic nie wskazywało, by kiedyś miało się to zmienić. W Mrocznym Świecie istniała też trzecia możliwość powołania nowego monarchy – na drodze abdykacji i osadzenia na tronie jednostki wyznaczonej przez ustępującego króla. Wszystkie pozostałe procedury dotyczyły nowego władcy tak samo jak każdego innego panującego z kadencyjnością i prawem walki włącznie. Jednak, jako że żaden król nie skorzystał dotąd z tej możliwości, należało uznać, iż była to ewentualność czysto hipotetyczna.

Tak więc, w obecnym Królestwie Ziemi Zachodnich charyzmatyczny suweren rządził niepodzielnie i choćby nawet sposoby obejmowania władzy uległy niespodziewanej zmianie, jego pozycja monarchy była absolutnie niezachwiana.

Ci spoza najbliższej świty króla, których spotkał zaszczyt poznania władcy osobiście, nie obnosili się z tym wydarzeniem – jakby sam fakt bezpośredniej relacji z monarchą był wystarczającym ostrzeżeniem, by nie rozgłaszać tego wszem i wobec. Chwalimir z Toporów po monarszemu oczekiwał od wszystkich posłuszeństwa, a uległość wobec siebie traktował jako naturalną i po prostu mu należną. Posiadał ogromną moc i władzę sięgającą zdecydowanie dalej niż granice ziem, na których panował. Wedle ostatnich danych, jako samowładca przewodził klanom liczącym siedemset pięćdziesięciu dwóch zaprzysiężonych nieumarłych. Król Chwalimir, nad wyraz błyskotliwy i rozumny, był uznawany przez kolejne kadencje nie tylko z powodu swej wybitnej inteligencji czy dlatego, że cieszył się największą popularnością – rządził, ponieważ ze wszystkich siedmiuset pięćdziesięciu trzech wampirów w królestwie był bez wątpienia najsilniejszy i najsprytniejszy. Stał się odpowiedzialny za podległą mu wspólnotę wieki temu i rządził nią po dziś dzień z tej prostej przyczyny, że jego rządy charakteryzowała sprawiedliwość i mądrość oraz, że nie znalazł się jeszcze nikt na tyle odważny, a może na tyle głupi, by rzucić mu skuteczne wyzwanie.

Na terytorium Chwalimira rezydowało kilku podobnych Bogusławowi niezależnych nieumarłych, którzy dzięki zbiegowi niebywale korzystnych dla nich okoliczności nie podlegali żadnemu władcy. Jednak goszczenie na swoim terenie wolnego wampira było niewątpliwie dwustronnym medalem. Z jednej – stanowiło zaszczyt i wyróżnienie, bo niezależne jednostki postrzegano jako elitę elit. Z drugiej zaś – pojawienie się w królestwie Wolnego rodziło pytanie, jak dalece niezależna jest to osobowość? Czy ów wampir faktycznie gościnnie zamieszkuje

wybrane królestwo, czy może kreśli niebezpieczne plany, by utworzyć własny, autonomiczny twór państwowy na danym obszarze?

Tak więc śmieszność śmiesznością, ale silna ręka u steru była wśród porywczego Rodzaju nieodzowna. Archaiczność polityki i władzy, choć może nie przystawała do teraźniejszości, jednak na obecny czas była najlepszym gwarantem spokoju i równowagi w niespokojnym i niezrównoważonym Mrocznym Świecie. Niektóre wolne wampiry – jak Sławek, dostrzegały konieczność podążania śladem demokratycznych, ludzkich doświadczeń, ale wciąż jeszcze nie był to czas, by osiągnięcia zewnętrznego świata przenosić na grunt wampirzej społeczności.

Zajęty myślami o meandrach władzy, Bogusław siedł przestronnym korytarzem głównego budynku, który swym przepychem z pewnością mógł konkurować z niejedną biskupią rezydencją. Wampiry monarchowie, podobnie jak kościelni zwierzchnicy, uwielbiali pławić się w luksusie i otaczać przepychem, choć w przeciwieństwie do kleru mieli świadomość, że ich możnowładcze upodobania nie powinny skupiać na sobie ludzkiej uwagi.

Korytarz był szeroki i za dnia bardzo nasłoneczniony za sprawą szpaleru okien ciągnącego się wzdłuż na wzór dawnych dworów. Na niskich, głębokich parapetach stały donice z kwiatami, a na ciemnobłękitnych ścianach rozwieszane były kosztowne dzieła sztuki, urok których podkreślało stosowne oświetlenie.

Zatrzymawszy się przed dwuskrzydłowymi drzwiami, Leon uchylił jedno ze skrzydeł i gestem zaprosił Bogusława do środka.

Ogromne pomieszczenie będące czymś w rodzaju sali konferencyjnej rozmiarem nie ustępowało boisku do koszykówki, którego nie powstydziliby się niejeden klub sportowy. Ciemnozielone ściany zdobiły bogato haftowane gobeliny z herbami rodów, których potomkowie zasilali szeregi lojalnych poddanych Chwalimira z Toporów. Posiadanie własnego herbu było, podobnie jak w śmiertelnym świecie, dobrze postrzegane wśród wampirzej arystokracji. Mimo iż w dniu przemiany członkowie Rodzaju tracili wszelką więź z ludzkimi krewnymi, to przywileje należne im z urodzenia, przenosiły się na ich nowy byt, a tradycje szlacheckie po dziś dzień pielęgnowane i honorowane.

Poza herbowymi gobelinami i ogromnymi, kryształowymi żyrandolami zwisającymi z sufitu, sali nie zdobiło nic więcej. Nadawało to pomieszczeniu eleganckiej surowości. Wzdłuż ścian ustawiono szeregi obszernych, skórzanych foteli na wypadek, gdyby okoliczności wymagały zwołania konwentu z udziałem większej liczby podwładnych. Na szczycie, centralnie ustawionego, długiego stołu, który zdawał się ginąć w ogromie tego pomieszczenia siedział, w całej okazałości swego majestatu, Król Chwalimir z Toporów – wysoki, barczysty mężczyzna o jasnym, spokojnym obliczu z powagą wielowiekowej mądrości wypisaną na twarzy i niezwykłą inteligencją w bystrych, zielonych oczach, pod którą nie sposób było nie dostrzec dzikości drapieżnika. Jak na wampira przystało, oblicze nie zdradzało jego prawdziwego wieku, stąd mimo ponad milenijnej egzystencji sprawiał wrażenie będącego w doskonałej kondycji trzydziestolatka.

Wzdłuż bocznych krawędzi stołu zasiadali baronowie oraz najbliższa świta królewska w osobie dwóch roślących wampirów – Otto Obermanna i Karla Schreiner, których korzenie sięgały niemieckiej genealogii, co nie zaskakiwało na ziemiach od dawien dawna będących łakomym kąskiem dla ich zachodnich sąsiadów.

Majestatyczni baronowie, reprezentując swe okręgi z należytych ich randze dostojnością, wyglądali bardziej jak dystygowane manekiny niż pełne werwy istoty. Apodyktyczna Margo oraz złudnie niepozorni Jędrzej i Paweł leniwie spojrzeli w kierunku drzwi, przyglądając się wchodzącym, nie kryjąc zaskoczenia na widok wolnego wampira. Otto Obermann – prawa ręka króla uśmiechnął się serdecznie, widząc Bogusława siadającego na

wskazanym przez Leona miejscu.

Nie było w zwyczaju, by w takich sytuacjach oddawać ceremonialne hołdy królowi. Konwenty nie były odświętnymi galami ku czci monarchy, lecz nadzwyczajnymi posiedzeniami o charakterze decyzyjnym, wymagającymi użycia dodatkowych środków wsparcia władzy, a tymi środkami w chwili obecnej byli zebrani tu nieumarli.

Przy stole zasiadało więc ośmioro wampirów z królem na czele, wliczając w to również Leona, który, nie będąc ani baronem okręgu, ani Wolnym, ani nawet członkiem swity królewskiej, w jakiś niejasny sposób był powiązany z Dworem. Niekiedy odnosiło się wrażenie, że łączą go z monarchą zażyłe, niemal rodzinne więzi, co z oczywistych względów było absolutnie niemożliwe.

Przed każdym leżała elegancka, skórzana teczka z mosiężnymi okuciami w narożach. Nim jednak uczestnicy konwentu mieli sposobność zaglądnąć do środka, spokojny, acz władczy ton Chwalimira zwrócił uwagę zebranych. Król w kilku słowach powitał przybyłych, a gdy powitalnej etykietce stało się zadość, otworzył swoją teczkę i rozłożył przed sobą jej zawartość.

– Mamy do czynienia z wyjątkowo skomplikowaną sprawą – oznajmił, biorąc do ręki jeden z dokumentów. – Otwórzcie swoje tecki.

Milcząc, posłusznie wykonali królewskie polecenie, a to co ujrzeli po ich otwarciu, wywołało szczerą konsternację – na samym wierzchu pliku dokumentów znajdowała się czarno-biała fotografia formatu A-4, przedstawiająca dwa martwe ciała. Ofiary leżały na ziemistym gruncie, prawdopodobnie w lesie lub parku. Bogusław wziął do ręki fotografię i odłożył ją na bok, by pod nią znaleźć kolejną, przedstawiającą niemal identyczny obraz. Pozostali również przeglądali w milczeniu zawartość swoich teczek.

– To... To jakiś żart. – Margo pierwsza przerwała milczenie zaskoczona, a jednocześnie jakby zniesmaczona.

Była Baronem Okręgu Szczecina, ale też, podobnie jak większość zebranych, około tysiącletnim wampirem i zapewne mało rzeczy na tym świecie potrafiło ją zaskoczyć. A jednak...

Surowa w swym obejściu, żyła na ziemiach polskich od czasów, gdy drapieżni i nieokrzescani Wikingowie dotarli do wyspy Wolin. Wszyscy obecni znali jej historię, trudno bowiem nie znać dziejów, skoro istnieje się na świecie od stuleci. Może tylko stosunkowo młody Leon nie do końca poznał szczegóły dotyczące losów tej twardej kobiety. Z pewnością jednak nie ustępował pozostałym w ogólnej wiedzy o Wikingach – barbarzyńskich hordach, słynących z krwawych napaści na nadmorskie osady, porywczego charakteru i bezwzględności wobec podbijanych ludów, za którymi po wymarłych zgliszczach hardo kroczyła zła sława. Wikingowie – groźny lud z rogatymi hełmami i toporami w ręku? Nie tylko. Poza tym, że gwałcili i rabowali, mieli też wyjątkową smykałkę do interesów. Będąc równie dobrymi wojownikami co biznesmenami, na swych sławnych łodziach przemierzali niemal cały świat, handlując dosłownie wszystkim – od zboża począwszy, na niewolnikach kończąc. Zakładali osady, do których sprowadzali swoje skandynawskie rodziny, bądź wiązali się z okoliczną ludnością. Stąd też za czasów Mieszka I na wyspie Wolin Wikingowie założyli osadę Jomsborg, znajdując tu swoje miejsce i widząc wśród Słowian swoją przyszłość.

Ot i krótka geneza historii Margo. A co było dalej? Gdy wyniosła, zasadnicza kobieta północy przybyła na Wolin, by wraz z pozostałymi osiąść tu na stałe, nie przypuszczała nawet, jak bardzo ta decyzja zmieni jej świat i jak wiele lat egzystencji czeka ją wśród nowych, obcych jej ludzi. Ale to właśnie osobowość kształtowana wśród barbarzyńców sprawiła, że stała się wampirem, czyniąc z niej twardego, niewzruszonego i lojalnego członka Rodzaju. Dzięki temu po setkach lat budząca respekt, wysoka, szczupła, blondynka została wybrana przez społeczność okręgu Szczecina na swego przywódcę i została ich Baronem. Nie musiała nawet podejmować

walki o lokalne przywództwo. Charyzmatyczna osobowość zjednywała jej respekt i gdy sto trzydzieści lat temu poprzedni władarz Szczecina kończył kadencję, północno-zachodnie wampiry poprosiły właśnie ją o przyjęcie zaszczytnego stanowiska. Nie odmówiła – wiedziała, że sprostą zadaniu i roztoczy odpowiednią pieczę nad swoimi klanami. Toteż teraz siedziała przy tym ogromnym stole wraz z pozostałymi uczestnikami konwentu i z niedowierzaniem przyglądała się leżącym przed nią dokumentom.

Wszystkie teczki zawierały to samo – siedem raportów policyjnych, siedem raportów koronera i siedem zestawów fotografii z miejsc zbrodni, na których zawsze znajdowały się dwa martwe ciała. Oczywiście można było założyć, że widok martwych ciał nie jest w stanie wyrzeć wrażenia na wampirze. Czytanie raportów policyjnych i posekcyjnych wniosków również. Cóż więc było tak zaskakującego? Otóż, każda z fotografii przedstawiała ciała, z których jedno należało do człowieka, a drugie do wampira i za każdym razem były one półnagie i w ten sam sposób pozbawiane życia. Co najwyżej zmieniało się miejsce, w którym dokonano zbrodni. Jedno ze zdjęć przedstawiało ciała rozciągnięte na asfalcie w pobliżu jakiejś stacji benzynowej. Na kolejnym był to ogród na tyłach sporej willi. Następne dwa przedstawiały pokoje. A trzy, wliczając w to pierwsze zdjęcie, które wzięli do ręki, zrobione były w scenerii leśno-parkowej.

– Uważasz, że żartowałbym w ten sposób? – zapytał król wyraźnie niezadowolony z uwagi Margo.

– Wasza Wysokość wybaczy. – Próbowала się zrehabilitować. – Po prostu te zdjęcia... to, co na nich zobaczyłam... zupełnie mnie zaskoczyło.

– A co dokładnie?

– Na tych zdjęciach jest wampir... i człowiek. – Najwyraźniej konserwatyzm poglądów był dominującą cechą tej wiekowej wampirzycy.

– Tak, jest wampir i człowiek – król leniwie wymówił dwa ostatnie słowa, jakby lekko się zamyślił. – Od jakiegoś czasu obserwujemy, że niektórzy z nas bardzo spoufalają się z ludźmi – dodał po chwili. – A ci, którzy znaleźli się na tych fotografiach zdecydowali się nawet... – Chwałimir celowo zrobił dłuższą pauzę, chcąc słowem, które miały teraz paść, dodać większego dramatyizmu – ...wejść z nimi w związki.

– Jakiego rodzaju związki? – Baron Okręgu Wrocławia próbował zaspokoić ciekawość, jak mniemał, nie tylko swoją.

– No niestety, Jędrzeju, nie są to związki biznesowe czy inne zależności, które możemy wielokrotnie powtarzać, ukrywając swoją naturę, bądź potem bez problemu wymazywać je ze świadomości człowieka. – Monarcha znów zrobił przerwę, nie decydując się na otwarte wyznanie tego, co niosła ze sobą teraźniejszość. Niespotykana jak na Chwałimira delikatność była przemyślana i celowa. Obawiał się wybuchu oburzenia, a w jego efekcie zagorzałych sporów. Nie tego teraz potrzebował.

– To związki partnerskie. Nie widzicie, że na każdym z tych zdjęć jedno ciało należy do kobiety, a drugie do mężczyzny? – wypalił Bogusław. Jak widać miał więcej determinacji, by kilkusetletnim wampirom powiedzieć to wprost, nawet jeżeli narażał się na ich wrogość.

To, co nastąpiło potem, trudno by nazwać konstruktywną wymianą zdań czy nawet zagorzałą dyskusją. Oburzenie, niedowierzanie, niesmak i pogarda – odczucia, którym pozostali dawali upust, przekrzykując się nawzajem i wyraziście gestykułując. Trudno też mówić o powściągliwości czy opanowaniu w odniesieniu do nieumarłych. Z reguły porywczy, bezceremonialni i nadmiernie impulsywni nie kryli swych emocji. Gdy więc Bogusław wyskoczył z tą rewelacją, zapalczywie potępiali zarówno beznadziejność takich związków, jak też głupotę i brak wyobraźni ze strony ludzi, oraz nielojalność członków Rodzaju, którzy wstąpili w te uwłaczające alianse. Z ich punktu widzenia człowiek był źródłem pożywienia – bufetem czy

stołówką jak niektórzy mieli w zwyczaju ich określać. Był elementem otoczenia niezbędnym i wszechobecnym, ale niekoniecznie akceptowalnym. Dla wielu był też źródłem zarobku lub przyjemności, gdy potrzeba seksu była tak duża, że nawet ludzka dziwka zdawała się odpowiednia. Ale żeby człowiek stał się partnerem dla istoty wybranej, nadrzędnej? To nie mieściło się w starych, wampirzych głowach. Absolutnie.

Tylko Bogusław zdawał się ze spokojem podchodzić do tej bulwersującej kwestii. Nie oburzał się, ponieważ był po ich stronie – po stronie tych, którzy w tym momencie byli, niestety, ostatecznie i nieodwracalnie martwi. Nie ja pierwszy – przemknęło mu przez myśl, gdy przypomniał sobie swoje wczorajsze rozważania. Ciekawe, ilu tak naprawdę nas jest? Kurczę... nas? To zaczyna być niebezpieczne – przywołał swoje myśli do porządku. Nie było na nie czasu. Teraz trzeba było zająć się sprawą bestialskich mordów. Zwłaszcza, że odkrył coś jeszcze – coś, co naprawdę go przeraziło. Bardziej, niż pozostałych przeraziły wampirzo-ludzkie zażyłości.

Monarcha uniósł rękę, tym jednym gestem uciszając zgromadzonych. Surowym wzrokiem spojrzął na Bogusława.

– Nie zapomniałeś aby, wolny wampirze, gdzie twoje miejsce? – syknął. – Jakim prawem śmiesz zabierać głos przed królem? Nieproszony?!

– Wybacz, proszę, Chwalimirze, ale nie mamy czasu, by bawić się w delikatność względem twych hołdowników. Myślę, że tak samo dobrze jak ja, zdajesz sobie sprawę z tego, że mamy do czynienia z dużo większym problemem niż ich brak przystosowania do czasów, w których żyją i zmian, jakie one za sobą niosą.

To, że Bogusław zwracał się do króla bez należnych mu tytułów, nikogo nie zaskoczyło. Jako wolny wampir miał do tego prawo, oczywiście z zachowaniem właściwego władcy szacunku. Niemniej jawna krytyka wobec wysoko postawionych w hierarchii władzy członków Rodzaju...? Nikt jednak nie odważył się odezwać. Trwali więc w osłupieniu i dopiero rzeczowy głos monarchy wyrwał ich z tej swoistej katatonii.

– Masz rację, Bogusławie. Wiedziałem, że to zauważysz. I wiesz już chyba, że to twoje zadanie?

– Więc dlatego mnie tu zaprosiłeś? Dlatego chciałeś, bym zobaczył te zdjęcia?

– Cóż? Tak. A do pomocy proponuję ci Leona. Wiem, że dobrze się rozumiecie, a zaufana osoba będzie ci niezbędna. Wierzę też, że jako bardzo młody wampir, który nigdy wcześniej się z tym nie spotkał, będzie miał na wszystko świeże spojrzenie.

Konsternacja pozostałych rosła z każdym kolejnym słowem, ale nadal nikt nie ośmielił się odezwać. Jak mogli zabrać głos, skoro nawet nie wiedzieli, o czym król z Wolnym rozmawiają?

– Wiem, że nie rozumiecie – stwierdził sucho monarcha. – Przyjrzyjcie się więc zdjęciom, a my z Bogusławem wyjaśnimy, co jest główną przyczyną zwołania konwentu.

Rozłożywszy przed sobą policyjne fotografie, zaczęli im się wnikliwie przyglądać. Dwa martwe ciała rozciągnięte na asfalcie. W tle budynku stacji benzynowej z szyldem znanego dostawcy paliw. Bogusław nie rozpraszał się oglądaniem innych zdjęć, skupił się na tym i zaczął je drobiazgowo studiować, chcąc ponad wszelką wątpliwość potwierdzić swoje podejrzenia. Obydwa ciała były półnagie. Jedno blade, niemalże białe, bez śladów krwi na nagiej, kobiecej klatce piersiowej. Ciało, w pewnym sensie, zdawało się nietknięte, brakowało mu tylko... głowy; w miejscu serca tkwił solidny drewniany kołek. Kształtna, niewieścia głowa o urodziwej twarzy stała w miejscu jej odcięcia w krwawej kałuży.

Rany zadawane wampirom nie były dla nich śmiertelne. Właściwie nie powodowały nawet większego spustoszenia i często nie krwawiły z uwagi na ich niewiarygodną zdolność regeneracji. Jedynym, co uśmiercało i powodowało obfite krwawienie była dekapitacja.

Bogusław patrzył na martwą kobiecą głowę, a wyobraźnia zaczęła podsuwać mu całkiem

inne obrazy. Otrząsnął się, przeszyty niemiłym dreszczem i ponownie skupił na fotografii. Drugie ciało było mocno okaleczone – usiane licznymi ranami jakby ktoś chciał w ten sposób wykrwawić ofiarę, nim zada ostateczną śmierć. Nie chcąc przyglądać się kobiecym zwłokom, skoncentrował uwagę na tych zakrwawionych. Człowiek, ludzki mężczyzna, leżał na ziemi z porzrzuconymi bezładnie ramionami i wielką, krwawą plamą na nagim torsie oraz kałużą krwi wokół. Miał rozerwaną klatkę piersiową, a z ogromnej dziury w miejscu, w którym kiedyś było serce, zionęła odrażająca pustka. Serce wydarto z ogromną siłą i wyjątkowym okrucieństwem. Otwór wypełniała wilgotno-koścista masa strzępów – żył, mięśni oraz połamanych i zmiażdżonych żeber. Twarz ofiary razila szeroko otwartymi, przerażonymi oczami, które niewidzącym wzrokiem patrzyły prosto w obiektyw aparatu. Kurwa mać! – pomyślał, z trudem wytrzymując martwe spojrzenie nieboszczyka. Nie miał przed sobą takiego widoku już od bardzo, bardzo dawna. Nie znosił widoku przerażenia w ludzkich oczach. Nie przyczyniał się do tego nawet w czasach, kiedy jedynym źródłem pożywienia była ludzka żyła. Zdecydowanie bardziej wolał zauroczyć ofiarę i pić spokojnie płynącą, ciepłą krew, niż pożywiać się tętniącą strachem, gorącą krwią przerażonego człowieka. Jak zabójca... człowiek, mógł zrobić coś takiego innemu człowiekowi? Wampir wampirowi nie zrobiłby tego nigdy. Uciekł wzrokiem od trzymanej w dłoniach fotografii i na chwilę zagłębił się we wspomnieniach. Znów widział zbezczeszczone ciało Jagienki – półnagie, trupio białe, bezgłowe i napiętnowane. Wstrząsnął nim dreszcz grozy. Poczł, jak gardło mu się zaciska, a fala bólu uderza w niego z niepomamowaną mocą. Oczy zaszkliły się łzami i znów nie mógł oddychać – dokładnie tak jak w noc jej śmierci. Musiał się opanować, nie mógł pozwolić, by emocje go przytłoczyły i oderwały od rzeczywistości. Zacisnął więc mocno powieki, powstrzymując łzy i próbował złapać oddech, powtarzając sobie, że martwa kobieta na zdjęciu nie jest Jagienką. To zwłoki innego wampira. Innej kobiety Rodzaju, która niestety miała tak samo mało szczęścia – trafiła na... ZABÓJCĘ.

Złapał oddech. Powoli zbierał się w sobie, by spojrzeć na ciało wampirzycy i dokładnie przyjrzeć się piętnu.

– ...IN NOMINE PATRIS. – Usłyszał ostatnie słowa Chwalimira.

Skrywającym się w nich okrucieństwem słowa te na dobre wyrwały Bogusława z jego bolesnych wspomnień.

– Czyż nie za zabicie ostatniego zabójcy Bogusław otrzymał status wolnego wampira? – zapytał niepewnie Leon, chcąc, w świetle zaistniałych okoliczności, potwierdzić swą wiedzę.

– Tak było. Ostatni zabójca był wyjątkowo skuteczny i przez wiele lat nieuchwytny. Wampir, który przyniesie jego głowę miał zagwarantowane żądanie od władców wszystkich Ziem. Gdy Bogusław, rozgoryczony i zdeterminowany, by dokonać zemsty, zabił ostatniego zabójcę, jego żądaniem było stać się wolnym wampirem, a królów Ziem spełnili swoją gwarancję. Uznaliśmy jego wolny status. – Monarcha pokiwał głową, jakby potwierdzając dawne zobowiązanie.

– Jak więc to możliwe? – Leon drażył temat, wskazując leżące przed sobą zdjęcia, uściślając, co dokładnie ma na myśli, mówiąc „to”.

– Sądę, że mamy do czynienia z reaktywacją. – Bogusław nie czekał, aż ktoś inny zabierze głos, snując wątpliwe przypuszczenia. Wyraził swoje przekonanie, nadając jasność sytuacji.

– Bogusławie, znów się zapominasz, odzywając się przed swym władcą nieproszony. – Król pokręcił głową zrezygnowany. Rozumiał wzburzenie starego wampira. – Ale tak. Myślę, że Bogusław ma rację. Niestety najprawdopodobniej to jest reaktywacja.

Zapanowało posępne milczenie, którego nikt nie przerywał, obawiając się wypowiedzieć na głos to, co oczywiste i bezsprzecznie przerażające. Jak zwykle Bogusław musiał wziąć na

siebie ciężar niechcianych słów, by nic co istotne, nie zostało pominięte milczeniem.

– Wiecie... teraz już wszyscy – spojrzał znacząco na Leona – że całe lata ścigałem ostatniego zabójcę. Gdy przyniosłem królom jego głowę, Rodzaj był przekonany, że IN NOMINE PATRIS przestało istnieć, bo ostatni człowiek w jego szeregach wyzionął ducha. Teraz mamy to. – Tym razem on machnął dłonią w kierunku fotografii i akt na stole. – A więc jest ktoś nowy, zupełnie nowy. Jeśli współczesny człowiek, który nie miał prawa wiedzieć o naszym istnieniu, zostaje zabójcą, to znaczy, że natrafił na zaginione manuskrypty. Z nich dowiedział się o nas, o walce i jej technikach no i o bractwie. A skoro wie o bractwie, to... – Rozłożył dłonie w geście bezradności i kręcąc głową, charakterystycznie zwięził usta.

– Idąc dalej torem tej dedukcji... z pewnością je reaktywował – dokończył Leon.

– W takim razie, najprawdopodobniej, mamy do czynienia z więcej niż jednym zabójcą. Jak wielu ich jest...? – Bogusław celowo zawiesił pytanie.

– To właśnie trzeba zbadać i zamknąć sprawę raz na zawsze. – Chwalimir wiedział, jakie są przemyślenia Bogusława. Teraz uwagę zebranych należało skierować na inne aspekty sprawy, śledztwo zaś pozostawić wybranym. – Wasze zadanie – zwrócił się do baronów – to znaleźć na swoim terytorium wszystkich zagrożonych członków Rodzaju i ich ludzkich partnerów, a potem zapewnić im bezpieczeństwo. Zwłaszcza istotom ludzkim. Należy przydzielić im dwudziestoczterogodzinną ochronę, a może wręcz zagwarantować bezpieczne schronienie.

– Dlaczego mielibyśmy zapewniać ochronę śmiertelnym? – Baron Okręgu Poznania bez wątpienia wyraził również myśli pozostałej dwójki.

– Mój Pawle – odezwał się protekcyjnie jego władca. – Jak widzę, nie pojmujesz skali zachodzących wokół ciebie zmian. Zważ, że nie jest to sytuacja odosobnionego członka Rodzaju i jednego ludzkiego wybryku natury. Nie możemy marginalizować zjawisk, które zachodzą w naszej społeczności. Nawet jeżeli ich nie akceptujemy. Na tym stole mamy akta siedmiu par. Martwych par, czyli tych, które dały się zdemaskować. Nie wiemy, jak wielu członków Rodzaju jest w takich związkach. Być może jest to całkiem duża grupa. Nie wspierając ich w tak trudnej sytuacji, prawdopodobnie skazujemy ich na śmierć. A przecież czyż nie po to Rodzaj obiera królów i baronów, by w najtrudniejszych momentach szukać u nich schronienia i znajdować w nich oparcie? Pamiętaj, mój Pawle, nie odwracaj się od swoich poddanych, bo któregoś dnia oni mogą odwrócić się od ciebie – zakończył równie protekcyjnie, jak zaczął, a jego patetyczna złota myśl zdecydowanie wywarła wrażenie na trójce konserwatywnych baronów.

– To prawda, nie możemy ryzykować zawiązania się międzyokręgowego sojuszu malkontentów. Mógłby stać się zbyt silnym organizmem. Może nawet łączącym członków Rodzaju ponad królestwami. – Jędrzej zdawał się być w tej chwili głosem rozsądku.

– No właśnie. Bunt, to najmniej wskazana rzecz w tym momencie. Nie mam teraz na to czasu – zauważył Chwalimir bezceremonialnie. Że stłumiłby go w mgnieniu oka, nie było żadnej wątpliwości. – Mamy zatem dwa podstawowe kryteria zadań, które winniśmy wprowadzić w życie zaraz po dzisiejszym spotkaniu – zaczął, podsumowując, gdyż świt zbliżał się siedmiomilowymi krokami i należało podjąć wiążące decyzje przed jego nastaniem. – Po pierwsze, bezpieczeństwo i wzmożona ochrona potencjalnych ofiar, czym zajmą się baronowie okręgów na swych terytoriach. Po drugie, zespół śledczy z wolnym wampirem na czele, by bez problemów mogli poruszać się pomiędzy królestwami. Bogusławie – tu spojrzał na niego znacząco – do pomocy dostajesz Leona i Otto. W każdej chwili możesz zwiększyć ilość pomocników, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Podsumowanie, jak zawsze jednoosobowe, monarsze, było bezdyskusyjne i wiążące. Nie było mowy o jakiegokolwiek dyskusji. Zebrani wstali więc od stołu i skłoniwszy się uroczyście, wyszli bez słowa, rozchodząc się do gościnnych pokoi.

– Chciałbym, żebyście wraz z Leonem również przyjęli moje zaproszenie i zanocowali w domku dla gości – powiedział Chwalimir, gdy Bogusław podchodził do drzwi, by opuścić salę obrad. – Od jutra trzeba będzie solidnie zabrać się do roboty, żeby jak najszybciej rozwiązać tę cholerną sprawę.

Stary wampir przytaknął skinieniem głowy i wyszedł, kierując się do swej tymczasowej kwatery.

Domek gościnny, jak wszystko zresztą na tej posesji, nie był wcale takim małym domkiem. Parterowy, urządzone gustownie i oczywiście drogo, z bezpośrednim wejściem do sporego salonu oraz dwoma dużymi sypialniami w zupełności zaspokoiłby potrzeby mieszkaniowe czteroosobowej rodziny. Toteż oczywistym było, że doskonale sprawdzi się jako miejsce tymczasowego pobytu dla dwóch samotnych mężczyzn.

Jedyną o czym marzył Bogusław, wszedłszy do środka, była szklanka ciepłego, czerwonego napoju. Podszedł do niewielkiej lodówki w mini barku i wyciągnął dwa plastikowe woreczki, których zawartość przelał do kryształowych szklanek i podgrzał w kuchence mikrofalowej. Tymczasem rozłożony jak turecki basza Leon, oczekiwał na swój posiłek w dużym, aksamitnym fotelu z kwiecistym obiciem.

– To będzie niezła zabawa – rzucił wyraźnie podekscytowany.

– To nie jest żadna zabawa, młody. To cholernie poważna sprawa, która, jeżeli w porę jej nie rozwiążemy, może doprowadzić do dziesiątkowania naszej społeczności.

– Cholera! Masz rację. – Leon z powagą spojrział na przyjaciela. Chyba dopiero teraz dotarła do niego ta brutalna prawda. – Założyłem, że skoro ofiarami są mieszane pary, to reszta wampirów może czuć się bezpiecznie. Kurwa, wcześniej nie upatrywałem w działaniu bractwa szerokiego aspektu.

– Nic bardziej błędnego! – Bogusław westchnął, widząc beztróskę młodego. – Bractwo powstało, by tępić wampiry, a ta nowa walka jest tylko efektem społeczno-kulturowej ewolucji. Pierwotne bractwo powstało, gdy nie było takich par. Teraz komuś wpadły w ręce dokumenty, które nigdy nie powinny powstać, a jeśli już, to dawno powinny spłonąć. – Pokręcił głową niedowierzając, że koszmar bractwa powrócił. – A on zrobił z nich użytek na swoją pokręconą modłę i naszą zgubę – dodał.

Leon milczał. Cóż mógł odpowiedzieć? Bogusław miał absolutną rację i oby tylko jego przewidywania nie okazały się prorocze.

Siedzieli w wygodnych fotelach i przez oszkloną ścianę spoglądali na rozciągający się za nią park, gdy tymczasem świt coraz dokładniej kolorował świat za oknem. Mieli zaledwie chwilę, by napawać się tym zjawiskiem – potem muszą przejść do zaciemnionych sypialni. A mimo to nie chcieli jeszcze zapadać w sen. Leon był dość młody, by wciąż mieć w sobie spore pokłady człowieczeństwa, a stary Bogusław pielęgnował ludzkie cechy w wieloletnim związku, stąd lubili czasem sięść i po człowieczemu pogadać, nawet jeśli temat był przykry, jak dziś. A temat związków był szczególnie drażliwy. Wampiry – na ogół samotne i niezależne były zamknięte w sobie i towarzysko nieporadne. Rzadko który decydował się na stworzenie sobie partnera. Wymagało to dużej umiejętności twórczej, a potem żelaznego wręcz samozaparcia, by podporządkować się współegzystencji. Tylko osobnik, który zachował wystarczająco dużo ludzkich cech, mógł się na to zdobyć. Bogusław poznał takiego wampira i był z nim przez stulecia. Teraz, gdy jej zabrakło, czuł się osamotniony. Nie miał odwagi zostać stwórcą, zresztą w czasach ekstremalnej humanizacji świata było to po prostu nie do pomyślenia. Więc może o to właśnie chodzi? – ożywiła się jego podświadomość. Może to jest sposób na bycie z kimś? Ludzki partner. Nawet, jeśli tylko na jakiś czas. Jakże inspirująca idea. Wreszcie wszystko zaczynało się logicznie układać. Jego zauroczenie, jego przedziwne myśli i plany nabierały logicznego kształtu.

Potrzeba partnera, ale nie starego wampira samotnika, a skoro nie można stworzyć nowego – bardziej ludzkiego, to pozostaje żywy człowiek. I dlaczego niby nie? Uśmiechnął się do tego szalonego pomysłu.

Rozdział 5

Poniedziałkowy wieczór w gościnnym domku zaczął się rutynowo – lodówka, woreczek, szklaneczka, mikrofalówka – czynności od lat powielane tyle razy, że nikt już nie przykładał do nich wagi. Zawsze po przebudzeniu trzeba się było pokrzepić, by nie czuć dzikiego, wampirzego głodu. Codzienne, małe dawki utrzymywały stały poziom zaspokojenia, a to dawało odprężenie, nawet jeżeli nie dawało satysfakcji. W tej sytuacji można było tylko tęsknie wzdychać do dawnych, dobrych czasów, w których posiłek był celebracją. Czasów, kiedy ludzie w swej naiwności i niewiedzy byli jak smakowicie pachnące, kolorowe bufeciki, przyciągające wzrok i biegające luzem po świecie niczym kucyki Pony z barwnych kreskówek dla dzieci. Czasy, kiedy upatrzenie i upolowanie ofiary dostarczało dreszczyku emocji, a potem gorące tętno pulsujące pod językiem wznagało bukiet zapachów człowieczego ciała. Nic. Teraz posiłek był jak szczelnie zafoliowane mrożonki z supermarketu. Wyjmowało się to z opakowania i mełło w kulinarnym zapale, by w końcowym efekcie uzyskać namiastkę pobudzającą wspomnienie dawnych rozkoszy, które czuło podniebienie.

Zmierch zapadł jakiś czas temu. Dwaj mężczyźni Rodzaju siedzieli na wzorzystej kanapie w „dziennej” części gościnnego domku i milcząc, sączyli ciepłą, czerwoną ciecz ze swoich kryształowych szklanek. Jak długo tu pozostaną? Nie wiedzieli. Bogusław zamierzał wynieść się stąd najszybciej, jak się da. Może nawet jeszcze dziś, jeżeli tylko ustalą niezbędne szczegóły dotyczące śledztwa. Leon zamieszkiwał tu częściej, więc należało zakładać, że nie będzie się spieszył z powrotem do swojego domu.

O co chodzi w tych jego relacjach z Chwalimirem? – stary wampir znowu zaczął się zastanawiać nad rodzajem więzi łączącej młodego z królem. Nie wyglądało jednak, by ukrywali jakąś wstydliwą zażyłość. Widocznie monarcha miał względem Leona własne plany, a póki ten nie buntował się przeciw tej zależności, korzystał z oferowanych mu przywilejów.

– Czytałem ostatnio w którejś z tych nowomodnych książek o wampirach, że pili tam krew mieszaną z alkoholem. Może to niegłupie? Wiesz... piwo, szampan i coś mocniejszego, wreszcie byłaby jakaś odmiana, bo już mi to trochę bokiem wychodzi. – Młody uniósł rękę ze szklanką i pokiwał naczyniem na boki tak, że znajdująca się wewnątrz krew zabarwiła ścianki po same brzegi. – Czasem ogarnia mnie chęć, by zapolować.

Sławek słuchał i patrzył, jak Leon mówi bardziej do trzymanej przez siebie szklanki, w którą zawzięcie się wpatrywał niż do niego. Też miał czasami dość przefiltrowanej, czystej krwi. Marzył, by, jak dawniej, poczuć w niej smaki, które spożywali ludzie. Żywa krew prosto ze źródła zawsze czymś smakowała. Były czasy, że głównie alkoholem, ale to nie sprawiało problemu – wampira nie można było nią upić. Procenty szły w czub człowiekowi, a posmak zostawał, zabarwiając krew jak delikatny nektar.

– Chcesz spróbować? Nie ma sprawy, jak wrócimy z narady możemy poeksperymentować. Przynajmniej, jeżeli się potrujemy, to nas tu odratują.

– Czym się chcesz potruć? Skoro woda nam nie szkodzi, to może woda też nie będzie – zażartował Leon.

– Masz rację, młody. Woda, woda... jeden pies.

Roześmiali się. Rzadkość wśród nieumarłych? Z pewnością, ale ich relacje były inne – niestandardowe, bardziej ludzkie. Może za sprawą Leona? Kto wie? Niemniej odkąd ten młokos pojawił się w Zachodnich Ziemiach i napatoczył na Bogusława, już nic nie było takie samo. Stary wampir uczeplił się tej znajomości równie mocno jak zagubiony, szukający swego miejsca w Mrocznym Świecie noworodek. Może to tylko przypadek, że, tak dalece odmienni, trafili akurat

na siebie? Tak czy siak, każdy z nich miał coś do zaoferowania; młody – człowieczeństwo i ludzką brawurę, stary – doświadczenie i tysiącletnią mądrość. Jak nie skorzystać z takiej hojności przypadku? Właśnie niespożyte pokłady człowieczeństwa tak bardzo przyciągały Bogusława. Odkąd stracił Jagienkę, przestał je w sobie pielęgnować. I nagle, po dwustu latach, ten młokos... Nie mógł zaprzepaścić takiej okazji, więc uchwycił się jej i trzymał po dziś dzień.

Wyszli w kolejny przyjemny wieczór tej jesieni. Na zewnątrz nie było już śladu po wczorajszym zgromadzeniu – zniknęli nie tylko wierni poddani manifestujący swe oddanie władcy, ale i wypasione bryki, które skrzętnie wypełniały każdy zakamarek podjazdu. Dookoła panowała zwyczajowa cisza, a świat pachniał miękkim, słonecznym światłem, którego najwidoczniej było sporo w mijającym dniu, a którego nie mieli szansy zobaczyć. Zapach słonecznych promieni to wszystko, czego mogli zakosztować.

– Myślałeś kiedyś o zmianie trybu życia? – Niespodziewane pytanie Leona zaskoczyło starego wampira.

– Dlaczego pytasz?

– No wiesz. Czasem marzy mi się słońce.

– Też je czujesz?

– Jak my wszyscy.

– Nie wiem. Nie zastanawiałem się. Setki lat przyzwyczajenia robią swoje.

– No właśnie, a przecież obecne technologie umożliwiają nam wiele.

– Właśnie. – Sławek pokiwał głową. – Kto by kiedyś przypuszczał, że nadejdą czasy, gdy wyjdziemy z trumien i będziemy mogli mieszkać jak normalni ludzie?

– Nie do końca. Ciągłe egzystujemy w ciemności.

– No tak, ale teraz chcemy porwać się na życie w blasku słonecznego światła.

– W tyłkach nam się po prostu przewracało – zaśmiał się Leon.

– A żebyś chciał wiedzieć. Nie znasz legend, młody? Przyzwoity wampir straszy nocą, a w dzień, jak Bóg przykazał, leży martwy w swoim grobowcu. Pamiętaj o tym.

– Tak jest, proszę pana! – Leon zsalutował z filuternym grymasem na pięknej twarzy.

– A tak na poważnie – Bogusław miał zamyślane oblicze – gdybym był w związku z człowiekiem jak te nieszczęsne wampiry z wczorajszych raportów, to pewnie rozważyłbym możliwość przestawienia się na tryb dzienny, ale na razie jest mi dobrze, tak jak jest. To musiałaby być naprawdę silna motywacja, żebym dał się uwieść słońcu.

– Wiesz...? – Młody zawahał się. – Nieraz mnie kusilo, żeby poumawiać się z jakąś soczystą, ludzką babką. Może nawet mały gryz od czasu do czasu, ale nigdy nie zdobyłem się na odwagę, żeby tego spróbować. Tylko dziwki – dodał z dziwnym grymasem.

– Może jeszcze nie spotkałeś odpowiedniej kobiety.

Leon spojrzał na kumpla zaskoczony.

– Stary, ty tak na poważnie? Myślałem, że mnie opieprzysz. Że powiesz, że nie spotykamy się z ludźmi i te inne dyrdymały o Rodzaju i podgatunkach. No wiesz... – Znów się zawahał. – A ty mi mówisz, że nie spotkałem odpowiedniej kobiety?

Bogusław spojrzał na niego z ciepłym, serdecznym uśmiechem.

– A kimże ja jestem, żeby ci morały prawić? – Serdeczny uśmiech nie schodził z jego twarzy, gdy po przyjacielsku klepnął Leona w ramię. – Poza tym... soczysta babka... mówisz? No, no, to brzmi perwersyjnie.

– No wiesz, nasze panie, w większości są jakieś takie... podsuszone, nie uważasz?

Bogusław uniósł brwi zaskoczony i roześmiał się, spoglądając na zde gustowanego Leona.

– Nie wszystkie. Poza tym to jest teraz trendy – odpowiedział, spokojnie zmierzając w stronę głównego budynku, gdzie czekała ich pierwsza narada związana ze śledztwem.

– A ja wolę ciepłe, kobiece krągłości. Jak za dawnych, dobrych czasów – przekomarzał się Leon, dotrzymując mu kroku. Był zdecydowany, nie dać szans kościstym, bladym niewiastom.

Bogusław doskonale go rozumiał. Kobieta, która ostatnio tak cholernie zalazła mu za skórę, też miała krągłości, którymi szczerze go urzekła.

– Zobacz, co wzorce z młodości robią z naszą świadomością – rzekł. – Mody się zmieniają, mężczyźni co dekadę szaleją za innym ideałem piękna, a my, stare dziadki, rozczulamy się nad krągłościami. Czy to zdrowe?

– Jak diabli, stary. Jak diabli. – Leon pokręcił głową z zadowoloną miną. Niezależnie od tego jak bardzo i jak często będzie ulegać modom kanon kobiecego piękna, on już dawno wybrał swój ideał i choćby świat wywracał się do góry nogami, tego ideału nigdy nie podda modyfikacjom.

Kiedy podchodzili do drzwi głównego budynku, te rozwarły się szeroko, a w ich świetle stanął Otto i wyglądając na zniecierpliwionego, gestem ponaglił ich do wejścia. Krótkie „cześć” było wszystkim, czym ich uraczył, a potem odwrócił się i zdecydowanym krokiem ruszył wzdłuż korytarza. Nagrzane słonecznymi promieniami posadzki oddawały teraz swoje ciepło, tworząc w tej zbyt dużej przestrzeni mimo wszystko przytulny klimat.

Kolejne drzwi po otwarciu ukazały im obszerny gabinet-bibliotekę. Bez wątpienia był to prywatny pokój przyjęć, coś na kształt kancelarii, w której Jego Wysokość przyjmował gości z pominięciem otoczki dyplomatycznej, ale nie całkiem na prywatnym gruncie.

Pokój był duży i kosztownie urządony. Oczywiście! Takie gabinety spotykano w zamożnych, brytyjskich posiadłościach i właśnie w tym klimacie utrzymany był jego wystrój. Ściany w całości wyłożono panelami z dębowego drewna. Na dwóch mieściły się imponujące, sięgające od podłogi po sufit, regały na książki wypełnione wolumenami po same brzegi. To zrozumiałe, że przez lata długiej egzystencji Chwalimir zdołał zebrać tak okazały księgozbiór, zatem jego rozmiar nie powinien budzić zaskoczenia. A jednak taki ogrom książek w prywatnych zbiorach mógł przyprawić o zawrót głowy. Pokój wysoki na dwie kondygnacje miał w jednym z narożników kręcone schody, prowadzące na wewnętrzną antresolę, zdobne w kutą balustradę wykończoną dębowym pochwytem. Antresola ułatwiała korzystanie z pozostałej części księgozbioru, zajmującego na piętrze wszystkie cztery ściany. Na środku gabinetu rozciągał się ręcznie tkany, wełniany dywan, a na nim oryginalne skórzane Chesterfieldy w kolorze butelkowej zieleni. Dwie trzyosobowe kanapy i dwa pojedyncze fotele ustawione na szczytach, plus obszerny klubowy stolik pomiędzy nimi tworzyły zamknięty krąg. Stojący pomiędzy jedną z kanap, a fotelom okrągły dębowy barek ze szklanymi ściankami i mosiężną tacą jako wiekiem wypełniony był butelkami z luksusowymi trunkami. Na tacy stały duże kryształowe szklanki i koniakówki. Po co? – zastanawiał się Bogusław. Przecież wiadomo, że cokolwiek poza wodą jest dla nas toksyczne. A może to tylko stare przesady? Może trzeba to sprawdzić? – kusiała podświadomość. Później – upomniał się.

Wystroju dopełniało antyczne biurko iście królewskich rozmiarów, skórzany fotel na kółkach, dwuskrzydłowe drzwi tarasowe prowadzące bezpośrednio do ogrodu i ogromny kominek, w którym radośnie figlowały żółto-czerwone płomienie. Na ścianach rozwieszono subtelne grafiki w prostych, kosztownych ramach, których piękno podkreślało odpowiednie oświetlenie.

Bogusław od lat żył w tym królestwie, od dawna też obracał się w kręgach zbliżonych do Dworu, a jednak dopiero dziś zawitał do pałacowych wnętrz dostępnych nielicznym. Mimo paskudnych okoliczności czuł się wyróżniony.

Kiedy weszli, na dębowym stoliku leżały już skórzane teczki z okuciami, a siedzący za

swoim biurkiem Chwalimir czekał na nich, wyraźnie zniecierpliwiony. Duża mosiężno-alabastrowa lampa oświetlała nie tylko blat biurka, ale i dostojne oblicze monarchy, które w tym momencie odzwierciedlało jego rozdrażnienie, mimo iż przyszli o wyznaczonej porze. Władca energicznie zerwał się z miejsca i wyciągając dłoń, powitał ich banalnym ludzkim uściskiem.

– Witajcie, panowie. Witajcie – rzucił pospiesznie i wskazując gestem klubowe kanapy, zaprosił, by siedli. – Już najwyższa pora. Mamy za mało czasu, żeby tracić choćby minutę. Siadajcie i otwórzcie swoje teczki. Ruszamy.

Jego zapal zaskakiwał. Do tej pory znali go z niemalże chorobliwego opanowania i żelaznej zdolności ukrywania emocji. Uzewnętrznianie niepokoju było w przypadku Chwalimira równie nieprawdopodobne jak wygrana w totka. Najwyraźniej jednak sprawa IN NOMINE PATRIS wstrząsnęła monarchą na tyle, że postanowił nie przejmować się zachowywaniem ugruntowanych pozorów i puścił swoje emocje na wzbierający żywioł, jakim było rodzące się dla Rodzaju zagrożenie.

Bogusław chwycił leżącą przed nim teczkę i otworzył. Wyjąwszy zawartość, rozłożył dokumenty na stole. Leon i Otto poszli w jego ślady i teraz siedzieli, przyglądając się siedmiu raportom policyjnym, siedmiu raportom posekcyjnym i siedmiu zestawom fotografii z miejsc zbrodni.

– Przejrzyjcie, bardzo proszę, dokładnie raporty policyjne i raporty z sądówki – zasugerował Chwalimir, siadając na jednym z foteli u szczytu stołu.

– Pierwszy raport jest sprzed dwóch lat – zauważył Bogusław.

– No właśnie! – Król energicznie wycelował palec wskazujący w stronę Wolnego. – Dwa lata temu ktoś zabił w oczywisty sposób jednego z nas i nikt nie zaalarmował pozostałych. – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– W sumie... o metodach bractwa wiedzą tylko osoby z kręgu władzy. Ktoś mógł po prostu nie skojarzyć okoliczności – zasugerował Bogusław.

– Każda taka sprawa przechodzi przez ręce baronów i monarchów. Dobrze o tym wiesz – zaperzył się król.

– W takim razie, może to przeoczenie.

– Może – stwierdził Chwalimir sugestywnie wolno. – A może... nie tylko ludzie biorą udział w tej krucjacie?

– Ale wczoraj... nie... w ogóle nie było mowy o takiej ewentualności. – Otto pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Wczoraj nie chciałem tego mówić głośno. Wiesz, jakie piekło by się rozpętało?

– Masz na myśli, Wasza Wysokość, że ktoś z naszych macza w tym palce?

– Mam na myśli, że... jak zapewne już wczoraj zauważyliście, wielu z nas nie podobają się związki międzyrasowe. Kto wie, jak daleko są w stanie się posunąć, by im zapobiec?

– Nie. Nie wierzę, żeby ktoś z Rodzaju reaktywował bractwo. – Bogusław zachowywał zdroworoządkowy spokój.

– Obyś miał rację. Świat się zmienia, Bogusławie, ale wielu z naszych zostało ze swą mentalnością w wiekach średnich i nie są w stanie pojąć, jak bardzo ich świadomość nie przystaje do czasów, w których żyją.

– A przez to stają się niebezpieczni – dodał Leon, puentując myśl władcy.

– Tak. Przez to stają się niebezpieczni. Mogą chcieć zachować status quo za wszelką cenę. Nawet cenę życia swych braci.

– No dobrze. Rozważmy tę opcję – zaproponował Otto. – Załóżmy, że ktoś z naszych napotyka taką parę, no to przecież wiadomo, że nie może działać na własną rękę. A który król

zdecydowałby o takiej formie rozwiązania problemu?

– Otto ma rację – zauważył Sławek. – Król po prostu zawezwałby takiego poddanego do siebie i nakazał mu zakończyć związek.

– A jeśli to nie związek tylko więź? – Leon wzruszył ramionami niepewny czy się nie ośmiesza, a jednak zaskoczył ich swoim pytaniem.

– Co masz na myśli? – dociekał Otto.

– Wiemy, że nie stosuje się teraz pełnej więzi z wymianą krwi obojga partnerów, ale może jest jakaś forma pośrednia. Forma, która jednak wiąże ich ze sobą na tyle, że nie potrafią z tej więzi zrezygnować.

– Wielokrotne pożywanie – wypalił Bogusław jakby automatycznie, nim zdążył się nad tym zastanowić.

– Kurczę! To może być myśl! – zawołał Otto. – Coś przecież musiało te pary łączyć, że zdecydowali się trwać w tych trudnych związkach.

– A z takiej więzi nikt dobrowolnie nie zrezygnuje.

– Chociaż... wielokrotnego pożywania zaprzestaliśmy setki lat temu – stwierdził Sławek jakby na usprawiedliwienie swojej wcześniejszej, być może zbyt pochopnej sugestii.

– Zgadza się – odpowiedział mu Chwalimir. – Jak zorientowaliśmy się, że łączy nas to z ludźmi podobnie jak rytuał z partnerami Rodzaju.

– Cholera! – W tym momencie był to szczyt elokwencji Leona, ale pozostali nie okazali się lotniejsi; pokiwali zgodnie głowami, dając do zrozumienia, że właśnie wyjął im to z ust.

– Nie będziemy zatem skupiać się tylko na problemie IN NOMINE PATRIS.

Poprowadzimy śledztwo trzytorowo – zaproponował Otto.

– Tak. Po pierwsze: IN NOMINE PATRIS, po drugie: rodzaj więzi i rytuał z nią związany, po trzecie: ewentualny, ale dość prawdopodobny udział wampirów w tym procederze – podsumował władca. – I pamiętajcie jeszcze o jednym – dramatycznie zawiesił głos – to wcale nie musi zahaczać o kręgi władzy.

– Jakiś niepozorny, przeciętny wampir spiskuje z bractwem przeciwko swojej rasie? Nie wierzę. Nikt by się nie odważył.

– Mój drogi Otto. – Protekcyjny ton Chwalimira był rozbijający. – Czasy ślepej pokory, to czasy cholernie zamierzchłe. Teraz nawet posłuszne wampiry sądzą, że mają prawo do własnego zdania. Oburzające, ale takich niestety doczekaliśmy czasów. Zatem... nie można wykluczyć żadnej ewentualności.

Zasępił się. Obmyślając własną wersję sposobu rozwiązania problemu, każdy w milczeniu wertował dokumenty.

Bogusław znów przyglądał się półnagim zwłokom na fotografiach. Zdziwiło go, że ludzkie ciało było za każdym razem tak mocno okaleczone. Dlaczego? Przecież człowieka można tak łatwo pozbawić życia. W istocie ludzkiego ciała nie trzeba było masakrować, by zabić, chyba że sprawca był pieprzonym dewiantem. Tymczasem zwłoki na fotografiach przypominały odrażające truchła – z licznymi ranami, z ramionami porzrzuconymi w bezładnym geście oraz wielką, krwawą plamą na nagiej, rozerwanej klatce piersiowej, gdzie w miejscu serca była widoczna ogromna czarna jama z resztkami pozostałych wnętrzności. Dookoła tego rozlewała się potężna kałuża krwi. Twarze denatów wyrażały różne emocje – od skrajnego zaskoczenia, poprzez nieświadomość, do bezgranicznego przerażenia. U jednych oczy były otwarte, u innych zamknięte, to samo tyczyło się ust – jedne zdawały się bezgłośnie krzyżeć, gdy tymczasem inne milczały szczelnie zwarte. Aczkolwiek jedno było zbieżne – wszystkie ludzkie ofiary były osobami stosunkowo młodymi. Wieku wampirów ze zrozumiałych względów nie można było określić. Nieumarli z czysto ewidencyjnych uwarunkowań musieli wyrobić sobie prawdziwe

dokumenty, zawierając w nich nieprawdziwe dane. Na ich podstawie mogli swobodnie funkcjonować w śmiertelnym świecie. Zatem teraz należało rozpoznać poszczególnych osobników Rodzaju i własnymi kanałami dotrzeć do ich prawdziwych danych, które w policyjnych raportach były z oczywistych przyczyn przekłamane.

– Za mało jest tych danych, Chwalimirze. – Bogusław wciąż wertował papiery. – Mam nadzieję, że w swoich dokumentach masz zebranych więcej informacji.

– Tak. Mam.

Monarcha podszedł do swojego biurka i zabrał z niego opasłą teczkę. Mimo daleko posuniętej techniki informatycznej wielu nieumarłych nadal najlepiej odnajdywało się w obszarach papierowej, nie zaś elektronicznej, biurowości. Dlatego też miał małego pliku zebranego na pendrivie, z którego można by zrobić zwięzłą prezentację komputerową, na stole wylądował stos papierów z dużo obszerniejszą dokumentacją fotograficzną.

– Zacznijmy od lokalizacji – zaproponował Bogusław, który, mianowany dowódcą grupy śledczej, czuł się w obowiązku kierować dochodzeniem od pierwszej chwili pełnienia swej funkcji.

– Ataki miały miejsce w każdym z królestw – przypomniał Chwalimir. – Przypatrzcie się zdjęciom. – Rozłożył je na stoliku tak, by były dobrze widoczne dla wszystkich. – Ciała na asfalcie przy stacji benzynowej, ciała w ciemnym pokoju, tak dla waszej informacji... to pokój z zielonymi ścianami, i ciała w parku przy ławce, gdzie w tle widać szpaler niskich krzewów, to ofiary z Ziemi Wschodnich. Ofiary z Ziemi Południowych to te, które leżą w parku i w przydomowym ogrodzie. Ziemi Północne to te z ofiarami w lesie, a ten ostatni, w jasnym pokoju, to ofiary spod mojej jurysdykcji.

– Dlaczego, do cholery, dopiero teraz zebrano te sprawy? – Leon nie ukrywał oburzenia.

– Bo dopiero ja zdecydowałem się je nagłośnić. Ja pierwszy, gdy zdarzył się u nas ten incydent, zwróciłem się do pozostałych monarchów z zapytaniem, czy u nich nie miały miejsca takie zbrodnie i wtedy okazało się, że właśnie otworzyliśmy puszkę Pandory. – Chwalimir pokręcił głową, ale oblicze miał nieczytelne, jakby wszelkie emocje odpłynęły z niego bezpowrotnie. – Gdy zobaczyłem na zdjęciach parę mieszaną – kontynuował – a do tego rytualne ścięcie i piętno, wiedziałem, że to nie będzie odosobniony przypadek. Ale na moim terenie w żadnym okręgu nie było innych zgłoszeń, zacząłem więc dążyć dalej. No i znalazłem.

– A królowie przekazali ci prawo decydowania, panie? – upewniał się Bogusław.

– Absolutnie. – Żelazne zdecydowanie w głosie monarchy było jak lśniący, rycerski miecz – niebezpieczne i majestatyczne.

Trzy wampiry spojrzały na swego króla z niemym pytaniem w oczach. Wiadomo było, że w tak krytycznej sytuacji ktoś musi odgórnie sterować dochodzeniem, ale przecież nie zwołano zwyczajowego Konwentu Monarchów, by obierać reprezentanta, zaś zadufani w sobie wampiry wodzowie nie byli skorzy do dobrowolnego umniejszania własnych kompetencji. Jak, do choinki, Chwalimir to załatwił?

– Nie mamy czasu na procedury – jakby czytając w ich myślach, niemal od razu rzucił odpowiedź. – Załatwiłem sprawę trzema telefonami, a że właśnie mnie przekazali zwierzchnictwo? Cóż, jestem z nich najpotężniejszy.

Po prostu – zaśmiał się w duchu Bogusław – nic dodać, nic ująć.

W rzeczy samej, to nie były przechwałki. Chwalimir był najpotężniejszym władcą ze wszystkich monarchów na ziemiach polskich. Jego potęgę kształtowało nie tylko wielowiekowe doświadczenie, ale i skrajna bezwzględność. Nie było sprawy, której nie doprowadziłby do końca i z korzyścią dla swego ludu, choćby miał wypowiedzieć wojnę samemu władcy piekieł. Żaden z pozostałych królów nie cechował się taką stanowczością i charyzmą jak on. Żaden też, nie

zdecydowałby się toczyć z nim sporów, czy rzucać mu otwartego wyzwania. Byli na tyle światli, by zdawać sobie sprawę, że w najlepiej pojętym interesie ich i podległych im klanów jest mieć Chwalimira z Toporów po swojej stronie. Mimo upływu dekad wszyscy mieli w pamięci czas, kiedy zdarzył się zuchwalec, którego klany północne obrały na swego władcę i któremu, najwyraźniej, ciągle krążyły w głowie echa dawno przebrzmiałej chwały walk plemiennych. Robert Knotte – stary wampir z rycerskim doświadczeniem, któremu mało było jego terytorium. W swym pokrętnym umyśle postanowił podbić królestwo Ziem Zachodnich i pokonać Chwalimira, upatrując w tym drogi do nieograniczonej władzy. Wierzył, że pozostali królowie uznając wówczas jego zwierzchnictwo, bez walki oddadzą władzę w jego ręce. Niestety zuchwalec ów był absolutnie wyzuty z wyobraźni. Rzucenie wyzwania Chwalimirowi skończyło się dla niego szybko i cóż... śmiertelną nauką. Pozbawione wodza ościenne królestwo tylko dzięki wielkoduszności zwycięskiego monarchy mogło ponownie obrać króla. Wedle wszelkich prawideł Rodzaju bowiem, Chwalimir miał pełne prawo zaanektować podbity land.

Było to wieki temu, ale na stulecia ugruntowało jego pozycję. Od tego momentu nikt już nie próbował wejść mu w drogę i każdy poczytywał sobie za zaszczyt możliwość wyświadczenia mu przysługi. Dlatego też żaden z obecnych tu mężczyzn nie dziwił się, iż za sprawą trzech rozmów telefonicznych ich król mógł na czas kryzysu przejąć zwierzchnią władzę nad wszystkimi klanami.

Mężczyźni oderwali wzrok od monarszego oblicza i wrócili do przeglądania zdjęć.

Było sporo bardzo szczegółowych fotografii. Denaci znajdowali się na metalowych pryczach prosektoryjnych lodówek, a każda zadana rana była dokładnie obfotografowana i opisana. Na prawych ramionach napiętnowanych wampirzych ciał znajdował się wycięty sztyletem znak równoramiennej krzyża z groteskową, sześcioramienną gwiazdką na szczycie piętna. Symbol ten był graficznym znakiem hasła – idei bractwa i głosił: „W imię wiary! We wszystkie strony Świata!”.

Nie było wątpliwości – ktoś, kto zabrał się za tę robotę, doskonale poznał wszystkie szczegóły związane z rytuałem i do perfekcji opanował technikę znaku. Bez wątpienia nowy wróg Rodzaju przygotował się do tej walki, zgłębił wiedzę i metodycznie krok po kroku posuwał się ku ostatecznemu celowi – zwalczaniu wampirów.

Najśmieszniejsze w tej absolutnie nie śmiesznej sytuacji było to, że zaczęli zwalczać nieumarłych w momencie, kiedy stali się oni całkowicie niegroźni dla śmiertelnych. Osiągnięcia ludzkiego postępu wypracowały bowiem możliwość pominięcia bezpośredniego kontaktu dawca-biorca, zapewniając w ten sposób spokój i bezpieczeństwo obu stronom.

– Nakazałem, by w każdym królestwie powołano trzyosobowe zespoły do badania sprawy – oznajmił Chwalimir, przerywając długą chwilę ciszy, która zapanowała, gdy reszta studiowała dokumenty.

– Pierwsze morderstwa pojawiły się na Ziemiach Wschodnich, tak? – upewniał się Bogusław.

– Tak.

– Zatem uważam, że z tamym zespołem powinniśmy spotkać się w pierwszej kolejności. Czy zwierzchnictwo nadrzędne obejmuje tylko szczebel najwyższej władzy, czy dotyczy całych klanów wszystkich Ziem?

– Dotyczy wszystkiego. Nie ma co się rozdrabniać. Na czas kryzysu Królestwo Ziem Zachodnich obejmuje swym protektoratem pozostałe Ziemie.

– Świetnie. Zatem mamy władzę nadrzędną nad pozostałymi zespołami.

– W tym momencie teoretycznie. Ja mam władzę nad wszystkim jako protektor, ale to nie znaczy, że zespoły podporządkują się wyznaczonemu przeze mnie dowódcy naszego zespołu. Ty

jednak masz szansę zdobyć nad nimi władzę. Jesteś Wolny.

– Zapomniałeś? – zdziwił się Otto, gdyż Sławek zdawał się nie pamiętać o swojej nadrzędnej pozycji w Mrocznym Świecie.

– Bywa, że o tym zapominam. – Stary wampir podrapał się po karku, a twarz wykrzywił mu dziwny grymas. – Od tak dawna mieszkam na Ziemiach Zachodnich, nigdzie się nie przemieszczając, że nie było okazji, by sobie o tym przypominać.

– Miło mi – odezwał się monarcha, zdając sobie sprawę, iż słowa Bogusława były pośrednio hołdem dla jego rządów.

Żaden wolny wampir nie pozostawałby na terenach, na których rządy sprawował słaby, nieporadny władca. Chociaż słowa „słaby” i „nieporadny” nie funkcjonowały w języku Rodzaju, to jednak oddawały sedno sprawy. Wolny wampir miał wybór i mógł obrać na swój dom najlepsze miejsce w całym Mrocznym Świecie. Każdy monarcha niezależnie od narodowości i kontynentu poczytywał sobie za zaszczyt gościć taką osobę na własnym terenie.

– Ale myślę, że musisz sobie to z nimi wywalczyć. Wiesz jakie są wampiry – dodał król, gdy zdawało się, że wszystko jest jasne – trudno znoszą jakąkolwiek formę nadzoru. Zawsze pojawiają się indywidua, chcące być panami samych siebie.

Dwie godziny później, nie przeciągając narady ponad czas konieczny do ustalenia strategii działania, wszystko zdawało się klarowne. Określono wątki prowadzonego śledztwa, jego logistykę i priorytety. Kluczową kwestią stała się też konieczność połączenia zespołów Ziemi pod niekwestionowanym zwierzchnictwem Bogusława. Chwalimir natomiast, jako król protektor, miał być informowany o wszystkim co istotne i o postępach w dochodzeniu. Ustalono też, że miejscem bazy operacyjnej stanie się królewska posiadłość, ponieważ Otto zamieszkiwał na stałe w gościnnych apartamentach dworu, a i Leon często zajmował domek dla gości. Bogusław grzecznie, acz kategorycznie odmówił zamieszkania w rezydencji, bezsprzecznie woląc mieszkać u siebie. Chwalimir szanując wolę Wolnego, nie narzucał mu konieczności pozostania w rezydencji, zaoferował natomiast swoją bibliotekę jako biuro-bazę, oddając ją do całkowitej dyspozycji zespołu. Sprawny podział funkcji uczynił z Bogusława i Leona śledczych operacyjnych pracujących w terenie, Otto zaś jako koordynator miał pozostawać na miejscu.

Teraz należało już tylko wykonać kilka niezbędnych telefonów, porozumieć się z zespołami pozostałych królestw, przekazać im aktualne ustalenia protektoratu, narzucić zwierzchnictwo grupy zachodniej i umówić terminy spotkań na ich terytoriach. Cholera! Nic bardziej karkołomnego – zaśmiał się w duchu Bogusław, szczerze współczując Ottonowi, na którego spadło to bolesne zadanie. Ale czyż Otto nie był od takich właśnie spraw – trudnych, zdawałoby się niemożliwych do załatwienia? Patrząc na niego, można było z czystym sumieniem przyznać, że sprawy niemożliwe, to przysłowiowa woda na jego młyn.

Otto siedział za monarszym biurkiem i pohukując groźnie do telefonu, usilnie próbował dograć odpowiedni termin, w którym Bogusław z Leonem mieliby zjawić się w Ziemiach Wschodnich na pierwszej rozmowie z tamtejszym zespołem. Zgodnie z przewidywaniami negocjacje szły opornie i dopiero wzmianka o protektoracie odniosła zamierzony efekt. Ostatecznie ustalono, że spotkanie nastąpi po pierwszym listopada, a Stanisław – dowódca tamtejszej grupy – udostępni wszystkie materiały, z którymi będą mogli się zapoznać.

– Dobrze i to – westchnął Sławek, przeczesując włosy palcami. – Pierwsze lody przełamane, teraz trzeba będzie zaprzęgnąć solidny pług, żeby przebrnąć przez czekającą nas orkę na ugorze.

Ale to problem na później. W tym momencie chciał jak najszybciej skończyć naradę, która nic nowego nie mogła już wniesić, i ruszyć w miasto. Dokąd? Na szczęście nikt nie pytał, a odpowiedź była jasna jak słońce, którego blasku nie widział już od stuleci.

Leniwie prowadził Mercedesa, kierując się do zjazdu w ulicę Dąbrowskiego. Ciemne zakamarki podpoznańskich siedlisk zostały za jego plecami, a rozświetlone latarniami miasto jaśniało w nadciągającej oddali. Opustoszała droga prowadziła go na Jeżyce jak po przysłowiowym sznurku. I mimo że była już czwarta nad ranem, a więc prawdopodobieństwo spotkania jej zerowe, i tak pojechał. Choćby dla zaspokojenia poczucia konieczności. Wymarłe miejskie ulice były zimne i z upływem kolejnych dni coraz bardziej czarno-białe, ale zaślepiony swoim celem Bogusław zdawał się tego nie dostrzegać. Pokręci się trochę po pobliskich uliczkach i niespiesznie wróci do City Parku.

Rozdział 6

1 listopada – Dzień Zmarłych był zawsze osobliwym świętem. Dla Rodzaju szczególnie, gdyż tak naprawdę byli przecież nieumarłymi martwymi. W ten dzień, podobnie jak reszta społeczeństwa, gromadzili się na cmentarzach i wspominali tych, którzy odeszli, wciąż żywych w ich pamięci.

Nie mieli grobów, nie chowali ciał na ludzką modłę. Szczątki swych prawdziwie zmarłych braci palili, a prochy rozsypywali z wiatrem, oddając je Matce Naturze. Niemniej brak grobów nie przeszkadzał im w tym szczególnym dniu odwiedzać miejsca pochówków i obcować z ich duchami wśród duchów innych zmarłych.

1 listopada 2011 roku był absolutnie wyjątkowy – ciepły, słoneczny, bezwietrzny, można by rzec: radośnie pogodny. Dlatego, gdy po zapadnięciu zmroku Bogusław rozchylił mięsiste zasłony w swoim salonie i stanął w otwartych drzwiach okna balkonowego, czuł słoneczne ciepło, które jeszcze tliło się w wieczornym powietrzu. Trzymał w ręce szklankę z podgrzaną krwią i przyglądał się światu na zewnątrz. Takiej jesieni nie było już od wielu lat, aż chciało się wyjść z domu i wybrać na spacer.

Wyjechał w miasto w pogodnym nastroju. Od setek lat odwiedzał w tę noc cmentarze, niezależnie od tego w jaki kraniec Europy rzucił go los. Jednakowoż polski obrządek lubił najbardziej. Tu święto zmarłych, z uwagi na dostojność i poszanowanie powagi śmierci, było świętem godnym, nie zaś groteskowo radosnym i krzykliwym, napadającym na ludzi w marketach, mediach i na ulicach. Tu 1 listopada był czasem, w którym każdy we własnej duszy spotykał się z przeszłością.

Skręcił w stronę ulicy Reymonta, a dalej do Ściegiennego. Nie zastanawiał się, który cmentarz odwiedzi w tym roku, skoro jednak górczyński był najbliżej, postanowił zacząć od niego. Niestety, jak co roku, nie sposób było znaleźć tu miejsce parkingowe. Nie szukając więc zbyt nachalnie, ruszył w stronę Junikowa. Niespiesznie jechał Grunwaldzką, która, ku jego zaskoczeniu, nie była wcale tak zakorkowana, jak się obawiał.

Stale remontowane miasto nie ominęło w swych innowacyjnych zapędach tego rejonu, co było oczywiste, skoro w pobliżu znajdował się stadion miejski. Mistrzostwa EURO 2012 wprawiały w modernizacyjny amok wszystkich włodarzy miast-organizatorów. Zatem i Poznań przechodził swoisty face lifting, który większość mieszkańców odczuwała raczej jak operację na otwartym sercu niż szeroko zakrojone zabiegi upiększające. Tak więc wchłonięta w plan przebudowy ulica Grunwaldzka, mimo remontowego chaosu w mieście, okazała się dość płynna komunikacyjnie i całkiem sprawnie można było przedostać się nią do cmentarza. Oczywiście był już wieczór, a kompletne ciemności skutecznie zniechęcały do cmentarnych spacerów, choć niezaprzeczalnie z roku na rok coraz więcej osób decydowało się właśnie wieczorem zapalić świeczkę ku pamięci najbliższych.

Cmentarz Junikowski był największą nekropolią w mieście. Obszar przeznaczony na parkingi zajmował ogromne połacie przyległych terenów, podzielonych w tym dniu na sektory, do których wjazdy znajdowały się w bezpośredniej bliskości poszczególnych bram.

Bogusław skierował Mercedesa do ostatniego sektora parkingowego. Chciał wejść bramą prowadzącą wprost do dużego placu, przy którym znajdowała się cmentarna kaplica i pomnik ku czci Ofiar Katyńskich. Mimo późnej pory, parking był jak zawsze po brzegi zastawiony autami. Musiał więc kilka razy objechać wewnętrzne drogi, nim tuż pod lasem znalazł wolne miejsce.

Wysiadłszy z samochodu, od razu poczuł swoiste ciepło płynące zza cmentarnego ogrodzenia. Jasna poświata brodząca po czarnym niebie tworzyła niecodzienną lunę, tak

charakterystyczną dla miejsc pochówków w tym szczególnym dniu. Niezliczone tysiące lampek jaśniały i wydziały ciepło, stwarzając specyficzny, acz przyjemny klimat. Być może ludzie nie wyczuwali tego tak bardzo jak on, ale dla wampira różnica w temperaturach pomiędzy nekropolią, a okalającą ją przestrzenią była wyraźnie odczuwalna.

Podszedł do kłębiącej się przed bramą masy ludzkiej i przy którymś z licznie tego dnia porozstawianych stoisk z ozdobami kupił parady lampion z długą żywotnością płomienia.

Bogusław szedł szeroką aleją wśród wielu podobnych jemu miłośników wieczornego celebrowania święta zmarłych i napawał się swoistym urokiem miejsca. Wszędzie migotały kolorowe lampki, które odbijając swe światło w błyszczących pomnikach, powieły drgający w nich blask. Szpalery mieniących się nagrobków tworzyły zaskakujące wrażenie baśniowości, albowiem obfitość światełek oraz różnorodność ich kształtów i barw tłumiły naturalną pośepność cmentarza.

Setki lampek paliły się wokół pomnika Ofiar Katyńskich, a na obrzeżach tej świetlnej manifestacji licznie gromadzili się ludzie. Rokrocznie ci, którzy stracili tam kogoś bliskiego, zapalali tu lampkę, oddając hołd jego pamięci. Tu palili lampki również ci, których zmarli nie mieli namacalnych grobów, nad którymi można by pochylić głowę i na chwilę oddać się zadumie. Bogusław był wśród nich. Wszyscy jego bliscy – ci ludzcy, których już nawet nie pamiętał, i ci z Rodzaju jak Jagienka, nie mieli miejsc, nad którymi mógłby się zatrzymać. Zapalił swój znicz i postawił wśród ogromu pozostałych.

– Ku waszej pamięci – wyszeptał.

Ludzie dookoła szeptali, modląc się lub rozmawiając. Ci, którzy stali tu po raz pierwszy wysłuchiwali opowieści o tym miejscu z ust tych, dla których zapalenie tu znicza było już tradycją. Rodzice w szeptanych słowach przekazywali dzieciom historyczno-rodzinne fakty, wyjaśniając cel, dla którego tu stali. Ale niezależnie od tego, jak bardzo różniły się te opowieści i jak różne losy toczyli zebrani wokół ludzie, wszystkim, bez wyjątku, przyświecała jedna idea – we własnym sumieniu, we własnej duszy zjednoczyć się z tymi, których już nie było. Każdy na swój sposób przeżywał stratę i rozłąkę i modlił się, by tym, którzy odeszli, było dobrze w świecie, do którego trafili.

Bogusław stał tak przez chwilę, po czym odwrócił się i wszedł na plac. Czuł obecność swoich pobratymców. Wiedział, że, tak jak on, są tu dla wspomnień.

Z daleka rozpoznał Chwalimira, Ottona, Karla... i Leona. Można było się spodziewać, że młody znajdzie się przy królewskim boku, gdy ten wychodził poza bezpieczne schronienie swojej rezydencji. Jeśli nawet gdzieś w pobliżu przebywali członkowie królewskiej ochrony, to należało im przyznać, że byli niedostrzegalni. Tego wieczora na cmentarzu wyczuwało się obecność wielu nieumarłych, więc skąd wiadomo, który jest ten z obstawy? Bogusław nie widział ochroniarzy, zauważył natomiast wieloletnią przyjaciółkę Ottona, Wandę – dojrzałą, na pierwszy rzut oka około czterdziestoletnią kobietę. Otto Obermann, zgodnie z preferencjami swego gatunku, nie był związany z żadną kobietą Rodzaju, ale z Wandą łączyła go osobliwa zażyłość, która w świecie samotników stanowiła szczególne zjawisko.

Wampirzyca idąc pod rękę z młodzieńką, niespełna siedemnastoletnią w dniu przemiany Karoliną, wyglądała jak matka z córką. Kierowały się w stronę kaplicy.

– Witam, Wasza Wysokość. – Bogusław skłonił się lekko, jak zwykli się kłaniać śmiertelni mężczyźni przy okolicznościowych spotkaniach, po czym równie delikatnie skinął głową, witając pozostałych. Jako wolny wampir nie musiał tytułować Chwalimira, ale dlaczego nie miałby okazać mu należnego szacunku, skoro ten faktycznie był królem?

– Witaj, Bogusławie. Miło cię znowu spotkać.

Pozostali powitali go krótkim „cześć” i serdecznym uśmiechem w tym samym momencie,

w którym kobiety podeszły, by pokłonić się swemu monarsze. Chwalimir odwzajemnił powitanie. Ruszyli w stronę pobliskiej alejki. Wyglądając jak jedna z mnóstwa rodzin tego wieczora, bez pośpiechu szli cmentarzem, co jakiś czas przystając nad czyims grobem.

Układ tego skromnego orszaku był oczywisty, choć nikt z postronnych obserwatorów nie domyśliłby się, że oto obok niego przechodzi król w otoczeniu świty i poddanych. Na samym przedzie, mając po bokach Karla i Ottona, szedł Chwalimir, za nim kobiety, nadal trzymając się pod rękę, a idący z tyłu Bogusław z Leonem zamykali korowód. Zewnętrzna ochrona wciąż była niedostrzegalna.

– Jak zwykle przy królu – Sławek zagadnął młodego wampira.

– Tak bywa.

– Co jest grane, młody? Jesteś jak jego papużka nierozłączka.

– Noo, niekiedy może to tak wyglądać – Leon cicho zachichotał. – Po prostu lubi mnie mieć czasami przy sobie.

– Coś was łączy? No wiesz... – W głosie Bogusława słyhać było zmieszanie.

– O kurczę! Stary! – Leon stłumił śmiech w zaciśniętej w pięść dłoni. – Coś ty! Ale cię ponosi wyobraźnia. Nie! On traktuje mnie raczej jak syna, chociaż kompletnie nie mam pojęcia dlaczego – wyjaśnił już spokojnie.

– Księżę Leon? – Teraz stary wampir tłumiał chichot.

– A żebyś, kurna, wiedział.

Obaj roześmiali najciszej jak potrafili, by nie rozpraszać powagi sytuacji. Ale przecież nie byli jedynymi, którzy znaleźli w tym miejscu i w tym czasie sposobność do rodzinnego spotkania i gawędzenia wśród cmentarnych alejek. Szli więc tak, podziwiając urok mieniących się, grobowych kwater, wyglądających niczym polany pokryte rojami barwnych świetlików i rozmawiali jak zwyczajni ludzie.

Taki to był wieczór, w którym bratali się ludzie z nieлюдźmi, nie mając o tym pojęcia, a jednoczyła ich potrzeba wspominania.

Rozdział 7

Dzieciaki od jakiegoś czasu spały w najlepsze w swoich łóżeczkach, a zmęczona oczekiwaniem na męża ich matka wyciągnęła nogi wzdłuż wygodnej kanapy, usadawiając się przed telewizorem ze spóźnioną kolacją w ręce.

Wieczór był taki, jakich wiele od kilku miesięcy, ale dzisiaj nie będzie udawała naiwnej i nie pójdzie do łóżka, by znowu dać Jackowi możliwość lawirowania na pograniczu półprawd. O nie, w końcu trzeba będzie określić to dziwaczne targowisko, które niepostrzeżenie zakradło się do ich domu, rozwalając się ze swoim niechcianym towarem po wszystkich kątach ich prywatności. Wreszcie trzeba to zakończyć. Nieważne, w którą stronę, byle wyrwać się z tego obłądu – postanowiła stanowczo.

Kaśka odłożyła talerzyk z kanapką na stojący przed nią stolik i ściszyła telewizor. Z głośników nie dochodził żaden dźwięk, pojawiające się na ekranie postacie odgrywały niezamierzoną pantomimę, a ona nasłuchiwała. Tak, nie pomyliła się, to klucz w zamku przekręcał się delikatnie, by ukradkiem otwarte drzwi mogły wpuścić do środka skradającego się za nimi przybysza.

Powoli opuściła rękę i odłożyła pilota na kanapę. Wyszła do korytarza i od razu natknęła się na Jacka, który powoli i delikatnie zdejmował wierzchnie okrycie, usiłując nie narobić hałasu. Niewierny mąż, wsparty doświadczeniem wielu poprzednich wieczorów, był przekonany, że żona już śpi w najlepsze. Zamierzał, jak zawsze, wemknąć się niepostrzeżenie, udając, że wszystko jest w porządku. Nie przewidział tylko, że uległa do tej pory małżonka, może mieć już tego po dziurki w nosie i najzwyczajniej w świecie zbuntować się przeciw jego obłudzie. Gdy przed nim stanęła, nie potrafił ukryć zaskoczenia.

– Ooo. Nie śpisz jeszcze?

– Jak widać... nie. – Nie chciała być niegrzeczna. Nie chciała też, by w jej głosie zagościł sarkazm, ale trudno było ukryć rozdrażnienie.

– Czekasz z kolacją?

To zaczynało sięgać szczytu bezczelności. Chcesz ostro pogrywać, gnojku? Dobra. Zobaczymy, jak sobie z tym dasz radę? – pomyślała, rozdrażniona jego zuchwałością, postanowiła jednak nie okazywać targających ją emocji. Na razie. Odpowiedziała więc spokojnie, acz zdecydowanie.

– Jestem przekonana, że właśnie wracasz z kolacji. Dwie w jeden wieczór mogłyby zaburzyć twoją nienaganną sylwetkę.

Jacek spojrzał na nią z powagą, która nie wróżyła niczego dobrego. Odwiesił płaszcz i w milczeniu poszedł do łazienki. Kaśka słyszała, jak odkręca wodę, myje i wyciera ręce. A potem wyszedł i przeszedł do kuchni. Ona cały czas stała w korytarzu, czekając na to, co musiało wreszcie nastąpić. Nie wiedziała tylko, kto pierwszy rzuci kamieniem – on, czy może ona będzie musiała to zrobić. W tej chwili zdała sobie sprawę, że dobrnęli do momentu, w którym już nie ma odwrotu. Każdy kolejny gest, każde kolejne słowo coraz bardziej będzie spychać ich w tę przepaść wyłaniającą się spoza krawędzi, na której się znajdowali. Nagle przeszył ją lodowaty dreszcz, jeżąc jej włoski na karku, a żołądek skręcił się, uderzając w nią nieprzyjemnym gorzkim posmakiem.

Tymczasem Jacek ze spokojem robił sobie herbatę, zachowując kamienną twarz pokerzysty. Nie oszukasz mnie, cwaniaczkę – szydziła jej podświadomość. Kaśka знаła swojego męża wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że to tylko pozory i że za chwilę ten iluzoryczny bąbel spokoju pryśnie. Patrzyła, jak trzyma w dłoniach duży, kamionkowy kubek w śmietankowym

kolorze tak idealnie pasujący do wystroju kuchni, co w tym momencie było cholernie bez znaczenia. Patrzyła, w jaki sposób miesza cukier z taką samą manierą staranności, jak we wszystkim do czego się zabierał. Czasami ta jego akuratność doprowadzała ją do białej gorączki. Oczywiście staranność i precyzja to wspaniałe cechy, ale czasem człowiek musi pozwolić sobie na odrobinę spontaniczności, na oddech wolności. Każdy, tylko nie on. Niewielka łyżeczka w jego dłoni delikatnie zataczała idealne okręgi, bezgłośnie wirując w parującym płynie i nigdy nie uderzając o ścianki kubka. Kaśka czuła, jak z każdym kolejnym perfekcyjnym gestem męża narasta w niej irytacja, a lodowata fala złączonych w dziwnej mieszance niesmaku, odrazy i niechęci zalewa ją gwałtownie, nie pozostawiając miejsca na żadne ciepłe emocje. Złościła ją jego nonszalancja i gdy już miała wybuchnąć, on odsunął krzesło, zasiadł za kuchennym stołem i jakby nigdy nic zapytał:

– Wiedziałś, że wykonywanie drobnych, jednostajnych ruchów, takich jak na przykład mieszanie herbaty, uspakaja?

Kompletnie ją zatkało. Ale nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, on odsunął drugie krzesło.

– Usiądź – zaproponował chłodno. – Pogadamy.

Nie spierała się. Czekwała na tę rozmowę od jakiegoś czasu i teraz chciała mieć to już za sobą. Wiedziała, że wściekłość i rozdrażnienie nie są im akurat najpotrzebniejsze. Jeżeli mieli dziś dojść do porozumienia, musiała zachować stoicki spokój. Tylko co to znaczy porozumienie? Czym będzie porozumienie? Rozstaniem? Separacją? Rozwodem? Poczwała, jak strach i przerażenie uderzają w nią niczym złowieszcze tsunami.

Podeszła do lodówki i wyjęła butelkę z napisem Lech Premium. Teraz nie potrzebowała nic na rozgrzewkę, żadna kawa czy herbata nie byłyby w stanie utrzymać w ryzach szalejących w niej emocji. Tylko gorzkie, zimne piwo, spływając kaskadą po przelyku, mogło zmrozić ją na tyle, by nie pękła i rozsypała się w drobny mak. Choć by nie wiem co, dziś dociągną do końca to, co właśnie zaczęli. Usiadła przy stole i zaczęła słuchać.

Jacek był niebywale opanowany. No cóż, prawnik – pomyślała. Lata praktyki zewnętrznie wypruły z niego wszelkie emocje, pozostawiając tylko maskę neutralności, gdy zaczynał negocjacje. Mówił powoli, jakby ważył każde słowo i pewnie tak właśnie było, gdyż wszystko, co mówił o ich wspólnych latach, było do bólu prawdziwe, ale przemyślane i bez zbędnych uszczypliwości.

Nigdy nie przypuszczała, że on tak postrzega ich małżeństwo. Że dusi go słodycz rodzinnej sielanki i miazdzą kleszcze małżeńskiej więzi. Powinni prowadzić jakieś warsztaty z logiki małżeństwa – w duchu uśmiechnęła się do siebie. „Logika małżeństwa” – matka wszystkich oksymoronów. Ze wszystkich matek wszystkich oksymoronów ta zdecydowanie była na szczycie listy.

Kaśka beznamiętnie przyglądała się kropli wody, leniwie spływającej po zimnej ściance butelki, a on mówił, co jakiś czas pocierając ręką brodę w geście zastanowienia. Zalała ją fala wspomnień, w których ich małżeństwo było diametralnie inne od tego, które właśnie kreował przed nią Jacek. Jakby dotyczyło zupełnie innych ludzi.

– To nie dla mnie – powiedział w końcu, patrząc na nią tymi ciemnoniebieskimi oczami, którym wyraz szczerzego udręczenia nadawał w tej chwili cholernie irytującej powagi.

– Małżeństwo? – spytała.

– Nasze małżeństwo – uściślił.

Auć... – zabolalo.

– Zauważyłaś, że każda chwila, którą razem spędzaliśmy, paradoksalnie oddalała nas od siebie? – Miał monotony głos i dalekie spojrzenie, jakby patrzył przez ściany, dostrzegając

rzeczy gdzieś poza odległym horyzontem. – Czułem, jak mnie pochłaniasz, przytłaczając związkim, który odbierał mi osobowość. Jakbym się kurczył, jakby coś mnie pożerało. Wiedziałem, że muszę się od tego uwolnić, inaczej pochłonie mnie całkowicie.

Długo mówił o tym, jak mu w tym związku ciasno i źle, a Kaśka patrzyła na niego, zastanawiając się kim jest facet siedzący naprzeciwko. To nie może być Jacek, którego pokochałam – pokręciła głową z niedowierzaniem. Co go tak cholernie zmieniło? W przyćmionym świetle kuchennej lampy jej mąż wydawał się jeszcze przystojniejszy niż zazwyczaj. Piękny i elegancki siedział naprzeciw niej zadumany, z miną ofiary, której jedynym ratunkiem jest szczera, oczyszczająca spowiedź. Boże, jak nienawidziła go w tym momencie. Musiała to przerwać.

– Ty pieprzony draniu – powiedziała cicho i pozornie spokojnie, ale wewnątrz niej szalały demony wściekłości. – Prędeż piekło porośnie kwiecistymi łąkami, niż wrobisz mnie w poczucie winy. – Teraz patrzyła mu prosto w oczy, nie zamierzając ugiąć się pod jego spojrzeniem. – To nie ja od miesiący kombinowałam na boku. To nie ja zaniedbywałam żonę i dzieci. To nie ja robiłam wszystko, by zniszczyć to, co budowaliśmy latami. Więc również nie ja będę teraz sprzątać to gównu.

Jacek spojrzał na nią kompletnie zbity z tropu. Nie spodziewał się po swojej żonie takiego wybuchu. Przyzwyczajony, przez ostatnich kilka lat, do jej uległości i postawy szarej myszki, miał pełne prawo przypuszczać, że tak pokierowana rozmowa doprowadzi do zamierzonego finału – jej skruchy i wyegzekwowania wszystkiego, na czym mu zależało. Teraz jednak stał, a raczej siedział przed nim równy jemu przeciwnik, który nie dał się nabrać na prawniczy bełkot i wypracowane sztuczki, i domaga się należnych mu praw.

– Proszę cię, Kaśka, postaraj się na chwilę nie myśleć o tym w kategoriach winy i wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia.

– A co twoim zdaniem robiłam do tej pory? Słucham cię odkąd tu usiedliśmy i na razie nic konkretnego nie usłyszałam. Opowiadasz jakieś głupoty, najwyraźniej chcąc zamydlić mi oczy. Co chcesz mi właściwie powiedzieć?

– To, co chcę powiedzieć, jest naprawdę ważne. I nie denerwuj się. – Zdawał się nienaturalnie opanowany. – Nie chciałem, żebyś poczuła się dotknięta, a najwyraźniej tak się stało. To nie jest tak, że lekceważę twoje uczucia, czy upraszczam nasze relacje. – Zrobił pauzę, znów przywdziewając maskę cierpiennika. – Po prostu do siebie nie pasujemy, ale niestety trzeba było tych lat, żeby się o tym przekonać.

– Jacek – warknęła. – Nie obrażaj mojej inteligencji. Przestań bredzić i przejdź do konkretów. Masz kogoś na stałe, czy to dorywcze przygody?

Zaskoczyła go tą bezpośredniością. Oczywiście był przygotowany na rozmowę o jego romansie, ale sądził, że uda mu się to jakoś opakować w otoczkę bajeru, by Kaśce łatwiej było przełknąć prawdę. Patrzył na nią, zastanawiając się, na ile może grać z nią w otwarte karty. Nie ma co się oszukiwać – już od jakiegoś czasu myślał, by od niej odejść. Zwłaszcza, gdy ponętna Marta opierała swój rozkoszny tyłeczek na jego biurku, zakładając nogę na nogę i unosząc lekko stopę do góry tak, by czólenko zsunęło jej się z pięty. Stary chwyt ćwiczony od lat przez zalotne seksbomby na ich potencjalnych ofiarach. Miał tego pełną świadomość, a jednak zawsze, gdy to robiła, czuł jak narasta w nim chęć, by rzucić ją na biurko i solidnie zerznąć. Na ostro, tak, by zapamiętała ten szalony seks już na zawsze. Potem, gdy zjawiał się u niej wieczorami, oczywiście uprawiali seks wielokrotnie, ale ani zacisze jej mieszkania, ani swobodny strój, jaki miała na sobie, nie kręciły go tak, jak te szpilki, ten grafitowy kostium z wąską spódnicą i to biurko w biurze, za którego drzwiami czekali umówieni petenci. No tak, rozmarzył się przez ułamek chwili, ale teraz musiał wrócić do rzeczywistości.

– Na stałe – wymamrotał.
– Od jak dawna? – padło oczywiste pytanie.
– Od roku. – To nie była stricte precyzyjna odpowiedź, ale przecież nie o konkretne daty chodziło.

– Koleżanka z pracy? – Właściwie, po co zadała to pytanie? Wiedziała, że Jacek był zbyt leniwy, by wysilać się na dalekie zaloty, skoro w pracy miał pod dostatkiem chętnych kobiet.

– Tak.

– Boże, Jacek – jęknęła, patrząc mu prosto w oczy. – Nie sącz tak informacji. Jesteśmy już poza krawędzią. Nasze małżeństwo leci w tę przepaść z zawrotną prędkością i za chwilę roztrzaska się o dno. Nie ma dla niego ratunku, więc chociaż przejdźmy przez tę katastrofę jak dorośli ludzie.

Co właściwie chciała przez to powiedzieć? – zastanawiał się. Nieważne. Chce znać prawdę? Proszę bardzo.

Gdy opowiedział wszystko o swoim romansie z Martą, w kuchni zapanowała długa, dojmująca cisza. Nawet zewnętrzny świat jakby zachłysnął się tymi rewelacjami i teraz nie mógł złapać oddechu, tkwiąc w śmiertelnej, nocnej ciszy. Chyba tylko w nadejściu świtu mogli upatrywać nadzieję na to, że wszystko się jakoś ułoży.

– Kaśka, powiedz coś – bąknął, by przerwać milczenie.

Jego słowa wyrwały ją z odrętwienia.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. A teraz, czy mógłbyś mi wybaczyć? – zapytała, a raczej rzekła, oficjalnym tonem, po czym wstała, zdecydowana pójść do łazienki i przygotować się do snu.

– Kaśka, poczekaj! – zawołał za nią, zaskoczony jej nagłym odejściem. – Nie możemy tego teraz tak zostawić.

Kaśka uchyliła drzwi łazienki i wyglądając spoza nich, odpowiedziała ze stoickim spokojem:

– Ależ możemy. A jutro ustalimy szczegóły rozwodu.

Słowo „rozwód” – nieodłączny element zawodowej codzienności Jacka, w kontekście jego własnego życia brzmiało obco, żeby nie powiedzieć wrogo. Sama myśl o rozstaniu, która od dość dawna krążyła mu po głowie, nigdy nie przybrała tak kategorycznej formy. Co dziwne, zawsze spodziewał się, że gdy już będą mieli tę trudną rozmowę za sobą, piłeczka będzie po jego stronie, a uczucie ulgi zaleje go falą, ponosząc ku brzegom wolności. Pech chciał (jego pech), że w jakimś sensie zdawał się teraz przegrany i nie odczuwał żadnej ulgi.

Kaśka usiadła na zamkniętej klapie sedesowej i wspierając się na łokciach, wsadziła twarz głęboko w dłoń. Westchnęła ciężko, uświadamiając sobie, że rakietą z napisem „stabilna przyszłość” właśnie z hukiem wystartowała w bezkresny kosmos, zostawiając ją na wypalonym pogorzeliisku, które jeszcze do niedawna było jej małżeństwem. To bolało. Cholernie. Zdrada, oszustwo, podłość. Gdyby mogła wyładować narastającą w niej frustrację, kopałaby, krzyczała i roznosiła w drobny pył wszystko, co znalazłoby się w zasięgu jej ręki.

– Kurwa! Kurwa mać! – szeptem i przez zaciśnięte zęby wymamrotała pod nosem siarczyste przekleństwo.

Ona i siarczyste przekleństwa? Cóż, czasem człowiek potrzebuje rozładować się w niekonwencjonalny sposób. Nie mogła przecież uzewnętrznić swoich emocji i pokazać Jackowi, jak bardzo ją zranił. Musiała zachować pozorny spokój również ze względu na dzieci. Nie zafunduje im piekła, które często bywa ich udziałem, gdy rodzice się rozwodzą. Nie, jej dzieci nadal będą miały spokojny, stabilny dom, tylko ojciec będzie mieszkał osobno. Ta myśl pozwoliła jej zrównoważyć emocje. Teraz była gotowa stawić czoła codzienności z niewiernym

prawie-eksmeżem łajdakiem za drzwiami. Wzięła szybki prysznic, zmywając z siebie resztki napięcia, umyła zęby i wyszczotkowała włosy. Wychodząc z łazienki, była zdecydowana, w razie konieczności, stanowczo odeprzeć kolejną zaczepkę Jacka, który ostatnio miał dziwny pęd do seksualnych podchodów w najmniej odpowiednich momentach. Uff – jęknęła z ulgą, spostrzegłszy, że nie czeka na nią pod drzwiami. Nie było go też w sypialni. Dzięki ci Boże! – wymamrotała w duchu, niemal słysząc łoskot, z jakim spadł jej kamień z serca.

Obudziła się, niewyspana i z okropnym bólem głowy. Nic dziwnego – miała za sobą koszmarną noc. Na dodatek od dziś zaczynała nowy rozdział w życiu, jak należało przypuszczać, dużo trudniejszy i z pewnością chwiejny finansowo.

Jacek spędził noc w pokoju gościnnym, o czym świadczył złożony w kostkę koc i ułożona na nim poduszka, które wcześniej musiał wyciągnąć z pawlacza w holu. Samego sprawcy nie było w domu. Rzuciła okiem na zegarek – ósma trzydzieści. O tej porze był już w pracy.

W tym momencie hałaśliwy alarm rozdzwonił się w jej głowie, besztając ją za niefrasobliwość. Wiem! – skarciła go mentalnie, świadoma, że już dawno powinna była wyszykować Pawełka do szkoły. Zasnęła. Cholerka! – mruknęła w myśli i zdecydowanym krokiem weszła do pokoju dzieci. Rozciągnięty w komicznej pozie synek spał w najlepsze w swoim łóżeczku. Pograżony we śnie mały brzdąc nie miał bladego pojęcia, że jego szkolni koledzy już od jakiegoś czasu ciężko pracują, nabywając wiedzę niezbędną dla ich dalszej kariery życiowej. Okej! – pomyślała, ignorując denerwujący dzwonek, który wciąż zawzięcie brzęczał w głębi jej świadomości. Odpuść, zrobimy sobie dzisiaj dzień dziecka.

Odpuści czy nie, i tak musiała zadzwonić do szkoły, by zgodnie z warunkami podpisanej umowy, poinformować o niedyspozycji syna. Złapała więc za telefon i niezwłocznie załatwiła sprawę, a potem łyknęła dwa paracetamole, wypowiadając walkę uporczywemu bólowi. Odstawiła szklankę na blat i przeciągnęła się leniwie. W tym momencie poczuła, jak jej ciało bez problemu przekonuje świadomość, że to całkiem dobra pora, by jeszcze na trochę zakopać się w miękkiej pościeli i poleniuchować w odwecie za wczorajsze traumatyczne przeżycia. Dlaczego nie? – uśmiechnęła się do tej kuszącej sugestii, wchodząc do sypialni.

Pół godziny później wciąż leżała w łóżku z przemożnym postanowieniem lenistwa i przewracała się z boku na bok, ale sen już nie chciał wrócić. Być może pod wpływem wrednego bólu, który ciągle nie ustępował. Zwłaszcza że kłębiące się w jej głowie myśli, złośliwie drążyły każdy skrawek umęczonej świadomości, nie dając jej odrobiny wytchnienia. Nie ważne jednak jak intensywne mentalne tornado by sobie zafundowała, Kaśka wiedziała, że i tak potrzebuje teraz bratniej duszy, by przejść przez to bagno suchą stopą. Wybór był oczywisty – jedyną osobą będącą tak blisko, by móc jej się wyplakać w rękaw, była Gośka. Nie namyślając się długo, chwyciła za komórkę i wybrała numer. Po trzech sygnałach radosny głos przyjaciółki zaczął słodkie „halo”. Atmosfera euforii otaczająca Gośkę zaczęła rzednąć z każdym wypowiedzianym przez Kaśkę słowem, a jej reakcje ograniczały się do zwięzłych wołaczy, wykrzykiwanych za każdym razem, gdy ta robiła pauzę na oddech.

Tak więc Kaśka napelniała płuca, gdy w tym czasie Gośka dawała upust swym emocjom, wykrzykując współczująco: Jezu!, Boże!, O Matko! lub bardziej emocjonalnie: palant!, dupek!, cholerny gnojek! Kiedy po niespełna piętnastu minutach zwięzłej opowieści Kaśka miała oczy pełne, chcących za wszelką cenę wydostać się na wolność, łez, uznała, że już najwyższy czas zakończyć tę rozmowę. Inaczej poryczy się jak bóbr i przez cały dzień nie uda jej się wrócić do równowagi. A przecież musiała stawić czoła codzienności z nic nie wiedzącymi maluchami.

– Wiesz, Gosiu – powiedziała w końcu jakby na podsumowanie swojej opowieści. – Myślę, że kiedy życie niespodziewanie zapędza cię w kozi róg, nie oferując żadnej drogi ucieczki, kiedy mąż okazuje się podłym oszustem, zdrajcą i palantem, czujesz się zawiedziona,

rozczarowana, przerażona i samotna i nie widzisz już nic poza wielkim dnem, na które za chwilę spadniesz, rozbijając sobie pysk... wtedy nie pozostaje ci nic innego, jak znaleźć sobie cel, który będzie twoją odskocznią i którego uczepisz się jak kotwicy, która wyciągnie cię na powierzchnię, zanim utoniesz w ohydnych szambie udręki, jakie zaoferowało ci życie. Taki cel plus desperacja, by przetrwać, wyciągnie cię i obdarzy mocą, byś poczuła siłę do walki z wszelkimi przeciwnościami.

Po tych słowach po obu stronach słuchawki zapadło wymowne milczenie. Dosadność Kasinych przemyśleń była równie bolesna, co cięte rany zadane piłą łańcuchową. Ciche „łal” było wszystkim, na co mogła w tym momencie zdobyć się Gośka, porażona zawilą oracją przyjaciółki. Gdy więc w końcu zdecydowała się ponownie odezwać, nie uraczyła jej już kolejnym wykrzyknikiem, natomiast cicho, niemal szepcząc, spytała:

– A ty, Kaśka, masz taki cel?

– Jeszcze nie, ale coś wymyślę. I wiesz co? Jestem przekonana, że tym celem nie będą dzieci.

– To dobrze. Nie ma nic gorszego, jak szukanie w dzieciach ucieczki od nieudanego związku. To nie ich problemy. One nadal powinny czuć się bezpieczne i szczęśliwe. Dobrze, że nie będziesz ich obarczać swoją samotnością. Boże, Kaśka! – Gośka była zde gustowana. – Nie masz pojęcia ile ja takich matek i takich dzieci spotkałam, gdy uczyłam w przedszkolach. I wiesz co? Zawsze dzieciaki były na przegranej pozycji.

– Wiem, Gosiu. Też już się z tym spotkałam w mojej rodzinie. Wierz mi, nie popełnię tego samego błędu co moja kuzynka Grażyna.

Zapadła niezręczna chwila milczenia.

– I to by było na tyle, jeżeli chodzi o „i żyli długo i szczęśliwie” – podsumowała rychłą eksmałżonka, nie ukrywając sarkazmu.

– I co ja mam ci na to odpowiedzieć? – Gośka czuła się przytłoczona.

– Nic, po prostu powiedz mi, co tam u ciebie – poprosiła Kaśka, uznając, że Jacek i jego popieprzone wyskoki były już zbyt długo w centrum ich zainteresowania.

Jakiś czas rozmawiały, zręcznie omijając temat niespodziewanych rewelacji z ostatniej chwili, aż w końcu Kaśka odłożyła słuchawkę, przyrzekłszy uprzednio solennie, że jeśli tylko poczuje potrzebę wsparcia, natychmiast zadzwoni, nie bacząc na porę i okoliczności.

Odłożywszy telefon na nocny stolik, opadła niedbale na wymiętą poduchę i zapatrzyła się w jesienne słońce za sypialnianym oknem. Poczwała, jak niechciane łyzy cisną jej się do oczu i nie mogąc ich powstrzymać, uwolniła je, by spokojnie pociekły po policzkach. Cóż z tego, skoro zdradzieckie łyzy zaczęły kłębić się w jej oczach tak bardzo, że sypialnia nabrała rozmytych kształtów? Wzrok Kaśki mętniał coraz bardziej, pozwalając, by cichy płacz przerodził się w głośne szlochanie. Ogarniająca ją bezsilność sprawiła, że czuła się podle i straciła wszelką chęć do życia. Cholera! – w duchu ofuknęła samą siebie. Nie mogła sobie na to pozwolić. Za ścianą spały dzieci, które każdej chwili mogły się obudzić, a przecież nie chciała narażać ich na taki widok. Zdecydowanym gestem otarła łyzy, zwlokła się z łóżka i poszła do łazienki, by z podniesionym czołem rozpocząć pierwszy dzień nowego życia.

Ani październik, ani też listopad nie charakteryzowały się typową dla nich aurą. Żadnych wichur, gradobicia czy plugawych deszczy. Po prostu pogodowa nuda. Wprawdzie zdarzyło się kilka deszczowych dni, ale można by je policzyć na palcach jednej ręki. Być może w innych częściach kraju było inaczej, ale tu – w Poznaniu... nic. Listopad konsekwentnie chylił się ku końcowi, a uparte słońce nadal niezmiennie rozświetlało niebo prawie każdego dnia, jakby

zapomniało gdzie jego miejsce. I gdyby nie niestrudzone nocne mgły, świat zapomniałby, że właśnie głęboka jesień trzymała go w swych chłodnych objęciach.

Każdego wieczora stając w otwartych drzwiach balkonowych swojego apartamentu i popijając codzienną porcję krwawej Mary, Bogusław czuł wonny ślad słonecznych promieni, które w ciągu dnia ogrzewały miasto. Ludzki węch tego nie wyczuwał, ale jego wyostrome zmysły potrafiły odróżnić zapach pieszczonej słońcem ziemi. Oczywiście najintensywniej czuł go latem, kiedy słoneczny aromat pozostawał w każdym kwiatku, listku czy źdźbłe trawy. Wtedy nawet ludzka skóra pachniała inaczej. Teraz jednak, gdy rzeczywistość z każdym dniem stawała się bardziej szara, a jedyną ozdobę stanowiły łysiejące na potęgę drzewa, zapach był o wiele słabszy, choć nadal wyczuwalny. Bogusław uwielbiał czuć go w powietrzu – jego jedyny kontakt ze słońcem od ponad tysiąca lat. Dlatego chłonał go łakomie każdego wieczora, gdy tylko otworzył oczy i zaspokoił swój pierwszy głód.

Dziś słoneczna nuta w lekkim wietrze była wyjątkowo intensywna, jakby w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin słońca było znacznie więcej niż w poprzednie dni. Zaciągnął się więc sporym haustem świeżego powietrza i od razu nabrał solidnej ochoty do pracy. Nie namyślając się wiele, zarzucił na siebie skórzaną kurtkę, wciągnął adidas, po czym zbiegł do hali garażowej i ruszył w miasto. Pokręci się trochę to tu, to tam, a potem zajedzie na Jeżyce. Może znowu będzie miał szczęście i ją spotka?

Nie wyjechał jeszcze poza teren kompleksu, gdy odebrał zgłoszenie z pobliskiej ulicy Kossaka.

Para w średnim wieku z dwoma sporymi torbami turystycznymi czekała już pod budynkiem. Stojący przy krawężniku postawny mężczyzna zamachał, widząc nadjeżdżającą taksówkę, jakby obawiał się, że kierowca ich przeoczy. Ledwie Bogusław nacisnął dzwignię bagażnika, mężczyzna załadował do niego torby, po czym oboje wsiedli do środka.

– Na Ławicę – rzucił zdawkowo pasażer, zatraskując za sobą drzwi.

– Na lotnisko?

– Tak. Poproszę.

Ot, cała konwersacja. Po uściśleniu miejsca docelowego mężczyzna natychmiast pogrążył się w rozmowie z towarzyszącą mu małżonką. Właśnie wybierali się na tygodniowy urlop do Hurghady, a z ożywionej rozmowy Bogusław wywnioskował, że nie była to ich pierwsza podróż do Egiptu. Podekscytowani wspomnieniami z wcześniejszego pobytu w Sharm el Sheikh, obiecywali sobie po obecnym wyjeździe równie emocjonujących wrażeń.

Droga na Ławicę przebiegała zaskakująco sprawnie i po kilku minutach taksówka zatrzymała się tuż przed szerokim wejściem do portu lotniczego. Kłapa bagażnika ponownie uniosła się prawie bezszelestnie, a krewki mężczyzna ponownie szarpnął walizki, nie czekając na pomoc kierowcy. Pospiesznie rozliczył się za kurs i wraz z małżonką powędrował przez szerokie oszklone wejście do opasłej kolejki oczekujących na wylot pasażerów.

Sławek rzucił okiem na oddalającą się parę i uśmiechnął nieznacznie. Zamknął pokrywę bagażnika i właśnie zamierzał odjechać od krawężnika, gdy zatrzymał go wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna przed trzydziestką. Chłopak był urodziwy, z ciemnym dwudniowym zarostem, czarnymi sięgającymi ramion włosami i okularami na dość wydatnym nosie. Ubrany gustownie w kosztowne ciuchy. Mimo połowy listopada miał ciepłą naturalną opaleniznę.

– Można wolny? – zagadnął z obcym akcentem.

Obcokrajowiec – zawyrokowała Sławkowa podświadomość. Pewnie ćwiczy polski, więc niech będzie po polsku.

– Tak, jestem wolny. Proszę.

Mężczyzna wrzucił na tylne siedzenie niewielką torbę podróżną i umościwszy się obok,

zatrzasnął za sobą drzwiczki. Krótka rozmowa ujawniła pochodzenie egzotycznego gościa – Francuz z Lazurwego Wybrzeża odwiedzający swoją dziewczynę, mieszkającą w podpoznańskich Obornikach.

Ponieważ rozmowa w języku polskim sprawiała chłopakowi wyraźne problemy, Bogusław zaproponował, by przeszli na francuski. Przyznał się nawet, że spędził dłuższy czas w Paryżu. Nie zdecydował się jednak uściślić, iż było to w czasach, gdy przez Francję przetaczała się zabójcza machina krwawej rewolucji. Rozmowny pasażer chętnie przystał na propozycję, co Sławek przyjął z ulgą, bo polszczyzna chłopaka pozostawiała naprawdę wiele do życzenia.

Choć pogawędki z pasażerami nie były na szczycie listy ulubionych zajęć Bogusława, to miła powierzchność chłopaka i możliwość przypomnienia sobie języka mobilizowały go do szczególnej życzliwości. Poza tym mieli przed sobą dość długą jazdę i perspektywa spędzenia jej w milczeniu, z człowiekiem siedzącym za plecami nie nastrojała najlepiej.

Francuz okazał się rozmowny i z zapałem opowiadał o swoim zaangażowaniu w związek z polską dziewczyną, choć nie bez obaw widział ich wspólną przyszłość.

– Nie jest pan zdecydowany, żeby tu zostać? – Bogusław bardziej stwierdził, niż spytał.

– Nie. No wie pan, jak mam utrzymać rodzinę, to wolałbym troszczyć się o nią na własnym, dobrze znanym gruncie.

Nieźle kombinujesz. To ma sens.

– A jeśli dziewczyna się uprze?

– To będę miał problem. – Twarz młodzieńca okrył zbolaty uśmiech.

– Nie podoba się panu u nas.

– No wie pan, ja mieszkam w miejscu, o którym inni mogą tylko pomarzyć. –

Enigmatyczny grymas satysfakcji przemknął przez urodziwe oblicze pasażera. Trudno było z tym polemizować. Faktycznie niewiele było miejsc równie pięknych, jak francuska riwiera, które na dodatek poza walorami estetycznymi w pakiecie oferowały cywilizację. – Ciężko byłoby się przestawić – kontynuował. – Poza tym nie mam tu zupełnie nikogo. Znajomi, rodzina... wszyscy tam.

– Zawsze mogą pana odwiedzić. – Sławek przybrał pogodny ton, by nie sprawiać wrażenia, że nagabuje chłopaka.

Pasażer zaśmiał się dość żałośnie i pokręcił głową.

– Był pan we Francji, to chyba pan wie, co tam myślą o Polsce.

No był, ale setki lat temu. Od tego czasu nie tylko polityka i gospodarka uległy radykalnej zmianie. Ale przecież nie mógł się do tego przyznać, odpowiedział więc lakonicznie:

– Ja byłem we Francji bardzo dawno temu i wtedy nie interesowałem się tymi sprawami.

Młodzieniec przyjrzał mu się wnikliwie, lustrując go najpierw od tyłu, a potem jego odbicie w lusterku wstecznym.

– W dzieciństwie? – spytał, uznając zapewne, że są z kierowcą w podobnym wieku.

Bogusław wzruszył ramionami i obdarzył go ambiwalentnym uśmiechem.

– Nic dziwnego, że nie miał pan wtedy pojęcia, co się mówi we Francji o waszym kraju – odpowiedział chłopak, uznając wieloznaczny gest kierowcy za potwierdzenie swych przypuszczeń. – Zwięźle rzecz ujmując – zagadnął wyjaśniająco – pogląd jest taki, że jest to kraj ośnieżonych wiosek, do którego słońce zagląda sporadycznie i nawet w środku lata trzeba tu zabierać grube, zimowe ubrania. A w tych wioskach mieszkają zapijaczeni ludzie, którzy między stertami zdezelowanych samochodów, pamiętających czasy głębokiego komunizmu, popędzają kijami wątle osiołki... To kto zechce mnie tu odwiedzić? – dodał z zamyśleniem po krótkiej pauzie.

Bogusława zatkało. Momentalnie odeszła mu ochota na dalszą rozmowę, a już na pewno

na ciepłą, słowiańską otwartość. Dawno nie był nigdzie za granicą, nie miał więc możliwości poznać ze źródła poglądów innych nacji. Oczywiście media cały czas przekazywały niepochlebne opinie, jakie nasz kraj zbierał poza swymi granicami, tylko kto by tak do końca wierzył mediom? Niemniej... żeby coś takiego...?

– Osiółki to głównie Grecja i kraje bałkańskie. Geografia nie jest waszą najmocniejszą stroną, co? – burknął niechętnie. Nie przejmował się, że sarkazm wyciekał z każdego wypowiedzanego przez niego słowa. Ten człowiek nie był winien ogólnej opinii, ale miał go pod ręką i to jemu oberwie się za ignorancję całego narodu.

– Cóż, takie jest myślenie większości – powiedział po chwili mężczyzna. – I nic na to nie poradzimy. Chyba będzie trzeba wielu lat, nim ta opinia ulegnie zmianie.

Chwilę zahaczali jeszcze o mało istotne tematy, ale rozmowa już się nie kleiła – chłopakowi ewidentnie było głupio z powodu ignorancji jego ziomków. Dojechawszy do Obornik, francuski przystojniak rozliczył się więc pospiesznie, równie pospiesznie pożegnał i pobiegł wyraźnie zniecierpliwiony do swej „barbarzyńskiej” ukochanej.

Bogusław ruszył leniwie spod wiekowego bloku, wspominając czas spędzony w ogarniętym rewolucyjną pożogą Paryżu.

To były okrutne czasy. Cała Europa zatrzęsa się z przerażenia, a najbardziej władcy europejskich monarchii trzęśli się ze strachu przed rozprzestrzenianiem się rewolucyjnej zarazy. Krótco po tym jak pod ostrzem gilotyny, ku uciesze gawiedzi, spadła królewska głowa Ludwika XVI, Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Republice Francuskiej. Niedługo też do Wielkiej Brytanii, Prus, Sardynii i Austrii dołączyła Holandia, Hiszpania, Portugalia i Państwo Kościelne, a po nich Neapol, Toskania i państwa Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Kraje te, organizując się przeciwko ogarniętemu rewolucyjnym amokiem państwu, zawiązały pierwszą koalicję antyfrancuską.

Prowadzony na szafot Ludwik XVI próbował przed egzekucją przemówić do swego ludu, prosząc Boga, by jego krew nie spadła na wszystkich Francuzów. Jego słowa odbiły się głuchym echem wśród zebranych, którzy podnieceni obietnicą bestialskiego widowiska z udziałem kata, gilotyny i ich monarchy w roli głównej, zakrzyczeli ostatnie przesłanie władcy „Obywatele, umieram niewinny!” skierowane do nich z wysokości szafotu. Tak więc na Placu Rewolucji przy obecności około dwustu tysięcy rozentuzjasmowanych paryżan odbyła się widowiskowa egzekucja człowieka, który do ostatnich chwil nie miał sobie nic do zarzucenia.

Paryż pogrążony w chaosie bratobójczej walki przedstawiał żalosne widowisko, ale bytujący w nim ludzie zdawali się tego nie zauważać. Egzystencja na poziomie niemalże wegetacji sprawiła, iż tak byli pochłonięci walką o własne przetrwanie, że nie zwracali uwagi na świat, wykraczający poza ramy ich postrzegania.

Ta noc była szczególnie upalna, a gwieździste niebo ułatwiało widzenie wśród śmierdzących, ciemnych i ciasnych uliczek przedmieścia.

Oparty o wilgotną ścianę budynku Bogusław trzymał w ramionach małą, rudowłosą dziewczynę, tuląc ją do siebie w objęciach markujących namiętność. Tak na prawdę obserwowali ludzie, którzy w tym zaułku rozpusty przyszli szukać ucieczki od odrażającej wegetacji i zabawy wśród równie obmierzłej jak oni sami gawiedzi. Wszędobyłski smród ludzkiego bytowania mieszał się ze smrodem nieświeżych ludzkich ciał odzianych w brudne łachmany. Nikomu jednak nie przeszło przez myśl, by zaczerpnąć trochę wody i obmyć pokrywającą ich zgniliznę. Tak więc ludzie i miasto tonęli w rozkładzie, a wyostrzone zmysły Rodzaju szalały, pragnąc wytchnienia.

Z baru naprzeciwko zaułka, w którym stali, wytoczył się tłusty mężczyzna z nalaną, spoconą twarzą i daleko posuniętą łysiną, obściskując wielce rozbawioną jego zalotami, równie bujną w swych kształtach kobietę. Jej perlisty śmiech zagłuszał pobliskie rozmowy, ale kobieta zdawała się tym nie przejmować. Świat istniał dla niej tu i teraz w ramionach tego mężczyzny i prawdopodobnie w jego sakiewce, którą miał przytroczoną do pasa.

Tak, to bez wątpienia był ostatni rynsztok tego miasta. Nie można było już bardziej się stoczyć. Poza tym miejscem miasto przestawało istnieć, wypływając stąd najgorszy ludzki śmieć, który nawet tu nie przystawał.

– To nie jest miejsce dla nas – szepnęła Jagienka w ucho kochanka. – Musimy dostać się w głąb miasta.

Byli w nim zaledwie od kilku godzin i zorientowawszy się w ogólnej sytuacji, postanowili zostać tu na dłużej, niemniej posilanie się z żył tych szumowin było poza poczuciem ich godności. Może byli drapieżni, ale mieli swoją moralność. Nigdy nie doprowadzali do osuszenia ofiary, nigdy też nie wykorzystywali żywicieli dla zaspokojenia fizycznej żądy. Postępowali wyjątkowo humanitarnie jak na przedstawicieli swojej rasy i czasy, w których wiedli egzystencję. Zwłaszcza teraz i w tym mieście. Czas rewolucji sprawił bowiem, że Paryż stał się idealnym miejscem dla wampira. Wszechobecny chaos, strach jednych przed drugimi, stopy zgilotynowanych ciał i nieodzowny zapach krwi. W takim szambie nikt nie zwracał uwagi na kolejnego trupa, który, wydrenowany do cna, pojawiał się na ulicy. Śmierć była na porządku dziennym, a ofiary ustawiano w kolejkach, by dokonać na nich bezlitosnego wyroku i ogarnąć ogrom przerażającego procederu. Gdy istniejesz w nieskończoność, a obok twego istnienia przetacza się historia wraz ze swym porażającym okrucieństwem, gdy młodzi ludzie oddają życie za wątpiwej wartości sprawę, a ich wrogowie wyrzynają w pień ich pobratymców, gdy dzieci i niemowlęta umierają w obliczu bezsilności ich nie dość światłych rodziców czy opiekunów, zaczynasz obojętnieć na wszelkie zło i odrazę tego świata. A mimo to tych dwoje nieumarłych było bardziej ludzkich wobec swych żywicieli niż niejeden człowiek wobec swych bliźnich.

Jagienka chwyciła Bogusława za rękę i pociągnęła za sobą w kierunku jaśniejszej części miasta. W miarę jak podążali w jego głąb stare, rozwalające się rudery zaczęły zamieniać się w nieco okazalsze budowle, wystarczająco dobre, by znaleźli tam schronienie, a jednocześnie nie tak dostatnie, by przykuli swoją obecnością niepożądaną uwagę.

Mała oberża o nazwie „Les petits poneys” zapraszała wędrowców niewielkim, blaszanym szyldem, zwisającym na skrzypiących łańcuchach nad górną framugą masywnych drewnianych drzwi. Gdy weszli do środka, gruby oberżysta ze spoconą, nalaną twarzą i łysiejącą czupryną uwijał się między ławami, dostarczając wino i obskurne zakąski siedzącym przy nich przybyszom.

Widok niechlujnego oberżysty sprawił, że Bogusław zaśmiał się pod nosem – mężczyzna do złudzenia przypominał człowieka, który niedawno wytoczył się z pulchną ladacnicą w śmierdzącym zaułku.

– Mnie też się zdaje, jakbym go już widziała – usłyszał w swojej głowie głos Jagienki.

Obruszył się nerwowo. Nie lubił, gdy grzebała w jego świadomości. Stulecia temu postanowili nie czytać swoich myśli i jedynie moment aktu miłosnego był czasem, który tę umowę wykluczał – trudno było kontrolować spontaniczne odruchy w chwili tak silnych uniesień. Nim jednak zdążył ją skarcić, oberżysta podszedł do nich, zagadując:

– Szanowne państwo sobie życzy...? – Miał szeroki uśmiech, który ujawniał rząd nadgniłych zębów i cuchnący czosnkiem oddech. Jego język był niechlujny, choć o dziwo rozumiały.

– Macie wolny pokój? – Bogusław zapytał, starając się nie przyglądać odrażającej

fizjonomii flejtucha.

– Mamy, panie, mamy – odpowiedział oberżysta, po czym rzuciwszy łakome spojrzenie Jagience, ryknął w przestrzeń, zagłuszając pobliskie rozmowy. – Antoinette!

Antoinette pojawiła się niemal niezwłocznie, wylaniając się zza wysokiego kontuaru. Otarła dłonie w przypasaną do spódnicy szmatę i podeszła, dygając w niskim ukłonie.

– Zaprowadź państwo na górę. Państwo chce pokój. Daj ten od strony ulicy. To piękny pokój, panie. – Oberżysta ponownie skierował wzrok na Bogusława. – Będzie tam państwu wygodnie.

Dziewczyna znowu dygnęła i bez słowa ruszyła przez środek oberży, słusznie zakładając, że przybyli podążą za nią. Była drobna, raczej chuda z dużymi szarymi oczami w wynędzniałej twarzy. Widać było, że nie dojada. A może trawiła ją jakaś poważna choroba w zaawansowanym stadium? Wszakże prawdopodobieństwo niedożywienia było dużo wyższe niż jakiegokolwiek innej przyczyny złego stanu zdrowia. Dziewięćdziesiąt procent paryżan cierpiało w tym momencie z głodu. To, że Antoinette pracowała w oberży, nie musiało gwarantować regularnych posiłków.

Pokój był obskurny ze szczątkowym umeblowaniem. Stało tu szerokie drewniane łóżko pokryte cuchnącym siennikiem i spora skrzynia w jego nogach. Pod małym, kwadratowym okienkiem zdezelowany stół z przystawionym krzesłem, a na nim miska, z wnętrza której wystawał blaszany dzbanek z wodą. Przez oparcie krzesła przewieszona była nieokreślonej barwy szmata, prawdopodobnie pełniąca rolę ręcznika.

Dreszcz obrzydzenia przebiegł im po plecach, ale czyż mogli wybrzydzać? Rewolucyjny Paryż był dla nich konsumpcyjnym rajem, a to była cena, jaką musieli za pobyt w tym rajku zapłacić.

– Państwo chcą coś do jedzenia? – spytała Antoinette i nim zdążyli odpowiedzieć dodała: – Bo do pokoiów nie nosimy. Trzeba zejść do oberży.

– Dziękujemy. Jedliśmy po drodze – odpowiedział Bogusław, na co dziewczyna znowu dygnęła i bez słowa wyszła.

Zniesmaczona tandetnym lokum Jagienka, podeszła do okna i rozwarła je szeroko, ale smród z ulicy był jeszcze dotkliwszy niż zatęchły odór pokoju. Cóż, bolączka wszystkich dużych miast tych czasów – wszelkie odpady i ekskrementy trafiały przez okna na miejskie ulice, a fetor nie dbających o higienę ludzi i zwierzęcych odchodów dopełniał ohydny wrażeń. Nic dziwnego więc, że jeśli nie krwawe rzezie i wyniszczające wojny, to zamasyście kroczące przez Europę zarazy i epidemie dziesiątkowały zaniedbanych, wymizerowanych ludzi.

W takich miejscach wampirzy węch przechodził istne katusze, ale trzeba było wybierać pomiędzy zasobnymi w żywicieli i gwarantującymi anonimowość śmierdzącymi miastami, a pachnącymi naturą i świeżością wioskami, gdzie o posiłek było trudno, a anonimowość wcale nie miała racji bytu.

Rozejrzeli się po pokoju, po którym nie warto było się rozglądać i zeszli na dół do głównej sali, gdzie dla pozorów zamówili po szklanicy wina. Po krótkiej chwili spędzonej przy cuchnącej pomyjami ławie Jagienka wstała i ruszyła w stronę wyjścia, a jej dobrze wychowany towarzysz, dotrzymując niewieście kroku, wyszedł za nią w paryską noc.

Nie musieli długo szukać. Posiłek sam wpadł im w ręce, gdy przechodząc obok kościoła Saint Eustache, drobny mnich przemknął obok nich, nawet na nich nie spoglądając. Jagienka obróciła się do duchownego i zagadnęła tym swoim niewinnym głosem dziecka, by przykuć jego uwagę. Mnich obejrzał się w jej kierunku i to był błąd. Kobieta uchwyciła jego ufny wzrok i magnetycznym spojrzeniem zawładnęła jego świadomością. Potem wszystko potoczyło się jak zawsze, gdy wspólnie posilali się na jednym dawcy. Najpierw ona, potem Bogusław; pili

spokojnie w załomie budynku, ukryci przez noc pod podcieniami głównego wejścia. Po wszystkim, zaszczerpiając mu pozytywne emocje i uspakajającą sugestię, opuścili zakonnika, pewni, że mężczyzna bez przeszkód dotrze do celu, niczego nie pamiętając.

Śmierdzące posłanie w obskurnym pokoju nie zachęcało do miłości. Oni jednak czuli nieodpartą potrzebę spełnienia. Najadając się tak obficie jak dziś, nie musieli szukać dawcy przez kilka następnych dni, ale teraz musieli zaspokoić kolejny głód, nie zwracając uwagi na ohydne warunki. Łącząca ich więź jeszcze bardziej potęgowała tę intymną potrzebę.

Bogusław przyparł Jagienkę do ściany i zdarł z niej stanik sukienki. Szerokie, wielowarstwowe spódnice utrudniały dostęp do jej łona, ale na ten moment zaspakajał swoją potrzebę, delektując się pięknem jej zmysłowych ramion i rozkosznych, delikatnych piersi. Odpowiedziała na tę potrzebę równie energicznie, obnażając jego tors i zrywając z niego niegdys białą, a teraz mocno sfatygowaną podrózną koszulę. Zatracili się w uściskach, pocałunkach, namiętnych pieszczotach. Gdy dotarł do centrum jej kobiecości, pokonawszy zbyt dużą ilość fałbaniastych halek, była już bardzo wilgotna i w pełni na niego gotowa. Kiedy ona obnażyła jego? Nawet się nie zorientował. Po prostu stał przed nią w pełnej gotowości, a potężna erekcja, przy każdym głębszym pocałunku, wprawiała jego członek w nieskoordynowane drgania. Gdy nasadził ją na siebie, oboje jęknęli, a potem szybko, jak wygłodniałe drapieżniki gnali niesieni namiętnością, by osiągnąć cel zaspokojenia. Mieli za sobą stulecia wspólnego seksu, ale każdy kolejny raz był jak pierwszy – ostry, szalony, porywający i do bólu satysfakcjonujący. Bogusław zapamiętał obsypywał kochankę namiętnymi pocałunkami, myśląc, że nigdy nie znudzi się tym szalonym rytuałem, który opanowali do perfekcji i za każdym razem doskonalili ku zadowoleniu obojga.

Opadli na podłogę, nie bacząc na panujący na niej brud. Bogusław leżał na plecach, przy każdym oddechu unosząc na swym masywnym ciele drobne ciało Jagienki. Zasnęli usatysfakcjonowani i szczęśliwi miłością, którą ze sobą dzielili.

Wspomnienia pierwszej nocy w Paryżu i owładniętej namiętnością Jagienki zawiodły go do myśli o smutnej kobiecie z ulicy Prusa.

Gdy wrócił do Poznania było już dobrze po północy, ale i tak zajechał na Jeżyce. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnych szans, by o tej porze kobieta krążyła po ulicach, ale sama świadomość, że gdzieś tam, w jednym z tych domów śpi w swoim łóżku, w zupełności go satysfakcjonowała. Oczywiście był jeszcze ten wrzód na tyłku w postaci męża-palanta, ale jego można było wymazać mentalną gumką myszką i nie zawracać sobie nim głowy.

Bogusław pokręcił się trochę po ulicach Jeżyc, a potem pomału, wśród mglistej otoczki, pokierował swoje auto na Grunwald, by jak zawsze zaparkować samochód w podziemnej hali garażowej City Parku, wejść na górę do luksusowego, pustego apartamentu i w samotności zakończyć kolejną dobę swej niekończącej się egzystencji.

Rozdział 8

Jazda do podwarszawskiego Konstancina była prosta. Mimo że wampiry już dawno przestały wieść tryb życia nomadów, to intuicyjny zmysł nawigacji prowadził ich do celu jak po przysłowiowym sznurku. Sportowe Audi R8 z czarnym, matowym lakierem, będącym ostatnim krzykiem mody i sposobem na demonstrację zamożności, pokonało trzystukilometrową trasę w zawrotnym tempie. Kokpit z włókna węglowego i czerwona, skórzana tapicerka nadawały autu dynamiki graniczącej niemalże z agresją. Samochód zdawał się być swoistym dziełem sztuki, a w połączeniu z nieokiełznaną mocą i wykorzystaniem wszelkich dostępnych osiągnięć myśli technicznej stanowił obiekt pożądania dla dużych, bogatych chłopców. Nic dziwnego zatem, że była to także jedna z kosztownych zabawek Leona. Niewymowna satysfakcja z prowadzenia tego cacka odmalowana na twarzy właściciela sprawiała przyjemność również pasażerowi.

Nie znali Warszawy i jej okolic. Bogusław ostatni raz był w stolicy, gdy na brukowanych ulica terkotały powozy. Leon zaś, choć jako rodowity warszawiak całe dwudziestoczworoletnie ludzkie życie spędził w tym mieście, opuścił je krótko po przemianie. Było to ponad osiemdziesiąt lat temu i od tego czasu nie pojawił się tu więcej. Dlatego też obaj z czystym sumieniem mogli stwierdzić, że nie znają Warszawy. Na szczęście jedyne co musieli teraz zrobić, to trafić na jakąś obwodnicę, a potem dostać się do Konstancina, gdzie Król Ziem Wschodnich wraz z zespołem śledczym oczekiwał ich w swojej rezydencji. Później mieli nadzieję poruszać się samochodami gospodarzy, co byłoby wskazane nie tylko z uwagi na etykietę, ale również z najzwyczajniejszych, praktycznych względów.

Mimo iż intuicyjny GPS prowadził ich do Konstancina bez zarzutu, to w samej miejscowości konieczne było użycie elektronicznej nawigacji. Niestety ta nieco pobłądziła i trzeba było kilkakrotnie zmieniać współrzędne, by w końcu dotrzeć do celu.

Konstanciński Dwór był, jak większość dworów królewskich Mrocznego Świata, stanowczo za duży i za kosztowny, by być domem dla jednej osoby. Ot, odwieczna przywara królów. Jak świat światem, ludzie czy nie ludzie, monarchowie uwielbiali otaczać się przepychem i obnosić z nim ponad miarę, niekiedy płacąc za to zbyt wysoką cenę. Co mądrzejsi wyciągali wnioski z przykrych doświadczeń tych, którzy mieli mniej szczęścia, ale najwyraźniej władca Ziem Wschodnich do tych rozsądnych nie należał. Jego domostwo z daleka raziło isticie romskim stylem z nadmiarem ozdób elewacyjnych. A więc kłuty w oczy walcowate wieżyczki, pękate kamienne tralki balkonowe, łukowate okna ze szprosami i rzędy gipsowych lwów, siedzących na zwieńczeniu muru okalającego posesję. Jednym słowem, architektoniczny koszmarek.

Kiedy podjechali pod bramę, niedyskretne oko kamery monitoringowej zarejestrowało gości, zwiastując gospodarzom ich przybycie. Po krótkiej chwili automatyczny czujnik uruchomił otwieranie bramy, a rasowe R8 z drapieżnym pomrukiem zajęchało szerokim podjazdem pod główny budynek.

Stojący na ganku, wyzbyty z wszelkich oznak emocji mężczyzna Rodzaju powitał ich chłodno i odebrawszy od Leona kluczyki, przekazał je innemu wyzbytemu z wszelkich oznak emocji mężczyźnie Rodzaju, nakazując jednocześnie, odprowadzić samochód do garażu. Sam nieznacznym gestem zaprosił gości do środka i w milczeniu poprowadził ich do pokoi gościnnych. Cóż za szalona serdeczność – sarkazm zawitał w przelotnej myśli Bogusława.

Kulturalne, acz powściągliwe powitanie zwiastowało trudne rozmowy, z czym zresztą Bogusław liczył się od samego początku. Cholerna wampirza niezależność – pomyślał, wściekając się na trudne relacje interpersonalne wśród swych pobratymców. Zawsze muszą stawać okoniem, żeby udowodnić, kto tu rządzi. To takie bezcelowe.

Zakwaterowano ich na pierwszym piętrze w apartamentach dla gości z cudownym widokiem na okalające budynek ogrody ozdobione wysoką zielenią w tle. Całą posesję dyskretnie podświetlały ogrodowe lampy (standard w wampirzych posiadłościach), które zapalały się automatycznie wraz z zapadnięciem zmroku i świeciły aż do świtu.

Gościnnie apartament składał się z bardzo obszernego pokoju, z niewielką garderobą i dużą, luksusową łazienką. Na wprost drzwi znajdowało się dwuskrzydłowe, oszklone wyjście na przestronny balkon, łączący pokój Bogusława z bliźniaczo podobnym pokojem Leona. Królewskich rozmiarów łożę w drewnianej ramie, z nocnymi stolikami po bokach, przykryto grubą, gobelinową narzutą. W nogach łożka ustawiono długą tapicerowaną ławkę z drewnianymi poręczami. Mdlawo-beżową ścianę nad imponujących rozmiarów drewnianym wezglowiem zdobił jeden z licznych obrazów Kossaka – malowidło z typowym motywem wojaka z koniem, w bogatej, złotej ramie. Ciemnobrązową podłogę z szerokich desek w części pokrywał okrągły dywan utkany z beżowej wełny, na którym stał okrągły, niski stół z czterema obszernymi, tapicerowanymi fotelami, wykończonymi poręczami z równie ciemnego, co podłoga polerowanego drewna. Całość uzupełniało duże biurko ze skórzanym fotelem i trzyskrzydłowa toaletka z tapicerowanym taboret. W tym nawarstwieniu beżów i brązów pokój zdawał się do bólu nijaki. Ni damski, ni męski, ni radosny, ni posepny, po prostu dokładnie taki jak większość pokoi hotelowych. Luksusowa łazienka posiadała wszystko, co luksusowa łazienka posiadać powinna, a ściany i podłoga wyłożone drogimi, białymi i czarnymi kaflami oraz design armatury dopełniały stylu. Puszyste, śnieżnobiałe ręczniki z wyhaftowanym niewielkim emblematem herbu królestwa uzupełniały wrażenie przepychu. Jedno trzeba było oddać – cały apartament był konsekwentnie utrzymany w stylu klasycznego Art Deco.

Bogusław odstawił torbę na stojącą w nogach łożka ławkę i ogarnął bezosobowe lokum wnikliwym spojrzeniem. W tym momencie odezwał się drętwy kamerdyner, informując, że z uwagi na niewątpliwe znużenie miłych gości Stanisław i jego grupa spotkają się z nimi nazajutrz o osiemnastej i że on, czyli tenże kamerdyner, osobiście przyjdzie, odprowadzić ich na miejsce spotkania. A co z królem? – Bogusław wolał przemilczeć, cisnące się na usta pytanie. Sytuacja była tak niewiarygodnie sztuczna jak plastikowe, łososiowe gerbery w pogrzebowych wiązankach, jednak w tym momencie jedyne co można było zrobić, to grzecznie podziękować i oczekiwać nadejścia kolejnego wieczoru.

Gdy zamknęły się drzwi za apatycznym kamerdynerem, Bogusław rozsiadł się w jednym z wygodnych foteli i bezwiednie chwytając ze stołu kryształową szklankę z krwawą Mary, nalaną przed chwilą przez usłużnego tubylca, pogrążył się w luźnych rozmyślaniach. Słyszał Leona krzątającego się po pokoju i nawet spodziewał się, że przyjaciel zapuka do niego, by razem spędzili ten szmat czasu, który pozostał im do świtu. Na razie jednak siedział i popijał ciepłą krew, a jego niesforne myśli zawędrowały na pogrążone w mroku nocy ulice poznańskich Jeżyc, by tam spotkać się z mrzonką o ludzkiej kobiecie.

Myśli niczym mgliste cienie krążyły po ulicy Prusa, osiadając w każdym najmniejszym zakamarku wspomnień, które po niedawnym spotkaniu w dyskotecie były tak plastyczne, że niemal bolesne. Znów miał przed oczami jej delikatną twarz i drobne, krągłe ciało w eleganckiej sukience. No i... palanta będącego jej mężem. Jego widok, równie natarczywy jak wspomnienie kuszącej niewiasty, powracał do Bogusława ilekroć o niej myślał. To było chore, ale nie potrafił się od niego uwolnić, zwłaszcza że poznał drania i wiedział ile obłudy oferuje on swojej żonie każdego dnia. Cholernie irytujące. Ale cóż mógł poradzić? Zdawało się, że kobieta jest doskonale zorientowana w sprawie i, na własne nieszczęście, nic z tym nie robi. Dlaczego?

Nie wiadomo kiedy szklanka w jego ręce zrobiła się pusta. Choć do świtu nadal pozostał spory kawał czasu, nie miał już ochoty na pogawędki. W zasadzie nie chciał się nawet spotykać z

Leonem. Miał nadzieję, że przyjaciel też potrzebował trochę prywatności.

Prawdę powiedziawszy, towarzyskość nigdy nie była dominującą cechą jego gatunku. Żywot pędzony w samotności to podstawowa forma społecznego bytu wampira. Zaledwie nikły odsetek populacji decydował się na życie w bliskości z innym osobnikiem czy z partnerem ludzkim, jak się ostatnio okazało. Krótkie, jednorazowe przygody nie wymagające wysiłku i pracy nad własną, trudną naturą były powszechne, ale stałe związki... to już co innego. Chociaż...? Tak – można było odnieść wrażenie, że ostatnimi czasy Mroczny Świat ulegał jakiejś osobliwej metamorfozie.

Bogusław wstał z fotela i poszedł do łazienki. Miał ochotę wziąć relaksujący prysznic, a potem po prostu położyć się do łóżka. Fakt – sporo wcześniej niż zazwyczaj, skoro jednak nadarzyła się okazja do leniuchowania, to dlaczego by nie?

Mimo przerysowanych rozmiarów łazienka okazała się całkiem przytulna, zwłaszcza gdy ciepła woda prysznic zaczęła spływać kaskadą po jego ciele. Póki nie stanął w obszernej szklanej kabinie i nie poddał się ogarniającemu go odprężeniu, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo było mu to potrzebne. Może wcześniejszy sen to nie taki głupi pomysł? W końcu jutro czeka nas niezła przeprawa – zastanawiał się, namydlając ciało i swobodnie obmywając je pachnącą pianą. Przez chwilę delektował się rozkosznym relaksem intensywnych biczów wodnych, po czym splukał resztki żelu i szamponu, sięgnął po puszysty ręcznik i owinąwszy go wokół pasa, wyszedł z kabiny. Mgliste odbicie w zaparowanym lustrze ukazało spokojną, rozluźnioną twarz młodego człowieka. Zbyt młodego, by jego oczy wyrażały tę dojrzałą mądrość, której nie sposób było ukryć pod obliczem prawie młodzieńca.

Przeszedł przez pokój i zgasiwszy zbyt jasne sufitowe światło, zapalił niewielką lampkę na nocnym stoliku. Zdjął gobelinową narzutę i położył na ławeczce stojącej w nogach łóżka. Pachnąca satynowa pościel zachęcała, by się pod nią wślizgnąć, więc nie trzeba było wiele, aby puszysty ręcznik opadł z jego bioder, a on sam wsunął nagie muskularne ciało pod miękką, puchową kołdrę. Relaksujący prysznic i luksus królewskiego łóża nie pozostawiły mu wyboru – zapadł w spokojny, głęboki sen, nim zdał sobie sprawę, że zasypia.

Zdecydowanie zbyt energiczne pukanie oznajmiło Bogusławowi, że czas zbierać się do wyjścia. Nie wiedział, czego może się spodziewać po tutejszych wampirach, niemniej znając przedstawicieli swojego gatunku od ponad tysiąca lat, był pewien, że nie czeka go przyjacielskie spotkanie. Odstawiwszy na stół do połowy opróżnioną szklankę, podszedł do drzwi i wpuścił kamerdynera. Mężczyzna skłonił się prawie niezauważalnie i nie zwracając na niego uwagi, ruszył w kierunku balkonu. Rozsunął gobelinowe zasłony, zaścielił królewskie łóże, przykrywając je narzutą, zebrał zużyte ręczniki i podszedł do stołu, by sprzątnąć brudne naczynie. Nie pytał, czy może. Wiedział, że po ich powrocie krew już nie będzie nadawała się do spożycia. Każdy wampir wiedział, że po parogodzinnej przerwie krew stojąca w naczyniu robi się niesmaczna i marny z niej posiłek. Sączenie w małych odstępach czasowych – proszę bardzo, ale nigdy przerwy i dopijanie po czasie. Wtedy to niestety już tylko śmieć, nadający się jedynie do wylania.

Nie trzeba było słów, by Bogusław podążył za mrukliwym kamerdynerem. Uszli zaledwie kilka kroków, gdy mężczyzna znów energicznie zapukał, a potem obdarzył Sławka beznamiętnym spojrzeniem w oczekiwaniu na otwarcie. Leon ukazał się w drzwiach rześki i uśmiechnięty – bezspornie był bardziej ludzki niż reszta Rodzaju. Coś radosnego było w tym facecie, a jednak jego zawsze pogodna, zdaniem Sławka, twarz, nie wiedzieć dlaczego wśród ludzi zdawała się budzić niepokój. Najwidoczniej śmiertelni postrzegali go inaczej. Bogusław nie raz był świadkiem jak kobiety przyciągane niebывałą urodą Leona, szeptały trwożnie „piękny, ale dziko niebezpieczny”. On jednak tego nie dostrzegał. Może dlatego, że na co dzień widział w

nim po prostu dzieciaka, który pewnego dnia pojawił się na zachodnim dworze? I mimo że od tego wydarzenia minęło już prawie sto lat, to postrzeganie go jako młodzika ciągle nie opuszczało starego wampira.

– Hej, jak się masz? – zagadnął radośnie Leon, widząc przyjaciela przed swoimi drzwiami.

– A jak powinienem? – Bogusław uniósł brwi i, uwzględniając długie godziny snu, z drwiną dodał: – Wyspany. Cholernie wyspany. – Mrugnął do przyjaciela. – A poza tym mam się absolutnie świetnie.

– Noooo. To jestem spokojny – skwitował Leon, by po chwili, nachylając się wprost do ucha Bogusława, wyszeptać: – Bałem się, że będziesz miał tremę.

– Mam. Oczywiście, że mam, ale ciiii. – Sławek położył palec na ustach, szepcząc odpowiedź. – To tajemnica.

Obaj zaśmiali pod nosem, i tak przykuwając tym uwagę skonsternowanego sztywniaka, który właśnie brał do ręki zużytą szklankę, kończąc błyskawiczne sprzątanie w pokoju Leona.

Szli w ślad za swym przewodnikiem tą samą drogą, którą przebyli wczoraj, i której nawet nie próbowali zapamiętać. W tych dziwnie rozplanowanych wnętrzach płatanina schodów i korytarzy była albo wymysłem architekta szaleńca, albo działaniem celowym na wypadek niespodziewanego ataku. W tak zawiłej gmatwaninie przejść tylko ktoś dobrze zorientowany mógł sobie poradzić z wydostaniem się bez obawy o wieczyste błądzenie niczym mityczny Minotaur w labiryncie-pułapce.

Pokój, do którego weszli, okazał się gabinetem-biblioteką podobnym do tego, którego użyczył im Chwalimir w swojej rezydencji. Wystrój pomieszczenia był co prawda mniej tradycyjny, ale równie zbytkowny. Wewnątrz czekało na nich trzech nieumarłych siedzących na obszernych kanapach zestawu wypoczynkowego z wiśniowej skóry, która doskonale współgrała ze stalowo szarymi ścianami i parkietem z ciemnego, egzotycznego drewna.

Widząc wchodzących, jeden z mężczyzn powstał i przesadnie oficjalnie powitał gości.

– Witamy wolnego wampira – rzekł – i jego towarzysza, jako przedstawicieli króla protektora, na naszej ziemi w imieniu naszego króla i własnym.

Po tak ceremonialnym powitaniu Bogusławowi nie pozostawało nic innego, jak tylko podjąć oficjalną grę, mimo iż daleko bardziej wolałby, gdyby tubylcze wampiry okazały się w większym stopniu nowoczesne i powitały ich zwyczajnym „cześć”. Jak widać taka opcja nie wchodziła w grę, zatem trzeba było, dla zachowania poprawnych relacji między Dworami, bawić się w sztywną dyplomację. Znów archaiczność obyczajów brała górę nad zdrowym rozsądkiem i realiami, nie przystając do rzeczywistości dwudziestego pierwszego wieku. Oczywiście niezależnie od kręgów, w których się obracano, wysoka kurtuzja była zawsze mile widziana, ale... Ale przecież, do diabła – jęknął w duchu Bogusław – to spotkanie pięciu facetów, którzy mają rozwikłać kryminalną zagadkę oraz znaleźć i wyeliminować seryjnego mordercę, nie zaś szczyt dyplomatyczny zwieńczony ratyfikacją wiekopomnego traktatu. Cóż z tego...? Zrezygnowany pokręcił głową i wydekłamował ceremonialną regułkę.

– Witam przedstawicieli króla Ziemi wschodnich w imieniu własnym i mego towarzysza oraz w imieniu króla protektora i dziękuję za okazaną nam gościnę na waszym terenie.

Tubylczy wampir pokłonił się dwornie, po czym podszedł do nich i zapraszającym gestem wskazał wygodne kanapy.

– Jestem Stanisław – powiedział już całkiem normalnie i wskazując pozostałą dwójkę, dodał: – A to Kirył i Piotr.

Dwaj nieumarli kiwnęli głowami, nie podnosząc się z kanapy. Bogusławowi spadł kamień z serca – przez chwilę zaczął się obawiać, że atmosfera dworskiej etykiety i sztucznych

konwenansów nigdy nie opuści gospodarzy, znacznie utrudniając wszelkie negocjacje.

Rozsiadłszy się na kanapie vis a vis Kiryła i Piotra, Sławek z Leonem pokrótce określili swoje plany na pobyt w ich jurysdykcji i przedstawili propozycję zwierzchnictwa Bogusława nad pozostałymi grupami śledczymi. O ile ich plany zostały przyjęte bez zastrzeżeń i z dopasowaniem do nich grafiku prac wschodniej grupy o tyle pomysł, by Bogusław przejął zwierzchnictwo, odniósł marny rezultat, a niezależność terytorialna została podkreślona jako podstawowy atut, by zachować również niezależność decyzyjną.

– To nie ma najmniejszego sensu – argumentował Leon, gdy Stanisław po raz kolejny wypowiedział zdecydowane „nie”. – Jeżeli będziemy działać jako jeden zespół z jednym dowódcą, sprawy będą się toczyć sprawniej.

– Tego nie wiesz – stwierdził Kirył. – Nigdy nie musieliśmy uciekać się do takich metod, więc skąd masz pewność, że tym razem należy zmienić procedury.

– Stąd, że od ostatniego prawdziwego zagrożenia dla Rodzaju czas poszedł do przodu. Teraz rozbicie decyzyjne działa na naszą niekorzyść – odpowiedział spokojnie Bogusław.

– Możemy uznawać ciebie jako Wolnego, ale nie zdecydujemy się przekazać ci pełnej władzy. – Stanisław nadal był nieugięty.

– O władzy Wolnego bym z wami nie dyskutował – warknął Sławek. – To są kompetencje należne mi z urzędu, więc nie rób mi łaski Stanisławie, bo obrażasz mnie tą propozycją.

– Wybacz, jeżeli cię uraziłem – zreflektował się przywódca wschodniej grupy. – Ale na obecnym etapie nie oddam ci uprawnień nadanych mi przez mojego króla. Mogę jednak obiecać, że jeżeli okoliczności pokażą, iż nie mogę ich dłużej zachować, a zespoły z pozostałych Ziem też oddadzą się pod twoje zwierzchnictwo, przyjmę twoją propozycję.

Bogusław odebrał tę deklarację jako postęp w negocjacjach i dalej rozmowa potoczyła się już ściśle merytorycznie. Stanisław i jego ludzie przedstawili wszystko, co posiadali na temat rytualnych mordów dokonanych na ich terytorium. Znów poszły w obieg fotografie z tymi samymi martwymi ciałami, które widzieli wcześniej oraz te same dokumenty, których treść znali już prawie na pamięć. Można powiedzieć, że rozmowa nie wносиła nic nowego do sprawy aż do momentu, gdy Kirył wypalił ze swoją rewelacją.

– Mamy dla was parę, która zgodziła się zeznawać, jeżeli byście chcieli ich przesłuchać.

Bogusław uniósł brwi zaskoczony i spojrzał na równie zaskoczonego Leona.

– Są świadkami zabójstwa? – spytał.

– Nie, ale są ze sobą bardzo długo i mogą coś powiedzieć o więzi.

– W takim razie umów nas z nimi. Najszybciej, jak się da.

– Są pod ochroną? – rzucił Leon, tak na wszelki wypadek, pamiętając o zaleceniu

Chwalimira.

– Nie, nasz król nie wydał takiego polecenia.

– Ale teraz jesteście pod protektoratem – oburzył się młody. – Dotyczą was wszystkie wytyczne Chwalimira z Toporów.

– Jeszcze nie zdążyliśmy wprowadzić ich w życie – wyjaśnił pokojowo Piotr.

– Czekacie, aż pojawią się nowe ofiary?! – Leon nie ustępował, wbijając gniewne spojrzenie w beznamiętne twarze rozmówców.

Trzy wampiry spojrzały po sobie.

– Wiesz jak jest... – zaczął Piotr, starając się udobruchać gości, bo mimo iż Bogusław nie wtrącał się do rozmowy, to wyraz zdecydowanej dezaprobaty malował się również na jego obliczu.

– Nie! Nie wiem! – warknął Leon, przerywając mu. – Widzę natomiast, że nie leży wam na sercu bezpieczeństwo członków waszych klanów. Dziwię się, że właśnie wam powierzył król

tę sprawę, skoro nie potraficie podjąć tak prostej decyzji jak objęcie tych osób ochroną.

Złowrózbnie milczenie zawisło nad zebranymi jak ostrze gilotyny, które lada moment miało spaść, by ściąć głowę tej wątłej, rozciągniętej pod nią istocie zwanej porozumieniem.

– Mam nadzieję, panowie, że zrehabilitujecie się i naprawicie swój błąd błyskawicznie. To w wasze ręce wasz król oddał los tych ludzi. Nie powinniście go zawieść. – Ton Bogusława był zdecydowany, protekcyjny, jasno dający do zrozumienia, że nie ma mowy o jakimkolwiek samostanowieniu w tej kwestii, a uchybienie, którego się dopuścili, stawia ich w niekorzystnym świetle.

Lokalne wampiry spojrzały na niego z nieskrywanym gniewem, ale też z wyrazem jawnej porażki na twarzach. Nie spisali się i to już na samym starcie tej trudnej skądinąd współpracy. Nie mogli drażyć tematu, dochodząc swych praw. Nawalili i zostali na tym przyłapani. Nie pozostawało im nic innego, jak przyznać się do zaniedbania, które popełnili, ignorując zagrożenie.

– Natychmiast wyślę tam dwóch ludzi do ochrony – wymamrotał nerwowo Stanisław.

Wstał i podszedł do biurka. Krótka rozmowa telefoniczna załatwiła sprawę. Dalej z dwóch kolejnych usiłował przekazać odgórne wytyczne baronom lubelskich i białostockich klanów. Ci jednak już wcześniej dostosowali się do zaleceń Chwalimira, przyjmując jego protektorat nad swymi klanami, zatem i jego wytyczne uznając za nadrzędne.

Przykro było patrzeć na spiętą twarz Stanisława, gdy odkładał słuchawkę. Wyraz porażki na marsowym obliczu odzwierciedlał świadomość, że jego rozkazy przyszły za późno. Wszak sływał z zaradności i życiowego sprytu, które najwyraźniej w tym momencie go zawiodły, narażając na kompromitację i to wobec nie byle kogo. Mieszanych par do ochrony była znikoma liczba, on na swoim bezpośrednim terenie miał zaledwie jedną i, jak się okazało, nawet tej jednej nie zagwarantował choćby minimum wsparcia. Cholernie niewłaściwe – Bogusław pokręcił głową zdegustowany. Cała nadzieja w baronie Warszawy, może on zadbał o ich bezpieczeństwo.

Zaledwie trzy godziny temu zasiedli w gabinecie konstancińskiej rezydencji. Teraz zaś zmierzali do oddalonego o jakieś osiemdziesiąt kilometrów miejsca, zamieszkiwanego przez niekonwencjonalną parę, o której bezpieczeństwo dopiero co toczyli spór. Toyota Land Cruiser mknęła przez noc, a świat za jej oknami zlewał się w szaro-granatową masę. Wewnątrz milcząc, siedziało pięciu mężczyzn Rodzaju. Właściwa ich rasie małowówność nikogo nie krępowała, nikt więc nie oczekiwał ugrzecznionej konwersacji.

Bogusław zastanawiał się czy zwerbowana na szybko ochrona dotarła już na miejsce, czy może jednak działania wschodnich służb nadal będą opieszale. Mawiano z drwiną „poznański dryl” albo „poznański ordnung”, z pewnością jednak poznański porządek nie dopuściłby do tak rażących zaniedbań. Cóż, chciał nie chciał, już na samym wstępie, budowali swą trudną współpracę na poznańsko-warszawskich animozjach podsycanych przesadnym poczuciem terytorializmu.

Gdy samochód skręcił w ledwie widoczną z trasy leśną drogę, oczywistym było, że zbliżają się do celu. Jakiś czas jechali wyboistymi wertepami, by w końcu stanąć na niewielkiej polanie, skrzętnie ukrytej wśród potężnych drzew.

Cholernie paskudne miejsce – pomyślał stary wampir, przyglądając się otoczeniu. Blask księżycy ledwie oświetlał szczyty drzew, a ołowiane chmury zwisały ciężko nad lasem, nie mogąc utrzymać własnego ciężaru i szukając oparcia w sile wiekowych, rozłożystych konarów. Ponura, listopadowa noc – jęknął w duchu, otrząsając się ze wstrętem z mglistej wilgoci. Taki widok w leśnej scenerii nadawał miejscu rys niepokoju, jakby żywcem wyjęty z nisko budżetowego filmu grozy. Poniżej koron zalegała czarna, niczym nie zmacona ciemność, która zdawała się wypełzać ze wszystkich chaszczki i zapadlin i którą tylko wampirzy wzrok był w

stanie przeniknąć. Na tle tej posępnej oprawy rysował się wątły kształt niewielkiej chatki skrytej między zaroślami. Ciemność sunąca w jej kierunku niekiedy mieszała się z nikłym księżycowym światłem i spowijała mglistą poświatą, zacierając granicę pomiędzy budzącą grozę iluzją, a realnym światem. Niesamowity krajobraz wydawał się złudny, jak gdyby mała chatka żyła własnym życiem, bawiąc się z przybyszami w chowanego i znikając, by po chwili pojawić się znów niczym legendarny Latający Holender.

W tej chimerycznej scenerii nie sposób było dostrzec kogokolwiek z ochrony. Mam nadzieję, że jednak gdzieś tu są.

Gdy podeszli bliżej, kształty budynku przestały być mirażem. Z otchłani ciemności wyłoniła się konkretna, całkiem spora drewniana chata, na progu której tliło się wątłe światło naftowej lampy. Naftowa lampa? Ostatni raz widział takie w latach pięćdziesiątych zeszłego stulecia i szczerze mówiąc, zapomniał już nawet, że kiedyś były w powszechnym użyciu.

Nim podeszli do masywnych drzwi, w progu ukazała się młoda, pulchna, urodziwa niewiasta z ciemnymi włosami związanymi w gruby warkocz. Mimo skromnego oświetlenia jej skóra jaśniała, a sylwetka wyglądała zdrowo i silnie. Wampir – zauważył Bogusław, zdumiony. Dlaczego sądził, że spotka tu nieumarłego mężczyznę i śmiertelną kobietę? Może w oparciu o jego własne pragnienia? Trudno powiedzieć, ale taki układ naprawdę go zaskoczył.

Kobieta stanęła na progu sama. Czyżby jej partner nie zamierzał do nich dołączyć? A może poznają go, kiedy wejdą do środka? Zobaczymy. Roztropność i stoicki spokój Sławka zawsze brały górę nad niecierpliwymi rozważaniami.

– Tereso... – Stanisław nieznacznie skinął głową. – To moi ludzie, Kirył i Piotr. – Zrobił gest dłonią. – A ci dwaj mężczyźni Rodzaju to Bogusław i Leon, goście z Ziemi Zachodnich, o których ci wspominałem.

– Witam. Jesteście mile widziani w naszym domu, zapraszam. – Kobieta z serdecznym uśmiechem spojrzała na przybyłych i jednoznacznym gestem zachęciła ich do wejścia. Wydawała się bardzo ludzka.

Czyżby stały związek z człowiekiem sprawiał, że nasze surowe cechy tracą ostrość na rzecz bardziej ludzkiego obojętności? Bogusław podrapał się po brodzie w bezwiednym geście zadumy. Ile jeszcze pytań postawi przed nim dzisiejsze spotkanie?

Czterej mężczyźni Rodzaju skłonili się niemal jednocześnie i za Stanisławem weszli do słabo oświetlonego wnętrza. Dom był dziwny – jakby niedzisiejszy. Już na pierwszy rzut oka można było uznać, że czas zatrzymał się tu dobrze ponad pół wieku temu. W wieloramiennych świecznikach palące się świece dawały połyskliwe, tańczące światło, a w sporym kominku igrały płonienie, doświetlając i ogrzewając izbę. Widocznie sielankowy klimat wiejskiego domostwa lat czterdziestych zeszłego wieku miał w sobie jakąś moc, skoro domownicy nie robili nic, by przekroczyć tę odległą granicę czasu.

– To jest Janek. – Tuż za progiem Teresa wskazała słabo oświetloną postać.

A więc Janek nie był znany żadnemu z przybyłych, skoro lokalne wampiry przyglądały mu się równie wnikliwie jak Bogusław z Leonem. Słabe światło czy nie, ich wzrok pozwalał na wiele.

Mężczyzna był wysoki, barczysty, ciemnowłosy, z delikatnie przyprószonymi siwizną skrońmi. Miał jasne, zielone oczy i lekko utykał na lewą nogę. Na pierwszy rzut oka nie miał więcej jak trzydzieści trzy, trzydzieści pięć lat. Wyglądał na sporo starszego od swojej partnerki, choć wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że jest odwrotnie. W jego twarzy rysowało się jakieś niejasne, jakby wykraczające poza jego fizyczność, doświadczenie.

Teresa podeszła do drewnianej komody i zza oszklonych drzwiczek wyjęła pięć szklanek, które postawiła na dużym, drewnianym stole stojącym w centralnym punkcie izby. Po środku

postawiła kamionkowy dzbanek i zaprosiła gości, by wraz z nią i jej partnerem zasiedli na szerokich ławach.

– Przepraszam, ale mogę was poczęstować jedynie wodą. Od bardzo dawna żywię się tylko na Janku.

O cholera! Do prawdy?! Szokujące. Kobieta żywiła się ze źródła. Tylko!

– Nie mamy lodówki i workowanej krwi – kontynuowała z przepraszającą miną. – Nie miewamy gości, bym musiała się troszczyć o takie zaopatrzenie.

– Lubicie surowe życie? – Leon wodził wzrokiem po staromodnej izbie, nieudolnie starając się ukryć zaskoczenie wywołane wcześniejszą deklaracją gospodyni. – Macie dom urządzony dość nietypowo jak na dwudziesty pierwszy wiek.

Teresa z Jankiem spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Tak go urządziliśmy, gdy zamieszkaliśmy tu w 1943 roku i tak już zostało – wyjaśniła.

Malująca się na twarzach gości konsternacja, tym razem wzbudziła nieskrywane rozbawienie gospodarzy. Kobieta chwyciła dzbanek.

– Jednak naleję wam tej wody – stwierdziła, wciąż rozbawiona. – Wyglądacie, jakby nagle zaschło wam w ustach.

Bo zaschło. Z jej słów należało wnioskować, że ten ludzki mężczyzna powinien być już martwy albo przynajmniej bardzo, bardzo stary. Absolutnie jednak nie powinien wyglądać tak, jak wyglądał. Milczenie – nieodłączny towarzysz konsternacji, zdawało się ciągnąć w nieskończoność. To znowu Teresa zdecydowała się odezwać.

– Zastanawiacie się, ile Janek ma lat. Urodził się w 1917 roku – mówiła zwyczajnie, jakby opowiadała o wczorajszym dniu.

Gdyby wampirom opadały szczęki, to w izbie leśnego domostwa rozległby się teraz huk równy towarzyszącemu odrzutowcom przekraczającym barierę dźwięku. Szczęśliwie każdy z nich potrafił utrzymać szczękę na swoim miejscu, nie narażając pozostałych na chwilową utratę słuchu.

Wiedzieli, że jest to wieloletni związek, ale co to znaczy wieloletni? Jak się właśnie okazało – trudno powiedzieć. Na pewno jednak nie spodziewali się, że będzie to związek trwający dziesięciolecia.

– Opowiadajcie – rzekł w końcu Bogusław, dając wolną rękę gospodarzom do zrelacjonowania tych kilku dekad. Pytania będzie zadawał później.

Teresa z Jankiem spojrzeli na siebie znacząco, a potem zaczęli opowieść.

Poznali się w 1939 roku, gdy dwudziestodwuletni Janek został ranny podczas jednego z nalotów na Warszawę. Teresa pracowała wówczas w szpitalu jako wolontariuszka – zawieruchy wojenne i szpitale zawsze były przychylnym czasem i miejscem dla wampirów. Zajmowała się Jankiem od pierwszego dnia jego pobytu w lecznicy. Pielęgnowała go, zmieniała opatrunki, pomagała w rehabilitacji usztywnionego biodra. A potem zaczęli się spotykać. Dość szybko Janek zdeklarował swoje uczucia, przed którymi ona nie chciała się bronić, bo po raz pierwszy w swym kilkusetletnim życiu poczuła, jak bije jej nieumarłe serce. Zaryzykowała wyjawienie prawdy, a on jej nie odrzucił. Od tego czasu stali się parą. Zaręczyli się, by ludzie nie gadali, i by uwiarygodnić ich związek przed rodziną Janka. Gdy pierwszy raz uprawiali seks Teresa poczuła nieodparty głód jego krwi, a on nie protestował. Wtedy zawiązała się więź. Krótko potem zdali sobie sprawę, że z każdym kolejnym pożywieniem ich więź się wzmacnia. Jakiś czas później spostrzegli też, że proces starzenia się mężczyzny spowolnił i nie dotykają go ludzkie choroby. Kiedy skończyła się wojna nie wyprowadzili się z tej leśnej chaty. Zawierucha wojenna zabrała życie najbliższemu krewnym Janka i poza Teresą nie miał już nikogo. Byli zdani tylko na siebie, tak różni od konwencjonalnych par postanowili nie wracać do odradzającej się cywilizacji.

Zostali, a ich miłość pogłębiała się z każdym dniem.

– I tak jest do dziś. – Mężczyzna spojrział czule na swoją partnerkę.

– Nie zmienialiśmy naszego domu – stwierdziła Teresa. – Takie życie jest nam znane i nie potrzebujemy lepszego. Zresztą i tak nikt nam tu do tej głuszy nie dociągnie elektryczności, a w wolnych chwilach zamiast oglądać telewizję, mamy coś o wiele przyjemniejszego do roboty.

Z zarem spojrzeli sobie w oczy, a Bogusław poczuł gorące ukłucie w sercu. Też chciałby widzieć w oczach ukochanej takie oddanie, jakim tych dwoje obdarzało siebie.

– Nikt też nas tutaj nie odwiedza, ani ludzie ani wampiry – stwierdził Janek zupełnie nieskrępowany faktem, że jego dom zapełnił się nieumarłymi.

– Pomówmy o więzi. Czujesz mentalne połączenie z Jankiem, Tereso? – dociekał Bogusław.

– Tak – odpowiedziała zdecydowanie.

– Ale... czy słyszycie siebie? No wiesz... telepatia... – dopytywał, pamiętając jak to było, gdy więź łączyła go z Jagienką.

– Nie nazwałabym tego w ten sposób, ale czuję go dużo silniej, niż normalnie czujemy ludzi, a ponadto również Janek czuje mnie świadomie. Potrafimy komunikować się w pewien sposób na odległość, aleee... jak bym to miała wyjaśnić? – zastanawiała się. – Raczej na poziomie odczuwania.

To i tak było więcej niż normalne percypowanie człowieka – trzeba było być z nim w bezpośredniej bliskości, by móc go wyczuć, czytać w nim, czy nim manipulować. Zauroczenie, mentalny przymus – to wszystko, co większość nieumarłych mogła zrobić człowiekowi, by zmodyfikować wspomnienia, zasugerować posłuszeństwo, wpoić pożądane zachowania czy wyszperać w jego umyśle coś istotnego. Ludzie natomiast nigdy nie byli świadomi oddziaływania wampirzych mocy. Ten człowiek zaś świadomie czuł swoją partnerkę.

– A odkąd jesteście razem, pożywiałaś się jeszcze na kimś innym?

– Nie. Nigdy nie czułam takiej potrzeby. A po pewnym czasie sama myśl o innym dawcy budziła we mnie wstręt.

– Janek, a jak ty odczuwałaś... odczuwasz pożywanie się Teresy?

Twarz mężczyzny rozplynęła się w błogości.

– Pierwszy raz był dziwnym doświadczeniem – powiedział w końcu. – Pamiętam, że skupiony byłem na oczekiwaniu bólu, ale ból się nie pojawił. Poczułem ukłucie zębów, a... potem było tylko ciepło i spokój. Aż w końcu ogarnęło mnie jakieś przedziwne, euforyczne uczucie. Doznanie nie do opisania. – Rozmarzył się, zapominając na chwilę, że właśnie wywnętrza się przed gromadą obcych mu wampirów. – Jednak tak było tylko za pierwszym razem – westchnął, wróciwszy do rzeczywistości. – Następne i wszystkie kolejne też były, i są, wspaniałe, chociaż nie takie... transcendentalne. Ale każdy następny raz powodował, że czekałem na kolejne. Od tego czasu zaczynamy nasz cowieczorny byt od pożywania z przyjemnością dla obojga.

– I z gorącym seksem zaraz po – zachichotała Teresa, patrząc na niego z wyrazem uwielbienia na pызatej buzi.

Stanisław do tej pory tylko przysłuchiwał się rozmowie. Teraz uznał, że jako dowódca grupy śledczej też powinien wziąć czynny udział w tym przesłuchaniu.

– Znacie inne takie pary jak wy? – zapytał, puszczając pikantną uwagę mimo uszu. Choć seks nie był w ich świecie tematem tabu, nie był też pretekstem do dywagacji. Po prostu temat jak każdy inny i tyle.

– Wiemy, że są inni – odpowiedziała kobieta. – W ludzkim świecie nie funkcjonujemy jako coś kuriozalnego, bo nikt nie wie o rzeczywistym istnieniu Rodzaju, ale wśród swoich

trudno ukryć... coś. – Wzruszyła ramionami.

– Zwłaszcza coś tak niezwykłego jak mieszana para – dodał Janek, chwytając ją za rękę.

– Ale nigdy ich nie spotkaliście? – drążył Stanisław.

– Nie. Żyjemy tu trochę jak w pustelni. Poza tym wiecie... nie jesteśmy zbyt towarzyską gromadką – dodała Teresa, uśmiechając się, spoglądając na niewzruszone oblicza gości.

– To fakt – zgodził się Bogusław. – A wiecie o wydarzeniach z ostatnich dwóch lat, które niedawno wyszły na jaw? – spytał po chwili. Nie mógł pominąć tego tematu. W końcu z powodu tych wydarzeń zakłócili właśnie spokój tej sympatycznej parze.

– Dowiedzieliśmy się niedawno i dlatego skontaktowałam się z Dworem. – Teresa spoważniała.

– No a dziś zjawili się ci dwaj wojownicy, by nas chronić – dodał jej partner nieco zmieszany.

– Nie możesz czuć się nieswojo z powodu ochrony. – Bogusław spojrział na mężczyznę przyjaźnie, wyczuwając jego zażenowanie. – To bardzo przebiegły przeciwnik, sami moglibyście być bez szans.

– Obywaliśmy się bez ochrony przez dziesięciolecia. – Człowiek nie dawał za wygraną.

– Tak, ale to nie jest zwykły zabijaka, z którym poradziłby sobie każdy przeciętny wampir. To jest... z całym prawdopodobieństwem... IN NOMINE PATRIS. – Sławek spojrział na Teresę znacząco. Jak się spodziewał, jej reakcja była natychmiastowa – szeroko otwarte oczy i bijące z nich przerażenie.

– Co to za diabeł? – zapytał Janek wyraźnie nieświadom powagi zagrożenia.

– Masz rację, kochanie. Diabeł. Z krwi i kości, mimo że z Bogiem na proporcju – odpowiedziała, uspakajająco głaszcząc go po dłoni; pod maską pozornej obojętności kryjąc swe przerażenie. – Wyjaśnię ci, jak zostaniemy sami, bo to historia na dłuższą opowieść.

Teresa nie dociekała, skąd wiedzą, że to właśnie bractwo poluje znów na Rodzaj. Nikt przecież nie powoływałby się na taką informację, gdyby nie była prawdziwa. Poza tym, gdyby nie tak poważne zagrożenie, żaden dodatkowy wampir nie zjawiłby się na tym odludziu, by chronić ją i jej ludzkiego partnera. Członkowie Rodzaju doskonale znali swoje możliwości, więc skoro ktoś uznał, że potrzebne im wsparcie, widocznie tak było.

– Ochrona będzie się zmieniać co dwadzieścia cztery godziny w dwuosobowych zespołach aż do czasu rozwiązania problemu – zakomunikował Stanisław. Że nie nastąpi to zbyt szybko, było pewne, ale nikt głośno nie ośmielił się tego powiedzieć. – Chyba, że wcześniej postanowicie przenieść się w bezpieczniejsze miejsce.

– Nie wyprowadzimy się stąd! – Kobieta była stanowcza, kategoryczna.

– Tereniu... – Janek spojrział na nią z jowialną dobroduszością i tym razem on ją pogłaskał po dłoni, uspokajając. – Tak długo żyliśmy w odosobnieniu, że trudno byłoby nam się teraz dostosować – tłumaczył, odwróciwszy się w stronę Stanisława. – Zresztą, kto by nas tu znalazł? Nikt nie zna tej głuszy, a okoliczni mieszkańcy zapuszczają się tu zbyt rzadko, by zapamiętać to miejsce i nas.

– Nie przekreślajcie jednak ewentualności wyprowadzki w przypadku bezpośredniego zagrożenia – prosił Bogusław, żywiąc jednakże nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

– W takiej sytuacji... – Janek spojrział na Teresę, która nieznacznie przytaknęła – nie przekreślimy.

– Skoro wszystko jasne... – Stanisław wstał, skłonił się, a za jego przykładem poszła reszta.

– Tereso... Janku... – Bogusław pochylił głowę i uśmiechnął się enigmatycznie.

Kiedy wyszli przed próg, wątle światło naftowej lampy nadal migotało w mroku, ale

ciemność otaczająca chatę zdawała się nie dopuszczać do siebie nawet tych kilku mizernych płomyków.

Byli w połowie drogi na polanę, gdy Bogusław poczuł nieprzyjemne mrowienie. Ciało pokryła gęsia skórka, a złe przeczucie zjeżyło mu mikroskopijne włoski na karku. Ktoś obserwował ich w mroku, choć niewątpliwie miał trudności z ich wypatrzeniem. Stary wampir rzucił towarzyszom badawcze spojrzenie – też to wyczuli.

– To człowiek – szepnął niemal niedosłyszalnie, kątem oka łowiąc nieznaczny ruch w odległych zaroślach. – Może nie ma złych zamiarów.

– Sam w to nie wierzysz – syknął Kirył. Odkąd zajechali do tej chaty, były to jego pierwsze słowa, niemniej diablo prawdziwe.

Oczywiście, że nie wierzył. Też czuł tę gorączkowość i chorą ekscytację rozchodzące się po lesie niczym fale radiowe. Złe emocje śmiertelnych zawsze niepokojąco krzyczały w eter.

– Gdzie są twoi ludzie, do cholery?! – warknął. Nim jednak Stanisław skończył mówić „nie wiem”, drewniana strzałka z impetem trafiła go w pierś, szarpiąc w tył jego ciałem. – Musimy gnoja wziąć żywcem. – Tonem nie znoszącym sprzeciwu padła prawie bezgłośnie komenda. Jednocześnie Bogusław podchwycił upadającego Stanisława.

Sposób w jaki poruszał się napastnik, świadczył o tym, że nie jest nowicjuszem. Na szczęście pojęcie „bezszelestny ruch” w przypadku wampirzego słuchu nie miało racji bytu. Choć człowiek starał się być niedostrzegalny, i tak doskonale orientowali się, w którym kierunku zmierza.

Bezgłosną akcją przeprowadzili błyskawicznie. Rozpierzchli się, myśląc tym przeciwnika, zarazem osaczając go i zamykając w kręgu ciasnej pułapki. Nim Bogusław położył na wilgotnej trawie rannego Stanisława i wyciągnął paraliżujący grot z drętwiejącego ciała, pozostali już toczyli walkę z całkiem sprawnym napastnikiem. Co prawda kuszę Leon wytracił mu, gdy tylko się do niego zbliżył, ale zawzięty śmiertelnik nie dawał za wygraną, próbując wciągnąć trzech nieumarłych w bezpośrednie starcie. Solidny kopniak wymierzony w brzuch Leona wprawdzie nie powalił wampira, ale zgiał go w pół i nim Leon zdążył się podnieść, kolejny cios wymierzony w głowę na chwilę go zamroczył, skutecznie unieruchamiając. To jednak starczyło, by zajęty walką napastnik, nie mógł obronić się przed uściskiem silnych ramion Kiryła. Mężczyzna szamotał się jeszcze, ale jego próby były z góry skazane na porażkę – żaden człowiek nie był w stanie uwolnić się ze stalowego uścisku wampira.

Gdy podprowadzili go do Bogusława, miał hardość wypisaną na twarzy.

– Głupi dzieciaku – stary wampir warknął przez zaciśnięte zęby, patrząc w młode, zbuntowane oblicze.

Dzieciak nie miał więcej jak dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata. To, że żyjesz to tylko nasza dobra wola – upomniął go mentalnie, choć wiedział, że smarkacz go nie słyszy. Chłopak stał, wciąż się szamocząc, z głową uniesioną wysoko i buńczucznie patrzył Sławkowi w oczy. Kirył z Piotrem trzymali go za ramiona, a pokopany Leon stał tuż za nimi.

– Załatwiłem tych twoich osiłków – przechwalał się prowokacyjnie młokos. – Leżą w krzakach martwi jak kuropatwy po moim polowaniu.

To wyjaśniało, dlaczego ochrona nie zareagowała na intruza. Widocznie zdjął ich z takiej odległości, że nie zdążyli uprzedzić ataku. Jeżeli to tylko kołki z kuszy, ich egzystencji nie zagrażało niebezpieczeństwo, jeśli jednak odciął im głowy, nie było dla nich ratunku. Ciekawe, do jakiego stopnia wyedukowany w kwestii wampirów jest ten mały? – zastanawiał się Bogusław. I ile miał czasu na tę swoją krucjatę? Utkwił wzrok w napastniku i dotknął jego świadomości. W ułamku sekundy już panował nad zniewolonym umysłem.

– Kim jesteś?

– Brat Paweł. – Chłopaka miał szklisty wzrok; odpowiedział beznamiętnie niczym w transie.

- Co zrobiłeś moim ludziom?
- Uśmierciłem ich. Na zawsze.
- Jak?
- Strzałą z kuszy.

Cholera! Ten brak wylewności szczeniaka zaczynał go wkurzać. Zwykle zauroczeni ludzie robili się gadatliwi. Starczyło jedno pytanie, by resztę wyklepali jak na spowiedzi. Ten taki nie był. Z niego informacje należało wyciągać krok po kroku. Oczywiście Bogusław mógł zagłębić się w jego świadomość i sam dokopać do odpowiedzi, ale nie było na to czasu, miał więc nadzieję, że dzieciak się rozkręci. Zasadniczo metoda „pytanie-odpowieź” była wystarczająco skuteczna.

- Tylko kusza? – dopytywał zniecierpliwiony.
- Tylko.

Kamień spadł mu z serca. Być może to nie jest członek bractwa – główkował. Ale skąd, do cholery, ten młokos wiedział o tym miejscu i o jego mieszkańcach?

- Skąd się tu wzięłeś?
- Z klasztoru.
- Z którego?! Gadaj, do cholery! – Potrząsnął chłopakiem zniecierpliwiony.
- Od franciszkanów.

Fuck! Wyciągnięcie z tego dzieciaka istotnych informacji będzie w cholere czasochłonne.

Nie mogli jednak przetrzymać go w nieskończoność. Wcześniej czy później ktoś zacznie go szukać. Tak więc należało sprawnie go przesłuchać i przeczyściwszy świadomość, wypuścić. Ale nie tu i nie teraz skoro mieli rannego Stanisława i złowieszczy oddech świtu na plecach.

– Kirył! Bierz Stanisława i ładujcie się do samochodu – po raz kolejny Bogusław wydał polecenie tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Leon! Zabieraj młokosa i ładuj go do bagażnika. Piotr! Ze mną! – Nie czekał na odpowiedź. Nikt też się nie sprzeciwiał. Obrócił się i ruszył w stronę chaty.

Teresa z Jankiem nie odmówili pomocy, przeczesywali więc we czworo okolicę, szukając zakółkowanych ochroniarzy. Po odwołaniu mieli tu zostać na czas kardiorewitalizacji. Na szczęście z ich zdolnością do regeneracji nie powinno to zająć więcej niż dwie, trzy doby.

Świat pomału szarzał, kiedy w końcu ich odnaleźli. Gnojek był naprawdę dobry – grotty bezbłędnie tkwiły w samym środku wampirzych serc. Jak to możliwe, że chłopak chybił, strzelając do Stanisława? – zastanawiał się Bogusław. Co prawda od serca dzieliły strzałę zaledwie milimetry, ale mimo wszystko... Nie było jednak czasu na dogłębną analizę. Świt ponaglał; musieli niezwłocznie przetransportować rannych do chaty. Ledwie jednym wprawnym szarpnięciem Sławek uwolnił drętwe ciało od belta, a już Piotr poderwał je z ziemi i pędził do chaty. Teresa z Jankiem zajęli się drugim odrętwiąłym mężczyzną.

- Podeślemy wam nową ochronę jeszcze dziś – odezwał się Piotr, gdy tylko weszli do środka. – Ale zdajecie sobie sprawę, że to już nie jest bezpieczne miejsce?
- Tak. – Ton głosu Teresy był spokojny, acz zdecydowany; Janek tylko kiwnął głową.
- Jak tylko ci dwaj – Piotr kiwnął głową w stronę dwóch sztywnych ciał leżących na drewnianych ławach przy stole – się zregenerują i będzie można ich ruszyć, musicie się przenieść. Wróć tu za dwa dni, wtedy zdecydujemy, co dalej.

Bogusław dostrzegł udrękę w oczach zgnębionej pary. Coś absolutnie niewyobrażalnego zakłóciło ich wieloletni spokój, zmuszając, by porzucili swój dom – jedyne bezpieczne miejsce,

jakie dotąd znali. Ta chata chroniła ich przed światem, uchroniła przed okrucieństwami minionej wojny, a teraz okazywała się niewystarczająca. Czuli się z tym źle, ale nic poza wyprowadzką nie wchodziło już w grę. Żadne inne rozwiązanie nie gwarantowało im bezpieczeństwa. Ich i tę chatkę ktoś wpisał na czarną listę i było tylko kwestią czasu, kiedy znów się pojawi, by ostatecznie odebrać im ich szczęście. Szczęście, które właśnie rozszarpano na godne ubolewania strzępy.

Gdy przekraczali bramę konstancińskiego dworu, świt rozjaśniał już stalowe niebo. I cóż z tego, że wątki strzęp światła pojawiający się listopadowym świtem trudno było nazwać słońcem? To promieniowanie UV, a nie słoneczny blask, krzywdziły nieumarłych. Na szczęście ich bezpieczeństwa strzegły czarne szyby Toyoty i szczelnie zamknięty garaż. Dalej wewnętrznymi korytarzami dotarli do głównego budynku.

Jeden treściwy telefon Piotra starczył, by cały Dwór był przygotowany na ich awaryjny powrót. Pieprzone kolki nie zabijały, jednak siały zdecydowanie większe spustoszenie niż jakakolwiek inna broń.

Dotarwszy do holu, Kirył z Piotrem, niosący swego rannego druha, nie zważając na gości, ruszyli w stronę prywatnych apartamentów. Trzeba było ułożyć Stanisława w łóżku i zostawić w spokoju na najbliższych kilkanaście godzin, by przebite płuco mogło się zregenerować.

Tymczasem Bogusław i Leon, niczym wierne cienie kamerdynera, powędrowali wymyślnym labiryntem do swoich kwater.

W pokoju Sławek opadł na fotel, wyciągnął przed siebie nogi, krzyżując je w kostkach i sięgnął po szklankę, która, nieskazitelnie czysta, stała na stole ozdobiona wykwintną serwetką. Odwrócił się nieznacznie i sięgnął do mini barku w toalecie. Zimna krew otrzeźwiła jego spięte ciało. Wreszcie mógł się rozluźnić. W zaciemnionym pokoju, gdzie zaledwie nocna lampka sączyła nikłe światło, wolno spijał chłodną krwawą Mary. Przez jakiś czas trwał tak, odpuszczając napięciu, po czym wstał, poszedł do łazienki i wziął relaksujący prysznic.

Sen przyszedł jak zwykle nagle, pochłaniając go całkowicie.

Rozdział 9

Od tygodnia Jacek nie mieszkał w domu.

Kaśka każdego dnia budziła się z innym pakietem emocji, które, w cyklicznych napadach, zmieniały się co dwadzieścia cztery godziny. Gdy jednego dnia otwierała oczy z euforycznym uśmiechem wolności i jasności sytuacji na ustach, to następnego chmury czarnej rozpacz i depresyjnej paniki zasłaniały każdy zakamarek jej emocjonalnej świadomości. Telefon komórkowy brała do ręki dziesięć razy na godzinę i bijąc się z myślami, rozpatrywała swoje przeprosiny i błaganie męża marnotrawnego o powrót na łono rodziny. Fakt był jednak taki, że gdyby ów mąż marnotrawny brał pod uwagę ewentualność powrotu, to też miał telefon i mógł zadzwonić. Nie dzwonił. Nie było więc co się łudzić – to koniec. Słowo „koniec” za każdym razem budziło nowe pokłady paniki w i tak już zszarganym wnętrzu Kaśki, ale na ten moment zdawało się być jej ulubionym słowem. Słowem na dziś, na jutro, na jeszcze bardzo, bardzo długo. Na szczęście codzienne obowiązki matki i gospodyni oraz nieliczne, ale jednak, obowiązki zawodowe, wymuszały na niej odnalezienie w sobie każdego ranka choćby minimum zdrowego rozsądku i podtrzymywania go przy jego wątłym istnieniu aż do wieczora. Wieczorem była natomiast wystarczająco wyczerpana natłokiem zajęć i kłębowiskiem głupich myśli, by nie zalewać się w trupa, o czym niejednokrotnie marzyła. Zasypiała błyskawicznie, dając odpocząć skołataniem sercu, udręczonej świadomości i rozszalałym emocjom.

Dzisiejszy ranek był akurat jednym z tych lepszych, toteż w całkiem niezłym nastroju, odstawivszy dzieciaki do placówek oświatowych, wróciła na Prusa, by, jak co dzień, zająć się domowymi obowiązkami. Po południu miała ucznia, więc musiała wcześniej przygotować wszystko do obiadu, by po powrocie dzieci uwinąć się z posiłkiem, zanim zacznie lekcję.

Codzienne poranne sprzątanie stało się ostatnio jej wiernym przyjacielem, który skrupulatnie wypełniał czas i zajmował myśli, nie pozwalając im na zbyt dużą samowolę. Zwłaszcza że labilność emocjonalna zaczynała jej już niezłe doskwierać. Po sprzągnięciu sypialni, pokoju dzieci i drobnego nieładu w pozostałych pomieszczeniach, obowiązkowa filiżanka kawy lub herbaty dopełniała przedpołudniowy rytuał.

Właśnie siedziała przy pianinie w pokoju roboczym i przeglądała nuty, by przeagrać utwór, który dzisiaj mieli ćwiczyć z Kamilem. Kamil był jej uczniem już od czterech lat, a ona bardzo lubiła pracować z tym chłopcem. Pojętny, zdolny i pracowity – czego więcej trzeba nauczycielowi muzyki? Do każdej lekcji przychodził przygotowany i widać było, że gra sprawia mu niekłamana przyjemność. Nieraz po skończeniu lekcji siadali razem do instrumentu i choć przez chwilę grali lekkie, nieskomplikowane utwory na cztery ręce. Tak po prostu – dla przyjemności.

Na parapecie, obok pianina, w porcelanowej filiżance parowała kawa, a leżący obok telefon komórkowy kusił jak rogaty diabeł, obiecując cuda, których z pewnością i tak nigdy by nie ujrzała. Palce automatycznie błędziły po klawiaturze, wydobywając z instrumentu pieśczętę dźwięków, a myśli Kaśki błędziły po wspomnieniach. Nie wiedzieć kiedy, z ohydnych i druzgocących chwil rozstania z Jackiem, zawędrowała wspomnieniami do głośnie i zapełnionej ludźmi dyskoteki. Wiedziała, co ją tam przywiodło. Poza niemiłą sprzeczką z mężem, przywiódł ją tam piękny, intrygujący młody mężczyzna, stojący przy kontuarze dyskotekowego baru i jego niesamowite, głodne oczy, które chłonęły jej obraz, jakby czekając na więcej. Marzenia stały się niemal plastyczne, gdy przypominała sobie jego doskonałe, bajerancko odziane ciało przyciągające spojrzenia przechodzących dziewczyn.

Świdrujący sygnał telefonu komórkowego oderwał Kaśkę od jej bajecznych rozmyślań.

Przez ułamek chwili potrafiła uwolnić się od gorzkiej rzeczywistości, a to paskudne, bezduszne urządzenie właśnie zabierało jej tę odrobinę emocjonalnej swawoli, którą niepostrzeżenie sobie zafundowała. Rzut okiem na wyświetlacz otrzeźwił ją całkowicie.

– Hej, mamuś – zaświergotała do słuchawki tak słodko, że samą siebie zaskoczyła odkrytymi właśnie zdolnościami aktorskimi. Nikt, kto usłyszałby w tym momencie radosny ton Kaski, nie uwierzyłby, że jeszcze kilka chwil temu roztrząsała w myślach swoje rozlatujące się na kawałki życie.

– No cześć, córeczko. – Matka Kaśki miała spokojny, miły głos. – Dawno się nie odzywałaś. Co tam u was słyhać?

Dawno? Rozmawialiśmy tydzień temu. Chyba nic nie wie? A może jednak Jacek do niej zadzwonił i teraz mnie sonduje? – na powierzchnię wypełził wyjątkowy dar Kaski do snucia teorii spiskowych w najdziwniejszych momentach.

– A co masz konkretnego na myśli? – Podchwytliwe pytanie miało ją utwierdzić w słuszności podejrzeń.

– Oj Boże, córciu. Co mam mieć? No czy jesteście zdrowi, czy u Jacka w pracy wszystko dobrze... No takie normalne troski matki.

Uff – Kaśce spadł kamień z serca.

– Tak, mamuś, wszystko w porządku – skłamała płynnie. – Maluchy w szkole i przedszkolu, a Jacek w pracy jak zawsze. Mam nadzieję. Ja dzisiaj mam lekcję z Kamilem, więc właśnie się przygotowuję. – Chciała zagaić rozmowę, żeby czasem jej matce nie przyszło do głowy, drażnić małżeńskie tematy.

Jak większość kobiet matka Kaski była zauroczona Jackiem. I mimo jednoznacznych rodzinnych relacji oraz zdecydowanej różnicy wieku, w swej łechtanej jego czarem kobiecości, nigdy nie potrafiła być względem niego obiektywna. Niejednokrotnie karciała córkę w sporach między nią, a mężem, nie wnikając nawet, po czyjej stronie jest racja. Zdaniem matki racja zawsze była po stronie Jacka. „On jest taki uroczy” – mawiała z rozmarzeniem. I był. Zawsze i wobec wszystkich. Tylko wobec własnej żony z każdym rokiem coraz mniej aż w końcu – trach! Bomba wybuchła.

– A jak tam twoje zdrowie, mamuś?

Pytanie o zdrowie zawsze okazywało się strzałem w dziesiątkę, a odpowiedź na nie była jak gorący news, którego doniosłość biła na głowę wszystkie pozostałe. Matka Kaśki po prostu uwielbiała narzekać na własne samopoczucie. Przy całym życiowym rozsądku i sporej pogodzie ducha, jej skłonności hipochondryczne wydawały się dziwaczne i nielogiczne, ale jednak były, i jak się właśnie okazało, w niektórych momentach zdawały się bardzo przydatne.

– No, co ja mam ci powiedzieć, Kasiu? – jęknęła w słuchawkę tak zbolalym głosem, że serce jej córki mogłoby się rozerwać z żalu. Mogłoby, gdyby nie fakt, że Kaśka doskonale знаła hipochondryczną pasję matki. – Jakoś tak nienajlepiej dzisiaj spałam i głowa mnie od samego rana boli, no i mam chyba stan podgorączkowy, więc bałam się czy was też czasami coś nie łąpie.

– Nie łąpie, mamuś. Nie łąpie. Ale skoro tak się kiepsko czujesz, to weź coś przeciwigrypowego i kładź się do łóżka, żebyś się bardziej nie rozchorowała.

To była dobra taktyka.

– Masz rację, Kasiu. Chyba tak zrobię. – Nastąpiła krótka pauza. – To mówisz, że u was wszystko w porządku? No to mnie uspokoiłaś. Zadzwonię, jak się trochę lepiej poczuję, a teraz faktycznie zaczęłam się kurować.

– Tak, mamuś, to najrozsądniejsze.

– No to pa, kochanie. Ucałuj maluchy no i Jacka oczywiście.

– Oczywiście. – Trudno było ukryć sarkazm, ale matka najwyraźniej nie usłyszała go w

głosie córki.

Gdy się rozłączyły, kąśliwe myśli trawiące Kaśki wnętrze, znów wypełzły na powierzchnię niczym obrzydliwy robal. Tego mi było, kurna, trzeba! Całusów dla ukochanego zięciulka, psia krew! – wkurzała się, przypominając sobie, że jeszcze parę minut temu marzyła o boskim facecie, zapominając o palancie, który właśnie rujnował jej życie. Nie wysiedzi w tym smutnym domu całego dnia. Długi, relaksujący spacer był jej potrzebny równie mocno jak podmuch orzeźwiającej bryzy błędzemu w skwarze Sahary pielgrzymowi. Zwłaszcza że niezmiennie pogoda była przyjemna i zaskakująco słoneczna. Aż się chciało ubrać i wyjść, by bez celu snuć się po urokliwych uliczkach. Teraz jednak było już za późno. Za chwilę trzeba będzie odebrać dzieci, potem lekcja z Kamilem, ale wieczorkiem może uda się bąble podesłać na trochę do sąsiadów, a wtedy zrobi sobie terapeutyczny spacer.

– Będę za jakąś godzinkę, pani Basiu – powiedziała do sąsiadki, która właśnie z ochotą przyjęła do siebie jej maluchy.

Nie raz wyświadczały sobie takie przysługi. Wiadomo – jeśli nie masz pod ręką nikogo bliskiego, kto pomoże ci w każdej potrzebie, zaprzyjaźniona sąsiadka jest niczym skarb, który trzeba pielęgnować, by móc cieszyć się nim jak najdłużej.

– Nie ma sprawy, pani Kasiu. Nie musi się pani tak spieszyć, byleby odebrała pani dzieci do siódmej.

– Fajnie. Dziękuję, ale myślę, że załatwię wszystko wcześniej.

Podrzucając dzieci do pani Basi, Kaśka wyjaśniła, że musi zrobić zakupy, a mąż ciągle jeszcze poza domem i pewnie nie wróci, zanim wszystko będzie zamknięte. Nie kłamała. Przecież faktycznie nie wróci do tego czasu. Wcale nie wróci, ale to już nie sprawa sąsiadki. Na razie. Wcześniej czy później i tak wszyscy się dowiedzą, co zaszło w domu Rafalskich, ale w tym momencie Kaśka zdecydowanie preferowała opcję „później”.

Gdy stanęła na chodniku przed budynkiem, zaciągnęła się solidnym haustem ostrego listopadowego powietrza. Na dworze było pięknie – bezwietrznie, sucho, a światło ulicznych lamp rozświetlało miasto, tworząc osobliwą atmosferę czarownego, jesiennego wieczoru. Wolnym krokiem ruszyła w kierunku rynku, by jak zwykle obejść okoliczne ulice, znów zachwycając się pięknem starych kamienic.

Uwielbiała krążyć po Jeżycach. Może dlatego, że właśnie tu mieszkała i od kilku lat była to jej najbliższa okolica? A może dlatego, że urok tutejszych kamienic był niezaprzeczalny i w odnowionych elewacjach prezentowały się wyjątkowo pysznie? Nie ważne. Tak czy siak spacer po jeżyckich uliczkach zdawał się być antidotum na wszelkie bóle. Choć z wykształcenia i zamiłowania była muzykiem, to jednak podziwianie piękna architektury z urokliwymi detalami starych kamienic było jak zastrzyk pozytywnej energii. Zwłaszcza mur pruski jako element konstrukcyjny starych elewacji prezentował się w jej oczach imponująco, dlatego zawsze, gdy przechodziła koło takich budynków, przystawała, by napawać się ich pięknem. Tak – niezaprzeczalnie Kaśka najlepiej czuła się wśród budynków; to one stanowiły dla niej źródło relaksu. Nie las, nie park, nie intensywny sport na tak modnej poznańskiej Malcie, ale właśnie piękne poznańskie kamienice były tym, co przywracało jej siły i relaksowało.

Idąc ulicą Słowackiego, odniosła dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Rozejrzała się dookoła, ale nikt nie wyglądał podejrzanie. Wracający z pracy i zakupów ludzie przechodzili spiesznie i nikt nawet na nią nie patrzył. A jednak mrowienie na karku i lekka gęsia skórka na ramionach nie przestawały jej doskwierać. Jeszcze raz powiodła wzrokiem po ulicy. Piesznych było niewiele i faktycznie wpatrzeni w chodnik lub daleko przed siebie, gnali do celu bez zwracania sobie głowy innymi przechodniami. Kawalek za nią, jezdnią pomału toczyła się czarna taksówka i nic, co by mogło wzbudzić w Kaśce niepokój, nie pojawiło się w zasięgu jej

wzroku. Popadam w paranoję. Za dużo książek o wampirach, Katarzyna Rafalska – pomyślała, uśmiechając się do siebie, jednocześnie nie zauważając żadnego zagrożenia wokół. Skręciła w ulicę Reja, mając nadzieję, że tamtejsze kamieniczki na chwilę oderwą jej myśli od nieznosnego mrowienia, ale gdy wróciła na Prusa, mrowienie się nasiliło. Stała w progu swojej kamienicy, znów uważnie rozglądając się dookoła – nic poza czarną taksówką nie znajdowało się w pobliżu. Założywszy, że taksówka czeka na zamawiającego ją klienta, Kaśka zignorowała jej obecność. Skąd mogła wiedzieć, że to właśnie tam, w mroku nieoświetlonego wnętrza samochodu, ukrywa się tajemniczy obserwator? Wbiła kod i weszła do bramy.

Gdy masywne, ciemne drzwi zamknęły się za nią z cichym kliknięciem, czarny Mercedes z napisem TAXI odbił od przeciwległego krawężnika i pomału ruszył w kierunku Chyb.

Dochodziła osiemnasta, gdy Bogusław wyprowadził Mercedesa na ulice miasta. Nie podświetlał napisu. Nie chciał, by jakiś klient machnął na niego, chcąc przywołać taksówkę. Miał niewiele czasu, a bezwzględnie zamierzał przejechać przez Jeżyce. Tak na wszelki wypadek. W końcu od jakiegoś czasu stało się to codzienną tradycją, nie mógł więc jej dziś zaniechać.

Miasto było dobrze oświetlone, popołudniowe korki wyraźnie zrzedły i przejazd ulicami nie nastroczał większych trudności. Z City Parku na Prusa miał przysłowiowy żabi skok, więc w płynnym ruchu pokonał tę odległość w niespełna pięć minut. Pokręci się trochę po okolicy i pewnie znów odjedzie z niczym.

Gdy wjechał w Słowackiego, zdecydowanie zwolnił. Teraz samochód raczej toczył się własnym rozpędem, niż poruszał siłą koni mechanicznych.

Bogusław nie przypuszczał, że ją spotka, niemniej, co szkodziło spróbować? Dlatego, gdy ją dostrzegł, nie mógł uwierzyć, że to naprawdę ona. Od spotkania w dyskotecce widział ją tylko raz, przelotnie, gdy wchodziła do bramy. Dziś miał dużo więcej szczęścia – kobieta ewidentnie... spacerowała. Najwyraźniej jednak nikt z przechodniów tego nie zauważał. Zagonieni, otuleni szalikami, zasłonięci czapkami ludzie spieszyli do domów, nie przyglądając się innym. Zresztą, kto by pomyślał, że w środku listopada, przyjdzie komuś do głowy, by ciemnym wieczorem wybrać się na spacer? Ale Bogusław zauważył jej niespieszny krok, lekko uniesioną ku górze twarz i ciepłe spojrzenie pełne zachwyty, gdy przyglądała się kamienicom. W jej ruchach nie było napięcia, pośpiechu czy determinacji, by niezwłocznie dotrzeć do celu. Kobieta się relaksowała i ten relaks miała wypisany na twarzy. To go zachwycało. Ma dziewczyna wyobraźnię, żeby wybrać się w listopadowy wieczór na spacer i podziwiać kamienice? Uśmiechnął się ciepło urzeczony, a jego taksówka pomału toczyła się w ślad za nią.

Kobieta była prawie niezauważalna. W dzinsach i ciemnym, pikowanym płaszczku do kolan zlewała się z cienistym otoczeniem. Jedynie omotany wokół szyi biało-granatowy szalik w szkocką kratę stanowił pogodny akcent w tym minorowym otoczeniu. Rude loki zmotane w koński ogon swobodnie opadały, nieosłonięte czapką połyskując w świetle ulicznych latarni.

Na pierwszy rzut oka wyglądała pogodnie, ale jakieś niepokojące zmęczenie przebijało spod tej pozornej spokojności.

Podjechał bliżej, nie spuszczać z niej oka. Może to był błąd, a może jakiś szósty zmysł ostrzegł kobietę. Nieważne. Tak czy inaczej akurat w tym momencie odwróciła się zdecydowanym ruchem i utkwiała wzrok w jego taksówce. Choć przyciemniane szyby skutecznie ukrywały jego przenikliwe spojrzenie, nie były w stanie ukryć wyrazu niepokoju w jej oczach. Bogusław nie chciał jej niepokoić. Za żadne skarby, nie! Delikatnie dodał gazu i ruszył. Kobieta skręciła w ulicę Reja, a on odjechał w kierunku Prusa.

Zaparkował przed bramą vis a vis jej kamienicy i czekał. Napis TAXI i wirtualny klient

zdawały się wystarczającą wymówką, by się tu znalazł. Nie chciał, by się zorientowała, że ją obserwuje. Już raz ją przestraszył, nie zamierzał robić tego ponownie. I cholera, żadnego pomysłu na następny krok – wkurzał się rozgoryczony. A że będzie następny krok, tego był pewien. Ta kobieta stała się jego nałogiem, narkotykiem, do którego musiał zapewnić sobie stały dostęp.

Nie czekał długo. Kiedy pojawiła się w zasięgu jego wzroku, skupił swe wyostrzone zmysły, by ocenić, czy się uspokoiła. Faktycznie nie dostrzegał już w niej napięcia. Do czasu. Z każdym kolejnym krokiem znów jakby ogarniał ją niepokój. Fuck! – jęknął w duchu – chyba naprawdę ma szósty zmysł. Podeszła do bramy i rozglądając się dookoła, niepewnie zerknęła w kierunku jego auta, po czym wbiła kod. Gdy ciężkie, ciemne drzwi zamknęły się za nią, Bogusław odbił od krawężnika i ruszył na naradę.

– Tak, jak przypuszczaliśmy – odezwał się Leon, gdy już rozsiedli się wygodnie na klubowych kanapach. – Więż przez pożywanie.

Chwalimir posłał mu nieodgadnione spojrzenie.

– Do tej pory myślałem, że to tylko plotki – zauważył enigmatycznie.

– Wszyscy tak myśleliśmy, bo nikt tego wcześniej nie potwierdził. Aż do teraz – stwierdził Bogusław.

– I jeszcze te zaskakujące skutki uboczne – rzucił niby od niechcienia Leon, którego język świerzbiał, by zafundować swemu monarsze ostrą jazdę bez gry wstępnej.

– O czym ty mówisz, młody? – Choć Chwalimir skrzętnie ukrywał ogarniający go niepokój, to jednak głos lekko mu drgnął, zdradzając niechcianą emocję.

– O skutkach więzi na ludzkich partnerów. – Filuterny błysk załśnił w granatowych oczach młodego wampira.

– Co takiego?

– Nooo. Są skutki uboczne.

Bogusław spojrział na Leona rozbawiony. Nie mógł się powstrzymać, by pamięcią nie przywołać genialnej ekranizacji „Konopielki” i sceny, w której syn głównego bohatera wróciwszy ze szkoły, oznajmia ojcu, że Ziemia jest okrągła. Leon, podobnie jak konopielkowy mały urwis, miał wyraz nieskrywanej satysfakcji na pozornie niewinnej twarzy, wiedząc, że wreszcie on jest górą. Tylko patrzeć, jak założy sobie ręce i zacznie potupywać stopą – zaśmiał się w duchu Sławek, wciąż mając przed oczami cudownie oświeconego, małego Ziutka.

– Mów, do cholery, a nie baw się ze mną w kotka i w myszkę! – warknął monarcha, a ciarki niepokoju przebiegły po kręgosłupie Bogusława.

– Dobra, dobra, Wasza Wściekłość. – Leon ewidentnie miał ubaw po pachy. Zawsze zadziwiał nazbyt ludzkim charakterem, ale pogrywanie z królem, to już inna bajka. Najwyraźniej młody wampir wiedział, że może sobie na to pozwolić.

Zrelacjonowali więc przebieg wizyty u Teresy i Janka. To niespodziewane i jakże zaskakujące spotkanie było zdarzeniem przełomowym w dotychczasowym postrzeganiu relacji Rodzaju z człowiekiem. Mogło przeważać szalę niezdecydowania na stronę zwolenników wampirzo-ludzkich związków. Tak, trzeba było oddać sprawiedliwość Stanisławowi i jego grupie – pod tym względem spisali się na medal.

Gdy skończyli, chodzący dotychczas po gabinecie Chwalimir, zatrzymał się i przenikliwie spojrział na trzech nieumarłych, którzy nie spuszczały z niego wzroku.

– Czy ktoś jeszcze o tym wie? – zapytał spokojnie.

– Nawet jeśli jeszcze nie, to nie da się tego ukryć – odpowiedział mu równie spokojnie Bogusław. – A poza tym, po co to ukrywać? Po prostu są rzeczy, których do tej pory o sobie nie wiedzieliśmy, ale to, że je odkrywamy, nie znaczy, że musimy się ich obawiać.

– Nie wiem, czy masz rację – powątpiewał Otto.

Oczywiście... – dumął Bogusław niezaskoczony jego sceptycyzmem. Nieumarli mieli głęboko zakorzoną potrzebę ukrywania nie tylko swego istnienia, ale i informacji na swój temat. Nawet jeśli informacja miała pozostawać w nienaruszalnym kręgu Mrocznego Świata, to sama jej świadomość budziła w nich obawę. Teraz sytuacja zdawała się dużo bardziej skomplikowana – w grę wchodziła świadomość ludzka, a to stwarzało zagrożenie dla Rodzaju. Nie wszyscy jednak byli aż tak konserwatywni.

– Dlaczego tak sądzisz? – Sławek był autentycznie ciekaw odpowiedzi, nie upatrując niczego złego w nowych odkryciach.

– To może zwiększyć ilość chętnych na takie związki. Dla wielu z nas ludzie są partnersko atrakcyjniejsi niż członkowie Rodzaju i tylko z obawy o ich kruchość i krótkowieczność nie zdecydowaliśmy się na związki z nimi. Te rewelacje mogą to zmienić.

Cóż, było w tym ziarno prawdy.

– Nie unikniesz zmian, Otto, a już z pewnością nie poprzez ukrywanie prawdy. Spójrz, do tej pory znalazło się całkiem sporo osób w naszej nielicznej populacji, które, mimo przekonania o kruchości ludzkiego istnienia, zdecydowały się na takie związki.

– Ma rację – zauważył Leon. – Nie powstrzymasz tego. Ci, którzy chcą mieć związek z człowiekiem, zdecydują się na niego bez względu na okoliczności. W końcu dość despotyczne i samolubne z nas skurczybyki. Zawsze stawiamy na swoim.

Leon był wyraźnie w zaczepnym nastroju i dobrze się bawił całą tą wampirzo-ludzką płataniną. A z drugiej strony, dlaczego nie? I tak już się tego nie zatrzyma – pomyślał Bogusław, przyglądając się, jak szczery uśmiech wędruje po atrakcyjnej twarzy i sięga oczu przyjaciela.

– Ale jak to możliwe? – dopytywał Otto, spoglądając jakby przed siebie bez wyraźnego punktu zaczepienia.

– Co? – chciał uściślić Leon.

– No te skutki uboczne.

– To jest możliwe – odezwał się spokojnie król. – Nie oni pierwsi są tego dowodem. Podobno był kiedyś taki przypadek, ale bardzo, bardzo dawno temu i na obcych ziemiach. Dlatego myśleliśmy, że to tylko plotki. Wiecie, jak było dawniej. Tylko wielokrotnie przekazywane podania ustne były źródłem informacji, dlatego nigdy nie traktowano ich jako pewnik.

– Co się z nimi stało? Wiadomo? – Bogusław zdawał się wyraźnie podekscytowany.

– Podobno kobieta w końcu zmarła, ale po bardzo długim i zdrowym życiu.

– Skoro była zdrowa, to dlaczego zmarła? – Leon wzruszył ramionami i jowialnie uśmiechnął się do swego monarchy.

– Ze starości. Jej ciało nie było już w stanie tak szybko namnażać nowych komórek krwi i podobno, mimo że mężczyzna żywił się na niej dużo rzadziej, a potem zupełnie zaprzestał, to i tak odeszła. Można powiedzieć, że jakby... skończyła się. Ale żyła bardzo, bardzo długo jak na człowieka.

– Jak długo? – dociekał Bogusław być może nieco zbyt nachalnie.

– Nie ma stuprocentowej pewności. Plotki głoszą, że trzysta lat, a może nawet dłużej – odpowiedział Chwalimir nieświadom, jakie znaczenie dla Sławka ma ta informacja. – Zresztą, kto teraz dojdzie prawdy?

– Ale jak to możliwe?! – wykrzyczał Otto zniecierpliwiony, że lekceważą jego pytanie.

– Podobno stałe, regularne namnażanie krwi w połączeniu z niesłychanie silnym enzymem uodparniającym, który znajduje się w naszej ślinie, powoduje, że procesy starzenia spowalniają. Niektórzy uważają, że niektóre skutki starzenia mogą nawet w pewnym stopniu się

cofnąć. Na przykład skóra się wygładza, wzrok się poprawia. No wiecie... takie tam drobiazgi – odpowiedział spokojnie król. – To znowu tylko pogłoski i przypuszczenia, ale pewnie jest w nich jakieś ziarnko prawdy.

– Nie znam się na medycynie – stwierdził Leon – ale wydaje się to całkiem logiczne. To jakby takie... codzienne autotransfuzje ze środkiem uodparniającym na wszystko. Nie?

– Można to tak ująć. – Monarcha uśmiechnął się do niego pobłażliwie. – Trochę infantylnie, ale z grubsza rzecz biorąc... o to właśnie chodzi.

Bogusław siedział, milczał i przyglądał się władcy. Ile jeszcze razy on mnie zaskoczy? – zastanawiał się, podziwiając rozległą wiedzę Chwalimira. Sam był w podobnym wieku, ale nigdy nie wiedział tyle o Rodzaju. Oczywiście, będąc królem, Chwalimir musiał posiadać jak najszerszą wiedzę na temat ludu, którym władał, ale mimo wszystko... Powinny przecież być, gdzieś, jakieś luki, no nie? Jak do tej pory nie było. Każdy temat, który poruszali, był Chwalimirowi znany nie tylko z obiegowych faktów, ale też z danych, o których inni nie mieli pojęcia. To prawda, że w czasie, gdy król zgłębiał tajniki Mrocznego Świata i Rodzaju, Bogusław płał w szczęśliwości swego związku z Jagienką, ale przecież Chwalimir też musiał kiedyś zaspakajać potrzeby ciała, a nie tylko karmić umysł i ducha. A może jednak nie musiał? Z zamyślenia wyrwał go sam monarcha.

– A co ze szczeniakiem? – rzucił wymowne pytanie.

– Z kim? – Nie załapał Otto.

– Z tym młodym zakonnikiem, co to w pojedynkę zakołkował dwa wampiry z obronnym przeszkoleniem – Chwalimir pokręcił głową, głęboko zde gustowany, a wyraz jego twarzy i sarkazm w głosie solidnie wspierały jednoznaczny gest.

– Stanisław i jego ludzie się nim zajęli – wyjaśnił Bogusław.

– Więc nie wiecie, co tak naprawdę się tam dzieje?

– Wiemy. Byliśmy przy przesłuchaniu, ale to oni się tym zajęli. My z Leonem byliśmy obserwatorami.

– Oczywiście wkroczylibyśmy do akcji, gdyby zaszła potrzeba – wyrwał się młody ochoczo.

– Ale nie zaszła – Bogusław ostudził jego zapał. – Tamci dobrze sobie radzili, a w końcu o to chyba chodzi, żeby oddziały działały sprawnie i w miarę możliwości samodzielnie. Trudno by mi było nadzorować je wszystkie na każdym kroku. Musimy okazać im choć odrobinę zaufania – dorzucił, widząc sceptycyzm na królewskim obliczu.

– No, to co wiemy o szczeniaku?

– Chłopak jest młodym mnichem, który wiódł spokojne życie klasztorne, póki nie spotkał Przewodnika. Mówił też o nim Mistrz. Tak więc, ów Mistrz-Przewodnik wprowadził go w świat wampirów, z tego co się zorientowaliśmy na szczęście bardziej na zasadzie legend niż faktów, obiecując miejsce w szeregach bractwa. Jeżeli dzieciak wykaże się odpowiednimi predyspozycjami, oczywiście.

– Cwany gnojek. Nie odkrywa się, póki nie ma pewności, co do kandydata – zauważył Otto.

– Jakie to predyspozycje, jeszcze nie ujawnił – kontynuował Bogusław, jakby nie zwracając uwagi na spostrzeżenie druha. – A młody bardzo chciał się wykazać, żeby przypodobać się Mistrzowi. Ponieważ pochodził z okolic, w których mieszka Teresa z Jankiem, i zaczął kojarzyć różne pogłoski krążące wśród najstarszych mieszkańców jego wsi, chciał na własną rękę przyjrzeć się sprawie. Przyjechał w odwiedziny do domu i zaczął węszyć. A że skurczybyk jest wyjątkowo inteligentny, to bez większego trudu poskładał elementy łamigłówek i odkrył, że to nie są tylko legendy. Wtedy postanowił zapolować, żeby zdobyć uznanie w oczach

Przewodnika i zasłużyć na członkostwo w bractwie.

– Można by powiedzieć, że mu się pofarcilo, gdyby nie wy, chłopaki – rzucił Otto, podczas gdy Chwalimir przyglądał im się w milczeniu.

– No – przytaknął Sławek. – Chociaż można też powiedzieć, że to nam się poszczęściło. Wyobrażacie sobie, co by się stało, gdyby chłopak wybrał na te łowy inną noc?

– No właśnie – zaszepcił się król. – I co dalej, Bogusławie?

– No cóż? Zamierzał zakołkować wytropione wampiry, nie wiedział, że jedno z nich to człowiek, i ofiarować w prezencie swemu nowemu Mistrzowi. Na szczęście byliśmy we właściwym miejscu i o właściwej porze. Stanisław przefiltrował chłopakowi świadomość i odesłał na wolność.

– Co zostawiliście w jego pamięci? – Król był dociekliwy.

– Klasztor, rodzinny dom i wieś, ale bez opowieści o leśnych mieszkańcach. No i Mistrza-Przewodnika z jego legendami o wampirach i bractwie, ale głęboko zakorzeniliśmy dzieciakowi pogardę dla jego nauk.

– Rozumiem.

– Chwalimirze, nie można było zlikwidować chłopaka, a w takiej sytuacji nie można też było pominąć Mistrza w jego świadomości – stary wampir bardziej tłumaczył swoje racje, niż się usprawiedliwiał.

– Wiem. To już nie te czasy, by człowiek ginął bez śladu. A i my też się trochę ucywilizowaliśmy... ostatnio – dodał monarcha z nikłym uśmiechem na twarzy. – Co wyciągnęliście z chłopaka na temat bractwa?

– Można powiedzieć, że nic. Wiedział tylko, że istnieje bractwo, którego zadaniem jest zwalczanie wampirów i znał sporo legend na temat Rodzaju. Mistrz nie podał mu jednak żadnych szczegółów. Nie wiedział ilu ma członków, od jak dawna działają, jakie są struktury, nie znał położenia siedziby. Nie wiedział też o mieszanych związkach.

– Po prostu żółtodziób, który miał farta z tą chatą w lesie – podsumował Leon.

– Jak zwykle bez owijania w bawełnę i szczerzy do bólu? – zaczął go Otto.

– No. – Leon uśmiechnął się jowialnie. – I za to mnie kochacie, chłopaki.

– A coś o Mistrzu? – zapytał z nadzieją w głosie Chwalimir.

– Nic. Tylko, że to też zakonnik, ale z innego klasztoru. Chłopak nawet nie wiedział, z którego.

Chwalimir kręcąc głową z dezaprobatą, głośno wypuścił powietrze. Trudno powiedzieć, żeby był do końca zadowolony, ale doceniał pracę Bogusława i Leona w Królestwie Ziemi Wschodnich. Najwyraźniej na ten moment nie można było zrobić nic więcej. Teraz nadzieją były kontakty z zespołami śledczymi trzech pozostałych Królestw Ziemi.

– Aaa! I jeszcze jedna ważna sprawa – przypomniał sobie Bogusław. – Chłopak nie miał wiedzy na temat zadawania ostatecznej śmierci. Myślał, że kolek definitywnie załatwia sprawę.

– O, to faktycznie ważna wiadomość – podchwycił monarcha. – Albo jeszcze był za mało wtajemniczony, by Mistrz podzielił się z nim tą wiedzą, albo... nie wszyscy są z tą wiedzą zaznajamiani.

– Myślisz, że w sztuce zabijania szkoli tylko nielicznych?

– Tak, to jest prawdopodobne.

– To po co mu reszta członków? – zastanawiał się głośno Leon.

– Tego nie wiemy. Jeszcze.

– Nie lepiej by mu się działało z małym, sprawnym oddziałem zabójców?

– Leon, do cholery! Po czyjej ty jesteś stronie, co? – oburzył się Otto.

– Może po prostu, jak każdy opętany morderczą pasją szaleniec, potrzebuje wyznawców i

osobistej świty? – Bogusław głośno myślał.

Krótką chwilę milczenia dała im czas na rozważenie tej sugestii. Żaden jednak nie miał pewności co do rzeczywistego stanu bractwa. Nawet nie byli pewni, czy bractwo faktycznie jest wieloosobową organizacją. Jedynie instynkt i doświadczenie sprzed setek lat kazały im podejrzewać, że tak właśnie było.

– A jak na to zapatruje się Król Ziem Wschodnich? – zapytał nagle Chwalimir. – Nie wspomnieliście o nim ani słowem.

Nie wspomnieli, bo też nie było o czym wspominać. Dwa wampiry spojrzały na siebie wymownie. Leon uniósł znacząco brwi i wydał usta w kpiarskim uśmiešku, natomiast twarz Bogusława wyrażała niesmak i rozczarowanie. Obaj pokręcili głowami, ale to Bogusław odpowiedział w końcu na pytanie.

– Nie raczył się z nami spotkać. – Zrobił krótką pauzę i dodał: – Przez cały czas naszego pobytu Bartłomiej zdawał się nie zauważać naszej obecności. Jak poinformował nas Stanisław, jego król uznał, że powierzenie kompetencji śledczych wyselekcjonowanemu zespołowi jest wystarczającym zaangażowaniem z jego strony w tę sprawę. A skoro ty, Chwalimirze, stałeś się teraz monarchą protektorem, on ze swej strony nie jest już zobowiązany robić cokolwiek ponadto.

Krótkie przekleństwo, które wymsknęło się z królewskich ust, było dosadne i nie bardzo przystające do statusu władcy, trudno jednak dziwić się takiej reakcji. Chwalimir wyraźnie liczył na wsparcie pozostałych monarchów. To, że na czas kryzysu objął protektorat, nie oznaczało, że odsunął ich od władzy na rządzonych przez nich terenach. Jednakowoż Król Ziem Wschodnich był innego zdania, a urażona duma starego wampira była jak smród zgnięłego jaja – trzeba się sporo natrudzić, żeby się go pozbyć, mimo iż po jajku już dawno nie ma śladu.

Soczysta „kurwa” w ustach monarchy właściwie zakończyła naradę.

Zaczęli się zbierać do wyjścia, gdy Otto nagle uderzył się w czoło na znak wielkiego olśnienia, wołając:

– Chłopaki, czekajcie! Gdy was nie było, odezwał się jakiś... dziwoląg. Powiedział, że ma wieści w sprawie rytualnych morderstw i chce się spotkać, żeby przekazać szczegóły.

– Ciekawostka... – Bogusław powątpiewał w prawdziwość rzeczonych rewelacji anonimowego informatora.

– Dlaczego dziwoląg? – dopytywał równocześnie Leon.

– Booo... to człowiek. – Otto z pogardą wzruszył ramionami, a jego zblazowany głos nie zdradzał większego poruszenia.

– Co?! – krzyknęły oba wampiry równocześnie, trawione emocjami skrajnie odmiennymi od tych, które gościły na spokojnym obliczu Ottona.

– Skąd miał kontakt? – Wyraźne bruzdy zdziwienia rysujące się na czole Sławka zdradzały, że nawet tysiącletniego wampira wciąż można czymś zaskoczyć.

– Jak się skontaktował? – jednocześnie pytał Leon.

– Czekajcie, chłopcy. Nie obaj na raz. Facet najnormalniej w świecie zadzwonił do rezydencji i rozmawiał ze mną przez telefon.

Konsternacja ogarnęła wszystkich, poza Ottonem, oczywiście. Nawet zachowujący do tej pory stoicki spokój Chwalimir, zaczął przejawiać napięcie.

– I ty dopiero teraz o tym mówisz? – Pozorne opanowanie w głosie monarchy nie zwiastowało niczego dobrego.

– Teraz mówię, ale to nie znaczy, że to zlekceważyłem. Od razu zleciłem namierzenie gościa. Niestety nie ma możliwości, by złapać jego sygnał. Facet chyba nieźle zna się na technikach zacierania śladów. Po prostu zniknął.

– Więc będzie trzeba się z nim spotkać – powiedział ochoczo Leon, jakby wybierał się na grzybobranie, a nie spotkanie z ludzkim znikającym punktem.

– Nie bądź taki chojrak, mały – upomniał go król. – To może być zasadzka.

– Może jednak nie – wtrącił Otto. – Chciał się spotkać z Bogusławem. Z jednym wampirem. Samotnikiem. A nie z parą mieszaną.

– Para mieszana? – jęknął Leon z drwiną w głosie. – Nieźle, stary. To tak ludzko brzmi.

– Daj spokój, Leon. Mamy poważny problem. Nie czas na żarty.

– No, no. To może powinniśmy zadrzeć się na śmierć. Wtedy bractwo nie miałoby z nami roboty.

– Dobra, panowie, dajcie już spokój. Spotkam się z tym informatorem i go wybadam.

Może to faktycznie coś da. Zobaczymy. Gdzie mamy się spotkać?

– Pod Włocławkiem, na stacji Orłenu.

– Cholera! Samego cię nie puszcę – oznajmił Leon, hardo patrząc Bogusławowi w oczy.

– Wybij to sobie z głowy!

– Dobra, młody. Jedziesz ze mną.

Rozdział 10

11 listopada – wyjątkowe święto dla poznaniaków, celebrowane świętomarcińskimi rogalami, festynami, koncertami, a na koniec, jak zawsze... fajerwerki. Wszystko to okraszone słoneczną aurą, która najwidoczniej też chciała mieć tego roku swój udział w wielkim świętowaniu. Nazajutrz jednak pogoda przypomniała sobie o swoich powinnościach. Słońce znalazło się w odwrocie, a temperatura oscylowała w granicach zera, często spadając poniżej niego.

Za każdym razem, kiedy Bogusław ruszał w kurs, towarzyszyły mu stalowo-mleczne noce otulane wszechobecną mgłą, która rankiem ustępowała miejsca srebrzystej powłoczce szronu. Teraz listopad zbliżał się ku końcowi, a oni jechali na spotkanie z informatorem. Świat dookoła był dokładnie taki, jaki w listopadową noc być powinien – mrocznie szary, spowity mgłą. W końcu czas na ważne spotkanie równie dobry jak każdy inny, a przecież nie mogli go odkładać, by czekać na lepszą aurę.

Jechali od niespełna godziny, zadowoleni z niewielkiego ruchu. Napotykanie w drodze samochody wlokły się niemilosiernie, brocząc we mgle niczym snujący się lunatycy. Ograniczone zmysły śmiertelnych kierowców sprawiały, że daleko posunięta ostrożność była w tym momencie jak najbardziej na miejscu. Co innego oni – widoczność, nawet w tak trudnych warunkach, nie nastroczała najmniejszego problemu, a jazda luksusowym autem Leona czyniła nielichą frajdę. Usportowionej limuzynie, choć może nienajmłodszej, trudno było odmówić klasy, a sportowy duch maszyny nakręcał ich tak jak każdego kierowcę, który dostanie takie cudo w swoje ręce.

Prawdę mówiąc, motoryzacja była konikiem młodego wampira od czasów, gdy automobile stały się dobrem powszechnie dostępnym. Każdy wolny grosz przeznaczal na zakup nowego cacka, choć należałoby spytać, cóż w jego przypadku znaczy „wolny grosz”?

Czarne Audi S8 stało zaparkowane tak, by padało na nie światło latarni. Miało włączony silnik, a siedzący w nim dwaj mężczyźni Rodzaju uważnie przyglądali się okolicy. Czas sączył się ślamazarnie, jak krople wody z nieszczelnego kranu – leniwie, jednostajnie, ale nieubłaganie. Jednak właśnie czas był jedną z tych rzeczy, której mieli w nadmiarze, mogli więc sobie pozwolić na rozrzutne nim dysponowanie. Skoro tak... przyjechali na miejsce długo przed ustaloną porą i teraz czekali, sondując sytuację. Chcieli dobrze przyjrzeć się temu miejscu. Dlaczego? Bóg raczy wiedzieć. Może dlatego, że lubili mieć się na baczności w obcowaniu z nieznanym sobie człowiekiem, który na dodatek chyba zbyt dużo o nich widział? Tak czy siak, musieli poczekać.

Jasno oświetlony, przeszklony budynek, rząd zadaszonych dystrybutorów oraz spory parking dookoła – stacja benzynowa Orlen pod Włocławkiem była równie dobrym miejscem na spotkanie z informatorem jak każdy inny punkt na mapie. A skoro gość chciał się spotkać akurat tu...? Bogusław nie widział powodu, by mu odmówić. Rozumiał obawy człowieka, który na spotkanie z nieumarłymi wybiera publiczne miejsce. Każdy śmiertelnik asekurował się, wiedząc, z kim ma do czynienia. Zresztą, cóż się dziwić? Oni też się asekurowali.

Wiadomość o spotkaniu przyszła nagle. Facet pojawił się znikąd i nikt nie wiedział, kim jest. Wiedzieli natomiast, że on ich zna i wie wystarczająco dużo o Rodzaju, by zadzwonić bezpośrednio do królewskiej rezydencji w Chybach i zaproponować spotkanie. Szalencie? – zastanawiał się Bogusław, nie mogąc zrozumieć pobudek kierujących tym śmiertelnikiem.

Zmierzch zapadł już dawno, wszystko wokół spowijała mgła i tylko światła stacji oraz parkingowe latarnie, z godną podziwu determinacją, próbowały się przez nią przebić. Z ich

wzrokiem stopień oświetlenia nie miał żadnego znaczenia, ale przecież spotykali się z człowiekiem, a ci zawsze kiepsko widzieli we mgle i w ciemności.

Nie doprecyzowali szczegółów spotkania. Mężczyzna, który w rozmowie przedstawił się jako Marek, był pewien, że ich rozpozna. Zatem czekali. Godzina wyznaczonego spotkania zbliżała się nieubłaganie i za chwilę miało się okazać, co tak naprawdę ma im do zaoferowania ów śmiałek.

Choć po północy ruch na stacji trudno było zaliczyć do intensywnych, to jednak co kilka minut ktoś się pojawiał. Każdy podjeżdżający pod dystrybutor samochód był potencjalnie tym, na który czekali. Niestety to wciąż nie był on. Fakt, gość miał jeszcze około pięciu minut w zapasie, ale rzadko kto bywa aż tak precyzyjnie punktualny. Zobaczymy – dumał Bogusław. Może faktycznie ten człowiek właśnie taki jest? Nim skończył się nad tym zastanawiać, na parking wjechał leciwy, niegdyś srebrny Passat kombi w dość sfatygowanym stanie. Z grata wysiadł średniego wzrostu mężczyzna koło czterdziestki w rozpiętej, mocno wyeksploatowanej, brązowej kurtce ze skóry i czarnych dżinsach, na nogach miał równie wyeksploatowane, brązowe glany. Był szczupły, by nie powiedzieć kościsty. Nienaturalnie ogorzała, przystojną twarz z wyrazistymi kośćmi policzkowymi zdobiły szaro-niebieskie oczy i raczej wąskie usta, choć postarzał ją kilkunniowy zarost. Gęste, długawe blond włosy sprawiały wrażenie, jakby facet nie zdążył na umówioną wizytę do fryzjera, a na kolejny termin będzie musiał trochę poczekać.

Wysiadłszy, mężczyzna rozejrzał się po terenie stacji, zawieszając skupiony wzrok na ich samochodzie, jakby znał to auto na pamięć. Hałaśliwym kliknięciem zamknął centralny zamek w gruchocie i podszedłszy sprężystym, acz niespiesznym krokiem do Audi, spokojnie zagadnął:

– Cześć, chłopaki. Jak zwykle przed czasem. Jesteście tacy podejrzliwi. – Przybrał rozbawiony wyraz twarzy i filuternie przewrócił oczami. Wiedział, że go słyszą, nawet przez zamknięte okno. – Nie ma się czego obawiać, walczymy po tej samej stronie barykady.

Jego bezpośredniość była zaskakująca. Na ogół ludzie, mając wampira... można by rzec, na widelcu, nie byli w stanie go rozpoznać, a ten gość od razu ich wywęszył. Zastanawiające. Bogusław wysiadł, spoglądając na kuriozalnego śmiertelnika, który, wyciągnawszy rękę w powitalnym geście, najzwyczajniej po ludzku zamierzał się z nim przywitać. Miał silną, dużą dłoń i wyraźnie umięśnione ciało.

– Marek – rzucił, oczekując przyjęcia jego gestu. – Wiem, że się nie witacie, ale może jednak? To by był dobry początek, nie sądzisz?

– Nam też miło cię poznać – odparł lakonicznie Bogusław, jednak nie odwzajemnił powitalnego gestu.

– No, no, nie przesadzaj, nawet mnie nie znasz. Wiem, że zastanawiasz się na ile możesz mi ufać i do jakiego stopnia mogę ci się przydać.

– Faktycznie.

– Dobra, to może wejdziemy do środka, ja wypiję sobie kawę i w tym czasie zrobimy wstępne rozpoznanie. Pasuje wam?

– Pasuje.

Leon wyłączył silnik i wysiadł z auta.

– Gaduła – Marek wyszeptał jakby do siebie, przyglądając się Sławkowi. – Aaa i... chłopcy! Zostawcie te wszystkie męskie zabawki w aucie. – Znowu zawadiacko się uśmiechnął. – No wiecie, tam na zewnątrz jest zwykły, realny świat. Nikt w nim nie walczy z demonami.

Prawda, byli uzbrojeni – tak na wszelki wypadek. Nigdy wcześniej nie asekurowali się w ten sposób, ale przecież ostatnio polowano na takich jak oni. Nikt jednak nie miał prawa dostrzec broni. Dobrze ukryta przed ludzkim okiem, była zabezpieczeniem w tym burzliwym dla Rodzaju czasie. Nie było wampira, wśród tych znających sytuację, który w publicznym miejscu by się nie

zabezpieczał. Na szczęście do tej pory nie nadarzyła się konieczność sięgnięcia po to...
zabezpieczenie.

Gdy stanęli przy regale z czasopismami, Marek trzymał w ręce tekturowy kubek z parującą kawą, a dwaj nieumarli przyglądali mu się uważnie. Niby taki zwykły koleś, a jednak sporo wiedział i, jak widać, był bardzo ostrożny.

– Nieufny jesteś. Asekurujesz się? – Leon próbował rozszyfrować gościa.

– Każdy by był na moim miejscu. A czy się asekuruję...? Chyba nie do końca. Trochę was znam, to znaczy Rodzaj i wiem, że... – Przerwał w pół zdania i pokręcił głową. – Nieważne. Faktycznie... was akurat nie znam.

– Skąd wiedziałeś...?

– Że jesteście w tym aucie? – z rozbawieniem dokończył, wchodząc w słowo młodemu wampirowi. – Chłopie! Popatrz na ten parking. – Głową wykonał gest za siebie. – Poza moim wysłużonym Passatem stoi Renault Clio i Skoda Fabia, pewnie pracowników stacji, stary mini van i Opel Vectra. No i... to cudo. – Uśmiechnął się szeroko. – Znam tylko trzy grupy ludzi – tu zrobił palcami gest naśladujący cudzysłów – które jeżdżą takimi wózkami. Jedną z nich są wampiry. Lubicie się pokazać, chłopcy, no nie?

– A kto nie lubi? – burknął pod nosem Bogusław bardziej do siebie niż w odpowiedzi na uwagę nieznajomego.

– Wiem, pod tym względem jesteście przewidywalni. Czarne Audi wysokiej klasy. Taka nasza, rodzajowa, przypadłość – przyznał Leon, ignorując ostracyzm Bogusława. Też wykonał gest cudzysłowu, jednocześnie wzruszył ramionami i też uśmiechnął się szeroko, wprowadzając do rozmowy atmosferę porozumienia.

W tym czasie stary wampir patrzył na Marka, starając się wysondować, na ile człowiek jest wobec nich szczery. Jednakowoż w aurze śmiertelnika nie rozpoznał nieszczerości czy jakichkolwiek innych negatywnych wibracji. Należało założyć zatem, że mężczyzna faktycznie ma zamiar w jakiś sposób im pomóc. Być może dzieląc się informacjami?

– Jaki jest twój plan? – spytał, przerywając jego pogawędkę z Leonem. – Chyba już najwyższy czas ruszyć z tym gównem do przodu? Bo jak na razie zabawiasz nas nie wiadomo po co. Do czego zmierzasz?

– Musiałem się wam przyjrzeć, zanim zrobię kolejny krok. Nie ty jeden przed chwilą sondowałeś przeciwnika. – Człowiek spojrział na Sławka znacząco. – Ale teraz jestem przekonany, że wszystko w porządku i możemy ruszać dalej z tym... gównem, jak to nazwałeś. Z tym, że na moim terenie będziemy działać po mojemu.

– Nie wiedziałem, że to twój teren.

– Od jakiegoś czasu.

– A więc?

– Jakieś piętnaście kilometrów stąd mam metę. Pojedziemy do mnie i tam zajmiemy się wszystkim od podstaw. Zapraszam. – Wyrzucił do kosza pusty kubek po kawie i ruszył w kierunku drzwi. Wampiry podążyły za nim, zaskoczone propozycją. – Jedźcie za mną. Biedne to wasze cudo. – Mężczyzna roześmiał się szczerze. – Zamęczy się na śmierć za tą moją padliną.

Gdy raptownie skręcili w wąską, leśną drogę, mieli już za sobą bite dziesięć kilometrów. Las był wyjątkowo gęsty i zdawał się nie mieć końca. Wysokie, liściaste drzewa w świetle księżyca wyglądały potężnie, chociaż więcej niż połowa liści opadła już dawno temu. Gęste krzaki i zasnuwająca je nieprzenikniona, mglista ciemność dopełniały atmosferę grozy, okraszona martwą ciszą. Ale żaden z nich nie zwracał uwagi na upiorną scenerię. Jeśli należało podążać za tym rupieciem w głąb lasu, to podążali. Dobre dwa, trzy kilometry dalej droga znacznie się zwężyła i zaczęła bardziej przypominać wyboisty szlak niż dukt leśny. Chwilę później Passat się

zatrzymał, więc i Leon zatrzymał S-ósemkę.

– Teraz musimy iść pieszo, albo przesiądziecie się do mojego auta, bo wasze chyba nie da rady dalej – zawołał Marek, wysiadając ze sfatygowanego samochodu – Na przyszłość, chłopaki, bierzcie Q7. Macie je przecież na stanie, nieprawdaż? – padło retoryczne pytanie, a facet ze swym rozbawionym spojrzeniem ewidentnie znowu był w radosnym nastroju.

– Jak daleko jeszcze? – dociekał Bogusław.

– Jakieś pół kilometra. – Człowiek dziarsko ruszył w stronę północy, gdy w leśnej głuszy echo poniosło jazgotliwe kliknięcie samochodowego pilota.

– Okej, przejdźmy się. – Kolejny jazgot i dwaj mężczyźni ruszyli w ślad za Markiem. Znowu...? Bogusław dostrzegł w oddali majaczący kształt.

Leśna chata – cel tej kuriozalnej rajzy, prezentowała się wyjątkowo marnie. Drewniana, zszarzała, z dachem w kiepskim stanie, ale o dziwo posiadała prąd, o czym świadczyła mała lampka ścienna oświetlająca całkiem rozległy ganek.

– Zostawiasz zapalone światło w środku głuszy? – Wyraźnie zaskoczony Leon, spojrział na człowieka, podchodząc do chaty.

– Lubię mieć jasne spojrzenie na sprawę. – Znowu śmiech z nutką szyderstwa.

Marek otworzył drzwi i zaprosił gości szerokim gestem, z którego dwaj mężczyźni Rodzaju skwapliwie skorzystali. Czy potrzebowali specjalnej formy zaproszenia? Absolutnie nie, ale na poły teatralny gest człowieka zdał im się całkiem zabawny.

Wszedłszy, przekonali się, że to, co z zewnątrz zdawało się być marnym domostwem, wewnątrz jest całkiem sporą przestrzenią, zadbaną i utrzymaną w nienaganej czystości. Poza otwartą strefą dzienną na dole, chatka miała jeszcze pięterko, na które wchodziło się po stromych, drabiniastych schodach. Najbardziej zaskakującą rzeczą jednak był wysokiej klasy, profesjonalny sprzęt komputerowy, którego nie powstydziliby się żaden informatyk czy haker. Może gość jest hakerem? – zastanawiał się Sławek, idąc tym tropem. Zwłaszcza że skądś przecież musiał zaczerpnąć wiarygodne informacje o Rodzaju.

To prawda. Jak by na sprawę nie patrzeć, stary wampir słusznie kombinował. Przecież najściślej strzeżone tajemnice są dla hakerów niczym smakowite kąski na sklepowej wystawie. Skoro żaden problem dobić się do super strzeżonych plików CIA, FBI i innych groźnie brzmiących zlepków literowych, co za problem, dla komputerowego specy, znaleźć jakieś pliki, które naprowadzą go na tajemnice Mrocznego Świata? Bogusław miał nadzieje, że za chwilę wszystko się wyjaśni, stał więc i podziwiał techniczne cudetka gospodarza.

Sześć dużych monitorów i pokaźna konsola, naprzeciw których stał porządny skórzany fotel, stanowiły coś na kształt centrum dowodzenia. Poza tym iście szpiegowskim stanowiskiem, w pomieszczeniu znajdowała się najzwyczajniejsza kanapa z dwoma fotelami i ławą, stół kuchenny z dwoma krzesłami, który, przystawiony jedną krawędzią do ściany, strzegł iluzorycznej granicy pomiędzy aneksem kuchennym i pseudo-salonem. Dalej imponujących rozmiarów biurko, w całości wypełnione dokumentami, fotografiami i mapami.

Wszystkie sprzęty rozmieszczone logicznie i wyjątkowo ergonomicznie. Już na pierwszy rzut oka widać było, że osoba zamieszkująca to wnętrze, jest starannie do wszystkiego przygotowana i nie lubi tracić czasu.

– Zaskoczeni? – Marek patrzył, jak ledwie przekroczywszy próg, stoją i przyglądają się wnętrzu.

– Trochę. Właściwie, to... bardzo. Nie spodziewaliśmy się... tego. – Bogusław sugestywnym gestem ręki omiół pokój.

– A czego się spodziewaliście?

– Sam nie wiem, ale czy to ma teraz znaczenie?

– Ma. Od tego jak mnie postrzegacie, zależy dalsza nasza współpraca. To chyba oczywiste? Musi być jakieś porozumienie między nami, inaczej będzie nam trudno.

Ludzka logika – dziwaczna i mało sensowna, ale skoro mu na tym zależy...

– Okej. Pierwotnie tego – znów jednoznacznym gestem omiółł wewnątrz – nie brałem w ogóle pod uwagę. A co do ciebie, to... myślałem, że spotkamy się z człowiekiem, który w publicznym miejscu, trzęsącymi się dłońmi wciśnie mi przez szparę w oknie kopertę i zniknie równie szybko i równie przerażony, jak się pojawił. Nie spodziewałem się pewnego siebie faceta, który droczy się z wampirami, a potem zaprasza je do swojego domu w środku głuszy, w środku nocy. A do tego w domu ma jak w pudełku od zapalek i posiada centrum operacyjne na miarę siatki szpiegowskiej Mossadu, KGB czy innego CIA. Zadowolony?

– Jeszcze jak! – Marek uśmiechnął się szeroko.

– To może, nim przejdziemy do sedna, powiedz nam... coś ty za jeden?

– Chcecie wiedzieć skąd ta moja postawa chojraka wobec was?

– Chociażby.

– Jestem łowcą. – Mężczyzna nagle spowaźniał.

Od stuleci sekretną misję łowcy przekazywano jako dziedzictwo. Niezależnie od tego jakiej płci potomek przychodził na świat, łowcy od pokoleń powierzali ją swym dzieciom i szkolili je w radykalnych technikach, zapoznając z tajemnicami Mrocznego Świata.

– Ale łowcy...? – Leon niepewnie spojrział na przyjaciela, szukając u niego wsparcia. – Wiem, że byli zabójcy...

– Jesteś młodym nieumarłym – odpowiedział mu Marek, znów wchodząc w słowo. – Wiele rzeczy przestało już funkcjonować, gdy narodziłeś się jako wampir.

O cholera! Facet wie naprawdę sporo. Skąd zna Leona? Zapamiętać i rozważyć później – przemknęło Bogusławowi lotem błyskawicy.

– Bogusław...? – Nieco osłupiały Leon wciąż szukał wsparcia.

– Ma rację. Łowcy przestali się pojawiać krótko po zlikwidowaniu ostatniego zabójcy. Tak się wyciszyli, że myśleliśmy, iż wymarli, nie zostawiając spadkobierców idei.

– Błąd. Straciliście czujność? Nie sądziłem... – Łowca pokręcił głową, wyraźnie zdumiony. – Myślałem, że monitorujecie nas tak samo, jak my monitorowaliśmy was. Stary! – rzucił nazbyt afektywnie. – Wiemy o każdym wampirze na terenie kraju chyba wszystko. Znamy was z imienia i z wyglądu, mamy nawet wasze profile psychologiczne.

Fuck! To zaczyna być groźne.

– Masz rację – przyznał Sławek, zachowując pozorny spokój, choć wewnątrz niego szalało emocjonalne tornado. – Zachłysłaliśmy się zwycięstwem nad zabójcami, zapominając o was. Może dlatego, że nie było was widać?

– Nie byliśmy aktywni, to prawda. Nie było takiej potrzeby. Nigdy nie byliśmy krwiozerczą bandą religijnych fanatyków jak oni. Trzeźwo obserwowaliśmy wasze ruchy, a ponieważ nie krzywdziliście naszego gatunku, nie było potrzeby uaktywniać łowców. Odkąd korzystacie z banków krwi jesteśmy czymś w rodzaju... nocnych stróżów – zaśmiał się łowca, wykrzywiając twarz w dziwnym grymasie, jakby naprędce analizował własne słowa. – Ale przez wszystkie te lata idea łowcy była przekazywana. Tak ja stałem się łowcą i tak łowcą stała się moja siostra. – Podeszedł do lodówki i wyciągnął z niej puszkę piwa oraz dwa plastikowe woreczki. – Po szklaneczce... koledzy? – Puścił do nich oko.

Prawie jednocześnie kiwnęli głowami potakująco, siadając na kanapie. Gość przygotował się na przyjęcie kaintów? Łał!

– Masz siostrę, która jest łowcą? – spytał znów zaskoczony Leon, biorąc do ręki szklanekę z krwią, naprędce podgrzaną przez Marka w mikrofalówce. Ile razy jeszcze tej nocy zaskoczenie

odbierze mu rezon? To nie współgrało z jego naturą luzaka i zawadiaki. Oniemiały Leon? – niezły numer.

– Miałem – odpowiedział spokojnie mężczyzna, przysiadając na oparciu fotela. – I tu dochodzimy do sedna sprawy. Znam was, bo jako łowca muszę mieć na wasz temat możliwie najszerzą wiedzę, ale znam was nie tylko z nauk przekazywanych mi jako łowcy. – Zrobił krótką pauzę, jakby zastanawiając się, czy chce dokończyć swoją opowieść. – Znam was, ponieważ moja siostra pokochała jednego z was i była z nim związana przez siedem lat. Oboje zostali zabici dwa lata temu. Byli pierwszymi ofiarami zabójcy – oznajmił i po krótkiej pauzie dodał: – Baśka miała zaledwie dwadzieścia dziewięć lat i była świetną dziewczyną. Nie zasłużyła na taki los. Nikt nie zasłużył – ostatnie słowa wyszeptał niemal niedosłyszalnie.

Cóż można powiedzieć? Jak można skomentować tak przejmującą opowieść, nawet jeśli nad wyraz krótką? Nastąpiła więc długotrwała, dojmująca cisza. Wampiry milczały zaskoczone bolesnymi słowami tego, zdawałoby się, pogodnego człowieka, a on, bo musiał przemyśleć, jak toczyć tę rozmowę dalej, aby przerażające wspomnienia nie odebrały mu, tak ważnej w tym momencie, trzeźwości myślenia. Nie mógł pograżyć się w rozpacz. Musiał się skupić, by dorwać zabójcę i dokopać draniowi.

Oczami wyobraźni Bogusław ujrzał obraz uchwycony na czarnobiałej fotografii – duży schludnie umeblowany pokój z ciemnymi ścianami i dwa martwe ciała. Zmasakrowana, młoda, ludzka kobieta z wyrazem niedowierzania na martwej twarzy i przystojny wampir o bardzo słowiańskich rysach. Przerażający widok jak wszystkie pozostałe, dokumentujące drastyczne wydarzenia.

Marek osunął się z oparcia na fotel i siedząc teraz naprzeciwko gości, postawił na ławie swoją puszkę z zimnym piwem obok szklanek z ciepłą krwią.

– Tak więc, reasumując tę krótką, niewesołą opowieść, od dwóch lat ścigam skurwiela, który to zrobił i z łowcy wampirów stałem się w pewnym sensie ich obrońcą. Ot... ironia losu.

– Pokaż nam, co masz – zaproponował Bogusław, pozostawiając przykry temat bez komentarza i wracając do sprawy.

Marek podszedł do biurka i wyciągając kolejne papiery, omawiał każdy z nich ze szczegółami. Niektóre informacje pokrywały się z tym, co już wiedzieli, inne były dla nich nowością. Łowca też zdemaskował IN NOMINE PATRIS, poza tym zbadał wszelkie dostępne oficjalnie, i nieoficjalnie, dokumenty, wysondował zebranych przez organy ścigania świadków. Na własną rękę też szukał świadków, do których oficjalne służby nie dotarły i przesłuchiwał ich, zdobywając znacznie więcej informacji niż policyjna dochodzeniówka. Miał własne fotografie, nagrania i mapy. Mapy, na których zaznaczono granice królestw Ziemi i miejsca dokonania wszystkich siedmiu zbrodni. Miał wiele więcej, niż mogli wstępnie przypuszczać i wiele więcej, niż sami posiadali. Widać było, że przez te dwa lata intensywnie pracował i teraz mógł się z nimi podzielić całkiem pokazną dokumentacją.

– Zebrałeś niezłe archiwum. – W głosie Bogusława pobrzmiwało uznanie.

– Wiesz, facet z moją spuścizną ma spore umiejętności i sporą wiedzę. Musimy tacy być. Jak się okazuje, nawet w dwudziestym pierwszym wieku archaiczny łowca może się okazać przydatny. Nie sądziłem jednak, że kiedykolwiek zapoluję na człowieka.

– To nie człowiek. To zabójca.

– Nie jeden. Kilku.

– Zdajemy sobie z tego sprawę, ale ten na szczycie jest najistotniejszy. – Bogusław zamyślił się na moment. – Z początku żywiłem nadzieję, że może jakiś niewyżyty mnich dorwał się do starych ksiąg klasztornych i teraz chce sobie zasłużyć na Królestwo Niebieskie, wybijając potomstwo szatana, ale okazuje się, że to było tylko pobożne życzenie.

Marek uniósł znacząco brew.

– Niewyżyty mnich, powiadasz? Tu jesteś blisko. Były Franciszkanin. Obwołał się mistrzem i reaktywował bractwo. Rekrutuje młodych, fanatycznych wyznawców.

– Wiemy, że mnich. Ale, że były?

– Tak. Wystąpił ze zgromadzenia, reaktywował IN NOMINE PATRIS i założył Zakon Krzyżowców.

– Zachłanny skurczybyk. Bractwa mu było mało? Jeszcze własny zakon mu się marzy.

– Jak to założył? Chyba też reaktywował? Reaktywator cholerny. – Leon nie mógł powstrzymać oburzenia.

– Nie do końca. – Marek podszedł do konsoli komputerowej i odpalił jeden z monitorów. Po chwili biegle stukania w klawisze ukazał się na ekranie herb Zakonu Kawalerów Mieczowych – inflanckiego odłamu Krzyżowców powstałego w 1202 roku. I choć trzydzieści pięć lat później został podporządkowany Krzyżakom, to nigdy nie działał na ziemiach polskich.

– Kawalerowie Mieczowi? Ale dlaczego mówisz, że założył? – Bogusław przyglądał się herbowi. – Przecież to wciąż aktywny zakon. Cholera, sporo pytań...

– No właśnie dlatego... – Mężczyzna najechał myszką na obraz. – Herb jest zmieniony, a więc najprawdopodobniej mamy do czynienia z nowym tworem, zwłaszcza że dodał do nazwy dwudziesty pierwszy wiek.

Herb, choć łądząco podobny do oryginalnego, faktycznie posiadał dwie drobne zmiany. Pomiędzy dwa skrzyżowane, czerwone miecze na białym tle ktoś wpisał u dołu miniaturową, czerwoną kropkę na podobieństwo łyzy, a u góry równie niewielkie „XXI”.

– Kawalerowie Mieczowi Dwudziestego Pierwszego Wieku – wytłumaczył Marek. – Powstali do walki z dziećmi szatana, które odbierają dusze owieczkom pańskim.

– Bez jaj! – Leon wykrzywił się, a irytacja mieszała się w nim z rozbawieniem.

– Bez jaj. Masz rację, też bym tak chciał, może moja siostra by nadal żyła. Ale prawda jest taka, że ten człowiek jest i szerzy swoją chorą ideę, wciągając w to coraz więcej ludzi.

– Kogo rekrutuje? Wiesz?

– Mnichów. Na razie. Nie wiadomo czy nie przyjdzie mu do głowy, wyjść z tym pomysłem poza klerykalne kręgi.

– To by była katastrofa.

– Zgadza się. Na razie to zamknięty krąg, ale gdy staną się otwartą sektą, puszka Pandory wybuchnie.

Chwilę milczeli, trawiając złowróżbne słowa łowcy.

– Powiedz mi jeszcze, że mają stronę internetową. – W głosie Leona słychać było sarkazm, choć jego myśl wcale nie była taka absurdalna.

– Myślę, że do tego się nie posuną. To w końcu tajne bractwo. Nie mogą się z nim afiszować. Rozumiesz?

– Taka tajna rekrutacja w odpowiednich środowiskach, ale na wielką skalę?

– Coś w ten deseń.

– Czekaj, ale czegoś tu nie rozumiem. – Bogusław zamyślił się, by po krótkiej chwili dodać: – Skoro ma bractwo, to po jakie licho mu jeszcze zakon?

Łowca wygasił monitor i odszedłszy od stanowiska komputerowego, ruszył w stronę mini saloniku. Nieznacznym gestem głowy zaprosił swych gości, by ponownie do niego dołączyli.

– Chcesz wiedzieć, o co mu chodzi? Też nad tym główkowałem, bo to się zdaje na maxa pokręcone, ale w końcu doszedłem do wniosku, że tak... – Marek wystawił kciuk lewej ręki i zahaczając go palcem wskazującym prawej, zaczął wylizywać. – Po pierwsze, mamy bractwo, którego celem jest, krótko mówiąc, zabijanie wampirów. Po drugie – tu zahaczył palec

wskazujący – jeżeli chce rekrutować wśród kleru, samo bractwo może trącić sektą, więc zakłada zakon, do którego wabi nowicjuszy, a bractwo dorzuca w pakiecie. Po trzecie – zahaczony palec środkowy, ciasno zbity z dwoma pozostałymi – nie chce się podporządkować żadnym zwierzchnikom i regułom zakonnym, zatem konstytuuje nowy twór, który jest ludzako podobny do już istniejącego, co nie budzi podejrzeń, a reguły jego funkcjonowania ustala jednoosobowo. Po czwarte – kolejny palec – w codziennych modlitwach zakonnym przemycia ważne dla niego treści, powoli piorąc mózgi i tworząc fanatycznych wyznawców. Nie potrzebuje ich wielu, ale za to ślepo oddanych. I po piąte – ostatni palec dołącza do reszty – gdy już mózgi są dostatecznie wyprane z jakiegokolwiek racjonalnej myśli, wprowadza zakon w tajniki bractwa. Ma fanatycznych wyznawców i gotowych do zabójczego szkolenia rekrutów. Logiczne?

– Cholera. Jeszcze jak.

Po słowach Leona zapadła długa cisza. Znowu. I tylko ciężkie oddechy kompletnie skonsternowanych wampirów świadczyły o tym, że intensywnie myślą nad sprawą. Zaczynając śledztwo, nie wiedzieli prawie nic poza tym, co Chwalimir przekazał im w skórzanych teczkach i co zobaczyli w warszawskiej kostnicy. Kilka pobieżnych informacji przekazanych przez Stanisława i jego chłopaków nie wносиło do sprawy zbyt wiele. Jedynie ta osobiwa nowina o więzi przez pożywanie, ale nadal stagnacja w sprawie bractwa. A teraz nagle to. Informacyjna bomba? – mało powiedziane. Ten informator, łowca, był pierwszym przystankiem na drodze ich poszukiwań, po którym będą mogli wreszcie nabrać rozpędu i zmierzać w odpowiednim kierunku. Faktem jest, że miał nad nimi dwa lata przewagi i gdy oni nie mieli zielonego pojęcia, co się święci w Mrocznym Świecie, on z zapalem przygotowywał się do śmiertelnego starcia. Nigdy nie podejrzewaliby, że zwykły człowiek mógł poświęcić tyle czasu i tyle pracy, by tak dogłębnie rozpracować zebrane informacje. Prawda – miał motywację, ale przecież to tylko człowiek. Ludzie nie jednoczą się z wampirami przeciwko innym ludziom. Ten jednak był zdeterminowany, by stanąć po ich stronie.

– Sprawa jest poważniejsza, niż ktokolwiek z nas mógł zakładać. – Bogusław spojrzął na Leona. – Zobacz, jaki on zgromadził materiał.

Krótką pauza, a potem zaczęło w nim narastać oburzenie. Wstał i zaczął energicznie przechadzać się po pokoju. Głęboko rozdrażniony tarosił włosy rozczapierzonymi palcami, aż w końcu wybuchł.

– Kurde! To się w pale nie mieści! – warknął. – Co się z nami stało?! Przecież ten człowiek w pojedynkę rozpracował problem Rodzaju lepiej niż wszystkie wyznaczone do tego wampiry w poszczególnych królestwach. Co tam rozpracował?! – Sławek unosił się coraz bardziej. – On wiedział dokładnie, co się święci, na długo przed tym, nim ktokolwiek z nas usłyszał o sprawie. Cholera jasna, w ryj i nożem! – syczał przez zęby. – Czy świat zaczyna stawać na głowie?!

Leon milczał. Jego mina świadczyła o tak dalece posuniętej konsternacji, że trudno było oczekiwać, by w tym momencie coś z siebie wydusił.

– Skoro od dwóch lat wiedziałeś, co się święci, to dlaczego czekałeś z tym aż do teraz? – Bogusław stanął przed łowcą, rzucając mu zaczepne spojrzenie.

– Miałem swoje powody. A poza tym nie gadam z podległymi.

– To ciekawe – warknął Sławek i spiorunował go wzrokiem, pod którym jednakże mężczyzna nie zamierzał się ugiąć. – A były chłopak siostry? Był wolnym wampirem?

– Był wyjątkiem potwierdzającym moją regułę.

– Super. Czyli gdybym nie został powołany do śledztwa, nadal działałbyś na własną rękę?

– Wcześniej czy później ktoś musiał wpaść na pomysł, żeby włączyć w to Wolnego. Po prostu czekałem na odpowiedni moment. Teraz ty masz prawo objąć dowodzenie nad każdym,

kto się włączy do sprawy, mam rację?

– Tak. Już objąłem.

– No widzisz. Więc zamiast pracować z czterema podległymi, którzy z każdym, nawet najmniejszym bzdetem, muszą lecieć po pozwolenie do swojego króla, mam tu faceta, który jest ponad to. Teraz możemy zacząć sprawnie działać. – Krótka pauza, a potem w zamyśleniu dodał:

– Wtedy nasza współpraca nie miała sensu.

– Jesteś szefem – zadrwił Leon.

– Zamilcz, bo ci łeb ukrećę – odciął się Sławek podminowany sytuacją. – Dobrze wiesz, że to nie takie łatwe – dodał po chwili już spokojniejszy.

– No ale sam pomyśl, on ma rację. Zamiast kilku mało kompetentnych i pewnie wydających sprzeczne polecenia wampirów mamy ciebie. Jesteś szefem czy tego chcesz, czy nie.

Bogusław wiedział, że bycie Wolnym to nie tylko przywileje, że bywają sytuacje, w których to również obowiązki. Teraz była taka sytuacja. Tylko dlaczego tak cholernie zagmatwana? Czy to nie mogło być jakieś poselstwo, albo sąd pojednawczy? Nie, kurwa! To musiało być pieprzone IN NOMINE PATRIS z pieprzonymi zabójcami i coraz gęściej ścielące się ludzkie i wampirze trupy. Fuck! – pieklił się, przeklinając w myśli. Podeszedł do biurka, kolejny raz rzucił okiem na zebrane dokumenty.

– Dobra, panowie. W takim razie bierzemy się do roboty – zdecydował. Musimy wyznaczyć miejsce na centralną bazę. Koniec z lokalnymi działaniami. Od teraz jest jedna drużyna z czterema podzespołami i łowcą w gratisie.

Łowca i młody wampir spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się, zdecydowanie aprobując nagły zapal Bogusława, po czym w groteskowym geście stuknęli się – wampir na wpół pustą szklanką, a łowca puszką – jakby właśnie dobili diabelnie intratnego targu.

– To może u nas, w Chybach? – zaproponował Leon niepewnie, bo choć Chwalimir oddał im do dyspozycji swój gabinet, to jednak miał świadomość, że królewski dwór niekoniecznie jest stosownym miejscem na często i licznie odwiedzaną przez przedstawicieli ościennych klanów bazę operacyjną.

– A kto działa w pozostałych zespołach? – prawie jednocześnie spytał Marek.

– Z Ziem Wschodnich – Stanisław Leśniak, Kirył Wołkow i Piotr Mróz. – Bogusław wrócił na kanapę, rozsiadł się obok Leona i zaczął wyliczać. – Z Ziem Północnych Gerard MacRoberts, Roger Allison i Kazimierz Kołdecki, a z Ziem Południowych Honza Bart, Karol Wróblak i Wojciech Pochaj. W naszym zespole jest jeszcze Otto Obermann. Jest naszym koordynatorem, pracuje na miejscu, w Poznaniu. Mamy w królewskiej rezydencji bazę na czas śledztwa.

Nazwiska – poniekąd śmieszna sprawa zważywszy, że sporo wampirów urodziło się w czasach, kiedy jako znak przynależności wystarczało imię i miejsce pochodzenia. Ludzie nie potrzebowali nazwisk, dlatego więc mieliby ich potrzebować nieludzie? Z czasem jednak zmiany społeczne i konieczność współlegzystowania wymusiły nazwiska również na nich. Młodsze wampiry, jak Leon, uległy przemianie, posiadając nazwisko, więc z nimi nie było problemu, Szkoci też przywieźli ze sobą pełen pakiet personaliów. Bogusław jednak w pewnym momencie przestał być Bogusławem z Boru i stał się Bogusławem Zborskim. Podobnie ich król, który w kręgach Mrocznego Świata wciąż był Chwalimirem z Toporów, oficjalnie stał się Chwalimirem Toporskim. Ale tak naprawdę to była tylko ułuda – fikcja stworzona na urzędnicze potrzeby. Odkąd śmiertelny świat bezgranicznie podporządkował się technice i jej szalonemu rozwojowi, trudno było nieumarłym zachować swoje istnienie w tajemnicy. Musieli przechrzcić ludzkie systemy i zaistnieć w zewnętrznym świecie, choćby tylko na papierze czy w elektronicznym rejestrze. Reszta została bez zmian. Co dziwne – podczas gdy kiedyś wampir

będący częścią prymitywnej świadomości człowieka, niczym tornado przemieszczał się przez ludzki świat, pozostawiając po sobie śmierć i zniszczenia, nie będąc istotą namacalną, czując się bezkarnie i bezpiecznie, teraz był namacalny i quasi żywy, ale absolutnie nie istniał w świadomości człowieka jako zjawisko realne. Dzieci Nocy stały się jedynie modną fikcją i to było dla nich korzystne. Należało więc tę fikcję podsycać, dla zachowania bezpieczeństwa w absolutnie niebezpiecznym dla Rodzaju świecie. Tylko nieliczne jednostki ludzkie miały świadomość ich istnienia, a i tym korygowano świadomość, jeśli tylko było to możliwe bez uszczerbku dla interesów Rodzaju.

Marek dumał przez chwilę. Po kilku minutach miał już sprecyzowany obraz dalszej współpracy.

– Dobra, panowie – powiedział bez wahania – co będziemy się długo zastanawiać? Zrobimy bazę tutaj. Mamy tu cały, niezbędny sprzęt i wszystkie dokumenty, które przez dwa lata gromadziłem. To jest moje centrum operacyjne, a do tego nie leży na terenie żadnego Dworu, więc jest poniekąd neutralne i na dodatek prawie w środku kraju, więc blisko do każdego ośrodka, gdyby trzeba sprawę przetrwać z któryms z władców.

Choć zaskakująco, to jednak łowca przedstawił na wskroś logiczną propozycję. Nie było potrzeby się z nią spierać, dlatego krótkim „zgoda” Sławek zaakceptował ją niemal błyskawicznie. Odnosił jednak wrażenie, że Marek nie wie o protektoracie. Bo i skąd miałby wiedzieć? Należało mu to wyjaśnić.

– Nie jest konieczne konsultowanie się ze wszystkimi królami. Chwalimir objął protektorat.

– To dobrze. Dla nas łatwiej.

Bogusław wyjął z kieszeni komórkę i trzema krótkimi telefonami, załatwił sprawę z dowódcami grup. W efekcie pozostałe wampiry miały zjawić się następnej nocy na tej samej stacji benzynowej i stamtąd zjechać do wspólnej, od teraz, bazy operacyjnej.

Stary wampir załatwiał ważne dla śledztwa interesy, a łowca z Leonem stłumionym szeptem gawędzili w tle. Wyglądali jak zwykli faceci miło spędzający czas przy szklaneczce czegoś mocniejszego.

– Panowie! – skończywszy ostatnią rozmowę, zawołał Bogusław rozbawiony teatralnością owej sceny. – Aż miło na was popatrzeć.

Wyrwani z pogawędki mężczyźni spojrzeli na niego zaskoczeni, a w końcu załapawszy, o co chodzi, wybuchnęli śmiechem.

Rozdział 11

Choć były to ostatnie dni listopada, to można powiedzieć, że po kilku dniach wahania, był on znów w pełnym rozkwicie. Jakby pomylił pory roku, racząc mieszkańców stolicy Wielkopolski przyjazną aurą i słonecznymi promieniami prawie każdego dnia. A jednak święta Bożego Narodzenia nadciągały siedmiomilowymi krokami i mimo tej pogodowej anomalii czuło się na plecach oddech gwiazdkowej gorączki.

W tym roku Kaśka postanowiła wcześniej zadbać o należyte zapełnienie gwiazdorowego worka, chętnie więc wybrała się z Gošką do galerii Malta, by rozejrzeć się w ofercie tamtejszych sklepów. W razie niepowodzenia będzie miała jeszcze sporo grudnia, żeby uporać się z problemem.

Nie przepadała za zakupami w galeriach i wielkich centrach handlowych. Zazwyczaj wracała z nich wyczerpana i z nieadekwatnie małą ilością zakupów jak na wkład energii i czasu, który temu poświęciła. Cóż z tego? Mogło ją to wkurzać, ale niestety tak wyglądała zakupowa rzeczywistość i albo trzeba było na nią przystać, albo modlić się, że prawdziwy Gwiazdor istnieje i nie zapomni o twoich dzieciach w najważniejszym dla nich dniu roku. Ponieważ jednak Kaśka nigdy nie była fanatycznie religijna ani nawet nadmiernie wierząca, postanowiła po raz kolejny poświęcić swój czas i energię, a nie pozostawiać sprawy wątpliwym efektom swych nie do końca szczyrych modłów. Poza tym w obecnym stanie ducha, którego nastroje popadały ze skrajności w skrajność po kilka razy na dobę, wyrwanie się z domu i zdecydowana zmiana czynności, choćby tylko na krótko, była dla niej zbawienna.

Zatem jechały zatłoczoną ulicą w nadziei, że gigantyczny korek, który rozwijał się przed nimi niczym opasy, świetlisty wąż, rozplynie się nagle pod wpływem jakiegoś magicznego zaklęcia. Niestety żadna z nich nie miała w sobie ani odrobiny magii, toteż nie mogły liczyć na to proste i skuteczne rozwiązanie. Pozostawało więc uzbroić się w cierpliwość i czas w korku wypełnić zwykłym, babskim plotkowaniem. Łatwo powiedzieć. Nie tak łatwo jednak zwyczajnie plotkować, gdy twoje życie wiruje właśnie niczym gigantyczny bąk-zabawka. To było ich pierwsze spotkanie, odkąd Jacek wyprowadził się z domu, dlatego obie nie bardzo potrafiły odnaleźć się w tej niezręcznej sytuacji. Kaśka, ponieważ nie chciała obarczać przyjaciółki swoimi problemami, a Goška, bo nie bardzo wiedziała, na ile emocjonalnie Kaśka może reagować na rozmowy o tej bolesnej sprawie. Jednak trudno było udawać, że nic się nie dzieje.

– Nie wiem, co zrobić ze świętami – zagadnęła w końcu Kaśka, czując, że to jednak ona powinna rozpocząć temat.

– Masz jeszcze trochę czasu. Jakoś się to poukłada. Zobaczysz.

– Nie wiem. Trudno nam się gada o zwykłych sprawach w tej sytuacji. Wiesz, mamy na głowie finanse i niby podział majątku.

– Niby?

– No wiesz. – Wzruszyła ramionami. – Co tu dzielić? Mieszkanie kupił Jacek, a samochody podzielimy tak, jak je używaliśmy. Reszta to finanse. I tak dobrze, że zdecydował się zostawić mi mieszkanie w użytkowanie do czasu aż dzieciaki skończą naukę. Mam jakieś dwadzieścia lat na znalezienie nowego lokum. – Kobieta zaśmiała się, lecz był to gorzki śmiech.

– Ale alimenty będzie płacił?

– No tak, tylko musimy obliczyć ile tak naprawdę będę tych pieniędzy potrzebować, bo co ja mogę zrobić z tymi groszami, które zarabiam na lekcjach gry? Przecież wiadomo, że Jacek będzie musiał sporo dokładać do naszego utrzymania.

– No chyba nie czujesz się winna, że wyciągniesz od niego trochę kasy? – Goška aż

kipiała oburzeniem. – Gnojek zarabia krocie, a wina zdecydowanie leży po jego stronie, więc żadnych mi tu skrupułów, proszę!

– No niby masz rację, ale mimo wszystko... to trudne.

Zapadło milczenie. Kaśka dała sygnał kierunkowskazem, że zamierza zmienić pas i pomału zaczęły przesuwać się w stronę zjazdu w Kaliską, by może od strony Polanki wreszcie dostać się do Malty.

– Jeszcze nie powiedziałam mamie – znowu zagadnęła, wracając do tematu.

– No, w pewnym sensie cię rozumiem. Cholera, to będzie trudne, no i tak głupio jakoś przez telefon powiedzieć matce „rozwodzę się”.

– No właśnie. Muszę to jakoś rozwiązać. Może dopiero w święta jej powiem. Zobaczą. – Zrobiła krótką przerwę, by po chwili dodać: – I zupełnie nie wiem, co z Jackiem na wigilię.

Wlokąc się za korowodem samochodów, w ślimaczym tempie krążyły po zatłoczonym, wielopiętrowym parkingu galerii.

– Co mnie, cholera, podkusiło, żeby tu przyjechać? – Kaśka przeklinała brak miejsc.

– Duża ilość sklepów?

– I brak miejsc parkingowych? – rzuciła z sarkazmem i spojrzała na przyjaciółkę, jakby to ona okupowała wszystkie miejsca w hali.

– Nie marudź, tylko zaparkuj wreszcie i idziemy. Czas nagli.

– Gośka! Nie drażnij lwa!

– Okej, okej. – Dziewczyna uniosła ręce w geście poddania.

– No. I tak trzymać.

Zachichotały, rozładowując sytuację, a złowione wreszcie wolne miejsce zdecydowanie poprawiło im nastroje. Faktycznie nie miały za wiele czasu, a dokładnie rzecz biorąc, Kaśka nie miała. Zostawione u sąsiadki dzieciaki trzeba było odebrać o określonej porze, której nieprzekraczalny termin upływał za niecałe trzy godziny. Stanowczo za mało na porządne zakupy w galerii handlowej, ale jak nie masz wyboru, to bierzesz, co dają. Ona go nie miała. Poza Gośką nie miała w Poznaniu nikogo, komu mogłaby powierzać dzieci. Na Jacka nie mogła niestety liczyć. Jego niepokładane, skądinąd, życie toczyło się teraz pomiędzy kancelarią, a noclegami u znajomych, czasami też u obecnej kochanki. Najwyraźniej nie doszli jeszcze do porozumienia w kwestii wspólnego zamieszkania na stałe. Kaśka nie wnikała, czy to on nie chciał angażować się w kolejny związek, czy też może ona nie była jeszcze gotowa. Nieważne. Grunt, że na ten moment Jacek nie miał stałej mety, do której mógłby zabrać dzieciaki, a na Prusa nie miała ochoty go na razie zapraszać. Sprawy związane z rozwodem omawiali zawsze w kancelarii i to jej odpowiadało. Neutralny grunt. Żadnych podtekstów. Czysty profesjonalizm.

Reasumując, Gośka była z nią, Jacek chwilowo bezdomny, a maluchy na najbliższe trzy godziny oddelegowane do zaprzyjaźnionej pani Basi, która też niejednokrotnie prosiła Kaśkę o podobną przysługę.

Sobotnie popołudnia w galeriach handlowych były czasoprzestrzenią, w której barwny, ludzki tłum spędzał wolne chwile, leniwie tułając się pomiędzy sklepami, kafejkami, fast-foodami. Takich jak one, wpadających tu, by w dzikim pędzie oblecieć tylko te sklepy, które w swej ofercie mają konieczny asortyment, omijając niezauważone całe zastępy pozostałych sklepików, była znikoma ilość. Owi ludzie gnali przez galerię, lawirując pomiędzy galeryjnymi spacerowiczami, którzy snując się, spokojnie oglądali kolorowe wystawy.

Kaśka wiedziała dokładnie, czego szuka. Jej dzieci co roku, pisały listy do Gwiazdora. Z początkiem listopada, kiedy szaruga i wczesna ciemność zaczynały namolnie przypominać, że za pasem święta, brały się za spisywanie gwiazdkowych marzeń. Taka aktywność doskonale nastrojała maluchy, które najpierw przygotowywały swoje listy, ozdabiając je obficie kolorowymi

malunkami, a potem zapełniały wolną przestrzeń rejestrem oczekiwań. Listy Pawełka były oczywiście dużo czytelniejsze, a życzenia spisane w kolumnie dużymi, wyraźnymi, literami jak na drugoklasistę przystało. Agatka zaś rysowała swoje marzenia dość nieporadnie i co rusz przybiegała do matki, by dokładnie ją poinstruować, jak należy odczytać znaki graficzne na kartce. Naturalnie Kaśka za każdym razem zapewniała, że przekaże Gwiazdorowi wszystkie istotne wskazówki, zapobiegając tym samym ewentualnej pomyłce, gdy rubaszny staruszek zacznie szykować swój worek z prezentami.

Tak więc w tym momencie zamierzała kupić Lego City Stacja Kosmiczna dla Pawełka i karuzelę My Little Pony dla Agatki. Oczywiście, jak co roku, barwne specyfikacje zawierały wiele więcej propozycji. Dzieciaki wyznawały bowiem niezłomną zasadę, że lepiej zostawić Gwiazdorowi większe pole manewru na wypadek, gdyby w jego fabryce niespodziewanie zabrakło jakiejś zabawki.

Przez niespełna dwie godziny kobiety przebiegły wszystkie sklepy, stwierdzając z dezaprobatą, że w Malcie szanse na zdobycie pożądaných zabawek są raczej nikłe. Kaśka miała łzy w oczach. Tyle czasu na marne. Cholera! Znowu będzie musiała się zorganizować, by wyskoczyć bez dzieciaków w miasto.

Mając jeszcze chwilkę, mogły naprędce wypić kawę w którejś z licznych kafejek. Cóż... może i miały chwilkę, ale zabrakło im ochoty na choćby krótki relaks w tym zgielku. Zebrały się więc i zrezygnowane powędrowały na parking. Znowu czekała je jazda w korku, by ostatecznie dotrzeć do domu z niczym.

Na szczęście droga powrotna przebiegła zaskakująco sprawnie i po zaledwie dwudziestu minutach Kaśka zaparkowała białego Qashqai'a pod kamienicą na Prusa. Mimo to nastroje wciąż miały minorowe. Wygramoliły się w milczeniu z markotnymi minami. Nieudane zakupy... – diabelnie niefajna sprawa. Zawsze nastrajają pesymistycznie, a gdy do tego wiesz, że i tak będziesz musiała podejść do nich raz jeszcze, zdecydowanie masz wszystkiego po dziurki w nosie. Taka już kobieca przypadłość.

O tym, że Gośka nie będzie miała ochoty wracać do pustego, wynajmowanego w betonowym, postkomunistycznym blokowisku mieszkania, nie trzeba było nawet wspominać. Zdecydowanie bardziej lubiła kameralny urok przedwojennych kamieniczek, a więc Kaśka chętnie zabrała ją do siebie. Zresztą nie było opcji, żeby podarowały sobie pokrzepiającą kawę, a może i coś mocniejszego. Zgarnięte po drodze dzieciaki grzecznie pożegnały się z panią Basią i chociaż Agatka oponowała, nie chcąc opuścić swojej najlepszej koleżanki, obie matki były nieustępliwe. Była już najwyższa pora, żeby dzieciaki zjadły kolację i poszły spać.

– Wiesz, w sumie nie dziwię się, że Jacek znalazł sobie kogoś innego – stwierdziła Kaśka, gdy maluchy leżały już w łóżkach, a one rozgościły się w kuchni, rozkoszując się chwilą spokoju.

Na stole parowały kawy, roztaczając aromatyczną woń, stała butelka czerwonego wina, którą zafundowały sobie w ramach rekompensaty za nieudany wypadek do Malty, a gospodyni krzątała się przy szafce, by wyjąć kieliszki.

– Spójrz tylko na mnie. Jestem żałosna – kontynuowała. – Nie dość, że mało atrakcyjna, to jeszcze nawet głupich prezentów nie potrafię kupić.

– Kaśka, odbija ci? Dołujesz się z powodu nieudanych zakupów?

– To tylko dołało oliwy do ognia – odpowiedziała zrezygnowana, a niechciane łzy znów zaczęły jej pęcznieć pod powiekami. – Tak naprawdę, to wierz mi... wcale mu się nie dziwię, że woli tę lalkę Barbie ode mnie. Spójrz na mnie. Nie widzisz, jaka jestem beznadziejna? Jestem starzejącym się, puszystym rudzielcem. Wstyd się ze mną pokazać. Sama się siebie wstydzę.

Damn! – zakłęła Gośka w duchu i spojrzała na przyjaciółkę. Nie zamierzała jej jednak

oceniać. Kaśka plotła głupoty i tyle. Problem w tym, że zaczynała uderzać w coraz bardziej żalony ton. Trzeba więc było szybko wykombinować, jak ją wyciągnąć z tego emocjonalnego bagna, zanim utonie w nim na amen. Nie miała teraz ochoty na ckliwe momenty. Sama niedawno rozstała się z kolejnym facetem, po kolejnym krótkim i nieudanym związku i nawet nie próbowała myśleć, co dalej ze sobą zrobić. Po prostu żyła z dnia na dzień, zakładając, że czas pokaże, co jest jej pisane, bo najwyraźniej wielka miłość ciągle jeszcze nie.

– No wiesz, jak dla mnie to ty nigdy nie byłaś żalona, a co do wyglądu tooo... niezła z ciebie laska. Ten twój Jacek dupkiem jest i tyle.

– Nie pocieszaj mnie. Mam lustro i widzę, jak wyglądam.

– No jak? Ekstra tyłek, fajne cycki, ładna buzia. Czego ty od siebie chcesz, dziewczyno?!

– Szczerze powiedziawszy, Gośka nie rozumiała, czego przyjaciółka nie potrafi w sobie zaakceptować. – Mówię ci, jest na czym oko zahaczyć. – Uniosła znacząco brew i przekrzywiła głowę, wnikliwie przyglądając się stojącej przy kuchennym blacie kobiecie.

– Świństwa ci w głowie? – zachichotała nerwowo Kaśka, spoglądając na filuternie pożądlivy wzrok przyjaciółki.

– No żebyś wiedziała, ale, cholerka, nie ta orientacja.

– A już miałam nadzieję na małe bzykanko – Kaśka dalej chichotała, jednocześnie tłumiąc śmiech przyłożoną do ust dłonią.

– Zapomnij. Niestety... nie ze mną te numery, Bruner. – Gośka udawała śmiertelnie poważną.

– I co my teraz z tym zrobimy? Żadnego z ciebie pożytku. – Kaśka zaczęła się śmiać pełnym, szczerym śmiechem, nie mogąc już dłużej powstrzymać tłumionego rozbawienia, a potem podeszła do przyjaciółki i objęła ją mocno. – Dobrze że jesteś – powiedziała nagle zaskakująco cicho i całkiem poważnie. Była wdzięczna losowi za to, że kiedyś zesłał jej tę cudowną dziewczynę, która okazała się jej bratnią duszą, tak stabilną w obecnej, cholernie niestabilnej rzeczywistości. – Co ja bym bez ciebie zrobiła? – dodała szeptem.

Przez jakiś czas tkwiły w bezruchu wzajemnych objęć, pogrążając się w swoich wewnętrznych koszmarach. Kiedy Gośka uściśniła ją mocno, obu napłynęły łzy do oczu.

– Spadaj, bo ci dam po dupie – rzuciła po chwili dziewczyna, odsuwając się i ocierając łzy wierzchem palca wskazującego.

– Łał, nie tylko świństwa, ale i przemoc – zadrwiła Kaśka, też dyskretnie ocierając łzę. – Gdzieś ty się tego nauczyła, co?

– Dam ci namiary, chcesz?

– A chociaż fajny facet?

– Nieee, palant jakiś. – Gośka pokręciła głową z wyraźnym niesmakiem. – Fuj, nie szukajcie go – rzuciła z drwiną puentę starego kawału.

Śmiały się, a atmosfera normalności i luźnych, babskich pogaduszek zagościła na dobre w przytulnej kuchni.

Kaśka podeszła do stołu i nalawszy wino do kieliszków, usiadła naprzeciw przyjaciółki. Włączyła miniwiewię. Spokojna muzyka zaczęła się sączyć z głośników, opływając je przyjemnie niczym kojący balsam. W połączeniu z rozgrzewającym winem i najlepszym towarzystwem na świecie zdawała się perfekcyjnym antidotum na wszelką udrękę. I choć obie przykleiły do ust szerokie uśmiechy, Kaśka wiedziała, że mimo pozorów, Gośka też nie ma najłatwiejszego życia. Fakt – miała prezencję, karierę i sporo pieniędzy, ale nigdzie nie zagrzała miejsca na dłużej. Zmieniała pracę, mieszkania i chłopaków, i właściwie nie było wiadomo czy tak po prostu lubi, czy jeszcze nie znalazł się ten, dla którego chciałyby się ustatkować. O swoich przelotnych romansach mówiła raczej mało, a gdy temat stawał się za bardzo dyskutowany, w delikatny

sposób dawała do zrozumienia, że czas już zmienić przedmiot rozmowy. Teraz też lakonicznie wspomniała, że kolejny facet okazał się nic nie wartym palantem. Kolejny, który sądził, że za zgrabną figurą, dużymi cyckami, wydatnymi ustami i blond włosami do pasa, nie kryje się żadna większa głębia. I że głupia gąska, którą sobie przygruchał, będzie tańczyć wokół niego, jak jej zagra. Cholernie błędne rozumowanie. Stereotypy myślowe samców działały na Goškę jak przysłowiowa płachta na byka i choć zdarzały się niewiele oczekujące od swych partnerów, naiwne blondyny, to na pewno ona do nich nie należała.

– Gośka... ale ja widziałam ciacho – zagadnęła ni z tego ni z owego Kaśka. Oparła łokcie o stół, podparła brodę na splecionych dłoniach i z rozmarzeniem pokręciła głową.

– Jezu, gdzie? Opowiadaj! – Tych kilka słów przyjaciółki obudziło jawną ekscytację w nieco ospalej, przyćmionej czerwonym winem świadomości dziewczyny. Przecież Kaśka nigdy nie zwracała uwagi na obcych facetów, a tu nagle takie wyznanie? Jak by na sprawę nie patrzeć – dół, załamka, wino... nieważne i tak zabrzmiało to w jej ustach jak cytat z filmu sciece-fiction.

– W dyskotecce. Wtedy, jak byliśmy z Jackiem w Słodowni.

– No coś ty? Idziesz z nieziemsko przystojnym mężem na imprezkę i na innych facetów się oglądasz?

– Tak jakoś wyszło.

– Tak jakoś wyszło? – Gośka odrzuciła do tyłu włosy i uśmiechnęła się filuternie. – No i co?

– No i nic. – Kaśka wzruszyła ramionami. – Po prostu widziałam takiego chłopaka... że nawet mnie ruszyło. A wiesz, że ja nie jestem w tym względzie za bardzo szalona.

No tego, to już nie musiała dodawać. Każdy, kto ją znał, wiedział, że nie była w tym względzie szalona. Jacek był jej pierwszym i jedynym facetem, a po nim to już tylko... czarna dziura. Nawet nie wiadomo, jakim trafem, nieśmiała względem chłopaków Kaśka, zdobyła najgorętszy towar w akademickiej społeczności. Sama też się temu dziwiła, ale skoro szczęście dało jej wygrać ten los na loterii życia, to brała wygraną, nie pytając, skąd trafiło się to właśnie jej. Wprawdzie nie zakładała wtedy, że to trofeum przechodnie, ale... czy to człowiek wie, co go czeka? Teraz siedziała w swoim mieszkaniu przy kuchennym stole, plotkując z przyjaciółką, a jej cudowny niegdyś-mąż, był już tylko wspomnieniem. Był trofeum innej szczęściary, która właśnie dostała swoją szansę na damsko-męskiej loterii, w której Jacek znów okazał się nagrodą główną.

– Kaśka, nie drocz się ze mną. Opowiadaj.

– Naprawdę nie ma o czym. Po prostu, szłam do kibelka, a tłum był taki, że nie mogłam się przedrzeć, no i mnie zarzuciło na niego – zarumieniła się, wyraźnie zakłopotana.

– I co? Złapał cię czy co? – Ekscytacja Goški sięgała zenitu, a torturująca ją przyjaciółka cedziła słowa.

– Nie. Nie musiał. Zachowałam równowagę, ale tak blisko niego wylądowałam, że normalnie... czułam jego zapach. No i miał niesamowite oczy.

– Oczy powiadasz? Zapach...? Jezusie Nazareński! – Z Goški uszła para, ale postanowiła nie odpuszczać. – I co dalej? – ponaglała.

– I wiesz, tak na mnie patrzył... Tak... no wiesz... jakby był szczęśliwy, że jestem blisko niego. – Rozmarzona Kaśka westchnęła ciężko, ze wzrokiem utkwionym w bezkresnej dali.

Czyżby kolejny kieliszek wina zaczął malować w Kasinej wyobraźni obrazy, których na jawie nigdy by nie ujrzała? Być może. Niemniej musiała być diabelnie sugestywna, skoro zrezygnowana przed chwilą Gośka, teraz zwiotczała pod ciężarem jej romantycznego wyznania. Zawsze marzyła o mężczyźnie, który byłby szczęśliwy, mając ją blisko siebie. Niestety, palant na ogół miał jedynie kurwiki w oczach, mówiące „chodź mała, przelecę cię na wszystkie sposoby świata”. Cóż, wymarzony facet jeszcze się nie trafił.

– Był... boski. – Kaśka westchnęła, mówiąc jakby bardziej do siebie, zagłębiając się w zniewalające wspomnienie. – Piękna, pogodna twarz, jasne włosy w artystycznym nieładzie. Takie trochę falujące jak u surfera. Wiesz... takie... wypieprzone włosy. – Zachichotała, rozbawiona własnym skojarzeniem. Najwidoczniej wino zaczynało odwalać niezłą robotę w jej skołowanej wyobraźni. – No i boskie ciało. Chyba – jęknęła. Rozmarzona Kaśka płynęła na fali swej imaginacji, jakby nagle jej przytulna kuchnia zniknęła, zamieniając się w zatłoczoną dyskotekę, stawiając ją w niepokojącej bliskości obiektu jej uniesień.

– Niesamowite oczy, zapach, wypieprzone włosy i chyba boskie ciało? Chyba?! – Gośka też jęknęła. Jak tu gadać z tą laską?! – irytowała się w duchu.

– No tak. Chyba. Bo był ubrany. – Kaśka spojrzała na przyjaciółkę z niewypowiedzianym „skąd tyś się urwała, kobieto?” wypisanym na twarzy. – To dyskoteka, nie plaża nudystów – ofuknęła ją. – Trudno powiedzieć, gdy facet jest ubrany, jakie ma ciało, ale sylwetkę miał, że... łał.

– I nie zagadnęłaś go, ani nic? – Niedowierzenie w głosie przyjaciółki było iście porażające.

– Gośka! Heło! – Zamachała jej otwartą dłoń przed twarzą. Kolejne „skąd tyś się urwała, kobieto?” chyba byłoby przegięciem. – Byłam z mężem. Pamiętasz?

– Cholera. Fakt. – Dociekliwa dziewczyna oklapła, wydając z siebie długi oddech kapitulacji.

– Gdyby to było teraz, to może bym wykorzystała sytuację.

– Gdyby to było teraz, to nie byłoby sytuacji. Teraz byłaby tam ta nowa zabawka Jacka.

– Do licha, masz rację. – Teraz Kaśka westchnęła zrezygnowana. – Czyli jak by się człowiek nie okręcił... dupa zawsze z tyłu.

Siedziały, milcząc, zamyślane, z rozmarzonymi obliczami. Niechybnie wizerunek pięknego, pachnącego surfera z boskim ciałem i wypieprzonymi włosami nie dawał im spokoju. Zresztą nie trzeba było długo czekać, by Gośka wróciła do tematu.

– Wygląd serfera? W środku jesieni? Musiał wyglądać egzotycznie.

– No. I tak też wyglądał. Oglądałaś „Na fali”? To ten facet wyglądał jak Patrick Swayze w „Na fali” – uściśliła Kaśka, gdy przyjaciółka potakująco kiwnęła głową.

– O kurde! Nie żartuj!

– No, serio.

– Kuuźwa! On był tam absolutnie boski – dziewczyna piała peany. – Te włosy – zaśmiała się – faktycznie wypieprzone, to cholernie umięśnione ciało i te oczy na tle tej opalenizny. Powalające – westchnęła. – Ten też taki opalony?

– Nie. Patrz, że wcześniej nie zwróciłam na to uwagi? Ten facet był niesamowicie bład. Jakby był po ciężkiej chorobie, ale wyglądał zdrowo.

– Może wampir? – Gośka chwyciła swój kieliszek (który to już z kolei?) i spoglądając w połyskujący czerwienią płyn, zaśmiała się serdecznie.

– O rany! To jest myśl! – Kaśka podchwyciła, równie radosna, a potem stuknęła swoim kieliszkiem w kieliszek przyjaciółki.

– I przyszedł tam na łowy.

– A ja, cholera, nie dałam się złować.

– To był bład, moja droga. To był bład.

Śmiały się. Uwielbiały filmy i książki o wampirach. Gdy tylko coś nowego pojawiała się na wydawniczym rynku, niezwłocznie kupowały, by zaczytywać się w losach kolejnych niesamowicie pięknych, wytwornych Dzieci Nocy rozkochanych do szaleństwa w ludzkich kobietach. Czy może być coś bardziej ekscytującego dla zwykłej kobiety żyjącej w realnym

świecie niż porywający romans nie z tej ziemi?

- Masz swojego wampira.
- Mogłam mieć, ale przegapiłam szansę.
- Następnym razem nie odpuszczaj.
- Nie odpuszczę. Obiecuję.

Wino nabierało rozpędu w udręczonych zakupowym horrorem organizmach podchmielonych kobiet, które bawiły się wyśmienicie, nie pamiętając już, z jak marsowymi minami do owego wina zasiadły.

– ... ale i tak nie ujmowało mu to uroku – Kaśka kontynuowała wątek, walcząc z własnym językiem, który właśnie nabral nieodpartej ochoty na jakiegoś przedziwnego breakdance'a. – No i ten był zdecydowanie duży chłop. Wiesz, taki średniowieczny rycerz albo coś.

- Dziewczyno, zdecyduj się. Surfer, wampir czy średniowieczny rycerz?
- Średniowieczny rycerz-wampir i do tego surfer.

– Brzmi cholernie ekscytująco. – Gośki język też zawirował we własnym tańcu-połamańcu. – Chciałabym to zobaczyć.

Kolejną butelkę wina, pudełko lodów i sporo romantycznej muzyki później nadal siedziały w kuchni, radośnie plotkując, walcząc z samowolą niesfornych języków. Obie potrzebowały trochę niezmaconego luzu, by odpuścić sobie drążące je problemy. Nie przejmowały się czasem, który miarowym tik-tak cichutko kroczył w kierunku świtu. Jutro niedziela – odeśpią.

Wielkie, małżeńskie łóżko było tak szerokie, że bez problemu mogły się w nim wyspać, nie przeszkadzając sobie nawzajem. Kaśka, nie mogąc zasnąć, przewalała się z boku na bok już od dłuższego czasu i nawet sławetne liczenie baranów na niewiele się zdało. Stado baranów maszerowało gęsiego przed jej bezsennym obliczem, a oczy nadal były wielkie jak spodki, mimo że miała już za sobą trzecią setkę szlachetnej trzody. Gośka natomiast zasnęła momentalnie i gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, zaczęła słodko pochrapywać. Leżała odwrócona tyłem do przyjaciółki, a jej piękne, nagie ramiona, odziane zaledwie w ramiączka od seksownego stanika, kusiły na tle rozrzuconych po poduszce równie pięknych, blond włosów. Boże, jak Kaśka zazdrościła jej tego ciała i kobiecego powabu. Oddałaby wszystko, by wyglądać jak Gośka. Może teraz nadal byłaby szczęśliwą żoną, a nie zdradzonym, porzuconym babulcem, rozczulającym się nad własną żalospną egzystencją. Kurczę, cholernie nie lubiła samej siebie. Już od jakiegoś czasu nie mogła siebie znieść, więc co się dziwić Jackowi. Też wymieniałaby siebie na nowszy model... gdyby była nim.

Zaczynało świtać, kiedy torturując się irytującymi rozważaniami, zaczęła pomału zapadać w sen. Wreszcie miała się oderwać od trudnych przemyśleń uporczywie dryfujących po jej głowie.

Rozdział 12

Po pierwszym grudnia świąteczne wystawy sklepowe zaczęły się pojawiać jak przysłowiowe grzyby po deszczu. W takiej scenerii dorośli coraz bardziej odczuwali presję nadchodzącej gwiazdki, a podekscytowane dzieciaki czekały na zbliżające się Mikołajki. Co prawda Mikołajki były dużo skromniejsze niż pełne prezentów, okraszone blaskiem choinki, kolęd i uroczystej wieczerzy święta Bożego Narodzenia, ale nawet drobny upominek, ofiarowany tego dnia, wywoływał na buźkach maluchów szczerzy uśmiech szczęścia. Uśmiech, który każdą matkę przyprawiał o szybsze bicie jej troskliwego serca. Kaśka bardzo chciała być w gronie tych matek, dlatego co roku przygotowywała dla swoich dzieci drobne upominki, które święty Mikołaj przynosił jej pociechom w magiczną noc z piątego na szósteo grudnia.

Wieczór piątego grudnia poświęcili na pucowanie obuwia i gdy maluchy kładły się do łóżek, dwa małe buciki lśniąco od czystości stały na parapecie dziecięcego pokoju w pełnej gotowości.

Szósty grudnia 2011 roku był kolejnym dniem, który miał powitać poznaniaków przyjazną aurą, a nieustępliwe słońce znów uparcie miało gramolić się na nieboskłon. Śnieg na Mikołajki? Zapomnij! Na razie jednak na dworze panowała absolutna ciemność, a Kaśka, w oświetlonej elektrycznym światłem kuchni, szykowała śniadanie. Radio cichutko brzęczało dla towarzystwa i gdy w dziecięcym pokoju budzik oznajmił 6:30 zaczęła nasłuchiwać. Nie musiała długo czekać – kwiki radości i jeszcze zaspane, ale donośne głosy maluchów świadczyły o tym, że hojny święty jak zwykle dobrze się spisał.

– Mamo! Mamo! Zobacz, co mi Mikołaj przyniósł! – wołał Pawełek, wbiegając do kuchni w rozchełstanej piżamce i z rozczochranymi włoskami.

Tuż za nim wbiegła Agatka, której wygląd był tylko nieco schludniejszy. Kaśka roześmiała się szczerze, spoglądając na ten jakby żywcem wyjęty z disnejowskiej bajki obrazek, i przygarnęła dzieci do siebie.

– No, pokażcie. Co tam macie?

Dzieci, prześcigając się, wyciągały rączki, każde z własnym upominkiem, by ich matka dokładnie oglądnęła mikołajkowe cuda. Szkoda, że mieli tak mało czasu. Niestety był to zwykły, roboczy dzień, a więc dzieciaki też czekały codzienne obowiązki malucha – szkoła i przedszkole.

– Dobra, kochani. Widzę, że Mikołaj znowu sprawił wam wielką radość, ale teraz czas się myć i ubierać – zakomenderowała. – Obowiązki czekają.

Szkraby ze zwieszonymi główkami powędrowały do łazienki, ale ożywiona dyskusja na temat nowych prezentów dowodziła ich pogodnych nastrojów.

Odkąd Jacek się wyprowadził, ranki stały się dla wszystkich dość trudne – wcześniej oboje rodzice dzielili się porannymi obowiązkami. Kiedy Kaśka szykowała śniadanie i pomagała maluchom sprawnie się ogarnąć, Jacek szykował się do wyjazdu. Razem zasiadali na chwilę przy kuchennym stole, zjadali niewielkie śniadanie, po czym zabierał dzieciaki i wyruszali w codzienną trasę. Teraz trzeba było obejść się bez niego. Kaśka musiała wcześniej wstawać, a dzieci błyskawicznie się usamodzielniać. Poranna toaleta i ubieranie należały już do ich samodzielnych obowiązków, a gdy one w kuchni jadły przygotowane przez matkę śniadanie, ona pospiesznie wrzucała na siebie ubranie. Na szczęście Qashqai zawsze stał zaparkowany w pobliżu domu, więc nie musieli zdawać się na komunikację miejską.

– Pospieszcie się, dzieci – ponaglała. – Jak nie wyjdziemy w ciągu pięciu minut, wpadniemy w korki.

- Mamooo, ale ja chciałem jeszcze trochę pooglądać nową książkę od Mikołaja.
- Ja też chciałam się trochę pobawić moim misiem – wtórowała bratu Agatka.
- Jak wrócić, popołudniu. Teraz już naprawdę czas na nas.

Popołudnie nadeszło jak zwykle nadspodziewanie szybko i teraz krzatali się po domu, każde zajęte swoimi sprawami, czyli dzieci zabawą, a Kaśka, ogólnie rzecz biorąc, domem.

Głośny dzwonek domofonu wyrwał ją z zamyślenia. Nie spodziewała się nikogo, choć podejrzewała, że może Jacek zechce wpaść do dzieci z małym upominkiem. Nie myliła się. Jak zwykle przystojny, elegancki i pachnący wszedł do mieszkania, rozsiewając wokół siebie aurę sukcesu. Ona wyglądała normalnie, czyli jak szara mysz, ale miała to gdzieś. Teraz już się tym nie przejmowała. Nie byli już razem, więc wara mu od jej wyglądu.

- Hej – powiedział, zdejmując płaszcz i odwieszając go na wieszaku. – Co słychać?

Zrobiła zaskoczoną minę i uśmiechnęła się lakonicznie. Na dworze ciemno, na zegarze późno, dzieciaki za chwilę mają szykować się do łóżek, a on wpada jakby nigdy nic i pyta co słychać? Rozkoszne.

– Stara bieda – odpowiedziała zdawkowo, bo po co strzepić sobie język? – Napijesz się czegoś?

- Herbaty, chętnie. Mam w sobie już cztery kawy dzisiaj.

– A jadłeś coś w ogóle?

– A co? Masz coś smacznego?

Siebie – pomyślała kąśliwie.

– Nie, ale mogę ci zrobić kanapkę.

– Chętnie, poproszę. . .

Nie dokończył. Zwabione jego głosem dzieciaki wybiegły ze swojego pokoju z podarkami w rękach.

– Tato, zobacz co dostałem od Mikołaja – zawołał Pawełek, taszcząc „Wielką księgę smoków”.

Ogromne, zielone, szklane smocze oko lypnęło na Jacka z pokaźnej, twardej okładki i nim zdążył się zorientować, już siedział na tapicerowanym taborecie w holu, trzymając synka na kolanach. Agatka też kręciła się koło niego, niepewnie trzymając w rączce pięknego, dużego i bardzo mięciutkiego misia z ozdobną kokardą, w biało-niebieską kratkę, uwiązaną na szyi.

– Hej, maluchy. U mnie też Mikołaj zostawił coś dla was. – Zaskakująco radosny ojciec wyciągnął z dużej, foliowej siatki kolorowe torebki pełne słodyczy.

– Tatusiu, jaki ten Mikołaj kochany – zawołał Pawełek podekscytowany. – Aż dwa razy o nas pomyślał. – Chłopczyk chwycił swoją torebkę i zaczął w niej gmerać z zaciekawieniem.

– Agatka, a ty nie chcesz swojej torebki? – spytał Jacek, wyciągając rękę do wahającej się córki.

Mała uśmiechnęła się i złapała prezent.

– Chcę, chcę – odpowiedziała równie podekscytowana jak jej starszy brat.

Kaśka przyglądała się tej scenie z dziwnym grymasem na twarzy. Nie była pewna, czy budzi w niej zadowolenie czy frustrację. W każdym razie, nigdy wcześniej nie widziała Jacka tak pochłoniętego dziećmi. No oczywiście poza tymi euforycznymi momentami jego maniakałnego ojcostwa względem Pawełka. Ale to zdawało się być lata świetlne temu. Nim zdążyła rozgryźć swoje emocje, Pawełek już trzymał ojca za rękę i ciągnął go do dziecięcego pokoju.

– To ja przygotuję ci te kanapki – rzuciła w ich kierunku, nim zamknęli za sobą drzwi.

Nie mieli ustalonych terminów wizyt. Ograniczać maluchom kontakty z ojcem? Kaśka nigdy nie zrobiłaby tego swoim dzieciom. To, że nie ułożyło jej się z Jackiem, nie mogło przecież rzutować na jego relacje z dziećmi. Dlatego wpadał, gdy miał na to ochotę i gdy wiedział, że

zastanie ich w domu. I dlatego teraz, mimo tych niespodziewanych odwiedzin, Kaśka była zadowolona, widząc uśmiech szczęścia na twarzach maluchów. Lubiły się z nim bawić, gdy znajdował dla nich choć odrobinę czasu, ale tak po prawdzie, trudno było mówić o jakiejś szalonej więzi z ojcem. Nie czuły się z nim związane. Nie na tyle, by jego wyprowadzka rozłożyła ich krótkie życie na łopatki. Gdy mieszkał z nimi, Jacek rozwoził je rano do szkoły i przedszkola, a potem pojawiał się w domu, gdy już smacznie spały. Ot, cały jego rodzicielski zapał. Poświęcał się pracy, choć jak się okazało nie tylko jej, spędzając poza domem niemal każdą dostępną chwilę. Kto by przypuszczał, że kiedyś okaże się to pozytywem? A jednak – dzięki temu teraz dzieciaki nie tęskniły za nim za bardzo.

Kaśka rozmyślała nad tym, szykując kanapki przy kuchennym blacie, gdy Jacek pojawił się za jej plecami.

– A co u ciebie? – zapytał jakby z troską w głosie, siadając za stołem. Miał nieco rozwichrzony włosy, starannie wypielęgnowany jednodniowy zarost, jak zwykle błyszczące oczy i ten czarowny grymas flirtarza na twarzy. W nienagannym stalowym garniturze, białej koszuli i grafitowym krawacie prezentował się równie pysznie jak okrągły miliom podany na srebrnej tacy.

Łał – jęknęła w duchu świadoma swej nieatrakcyjności w czarnych, znoszonych legginsach i bordowym, przydużym swetrze z grubej wełny, który zeszłego roku jej matka własnoręcznie wydzierała na drutach. Pokręciła głową zrezygnowana, podeszła do stołu i stawiając przed nim talerz z kanapkami i kubek z herbatą, odpowiedziała:

– A co może być? Borykam się z rolą samotnej matki. To mnie pochłania całkowicie. – Ścisnęła mocniej własny kubek z herbatą, chcąc odciągnąć myśli od łamiącego się głosu.

Jacek spuścił głowę, jakby nie chciał spojrzeć jej w oczy.

– A ty? Urzędziłeś się już gdzieś? – zapytała, by nie dać szansy wkradającej się między nich krępującej ciszy.

– Tak. Zamieszkałem z Martą.

A jednak czająca się w ukryciu krępująca cisza dostała swoją szansę, by z szyderczym uśmiechem wypełznąć na powierzchnię.

Oboje nie potrafili ukryć zmieszania. Jacek jadł w milczeniu kanapki z szynką i pomidorem, a Kaśka kurczowo ścisnęła w ręce kubek, opierając się pośladkami o blat kuchennej szafki.

– Potrzeba ci czegoś? – zapytał w końcu.

– Tak. – Kiwnęła głową. – Pracy.

– Kaśka, nie mogę dać ci więcej pieniędzy – zaczął się usprawiedliwiać. – Teraz muszę pracować na dwa domy...

– Nie chcę więcej pieniędzy, Jacek. Rozumiesz? – przerwała mu. – Potrzebna mi praca.

– Kaśka, z twoim zawodem? Nie czarujmy się... małe szanse.

– Nie każdy chce być prawnikiem – odcięła się skwaszona.

Do bólu praktyczny Jacek nigdy nie mógł zrozumieć, co nią powodowało przy wyborze kierunku studiów. Fakt był jednak taki, że w obecnych czasach znalezienie pracy, będąc trzydziestosiedmioletnią pianistką, nie rokowało najlepiej.

– Okej, nie chcę się spierać. Popytam ludzi, może ktoś chce uczyć dzieciaki gry. Bo tak poza tym, to co ci pozostaje? Wielkie orkiestry są już obsadzone.

– Wielkie orkiestry nie wchodzi w grę. Lata temu wypadłam z obiegu. No i jak miałabym pogodzić bycie samotną matką dwójki dzieci z wielogodzinnymi ćwiczeniami? Poza tym próby, wieczorne koncerty, wyjazdy. Odpada. Ta bajka już nie dla mnie – westchnęła ciężko.

Zrobiło jej się cholernie smutno, gdy zdała sobie sprawę z bolesnej prawdziwości

własnych słów. Każdy pasjonat muzyki obierając drogę wyczerpujących studiów i trudnej kariery zawodowej, marzy, by toczyła się ona w świetle scenicznych reflektorów. Korci dla przymuszanych do gry dzieciaków są na szarym końcu zawodowej listy muzyka. Niestety Kaśka dobrnęła właśnie do owego szarego końca i nie było absolutnie najmniejszych szans na choćby nikłe światełko w tunelu.

– Ale na razie masz przecież jakieś dzieciaki? – dociekał.
– Mam, ale to są cztery godziny tygodniowo. Marne z tego pieniądze.
– Kaśka, a jak byś rozważyła przeniesienie Pawła do państwowej szkoły? Zostawałoby ci więcej pieniędzy na resztę rzeczy.
– Też już o tym myślałam, ale nie chciałabym wrywać go ze znanego mu środowiska.
– To dopiero druga klasa – argumentował. – Zaaklimatyzuje się, a przecież to nie są małe pieniądze. Chcesz? Popytam, która jest dobra gdzieś w niedalekiej okolicy.
– Dobrze. Sama też się chyba zacznę rozglądać – odparła zrezygnowana. – W końcu nie muszę się na to zdecydować.

– Pewnie, że nie, ale zawsze będziesz miała jakiś finansowy wentyl bezpieczeństwa.
Tego wieczora Jacek zasiedział się na Prusa dość długo, ale trzeba przyznać, że żadne z nich nie czuło się z tym niezręcznie. W międzyczasie dzieci zaangażowały ojca do pomocy przy wieczornej toalecie, a potem on sam zaproponował, że opowie im bajkę na dobranoc. Matko! Kim jest ten facet i co zrobił z moim mężem? – zachichotała w duchu, niedowierzając własnym oczom.

– Zasnęły – oznajmił jakieś pół godziny później, wchodząc do kuchni. – Są niesamowite, wiesz? – Szeroki, szczery uśmiech dumy okrył jego urodziwe oblicze.

Cholerka! – Jasne, że wiedziała, szkoda tylko, że on przekonał się o tym zbyt późno. Wzorowy ojciec. Czy nie mogło tak być wcześniej? Sfrustrowana pokręciła głową. Widocznie nie. Co takiego siedzi w człowieku, że dopiero jak coś straci, to zaczyna się o to troszczyć?

Bogusław przeciągnął się w swoim niesłychanie wygodnym i bardzo szerokim łóżku i zamruczał z zadowolenia. Nie ma to jak komfort i wygoda – rozmarzył się. I pomyśleć, że ludzie ciągle lokują nas w ciasnych, twardych trumnach. Skąd właściwie biorą te pomysły? Wstał i przeszedł do łazienki. Chwilę potem umyty i całkowicie rozbudzony wrócił do sypialni, ubrał się i ruszył w stronę spalonej lodówki. Jak co wieczór wyciągnął woreczek z krwią, przelał ją do szklanki, podgrzał w mikrofalach i samotnie stanął w otwartych drzwiach balkonowych, aby przyjrzeć się owładniętemu grudniową ciemnością miastu.

Włączony w międzyczasie telewizor emitował właśnie wiadomości, w których niusem numer jeden były Mikołajki. Rozradowana dziennikarka szczebiotliwym głosem opowiadała jakieś banialuki o „niezwykłym święcie”, a Sławka zaczęło mdlić na te ewidentne brednie. Pospiesznie więc przełączył program w nadziei, że znajdzie coś bardziej sensownego. Niestety wielokrotne przeskakiwanie po kanałach nie przyniosło oczekiwanego rezultatu. Zdecydowanie Mikołajki były informacją numer jeden tego dnia i nie sposób się było od nich uwolnić. Odłożył pilota, wcisnąwszy uprzednio czerwony guziczek i w pokoju znów zapanowała cisza, subtelnie zakłócana jedynie nikłym pogłosem zasypiającego za oknem miasta.

Kiedy ludzie zdążyli tak zgłupieć? – zastanawiał się, popijając krwawą Mary. Święty Mikołaj przychodził do dzieciaków od lat, ale wariactwo, które przy tej okazji odczytniały ostatnio media, było ponad jego percepcyjne możliwości. Rozdrażniony ponownie chwycił pilota do ręki i rozsiadając się wygodnie na kanapie, włączył płytę brytyjskiej grupy Coldplay. Rock alternatywny. Matko! – zaśmiał się w duchu, przywołując wspomnienie swych muzycznych

doświadczeń człowieczego bytu. Świat przewrócił się do góry nogami. Zamknął oczy i zaczął wsłuchiwać się w otaczające go zewsząd dźwięki. Muzyka była dla niego odskocznią, szansą oderwania się od rzeczywistości; pewnie zresztą jak dla większości osób, jednak w jego przypadku to była całkiem inna rzeczywistość.

Nie zamierzał wyjeżdżać w miasto. W tym amoku mikołajkowego szaleństwa nie potrafił odnaleźć dla siebie miejsca, a ona pewnie i tak spędzała ten zwariowany wieczór z dziećmi... i mężem palantem. Nie ma co, zostaję w domu – postanowił.

Rozdział 13

W piątek wieczorem Kaśka postanowiła nie czekać dłużej. Powtarzające się od kilku dni symptomy w postaci bólu głowy, dreszczy i temperatury oscylującej w okolicach trzydziestu ośmiu stopni jasno dawały do zrozumienia, że wredne choróbsko dopadło ją w najmniej odpowiednim momencie. Chociaż, czy był dobry moment na chorobę? Z pewnością jednak tydzień przed Bożym Narodzeniem, gdy nawał obowiązków pędził na głowy gospodyń domowych niczym niekontrolowana lawina, był mimo wszystko tym najmniej odpowiednim ze wszystkich nieodpowiednich momentów.

Na stałą pomoc Jacka nie mogła absolutnie liczyć. Przy całym żalu jaki do niego miała, zdawała sobie sprawę, że jego praca jest teraz najważniejsza. Taka postawa leżała w dobrze pojętym interesie jej i dzieciaków. Nie mogła odrywać go od pracy zawodowej po to, by zajął się dziećmi, byłym domem, chorą była żoną i przygotowaniami do świąt. Takie rozwiązanie nie wchodziło w grę.

Nie zastanawiając się wiele, chwyciła za telefon i wybrała numer.

– Dzień dobry, mamuś. – Głos Kaśki brzmiał słabo i mimo że bardzo się starała nie denerwować matki przez telefon, jej wysiłki i tak poszły na marne.

– Jezus Maria, Kasiu! Co ci się stało, dziecko? – Matka Kaśki powitała głos córki w słuchawce z nieskrywanym lękiem.

– Nic wielkiego, mamuś. Po prostu chora jestem. Wiesz jakieś grypsko, czy inne paskudztwo.

– No to mam nadzieję, że leżysz, kochanie.

– No leżę, mamuś i właśnie dlatego dzwonię. – Zawahała się przez chwilę, ale przecież nie miała wyboru, musiała poprosić matkę o pomoc. – Chciałam cię prosić, żebyś przyjechała do mnie na kilka dni zająć się maluchami, aż trochę wydobrzeję. Zresztą i tak spędzasz z nami święta, to może przyjedziesz już teraz i zostaniesz aż do wigilii?

Sześćdziesięcioletnia emerytowana nauczycielka matematyki Marta Chojnacka – matka Kaśki, mieszkała sama w niewielkim, oddalonym od Poznania o jakieś osiemdziesiąt kilometrów Koźminie. Od siedmiu lat była wdową i, mimo iż nie była jeszcze starą kobietą, nie miała zamiaru ponownie układać sobie życia. Prowadziła spokojne, uporządkowane, logiczne i bardzo wygodne życie, w którym po prostu nie było miejsca dla kogoś, kto mógłby je zakłócić. Zresztą zakłóceniem zdawało jej się wszystko, co wykraczało poza obmyślony na najbliższe dni, szczegółowy plan. Niezamierzona podróż do Poznania z pewnością ów plan zakłócała i była ciężką wyprawą niczym chrześcijańska kruczata – daleką, wyczerpującą i niewiadomo, czego tak do końca można się było po niej spodziewać.

– Kasiu, ty wiesz ile jest pracy z przygotowaniem świąt? Nie możesz tego na mnie zrzucić. Poza tym, przecież masz Jacka.

Kaśce zęby zazgrzytały z wściekłości. Jej matka zawsze lubiła się gościć, niechętna angażować się w cięższe prace przygotowawcze we własnym domu, ale to było wredne posunięcie. Co jednak mogła zrobić? Musiała nalegać.

– Nie mam Jacka, mamuś. Jacek jest poza domem praktycznie cały czas.

Boże! Nigdy nie przypuszczała, że tak łatwo, za pomocą gry słów, oszukać człowieka, mówiąc mu bezwzględną prawdę.

– Nie mogę na niego absolutnie liczyć – kontynuowała. – Poza tym, mamuś, jak nie przyjedziesz, to pewnie rozłożę się na dobre i dzieciaki też się zainfekują, a wtedy odwołam wigilię i Boże Narodzenie u mnie. Będziesz musiała zostać w Koźminie sama na święta.

To był perfidny szantaż, ale skoro matka pogrywała nie fair, to Kaśka nie miała skrupułów. Potrzebowała jej pomocy i musiała ją do siebie ściągnąć. Nawet jeśli tak oślizgła taktyka była jedyną drogą do osiągnięcia celu.

– Kasiu, ale dzisiaj jest piątek... – Matka spuściła nieco z tonu, choć tak do końca nie odpuszczała.

– Tak. Dzisiaj jest piątek. I co z tego? Jutro jest sobota, więc bez większego problemu możesz wsiąść w autobus i przyjechać.

– No nie wiem, nie wiem... – Krótka pauza. – Musiałabym się przygotować... – stękała kobieta.

Jasny gwint! Jeszcze chwila i rzucę słuchawką!

– Mamo! Chcesz być z nami na święta? Czy sama w Koźminie? – Kaśka straciła cierpliwość i nie zamierzała więcej cackać się z chimeryczną matką. – Jeżeli z nami, to wsiądziesz jutro w autobus i przyjedziesz. A i jeszcze jedno, mamuś. Musisz sama do nas dotrzeć, bo nie ma cię kto odebrać z dworca. Weź taksówkę, albo jak... i przyjeźdź. No to pa. Jutro czekamy.

Nie dając matce czasu na dalsze wykręty, rozłączyła się i z irytacją odłożyła telefon na nocny stolik. Jutro się okaże, która z nich wygrała tę rozgrywkę.

Ranek zastał Kaśkę zlaną potem i tak słabą, że ledwo zwlokła się z łóżka, by pójść do łazienki. Ból głowy nie ustępował, ale zdawało się, że temperatura trochę spadła. Wyszędłszy z sypialni, usłyszała lekkie ożywienie w pokoju dzieci, najwyraźniej maluchy też już nie spały. Nie ma innego wyjścia, trzeba będzie poprosić dzieciaki o pomoc w przygotowaniu śniadania – pomyślała z niechęcią.

Zamknęła się na chwilę w łazience, a gdy z niej wyszła, poczłapała prosto do kuchni, gdzie opadła na krzesło i zaparła się łokciami na stole. Ciężką, obolałą głowę wsparła na splecionych dłoniach, przymknęła powieki i westchnęła. Co dalej? – zastanawiała się, nie mając pojęcia, jak przebrnie przez rozpoczynający się właśnie dzień.

Nie trzeba było długo czekać, by zwabione ruchem w kuchni dzieciaki, przybiegły zainteresowane śniadaniem.

– Pawelku, jestem koszmarnie słaba – jęknęła. – Pomożecie mi zrobić śniadanie?

– Oczywiście, mamusiu. – Oba maluchy ochoczo rzuciły się do lodówki, gotowe stawić czoła wielkiemu wyzwaniu.

Pod czujnym okiem matki krzątały się po kuchni niczym domowe skrzaty, a robota paliła im się w rękach. Jediną czynnością, do której musiała się ruszyć było zalanie herbaty wrzątkiem. Reszta została całkiem zręcznie zaserwowana przez małych pomocników, którzy wraz z nią zasiedli do stołu i przygotowanego przez siebie posiłku.

Kaśka patrzyła, jak rozpiera ich duma, a mała Agatka co rusz spoglądała to na brata, to na matkę, wyraźnie oczekując pochwały.

– Świetnie się spisaliście. Mam z was ogromny pożytek.

Pochwały – doskonała taktyka i taka efektywna. Kaśka nigdy nie szczędziła dzieciom pochwał. Każde ofiarowane im dobre słowo, budowało w nich poczucie własnej wartości. Jak ważne było w życiu, ona wiedziała najlepiej. W niej nikt tego poczucia nie budował. Może dlatego nie potrafiła teraz radzić sobie w trudnych sytuacjach? Jak mogła potrafić, skoro czuła się gorsza i mniej wartościowa od innych?

– Mamusiu, ty się kładź, a ja się wszystkim zajmę – zawyrokował Pawełek, który zawsze był dzieckiem rozgarniętym ponad wiek i z którego przyspieszony kurs dorastania uczynił małego mężczyznę, na którym, jak się okazało, mogła polegać w kryzysowych sytuacjach.

– Dobrze, synku. Wstawimy teraz wszystko do zmywarki i będziecie mogli iść do

swojego pokoju się bawić, albo w dużym możecie włączyć sobie telewizję. Ja się położę w sypialni. Zostawimy drzwi pootwierane, to będziemy jakby razem. A na obiad... zamówimy pizzę.

Pisk radości dzieciaków utwierdził ją w przekonaniu, że to genialny pomysł. Całe przygotowanie obiadu to jeden telefon do pizzerii, a w gratisie szeroko uśmiechnięte, szczęśliwe buzie maluchów. Czy może być coś fantastyczniejszego? Mimo paskudnego samopoczucia Kaśka poczuła, jak w jej brzuchu motylki szczęścia zatrzepotały swymi rozkosznymi skrzydełkami. Pierwszy raz od dość dawna. I pewnie ten stan utrzymywałyby się znacznie dłużej, gdyby nie donośny dzwonek domofonu. Wiedziała, co on oznacza – właśnie znalazła się u podnóża ogromnej góry o nazwie „powiedz matce, że się rozwodzisz” i że będzie musiała wdrapać się na jej szczyt bez asekuracji.

– Naprawdę tego nie rozumiem, dziecko – jej matka nie kryła oburzenia. – Jacek jest taki uroczy.

Przed chwilą uporały się z dość oficjalnym powitaniem i właśnie zasiadły na szerokiej kanapie w gościnnym pokoju, gdzie Kaśka przykryta kocem, półleżąc, zapoznawała matkę z nowo zaistniałą sytuacją.

Gorąca kawa parowała z filiżanek na pobliskim stoliku, a z eleganckiego półmiska zachęcająco uśmiechało się do nich ciasto. Maluchy co chwilę podbiegały ze swojego pokoju, częstując się słodyczami, a kobiety prowadziły tę jakże niewygodną dla Kaśki rozmowę.

– Uroczy Jacek? Mamo... – warknęła, kręcąc niecierpliwie głową.

– Co?

– Nieważne. – Machnęła ręką. Nie chciało jej się gadać, ale czy miała inne wyjście? – W domu Jacek był zupełnie inny niż na zewnątrz – zaczęła. – Twój Jacek, to ktoś zupełnie inny niż mój. Rozumiesz? Ty mówisz o uroczym Jacku... duszy towarzystwa, ja o nieprzyjaznym Jacku... mężu i ojcu. Ale czy to do ciebie w ogóle dotrze?

Czy naprawdę musi kolejny raz wałkować wszystko od początku? Kiedy wreszcie ten bałagan się skończy, a ona wykaraska się z kabały pod tytułem „rozwód z uroczym mężem”?

– Idę się położyć, mamuś. Rozgość się i czuj się gospodynią tego domu. Na razie. Ja padam na twarz, więc nie będę wchodzić ci w paradę.

Oszołomiona matka została sama z filiżanką kawy i półmiskiem zakupionego przez siebie ciasta na stole oraz kłębowiskiem niejasnych myśli w głowie. Też będzie musiała odnaleźć się w tej nowej rzeczywistości, nawet jeżeli nie dotykała jej bezpośrednio. Cóż – córka była teraz w trudnej sytuacji, a obowiązkiem matki było stanąć przy jej boku. Czy tego chciała czy nie. Nie wykpi się od tego obowiązku, a dzisiejszy przyjazd do Poznania był tego najlepszym dowodem.

Rozdział 14

Jesień była wyjątkowo słoneczna i już wydawało się, że w blasku słonecznych promieni, miast pierwszej gwiazdy, przyjdzie spędzać bożonarodzeniowe święta, gdy dwudziestego pierwszego grudnia wreszcie spadł w Poznaniu pierwszy śnieg. Pod urokliwym przykryciem białego puchu przedświąteczne szaleństwo ochoczo rozpostarło swoje drapieżne skrzydła. Ludzie energiczniej ruszyli w miasto, jakby opady śniegu obudziły w nich głęboko uspione moce. Świat stał się piękny, gdy na zszarzałych, gołych drzewach zaczęła pojawiać się biała poświata, a na uspionych, zielono-burych iglakach skrzyły się srebrzyste gwiazdki, niczym choinkowe światełka, rozpromieniając je magicznym blaskiem.

Kaśka pędziła po schodach budynku sądowego. Za piętnaście minut rozpoczynała się ich sprawa rozwodowa, a ona chciała omówić z Jackiem jeszcze kilka szczegółów, nim wejdą na salę. Ledwo skręciła w odpowiedni korytarz, jej oczom ukazał się jak zwykle elegancko ubrany małżonek, flirtujący z niewysoką brunetką w adwokackiej todze.

Wyraźnie zauroczona, kobieta całą sobą wykrzykiwała swoją fascynację. Matko! – jęknęła Kaśka. Znowu? Ano, znowu. Kobieta teatralnym gestem odrzucała włosy, wodziła placem po jego ramieniu, niby strzepując wirtualny paproch, śmiała się nienaturalnie, by nie powiedzieć histerycznie, trzepotała rzęsami i umizgiwała na wszystkie możliwe sposoby, głosząc wszem i wobec, że nic poza Jackiem nie jest teraz w obszarze jej zainteresowań. Wprawdzie jednak, spoglądając na jego nonszalancką pozę, seksownie przymrużone oczy, niesfornie opadającą grzywkę i prowokująco rozchylone usta, trudno byłoby znaleźć kobietę, która nie dostrzegłaby w tym facecie całego wszechkosmosu. Maślane oczy i nogi z waty były typową reakcją na jego urok. Jak dobrze, że mam to już za sobą – westchnęła Kaśka. Błogie uczucie ulgi zaskoczyło ją samą. Nigdy nie przypuszczała, że widok męża jawnie czarującego inną kobietę, nie będzie robił na niej wrażenia. A jednak...

– Dzień dobry – powiedziała, podchodząc do flirtującej pary.

Jacek odwrócił się energicznie i obdarzył żonę karcącym spojrzeniem.

– Jesteś! Nareszcie! Czy ty się zawsze musisz spóźniać?!

Zdezorientowana kobieta rzuciła ciche „to ja już będę lecieć” i przygryzając niepewnie dolną wargę, wycofała się, lekko przygarbiona.

– Wpadnę do ciebie po sprawie, Kasiu – zawołał za nią zaskakującym, słodko-kocim głosem jakże innym od tego, którym przed chwilą warknął na żonę.

Kasiu... – jęknęła w myśli Kaśka z niewyraźną miną. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz mąż zwrócił się do niej tak ciepło.

– Kaśka! – warknął, znów zwracając na nią uwagę. – Mieliliśmy jeszcze pogadać – skarcił ją z pełną dezaprobaty miną zawiedzionego rodzica.

Cholerny kameleon – burknęła w duchu, spuszczać wzrok, słuchając faceta, którego jeszcze minutę temu tu nie było. Rzeczywiście Jacek miał zaskakującą zdolność błyskawicznego przeistaczania się z szarmanckiego przystojniaka w parszywego drania niczym stevensonowski doktor Jekyll i mister Hyde.

– Przepraszam – wybąknęła stłumionym głosem, jak zawsze tracąc grunt pod nogami wobec jego napastliwości. – Ale wyznaczasz rozprawę na trzy dni przed wigilią, na dodatek wiesz, że byłam... właściwie ciągle jeszcze jestem chora, no i mam dzieciaki. Wszędzie pędem. Sama już ledwo za sobą nadążam – usprawiedliwiła się, chcąc uniknąć nadciągającej sprzeczki.

– Dobra, dobra – zagadnął pojednawczo. – Ale wiesz, że ja też nie mam czasu w nadmiarze, dlatego szczegóły mieliśmy dopracować teraz.

– Wszystko mamy już od dawna dopracowane, a drobne szczegóły zostawiam tobie. – Spojrzała na niego z ufnością dziecka. – Wiem, że nas nie skrzywdzisz.

Naiwnie szczere wyznanie żony sprawiło, że oczy Jacka rozszerzyły się jak po kroplach z atropiny. To fakt, że wszystko mieli już wstępnie ustalone, a majątek podzielony tak, by Kaśce z dziećmi żyło się dość wygodnie – na poziomie zbliżonym do dotychczasowego. Kaśka nie wzięła adwokata, który reprezentowałby ją w tej sprawie. Chyba faktycznie w swej naiwności ufała, że ich nie skrzywdzi. Pocziwa Kaśka. Ale faktycznie – mimo całej dwoistości swego charakteru, który doprowadził do tej przykrew sytuacji, Jacek nigdy z premedytacją nie skrzywdziłby swoich dzieci i ich matki. Zdrady małżeńskie to jedno, ale pozbawienie rodziny godnego zabezpieczenia majątkowego, to już zupełnie inna historia. Żaden szanujący się mężczyzna nie posunąłby się do takiego rozwiązania. A Jacek z pewnością był mężczyzną, który szanował siebie.

– Och, ty... – Potarosił ją po włosach, jakby była co najwyżej czterolatką i dodał protekcjonalnie: – Jak zawsze dziecinnie naiwna, aż do bólu. Kiedyś cię to zgubi, Kaśka.

– Kiedyś...? – Uniosła brew i spojrzała na niego zadziornie, jednocześnie poprawiając zmierzwioną fryzurę.

– Okej, poddaję się. – Podniósł ręce w ugodowym geście.

– A poza tym, mój drogi... – nabrawszy nieco śmiałości, zaczęła, wydymając usta w jadowym uśmiechu. – O ile się nie mylę, to ty zamieszkujesz z inną kobietą przed rozwiązaniem naszego małżeństwa. Jak myślisz, po czyjej stronie leży wina za rozpad naszego pożycia małżeńskiego? Może powinnam udać się z tym pytaniem do kompetentnego prawnika?

Czyżby znowu chciała obudzić pana Hyde'a, który przed chwilą zniknął gdzieś, pozostawiając ją na powrót z przyjaznym Jekyll'em?

– Kaśka, daj spokój. To nie jest zabawne.

– To mnie nie strasz – odcięła się. – Dziecinnie naiwna, tak?

– Wiesz dobrze, co miałem na myśli.

Stali pod salą rozpraw, prowadząc tę niepotrzebną potyczkę, zamiast omawiać istotne szczegóły, gdy drzwi do sali otworzyły się i wywołano ich nazwisko.

Rozprawa była krótka – w końcu chcieli tego samego. Żadne z nich nie miało zamiaru ciągnąć tego w nieskończoność i robić ze swego rozwodu żalną farsę, będącą pożywką dla kpín wszystkich wkoło. Oboje zadeklarowali respektować zawartą wcześniej ugodę i powzięte w niej ustalenia. Szybki rozwód i błyskawiczna przepustka do nowego życia – to najrozsądniejsze, co mogli w tej sytuacji zrobić. Dobrze więc, że w tej kwestii oboje stali na tym samym stanowisku. Pierwszy krok w tym kierunku właśnie mieli za sobą. A czym było to nowe życie? Dopiero się okaże.

– Wpadniesz w święta? – spytała, gdy już wychodzili z sądu, a każde z nich kierowało się w swoją stronę.

– Oczywiście. Chyba nie podejrzewałaś, że nie spotkam się w święta z dziećmi? – Zdziwienie w jego głosie było wyraźnie słyszalne.

– No wiesz, skąd mogłam wiedzieć, jakie masz plany na święta? Może chciałaś dokądś wyjechać z ... no wiesz... z nią – jąkała się, wciąż mając trudności z zaakceptowaniem nowego stanu rzeczy, a imię aktualnej, oficjalnej już partnerki Jacka najwyraźniej absolutnie nie chciało przejść jej przez usta. – Teraz już nie musisz się z nami liczyć – dodała.

– Co ty gadasz, kobieto?! Zostaję na miejscu i w święta chcę zobaczyć dzieci. Jasne?

– Tak. Uspokój się – odpowiedziała pojednawczo, widząc, że Jacek zaczyna się na serio wkurzać. – W takim razie zdzwonimy się jeszcze, czy już teraz chcesz się umówić?

– Możemy już się umówić. Wpadnę w pierwsze święto. Może być?

– Może. My nie mamy żadnych ekstra planów. Mama jest u nas i zostanie aż do nowego

roku... podejrzewam – dodała po chwili, jakby zamyślona. To będą nienajciekawsze święta – przyznała szczerze w duchu.

Informacja o wizycie teściowej sprawiła, że twarz Jacka pokrył dziwny grymas, jakby połączenie rozbawienia i lęku jednocześnie. Spojrzał na byłą już żonę i zupełnie poważnie spytał:

– To pewnie jest ci ciężko? Jak sobie radzisz?

– Przyspieszony kurs asertywności. Jak do tej pory... działa.

Mina Jacka w tej chwili? Bezcenna. Jego pokorna żona i asertywność? To było absolutnie poza zasięgiem jego wyobraźni. Ale... kto wie? Może teraz to już całkiem inna kobieta? Musiała się zmienić, bo życie wokół niej uległo potężnej zmianie, więc może i asertywność miała teraz wachlarz swoich zachowań.

– No to cześć! – zawołała już u stóp chodnika, machając mu na pożegnanie. – To do pierwszego święta.

Kiedy zbiegała po schodach, a potem w niedozwolonym miejscu przebiegała przez jezdnię, by jak najszybciej wsiąść do Qashqai'a i odjechać, wciąż gapił się na nią skonsternowany.

Kaśka przekręciła zamek w drzwiach i weszła do mieszkania. Z kuchni dobiegały odgłosy stłumionej rozmowy dzieci i krzątania jej matki. Rozebrała się, odwiesiła płaszcz na garderobie i odstawiając buty, jęknęła z ulgą, rozluźniając stopy. Wysokie szpilki? Zdecydowanie nie dla niej, zwłaszcza jeśli musiała pokonywać w nich wilgotne chodniki. Na szczęście przejście od samochodu do sądowego gmachu było zaledwie kilkusetmetrowym odcinkiem.

– Zaraz tu do was dołączę – przykleiwszy do ust szeroki uśmiech, rzuciła do domowników, mijając kuchnię w drodze do łazienki.

Stała przy umywalce, myła ręce i patrzyła na swoje odbicie w wiszącym vis a vis lustrze. Chciała dostrzec zmianę, jaka w niej nastąpiła, ale z lustro spoglądała na nią ta sama twarz, którą oglądała każdego dnia. Nie było różnicy pomiędzy Kaśką-żoną, a Kaśką-rozwódką. Nic, absolutnie nic się w niej nie zmieniło. To dobrze – pomyślała, a po chwili zaczęła się śmiać sama do siebie. Ależ ja jestem głupia. Trudno zaprzeczyć. Bo też, czego właściwie się spodziewała? Że wyrosną jej rogi? Albo dym zacznie wychodzić uszami? A może na czole pojawi się jaskrawy, pulsujący napis „rozwódka”? Nie ma takiej opcji – zewnętrzna metamorfoza? Nie tym razem. Oj Kaśka, Kaśka... – westchnęła w duchu z politowaniem, pokręciła głową i wyszła z łazienki.

Kiedy weszła do kuchni, dzieci kończyły jeść obiad, a matka właśnie nakładała na talerz sporą porcję szarych klusek z jajecznicą na boczku i kiszoną kapustą dla Kaśki. Celowo omijała ją spojrzeniem, by dać córce do zrozumienia, że nie jest szczęśliwa z powodu dzisiejszej rozprawy. Do końca miała nadzieję, że Kaśka pójdzie po rozum do głowy i wycofa się z tego absurdalnego pomysłu z rozwodem. W końcu były dzieci. Dla ich dobra powinna podtrzymywać to małżeństwo.

– Mamusiu, możemy już iść do swojego pokoju? – zapytała Agatka, gdy jej talerz był kompletnie pusty.

– Czekajcie, szkraby. A co tam w szkole i przedszkolu? Nie chcecie się pochwalić?

– Nic – jak zwykle odpowiedział Pawełek.

– A u mnie się działo – z entuzjazmem oznajmiła Agatka. – Basia ugryzła Karolę, bo ona jej zabrała farby.

Kaśka przewróciła oczami.

– I to jest powód, żeby ugryźć koleżankę?

– Nie koleżankę, tylko Karolę, mamó. Karola nie koleguje się z Basią.

– Matko święta! – Kaśka pokręciła głową zdegustowana i westchnęła ciężko. Dość miała nieciekawych atrakcji jak na jeden dzień.

– No, Karola ma swoją paczkę i Basia do niej nie należy – ciągnęła małą w euforycznym nastroju. – Dlatego zabrała jej farby i wyrzuciła do kosza. Ale pani się wtrąciła i Basia zdążyła tylko ugryźć Karolę, bo na więcej nie miała czasu.

Kaśka nie wiedziała czy śmiać się, czy może płakać nad beztroską opowieścią dziecka o przedszkolnej agresji. To się nie mieściło w jej matczynej głowie. Postanowiła jednak nie przerywać i w skupieniu dotrzeć do końca zenującej historii. Przez ten krótki czas chciała wyrobić sobie jak najbardziej obiektywne i racjonalne zdanie na temat całego zajścia. Jednak im dłużej słuchała, tym bardziej rosło jej przerażenie.

– Oj, Agata. Widzę, że musimy przeprowadzić poważną rozmowę na ten temat – stwierdziła, gdy opowieść dobiegła końca.

– Gniewasz się na mnie, mamusiu? – Mała miała zdezorientowany wyraz twarzy i równie zdezorientowany ton.

– Nie, córeczko, ale jak takie rzeczy się dzieją w przedszkolu, to musimy sobie dokładnie wytłumaczyć co jest dobre, a co złe i jak należy się zachować wobec koleżanek, nawet tych, które czasem trochę dziwnie postępują.

Przygnębiona Agatka wygięła usta w podkówkę. Widać było, że zawiodła się na reakcji matki, która najwyraźniej nie potrafiła właściwie ocenić doniosłości zasłyszanych informacji.

– Pani już nam wszystko wyjaśniła – odpowiedziała rozczarowana. – To co, mogę iść do naszego pokoju?

Kaśka skinęła głową przyzwalająco – nie mogła odpowiedzieć córce, bo właśnie nałożyła sporą porcję obiadu do buzi, a zawsze uczyła maluchy, że z pełną buzią się nie mówi. Jednak, gdy tylko przełknęła szybko przeżutą kluskę, zwróciła się w kierunku wychodzących dzieciaków i zagadnęła syna.

– Pawełku. Wiem, że u Ciebie w szkole codziennie jest „nic”, ale poza tym „nic” coś się chyba działo?

Całkowicie pogrążony we własnych myślach malec nie zareagował. Pytanie matki, najzwyczajniej w świecie do niego nie dotarło. Dzieciaki często tak mają.

– Paweł! Naprawdę nie masz nic do opowiedzenia? – zawołała ponownie, tym razem bardziej zdecydowanie, przywracając syna do rzeczywistości.

– Nie, mamusiu, absolutnie nic. Nikt nikogo nie ugryzł, ani nawet farb nie wyrzucił do kosza. No po prostu nic. Nuuudy.

Zrezygnowana pokręciła głową i pozwoliła dzieciom wyjść z kuchni. Maluchy poszły, a ona została na polu walki, przed bitwą, która, jak była przekonana, musiała się za chwilę rozegrać.

– To... skoro tak już przepytujemy dzieciaki... – zaczęła jej matka z drwiną w głosie – może mi powiesz jak twoje sprawy po dzisiejszym dniu?

– A jak mają być, mamó? Rozwiodłam się i tyle.

– I tyle? Łatwo ci to poszło, moja droga.

– Nie, mamó. Nie poszło mi łatwo. To, że udało się to sprawnie załatwić, to tylko dzięki Jacka koneksjom, ale wierz mi... rozwód nie jest dla mnie łatwy.

– Więc dlaczego tak szybko się poddałaś? Ludzie walczą o swoje małżeństwa, a ty? Ty od razu do sądu i już... po kłopotach. Tak się nie załatwia takich spraw. W małżeństwie bywa różnie, owszem, ale żeby od razu posuwać się do ostateczności? – matka grzmiała, coraz bardziej się nakręcając. – Przecież macie dzieci. Co im powiesz? Jak z nimi to załatwisz, co?

– Mamó, błagam cię. – Kaśka westchnęła zrezygnowana. – Jestem zmęczona i też na swój sposób odbieram to jako porażkę. Nie musisz mnie dobijać. A twoja tyrada, choćby nie wiem jak karcąca, już i tak niczego nie zmieni.

– Kaśka! Ty mi tu ze zmęczeniem nie wyjeżdżaj! Dobrze wiesz, że mi o wasze dobro chodzi. Wyrok się przecież od razu nie uprawomocnił, zawsze jeszcze możesz zmienić zdanie. Wszystko może wrócić do normy. – Zdeterminowana, by ocalić nieistniejące od dawna małżeństwo córki, matka nie przyjmowała do wiadomości, jakie były realia.

– Po pierwsze, zdania nie zmienię. Po drugie, jeśli chodzi ci o nasze dobro, to zostaw to już w spokoju. A po trzecie, to do jakiej normy ma to wrócić, mamó?

– No jak, do jakiej? Czy nie rozumiesz, że Jacek powinien wrócić do domu i powinniście być normalną rodziną?! – kobieta prawie krzyczała, stojąc po przeciwnej stronie stołu, przy którym Kaśka właśnie kończyła obiad, i wymachując rękami, usiłowała nadać swoim słowom większej surowości. – Widzę, że powinnam była częściej tu do was zaglądać i może wcześniej przyjechać. Już ja bym wam wyperswadowała te bzdury z rozwodem.

Kaśka wciągnęła nosem głęboki haust powietrza, po czym wypuszczając je ustami, cicho, ale nader zdecydowanie odpowiedziała.

– Mamó, daj już wreszcie spokój tej sprawie. To nie jest brazylijska telenowela, w której oszałamiająco piękna, zdradzana żona walczy o straconą miłość niewiernego męża i po trupach dalszych oraz bliższych znajomych brnie do obranego celu. Mamó! Otwórz oczy i spójrz na to realnie. To jest proza życia, w której twoja córka... szara mysz, dobrnęła do punktu granicznego.

– Kaśka zrobiła krótką pauzę, by solidniej zaczerpnąć powietrza. Jej emocje szalały niczym wzburzony ocean. – Jesteśmy oboje dorosłymi ludźmi i wiemy, co robimy. Myślisz, że naraziłabym dzieci i siebie na niepewną przyszłość, gdybym nie była przekonana, że to jedyny słuszny krok? Poza tym, żeby już ostatecznie zamknąć temat... Jacek ma nową partnerkę i nowy dom, więc do tego już z pewnością nie wróci.

Żeby było zabawniej – nowa kobieta Jacka była imienniczką jej matki. Oczywiście! Los byłby za mało nieprzewidywalny, gdyby nie wywinął jej takiego psikusa.

Pani Marta opadła na stojące obok niej krzesło kompletnie oszołomiona. W najbardziej czarnych scenariuszach nie zakładała, że sprawy tak się właśnie mają.

– Mój Boże – wyjęczała. – Nowa partnerka... nowy dom. – Pokręciła głową. – Tak od razu?

– Nie od razu, tylko na długo przed – rzuciła lakonicznie jej córka.

W kuchni zapadło krępujące milczenie, a obie kobiety wbiły wzrok w blat stołu, jakby działa się tam magiczne cuda, które uwolnią je od niezręcznej sytuacji. W końcu Kaśka wstała, by wyjść, położyć się w sypialni i w samotności uporać z wydarzeniami mijającego dnia.

– Poza tym dzieci wiedzą, co się wokół nich dzieje i jak widzisz, dają sobie z tym całkiem nieźle radę – dodała, stojąc już w progu kuchni.

Gdy opadła na łóżko, przeklęte łzy same napłynęły jej do oczu. Nie chciała płakać. Chciała być twarda i pewna słuszności swej decyzji, ale pewność decyzji to jedno, a cholerne, babskie emocje to już kompletnie co innego. Leżała i w swym kobiecym, skołowanym umyśle rozdzierała na miniaturowe strzępy wszystkie wątki swej małżeńskiej tragedii, gdy bezlitosny dzwonek telefonu przywrócił ją do rzeczywistości. GOŚKA – poinformował napis na wyświetlaczu.

– Halo? – wyjęczała.

– Hej. Słyszę, że ci ciężko.

– Nie pytaj... – Pokręciła głową, jakby Gośka mogła zobaczyć jej gest.

– A właśnie chciałam zapytać. No wiesz... w końcu to trudny dla ciebie dzień. Może potrzebujesz, żeby cię przytulić?

Troskliwe pytanie sprawiło, że Kaśka dłużej nie była w stanie tłumić wzbierającego w niej napięcia. Emocjonalny wulkan trysnął lawiną łez i szlochu, a gorycz, która tliła się pod jego

skorupą, znalazła ujście w potoku słów, którym zalała przyjaciółkę, relacjonując jej niemal każdą minutę dnia. Rozmawiały długo, bardzo długo. Gośka dała się wygadać udręczonej świeżej rozwódce, nie przerywając, gdy ta ze szczegółami relacjonowała zajścia w sądzie i stoczony przed chwilą spór z matką. Nie przerywała, wiedząc, że w tym momencie cierpliwe wysłuchanie wylewanych żalów będzie dla Kaśki najlepszym, co może jej zaoferować.

– Cóż... – odezwała się wreszcie, gdy w telefonie zapadła długa cisza oznajmiająca, że w tej chwili Kaśka nie ma jej już nic więcej do powiedzenia. – Nie wiem nawet, jak mam cię pocieszyć. Wiedz tylko, że zawsze mnie masz i jak tylko będę ci potrzebna, to jestem.

– Dzięki – wyszeptala Kaśka. – Co robisz w święta?

– Na wigilii jestem u rodziców. Jak zawsze – odpowiedziała przyjaciółka, zaskoczona nagłą zmianą tematu. – Bartek z rodziną też będzie, a potem... jeszcze nie wiem. Może zostaną u nich przez całe święta. Zobaczymy.

– Jakbyś chciała, to oczywiście możesz do nas wpaść. O każdej porze. My się nigdzie nie wybieramy. Jak zawsze. – Nuta sarkazmu pobrzmiwała w głosie Kaśki. W rzeczy samej – pomyślała rozżalona.

Ludzie wyjeżdżali w góry, organizowali rodzinne zjazdy albo wymyślali inne osobliwe atrakcje, chcąc pełniej poczuć specyficzną odmienność świąt. Ale nie oni. Jacek nigdy nie przepadał za rodzinnymi zlotami, a wyjazd w góry...? Zbyt kosztowny, zbyt uciążliwy, zbyt absorbujący. Stąd ich święta były rokrocznie takie same i do bólu nudne. Jedyną atrakcją, choć uczciwiej byłoby nazwać to zamieszeniem, stanowiła wizyta jej matki. W drętwej atmosferze trwali do końca świątecznego marazmu, objadając się ponad miarę, z telewizyjnym pilotem w ręce. Cud, że dzieciaki potrafiły czerpać z tego tyle radości. Choć szczerze powiedziawszy, największą atrakcją dla maluchów był Gwiazdor, a ten zawsze stawał na wysokości zadania.

– Dzięki za zaproszenie. Zobaczę, jak będzie, ale to się jeszcze najwyżej zdzwonimy.

Rozmawiały teraz całkiem normalnie, jakby scena sprzed kilku minut nie miała miejsca. Kaśka, co prawda, ocierała jeszcze od czasu do czasu delikatne strużki, ale głos miała spokojny.

– Okej, Kaśka. To trzymaj się. W wigilię zadzwonię jeszcze z życzeniami.

– Dobra. I Gosia... – Zawiesiła na chwilę głos. – Dzięki za wszystko.

– Nie ma sprawy, dziewczyno. Pa.

– Pa.

Kaśka odłożyła komórkę na nocny stół i uśmiechnęła się do swego zapuchniętego odbicia w dużym lustrze sypialnianej szafy. Dobrze jest wiedzieć, że ma się kogoś, kto się o ciebie troszczy – westchnęła. Kogoś takiego, jak Gośka. Prawdziwego przyjaciela, na którego zawsze można liczyć. Teraz trzeba będzie tylko przebrnąć jakoś przez święta, a potem... to już z górki.

Budząca niepokój wigilia przebiegła bez niespodzianek. I choć Kaśka obawiała się problemów z wciąż naburmuszoną, chimerną matką, to jednak atmosfera przy świątecznym stole była nadspodziewanie przyjemna. W blasku pięknie ustrojonej choinki zasiedli we czworo do wigilijnej kolacji. Dzieciaki co rusz zerkały pod drzewko zaciekawione prezentami, a w tym czasie ich matka i babcia robiły, co mogły, by świątecznej tradycji rodzinnej wieczerzy nie zakłóciła upominkowa ekscytacja maluchów. Sama choinka okazała się godna swej świątecznej oprawy, choć z początku brzdące marudziły, że za mała, i że Gwiazdor z pewnością nie zmieści pod nią wszystkiego. Zmieści czy nie, cud, że mieli choć taką. Kaśka ledwie wtaszczyła kłującego igłaka na drugie piętro i gdyby był choć o centymetr wyższy, porzuciłaby go już na pierwszym podeście. W końcu smyki dały za wygraną, a spoglądając teraz na stos pakunków, które rubaszny staruszek umieścił w nocy pod stojnym i mimo wszystko całkiem okazałym drzewkiem, były absolutnie usatysfakcjonowane.

Udało się – pomyślała Kaśka, ładując do zmywarki naczynia po wigilijnej wieczerzy. Maluchy rozpieła gwiazdkowa euforia znacząco wspierana podarkami, a naburmuszona matka odpuściła w myśl świątecznego pojednania z błędzonymi. Teraz tylko jutrzejsza wizyta Jacka...

Dochodziła osiemnasta, gdy stojący w drzwiach balkonowych Bogusław, postanowił, że nie spędzi kolejnej Wigilii w ten sposób. To nic, że szanse na to, by złapał klienta były praktycznie zerowe. Ważne, że nie będzie tak stać w bezsensownej martwocie.

Odkąd samotnie zamieszkał w tym mieście, nigdy nie czuł przygnębienia ludzkimi świętami. Wieki temu pogodził się z faktem, że nie jest człowiekiem, a więc i człowiecze obrzędy przestały go dotyczyć. Dziś jednak poczuł, że chce to zmienić, choćby tylko na ten jeden wieczór. Czyżby fantazje o ludzkiej kobiecie tak bardzo go zmieniły? O tym, by ją teraz spotkać, nie miał nawet co marzyć. Nie ten czas. A jednak coś go ciągnęło w miasto.

Miło było wyjechać na ulice Poznania w wigilijny wieczór. Tradycja gremialnego dzielenia się opłatkiem i zasiadania przy świątecznym stole sprawiała, że miasto zastęgało w chwilowym letargu. Cisza i bezruch spowijały budynki, wewnątrz których lśniły złociste światełka choinkowych lampek, zwiastując światu, że czas bożonarodzeniowego świętowania właśnie nastał. I choć zaginął już wszelki ślad po opadłym trzy dni wcześniej śniegu, atmosfera doniosłości i tak była doskonale odczuwalna.

Bogusław sennie prowadził Mercedesa toczącego się opustoszałymi ulicami i przyglądał się przystrojonym oknom, balkonom i ogrodom na frontach willowych posesji. Miasto przybrało odświętną szatę i tak miało na jakiś czas pozostać. Kiedy zaczęło się to dekoracyjne szaleństwo? – zastanawiał się, widząc różnorodność i przepych świątecznych ozdób. Doskonale pamiętał czasy, w których wszechobecna dziś choinka nie gościła jeszcze w ludzkich domostwach. W wielu kulturach, z którymi zetknął się w czasie swej wielowiekowej egzystencji drzewo, zwłaszcza iglaste, było od zawsze uważane za symbol płodności, odradzania się życia i trwania, ale tu – na ziemiach polskich, długo pokutowały pogańskie zwyczaje. Kurczę – pomyślał i uśmiechnął się do siebie, wspominając tamte czasy. Miło było krążyć w mroźne, wigilijne noce wokół ludzkich chałup i zaglądać w okna. To był inny świat. Pokręcił z rozmarzeniem głową. Świat zabobonów, ludzkiego lęku i wampirzej swobody, ale piękny w swej prostocie i harmonii z naturą.

Rozmarzony podjechał do krawężnika i rozejrzył się dookoła. Oczywiście nawet się nie zorientował, kiedy długa i okrężna droga w efekcie i tak przywiodła go na Jeżyce. Zaparkował na Słowackiego i wysiadł z samochodu. Na pustej ulicy zaczął powoli przechadzać się wzdłuż szeregu kamienic, delektując się spokojem wigilijnego wieczoru. Dawno już nie przechadzał się tak swobodnie po ulicach. Boże, już nawet nie pamiętał, kiedy.

Odkąd zamieszkał w Poznaniu na stałe, ciągle jakby się chował, by nie zostać dostrzeżonym. Duże miasto dawało anonimowość, ale też niosło ze sobą potencjalne zagrożenia, nakazujące, gdzieś głęboko w jego podświadomości, daleko idącą ostrożność. Niestety wydarzenia, które ostatnio wstrząsnęły Mrocznym Światem, tylko potwierdzały podświadome obawy. A przecież kiedyś było inaczej. Jeszcze dziś pamiętał, jak trzymając Jagienkę za rękę, krążył w bożonarodzeniową noc wśród wiejskich zagród, delektując się ludzkim świętowaniem. W słabo oświetlonych izbach stały słomiane diduchy. Trudno było coś dostrzec przez małe okienka skute mroźnym ornamentem, ale ich wzrok pozwalał na wiele. Tak, diduchy-dziady – wspominał. Stary, słowiański zwyczaj z pogańskimi korzeniami, znany jeszcze z obchodów Święta Godowego. Bogusław westchnął tęsknie, przypominając sobie jak poźniwny snop uosabiający duchy przodków czy ducha pola stawał w kącie izby kłosem do góry i trwał tak

strojny aż do Trzech Króli. Święcie wierzone, że jego obecność zapewni obfitość przyszłorocznych zbiorów.

- Są takie zabawne – mawiała Jagienka każdego roku, gdy na nie spoglądali.
- Ale ludzie wierzą w ich moc – odpowiadał jej za każdym razem.
- Tylko tak smutno kończą – kwitowała niewiasta z marsową miną.

I rzeczywiście – słomiany dziad, by dopełnić świątecznego obrzędu, nie miał przed sobą świetlanej przyszłości. Człowiek, w swym zabobonnym postrzeganiu natury, ukartował mu krótki żywot dekoracji, by ostatecznie rytualnie go spalić.

Tak, czasy diduchów czy podłaźniczek już dawno minęły i nikt nawet nie wspominał tych nazw. Wszechobecna choinka zawładnęła świętowaniem Bożego Narodzenia, a i ona nie wyglądała już tak jak wtedy, gdy odważnie zaczęła przekraczać progi ludzkich domostw. Dawniej niczym przasna niewiasta strojna w pierniki, orzechy, ludowe ozdoby i świeczki zdobiła izbę, symbolizując płodność i życie. Dziś pyszniła się i błyszczała w pełnej krasie jak wszechwładna caryca odziana w kosztowne bombki i elektryczne światełka, symbolizując przepych i dobrobyt. Z pewnością była piękna, ale jakże odległa od swego pierwotnego przesłania.

Bogusław spacerował, napawając się uliczny spokojem, ale gdzieś głęboko w jego wnętrzu ogień trwogi rozpaliał się coraz bardziej. Nie dalej jak trzy dni temu zespół Ziem północnych doniósł o kolejnej zbrodni. Jego obowiązkiem było pojechać tam i zbadać wszystko na miejscu. Był już nawet umówiony z Gerardem, że zaraz po świętach zjawi się u nich z Leonem. A swoją drogą, dlaczego świąteczna stagnacja objęła również ich rzeczywistość? Może za sprawą zadeklarowanych związków partnerskich, których w królestwie Ziem północnych było najwięcej? Wcześniej o tym nie mieli pojęcia, dopiero makabryczne zajścia ujawniły te dane. Tak czy siak, w pierwszy dzień po świętach zabiera młodego i jadą do Gdańska. I tak był wdzięczny tamtejszym nieumarłym, że bezdyskusyjnie uznali jego zwierzchnictwo i niezwłocznie powiadomili go o zajściu. Nie lubił się spierać, zwłaszcza gdy sytuacja wymagała jednomyślności i stanowczego, wzajemnego wsparcia. Jeszcze teraz czuł się nieswojo na wspomnienie trudnych relacji z wampirami z Ziem wschodnich. Nie chciał tego powtarzać nigdy więcej. Wobec wystarczająco groźnego wspólnego wroga i w obliczu poważnego zagrożenia walka wewnątrz Rodzaju była po prostu bezsensowna.

Wibracja w kieszeni jego kurtki zasygnalizowała połączenie. Wyjął iPhone'a, odczytał MAREK i przesunął kciukiem po ekranie.

- Słucham.
- Hej, Bogusław. Słyszałem, że wybieracie się do Gdańska.
- Wieści szybko się rozchodzą, co? – warknął wampir do telefonu niezbyt przyjaźnie.
- Stary, wyluzuj. Gramy w jednej drużynie, pamiętasz? – Marek zdawał się zaskoczony jego oschłością.
- I co z tego? – Sławek wciąż miał pewne opory, by do końca zaufać temu człowiekowi. Nie dość, że był śmiertelnikiem, to na dodatek łowcą. Jak w takiej sytuacji nie zachowywać ostrożności?
- Okej – zdystansował się łowca. – Widzę, że wigilia nie wpływa na ciebie najlepiej, a w końcu to czas pojednania, zapomniałeś?
- Ludzkie święta mnie nie dotyczą. Zapomniałeś?
- Nie, nie zapomniałem i dlatego dzwonię nawet w taki dzień. Zresztą od śmierci mojej siostry też porzuciłem ludzkie święta. – Zrobił krótką pauzę. – Tak naprawdę, to zerwałem wszelkie kontakty z zewnętrznym światem, jestem teraz jednym z was. Wierz mi.
- Nigdy nie będziesz jednym z nas. – Bogusław zaśmiał się lekceważąco. – I wierz mi,

nie ma czego żałować – dodał ponuro.

– Dobra, może to była za daleko posunięta metafora, ale doskonale wiesz, że nie trzymam ze swoim gatunkiem już od dwóch lat. Teraz moje cele są zbieżne z waszymi.

– Nie jestem pewien. Ty chcesz dorwać zabójcę siostry, ja chcę zniszczyć IN NOMINE PATRIS.

– Nie jestem małosłowny, Bogusławie. Jak już się przekonałeś, potrafię dostrzec szerszy kontekst sprawy. Myślisz, że gdy się do was zgłosiłem, nie wiedziałem, że będę walczył z całą organizacją? To również mój wróg. Chcesz, czy nie chcesz, jesteśmy na siebie skazani.

Bogusław zdecydowanie wolałby nie chcieć, ale wiedział, jak ważny dla ich sprawy był ten człowiek. Spotkał go przecież całkiem niedawno i gość zasadniczo okazał się w porządku. Cholerna wampirza asekuracja – pomyślał wściekły na samego siebie za dystans, który stwarzał.

– Dobra, Marek, do rzeczy – zagadnął pojednawczo. – W jakiej sprawie dzwonicz?

– Chcę z wami jechać do Gdańska.

Cisza. Przez dłuższą chwilę Bogusław rozważał swoją odpowiedź. Jednak, dlaczego miałby się nie zgodzić? Nie było żadnego logicznego argumentu, żeby powiedzieć „nie”. A jeśli taki był, to w tym momencie chował się, gnojek, dość skutecznie i nawet usilne starania Sławka, by go znaleźć, nie były w stanie wydostać go z kryjówki.

– Okej – odpowiedział w końcu; najwyżej później będzie tego żałować. – Jedziemy w pierwszym dniu po świętach. Wpadniemy po ciebie.

– Świetnie, dzięki, Bogusławie.

– Możesz mi mówić Sławek.

– Coś z Bogusławem jest nie tak? – dociekał Marek, zaskoczony nagłą zmianą tematu, i tą propozycją.

– Poza tym, że jest nieco archaiczne? Ale tak w sumie to jest mi wszystko jedno. Sławek po prostu prościej.

– Dobra, zapamiętam. Wyjeżdżacie po północy, czy czekacie do wieczora?

Logiczne pytanie – pomyślał wampir, będąc pod wrażeniem. W sytuacji, gdy dla przeciętnego człowieka sformułowanie „pierwszy dzień po świętach” znaczyło dwudziesty siódmy grudnia od świtu do północy, to w świecie wampirów były to dwie pory zawierające się w tej samej dacie, ale oddzielone wieloma godzinami.

– Zaraz po północy. Nie chcemy marnować ani chwili.

– W takim razie czekam na was dwudziestego siódmego w nocy.

– Dobra, będziemy.

– To cześć. – Łowca nie bawił się w wylewne pożegnania.

– Cześć – odpowiedział równie krótko Bogusław i się rozłączył.

Nie schował jednak telefonu, tylko po raz kolejny przeciągnął palcem po ekranie i wybrał numer do Leona. Po trzech sygnałach pogodny głos przyjaciela odezwał się po drugiej stronie.

– Witam mojego ulubionego wampira. W czym mogę pomóc?

Młody zakpił, przedrzeźniając durne pytanie serwowane ostatnio każdemu i przy każdej okazji, które wraz z amerykańską kulturą wielu dziedzin życia zastąpiło logiczne, stare, polskie „słucham”. Brzmiąc nieco jak rozbrajający Marti z popularnej kreskówki „Madagaskar”, wzbudził uśmiech na twarzy Bogusława.

– W podwórze pewnego, namolnego człowieka do Gdańska – odpowiedział, zachowując adekwatną formę wypowiedzi.

– Cooo?

– Nooo. Marek chce się z nami zabrać. Uważa, że skoro gramy teraz w jednej drużynie, to czuje się jednym z nas.

– Supeer – zaśmiał się Leon. – Od razu polubiłem tego człowieka. Ma facet jaja. Pasuje do nas.

– Leon, nie przesadzaj z tą serdecznością. To nie w naszym stylu.

– Taaa? A co jest w naszym stylu? Biegać z kłami na wierzchu i podgryzać szyje pięknym niewiastom?

Skubany – Sławek uśmiechnął się, wyobrażając sobie młodego, jak biega z obnażonymi kłami. Ale, ni za tym, ni po tym, Leon miał rację. Odkąd rzeczywistość zmieniła się na tyle, że przestali być postrachem nocy, stając się niemal elementem globalnego społeczeństwa, wiele wcześniejszych przekonań straciło rację bytu. Młody nie funkcjonował w odległych stuleciach drastycznie wypalających piętno na wampirzej świadomości, stąd najłatwiej przyswajał wszelkie zmiany i nowe wzorce zachowań. Bogusław też starał się nie tkwić ze swą świadomością w głębokich wiekach średnich, ale jednak tysiąc lat to spory szmat czasu i trudno go przekreślić jednym cholernie rewolucyjnym stuleciem. Tak – wiek dwudziesty był globalną rewolucją na każdej z możliwych płaszczyzn. Od nauki i techniki, poprzez obyczaje, do poglądów i sposobów postrzegania świata włącznie. A najdziwniejsze, że w tym nowym postrzeganiu świata niespodziewanie wampiry znalazły swoje miejsce.

– Masz rację, młody. To nie te czasy – odpowiedział w końcu pojednawczo. – Na mnie też ten śmiertelnik zrobił całkiem dobre wrażenie. Chyba będę musiał się przyzwyczaić, że mam w drużynie człowieka.

– I że nie jest twoim posiłkiem – zadrwił Leon.

– Z tym nie mam już większego problemu. Chociaż te cholerne woreczki czasem doprowadzają mnie do szewskiej pasji.

– Ugryzłoby się to i owo? – zakpił młody wampir.

– A żebyś wiedział. Nie ma to jak piękna, młoda szyja i pulsująca tętnica tuż pod skórą.

Roześmiali się, pobudzeni apetycznym wspomnieniem, ale, cholera, czasy zmieniły się diametralnie. Drapieżne zachowania nie mogły być na porządku dziennym. Już nigdy, niestety. Fuck!

– Dobra, Leon, to bądź po mnie tuż po północy, skoro mamy jeszcze zahaczyć o to leśne zadupie.

– Nie ma sprawy. Dwudziesta czwarta zero jeden jestem.

– Młody, nie ma takiej godziny – zaśmiał się Sławek z drwiną w głosie.

– A co? Miałem powiedzieć zero, zero, zero jeden? To jakoś kijowo brzmi, no nie?

– Masz rację. – Znów się zaśmiał, lecz tym razem pobłażliwie. Ten młody wampir zawsze potrafił spaść na cztery łapy, nawet w tak niedorzecznej sprawie jak dwudziesta czwarta zero jeden. – W takim razie będę czekał... o której sobie zażyczysz. Cześć.

– Do zobaczenia.

Rozłączyli się niemal równocześnie.

To nie będzie miła wyprawa. Ale czy cokolwiek, co mobilizowało Mroczny Świat do działania, było miłe? Ospała, pogrążona w stagnacji i mroku społeczność Rodzaju budziła się do życia tylko wówczas, gdy na ich ponurym horyzoncie jawiło się potencjalne, a niekiedy, tak jak teraz, realne zagrożenie. Poza tym tkwili w swojej bytowej martwocie bez przyszłości i perspektyw na jakiegokolwiek zmiany. Chociaż, czy to się komu podobało czy nie, czas zmian właśnie zaczął wkraczać do ich świata siedmiomilowymi krokami. Bogusławowi podobało się coraz bardziej. Dzięki temu jego bezcelowa dotychczas egzystencja, miała szansę nabrać sensu za sprawą fascynacji ludzką kobietą, nawet jeśli była to zwodnicza fascynacja.

Jeszcze raz przeszedł ulicę Prusa, ale poza jedną pospiesznie idącą parą, która nawet nie zwróciła na niego uwagi, nic się tu nie działo. Niespiesznie ruszył w kierunku auta, po czym

wsiadł i odjechał.

Rozdział 15

Dokładnie minutę po północy czarne Q7 zaparkowało pod wejściem do jednego z ekskluzywnych budynków City Parku. Tuż po tym drzwi wejściowe otwarły się szeroko i stanął w nich ubrany na czarno, postawny, urodziwy mężczyzna ze zmierzwionymi, płowymi włosami. Bez zastanowienia podszedł do auta, otworzył drzwi i usiadł na miejscu pasażera.

- Q7? – zapytał, nie siląc się na powitania.
- Mnie też miło cię widzieć.
- Okej, okej. Cześć. Ale dlaczego wzięłaś tę kobyłę?
- O ile się nie mylę, to ty zafundowałaś nam jazdę do leśnej głuszy.
- Cholera, fakt.
- Q7 najlepiej sobie poradzi z tymi wertepami.
- Nie, no rozumiem, Leon. Po prostu... wiesz, jak lubię te twoje... zabawki. A o lesie

najzwyczajniej w świecie zapomniałem. Już nie mam więcej pytań.

I faktycznie nie zadawał więcej pytań – Bogusław czuł się pokonany swoją własną beztróską. W trakcie jazdy też nie wdawali się w żadną rozmowę. Małomówność – jakie to dla nich typowe.

Jechali prawie opustoszałymi drogami. Nieliczne pojazdy poruszały się raczej sennie i jedynie tiry, przemierzające kraj nocami, były pewnego rodzaju zawalidrogą. Choć wprawny kierowca i dobrej klasy auto to wystarczające atuty, by z łatwością pokonać i tę niedogodność. Tak więc ciemny, gęsty las nieopodal Włocławka ukazał im się nadszpiewanie szybko, a leśne wertepy okazały się znacznie mniej uciążliwe za sprawą terenowego zawieszenia SUV-a, które radziło sobie z nimi dużo lepiej niż usportowiona limuzyna. Nie musieli też porzucać auta na odległej polanie. Mogli podjechać bezpośrednio pod siedlisko, nie bawiąc się w piesze wędrówki.

Samotna chata w środku mrocznego lasu konsekwentnie sprawiała wrażenie porzuconej lata temu, nie zmieniając się od czasu ich ostatniej wizyty. Bo też dlaczego miałyby się zmienić? Wypięknąć nie mogła, jako że Marek nie zdawał się być pasjonatem domowego majsterkowania, a za mało czasu upłynęło, by jakiegokolwiek ślady naturalnej degradacji mogły być zauważalne gołym – nawet wampirzym okiem. Zatem stała – poszarzała i smętna.

Pojawienie się Marka na progu nim zdążyli wysiąść z auta, nie było zaskoczeniem. Szeroko porozmieszczane czujki, monitorowały przyległy do chałupy teren na tak rozległej przestrzeni, że zwiastowały przybyszy, nim jeszcze ich samochód ukazał się w polu widzenia.

– Hej, człowieku! – Leon dziarsko wyskoczył z auta i zatrzasnąwszy drzwiczki, krzyknął, zbliżając się do łowcy.

Marek zaśmiał się rozbawiony mimowolną dwuznacznością.

– To ma jakieś drugie dno? – zapytał, wyciągając rękę w powitalnym geście. – Człowieku? Mam się czuć urażony?

– Nie, no co ty? To takie zwyczajne sformułowanie. Chociaż przyznaję, nie pomyślałem, że w naszej sytuacji może zabrzmieć dwuznacznie – młody wampir usprawiedliwiał się, choć de facto nie czuł presji językowego potknięcia. Nie było jego zamierzeniem urazić gospodarza, dlatego też nie zamierzał się teraz kajać. Nie leżało to w jego naturze, a i Marek wcale tego nie oczekiwał. Podszedłszy do łowcy, Leon chwycił wyciągniętą w jego kierunku dłoń i potrząsnął, a potem klepnął go w ramię, mijając w progu.

Fuck! Jakie to, kurwa, ludzkie – obruszał się z sarkazmem Bogusław, zauważając, jak jego przyjaciel bez problemu przechodzi od zimnej oschłości Rodzaju, do prostych, przyjacielskich gestów ludzi. Widząc, że dwaj mężczyźni doszli już do porozumienia,

wymieniając przy okazji przesadnie człowiecze uprzejmości, zbliżył się do łowcy i podawszy mu swą silną dłoń, również powitał go na ludzką modłę, dorzucając skromne „cześć”.

– Witaj, Bogusławie. Zapraszam do środka. – W głosie łowcy gościła rezerwa, ale na twarzy szczery, przyjazny uśmiech.

Weszli, nie zwlekając. Teoretycznie nie mieli się czego obawiać, jednak pamiętając zaskakujące wydarzenia z podwarszawskiej samotni, nie byli już tacy pewni czy w swym nocnym wnętrzu las nie kryje jakiejś przykrej niespodzianki. Marek rozejrzał się jeszcze uważnie po otaczającej chatę czarnej czeluści i pokiwał głową z aprobatą, wszedł za nimi do środka. Ach ci ludzie. Jakby jego wzrok był równie doskonały jak wszystko widzące oczy nieumarłych – zaśmiał się w duchu Bogusław, obrzucając łowcę pobłażliwym spojrzeniem. A może sprawdzał swoje pułapki? – upomniał się jednak. Bo że było ich dookoła chaty bez liku, tego byli absolutnie pewni.

W środku tego swoistego azylu również nic się nie zmieniło – rozświetlone monitory w komputerowym centrum operacyjnym i przesadny ład. Normalka – ironizował w myśli Sławek, kierując się w stronę zestawu wypoczynkowego.

– Po szklaneczce? – zapytał Marek, zamykając za nimi drzwi. Podszedł do stanowiska informatycznego i zaczął gasić migające kolorowymi obrazami monitory. – Mam mały zapasik w lodówce, więc chętnie was poczęstuję – nęcił.

Co mu tak zależy? Boi się że go zdrenujemy czy co?

– Chętnie – odpowiedział entuzjastycznie Leon, moszcząc się wygodnie na miękkim fotelu. Przewornie nie czekał, aż jego kompan wypali z jakimś gównem, znajdując pretekst do odmowy.

– Nie, dzięki. Nie mamy na to czasu – a jednak Sławek wypalił z gównem. Facet był po prostu przesadnie pragmatyczny. Obrzucił łowcę taksującym spojrzeniem i podnosząc się z miejsca, dodał ponaglająco. – Gotowy? Bo czas nagli.

– Właściwie gotowy, ale wezmę jeszcze kilka rzeczy... i możemy ruszać. – Mówiąc to, Marek podszedł do stojącej za komputerową konsolą solidnej, drewnianej szafy, pamiętającej z pewnością początki zeszłego stulecia. Rozwarł na oścież masywne drzwi, ukazując im widok godny głośnego „łał”. Bo też to, co ujrzeli, z pewnością zaskoczyłoby niejednego komandosa, a co dopiero mówić o dwóch całkiem spokojnych wampirach-pacyfistach.

Wnętrze szafy kryło w sobie pokaźną ilość półek, wieszaków i zaczepów, na których roilo się od ryszunka różnorakiego rodzaju i kalibru. Poza zwykłą broń, jakiej nie powstydziliby się zawodowa armia, znajdowała się tam bardziej wyszukana, by nie powiedzieć, wyrafinowana broń do skutecznej walki z nieumarłymi. Były tam więc zmyślnie skonstruowane, niewielkie kusze na drewniane kołki oraz kołki bez pneumatycznych wyrzutni, wielkie noże ukształtowane i z pewnością odpowiednio ostre, by jednym cięciem ściąć ludzką bądź nieludzką głowę. Dalej – kolczaste łańcuchy z ostro zaciosanymi, drewnianymi wypustkami, pistolety na drewnianą amunicję i wiele przedmiotów, których przeznaczenia ani nazwy z pewnością nie znał żaden z wampirów. Sprzęt ów był znany zapewne tylko łowcom.

– Pieprzony Alaric Saltzman – skomentował Leon, sycząc przez zaciśnięte zęby niczym wężousty Harry Potter, po czym roześmiał się sardonicznie.

Słyszając to, Marek uśmiechnął się szeroko – najwidoczniej popularny serial dla nastolatków nie był mu obcy. Chwytał niewielki sztylet i zatknął go sobie za skórzanym paskiem pod nogawką spodni. Potem dobrał dwa bycze pistolety i załadowawszy je drewnianymi kulami oraz zwykłą amunicją, wepchnął do ukrytych pod pachami kabur na szelkach. Tego typu broń była raczej obca Rodzajowi. Rekrutujący się w większości z odległych stuleci, bez wątpienia zaznajomieni byli z wszelkiego rodzaju orężem siecznym, ale broń palna, to już były inne czasy,

a zachowawcze wampiry miały jakby „wrodzoną” awersję do poznawania i przyswajania nowego.

– Chyba starczy? – zapytał łowca, bardziej upewniając siebie w słuszności wyboru, niż oczekując odpowiedzi.

– Człowieku! – Leon nie mógł pohamować zdziwienia. – Jedziemy tam na dwu-trzy dniową wizytę, a nie trzydziestoletnią krucjatę. I po co ci ten gnat na drewniane kulki?

– I jedziemy do przyjaciół, czyż nie? – Marek spojrzał na nich z szerokim uśmiechem, zawierając w tym jednym pytaniu odpowiedzi na wszystkie wątpliwości Leona.

W rzeczywistości doskonale wiedział, że przyjaźń w Mrocznym Świecie to pojęcie czysto teoretyczne i dalece obce. I nieważne, że niedawno spotkał tych nieumarłych na pierwszym wampirycznym zlociku w swojej chacie, czyniąc z niej bazę operacyjną. Lata szkolenia i wpajania idei łowców sprawiły, że ufność względem Rodzaju już dawno zakopała się głęboko w najciemniejszych zakamarkach jego świadomości i w tym momencie nie zamierzała ujawnić swojej kryjówki. Być może kiedyś będzie mógł odpuścić, na ten moment jednak wołał swoje zaufanie, choć trafniej byłoby to nazwać otwartością, ograniczyć do dwóch wampirów, których zdążył już nieco poznać i przekonać się, że w gruncie rzeczy to całkiem spoko goście.

– Powiedzmy, że raczej do dalekich, dawno niewidzianych krewnych – uściślił Bogusław, wyjaśniając kwestię zawartą w pytaniu łowcy wątpliwości.

– Czyżbym słyszał sarkazm? – Marek znów się uśmiechnął, świetnie zdając sobie sprawę z relacji między członkami Rodzaju.

– Słysz sobie, co chcesz – burknął Bogusław, nie zamierzając bawić się w słowne gierki i przepychanki na lepsze lub gorsze argumenty. Był pewien, że łowca dobrze wie, o co mu chodzi.

– A teraz zabieramy się wreszcie stąd i w drogę.

Skoro tak... Żaden z nich nie pokusił się już o zbędny komentarz czy podgrzewającą uszczypliwość. Utarczki z wampirami...? Nawet jeśli tylko słowne, nie zwiastowały niczego dobrego.

Sprawne auto znów niezawodnie pokonało leśne wertepy i w niespełna kilka minut mknęli już szeroką, asfaltową drogą w kierunku Gdańska. Kilometry umykały pod kołami SUV-a, z każdą sekundą zbliżając ich do celu. Pośpiech był wskazany – jeszcze przed świtem musieli dotrzeć do sopockiej rezydencji króla Ziem północnych. Z zebranych informacji wynikało, że to całkiem przyzwoity (jak na ich standardy) acz stanowczy mężczyzna, który dobrze znał lud swych klanów i o wszystkich należycie się troszczył. Z drugiej strony cóż w tym dziwnego? Skoro chciał zachować pozycję władcy na dłużej, musiał wykazywać się roztropnością, a czyż troska o podwładnych nie jest jednym z jej przejawów? Bezmyślna krwawa władza, nawet w ich świecie, przeszła już do lamusa i w obecnej dobie nikt przy zdrowych zmysłach, nie pokusiłby się o rządy terroru. Silna ręka władcy to jedno, ale obłąkańcza krwiożerczość to co innego. Mknęli więc teraz w stronę Północnego Dworu z nadzieją, że ów roztropny monarcha przyjmie ich stosowniej niż pan konstancińskiej rezydencji. Zresztą rozsądne klany północne od początku nowego układu terytorialnego zdawały sobie sprawę, że tylko poprzez Unię Królestw Ziem i wspólny kodeks mogą zapewnić sobie bezpieczeństwo. Nigdy zatem nie wykazywały tendencji do roszczeń o autonomię.

Unia Królestw Ziem powstała na początku dwudziestego wieku, kiedy w świetle zawrotnych przemian w świecie śmiertelnych dzikość Rodzaju stała się niebezpieczna dla nich samych i należało okiełznać nie tylko żywiołowe, gwałtowne jednostki, ale też zagrażającą ich egzystencji despotyczną samowolę monarchów. Unia stanowiła więc nadrzędny organizm regulujący zasady koegzystencji, któremu przewodził Konwent Monarchów. Niestety klany wschodnie nigdy nie podzielały akceptacji Rodzaju dla obecnego układu. Podsycane w swej

niechęci przez apodyktycznego monarchę od dłuższego już czasu wysuwały roszczenia o niezależność. Było całkiem prawdopodobne, że obecna, trudna sytuacja w ten czy inny sposób rozwiąże wreszcie nabrzmiały pęcherz niejasności. Na razie jednak warszawski władca poddał się protektoratowi, i uznając zwierzchnictwo Chwalimira, na czas kryzysu zaprzestał rozbijania Unii.

Po upływie godziny jazda w uporczywej ciszy stała się dla Marka nie do zniesienia. I mniejsza z tym, że dla wampirów żaden problem przebywać w towarzystwie i milczeć. On czuł się z tym niekomfortowo; niczym intruz. Z bagażem ludzkich norm, wciąż jeszcze nie nauczył się techniki jawnego ignorowania towarzyszy. Chcąc nie chcąc, będzie musiał poćwiczyć. A sposobności do ćwiczeń, zdawało się nadarzać coraz więcej, bo zamierzał uczestniczyć w każdym możliwym spotkaniu.

– Hej, chłopaki, tośmy sobie trochę pomilczeli po waszemu – zagadnął. – Może teraz dla odmiany pogadamy na ludzką modłę?

– A o czym chcesz gadać? – zapytał Bogusław leniwie i niemal lekceważąco.

– O czymkolwiek. Jest tyle problemów na świecie.

– To może o pogodzie, co? – Stary wampir nawet nie starał się ukryć szyderstwa.

– Może być, pogoda też problem światowy.

Leon zaśmiał się rozbawiony trafną ripostą Marka i spojrzawszy na równie rozbawionego Bogusława, skwitował:

– Mówiłem? Ma chłop jaja.

– Raczej niewyparzoną gębę.

– Jak zwał, tak zwał, ale poczucia humoru nie można mu odmówić.

– Hej, panowie! On tu jest, zauważyliście?

Twarze wampirów wykrzywił enigmatyczny uśmiech.

– Chcesz gadać? Dobra. W takim razie powiedz, skąd znasz każdego z nas – zażądał

Bogusław, spoglądając przez ramię na siedzącego z tyłu łowcę.

– Z was, czyli wampirów czy z was, czyli ciebie i Leona?

– Znasz każdego wampira? W kraju... czy tak w ogóle? – Leon nie ukrywał zaskoczenia.

– W kraju. Pewnie, że w kraju. – Teraz Marek nie krył zaskoczenia; jak Leon mógł pomyśleć, że zna cały Rodzaj świata? Śmieszne. – Każdy kraj ma własne Kolegium Łowicze – dodał gwoli wyjaśnienia. – I tak, można powiedzieć, że znam was. Poniekąd, ale... nie dokładnie. To znaczy... Cholera, jak by to prosto ująć? – zastanawiał się, drapiąc po brodzie i szukając najprostszej drogi wybrnięcia z tej zawilej historii. – Łowcy jako organizacja od pokoleń prowadzą rejestr Rodzaju, w którym spisani jesteście wszyscy, ale znaczniejsze wampiry musimy znać indywidualnie. Musimy was znać... – powtórzył, mówiąc jakby do siebie. – Wasza populacja jest na tyle nieliczna, że tych znaczniejszych na szczęście nie jest znowu aż tak wielu, więc i do pamiętania nie tak wiele.

Zamurowało ich. Małomównym z natury wampirom słowa łowcy po prostu odebrały mowę na dobre. Poza tym, że były rewelacją roku?... stulecia?... milenium?... to najnormalniej w świecie trąciły niebezpieczeństwem, a na to w słowniku Bogusława była tylko jedna riposta – fuck! Rejestr?! – krzyczała jego podświadomość. Okej, faktycznie po to stworzyli tę organizację, żeby nie dopuścić do zbytnej samowoli Rodzaju, ale żeby dokładnie nas skatalogować? Kurwa! Niepojęte.

W samochodzie znów zapanowała cisza i Marek znów poczuł się nieswojo. Czyżby koniec konwersacji? Pomimo całej sympatii dla siedzących przed nim mężczyzn, nie mógł nic poradzić, że ta mimowolna myśl miała sarkastyczny wydźwięk.

– Dobra, znasz tych znaczniejszych, ale skąd w takim razie znasz Leona? To bardzo

młody wampir, więc jeszcze nie miał kiedy się wyróżnić. – Jak widać nie był to koniec konwersacji, a dociekliwość Bogusława zdecydowanie uzasadniona.

– Tak, ale musimy znać każdego samorodka – rzucił łowca lakonicznie.

Kolejna fala nieprzyjaznego milczenia zalała zbyt ciasne wnętrze samochodu, dławiąc pasażerów niczym trujące opary, ale też żaden z wampirów nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Jeśli wcześniej odebrało im mowę na dobre, a słowa łowcy były rewelacją milenium, jak w takim razie nazwać to, co działo się teraz? Tkwili więc w tej nieznośnie ciężkiej, gęstej wręcz ciszy – to było namacalne, reszta toczyła się w nieprzenikniętych, wampirzych wnętrzach. To jakiś, kurwa, koniec świata! Co się, kurwa, jeszcze dookoła nas dzieje? – pieklił się wewnątrz Bogusław, kipiąc wściekłym napięciem, podczas gdy wokół skołowanego Leona jaśniała aureola szczerzej dezorientacji. Stary wampir słyszał o samorodkach – miał w końcu tyle lat, że trudno, iż by nie słyszał, ale w życiu nie przypuszczał, że Leon jest jednym z nich.

– Cholera jassna w ryj i nożem – zaklął siarczyście przez zaciśnięte zęby. – Jesteś pieprzonym samorodkiem? Teraz rozumiem... – dodał, spoglądając na młodego spode łba.

– Co takiego rozumiesz? I w ogóle o czym wy mówicie? – wykrztusił z siebie Leon, kompletnie zbity z tropu.

– Nie o czym, tylko o kim. O tobie – bąknął nieprzyjaźnie Sławek.

– Ale ja nic nie wiem o żadnych pieprzonych samorodkach! – Leon, skupiony na prowadzeniu, nawet nie spojrzął na przyjaciela. Po co? Żeby zabijać się wzrokiem w sprawie, o której nie miał zielonego pojęcia? – Zamiast się do mnie przypierdalać, lepiej mi powiedz, o co chodzi – warknął.

– Stary, faktycznie nic nie wiesz? – uspokajającym tonem wtrącił Marek, przerywając tę bezsensowną utarczkę. Wampiry – pomyślał i pokręcił głową. O byle głupstwo wszczynają sprzeczki.

– Nie wiem, kurwa! – ryknął Leon, kompletnie już wyprowadzony z równowagi. – Czy ty myślisz, że my, to takie koleś-przyjemniaczki, które siadają przy piwku i gawędzą godzinami. Nie, kurwa! Absolutnie nie! Więc niech mi wreszcie któryś z was wyjaśni, o co, do cholery, chodzi z tym samorodkiem!

Siedzący do tej pory nieruchomo, z wściekłym wzrokiem utkwionym w szybie, Bogusław odetchnął ciężko i po chwili się odezwał.

– Dobra, farciarzu. Skoro faktycznie nic nie wiesz... wyjaśnię ci. – Wrzące przed chwilą emocje pomału zaczęły opadać, a on równie pomału zaczął wyjaśniać. – Odkąd istniejemy, nigdy stworzenie nowego członka Rodzaju nie było łatwym zadaniem. Jak pewnie słyszałeś, więcej ludzi umierało, niż stawało się wampirami.

– Tak, wiem... „ostatnie tchnienie” – wymamrotał Leon.

– No właśnie. Dlatego trzeba być albo nieźle zdesperowanym, żeby porwać się na przemianę albo głupim, by pożywiając się, doprowadzić do stanu ostatniego tchnienia. Jednak samorodek, to kuriozum, które zastanawia nawet nas, a jak wiesz w naszym dziwnym świecie trudno jest czymś zadziwić. Samorodek, to ktoś, kto sam przechodzi przez stadium ostatniego tchnienia. Jest jakby niezamierzonym produktem ubocznym pożywienia się wampira szaleńca. Świadomie nikt z nas do takiej sytuacji nie dopuszcza, ale zdarzają się okoliczności, gdy wampiry pod wpływem silnych emocji tracą zmysły. Taki osobnik może w głodzie osuszyć kogoś do ostatniej kropli. I w zgodzie z naturą jego ofiara ginie, lecz są jednostki ludzkie, które, nie wiadomo dlaczego, przeżywają ten stan. Ich organizm nie potrzebuje zastrzyku krwi stwórcy, lecz w chwili ostatniego tchnienia sam zaczyna się zasilać, powodując błyskawiczne namnażanie krwi. Stąd nazwa samorodek. Taki samorodek jest pod każdym względem lepszy od pozostałych. Jest silniejszy, sprawniejszy, szybszy, jego zmysły są ostrzejsze, łatwiej się aklimatyzuje i lepiej

radzi sobie w ludzkim świecie. Ale dzięki tej wyjątkowości jest też potencjalnym zagrożeniem dla Rodzaju, a zwłaszcza dla monarchy. Na ogół szaleńcze rzezie uaktywniające łowców czy buntury o władzę wszczyły samorodki; mają moc porwania za sobą innych, nim ci zorientują się, że dali się wciągnąć w nie swoją walkę. Do tego samorodek nie jest potomkiem rodowej krwi, nie jest więc związany z żadnym z klanów. Tylko naprawdę silny król zaakceptuje na swoim terenie samorodka.

– Teraz rozumiem, dlaczego nie było dla mnie miejsca w Królestwie Ziemi Wschodnich. On się po prostu mnie obawiał. – Gdy przemówił po dłuższej chwili, Leon zaśmiał się, ale w jego głosie słyhać było rozgoryczenie.

O w mordę – rzucone z goryczą spostrzeżenie Leona nie uszło uwadze Bogusława. Wiedział, że młody jest z Warszawy, ale nigdy nie było sposobności, a może potrzeby czy zwyczajnej chęci, żeby wnikać w szczegóły. Jak stwierdził przed chwilą Leon, nie byli przecież kolesiami-przyjemniczkami od pogawędek przy piwku. Sam zresztą był nomadą długo tułającym się po świecie, nim zagrzeł wreszcie miejsce na ziemiach Chwalimira. Dlaczego więc Leon nie miałby powędrować trochę, nim zdecyduje, gdzie osiąść? Ale tego się nie spodziewał. Nie sądził, że ten zabawny, wkurzająco ludzki kolesz został po prostu wygnany z własnego terytorium. Fuck.

– Teraz rozumiem, dlaczego Chwalimir traktuje cię jak księcia – odpowiedział, ignorując bolesny podtekst. – Zna moc, którą skrywasz w sobie.

– Tak, to mądry, silny król – dorzucił Marek. – Nie boi się wyzwiań. Nic dziwnego, że zechciał cię przyjąć.

– Nooo, a on zawsze podejrzewał nas o gejoński układzik – zaśmiał się młody, wskazując głową Bogusława, jednocześnie rozładowując naelektryzowaną atmosferę.

– Hm, taki piękniś z ciebie, to kto wie, dokąd cię ten twój kompas prowadzi – odciął się Sławek.

– Ty lepiej zostaw mój kompas w spokoju. – Rozbawiony Leon wymownie pogłaskał się po przyrodzeniu. – Już on wie, gdzie mu najwygodniej – dodał, puszczając oko do druha.

– Panowie, skończcie te zbężne gadki. Bez wątpienia nasz Leonek to heteryk czystej krwi – drwił łowca.

– Jak cholera czystej. Ani kropli we mnie obcego szajsu. W końcu samorodek jestem, no nie? Czekajcie, ale czegoś tu nie rozumiem. – Młody wampir spowaźniał nagle. – To w końcu jestem zagrożeniem, czy nie? Bo skoro nie chciał mnie Bartłomiej, to dlaczego Chwalimir mnie przyjął?

– Bo Chwalimir to potężny król, który obawia się tylko tego, co jest prawdziwym zagrożeniem. Tak jak w obecnej sytuacji z IN NOMINE PATRIS. Ale to przede wszystkim roztropny monarcha, a roztropny monarcha nie boi się mieć przy sobie osoby o nieprzeciętnej mocy. Przeciwnie, potrafi taką moc okiełznać i odpowiednio ukierunkować. Jeżeli przyjął cię do siebie i na dodatek traktuje jak sukcesora, to znaczy, że wiąże z tobą konkretne plany.

– Nooo, z tym sukcesorem to bym nie przesadzał, ale co masz na myśli, mówiąc „konkretne plany”?

– Czy ja wiem...? Może na przykład, gdy przyjdzie odpowiedni czas, ujawni ci twoją wyjątkowość...

– Chyba już na to za późno – wtrącił Marek, dorzucając swoje trzy gorsze, choć trzeba przyznać, że trafne.

– No dobra, w tej sytuacji... rzeczywiście zdarzenia trochę go wyprzedziły, ale gdyby wszystko przebiegało normalnym torem, to pewnie wyjaśniłby ci twoją wyjątkowość, a potem ogłosił, że jesteś samorodkiem. Podwójnie silna władza. Mądrze rozwijał twoją osobowość od

samego początku, więc wie, że nie odwrócisz się przeciw niemu, a zatem będziesz jego wsparciem. Wzmocnisz jego potęgę.

– Jednym słowem... nikt już mu wtedy nie fiknie – zadrwił Leon.

– No, może nie jednym, ale tak. Nikt mu już wtedy nie fiknie. A w każdym razie najpierw dziesięć razy się zastanowi, nim raz zrobi coś głupiego.

– No cóż, chłopaki. Jak by na sprawę nie patrzeć, wasz świat jest równie popapwany jak nasz. Inaczej, ale równie upierdliwie – spuentował łowca.

– Czekajcie, ale nadal ta zawilość z... chcą mnie, nie chcą mnie, trochę mi zaciemnia obraz.

– Znasz mit o Edypie? – spytał Marek i nie czekając na odpowiedź, wyjaśnił: – Tak w skrócie. Koleś ma dziecko, którego się obawia, bo ono ma moc, która może obrócić się przeciwko niemu, więc wypędza to dziecko, żeby temu zapobiec. Przygarnia go inny gość i traktuje jak syna. Efekt? Dzieciak faktycznie obraca się przeciw rodzicielowi, bo ojcem dla niego jest ten drugi. Noo... to coś w ten deseń.

– Jasna cholera. Mam nadzieję, że nie będę musiał wyłupić sobie oczu – zadrwił Leon.

– Jestem przekonany, że ci to nie grozi – uspokajał łowca, śmiejąc się przy tym pociesznie – bo Chwalimir jest w tej dobrej sytuacji, że doskonale wie, jakie ziółko przygarnął pod swój dach i dlatego do żadnej tragedii nie dojdzie.

– Chwalimir do tego nie dopuści – skwitował poważnie Bogusław, zupełnie nieczuły na zaraźliwy śmiech człowieka.

A jednak ludzkie pogawędki – pomyślał, zauważając, że droga przebiegła im zaskakująco szybko i nim się spostrzegli, wjeżdżali do Sopotu, a delikatna poświata świtu zaczynała lizać jaśniejące niebo swym złocistym językiem. Niezawodny GPS sprawnie doprowadził ich pod przedwojenną willę, gdzie po krótkiej chwili oczekiwania szeroka, kuta brama rozwarła się automatycznie, zapraszając ich do środka rezydencji. Nie była to wielka posesja na obrzeżach miasta, jaką mogli się poszczycić Chwalimir czy Bartłomiej i trudno powiedzieć, by była to posiadłość na miarę pierwszego zachłyśnięcia. Nie. Zaskakujące, ale siedziba króla Ziemi północnych znajdowała się w dość gęsto zabudowanej, starej, willowej dzielnicy miasta, a mimo to była prawdziwą, ekskluzywną rezydencją. Klasyczne, przedwojenne budownictwo i piękny starodrzew nadawały miejscu osobliwego uroku. Dekoracyjne elementy z pruskiego muru oraz niewielkie balkoniki, kolumnienki i wieżyczki pod wielospadowym dachem kusily oko, by się nimi delektować. Budynek był doskonale odrestaurowany z zachowaniem szczegółów stylu i epoki. Można rzec – architektoniczne cacko.

Na progu, w świetle drzwi wejściowych tej urokliwej kamieniczki, stał niewysoki mężczyzna Rodzaju, który z dystynkcją przywitał przybyłych. Pojawienie się wśród gości człowieka wywołało na jego twarzy ledwie zauważalny grymas zaskoczenia, niemniej mężczyzna nie skomentował tej nieoczekiwanej sytuacji i szerokim gestem zaprosił całą trójkę do środka.

Wnętrze budynku nie odstawało klasą od zewnątrz, sprawiając wrażenie, jakby czas zatrzymał się tu w latach dwudziestych ubiegłego stulecia i postanowił pozostać w tym miejscu na stałe.

– To niesamowite. – Rozpromieniony Leon stanął po środku okazałego holu i rozglądał się łapczywie, wracając wspomnieniami do swego ludzkiego życia.

Niestety, pora nie była dogodna, by rozkoszować się miejscem czy rozpoczynać ważką wizytę. Na formalne narady i konieczne spotkania przyjdzie czas wieczorem, gdy już zregenerują siły krzepiącym snem. Dlatego też nikogo nie zdziwiło, gdy dystyngowany kamerdyner powiódł ich od razu w kierunku pokoi gościnnych. Przechodząc mimo, uszczęśliwiony Leon z zachwytem

dotykał rozstawionych wzdłuż korytarzowych ścian mebli i zdobiących ścienne nisze bibelotów, a nawet głaskał obrazy i od czasu do czasu wzdychał afektywnie. Tymczasem jego towarzysze w milczeniu znosili tę reminiscencyjną egzaltację.

Bogusław stanął w progu swojego pokoju, zostawiając za zamkniętymi drzwiami kumpli i usłużnego kamerdynera.

– Co my tu mamy? – wyszeptał i rozejrzał się obojętnie.

Jak wszystkie pokoje gościnne ten również był urządzone gustownie i bogato, acz bezosobowo. Z dwuosobowym łóżkiem pokrytym kosztowną pościelą, niewielkim kącikiem wypoczynkowym z dwoma fotelami obitymi aksamitem w kolorze butelkowej zieleni i okolicznościowym stolikiem. Zestaw wypoczynkowy usytuowano w bezpośredniej bliskości dużego, otwartego kominka wykończonego klasyczną obudową z marmuru Bianco Carrara. Ponadto niewielki mini barek z kryształowymi szklankami i małą chłodziarką zaopatrzoną w stosowne, dwustumiligramowe woreczki z czytelną etykietą informującą o Rh zawartości. Ściany, w kolorze jasnej mięty, zdobiło znaczących rozmiarów kryształowe lustro zawieszane nad kominkiem oraz akwarelowy pejzaż wiszący nad minibarkiem. Przez francuskie okno można było spojrzeć na niewielki, gustownie urządzone ogród, który w dyskretnym blasku podświetleń obnażał swe kosztowne wdzięki. Oczywiście pokój miał własną, luksusową łazienkę i niewielką garderobę. Całość była urządzona w duchu luksusowego eklektyzmu.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił Bogusław, rozejrzawszy się po pokoju, było rozpakowanie podróźnej torby. Z garderoby wszedł do ekskluzywnej łazienki wyłożonej polerowanym marmurem Bianco Carrara, ze stylizowanym wyposażeniem i armaturą, i wziął szybki prysznic. Zawsze lubił po podróży zrelaksować się pod kaskadą gorącej wody. Potem nie zwlekając, wślizgnął się pod elegancką pościel z adamaszku. Sen czekał już w progu jego świadomości, więc nim jeszcze wygodnie ułożył się na łóżku, łakome objęcia Morfeusza porwały go niczym zaborcza kochanka.

Wieczór nastał nadspodziewanie szybko, żeby nie powiedzieć – nagle. Sławek miał wrażenie, jakby dopiero co wtulił się w tę cudownie miękką pościel, a tu już musiał zrywać się ze snu. Czyżby to nadmorskie powietrze? – dociekał, ociągając się troszkę, by przedłużyć ten przyjemny stan błędnego leniuchowania. W końcu przeciągnął się niespiesznie, wstał i poszedł do łazienki. Błyskawicznie uwinął się z poranną... cóż... wieczorną toaletą, wszedł do garderoby, wciągnął na siebie czarne dżinsy i luźny szary sweter, przeczesał dłońmi zmierzwiłone swetrem włosy i podszedł do regału z butami. Jeszcze dobrze nie wsunął butów, gdy rozległo się donośne pukanie. Na zdecydowane „proszę” do pokoju wszedł znany mu kamerdyner i zaprosił do jadalni. Za kamerdynerem podążali już Marek z Leonem.

Jadalnia okazała się zdecydowanie dużym pomieszczeniem urządzonym w odcieniach złota i głębokiego bordo. W okazałym kominku, konsekwentnie wykończonym marmurem Bianco Carrara, radośnie figlowały złocisto-czerwone płomienie, a przy długim, dwunastoosobowym, polerowanym stole siedziało już czterech członków Rodzaju. Przed każdym stała elegancka, kryształowa szklanka. Jakżeby inaczej? Następne dwie stały przy pustych miejscach. Zaś kolejne puste miejsca przy stole zdecydowanie się wyróżniało, nakryte klasyczną zastawą z talerzem, sztućcami i filiżanką z podstawkiem. Przed tym wszystkim stała taca wypełniona ludzkim jedzeniem. Zaskakujące – Bogusław nie sądził, że wiekowe wampiry zdadzą sobie sprawę, iż jeden z ich gości jada. Z drugiej jednak strony nie powinno dziwić, że na monarszym dworze, troszczono się o zaspokojenie potrzeb każdego gościa, niezależnie od tego, do jakiego gatunku należał.

Gdy milczący kamerdyner wprowadził ich do środka, wskazując puste miejsca przy stole, barczysty mężczyzna o posturze drwa podniósł się ze swego krzesła. W ślad za nim poszli

pozostali.

– Witam panów w moich skromnych progach – powiedział wytwornie, choć z lekką nutką swobody w głosie, pomijając protokolarną formułę. – Siadajcie proszę i goście się, a w trakcie posiłku poznamy się nieco bliżej.

Osobiste powitanie? No, no... i to bez klepania oficjalnych frazesów. Nieźle. Po ostentacyjnej niechęci Bartłomieja i przesadnie formalnym powitaniu Stanisława uprzejmy gest ze strony tubylczego króla był miłą odmianą. Poznanie się nieco bliżej, jak ujął to północny monarcha, zdawało się zasadne. Wprawdzie mieli już za sobą spotkanie z grupą operacyjną w chacie Marka, ale była to szybka wizyta informacyjna, w trakcie której nie starczyło czasu na wzajemną prezentację. Ot, wpadli, rozejrzeli się, ustalili niezbędne szczegóły i każdy gnał do siebie, by zdążyć wrócić w ciągu jednej nocy. Zresztą, który z nich bawiłby się w konwenanse na neutralnym gruncie? Absolutne towarzyskie minimum ograniczające się do wymiany imion – to wszystko, co byli skłonni sobie zaoferować. Trudno zatem w tych okolicznościach uznać, by się znali. Jeśli zaś chodziło o osobę jego wysokości, tego mężczyznę znali jedynie ze słyszenia, bo i jak go nie znać, mając za sobą setki lat egzystencji, nawet łowca w pewnym stopniu znał każdego z nich. Tak więc propozycja bliższego poznania była miłym zaskoczeniem, zważywszy na wciąż żywe wspomnienie niedawnego pobytu na Wschodnim Dworze. A może to ze względu na Leona? – przemknęło lotem błyskawicy przez myśl Sławka. Jego brak więzi rodowej i w następstwie wygnanie byłoby swego rodzaju uzasadnieniem dla jawnego ostracyzmu ze strony wschodniego monarchy i jego Dworu. Na szczęście tutaj panowała zgoła inna atmosfera, co dobrze rokowało dalszej współpracy.

– Dziękujemy – Bogusław odpowiedział za całą trójkę.

– Siadajcie, siadajcie – zachęcił monarcha, wskazując wolne krzesła, jednocześnie zajmując swoje miejsce. Trzy tubylcze wampiry ponownie poszły jego śladem. – Jak się pewnie domyślacie, jestem Błażej z Dębowej Góry... monarcha północnych klanów. Pozostałych – wskazał ręką na siedzących opodal trzech mężczyzn Rodzaju – znacie ze spotkania w leśnej bazie, które, jak mi wiadomo, zorganizowałeś niedawno, Bogusławie.

Gerard, Roger i Kazimierz kiwali powitalnie głowami, szczerząc się przy tym w nienaturalnych uśmiechach.

W czasie, gdy król witał gości, towarzyszący im kamerdyner napełnił kryształowe szklanki z kryształowej karafki, a do porcelanowej filiżanki Marka nalał kawę z parującego przyjemnym aromatem czajniczka.

Po zwięzłej prezentacji ze strony władcy Bogusław przedstawił siebie i Leona, i nim zaczął przedstawiać towarzyszącego im człowieka, Błażej zagadnął:

– A więc, znacie już każdego z nas. My wiemy, kim wy jesteście, ale wasz ludzki towarzysz to... przyznam... dla nas pewne zaskoczenie. Nie spodziewaliśmy się śmiertelnika w zespole do walki z ludzkim przeciwnikiem. Wiem z relacji Gerarda, że ten człowiek jest naszym sprzymierzeńcem, ale, jeśli pozwolicie, chciałbym osobiście usłyszeć jego historię.

– Tak, to jest pewne zaskoczenie – podjął Bogusław, jednocześnie uśmiechając się enigmatycznie do oszołomionego Marka, który niespodziewanie stał się podmiotem rozmowy. – Ale ten człowiek jest po naszej stronie, ponieważ... cóż? Tak się złożyło, że mamy wspólnego wroga.

Cholera! Znów o mnie, beze mnie. Czy te pieprzone wampiry nie widzą, że tu siedzę?!

– Marek. – Marek kiwnął głową na powitanie, postanawiając samemu przedstawić się gospodarzowi. – Jestem byłym... – Zamyślił się na ułamek sekundy. – Nie. Jestem... łowcą, ale na ten moment, a pewnie i już na zawsze, stoję po waszej stronie. Zresztą, prawdę mówiąc, zawsze byłem neutralny. Bacznie obserwowałem wydarzenia w waszym świecie, ale nigdy nie

było we mnie wrogości względem Rodzaju. Odkąd sięgam pamięcią, neutralność była nam wpajana wraz z nauką pozostałych zasad łowców. Nie jesteśmy krwiozerczymi tępicielami. Jesteśmy raczej... jakby to powiedzieć... strażnikami ładu między naszymi światami.

Skończył, a wtedy zapanowała niesprecyzowana cisza. Trudno było zdecydować czy to cisza konsternacji i zdegustowania, czy cisza poznawczej akceptacji. Jedno było jasne – lokalne wampiry potrzebowały chwili, by mentalnie przetrwać słowa łowcy. Również poznana wcześniej trójka z zespołu śledczego spojrzała na Marka z zaciekawieniem. Spotkanie w leśnej chacie zwołane było przez Bogusława, a jego celem ustalenie wspólnej strategii. Który mężczyzna Rodzaju zwracałby wówczas uwagę na znajdującego się tam człowieka, nawet jeśli ten człowiek miał do przekazania ciekawe informacje? Teraz, nie dość, że zasiadał z nimi przy jednym stole, to stawiał siebie na równej z nimi pozycji, zabierając głos i manifestując swoją niezależność.

– Tak więc, łowco – odezwał się Błażej, odstawiając na stół swoją kryształową szklankę i ocierając z kącika ust czerwoną kroplę – skoro nadal jesteś łowcą-strażnikiem, cóż skłoniło cię, by stanąć z nami w szeregu i opowiedzieć się po jednej ze stron?

Trafne pytanie. Rozumiał, że chcieli poznać jego historię. W końcu jaki człowiek dobrowolnie zwraca się przeciwko swoim, obierając na sprzymierzeńców istoty nocy? Chyba tylko szaleniec... a może po prostu zraniony, odarty z pierwotnych wartości samotnik? Tak, Marek czuł się odarty i dlatego wybrał samotność, która stała się jego bezpieczną przystanią. W samotności nikt już nie mógł go zranić; z pewnością nie jego duszę. A więc opowiedział tragiczną historię swojej siostry i jej partnera, a potem wyjaśnił wszystkie aspekty dotyczące bractwa, które rozpracowywał przez ostatnie dwa lata, szperając i analizując zebrane materiały.

– Odwaliłeś kawał dobrej, szpiegowskiej roboty – skomentował Gerard z uznaniem. Był przywódcą grupy operacyjnej i to właśnie on miał zapoznać ich z kolejnym dramatycznym zdarzeniem, które ostatnio miało miejsce na terenie Ziemi północnych.

– A żebyś wiedział. – Marek pokiwał głową, uznając komplement. – Śledziłem ich poczynania, szperałem w bibliotekach, przeglądałem stare zapiski i analizowałem ich zbieżność z najnowszymi wydarzeniami. Przejrzałem miliony stron internetowych, rozmawiałem z ludźmi, drążyłem w naszym środowisku, telefonowałem, rozpytywałem... Można powiedzieć, że nie ma czynności związanej z dogłębnym studiowaniem tematu, której bym nie wykonał. Wszystko, by raz na zawsze skończyć z IN NOMINE PATRIS.

Wiedzieli, że słowa łowcy mają solidne poparcie w zebranych przez niego materiałach. To była rzetelnie wykonana, wzbudzająca podziw robota, która jednocześnie zjednywała mu poważanie.

– A tak przy okazji, Wasza Wysokość. Ta leśna baza, to mój dom – dodał Marek, podsumowując.

Lakonicznie rzucone „ach tak” było wszystkim, na co zdobył się monarcha. Jakby nie dostrzegął, że człowiek oddał swój dom do ich dyspozycji, by mogli sprawnie i skutecznie prowadzić swoją wojnę.

Rozmowa znów ucichła, a na wampirzych twarzach pojawił się grymas surrealistycznego skupienia, zwiastując nadciągającą, jakże typową dla Rodzaju, martwość. Trudno było nadażyć za tą nieustającą huśtawką ich reakcji. Marek czuł się jak na gigantycznym wahadle bujającym się od ekstremum zaangażowania do ekstremum stagnacji, pozostawiając pomiędzy zaledwie wąskie pasmo na względną normalność.

– Opowiedzcie nam o ostatnim zabójstwie – zażądał w końcu Bogusław, przerywając pogłębiające się milczenie.

– Co będziemy tutaj gadać? – odpowiedział mu Gerard, wstając od stołu. – Zbierajmy się,

a wszystko pokażemy wam na miejscu.

Wszyscy trzej jak jeden mąż spojrzeli po sobie, a potem kiwnęli głowami, akceptując propozycję.

– Okej, zbierajmy się w takim razie.

– Pozwólcie zatem, że się z wami pożegnám. – Unosząc się ze swego miejsca, monarcha skinął głową, następnie wstał i skierował się do drzwi, które czujny kamerdyner niezwłocznie otworzył, roztaczając przed nim szeroką przestrzeń korytarza. – Życzę owocnej pracy i mimo wszystko... miłego pobytu – dodał Błażej, stojąc już w progu przedpokoju.

Piętnaście minut później byli już na obrzeżach Sopotu.

Jadąc wyboistym duktem przez nadnaturalnie gęsty, mieszany las, nie mieli złudzeń, że to miejsce zostało celowo obrane na jeden z niejawnych obiektów północnych klanów. Wysokie, cieniste drzewa oraz wyjątkowa gęstwina wszelakiej maści krzewów, chaszczy i zarośli tworzyły dziwną zasłonę dla wszystkiego, co się wśród nich kryło. Jakby człowiek, obarczony genem niepohamowanej chęci i zdolności do permanentnej ingerencji we wszystko, co napotka na swej drodze, nie miał wstępu do tego wyjątkowego zakątka. Takie miejsca jak to, w swej osobliwej niedostępności zapewniały poufność zachodzącym w nich zdarzeniom. Teraz miało ono chronić potencjalne ofiary zabójcy.

Ledwie dwa kilometry od zjazdu z szosy dwie Toyoty Land Cruiser zaparkowały pod ciężką, stalowo-drewnianą bramą budowli przypominającej stare, ponemieckie zabudowania fortyfikacyjne. Coś na kształt bunkra z czerwonej cegły wyglądało wyjątkowo ponuro, przytłaczając zwalistością i konstrukcyjną jałowizną.

Siedząc wraz z Markiem w drugim z aut, Bogusław zastanawiał się, co dalej, gdy w kompletnej ciemności i martwej ciszy nocy stali na włączonych silnikach i czekali. Jakby czytając w jego myślach, zajmujący miejsce kierowcy Kazimierz zagadnął:

– Roger dzwoni do środka. Nikogo nie wpuszczą, jeśli wcześniej nie skontaktuje się telefonicznie z ochroną obiektu. To obiekt całkowicie odcięty od świata zewnętrznego, dlatego tu umieściliśmy objęte ochroną pary.

Żaden z pasażerów mu nie odpowiedział – czekali. Czas mijał, a na zewnątrz nic się nie działo. Silniki w Toyotach pracowały, z aut nikt nie wysiadał, a ogromna, ponura brama trwała w bezruchu, zupełnie obojętna na czekających pod nią przybyszy.

– Coś długo to trwa – zaczął się niecierpliwić Marek, dla którego ta chwila zdawała się wiecznością.

– Tak, ale nie o to przecież chodzi, żeby było szybko tylko, żeby było bezpiecznie – odpowiedział spokojnie Kazimierz. – Teraz czekamy, aż zakończy się weryfikacja. Mamy tu bardzo rozbudowany monitoring, dlatego nie ma możliwości, by ktoś pojawił się niezauważony albo ominął ochronę. Kamery robią zbliżenia na każdego, kto się tu pojawi. Twarz przybysza jest wprowadzana do odpowiedniego programu i skanowana przez system. Każda obca osoba musi zostać zweryfikowana przez kogoś, kto jest znany ochronie obiektu. Czyli w tym momencie z pewnością Gerard potwierdza waszą tożsamość i zgodność z tym, co jest w systemie. Myślę, że z Bogusławem i Leonem nie będzie problemu, ale ty Marek, trochę nas tu zatrzymasz.

– Jeśli macie aż tak zaawansowany system ochrony i monitoringu, jak mówisz, to z pewnością, ale nie odpuszczę. Jestem jednym z was i muszę być tam w środku, gdy będziecie omawiać szczegóły.

– Naturalnie, rozumiemy to. Nikt przecież nie powiedział, że nie masz tam wstępu. Trzeba tylko wyjaśnić ochronie w czym rzecz, a to może trochę potrwać.

Jasne, że może. Dla nieumarłych czekanie nie stanowiło problemu. Nie znali pojęcia pośpiechu. Snuli się w specyficznej czasoprzestrzeni, wiodąc niekończące się egzystencje,

podczas gdy w świecie śmiertelnych czas pędził w zawrotnym tempie, odbierając ludziom oddech. Cholerna niesprawiedliwość losu, ale czy Marek mógł coś na to poradzić? Oczywiście, że nie. Mógł jedynie poddać się i czekać, udając, że jego również nie dotyczy upływ czasu.

Niskie, łukowate sklepienie bunkrowego tunelu za masywną bramą wielokrotnym echem odbijało szum kół i warkot silników. Bogusław z fascynacją przyglądał się tej solidnej, ceglanej konstrukcji; w swych najśmielszych oczekiwaniach nie wyobrażał sobie czegoś takiego. Wprawdzie wyławianie architektonicznych unikatów, dla obecnych bądź przyszłych potrzeb, było przez Rodzaj powszechnie praktykowane, ale ta budowla była wszystkie wcześniej poznane na głowę.

Patrząc na konstrukcję obiektu oraz system jego zabezpieczenia, należało szczerze przyznać, że w kwestii bezpieczeństwa północne klany miały szalenie dużo do zaoferowania swoim pobratymcom i ich śmiertelnym partnerom. To odizolowane miejsce było praktycznie nie do zdobycia. Ktoś powie, że przy obecnym potencjale technicznym praktycznie nie ma miejsc nie do zdobycia. Zgoda, ale wątpliwe, by bractwo porwało się na otwarty konflikt z Rodzajem. Oczywiście szaleńcy z IN NOMINE PATRIS mogliby się pokusić o próbę przeniknięcia do wnętrza tego szczególnego bastionu w nadziei, że nie zostaną zdemaskowani. Znając jednak procedury zabezpieczające obiekt, z pewnością taka próba skończyłaby się absolutnym fiaskiem.

Po kilku minutach jazdy ceglany tunel dotarli na ogromny, żwirowy dziedziniec. Jeśli do tej pory, widząc zaledwie przedsionek, Bogusław czuł się zafascynowany twierdzą, to cóż powiedzieć o reszcie? Właśnie znajdował się w korpusie wielkiej ośmiornicy, rozwalającej swoje szerokie macki we wszystkich kierunkach. Wysiadł z samochodu i rozejrzał się zniewolony budowlanym kunsztem twórców obiektu. Niesamowite – zachwycał się, przyglądając zamkniętemu kręgowi murów i odchodzącym od niego ramionom.

– Najpierw pokażemy wam ofiary – zaproponował Gerard, gdy wysiedli z aut, przywołując Sławka do rzeczywistości. – Potem pójdziemy porozmawiać z naszymi podopiecznymi. Jeżeli będziecie chcieli, oczywiście.

– Zgoda – odpowiedział, kiwając głową. – Ty tu jesteś gospodarzem.

Trzasnęły drzwiczki samochodów i wszyscy skierowali się do jednej z macek bunkrowej ośmiornicy. Podążając za Gerardem długim korytarzem, doszli do podwójnych, szklanych drzwi, za którymi mieściło się duże laboratorium. W sterylnie białym wnętrzu dominowały metal i szkło, potęgując przygnębiające, by nie powiedzieć lodowate wręcz, wrażenie. Na jednej ze ścian widniały trzy szeregi metalowych drzwi w kształcie kwadratu ze specyficzną klamką-zamkiem. Lodówki prosektoryjne – skonstatował Bogusław.

Kiedy Gerard podszedł do jednej z nich i otworzył masywne odrzwia, wszyscy w jakiejś nadzwyczajnej powadze skupili się na jej zawartości. Tymczasem on wyciągnął stalowy wózek, na którym leżało ciało okryte białym prześcieradłem i niespiesznym ruchem odsunął tkaninę, ukazując im blade, nagie ciało dziewczyny – najwyżej dwudziestolatki. Potem otworzył kolejną lodówkę i na kolejnym wózku wyciągnął kolejne ciało. Na pierwszy rzut oka trzydziestolatka, z odciętą głową. Na nagim prawym ramieniu mężczyzny widniało znajome piętno.

Jeśli wcześniej odczuwali przykry chłód miejsca i sytuacji, to w tym momencie lodowaty jęzor śmierci obscenicznie lizał ich kręgosłupy, wywołując przeszywające dreszcze. Rzadko kiedy mężczyźni Rodzaju czuli piętno śmierci, ale tu i teraz było doświadczeniem nie dającym się porównać do czegokolwiek, co wcześniej doświadczyli. Co innego żołnierskie trupy na polu walki, w której wszyscy mieli równe szanse, a co innego spokojne, trupio zsiniałe zwłoki ofiar na prosektoryjnych wózkach.

Ciała te różniły się od oglądanych wcześniej na fotografiach – były obmyte, a otwarte, przerażone zazwyczaj czy tym razem były zamknięte. Te dwa proste zabiegi sprawiły, że nie

zionało z nich to straszne okrucieństwo obłąkańczego mordy, które tak porażało, oglądając zdjęcia. Nie zmieniały jednak poczucia przeraźliwie nieodwracalnej ostateczności.

Marek podszedł do odkrytych przed chwilą zwłok i zaczął wnikliwie im się przyglądać. Zwłaszcza ciało dziewczyny przykuło jego uwagę. Z pobliskiego stołu chwycił kartonik jednorazowych rękawiczek, wyciągnął parę i założył.

– Mogę? – spytał, spoglądając na Gerarda, jednocześnie podnosząc martwą rękę dziewczyny.

– Oczywiście. Jesteśmy tu na równych prawach. Nie musisz pytać.

Po raz kolejny podejście tutejszych wampirów do międzygatunkowej współpracy zaskoczyło Bogusława. Będzie musiał przywyknąć, że ci faceci są nienormalni – zaśmiał się w duchu, rad, że tacy właśnie byli.

– Szukasz czegoś konkretnego? – zapytał; jako szef szefów nie mógł zlekceważyć czy przeoczyć wyjątkowego zainteresowania łowcy stanem ciała ludzkiej ofiary.

– Nie. Sprawdzam tylko, czy nic się nie zmieniło. Czy nie doszły jakieś kolejne elementy rytuału. Wiesz, to wszystko są istotne wskazówki, które mogą naprowadzić nas na trop. Poza tym – dodał po chwili łowca – to pierwszy raz, kiedy mogę wnikliwie obejrzeć ciała, zbadać zadane rany, przyjrzeć się piętnu. Rozumiesz.

Rozumieli wszyscy. Ten człowiek był bardzo skrupulatnym badaczem, a oni dostarczyli mu materiału do badań. Może właśnie dzięki jego skrupulatności szybciej znajdą i pokonają wroga.

Podczas gdy Marek poddawał zwłoki drobiazgowym oględzinom, Bogusław z Leonem przeprowadzali śledczy wywiad z tubylczą trójką.

– Macie ciało dziewczyny? – zapytał dowódcę grupy, nie kryjąc zaskoczenia. – Rodzina nie domagała się wydania zwłok, żeby ją pochować?

– Dziewczyna nie miała rodziny. Była z domu dziecka. Wiesz, jak to jest... stajesz się pełnoletni, musisz stać się samodzielny.

– Wiesz na ich temat coś więcej?

– Wyobraź sobie, że wiem. Ten martwy facet był moim... – Gerard westchnął ciężko, sposepniał i ścisząc głos, dokończył – można powiedzieć... przyjacielem. Wiem. U nas nie ma przyjaźni. A jednak...

– Doskonale cię rozumiem. Nas z Leonem też łączy coś więcej niż tylko przynależność do Rodzaju.

– No to rozumiesz, jak jest. A co do nich – Gerard wskazał ręką ciała leżące na prosekcyjnych wózkach – poznali się w dyskoteci. Ona hucznie obchodziła osiemnastkę, a on poszedł się zabawić. Od razu wpadli sobie w oko i tak to się zaczęło. Wspólne dyskotekowe szaleństwo, potem wspólna noc... Dziewczyna, jak to dzieciak z domu dziecka, była wyjątkowo bystra i nad wiek dojrzała, więc gdy obudziła się z uczuciem dziwnego mrowienia na szyi, od razu zaczęła podejrzewać, w czym rzecz. Co dziwne, nie panikowała. Zadała kilka rzeczowych pytań i... została na dłużej. – Uśmiechnął się smutno. – A reszta potoczyła się samoistnie. Szalony seks, wyrozumiałość i spokój wiekowego wampira ukrytego w atrakcyjnym ciele trzydziestolatka, stabilizacja. Jak tego nie pokochać, gdy się miało całe życie pod górkę? Po jakimś roku byli w sobie szaleńczo zakochani i planowali wspólną przyszłość. Faktycznie stanowili świetną parę. Jakby odnaleźli tę drugą połówkę. Niestety nie udało im się.

– Jak to się stało, że macie ciała? – zapytał Marek, rzucając pytanie w przestrzeń, bez sprecyzowania odbiorcy. Wciąż był pochylony nad zwłokami i centymetr po centymetrze badał ich stan.

– Mamy zakład pogrzebowy – odpowiedział mu Roger, wzruszając ramionami.

– Cholera. Jasne, mogłem się tego domyśleć – burknął łowca pod nosem, nie odrywając się od pracy.

– Jak wyjedziecie, zorganizujemy pogrzeby. Właściwie czekaliśmy tylko na was, żebyście mogli na własne oczy zobaczyć ofiary – skonkludował Gerard.

Stali jeszcze chwilę, wymieniając spostrzeżenia dotyczące śledztwa, gdy Marek uniósł się znad ciała mężczyzny i ściągnawszy rękawiczki, zwinął je w kłębek, rozejrzał dookoła i wprawnym ruchem wrzucił do odległego kosza.

– Nic nowego – zauważył. – Cholera, nie wiem czy to dobrze, czy źle. Będę musiał to przemyśleć.

W czasie, gdy łowca rozglądał się jeszcze po laboratorium, a pozostali rozmawiali, Kazimierz podszedł do lodówek i przykrywszy ciała, ponownie wsunął wózki do środka i zamknął drzwiczki. Wszyscy ruszyli w stronę wyjścia – najwyraźniej tu nie pozostało już nic do zrobienia.

– Pokażemy wam kwatery rezydentów – oznajmił Gerard, zmierzając dziedzińcem do skrajnie odległej macki.

Jej wnętrze okazało się kolejnym zaskoczeniem – macka zaaranżowana była niczym pięciogwiazdkowy hotel. Jediną różnicę stanowiło centrum monitoringu zamiast typowej recepcji, mieszczące się w pobliżu obszernego lobby. Za wysoką konsolą kręgu monitoringowego zamontowano ekrany emitujące podgląd ze wszystkich strategicznie rozmieszczonych kamer, wewnątrz kręgu zaś stał wygodny, skórzany fotel, w tym momencie zajmowany przez rosnącego wampira.

– To jedyny pracownik ochrony, którego widzą mieszkańcy tego obiektu – wyjaśnił Roger. – Reszta jest albo na zewnętrznym rekonesansie, albo na obchodzie wewnątrz fortyfikacji. W nocy mamy tu naszych, a za dnia działa ludzka ochrona.

– Macie ludzką ochronę? – Bogusław nie krył zaskoczenia, spoglądając na Gerarda wymownie. – Wiedzą co... kogo ochraniają?

– Tak, i tak. – Zaśmiał się tubylczy wampir. – Ale w kwestii ochrony kieruj pytania do Rogera. To jego działka.

– Skąd? – Tym razem Sławek zwrócił się do właściwej osoby. – Bo, że Dwory mają ludzką ochronę, to normalna, ale ci ludzie nie mają pojęcia, co ochraniają. Za dnia widzą tylko pustą rezydencję. Nie wiedzą, że jej właściciel śpi w najlepsze tuż pod ich nosem. A o zmroku wkraczają nasi. Ale tu...? Przecież wasi ludzcy rezydenci z pewnością chodzą za dnia po całym obiekcie, prawda?

– Tak, prawda i komunikują się z ochroną. – Spokojny uśmiech pobłażania wypłynął na piegowate lico Rogera. Rozumiał zaskoczenie Bogusława. W tym czasie w Mrocznym Świecie działo się wiele rzeczy nie do pomyślenia dla starego, konserwatywnego wampira, więc i ludzie świadomi, że chronią nieumarłych musieli budzić zaskoczenie. – To głównie bliscy naszych śmiertelnych gości – wyjaśnił. – Bracia, kuzynowie, nawet ojcowie partnerów członków naszych klanów.

– Bracia, kuzynowie, ojcowie? Boże, to ilu wy ich tutaj macie? – dociekał Leon.

– Kogo? Ludzkich ochroniarzy czy partnerów?

– Jednych i drugich.

– Mamy sześć par mieszanych i dziesięciu ludzkich ochroniarzy. Wszyscy są zakwaterowani tutaj. Ochrona może jedynie brać przepustki i to też maksymalnie raz na miesiąc. Niestety, względy bezpieczeństwa. Ale oni sami są zdeterminowani, by chronić swoich bliskich niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc nie ma problemu z zachowaniem dyscypliny.

Pozostawiając za sobą przestronne, wyposażone w skórzane kanapy lobby, weszli do

korytarza, w którym rzędy drzwi prowadziły do mini apartamentów zajmowanych obecnie przez ludzko-wampirze pary. Standard wewnątrz nie ustępował poziomowi lobby, a ich mieszkańcy zdawali się spokojni i szczęśliwi, wdzięczni, że zostali objęci troskliwą opieką i całodobową ochroną. Gdyby nie widmo okrutnej śmierci dla śmiertelnych i ostatecznego końca dla nieumarłych można by odnieść wrażenie, że to skryty wśród natury luksusowy kurort, a jego rezydenci to szczęśliwcy, którym udało się załapać na ekstra wywczasy. Niestety, rzeczywistość była zgoła inna – ponura, by nie powiedzieć zatrważająca. Niemniej rozmawiając z pseudo wczasowiczami, Bogusław zauważył, że rezydujące tu wampiry były szczerze wdzięczne swojemu królowi za roztoczoną nad nimi pieczę, a ich partnerzy pokładali ogromną ufność w siłę i nieograniczone możliwości wampirzej rasy.

Zaczynało świtać, gdy dojeżdżali do Sopotu, a kiedy zamykali za sobą drzwi rezydencji, pierwsze promienie słońca lizały już dachy budynków. Zasłużony sen wyciągał już po nich swe ramiona, pieszcząc ich zmęczone ciała obietnicą relaksu.

– Jestem pod wrażeniem – stwierdził Bogusław i obdarzył Gerarda nikłym uśmiechem, gdy kolejnego wieczora żegnali się w holu rezydencji. – Odwalacie kawał doskonałej roboty.

– Dzięki. Ale nie robimy tego dla pochwał, ani wyrazów wdzięczności. Chyba wiesz?

– Wiem. Dlatego was podziwiam.

– Sam poświęciłeś swą niezależność dla tej sprawy.

– Fakt. Ale gdy już się to wszystko skończy, znów ją odzyskam.

– Trzymam za to kciuki, Bogusławie. – Gerard wyciągnął rękę i zwyczajnie, po ludzku uściskał jego dłoń.

Rozdział 16

Sylwestrowa noc zawsze była dla Bogusława czasem, który rozweselał jego nieskorą do wesołości osobowość. W przeciwieństwie do śmiertelnych nie odczuwał rozterek z powodu upływającego czasu. To go nie dotyczyło; przecież od ponad tysiąca lat czas płynął obok niego. Przestał go wciągać w swój nurt tamtej gwieździstej nocy w wielkopolskim borze, gdy wracał z wieleckich ziem po zwycięskich bojach. Boże! Jak strasznie dawno to było. Od tego momentu przemijanie przestało mieć dla niego znaczenie. Dziś też nie miało, ale sylwestrowa noc była świętem czasu i Bogusław zamierzał je celebrować wraz z resztą mieszkańców miasta.

Jak co roku główna impreza sylwestrowa odbywała się na Placu Wolności. Nie było sensu pchać się tam samochodem – w taką noc znalezienie miejsca parkingowego graniczyło z cudem. Dopił więc krwawą Mary i otworzył szafę, by wyszukać coś odpowiedniego do ubrania. W mieszkaniu było wyjątkowo ciepło, zwłaszcza dla niego, bo w zasadzie nie odczuwał różnicy temperatur – ot, trochę chłodniej, trochę cieplej i tyle. To może krótki rękaw? – zażartował, świadom, że w ludzkim postrzeganiu świata ani chybi świadczyłoby to o jego wątpliwej poczytalności. Wolał więc nie prowokować ulicznego tłumu i narzucić na siebie coś stosowniejszego.

Wyszedłszy przed budynek apartamentowca, zaciągnął się nocnym powietrzem. Zapach odpalanych od kilku dni petard i zimnych ogni oraz trwała, niezmienna woń ludzkiego bytowania, zakreśliły się ostrym wirem w jego nozdrzach. Rzadko który drapieżnik miał tak wyczulony węch. Ta niegdyś bardzo przydatna zdolność, dziś wykorzystywana była sporadycznie. Plastikowe woreczki zastąpiły żywą przekąskę i tradycyjne łowy straciły rację bytu. Jak większość jego pobratymców Sławek uznawał słuszość tej reorientacji, jednak ilekroć pomyślał o żywym posiłku, ogarniała go nostalgia.

Dotarcie z City Parku na Plac Wolności nie stanowiło żadnego problemu. Przeciętny człowiek raczej skorzystałby z jakiegoś środka transportu, ale wampir z pewnością nie odczuje zmęczenia po przejściu tej odległości.

Do północy było wciąż trochę czasu, zatem będzie mógł jeszcze pokreślić się w zebranym tam tłumie i napawać zbiorową bezosobowością, nim feeria barw i kształtów zaleje poznańskie niebo na kilkadziesiąt kolejnych minut. Tłum był jak dobra kryjówka. Nie na darmo mawiano, że najciemniej jest pod latarnią.

Energicznym krokiem Bogusław szedł Grunwaldzką. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio spacerował, poza tą przechadzką w wigilijny wieczór, ale to nie znaczy, że nie może tego robić częściej. Kurczę! Czyżby kolejny krok ku ucłowieczeniu? Coraz częściej dostrzegał u siebie zachowania, których nie kultywował od lat.

Ulicami spiesznie podążali ludzie w radosnych nastrojach, a delikatne, prawie niezauważalne płatki śniegu w urokliwym tańcu zaczęły opadać z czarnego nieba, jakby też chciały mieć swój udział w tym powszechnym balowaniu.

Plac Wolności kipiał doskonałą zabawą. Ludzie gromadzili się głównie wokół prowizorycznej estrady, na której popularny krajowy zespół muzyczny dawał sylwestrowy koncert, ku uciechu zebranych podrygujących w rytm przerażająco głośnej muzyki. Jakby tego było mało – nadmiernie ryczącym głośnikom wtórowały równie zdeterminowane, by dać z siebie wszystko, gardła licznie przybyłych, zagorzałych fanów owego zespołu. Być może przeciętny człowiek był w stanie znieść tak drastyczną dawkę decybeli bez trwalszego uszczerbku na zdrowiu, dla Bogusława jednak była to dawka nie tyle szkodliwa, co cholernie uciążliwa. Ale cóż? Jak się powiedziało „a”... Skoro postanowił spędzić tu najbliższych kilka godzin, to musi

zniesić hałas nie do zniesienia.

Wokół tego zbitego kłębowiska, przewijały się niewielkie grupki podchmielonych bądź dziko radosnych sylwestrowiczów, chichoczące bądź nader wylewne w swych uczuciach pary i zaaferowane jednostki ze skoncentrowanymi minami niczym tropiące psy. Ludzie odpalali hałaśliwe petardy, rozpalali zimne ognie i popijając szampana z plastikowych kubków lub bezpośrednio z butelki, radowali się wspólną zabawą.

Bogusław okrążył plac, przyglądając się imprezującym poznaniakom. Było tu całe spektrum społeczności miejskiej. Od bardzo młodych po naprawdę leciwych, od denerwująco trzeźwych i zbyt poważnych po solidnie już zawianych i nadmiernie pobudzonych. Wszyscy jednak potrafili odnaleźć się w osobliwej czasoprzestrzeni sylwestrowej zabawy miejskiej.

Dotarłszy ostatecznie pod scenę, i dołączwszy do zbitej masy ludzkiej, Sławek zaczął podrygiwać w rytm muzyki, dając się ponieść zbiorowym emocjom. Ścisk tłumu sprawiał, że wewnątrz tego ludzkiego kłębowiska robiło się zdecydowanie za duszno, na szczęście brak świeżego powietrza i niedotlenienie, nie groziło mu śmiercią czy trwałym uszczerbkiem na pocztytalności.

– Sorki, koleś – zagadnął młody mężczyzna, który właśnie zatoczył się na Sławka, przeciskając się obok niego.

– Nie ma sprawy – odpowiedział i uśmiechnął się pojednawczo.

– Napijesz się z nami? – Chłopak, wyciągnął w jego kierunku butelkę Dorato, w której masywne dno zaczynało coraz śmieiej wyzierać spod nikłej ilości alkoholu.

– Nie, dzięki, jestem uczulony na alkohol – to była zawsze najskuteczniejsza wymówka.

– Cholera, koleś. To masz przerąbane.

Chłopak spojrzał na niego współczująco i mocniej przycisnął do siebie, obejmowaną jedną ręką, niewysoką brunetkę. Dziewczyna też spojrzała na Sławka z litością w oczach, po czym przytuliła się do partnera i zaczęła pod nosem nucić tekst śpiewanej przez artystę piosenki. Bogusław tylko uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że w pełni podziela ich opinie na temat jego wyjątkowej alergii.

– No to trzymaj się. Spadamy dalej.

Oboje kiwnęli na odchodnym i ruszyli we wcześniej obranym kierunku. Sławek obdarzył parę przychylnym uśmiechem i znów stał się trybikiem w podrygującej pod sceną masie entuzjastów. Rozejrzał się po twarzach otaczających go osób i wtedy ją zobaczył.

Stała tam i podrygiwała radośnie, podśpiewując tekst piosenki, a wirujące wokół płatki śniegu, rozkosznie opadały na jej delikatną twarz. Rudy kosmyk falujących włosów wymykał się spod szarej, wełnianej czapki, która zwisała z tyłu głowy jak u krasnala, dodając kobiecie młodzieńczego wdzięku. Gruby szal do kompletu szczelnie omotała wokół szyi. Wtórząc krzyżącemu na scenie wykonawcy, co chwilę spoglądała na stojącą obok młodą kobietę, szeroko i szczerze się do niej uśmiechając. Jej towarzyszka odwdzięczała się równie szczerym uśmiechem i często zagadywała do słodkiego rudzielca, spoglądając jednocześnie na scenę, jakby komentowała to, co się na niej działo. Nie musiał być Sherlockiem Holmesem czy Herculesem Poirot, by zauważyć, że między kobietami istnieje nić głębokiej sympatii. I choć optycznie różniły się od siebie jak noc od dnia, jak zima od lata, jak gorycz od słodczy, ich przyjaźń była niemalże namacalna. Te dwie niewiasty były biegunowo różne, a jednak zdecydowanie blisko ze sobą związane.

Jej towarzyszka była sporo młodszą, wysoką i smukłą, bardzo urodziwą blondynką z włosami do pasa i wydatnym biustem rzucającym się w oczy mimo zimowej kurtki. Miała niesamowicie długie i zgrabne nogi oraz zgrabną, seksowną pupę opiętą obcisłymi dżinsami. Matko! Kobieta ociekała seksapilem. Erotyzm promieniował z niej jak światło z lampy

kwarcowej, porażające każdego, kto w nie spojrzy. Nie było faceta w promieniu wielu metrów, który nie zwróciłby na nią uwagi. Z wybałuszonymi oczami i rozdziawionymi ustami przechodzili obok niej, potykając się o własne nogi, gdy zmysł koordynacji ruchowej zanikał na rzecz karykaturalnego zagapienia. Rojące się w ich umysłach wizje uprawianego z nią dzikiego seksu, buchały im z oczu niczym wrzące gejzery. Trudno było zachować stoicki spokój w tłumie mężczyzn epatujących taką ekscytacją. Z jego zdolnością do wyczuwania cudzych emocji Bogusław musiałby być z lodu lub granitu, by w tej atmosferze kipiącego testosteronu nie zadrgało w nim pożądanie. Zdecydowanie zadrgało. Z tym że jego pragnienie skierowane było ku tej kobiecie, która w blasku jaskrawo lśniącej u jej boku gwiazdy, była niczym skamielina – niepozorna i niedostrzegalna, zlewająca się z otaczającą ją ludzką masą. Ale to właśnie ona budziła w nim najdziksze namiętności. To z nią był gotów postawić czoła odwiecznym prawom i utartym przekonaniom Rodzaju. To dla niej chciał zaryzykować wszystko, co przez tysiąc ostatnich lat budowało jego egzystencję. Nie miał zielonego pojęcia, jak tego dokonać – kobieta miała przecież męża i dzieci. Wiedział jednak, że kiedyś wydostanie ją z obmierzłych łapsk zakłamanego palanta i pokaże jej, czym jest szczerą miłość oraz prawdziwe, męskie oddanie i lojalność. Był tak zdeterminowany, by z tą kobietą stworzyć dom i rodzinę, że chciał wywrócić swój świat do góry nogami.

Dom i rodzina – dwa słowa, które przez setki lat były dla niego pustym zlepkiem liter. Niczym więcej jak tylko semantyką bez emocjonalnego ładunku. Teraz chciał to zmienić.

Już raz próbował. Chciał stworzyć dom z kobietą, która znaczyła dla niego wszystko. Nie udało się, a skutki tego pragnienia okazały się tragiczne i nieodwracalne. Aż do teraz sądził, że nigdy już nie zazna szczęścia, że nigdy nie zaryzykuje miłości i pragnień zarezerwowanych tylko dla śmiertelnych. Czy ta drobna, niepozorna, ludzka kobieta była w stanie to zmienić? Czy mogła zatrzęść posadami jego świata? Miał nadzieję, że tak.

Bogusław pograżył się w swych myślach tak głęboko, że nawet nie zauważył, kiedy zawiodły go one do niechcianych wspomnień sprzed ponad trzystu lat.

Paryż przestał być bezpiecznym miejscem nawet dla drapieżnych Dzieci Nocy, którymi byli.

Za sprawą kolegalnej nienawiści trup ścielił się gęsto, a chaos, anarchia i wszechobecna nędza, panowały tak bezwzględnie, że coraz trudniej było znaleźć wśród śmiertelnych zachęcający kąsek.

Reszta Francji była równie nieprzyjazna. Gdy w chorych, zdegenerowanych umysłach, ogarniętych żądzą bezwzględnej władzy wodzów rewolucji, narodził się szalony pomysł wyrznięcia w pień całej ludność Lionu, a w Marsylii krew ściekała rzekami, nawet krwiożerczy wampir nie był w stanie znieść tyle okrucieństwa.

– Czas się stąd wynosić – powiedział pewnego wieczoru z niesmakiem, gdy Jagienka układała na chodniku wątle ciało nastolatka, który miał nieszczęście stać się ich posiłkiem.

Chłopak żył jeszcze, ale czy dożyje rana? Tego nie byli pewni. W jego wymizerowanym ciele nie było dość energii, by zapewnić przetrwanie choćby jemu samemu, a teraz jeszcze dwa wampiry bez skrupułów drenowały z niego ostatki żywotności.

– Wiem – wyszeptała ponuro. – Z pewnością nie jest to miejsce, które moglibyśmy nazwać rajem. Ludzie są jak cienie, krew jest słaba i bez wartości. Niedługo i my zaczniemy słabnąć na tak mizernym pokarmie.

Bogusław otworzył szeroko oczy i zaczął wnikliwie przyglądać się tej drobnej, pozornie delikatnej niewieście.

– Co ty mówisz? Jagienka? – Jej słowa go oszołomiły. – Chodziło mi o to, że nie zniosę już więcej osaczającego mnie okrucieństwa – wyjaśnił zde gustowany. – A ty mówisz o zbyt małej wartości odżywczej posiłku?! Kiedy straciłaś resztki człowieczeństwa, dziewczyno?

Boże! Kiedy straciła resztki człowieczeństwa? Już nawet nie pamiętała, że kiedyś była człowiekiem. Gdy udało jej się przemienić Bogusława, miała za sobą kilkaset lat samotnej, pośmiertnej egzystencji, a od tego momentu minęło ponad siedem kolejnych stuleci. Człowieczeństwo! Niech on nie będzie śmieszny! – zniecierpliwiona pokręciła śliczną główką.

– Nie przesadzaj. Nigdy nie byliśmy dość ludzcy, żeby się tym martwić. Odkąd wkroczyliśmy do Mrocznego Świata jesteśmy ponad to – odpowiedziała beznamiętnie.

– Może ty – zripostował poważnie z nutą rozczarowania i smutku w głosie. – Ja nigdy nie przestanę walczyć o zachowanie w sobie choćby odrobiny człowieka, którym kiedyś byłem. Nie jestem ponad to, jestem inny, ale nie lepszy.

Jagienka widziała rozczarowanie w jego oczach. Była świadoma tego, że nigdy nie rozumiał i nie podzielał jej praktycznego osądu ludzkiego istnienia – nigdy nie traktował ludzi jedynie jako źródło pożywienia. Okrucieństwo właśnie toczącej się we Francji rewolucji, jeszcze bardziej wzmogło jego zachowawczą postawę. Czyżby popełniła błąd, decydując się na jego przemianę? Założyła, że mężny wojownik, który nie wahał się setkami ścinać ludzkie głowy, to idealny kandydat na jej partnera. Nie sądziła, że ktoś żyjący z mieczem, walką i śmiercią za pan brat, okaże się tak słaby, gdy w grę wchodzi pojedyncze istnienie. Musiała szybko zaradzić ogarniającej go melancholii. Znała tylko jeden, ale jakże skuteczny sposób, by to osiągnąć, a pora tuż po posiłku była do tego najstosowniejsza.

Pomału podeszła do swojego mężczyzny, kusząc go falującymi biodrami i delikatnie ujmując w dłonie wypełniony biustem, niedbale zasznurowany stanik sukienki, unosząc i eksponując swe kobiece wdzięki.

– Chodź kochanie, nie zdręczaj się tymi myślami, przy mnie zapomnisz o tym, co cię niepokoi – wyszeptła zmysłowo wprost w jego pierś, po czym delikatnie przeciągnęła językiem po jego obnażonej szyi.

Kusząco otarła się udem o jego udo i przycisnęła łono do jego nabrzmiewającej męskości. Była pewna, że jak zawsze porwie ją w ramiona i będą się kochać długo, szaleńczo, do utraty tchu. Nie zawiodła się więc, kiedy Bogusław przyciągnął ją do siebie i zaczął namiętnie gładzić jej obnażone ramiona. Gdy po chwili odsunął się od niej i ruszył wzdłuż zatęchłej ulicy, sądziła, że chce się przenieść w bardziej ustronne miejsce.

– Nie tutaj, tak? – spytała, by upewnić się, że dobrze odczytała jego intencje. – To dokąd? Oberża jest zbyt daleko – zakpiła niecierpliwa, czując, jak żądza rozpala ją od środka.

On jednak nie zatrzymał się, kuszony jej pieszczącym, namiętnym głosem. Gdy podbiegła do niego zaskoczona, spojrzał na nią z ukosa.

– Nie mam ochoty na seks – odpowiedział ponuro. – Nie traktujesz mnie poważnie. Nie słuchasz mnie. Ja już tu dłużej nie wytrzymam. Rozumiesz?! – warknął oburzony jej absolutną bez troską.

– Bogusław, poczekaj! – Szarpnęła go za rękaw, starając się zatrzymać w miejscu. – To jest nasza natura, nie zmienisz tego – tłumaczyła, jakby zaskoczona jego zbuntowaną postawą.

– To?! – warknął, wskazując ręką leżące za nimi bezwładne ciało dzieciaka. – To jest nasza natura?! Jeśli tak, to lepiej od razu mnie zakołkuj. Nigdy nie sądziłem, że będę odbierał życie dzieciom. Jestem wojownikiem – nie mordercą! – już niemal krzyczał, choć starał się zachowywać spokój.

Nie wiedziała, co ma mu w tym momencie odpowiedzieć, by stłumić narastający między nimi konflikt. Chciała, żeby wszystko wróciło do normy. Przecież był jej dopełnieniem; bez

niego jej istnienie straciłoby sens. Mieli za sobą ponad siedemset lat wspólnej, tułaczkiej egzystencji. Kochała go całą sobą i wiedziała, że on również kocha ją bezgranicznie. Trudno by było nagle to przekreślić. Bezsparnie ich więź była wieczna, ale Jagienka nie była głupia – miała świadomość, że zdarzały się wśród członków Rodzaju sytuacje, w których pod wpływem silnych emocji jeden partner porzucał drugiego. To z reguły był koniec dla obojga. Osamotnione, opuszczone, oszalałe wampiry, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca w nagle pustym świecie, popadały w dziką krwiożerczość, a wtedy wkraczali łowcy. Co było potem, nie trzeba nawet dodawać.

Bogusław był na krawędzi – widziała to i nie dopuści, by miało ich to rozdzielić, a w końcu odebrać istnienie. Seks? Cóż, choć to trudne, musi poczekać.

– Zaczekaj. Bogusław, zaczekaj proszę – błagała. – Kochany, wyjedziemy stąd, jeśli chcesz. Jeszcze dzisiaj. Pojedziemy dokądkolwiek zechcesz. Wrócimy do Polski albo pojedziemy do Anglii. Tak, do Anglii, nie byliśmy jeszcze w Anglii. Pojedziemy do Londynu, chcesz? – szczebiotała jak do dziecka, ale boleść nieporozumienia przebijała przez jej słowa. – W Londynie jest spokojnie, tam się odprężysz, tam będziemy znowu szczęśliwi. Zobaczysz. Bogusław...? – Zawiesiła głos, oczekując jego reakcji.

Rzeczywiście Bogusław zatrzymał się, słysząc ból w jej głosie, po czym odwrócił się i spojrzał na Jagienkę matowym, bezdusznym wzrokiem.

– Do Londynu? – wyszeptał. – Niech będzie Londyn.

Jeszcze tej nocy spakowali rzeczy, rozliczyli się z oberżystą i wyruszyli w drogę.

Wbrew nadziejom Jagienki, Londyn okazał się nie być miejscem, w którym oboje mogliby zaznać szczęścia. W czasie, gdy Bogusław dochodził do siebie i cieszył się nudnym spokojem, ona niemal odchodziła od zmysłów dokładnie z tej samej przyczyny. Nudny spokój był ostatnią rzeczą potrzebną do istnienia żywiołowemu wampirowi. Energia ją rozpierała, a senna i przesadnie ułożona londyńska społeczność doprowadzała ją do szewskiej pasji. Co prawda elita gwarantowała sobie rozrywki na miarę własnej wyobraźni, jednak majestatycznym balom daleko było do zabaw organizowanych ze słowiańską fantazją. Poza tym nieustająca wilgoć i deszczowa aura doprowadzały ją do furii.

– Tu nawet krew jest rozwodniona – mawiała poirytowana prawie po każdym posiłku. – Ludzie są tak nasiąknięci tym przeklętym deszczem, że za każdym razem czuję się, jakbymssała gąbkę.

– Nie przesadzaj, kochanie – starał się ją uspakajać, rozbawiony jej jowialnym porównaniem.

– To nie przesada, to koszmar. Nasiąknięte wodą, ospałe, leniwe cielska, w których krew jest równie ślamazarna jak jej nosiciele. Jak czerpać z tego przyjemność? Nawet słońca w zapachu skóry się nie czuje, bo i skąd? Tu, w tym ponurym kraju, nie ma słońca!

Trudno zaprzeczyć. Istotnie słońce nie było częstym gościem londyńskich ulic, co niestety odczuwali przy każdym pożywianiu. Bogusław też wolałby, by źródłem jego posiłków był naród o większym temperamencie. Choćby gorąca hiszpańska czy włoska krew. Ale po ostatnich, trudnych czasach we Francji niespieszno mu było wracać na kontynent. Szaleństwo rewolucji wciąż jeszcze wyciągało swe krwiożercze łapska, i nie było pewności, czy nie zagarnie nimi ziemi, na której osiadą. A nie chciał, zdecydowanie nie chciał, znów tego doświadczać.

Pewnej nocy, po kolejnym szalonym seksie Jagienka rozpromieniła się nagle i spoglądając w oczy leżącemu obok Bogusławowi, zaproponowała:

– Przenieśmy się do Wenecji.

Spojrzał na nią zaskoczony. Z rozrzuconymi na białej poduszce pukłami rudych loków, twarzą niemal dziecka i iskrą przygody w oku wyglądała promiennie, słodko i niesamowicie

podniecająco. Zdziwiony uniósł brwi i uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Co ci znowu strzeliło do głowy, skrzacie?

Lubił ją tak nazywać. Zwłaszcza wtedy, gdy wyglądała właśnie tak jak teraz – mały, rozkoszny skrzat z burzą ognistych loków, lekko zadartym piegowatym noskiem i ogromem nieokielzanej energii, któremu żadna siła nie była w stanie się przeciwstawić. Można było tylko pozwolić nieść się tej szalonej fali i wyglądać brzegu, do którego poniesie.

Z błogim uśmiechem na ustach uniósł dłoń i zmierzwił jej rude włosy.

– No, powiedz. Co też tam się roi pod tą piękną, rudą czuprynką?

– W Wenecji trwa karnawał. Rozerwiemy się trochę... i słońce tam zagląda, ludzie są inni... żywsi, weselsi. – Przekręciła filuternie głowę. – Smacniejsi.

– Wenecja... – Zamyślił się, by podroczyć się trochę, choć i tak wiedział, że jest na przegranej pozycji.

Jagienka robiła z nim, co chciała i oboje doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Wielki, silny facet i drobniutka, delikatna dziewczyna – jakżeby mogło być inaczej. Gdy się kochali była dojrzałą, pełną erotycznej pasji, nieokielznaną kobietą, ale gdy tylko seksualne uniesienia opadały, stawała się nieobliczalna, szalona i pełna werwy niczym ciekawe świata i doznań dziecko. I tak też ją traktował – z jednej strony pożądał i zaspakajał jak kobietę, a z drugiej rozpieszczał i psuł jak dziecko. Nie nudzili się ze sobą. Chyba również dzięki temu, że Jagienka miała w sobie tę pokrętną dwoistość. Dlatego była jego skrzatem, dlatego „skrzat” tak doskonale oddawał sedno jej osobowości. Boże, jak żarliwie kochał tę niewiastę. Jak niesłychanie silnie czuł tę więź, która połączyła ich pierwszej nocy, a która przez setki lat wspólnego życia wzmocniła się tak dalece, że teraz byli niemal jednym.

– Oj proszę, proszę – błagała z uwodzicielskim uśmiechem.

Uwielbiał te jej kobiece gierki. Czuł się wtedy wielkim, silnym mężczyzną, od którego wszystko zależy, choć tak naprawdę, to ona trzymała lejce zaprzęgu, który wiozł ich przez życie.

– No cóż, skoro tak pięknie prosisz... – znów zawiesił głos – tooo... pakujemy się! – dokończył entuzjastycznie.

Reakcja Jagienki była natychmiastowa – rzuciła się na niego z piskiem i uściskami i tylko chęć jak najszybszego opuszczenia ponurego Londynu sprawiła, że nie poddali się ogarniającej ich na nowo, erotycznej gorączce.

Jako że w owych czasach karnawał wenecki był świętem ruchomym – mógł rozpoczynać się choćby w październiku czy grudniu i trwać przez kolejnych kilka miesięcy, zmierzali do Wenecji spokojni, że wielkie świętowanie ich nie ominie.

Wszechobecny, dekadenski przepych charakteryzujący ostatnie chwile niezależnej Republiki Weneckiej i powszechny, euforyczny nastrój odzwierciedlający filozofię karnawałowego „świata na opak” błyskawicznie udzielały się przybyszom. A zjeżdżali tłumnie, by wraz z mieszkańcami tego cudownego miasta hucznie celebrować czas powszechnych uciech. Czas wypełniony teatralnymi przedstawieniami i występami akrobatów, ale przede wszystkim bajecznie kolorowymi balami maskowymi. Dzięki przebraniu zacierały się wszelkie różnice między weneccjanami. Wszyscy stawali się równi niezależnie od społecznej pozycji, płci czy religii. Pod kostiumem łatwo było ukryć swoją prawdziwą tożsamość – paradne stroje i maski zapewniały karnawałową anonimowość, a więc cóż mogło być wygodniejsze dla dwojga nomadów o specyficznych upodobaniach kulinarnych? Karnawał był czasem magicznym, dlatego też kiedy trwała zabawa, zawieszano wszelkie normy i zakazy – barwnych przebierańców chroniło prawo, bo nigdy nie wiadomo, kto kryje się za maską. Może jakaś ważna znakomitość? Toteż Jagienka i Bogusław postrzegali karnawałową Wenecję jako kolorową, radosną bajkę, zwłaszcza po szarej i sennej Anglii.

Wynajęta duża willa na obrzeżach miasta stanowiła idealne miejsce do zamieszkania dla pary nowożeńców, za których się podawali. Nie dziwiło nikogo, że świeżo poślubieni małżonkowie unikali kontaktów towarzyskich z pobliskim otoczeniem i woleli całe dni spędzać w pełnej przepychu sypialni niż na herbatkach, przechadzkach, dysputach czy dobrosąsiedzkich odwiedzinach. Że odsypiali swe nocne łowy – tego nikt nie wiedział. A oni czuli się tu nad wyraz dobrze, jakby wreszcie odnaleźli swoje miejsce – choćby tylko na jakiś czas.

Zupełnie nie zauważyli, kiedy zaczęli bawić się w dom. Zatrudnili nawet niewielką, dochodzącą służbę, która miała doglądać obojgów, gdy państwo odsypiali w dzień swoje nocne „igraszki”. Wenecja – miasto swawoli i rozwiązłości, miasto Giacomo Casanovy – jakże mogłaby oburzać się, czy gorszyć? To nie sztywny, żeby nie powiedzieć martwy Londyn, w którym konwenanse skuwały nieznośnymi kajdanami każdy, choćby najmniejszy przejaw fantazji czy bez troski. Zatem wiedli szczęśliwe, pozornie człowiecze życie, a karnawałowa ekscytacja weneccjan udzielała im się równie silnie jak powszechna fascynacja tym miejscem, więc gdy tylko nadarzyła się okazja, zamówili odpowiednie przebrania. Wyrafinowane stroje uszyto z przepychem, folgując nieposkromionej fantazji, a oni mogli teraz bezkarnie zlewać się ze swawolącą gawiedzią i ulegać magicznemu urokowi niekończącej się zabawy.

Jagienka wyglądała zjawiskowo w pięknym złoto-różowym stroju Colombiny, a utrzymana w złotej tonacji z bladoróżowymi i srebrnymi zdobieniami maska dopełniała całości. Bogusław wybrał popularną Bautę, składającą się z czarnej peleryny z kapturem oraz czarnego, trójkątnego kapelusza i białej, ponurej maski. Bautę nosili zarówno mężczyźni jak i kobiety, stąd była nie tylko najpopularniejszym, ale i najbardziej anonimowym strojem. Nietrudno było spotkać taką posępną postać w ciasnych, weneckich uliczkach, a owo spotkanie zazwyczaj przyprawiało o szybsze bicie serca. Zwłaszcza mężczyzna tak postawny jak Bogusław, okryty mrokiem nocy i wąskich uliczek, stawał się w swym przebraniu nader zatrważającą postacią. W odwiecznym założeniu weneckiego karnawału kostium był życiem, a maska śmiercią. Z pewnością przebranie Bogusława emanowało śmiercią jak żadne inne – śmiercią rzeczywistą. Mimo jednak tak upiornych podwalin, nieustająca zabawa, swawola i rozpasanie, przetaczały się ulicami tego nad wyraz bogatego miasta ku powszechnej uciechu.

W tych niemalże idyllicznych okolicznościach czas przestał się dla nich liczyć. Nie zauważali jego, tak często i tak bardzo, doskwierającej nieskończoności. Żyli, ciesząc się sobą tu i teraz. Jagienka w roli młodej małżonki rozkwitała niczym pąk egzotycznego kwiatu, a Bogusław rozkoszował się szczęśliwą i jakże obiecującą chwilą w ich nieskończonej egzystencji. Nie zaskoczyło jej więc, gdy pewnego wieczoru, stając za jej plecami w otwartych drzwiach rozległego tarasu i oplatając ją czule ramionami, zapytał:

– Może zostaniemy tu na dłużej?

– Hmm? – W świadomości Jagienki zadźwięczał ostrzegawczy dzwoneczek. Wiedziała, do czego zmierzał, ale nie była skłonna mu ulec.

– To miasto tak cudownie na nas działa. Widzę, jaka jesteś tu szczęśliwa i ja też czuję się tu szczęśliwy – szeptał, uwodząc ją głosem i muskając ustami wrażliwą skórę na karku.

– Co dokładnie masz na myśli? – spytała z chłodnym dystansem w głosie.

– No wiesz... dom. Zawsze chciałem mieć dom, choćby na jakiś czas, choćby na krótko. Nie chcę ciągle uciekać. Myśleliśmy, że krwawa, ogarnięta żądzą śmierci Francja, będzie dla nas dobrym miejscem. Nie była. A to miasto jest jak... – Zawahał się, szukając stosownego określenia. – Cud. Tak, właśnie cud. Kto by pomyślał, że w miejscu, w którym intensywne życie toczy się na okrągło, tak łatwo będzie nam się ukryć, wcale się nie ukrywając? Spójrz. Mamy nawet ludzką służbę. Czyż to nie zabawne?

– Nie, to nie jest zabawne – odparła sucho. – To wygodne, nic poza tym.

– Ale, Jagienka...

– Nie, Bogusławie! – przerwała mu stanowczo, nie chcąc po raz kolejny przerabiać tego tematu. – Zabawa w dom na pokaz to jedno, a prawdziwy dom, jakiego oczekujesz, to co innego. Nigdy się na to nie zgodzę. Zapamiętaj.

– Dlaczego? – drażył z nutą buntu w głosie, choć wiedział, że jej się to nie podoba. W tym momencie jednak miał dość jej despotyzmu. Dlaczego w tej kwestii zawsze była nieugięta? Ilekcioć poruszał ten temat, ona go zbywała; a to czas był nieodpowiedni, a to miejsce, a to ludzie mieszkający zbyt blisko lub zbyt daleko – każda wymówka była dobra, by nie zagrzać miejsca na dłużej. A on marzył, by z tym zerwać, nawet jeśli tylko na kilka lat. Boże! Kilka lat! W tym przypadku to jak wieczność. – Jagienka?! – warknął, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Co znowu?

– Nie zbywaj mnie. Nie tym razem. Znaleźliśmy wreszcie miejsce, w którym moglibyśmy zostać dłużej. Dobrze o tym wiesz.

– Nie, nie wiem! – burknęła poirytowana. – A jeśli nawet, to nie chcę wiedzieć. My nie nadajemy się do osiadłego życia. Stabilizacja... – Zaśmiała się ironicznie, jednocześnie kręcąc głową. – To nie dla nas, rozumiesz?!

– Dlaczego?! – Z trudem panował nad emocjami.

– Za każdym razem to samo! Dlaczego?! Dlaczego?! Dlaczego?! A dlatego, że jesteśmy nomadami, że wędrowka jest naszą naturą. Ile jeszcze razy chcesz to walcować?! – krzyczała, dając upust swej porywczej naturze.

– Setki. Jak będzie trzeba – odpowiedział spokojnie, choć emocje kipiały pod pozorną powłoką opanowania. Wiedział jednak, że jeśli i on uwolni swego wewnętrznego wampira, nie wyniknie w tego nic dobrego, a przecież kochał tę kobietę ponad życie. Nie chciał, by rozbieżność zdań doprowadziła ich na krawędź. Wierzył, że kiedyś się dogadają, musiał tylko trafić na odpowiedni moment. Miał nadzieję, że może to właśnie dziś.

– Nigdy na mnie tego nie wymusisz! – rzuciła, jakby czytając w jego myślach. – Dom! – Przewróciła oczami, wyrażając krańcową pogardę, niemal obrzydzenie dla jego nienaturalnej potrzeby. – A co potem? Może dzieci? – zadrwiła.

To bolało. Cholernie bolało. Tak bardzo, że zawrzały w nim głęboko skrywane uczucia. Już nie był w stanie hamować wampirzej natury. Nim zdążył się zastanowić, słowa same wyrwały się z jego ust.

-- Bardzo bym chciał mieć dzieci, niestety ty odebrałaś mi tę możliwość setki lat temu. Zapomniałaś? – warknął, a w jego głosie słychać było głęboką gorycz trawiącą jego duszę.

Jagienka odwróciła się gwałtownie i unosząc głowę, utkwiała w nim lodowate spojrzenie. Wyglądała przepięknie w zbyt kownym, mieniącym się złotem i perłowym różem kostiumie, ale to była tylko zewnętrzna powłoka, jej wnętrze zaś wrzało emocjami. Przez chwilę patrzyła na niego i mimo iż to szalenie banalne, to tak – gdyby wzrok mógł zabijać, on leżałby teraz tak martwy, jak tylko trup martwy być może. Potem odwróciła się od niego, włożyła maseczkę i wyszła w rozbawioną karnawałowym szaleństwem noc. Nie powiedziała ani słowa. Nie odpowiedziała na jego zarzut, nie krzyczała, nie broniła się – po prostu wyszła.

Wściekłość kolejnej porażki kipiała w Bogusławie niczym gorące źródło i pewnie sparzyłby się w nim na amen, gdyby nie opanowana do perfekcji umiejętność trzymania na wodzy dzikich emocji. Oparł się o framugę drzwi i chwilę stojąc w bezruchu na progu tarasu, słuchał odgłosów miasta, potem odetchnąwszy głęboko, we własnym sumieniu zaczął od nowa roztrząsać miniony spór. Rozumiał racje Jagienki. Faktycznie byli wędrowcami, którzy nie powinni zagrzewać miejsca. To nie była tylko ich natura – to był osobliwy, podświadomie działający instynkt samozachowawczy. Prawdę powiedziawszy, nie znał wampira, który

osiedliłby się na stałe. Dlaczego więc tak bardzo chciał się temu przeciwstawić? Byli tu od kilku tygodni, może więc powinien cieszyć się tym, co już dostał i nie oczekiwać więcej? W każdym razie, na razie? Zresztą, czy to ma znaczenie gdzie i jak długo? Ważne, że z nią – z jego jedyną miłością. Właśnie tak – to było najważniejsze. Chryste! Jak mógł rozpętać tę bezsensowną sprzeczkę, po raz kolejny poruszając drażliwy temat? Jak mógł ją skrzywdzić tak okrutnymi słowami? To było podle i trzeba to naprawić. Przyznać się do winy i przeprosić – tłumaczył sobie. Proste. Trzeba tylko wyjść i odnaleźć Jagienkę, a wtedy wszystko wróci na swoje miejsce. Musi.

Zarzucił na ramiona czarną pelerynę, włożył trójkątny kapelusz i maskę i ruszył w miasto, między płaszące pospólstwo.

Od czasów średniowiecza apogeum weneckiego karnawału przypadało na dni pomiędzy tłustym czwartkiem, a wtorkiem przed Popielcem. Co prawda przebierańcy zaczęli wychodzić na ulice już w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, jednak od Trzech Króli przybywało ich tak wielu, że trudno było uniknąć zamętu. A że najczęściej bajkowych postaci bawiło się na placu Świętego Marka, dlatego najpierw tam skierował swe kroki przekonany, że szybko ją odnajdzie.

Plac Świętego Marka – od wieków główna scena karnawału, miejsce nieustającej zabawy i rewii bajkowych kostiumów, gdzie rozbawiony tłum kłębił się, świętując z rozmachem. Jednak w tym labiryncie kolorowych postaci trudno było dostrzec pojedynczą osobę, nawet mając ponadprzeciętny wzrok. I choć Bogusław wierzył, że odnalezienie Jagienki, to tylko kwestia chwili, a potem znowu będzie jak dawniej, nie mógł jej odnaleźć. Kiedy poczuł w sercu dojmujący chłód, a zaraz po nim silne ukłucie lęku – cudzego lęku, zamarł. Jagienka! – krzyknęła jego przerażona podświadomość, ale w tym momencie wrażenie zniknęło, pozostawiając jedynie podejrzenie pusty spokój. Pokręcił energicznie głową, by strząsnąć nieprzyjemne wrażenie. To śmieszne – skarcił swoją przesadną nerwowość. Był pewien, że Jagienka nie będzie go nękać negatywnymi emocjami. I bez znaczenia, że po sprzeczce z pewnością wykrzykiwały jej frustrację – mieli przecież umowę. Umowę, w myśl której nigdy nie ingerowali w świadomość partnera. Do tej pory święcie tego przestrzegali, dlaczego więc dziś miałyby być inaczej? Szedł zatem, przeciskając się przez malowniczy tłum i usilnie przyglądał każdej niewysokiej, rudowłosej kobiecie, która choć po części przypominałaby jego Jagienkę.

– Buongiorno signora maschera!³ – zawołał radośnie, dostrzegłszy rude loki opadające swawolnie na krągłe ramiona niewysokiej niewiasty. – Cholera! – zaklął niemal natychmiast, bo rudowłosa dziewczyna odwróciła się do niego i odsłoniła maseczkę. To nie była jego Jagienka, a szeroki uśmiech, jaki mu posłała, tylko go zirytował. Odkiwnął lakonicznie i nie wdając się w wyjaśnienia, ruszył dalej.

Wiele godzin później świt nadchodził wielkimi krokami, a jej nadal nigdzie nie było. Również w okolicy, w której zazwyczaj się pożywiali. Więc choć uważał, że to daremne, Bogusław zapuścił się jeszcze głębiej – w wąskie, nieprzystępne, napawające lękiem uliczki – w rejon miasta, w którym typy spod ciemnej gwiazdy i rynsztokowe męty spozierały głodnymi oczami, w których czaiły się napawające lękiem pragnienia. Nawet oni omijali te miejsca szerokim łukiem, czego więc samotna Jagienka mogłaby tutaj szukać? Ale przecież powinien zajrzeć wszędzie, znaleźć ją i wyjaśnić, przeprosić... Szukał więc dalej, również w tak odludnych i obmierzłych miejscach. I kiedy kompletnie zrezygnowany postanowił wrócić do willi i tam czekać jej powrotu, zobaczył rąbek tkaniny. Suknia Jagienki! – jęknął w myśli, a dziwne, lodowate przecucie liznęło jego czujną podświadomość. Wytężył swój doskonały wzrok – sukienka wyglądała, jakby ktoś porzucił ją w ciemnym zaułku. Ale przecież to tylko chore podszepty wyobraźni – uspokajał się. Bezskutecznie – zanim zdał sobie z tego sprawę, nerwowym ruchem zdarł z twarzy maskę i przyspieszył kroku, by w mgnieniu oka dotrzeć do

kamienicy, w bramie której leżał kawałek Jagienkowego stroju.

– Nieceee! – zawył, chowając twarz w dłonie. – Nie, nie, nie, nie... – szeptał nieprzerwanie, nie odsłaniając oczu, choć wiedział, że w końcu musi spojrzeć na makabryczną scenę, rysującą się u jego stóp.

Pomału odjął dłonie i pochylił głowę. Jagienka leżała, karykaturalnie rozciągnięta w zaułku bramy, z piersią przebitą kołkiem dokładnie w miejscu nieżyjącego od setek lat serca. Rana nie krwawiła – nigdy nie krwawiły. Jej piękna suknia była w strzępach od pasa w górę, a na obnażonym prawym ramieniu widniał wycięty sztyletem znak równoramiennego krzyża z sześcioramienną gwiazdką na szczycie piętna. Symbol był graficznym znakiem hasła-idei bractwa IN NOMINE PATRIS i głosił: „W imię wiary! We wszystkie strony świata!”. Obok bestialsko sponiewieranego korpusu stała odcięta głowa, a jeszcze przed chwilą piękne włosy tonęły teraz w odrażającej kałuży krwi.

Po raz kolejny dojmujący chłód przeszył ciało wampira, a uczucie niezmiernie pustki zawładnęło jego duszą. Ale tym razem to był jego chłód i jego pustka. Tylko jego. Już nigdy więcej dzielenia emocji, słuchania myśli... więzi. Przerazające! To nie mogła być prawda. Nie! Nie! Nie! Po stokroć nie! – łkała jego dusza. Nie teraz i nie tu, w tym mieście, w którym jeszcze niedawno widział szczęśliwą przyszłość dla nich obojga. Jakże okrutnie się mylił. Los zadrwił z jego marzeń w najstraszliwszy ze sposobów – odbierając mu sens istnienia.

Świt zaczął mrowić Bogusława, który opętany rozpaczą, zdawał się nie przejmować bliskim zagrożeniem. Ale czy mógł teraz myśleć o własnym bezpieczeństwie? Czy mógł tak ją zostawić? Nie – nie mógł porzucić ciała ukochanej. Nadciągający świt niósł co prawda obietnicę bezproblemowej, szybkiej atomizacji wampirycznych szczątków, ale przecież to była jego kobieta, jego wielka, pierwsza i jedyna miłość – nie mógł pozostawić jej na pastwę słonecznych promieni. Nikt, kto kochał prawdziwie, nie porzuca ciała, nawet jeśli jest tylko wampirem. A on nie był tylko wampirem – przecież tak bardzo pragnął zachować choćby pozory człowieczeństwa. Godny pochówek – to wszystko, co mógł jej teraz dać i tego właśnie zapragnął dla swojej Jagienki.

Uniósł piękną, ale jakże teraz nierzeczywistą w swym przerażonym wyrazie twarzy głowę i z pietyzmem ułożył na nagiej piersi. Potem zdjął z siebie pelerynę, położył na niej Jagienkę i poskładawszy na zbezczeszczonym ciele rozerwane strzępy tkaniny, szczelnie otulił ukochaną czarnym całunem. Wziął ją w ramiona. Nie wiedział dokąd pójść. Nogi same go niosły i nim się zorientował, stał na rozległym tarasie ich willi. Ułożył wiotkie ciało na kutym szezlongu pokrytym zbyt kownymi poduchami i rozejrzał się dookoła. Pustka i dalekie odgłosy karnawałowych uciech były jego towarzyszami w niedoli.

Tak, to dobre miejsce – pomyślał. Chwycił palącą się w przyściennym uchwycie pochodnię, po czym podpalił prowizoryczny katafalk.

Dzisiaj karnawał trwa zaledwie dziesięć dni – pomyślał – ale czy to uratowałoby moją Jagienkę? Z zamyślenia wyrwały go głośnie huki odpalanych fajerwerków, otwieranych butelek szampana i okrzyki wiwatujących ludzi. Bogusław uśmiechnął się, spoglądając dokoła. Poznańskie niebo błyszczało feerią barw, a ludzie ściskali się i składali sobie życzenia. Nuta udręki, która, mimo upływu trzech wieków, nadal grała w jego wnętrzu, reagując na wstrząsające wspomnienia, ucichła pod siłą płynących zewsząd, radosnych emocji tłumu. Postanowił podejść bliżej kobiet i niby mimochodem zagadnąć, składając noworoczne życzenia. Spojrzał w stronę sceny, gdzie jeszcze przed chwilą stały. Cholera – jęknął. Nie było ich już. Zaczął nerwowo rozglądać się w poszukiwaniu rudych loków w szarej, krasnalowatej czapce, ale nie mógł ich

nigdzie dostrzec. Kolejna kobieta rozplywajaca się w tłumie – pomyslał posepnie. Czy naprawde nie będzie mi już nigdy dane zaznac szczęścia? Jak długo jeszcze będę musiał jej szukać? Tego nie wiedział. Wiedział tylko, że po raz kolejny wśród wiwatujacego, radosnego tłumy runęły jego marzenia.

Rozdział 17

Siedzieli rozparci na wygodnej kanapie, czekając na Chwalimira. Otto kręcił się na boki w obrotowym fotelu za biurkiem i przeglądał jakieś zapiski, a Marek obchodził pokój wzdłuż ścian, przyglądając się wnikliwie pokaźnemu księgozbiorowi. Taki księgozbiór przyprawiłby o zawrót głowy niejednego bibliofila, nic więc dziwnego, że jedyną reakcją na jaką mógł się zdobyć skromny łowca, było wymowne milczenie.

– Nie wiem, jak mam to rozegrać – mruknął Leon, pochylając się w stronę siedzącego obok Bogusława.

– Ale co?

– No, tę sprawę z samorodkiem. Nie mogę tego tak po prostu zostawić. On musi mi się z tego wytłumaczyć.

– Nie musi. I ciesz się, że masz swoje miejsce na jego terytorium. Ale to twoja sprawa. – Stary wampir wzruszył ramionami. – Zrobisz, jak uważasz.

– Jak to nie musi?! Tyle dziesiątków lat tu tkwię, a on mnie nawet nie uświadomił.

– Jak by ci naprawdę zależało, żeby poznać swoje pochodzenie, to byś tego dociekał wcześniej. Nie bądź hipokrytą, Leon. Żyłś sobie tutaj jak pączek w maśle, pod skrzydłami najpotężniejszego władcy w kraju przez prawie sto lat i ani razu nie przyszło ci do głowy, żeby zastanowić się dlaczego masz takiego farta, a teraz nagle chcesz od niego wyjaśnień? Daj spokój. Pogadaj z nim jeśli chcesz, zadaj kilka pytań, ale nie szalej. Trafiłeś najlepiej, jak mogłeś. Nie spieprz tego, bo w przeciwnym razie zostaniesz outsiderem, a wtedy już tylko krok, byś znalazł się na czarnej liście łowców... i do odstrzału. Dobrze wiesz, że bez klanu nie przetrwasz.

Leon milczał. Wiedział, że przyjaciel ma rację, a jednak nowa wiedza ciążyła mu niczym kamień uwiązany u szyi topielca, choć tak naprawdę nie potrafił powiedzieć dlaczego. Przecież nic się w jego życiu nie zmieniło. Właściwie powinien być wdzięczny opatrności, że tak potoczyły się jego losy, skoro już znalazł się po „ciemnej stronie”.

Siedzieli więc i milczeli, pograżając się we własnych myślach.

Ich świat funkcjonował w ezoterycznym kręgu na obrzeżach ludzkiej rzeczywistości i nic nie wskazywało, by kiedykolwiek miało się to zmienić. Zachowanie status quo było dla Rodzaju priorytetem. Jak dalece wampiry były skłonne chować swoje istnienie w tajemnicy przed resztą świata, mogli się przekonać, prowadząc obecną sprawę. Bogusław wierząc, że podobnie otwartych jak on kainitów jest więcej, niejednokrotnie myślał o konieczności rozluźnienia hermetycznie szczelnych granic dzielących oba światy. Niestety – skrajny konserwatyzm poglądów był wciąż główną cechą jego gatunku. Jak Bóg da, właśnie zaczynał się kolejny rok ich bezkresnej egzystencji, a oni nie mieli pomysłu, co w niej zmienić. Nawet nie próbowali tego przeanalizować. No, może nie wszyscy – w głowie Bogusława wciąż krążyły obłąkańcze myśli o stałym związku z ludzką kobietą i rodzinie, jaką wraz z nią i jej dziećmi mogliby stworzyć. Paranoja? – miał nadzieję, że jednak nie.

– Witam, witam! – zawołał Chwalimir, zamaszystym krokiem wchodząc do biblioteki. – Nie mam zbyt wiele czasu, więc przejdźmy od razu do sedna – zakomenderował. – Co słychać na północy?

– To doskonale zorganizowana grupa – zaczął Bogusław bez zbędnych wstępów. –

Wiedzą w czym rzecz i jak się przed tym bronić. W zasadzie nie ma potrzeby ich nadzorować.

– Świetnie. Rozumiem, że współpraca z nimi będzie przebiegać bez problemów.

– Tak sędzę. Właściwie jestem tego pewien.

– To doskonale. Ale nie oczekiwałem aż tak zwartej relacji. – Przez królewskie oblicze

przemknął enigmatyczny uśmiezek. – Może więc teraz trochę obszerniejsza wersja? – zaśmiał się pobłażliwie.

Nieco zdumiony cokolwiek luzackim zachowaniem monarchy Bogusław streścił przebieg pobytu na Ziemiach Północnych. Opowiedział o serdecznym przyjęciu, otwartej współpracy, wizycie w leśnym ośrodku i w końcu o tym, co tam zastali.

– Marek dokonał dokładnych oględzin ciał. Po raz pierwszy mógł to zrobić – dodał na zakończenie.

– Nie miałeś wcześniej takiej możliwości? – spytał Chwalimir, nie kryjąc zaskoczenia. – Nie wiedziałem.

– Nie, nie miałem. Byłem jedynie na weryfikacji w celu rozpoznania zwłok siostry, ale pod policyjną eskortą trudno by było przeprowadzić wnikliwe oględziny. Poza tym... nie to miałem wtedy w głowie.

– No tak. Zrozumiałe. Jakież wnioski z tych oględzin?

– Właściwie żadnych. Poza tym, patrząc na to, co do tej pory zabójcy wyprawiali z ofiarami, pewnie trudno im w tym zakresie bardziej... – łowca zawiesił głos i wydymając usta w dziwnym grymasie, przewrócił oczami, jakby szukając właściwego słowa – rozwinąć skrzydła – dokończył. – Zmasakrowane, sponiewierane ludzkie ciało, rytualnie sprawione ciało wampira. – Wzruszył ramionami. – Trudno tu o jakieś rozleglejsze pole do popisu – drwił kąśliwie. – Jednak musiałem się przekonać, czy na pewno nic się nie zmieniło.

W czasie, gdy Bogusław z Markiem zagłębiali się w szczegóły niedawnej wizyty w Sopocie, Leon siedział z marsową miną, a jego myśli krążyły daleko poza dyskutowanym obszarem. Czasami, jakby wracając do rzeczywistości, spoglądał na kumpli, by po chwili znów odpłynąć na dalekie wody swych rozmyślań.

– Dobrze. – Chwalimir powiódł po nich wzrokiem. – W takim razie zostawiam was z tym zadaniem. Mam nadzieję, że w końcu nastąpi jakiś przełom i dorwiemy wreszcie tych drani. – Podniósł się z miejsca i ruszył w kierunku drzwi z zamiarem wyjścia z biblioteki.

– Wasza Wysokość. – Leon miał niewyraźną minę. – Chciałbym zamienić słowo. Jeśli można.

Bogusław z Markiem spojrzeli na młodego, a potem znacząco na siebie. Doskonale wiedzieli, jakie „słowo” chciał zamienić Leon. Wariat. Nie przy ludziach. To może być jatka. Powinien poczekać na stosowny moment. Idiota. Karcące myśli Bogusława gnały w urywanych zdaniach, a obawa o właściwe rozegranie przez przyjaciela tej delikatnej sprawy zaczęła mu zalegać na żołądku niczym niestrawna potrawa. W powietrzu zawisło złowieszcze milczenie, a potem Chwalimir spojrział na Leona i pokiwał znacząco głową.

– Wasza Wysokość? Hmm. Coś się święci. – Na twarzy monarchy pojawił się wieloznaczny grymas. – A tak się zastanawiałem, co też się stało z naszym małym, że taki dziś poważny i milczący. Dobra, Leon. Zamienimy... słowo. Jak skończycie, wejdź do mnie, rozwiążemy twój problem. – Ledwie zauważalnie skinął głową i wyszedł.

Zdecydowane „uff” poniosło się po gabinecie, gdy dwaj targani niepokojem mężczyźni wydali jednoczesne westchnienie głębokiej ulgi. W tym czasie sprawca tej niecodziennej sytuacji siedział w bezruchu niczym posąg i gapił się w zamknięte drzwi z nieskrywaną wściekłością. Jedynie Otto, wiedziony dotkliwą nieświadomością, zachowywał stoicki spokój.

– Ty idioto – warknął Bogusław.

– To jednak bardzo mądry król – wymamrotał jednocześnie Marek, powoli cedząc słowa, z niedowierzaniem kręcąc przy tym głową.

– Dobra, rozumiem, że nazwałeś mnie idiotą, ale tego o bardzo mądrym królu nie czaję. – Leon wykazywał szczeniacką nonszalancję.

– Nie czaisz? To ci powiem. – Łowca kipiał z irytacji. – Trzeba być cholernie opanowanym i roztropnym, by w sytuacji, w jakiej go postawiłeś nie zacząć od razu dociekać, o co chodzi. A wiesz, czym by się to skończyło?

– Yhmm, Chyba wiem, co masz na myśli. – Młody zaczął wymiękać.

– Stary, on ci wyświadczył przysługę. Gdyby to przybrało zły obrót na forum... nie miałbyś szans. Wygnanie to najdelikatniejsze co mogłoby cię spotkać za zniewagę monarchy – tłumaczył Bogusław. – Ale on poszedł ci na rękę. Na osobności... nikt nie będzie wiedział, jak się to potoczyło. Cholera! Nie przypuszczałem, że jesteś aż tak głupi.

– Czekajcie, chłopaki, co jest grane? – Otto wstał z fotela za biurkiem i podszedł do klubowych kanap, by usiąść bliżej nich.

Zapadło niezręczne milczenie. Żaden nie kwapił się z odpowiedzią.

– Do cholery, Bogusław! Co jest grane?

– Nie jestem upoważniony, by ci odpowiedzieć.

– Co?!

– Nie patrz tak na mnie. Sprawa mnie nie dotyczy. Nie mogę decydować, czy masz prawo o niej wiedzieć czy też nie.

– Leon, o co chodzi? Mów!

Leon niepewnym wzrokiem powiódł po twarzach kumpli, szukając w nich wskazówki. Bez powodzenia.

– Leooooon – wycedził Otto przez zaciśnięte zęby. Zdecydowanie tracił już cierpliwość.

– Co?! – warknął młody. – Nie wiem, czy chcę ci powiedzieć. Sam nie wiem, co mam z tą wiedzą zrobić. Może powinienem jednak najpierw omówić to z Chwalimiem?

– Ale, do cholery... co?!

– Że jestem samorodkiem – wystękał w końcu odpowiedź, zwieszając przy tym głowę jak przyłapany na psocie dzieciak.

– Aaaa, to. – Otto opadł swobodnie na kanapę, a jego, do tej pory, skrajnie napięte mięśnie wyraźnie się rozluźniły.

Ja cię pieprzę! Że co?! – Bogusława zatkało. Chwila bolesnej konsternacji zapanowała niepodzielnie w bibliotecznym gabinecie. Odnosiło się wrażenie, jakby jej władza miała się rozpanoszyć na długo, nie dając odetchnąć. W kominku trzaskały kolorowe płonienie, za oknem prószył śnieg, czas pomału odmierzał swoje niekończące się tik-tak, a oni nie znajdowali słów, by zareagować. I tylko Otto zdawał się nie dostrzegać kuriozalności sytuacji.

– Aaaa, to? – Leon w końcu odzyskał mowę. – Aaaa, to?! Chcesz powiedzieć, że o tym wiedziałeś?

– Oczywiście. Jestem prawą ręką króla, wiem o wszystkim – jakby nigdy nic skwitował Otto. – Taka moja rola – dodał, poniekąd tłumacząc się, bo wykrzywione konsternacją oblicza chłopaków zdawały się zastygnąć w dziwnym grymasie niczym groteskowa twarz batmanowego Dżokera.

– Oczywiście? Taka twoja rola? – Leon wciąż nie mógł uwierzyć. – To ja od prawie stu lat tułam się po świecie z kłami i permanentną pokusą krwi, nie wiedząc, ki czort jest za to odpowiedzialny, a ty mi mówisz... oczywiście?! – Emocje zaczęły w nim narastać i tylko cienka linia samokontroli dzieliła go od wściekłego wybuchu. – Karl też wie?

– Nooo... wie. – Otto wzruszył ramionami. – W końcu to drugi doradca króla.

– Kurwa! Za chwilę się okaże, że cały Mroczny Świat o tym wie, tylko ja jak ten idiota żyłem w nieświadomości.

– Leooooon... – zaczął uspokajać Otto. – Zrozum, że my z Karlem wiemy wszystko. Powiedziałem ci. Taka nasza rola. A tak w ogóle, to nie wiem, z czym masz problem. Z tym, że

jesteś lepszy od innych? Że pozycję, na którą inni pracują setki lat, ty dostałeś od losu na dzień dobry, wcale się o nią nie starając? Zanim zrobisz Chwalimirowi piekło i narazisz się na wylotkę, dobrze to sobie przemyśl.

– Ustaw się w kolejce, jeśli chcesz mi prawić kazania. Nie jesteś pierwszy, który poczuł powołanie.

– Dobra. Jak chcesz. Ale żebyś potem nie mówił, że cię nie ostrzegałem.

– Skończyły się słuszne rady? To zostawcie mnie w spokoju, okej?

– Nie ma sprawy – skwitował Bogusław i odwracając uwagę od cholernie wkurzającego Leona, wrócił do śledztwa.

Dobre trzy godziny później wciąż siedzieli w bibliotece, dyskutując nad sprawą, zostawiając Leona z jego myślami i planami rozprawienia się z królem. Woleli się nie zastanawiać, na kogo padłby ich typ, jeśli mieliby obstawiać w tej potyczce. Lubili Leona i chcieliby mieć go wśród siebie jeszcze przez długi czas, ale czy młody raptus będzie umiał trzymać swój porywczy temperament na wodzy?

– Poczekamy na ciebie w domku gościnnym. – Bogusław klepnął go w ramię w pokrzepiającym geście, gdy opuszczali bibliotekę.

– Chcecie sprawdzić, czy wrócę w jednym kawałku? – zadrwił Leon, odzyskując dawny rezon, co z pewnością dobrze wróżyło czekającej go rozmowie.

– Ja i tak zostałem tam zakwaterowany – odpowiedział Marek z udawaną obojętnością. – Bogusław może dotrzymać mi towarzystwa. A w razie gdybyś wrócił w kiepskim stanie... – uśmiechnął się szelmowsko – będziemy razem opatrywać twoje rany.

– Spadajcie, mięczaki. Idę na męską rozmowę – rzucił Leon i z zawadiackim uśmiechem zasalutował w geście pożegnania, po czym odwrócił się i wyszedł, kierując się w stronę prywatnych apartamentów monarchy.

W gabinecie, za zamkniętymi drzwiami pozostał osamotniony Otto, który miał jeszcze sporo do zrobienia, nim nadejdzie świt.

– Faktycznie martwisz się o Leona, że chcesz na niego poczekać? – dopytywał łowca, kiedy ruszyli w stronę gościnnego domku.

– Niezupełnie. Raczej chcę z nim o czymś pogadać. A że smarkacz wyrwał się z tym swoim... syndromem adoptowanego dziecka, tooo... – Bogusław zawiesił głos w nadziei, że Marek zrozumie to, czego nie dopowiedział.

Marek rzeczywiście pokiwał głową, rozumiejąc i dalszą, acz krótką drogę przebyli w milczeniu.

Domek gościnny powitał ich przytulnym ciepłem. Przyjemne wrażenie, zwłaszcza gdy za oknem panowała nieprzyjazna, styczniowa aura.

Od powrotu z Ziemi Północnych stale przebywali na terenie rezydencji. Jedynie Bogusław wracał do siebie na dzień, by wieczorem znów zjawić się na Chybach, po drodze zahaczając oczywiście o Jerzyce i ulicę Prusa.

Co noc pracowali nad sprawą – pomału, mozolnie, ale krok po kroku posuwali się naprzód. Spływające ze wszystkich ośrodków raporty oraz kontakty mailowe i telefoniczne rzucały na śledztwo coraz jaśniejsze światło.

– Nalać ci? – zapytał Marek, otwierając lodówkę.

Gość ma jakiś osobliwy zwyczaj proponowania napitki za każdym razem, gdy przebywam w jego towarzystwie. Boi się czy co? Ile można się pożywiać, do cholery? – Sławek wiódł wewnętrzny monolog.

– Nie, dzięki – odpowiedział. – Poczekam jeszcze trochę, a jeśli Leon nie zjawi się... – automatycznie spojrzął na zegarek – w ciągu godziny, to spadam.

Nie wyobrażał sobie, by mógł odpuścić jazdę na Jeżyce, a do świtu zostało niewiele czasu. Tak w ogóle była to jakaś chora, paranoiczna sytuacja – doskonale zdawał sobie sprawę, że nikt przy zdrowych zmysłach nie spaceruje o tej porze po ulicach, dlatego więc ona miałaby to robić, a jednak ciągnęło go tam stale, i stale, i stale.

Gdy Bogusław siedząc na kanapie, niewidzącymi oczami wpatrywał się we włączony telewizor i błądził myślami po ciemnych zaułkach swojej świadomości, Marek krzątał się po kuchni, przygotowując sobie coś do zjedzenia. Odkąd zacieśnił swe kontakty z nieumarłymi jego cykl dobowy uległ drastycznemu załamaniu i teraz wszystkie czynności wykonywał o kompletnie durnych porach. Kolacja o trzeciej nad ranem? Nie ma sprawy – pora dobra, jak każda inna.

– Hej! – zawołał Leon, wchodząc.

Pojawienie się młodego wampira wyrwało ich z rozmyślań i błądzenia po własnych światach.

– Zapadliście w letarg czy co? Co tu tak cicho?

– Nie pytaj, co tak cicho, tylko lepiej mów jak rozmowy. Jesteś jeszcze jednym z nas, czy mamy pomóc ci się pakować?

– Oj Marek, Marek. Skąd w tobie taka słaba wiara w uzdrawiającą moc rozmowy?

– No, mały – zagadnął Bogusław. – Widzę, że znów wróciłeś na właściwy tor. A już się bałem, że zostaniesz takim smutasem na następnych kilka dziesięcioleci.

– Nie bój sieee. Ja smutasem? Wykluczone – Leon zaśmiał się radośnie i spoglądając na kolegów, podszedł do lodówki.

– Nalać ci? – rzucił w kierunku Bogusława. O Marka nie trzeba było się troszczyć, bo ten właśnie w najlepsze pałaszował swoją kolację z widelcem w jednej, a książką w drugiej ręce. Zdecydowanie facet umiał o sobie zadbać.

– Dzięki, nie czuję głodu. – Bogusław przewrócił oczami. Co oni mają z tym żarciem? – Zresztą, Marek już mi proponował. Ale ja właściwie... to tu nie jestem w celach towarzyskich.

– Nie? – spytał nieco rozproszony Leon, grzebiąc w lodówce. – Na pewno się nie skusisz? – Wychylił się zza wciąż otwartych drzwi chłodziarki i zamachał niewielkim woreczkiem w stronę kumpla, jakby przelewająca się wewnątrz czerwona ciecz miała wpłynąć na jego decyzję.

– Nie, dzięki. I nie, nie jestem tu w celach towarzyskich – odparł dobitnie Sławek, uściślając, by udzielić wyczerpującej odpowiedzi na Leonowe „nie?”. – Mam sprawę. – Zrobił krótką pauzę, jakby zastanawiał się od czego zacząć. – Właściwie chciałem o tym pogadać tylko z tobą, ale skoro Marek tu jest... to może i lepiej.

– No to mów, o co chodzi, bo zaczynam się niepokoić. Nigdy nie byłeś jakoś szczególnie szalony, ale ostatnio stałeś się skrajnie niemrawy, a teraz jeszcze to. Cedzisz coś trzy po trzy. Chłopie, wyrzuć to wreszcie z siebie i będzie po sprawie.

– No, nie jestem taki pewien. To poważniejsza sprawa, więc chyba tak łatwo nam nie pójdzie.

– Dobra. Mów – rzucił zniecierpliwiony Marek, który, zaintrygowany enigmatycznym wstępem Sławka, przestał nawet dłużyć widelcem w swojej kolacji. – Zachowujesz się równie psychodelicznie jak wcześniej Leon.

– Okej, masz rację. Nie musicie wyciągać ze mnie informacji siłą. W końcu sam tu przyszedłem, żeby pogadać. A więc... sędzę, że skoro teraz de facto spędzamy ze sobą dziewięćdziesiąt procent czasu, to powinniście wiedzieć, że... zakochałem się – rzucił przelotne spojrzenie lekko oniemiałym słuchaczom. – Właściwie... „zakochałem się” to cholerne niedomówienie. Oszalałem na jej punkcie. Nie ma chwili, bym o niej nie myślał, nie mogę poruszać się swobodnie, by nie zahaczyć o ulicę, na której mieszka. To jest jakiś obłąd. Jeszcze nigdy się tak nie czułem, dlatego musiałem wam to powiedzieć.

Łowca i młody wampir z opadniętymi szczękami popatrzyli na siebie niepewnie – w życiu nie spodziewaliby się takiego wyznania. Spokojny, zawsze opanowany, prawie że nudny w swej przewidywalności Bogusław, nie wydawał się być facetem, którym targają takie emocje. A skoro zdobył się na ten krok i powiedział im o swoich rozterkach, to znaczy, że był naprawdę zdesperowany. Dlaczego?

– Nooo, stary. To wyznanie mnie powaliło – nie cackając się z kumplem, wypalił Leon, ocknąwszy się z osłupienia. – W życiu bym cię o coś takiego nie podejrzewał. Mów, co to za super laska. Pewnie jakaś ponętna tysiactlatka o figurze lalki Barbie z przepięknymi kłami. Takie potrafią zawrócić w głowie. Podobno są najgorętsze – żartował.

Bogusław milczał, a po jego głowie snuły się mgliste myśli. Rozumiał, że Leon myślał o wampirzycy, jakże mógłby pomyśleć inaczej. Bo choć z jednej strony łączenie się w pary było wśród nich czymś skrajnie rzadkim, to jednak podejrzenie, by tak silnie zaangażował się w śmiertelną kobietę, z pewnością nigdy nie zaświtałoby w głowie Leona. Cholera, to było takie trudne, siedzieć tu i wywnętrzać się przed nimi. Co właściwie strzeliło mu do głowy? To chyba był głupi pomysł, żeby już im o tym powiedzieć – stwierdził w końcu. No bo... jeśli nic z tego nie wyjdzie? Jeśli ona nigdy nie stanie na tyle blisko na mojej drodze...? Kurde! Ale teraz nie ma już odwrotu. Trzeba powiedzieć „b”.

– Nie, Leon – odezwał się w końcu. – To nie jest lalka Barbie, nie ma tysiąca lat i nie ma przepięknych kłów. Właściwie... nie wiem ile ma lat, nie przyglądałem się też jej zębom. W ogóle mało o niej wiem.

– No coś ty? – Leon wyraźnie się zaniepokoił. – Jak możesz interesować się laską do szaleństwa i mało o niej wiedzieć?

– Tak wyszło

– Tak wyszło? Nie rozumiem cię, ale okej, to twoje szaleństwo. To może chociaż wiesz, z jakiego jest klanu?

Znów zapanowało milczenie, ale tym razem Bogusław nie ociągał się tak bardzo z odpowiedzią. Wiedział, że za „b” musi nastąpić „c”, a może w efekcie i cały, pieprzony alfabet, bo teraz to już mu Leon nie popuści.

– Nie należy do klanu – prawie wyszeptał, a wzrok miał wbity w podłogę niczym pensjonarka przyłapaną na potajemnej schadzce.

W tym momencie, skupiony do tej pory Marek przymknął oczy i cichym „hmmhmm” zaczął się niemal histerycznie śmiać.

– Czego rżysz? – wkurzył się w końcu Leon, gdy kumpel nie przestawał chichotać.

Łowca otworzył oczy i spoglądając to na Bogusława, to na Leona, dalej zanosił się coraz donośniejszym śmiechem.

– To człowiek! Cholera! To człowiek! – wyjęczał w końcu w pauzach pomiędzy salwami śmiechu. – To ludzka kobieta. Powiedz, że się mylę – rzucił Bogusławowi wyzwanie, wciąż nie przestając się śmiać.

– Nie powiem – wyszeptał ten niepewnie.

– Żartujesz, tak? – Z kolei piekielnie poważny Leon nie dopuszczał takiej możliwości. – Powiedz, że żartujesz.

– Nie, to faktycznie ludzka kobieta.

– Kurwa! – Młody przewrócił oczami. – Odwaliło ci?! Teraz, jak nasz pierdolony świat wywraca się do góry nogami z powodu mieszanych związków, ty zakochujesz się... w ludzkiej lasce?

– Cóż...

– Cóż?! I to wszystko?! Cóż?!

Leon szalał, niemal wrywając sobie włosy z głowy z niedowierzania, osłupienia, bezradności. Choć zdecydowanie bardziej wolałby rwać włosy z głowy Sławka, a najlepiej od razu w całości ukreć łeb kretynowi, zanim ktoś inny weźmie sobie to do serca i odetnie mu tę głupią łepetynę bezwzględny ostrzem na amen. W tym samym czasie Marek mocno się wysiłał, by panować nad swym doskonałym humorem, który rozkręcał się i przybierał na sile wraz z rozkręcaniem się ekscytacji i frustracji Leona. Wbrew krańcowej dezaprobachie młodego wampira, łowca nie upatrywał w fascynacji Bogusława katastrofy na miarę Armagedonu.

– No, a co mam ci powiedzieć? – Bogusław zachowywał stoicki spokój. – Może powinienem pójść do psychoanalityka?

– Nooo, super! I co mu powiesz? Panie doktorze, jestem do szaleństwa zakochany i właściwie nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że jesteśmy z moją wybranką w pewien sposób... niekompatybilni. Mamy zdecydowanie różne upodobania... żywieniowe, no i ja mam troszkę dłuższe i ostrzejsze ząbki, można by powiedzieć, że to właściwie kielki, a poza tym jak się napalę na laskę i ostro pobzykam, to lubię sobie potem wziąć coś... na ząb i prze... kąsić.

Sarkazm wylewał się z Leona strumieniami, a rozbawiony tym Marek, rżał głośno, niemal ślaniając się ze śmiechu. Groteskowość sytuacji przechodziła jego wszelkie wyobrażenia. Najzabawniejsze, że będący zawsze górą Bogusław, kulił się teraz pod srogimi cięgami przyjaciela, którego zawsze traktował jak niesforne, młodszego brata, a Leon stał nad nim i gromił go niczym rozindyczony rodzic, któremu nie pozostaje już nic innego, jak tylko metodą łopatologii wlać bezmyślnemu dzieciakowi olej do głowy.

– Ty lepiej od razu załatwiał dla was miejsce w leśnym ośrodku Błażeja, może was przygarnie. To jedyne miejsce, które jest w stanie zagwarantować wam bezpieczeństwo. Nawet tu nie będziecie tak chronieni.

– Odpada.

– Bo?

– Leon, daj spokój. Powiedziałem „odpada” i już.

– Nie kupuję tego. Mów, dlaczego odpada. Ale już.

– Leon, ja jej jeszcze nie znam, nawet słowa ze sobą nie zamieniliśmy. Marzę o tej kobiecie, pragnę jej, szaleję za nią, ale to wszystko.

– Nadal tego nie kupuję. Skoro mówisz nam o tym, to znaczy, że to nie jest wszystko, że ona jest twoim celem i to tylko kwestia czasu, żebyś ją zdobył. Zresztą wiesz, że jak chcemy, to każda laska jest nasza.

– Okej... są dzieci... – wyszeptał Bogusław, po czym zebrał się w sobie, dokończył:

– Nie mogę jej zamknąć w żadnym ośrodku, bo są dzieci... chyba szkolne.

Szaleńczy ryk Marka oderwał ich trochę od tej, coraz bardziej zagmatwanej konwersacji.

– Jaja sobie robisz?! – Leon też zaczął się podśmiewać. To już nie była poważna sprawa, o nie. To z każdym kolejnym zdaniem coraz bardziej trąciło groteską i to przez wielkie G.

– Nie, nie robię sobie jaj. Są dzieci. Nic na to nie poradzę. Zresztą lubię dzieci. Nie przeszkadzają mi.

– To może jeszcze mąż? – rzucił Leon z sarkazmem i znacząco przewrócił oczami.

– Tak, jest.

– A. – Młody pokręcił głową. Wciąż miotał się po pokoju, a krótkie „A” było wszystkim, na co w tym momencie mógł się zdobyć.

Za to Marek zwił się w konwulsjach, nie mogąc opanować histerycznego śmiechu.

– Nieee, no facet, jesteś dla mnie gościu. Bez dwóch zdań. W życiu bym cię nie podejrzewał o taką fantazję. – W przerwach między poszczególnymi frazami, starał się zapanować nad wstrząsającym nim śmiechem. – Niech uściśnę, bo może coś przeoczyłem. Mamy

tu wampira, który zakochał się w ludzkiej kobiecie, która nic o tym nie wie, ale za to ma dzieci i męża? No naprawdę, jestem pełen podziwu. Nawet obdarzony nie lada fantazją bajkopisarz musiałby nieźle główkować, żeby to wymyślić.

Bogusław miał już dość ich jawnej nagonki. Był tu, by... no właśnie, by co? Przez krótką chwilę zaczął się nad tym zastanawiać. Po prostu chciał im powiedzieć i tyle, a tu niespodziewanie rozpętało się małe piekielko. Musiał to powstrzymać, nim jego kumple zapędzą się za daleko.

– Dobra, macie rację, ale nie wiecie, jak to naprawdę wygląda, więc zejdźcie ze mnie. Okej?!

– Więc oświeć nas. – Leon nie dawał za wygraną.

– Co chcesz wiedzieć? Wszystko już powiedziałem. Jest kobieta, która mnie fascynuje. Tak, ma dzieci i tak, ma męża, tak, jeszcze mnie nie poznała i tak, jestem zdeterminowany, by ją zdobyć. I wiem, że to tylko kwestia czasu, bo jej mąż to palant i dupek. Prędzej czy później jej małżeństwo się rozleci.

– Czekaj, czekaj. – Leon wyciągnął lewą rękę w stronę Sławka, unosząc dłoń w geście wyhamowania. – Skąd wiesz, jaki jest jej mąż?

– Poznałem gnojka.

Powiedzieć, że Marek znów zaczął się dobrze bawić, to niedopowiedzenie roku. Łowca po prostu boki zrywał, gdy dla odmiany Leona zamurowało na amen.

– Że co?! Poznałeś jej męża?! – wybuchł w końcu, nie kryjąc sięgającej zenitu irytacji. – To kobiety jeszcze nie znasz, ale jej męża tak?!

– No... poniekąd.

– No zaje-kurwa-biście – młody zacytował klasyka i uniósłszy dłonie w geście rozpacz, ukrył w nich twarz.

– Może! Gadaj sobie, co chcesz – obruszył się Sławek – i tak ta kobieta będzie moja. Czy wam się to podoba czy nie, zawalczę o nią.

– Mnie się tam podoba – stwierdził pokojowo wyluzowany łowca. Nawet jego wariackie rozbawienie abdykowało po takiej dawce rewelacji. – Jestem z tym obyty. W końcu gdyby nie taki związek, nie byłoby mnie tu. Ale... dobra, doprecyzujmy szczegóły, opowiedz dokładnie, w czym rzecz, ale tak rzetelnie. Nie pomijaj niczego.

Bogusław opowiedział. Mówił o pierwszym spotkaniu, o tym jak wiózł palanta na Rataje, o zdarzeniu w Słodowni i tym co tam zaobserwował, o sylwestrze i wszystkich dniach, kiedy krążył po Jeżycach, byle tylko spojrzeć, jak ona przechodzi ulicą. Gdy skończył, bolesna cisza aż kłuła w uszy, a po wcześniejszym rozbawieniu Marka nie pozostał nawet cień.

– Huston, mamy problem.

– Leon, kurwa mać! Przestań mi tu walić cytatami. Może odrobina konstruktywnego myślenia, co?

– Chcesz konstruktywnego myślenia? Proszę bardzo. Odpuść sobie.

– Już mówiłem. Nie odpuszczę. Gdybym chciał zrezygnować, nie byłoby tej rozmowy.

– Chłopie, ale akurat teraz?! Kiedy nasze łby lecą na potęgę, a z ludzkich partnerów pozostają tylko zmasakrowane ścierwa?! – Leon ryczał z wściekłości, nie akceptując uporu przyjaciela. – Sorry, Marek, że tak dosadnie, ale może obrazowe przedstawienie sytuacji trochę go otrzeźwi – zwrócił się do łowcy, świadom, jak bolesne są dla niego te słowa. – Bogusław wybrałeś sobie najgorszy czas z możliwych, a do tego jeszcze mąż i dzieci. Już nie można wdepnąć w bardziej zagmatwane gównno!

– No, to fakt, stary. Chyba się nieco zapętliliś w tym swoim zakochaniu.

– Cholera, wiem, ale nie mogę odpuścić. Rozumiecie? Nie mogę! Coś mnie do niej

cholernie ciągnie, jakby jakiś instynkt czy co, a zdrowy rozsądek odmawia współpracy. Od tego nie ma odwrotu. I wiecie co? Teraz chyba rozumiem, czym jest potrzeba partnera. Gdy Jagienka mnie przemieniła, była tak zdesperowana, by mieć partnera, że powtarzała próby przemiany, aż w końcu dopięła swego. Ja nie jestem zdesperowany, by posiadać partnera w ogóle, ja jestem zdesperowany, by posiadać ją. Za wszelką cenę. Chyba, że ona mnie nie zechce – dodał po chwili, prawie szepcząc. – Kochałem Jagienkę nad życie, ale tak naprawdę ona nie dała mi wyboru. Zdecydowała za nas oboje. Ja dam tej kobiecie wybór, ale zrobię co w mojej mocy, żeby

...
– Będziesz jej grzebał w mózgu? – walnął Leon bez ogródek, przerywając kumplowi. – To nie wybór.

– Nie, nie będę. Będę zdobywał ją w stary, szarmancki sposób. Dobroć, oddanie, cierpliwość, wyrozumiałość. Wszystko to, czego w małżeństwie z pewnością nie dostaje.

– Kurwa! Stary, na maxa ci odbiło. Daj sobie spokój z tą międzygatunkową hiperintegracją. Nie rozumiesz, że narażasz nie tylko siebie czy ją? Kto wie, jak daleko bractwo jest skłonne posunąć się w swojej zajadłości. Może... zaatakować dzieciaki. Weźmiesz na siebie taką odpowiedzialność?

– Nie zadawaj mi tego pytania Leon, proszę. Myślisz, że się nad tym nie zastanawiałem? Setki razy. I co? I wylądowałem tutaj, z wami... bezradny jak dziecko. Fuck!

– Cóż? – Marek wziął głęboki oddech. Był wyjątkowo spokojny. – Leon, myślę, że Bogusław już więcej zrobić nie może. To i tak wielka sprawa w waszym świecie, tak się publicznie wywnętrzyć. Może faktycznie coś jest z tą determinacją na posiadanie partnera? Bo w końcu, kto by świadomie narażał życie własne i ukochanej osoby bez solidnej przyczyny? My tego nie rozumiemy, bo nas to nie dotknęło. Zresztą wśród ludzi, jak wiadomo, te więzi są dużo luźniejsze i pewnie dopiero poznanie i miłość do kogoś z was budzi w nas pragnienie homogenicznej, nierozzerwalnej więzi. Myślę, Bogusław, że dobrze się stało, że nam powiedziałeś. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, więc możesz na nas liczyć.

– Kuuurwa, to takie ludzkie – zadrwił Leon. – „Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, więc możesz na nas liczyć”, co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że on mógł się szaleńczo zakochać, a naszym zasranym obowiązkiem jest go chronić.

– No pewnie, że będę chronił tę jego durną dupę. I nie potrzebuję do tego patetycznych deklaracji.

– Durna dupa? Niezłe – zaśmiał się Bogusław. – Dobrze, że nie łeb, bo to by oznaczało, że postradałem zmysły.

Marek z Leonem spojrzeli na siebie, na Bogusława, znowu na siebie i zaczęli się śmiać.

– Chłopie! O tym, że postradałeś zmysły, to już nawet nie ma co gadać, więc skoro nie mogę przemówić ci do rozumu, to może chociaż twoja dupa pojmie co nieco.

– Dobra, w takim razie przemawiaj do mojej dupy – zaśmiał się stary wampir, spoglądając na wyszczerzanego młokosa.

– I to by było na tyle – dorzucił w podsumowaniu swoje trzy grosze łowca, widząc, że atmosfera się klaruje.

Było więcej niż jasne, że wkraczali w nowy obszar problemów do pokonania, ale w końcu, od czego ma się przyjaciół? Bogusław zawsze wiedział, że w najtrudniejszych, najbardziej popaprzanych chwilach swej egzystencji będzie mógł liczyć na Leona. Teraz okazało się, że niespodziewanie zdobył kolejnego przyjaciela – człowieka, któremu jeszcze niedawno bał się zaufać i od którego się dystansował, nie chcąc wpuścić go do swojego kręgu. Jak bardzo się mylił.

Rozdział 18

Mroźna pogoda i śnieg – nierozzerwalne pierwiastki dzieciństwa zimą, powracające rokrocznie ku uciechu spragnionych zabawy maluchów. Tego roku Biała Pani również nie zawiodła dzieciaków, rychłe ferie zapowiadały się więc obiecująco. Na razie jednak brzdące chodziły do szkół i przedszkoli, mając zaledwie kilka krótkich, popołudniowych godzin, by cieszyć się jej urokami.

Kaśka czuła, że nie powinna tego wieczora wychodzić z Pawelkiem na plac, ale gdy popołudniu wracali ze szkoły, gromady dzieciaków bawiły się w najlepsze, baraszkując w puszystym śniegu. I co z tego, że kobieca intuicja, szósty zmysł czy inna podświadoma magia słały krzykliwe sygnały ostrzegawcze? Jak mogłaby odmówić synowi, gdy przymilnie poprosił, by pozwoliła mu pobawić się z kolegami? Żadna kochająca matka nie odmówi. A więc obiecała mu, że wyjdą na chwilkę, gdy mały zje obiad i odrobi lekcje.

Wziąwszy sobie do serca słowa matki, skrupulatny malec w istic sprinterskim tempie uwinął się z zadaniami, a obiad spałaszował w mgnieniu oka z ogromnym apetytem. Czego chcieć więcej? Jeśli nawet zapal syna zaskoczył Kaśkę, to szczerze musiała przyznać, pamiętając z własnego dzieciństwa, że piękna, śnieżna pogoda mobilizuje maluchy do posłuszeństwa. Spragnione śniegu dzieciaki zrobią wszystko, by móc jak najszybciej znaleźć się z rówieśnikami i bawić jak długo się da. Na dodatek, zabawa w świetle ulicznych latarni nabierała tajemniczego klimatu i była kusząco fajna.

Agatka wołała bawić się z córeczką sąsiadki. Nowe lalki od Gwiazdora nie zdążyły im się jeszcze znudzić i wciąż sprawiały tyle frajdy, że warto było odpuścić śnieżne igraszki.

– Jest... – pani Basia spojrzała na zegarek – siedemnasta. Myślę, że ze dwie godzinki mogą się pobawić. Proszę odebrać małą koło dziewiętnastej. Ale nie później, dobrze? – Obdarzyła Kaśkę miłym uśmiechem.

W tym czasie dziewczynki z piskiem radości popędziły do pokoju.

– Oczywiście, pani Basiu – zapewniła Kaśka, z góry zakładając, że nie spędzi na zimnie aż tyle czasu. Godzinka w zupełności wystarczy – postanowiła, oczami wyobraźni widząc siebie przytupującą i chuchającą w dłonie na mrozie. Niemniej fajnie mieć dodatkową godzinę w zapasie – pomyślała. Tak na wszelki wypadek.

Pograżony w ciepłym blasku ulicznych latarni, tonący w różowawym śniegu plac tętnił radością kolorowej dzieciarni. Kaśka, opatulona grubą kurtką, szalem i ciepłą czapką, a mimo to kuląc się z zimna, stała podparta o zjeżdżalnię i obserwowała, jak fantastycznie dzieciaki bawią się w tej małej enklawie uciechy w środku ruchliwego miasta. Śnieżki świszczały jej koło głowy, a maluchy kwiczały i biegały, rozkoszując się każdą chwilką zabawy. Jak fajnie – pomyślała, rozglądając się w koło. I wtedy usłyszała donośny płacz, który bez przeszkód przebijał się przez śmiech bawiących się dzieci, a po nim lamentujące „mamuusiuuu!”

Co wieczór czarne Mercedesy E klasy wyjeżdżały na ulice Poznania. Zrzeszone w korporacji TAXI NIGHT wyglądały wszystkie jednakowo, oferowały swe usługi zawsze od zmierzchu do świtu i wszystkie należały do jednego z wielu przedsiębiorstw wchodzących w skład biznesowej działalności Rodzaju.

Tego wieczora, jak wiele innych wcześniej, Sławek o zmierzchu wyprowadził Mercedesa z podziemnej hali garażowej i powoli wyjechał w miasto. Już po chwili odebrał zlecenie i ruszył na pobliską Ostroroga. To nie będzie łatwy wieczór – pomyślał, patrząc na chodniki, które pod

grubą warstwą piasku kryły jeszcze grubszą, błyszczącą warstwę zlodowaciałego śniegu. Pułapka na przechodniów? Z pewnością. Wieloletnie doświadczenie uczyło bowiem, że w takich warunkach ludzie nader łatwo potykali się, łamiąc ręce i nogi albo, nie daj Boże, wpadając pod koła aut. Koszmar. Co roku to samo. Trudno zaprzeczyć – w lutym rzadko kiedy warunki pogodowe sprzyjały kierowcom. Na ogół mroźne i suche powietrze utrzymywało śnieg na ulicach, co jakiś czas zwiększając jego objętość nowymi opadami. Co ciekawe, rokrocznie ludzie dziwili się temu zjawisku i uparcie fundowali sobie te pułapki, będące utrapieniem nie tylko dla pieszych, ale i zmotoryzowanych użytkowników dróg.

Bogusław zaparkował pod Żabką na ulicy Łukaszewicza. Musiał przewietrzyć samochód po przesadnie wyperfumowanej pasażerce, która właśnie opuściła jego taksówkę. Trasa Ostroroga – Łukaszewicza, niby niedaleko, ale starczyło – taka dawka intensywnych perfum była dla jego wyostrzonych zmysłów nie do zniesienia. Co te kobiety mają z tym cholernym perfumowaniem się w takich ilościach? Zasmrodzone całe auto! – wyrzekał w duchu. Zupełnie jakby hołdowały starej, angielskiej zasadzie – dla biedoty kąpiele, dla bogaczy perfumy. W rzeczy samej, z prowadzonych przez niego obserwacji wynikało jasno – im droższe ciuchy nosiła babka, tym zapach jej perfum intensywniejszy i trudniejszy do zniesienia.

– Pieprzona broń chemiczna – burknął pod nosem, otwierając drzwi samochodu.

Jeszcze dobrze nie zdążył wyjść z auta, gdy zaskoczył go wyraźnie podchmielony, łysiejący chudzielec, który wymachując groźnie palcem, chwiejnym krokiem podszedł do Sławka.

– Jeżeli Achajowie na nas najadą... to mamy przesrane – powiedział całkiem poważnie, spoglądając na niego mglistym wzrokiem.

– W pełni podzielam twe obawy, mój Eurypidesie – odpowiedział Bogusław po chwili konsternacji, zaskakując tym ulicznego żulą, bardziej niż ten zaskoczył jego.

– Oooooo! Ułańska fantazja! No, no, podobasz mi się człowieku. – Pijaczyna usiłował utrzymać pion, przestępując tanecznie z nogi na nogę, w dla niego tylko słyszalnym rytmie.

– O ile się nie mylę, przed chwilą byliśmy w Grecji. Szybko się przemieszczasz, mój przyjacielu – Sławek zripostował wyraźnie ubawiony surrealizmem sytuacji.

– A co? Ułani ci nie pasują? – Chudzielec przybrał oburzoną minę.

– Ależ skąd. Pasują, pasują. Dlatego właśnie siadam na koń i do boju. Tobie też to radzę wodzu, bo możesz skończyć, jak Napoleon pod Moskwą.

– Że niby – pijackie czknięcie przerwało żulowi – sroga zima stanie się moją klęską?

Niesamowite. Jego ekscentryzm jest zaskakujący – pomyślał Sławek szczerze rozbawiony.

– Zdecydowanie tak. Może gdzieś cię podrzucić Eurypidesie? – zaproponował.

– A nie boisz się, że zarzygam ci to piękne autko?

– Podejmę to ryzyko – roześmiał się, patrząc, jak zawiany facet faluje w niesłyszalnym rytmie.

– Nie przyjacielu, dzięki, ja mam do domu dwa kroki stąd, ale jak byś mi ćmika pożyczył, to by było gut.

– Niestety, nie palę.

Wymawiając te słowa, Bogusław wsiał już do samochodu, tymczasem chudy pijaczyna, w bezdźwięcznym rytmie powalcował w kierunku jedenastopiętrowej deski przy Dmowskiego. Może jednak to będzie całkiem fajny wieczór? – pomyślał, uśmiechając się do siebie, gdy koła samochodu odbijały od krawężnika, a rysztokowy filozof zniknął za węglem pobliskiej kamienicy.

Jakieś czterdzieści minut później wciąż krążył po Jezycach w nadziei, że znowu ją

zobaczy. Codziennie tu przyjeżdżał; zawsze z tą samą nadzieją. Odkąd ujrzał ją ponownie, wtedy w sylwestrową noc, nie dawała mu spokoju. Musiał wreszcie rozwiązać ten problem. Od czterech miesięcy pojawiał się w tej dzielnicy i za każdym razem, kiedy ją widział, coraz bardziej się przekonywał, że musi ją poznać, by zakończyć to szaleństwo. Nie może porządny, stary wampir wariować na punkcie ludzkiej kobiety. Pozna ją, przekona się, że to była tylko mrzonka i wszystko wróci do normy. Do pustki, samotności, emocjonalnej nicości – intensywna fala smutku, która go zalała, zaskoczyła jego samego. Fuck! – próbował się otrząsnąć. Nigdy nie ulegał egzaltacji, dlaczego więc nagle teraz? Ale prawda była taka, że cholernie nie chciał do tego wracać – do pustki, samotności i emocjonalnej nicości – nawet jeśli były to naturalne atrybuty wampirzej egzystencji. Odkąd krążył po tych ulicach w poszukiwaniu Jej, jego codzienne wyjazdy nabrały sensu. Wreszcie miał jakiś cel. Tylko jak do niej podejść? Jak rozpocząć rozmowę i o czym? Setki lat na karku, a zachowuję się jak nastolatek w porywie pierwszej miłości. Żalodne. Który to już raz miotał się w tej płątanie uporczywych myśli? Niestety za każdym razem płątania stawał się coraz gęstsza, a on coraz bardziej się w niej pogrążał.

Wjechał na Asnyka. Opatulona grubą kurtką i szalem postać machająca z krawężnika przy placu zabaw, przerwała jego rozmyślenia o beznadziejnym zauroczeniu. Z początku nie zwrócił uwagi na kobietę, która, odwrócona bokiem do jezdni, z jednej strony próbowała zatrzymać jego taksówkę, z drugiej zaś pochylała się nad płaczącym kilkulatkiem trzymającym się za nogę. Zaskoczyło go więc, gdy w machającej kobiecie rozpoznał Ją. W kilka sekund zaparkował Mercedesa tuż przy krawężniku i wyskoczył z auta, by otworzyć drzwi od strony pasażera.

– Pomogę pani. Proszę wsiąść, a ja podam pani dziecko.

Nie dyskutowała. Poddała się jego sugestii bez sprzeciwu, a przecież nie użył na niej wpływu. Zadziwiła go ustępliwość tej kobiety. Gdy spotkali się po raz pierwszy, też godziła się na wszystko, co do niej mówił, choć nie były to miłe słowa. Posadził zapłakanego malca na jej kolanach i usiadł za kierownicą.

– Dokąd? – zapytał, odwracając się w jej kierunku, gdy odpalił silnik.

– Czy będzie to dla pana wielki problem, jeżeli za chwilę podam panu adres? Muszę tylko zadzwonić do męża. To znaczy... – zawahała się – wykonać jeden telefon.

Nie czekała na odpowiedź. Wyjęła z torebki komórkę i szybko wybrała numer. Po kilku sygnałach dźwięczny kobiecy głos zaszczebotał: „kancelaria, słucham”.

– Dzień dobry, Wioletka. Mówi Kaśka Rafalska. Czy możesz połączyć mnie z Jackiem?

W komórce znów zaszczebotało: „ależ oczywiście, kochanie, poczekaj chwileczkę”, ale on nie zwracał na to uwagi. Jego głowę zaprzątęła jakże istotna informacja – Katarzyna – uśmiechnął się w duchu, szczęśliwy. Przez dłuższą chwilę słyszał w jej telefonie znany utwór równie znanego twórcy muzyki klasycznej, po czym męski głos wypowiedział krótkie: „Rafalski, słucham”. A więc dzwoni do palanta.

– Jacek, tu Kaśka – powiedziała wyraźnie drżącym głosem. – Słuchaj, Pawełek ślizgał się na placu Asnyka i coś sobie zrobił w nogę. Być może nawet złamał. Właśnie siedzimy w taksówce i jedziemy do szpitala, ale nie mam co zrobić z Agatką, czy mógłbyś przyjechać i się nią zająć? Do dziewiętnastej może być u pani Basi, a potem... może mógłbyś ją odebrać i poczekać, aż wrócimy? – Pod koniec zdania miała już tak błagalny ton, że aż mdliło od jej uległości.

– Słuchaj, Kaśka! – typek w słuchawce wrzasnął, wyraźnie wkurzony. – Czy ty myślisz, że ja tu dla przyjemności siedzę?! Ja tu pracuję!

– No wiem, Jacek, ale już dochodzi osiemnasta, a poza tym, to jest taka wyjątkowa sytuacja...

– Kaśka! – ryknął palant. – Nie przerywaj mi! Przestań histeryzować i skończ z tą

nadopiekuńczością. Dzieciak pewnie ledwie sobie skórę zadrasnął, a ty już do mnie wydzwaniasz. Potrzebujesz pomocy, to do Gośki dzwoń. Ja tu zarabiam pieniądze, żebyś ty mogła sobie w domu siedzieć, więc nie zwracaj mi głowy! Jutro wpadnę, cześć!

Nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, rozłączył się, pozostawiając ją kompletnie skołowaną. Nie zwracając uwagi na kierowcę, który z odpalonym silnikiem czekał na dyspozycje, wybrała szybko kolejny numer. Po wielu sygnałach scenicznym szeptem padło: „cześć, Kaśka, coś pilnego?”

– Nawet nie wiesz jak bardzo. Potrzebuję cię na cito.

– Kaśka, nie ma mowy – wyszeptał miły, kobiecy głos. – Mam tłumaczenie konferencyjne i naprawdę, uwierz, nie mogę się urwać. Nie ma mnie kto zastąpić. Wyskoczyłam tylko na chwilkę, żeby odebrać. A co się stało?

– Nic. Nie ma sprawy, nie zwracaj sobie...

– Kaśka! Do cholery, co jest?

W błyskawicznym skrócie streściła przebieg wydarzeń sprzed kilkunastu minut.

– O cholera! To może zadzwoń do Jacka.

– Dzwoniłam.

– Odmówił, palant jeden?

– I jeszcze zbombkę dostałam, że mu głowę zwracam.

– A to gnojek cholerny. Kaśka, ale ja naprawdę, naprawdę nie mogę – jęknęła w słuchawce konferencyjna tłumaczka.

– Wiem, Gosiu. Nie rób sobie żadnych wyrzutów. W końcu to moje dzieciaki, no nie? Pa. Muszę kończyć. Zadzwoń, jak tylko coś się wyjaśni.

Rozłączyła się i zrezygnowana spojrzała na Sławka, który przez cały czas przyglądał się jej odbiciu w lusterku wstecznym. Wyglądała mizernie. Taka bezradna, bez makijażu, opatulona skrętnie szalem, z włosami schowanymi pod czapką, a mimo to w jego oczach była urocza.

Być może przyciągnięta wnikliwym spojrzeniem, zerknęła w lusterko wsteczne. O Boże! – zachłysnęła się zaskoczona. Gdzieś już widziała te niesamowite oczy. Ale gdzie? Nie potrafiła sobie przypomnieć. W półmroku taksówki i niewyraźnym lustrzanym odbiciu jego oczy zdawały się oderwane od rzeczywistości jak wszyskowidzące oko Saurona. Jednak, choć przenikliwe i zniewalające, były zarazem łagodne, budzące zaufanie. Niestety nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać. Teraz musiała szybko coś wymyślić, bo cierpiący z bólu Pawełek, coraz bardziej zanosił się jęklwym płaczem.

– Wie pan...? – Westchnęła ciężko. – Mieszkamy tu niedaleko, na Prusa. Chyba najpierw będę musiała tam zajechać, bo córka jest u sąsiadów... – Nie dokończyła, bo samochód zdecydowanie ruszył, a kierowca życzliwym tonem stwierdził: „nie ma sprawy”.

– To tam – rzuciła, wskazując palcem bramę, gdy tylko wjechali na Prusa. – Zostań tu – nakazała malcowi kategorycznie i już jej nie było. Niemal w biegu wyskoczyła z taksówki i jak oparzona pognąła do budynku.

Umazany łzami dzieciak pochlipywał i pojękiwał na tylnym siedzeniu, a Sławek siedział za kółkiem, milcząc, wkurzony na gnojka, z którym przed chwilą rozmawiała. Cholerny palant! Jak mógł tak potraktować własne dziecko?! Ta kobieta jest niesamowita. Z takim dupkiem, to chyba i świętym nerwy puszczają, a ona nic, jakby była na niego zaszczepiona albo co... Jasne, że słyszał każde słowo z jej rozmów, nawet jeśli to nie fair – taka jego natura. Ale dzięki temu wiedział, że poza tą Gośką, kobieta nie ma nikogo, na kim mogłaby polegać. Smutne. Była prawie tak samotna jak on. Prawie – bo miała przecież dzieciaki. On nie miał nikogo.

Tylne drzwi otworzyły się znenacka i ku zaskoczeniu Sławka do środka weszła Kaśka, pychając przed sobą dziewczynkę mniejszą od zapłakanego smyka.

– Sąsiadka nie mogła pomóc. Muszę zabrać córkę ze sobą. – Znowu się tłumaczyła. – Na Krysiewicza poproszę.

Raz jeszcze spojrzął w lusterko wsteczne i raz jeszcze dostrzegł zasmuconą, wymizerowaną twarz kobiety. Po jej policzkach powolnie spływały łzy. Nie wiedział czy z żalu, czy z bezsilności. Nie wiedział też, jak powinien zareagować, udał więc, że nic nie widzi, odbił od krawężnika i najsprawniej jak mógł, wiózł ich do szpitala.

W poczekalni były tłumy. Szpital dziecięcy na Krysiewicza przyjmował wszystkie nagłe przypadki, nie więc dziwnego, że standardowo roiło się w nim od małych pacjentów i ich rodzin. Ten wieczór nie był wyjątkiem. Jeszcze nim znaleźli się w środku, wiedzieli, że czeka ich przysłowiowa droga przez mękę – ilość samochodów zaparkowanych we wszystkich możliwych miejscach w pobliżu lecznicy jasno sugerowała, że szpital przeżywa rutynowe oblężenie. Jakby tego nie dość, co chwilę podjeżdżały taksówki, dowożąc kolejnych małych nieszczęśników. Nim zaparkowali Mercedesa, trzy inne taksówki odjeżdżały właśnie spod szpitalnej bramy.

– Będzie ciężko z miejscem – stwierdził Bogusław, podjeżdżając pod barierkę blokującą wjazd na szpitalny dziedziniec.

Kaśka nie wyrzekała, po prostu zaczęła się gramolić z miejsca, gotowa wysadzać dzieciaki niemal w biegu. Wyjęła portfel z torebki i jednocześnie uchyliła drzwiczki, nakazując małej, żeby ostrożnie wysiadała z taksówki. Ku jej zaskoczeniu w tym samym momencie taksówkarz wysiadł z samochodu i wziął na ręce Pawelka. Wysadził malca z auta, a potem wyciągnął rękę do Kaśki, chcąc pomóc jej wysiąść.

– Proszę pana... – wymamrotała kompletnie zaskoczona, rzucając mu niepewne spojrzenie. Zamierzała zapłacić, wziąć dzieciaki i podziękować facetowi (potem zadzwoni po radio taxi), ale on najwyraźniej miał inne plany.

– Niech pani weźmie malca, a ja znajdę miejsce do zaparkowania i przyjdę z dziewczynką do szpitala. Zapłaci mi pani później.

– Ale... ja nie wiem... – jąkała się.

– Czy może mi pani powierzyć małą? Droga pani, to jest moja karta identyfikacyjna – sięgnął do schowka w kokpicie – niech ją pani weźmie, a poza tym tu jest portier, który wszystko obserwuje, nie odważę się porwać dziecka, jeśli tego się pani obawia. Zresztą... nie mam takiego zamiaru. – Uśmiechnął się ujmująco.

– Mamusiu... – jęknął małeć, stojąc na jednej nodze i ocierając rękawem łzy.

– Och, nie to miałam na myśli... – zaczęła się tłumaczyć, a intensywny rumieniec okrył jej wymizerowaną twarz – ale... no dobrze – dała za wygraną. Boże, ludzie wysyłają taksówki pod szkoły, by powierzyć obcemu człowiekowi odbiór dziecka po lekcjach, dlaczego więc nie miałabym zaufać temu uczynnemu kierowcy? – tłumaczyła sobie. – Poza tym, czy mam inne wyjście...? – Agatko – zwróciła się do małej, podjąwszy decyzję – zostaniesz z tym miłym panem przez chwilę, a jak pan kierowca zaparkuje auto, to przyjdziecie do nas do szpitala. Dobrze kochanie? – Miała tak zbolaną minę, jakby porzucała dziecko na zawsze, ale sytuacja, w której się znalazła, faktycznie nie pozostawiała jej wielkiego wyboru.

– Ale tylko na chwilę, tak? – postanowiła uściślić mała. Głosik miała niepewny, a pod powiekami czały się łzy.

– Tylko na chwilę. Słowo! – obiecał pogodnie Bogusław, wysyłając jednocześnie nikły impuls akceptacji.

Dziewczynka zareagowała natychmiast, kiwając potakująco główką, a i kobieta uległa jego śladowej sugestii. Wzięła więc synka pod rączkę i wsparłszy go na sobie, poprowadziła w kierunku izby przyjęć.

Zgodnie z przewidywaniami w poczekalni było czarno od pacjentów. Wszystkie krzesła

pozajmowane i wszystkie kąty podparte przez oczekujących. Zrezygnowana oparła Pawełka o najbliższe wolne miejsce pod ścianą i podeszła do kolejki, by zarejestrować synka.

Znalezienie wolnego miejsca parkingowego granoczyło z cudem. W takie dni jak ten, kiedy lutowa aura nie szczydziła śmiertelnikom złamań, zwichnięć, stłuczeń oraz grypopodobnych zapadnięć trzeba było kilka razy objechać okoliczne uliczki albo próbować szczęścia na pobliskim płatnym parkingu, nim trafił się kawałek wolnej przestrzeni. Gdy więc, zostawiwszy auto dwie przecznice dalej, Sławek, prowadząc małą za rękę, wszedł w końcu do zatłoczonej poczekalni, to co tam zastał, dosłownie rozłożyło go na łopatki, krztusząc cudzym cierpieniem. Umazane od płaczu dzieciaki walczyły z pourazowym bólem, temperaturą, osłabieniem, kaszlem i wszelkiej maści dolegliwościami, które nie mogły czekać do następnego dnia, by przyjrzał im się lekarz rodzinny. Chorowitym maluchom towarzyszyli sfrustrowani dorośli, udręczeni tłokiem, opieszałością personelu oraz własną bezsilnością wobec niemocy dziecka.

Bogusław nigdy nie był w ludzkim szpitalu – nie miał takiej potrzeby. Nawet w czasach, gdy lecznice i lazarety stanowiły najlepsze miejsce dogodnego dostępu do dawcy – nawet wtedy nie przekraczał szpitalnego progu. Obłożnie chorzy ludzie po prostu go przerażali, a szpitalne mury wydzielaly niestrawną mieszaninę zapachu lęku, bezsilności, niepewności, bólu, cierpienia i śmierci. Co więc go podkusiło, żeby tu dzisiaj wchodzić? Jakiś szalony impuls zadziałał szybciej, niż zdążył rozsądnie na niego zareagować. Na dodatek mała przez cały czas płakała na tylnym siedzeniu. Odkąd została w samochodzie bez matki i brata, nie można jej było uspokoić, a on nie zamierzał po raz kolejny dłużyć berbeciowi w główce. Los ma chore poczucie humoru – strofował koincydencję, gdy Kaśka złapała go za ramię.

– Dziękuję panu. – Obdarzyła go uprzejmym uśmiechem, jednocześnie chwytając małą, która ochoczo wyrwała się z uścisku jego dłoni. – Jesteśmy już zarejestrowani. Teraz musimy czekać, aż nas wywołają. To ile panu płacę? Nie mogę przecież prosić, żeby pan na nas czekał w nieskończoność. Widzi pan, jaki tu tłok? Pewnie ze dwie godziny miną albo i lepiej, zanim wejdziemy do gabinetu. Zadzwoń sobie po radio taxi, jak już będziemy po wszystkim – gmerała w torebce, szukając portfela i mówiła, mówiła, mówiła, a on stał i przyglądał się zauroczony, nie zważając na jej słowotok i ignorując wcześniejsze niedogodności.

Kolejne dziecko weszło do gabinetu, zwalniając pobliskie krzesło. Sławek bez słowa chwycił Pawła, który ze skwaszoną minką wciąż podpierał szpitalną ścianę i posadziwszy malca na wolnym miejscu, spojrział Kaśce prosto w oczy.

– Zostaję – oznajmił nazbyt entuzjastycznie. Oszalałem. – Będzie pani potrzebowała pomocy, jak wywołają was do gabinetu... czyż nie? Zajmę się małą.

Och... Nie protestowała. Zrobiła jedynie wielkie oczy, wyrażając skrajne zaskoczenie. Oparła się o ścianę obok krzesła, na którym siedział markotny, obolały synek i pochyliła się, by zagadnąć do córki. Wreszcie mogła poświęcić jej trochę uwagi, przy okazji dając wskazówki odnośnie przemiłego pana kierowcy, który znów się nią zajmie, jak mamusia z Pawełkiem wejdą do gabinetu. Przez chwilę szczebiotała z małą, jednocześnie lustrując mężczyznę, który był tu razem z nią w tym trudnym momencie, i który właśnie śpiewająco zdał egzamin na niańkę dla Agatki.

Nie wiedzieć kiedy, niby pochłonięta rozmową z córeczką, Kaśka pozwoliła bezkarnie swawolić skołowanym myślom. Dlaczego tu jest? O co mu chodzi? Ten kurs będzie kosztował majątek, ale pieprzyć to. Nie masz dla nas czasu, palancie... to płac – wyrzekanie w myśli Jackowi przyniosło jej ulgę. Czy ten człowiek wie, jak bardzo rodzic martwi się o zdrowie swojego dziecka? Pewnie ma dzieci, skoro jest taki chętny do pomocy. Ale taki młody...? Jej myśli wirowały bezładnie, a ona pierwszy raz tego wieczoru tak naprawdę uważnie mu się

przyjrzała. Był fantastyczny. Co tu dużo gadać? Facet-marzenie. Właśnie zdejmował czapkę i podciągał do góry rękawy rozpiętej kurtki, kiedy badawczym spojrzeniem powiodła po jego urodziwej twarzy otoczonej dzikimi, płowymi włosami jak u serfera. O cholerka. Znam te włosy. I ta jego idealna sylwetka mitycznego wojownika, przyodziana w kosztowne ciuchy. W istocie, na ciuchach gość z pewnością nie szczędził – od czarnej, skórzanej kurtki z kapocą, przez dżinsy z napisem Bugatti, po równie ekskluzywne Bugatti buty. Na ręce poniżej zmarszczonego rękawa uwagę przykuwał kosztowny zegarek. O matko! – zegarek stał się przysłowiową kropka nad „i”. W końcu jak często spotyka się mężczyznę z horrendalnie drogim zegarkiem na ręce w dobie wszystkich telefonów komórkowych? A więc... Ten zegarek, te włosy i te oczy – znała je. Na sto procent znała. Wszystko w nim było znajome, musi sobie tylko przypomnieć skąd. Chryste! Wredne szare komórki. Musiały akurat teraz ogłosić strajk generalny? – westchnęła i pokręciła zrezygnowana głową. Przez ostatnich kilka miesięcy galimatias z Jackiem dał jej nieźle popalić, nic więc dziwnego, że w ekstremalnych sytuacjach, jak dziś, jej logika brała sobie wolne. Zatem domniemana, prawdopodobna znajomość z tą chodzącą kwintesencją męskości musi poczekać na koniec intelektualnego fajrantu. Zwłaszcza, że głowę miała zaprzątniętą Pawełkiem, który cierpiał, a cierpienie synka boleśnie namacalnie przekładało się na ograniczenie Kasinej zdolności postrzegania czegokolwiek – nic poza udręką małego nie było w stanie wyklarować się w jej umyśle.

– Czy myśmy się już kiedyś spotkali? – zapytała w końcu zżerana ciekawością, przestając perfidnie taksować faceta.

– Też odnoszę takie wrażenie – rzekł niby od niechcienia; przecież nie wyzna, że od miesięcy śledzi niemal każdy jej krok.

– Nie mogę sobie tylko przypomnieć gdzie – przyznała szczerze, sfrustrowana bezowocnymi próbami dojścia do ładu z nagłą amnezją.

– Chyba widziałem kiedyś panią w Słodowni.

Iskra, która przebiegła po kręgosłupie Kaśki, była niczym reanimacyjny elektrowstrząs. Oczywiście! – jęknęła w duchu. Jak mogła nie rozpoznać ciacha, które od dnia imprezki w dyskotecce niejednokrotnie zaprządało jej myśli? Głupia ja! – skarciła się mentalnie. Nie pamiętała tylko, że był aż tak cholernie, oszalamiająco atrakcyjny. Ale czy powinna się przyznać, że go pamięta?

– To całkiem możliwe... – Nie dokończyła, bo z gabinetu wyszła właśnie pielęgniarka i zawołała „Rafalski Paweł”.

Kiedy wprowadziła synka do środka, ciemnowłosa, korpulentna pani doktor w średnim wieku ze znudzoną miną wysłuchiwała kolejnej opowieści kolejnego rodzica zaniepokojonego niedomaganiem swej pociechy. Podczas gdy zaaferowana matka z zapalem opisywała niefortunne zdarzenie, zblazowana pani doktor nie bawiąc się w diagnostyczne szczegóły, wypisała skierowanie i wręczając je Kaśce, poleciła udać się do pracowni RTG, celem wykonania zdjęć przedmiotowej kończyny. Teraz należało przejść do następnej poczekalni, by wraz z pozostałymi, równie zaniepokojonymi rodzicami, poczekać w następnym gigantycznym ogonku na swoją kolej.

Wyszedłszy z gabinetu ze skwaszoną miną, Kaśka, zakładając, że facet ma już dość czekania i z pewnością wolałby wycofać się z wcześniej złożonej propozycji pomocy, grzecznie powiadomiła usłużnego taksówkarza o kolejnym etapie proceduralnego ciągu.

– Niech pani idzie. My sobie tu poczekamy. Nie ma sensu zapychać nami kolejnej poczekalni.

Zaskoczył ją. Znowu.

– Jeżeli będzie pan miał jakieś problemy z małą, to proszę...

– Wiem, wiem. Niech się pani nie martwi. Damy sobie radę.

Fakt, że przypracowniana poczekalnia okazała się równie zatłoczona, nie zaskakiwał. Bowiem czemu się dziwić, skoro większość oczekujących stanowili pacjenci wychodzący z gabinetu znudzonej pani doktor? Tak więc ludzie czekali, a złośliwy czas w żółtym tempie przestępował z nogi na nogę, głośno grając na zszarganych nerwach oczekujących. I gdy po serii niezbędnych zdjęć, Kaśka wreszcie odetchnęła, wyprowadzając synka z rentgenowskiej pracowni, okazało się, że to dopiero połowa zabawy. Wraz z pozostałymi musieli teraz czekać, aż kolejna siła fachowa wywoła dopiero co wykonane zdjęcia, by mogli okazać je beznamiętnej pani doktor. Podczas gdy do poczekalni napływali co rusz nowi nieszczęśnicy nieświadomi tego co przed nimi, poziom rozdrażnienia narastał w Kaśce w postępie geometrycznym. Jakby tego było mało, obolały Pawełek niezmordowanie pojękiwał i popłakiwał, zdeterminowany, by zwrócić uwagę swojej i tak już mocno zaniepokojonej matki. W końcu, gdy frustracja zebranych zaczynała osiągać apogeum, wytęskniona siła fachowa wyłoniła się ze swej ciemni i wywoławszy kilku szczęśliwców, wręczyła im wyczekiwane klisze. Ku nieskrywanej uciechu Kaśki zdjęcia Pawełka były w tej transzy. Uzbrojeni w plik wilgotnej jeszcze dokumentacji fotograficznej wrócili pod gabinet, by ponownie oczekiwać, aż zostaną wezwani przez zabiegową pielęgniarkę. Spirala babskiej irytacji nabierała rozpędu, sprawiając, że włosy na karku Kaśki jeżyły się jak u wściekłego psa. Zaczęła już nawet podejrzewać, że może obrasta w futro jak rozdrażniony pies. Paranoja!

A boski facet przez cały ten czas cierpliwie czekał, zabawiając Agatkę. Jakby miał jakieś ekstra nadwyżki czasowe, a strata kilku godzin w bezsensownych kolejkach nie miała absolutnie żadnego znaczenia. Patrząc na niego, odnosiła wrażenie, że wręcz całkiem nieźle się bawi, zabawiając jej dziecko. Po mozolnie wlokącym się czasie spędzonym razem w szpitalnej poczekalni sprawiali wrażenie doskonale żytych przyjaciół, którzy znają się od przysłowiowych pieluch.

Wchodząc ponownie do gabinetu, Kaśka zaciskała zęby, by zachować należyty spokój. Pani pielęgniarka odebrawszy plik dokumentacji rentgenowskiej, podała ją korpulentnej pani doktor, która spoglądając na podświetlone klisze, weryfikowała swoją wiedzę medyczną z ukazaną na nich niepodważalną rzeczywistością. Ku uciechu poszkodowanych okazało się, że to tylko silne stłuczenie, ale i tak należało na najbliższe siedem dni umieścić przedmiotową kończynę w gipsowej łusce dla zapewnienia jej stabilności. Po tym czasie trzeba będzie zgłosić się do przyszpitalnej poradni celem konsultacji i ściągnięcia gipsu.

Kiedy piętnaście minut później wyprowadzała z gabinetu kuśtykającego na jednej nodze synka, Kaśka, w swej wyprutej z wszelkiej logiki głowie, kombinowała, jak za owe siedem dni samodzielnie pozbawić pociechę gipsu, by nigdy więcej nie przekraczać progu tego przybytku.

Było dobrze po dwudziestej drugiej, gdy czarny Mercedes z napisem TAXI podjechał pod kamienicę na ulicy Prusa. Na zaśnieżonym chodniku w ponurym świetle ulicznych latarni widniały ślady świeżo posypanego piasku, rozsypanego zapewne w celu zapobieżenia nieszczęśliwym wypadkom w obrębie posesji. Niestety, spora ilość przechodniów skutecznie wtarła go w obładzający się śnieg, pozostawiając na jego powierzchni jedynie szaro-bure smugi.

Obolały Pawełek wygramolił się z taksówki i wspierając się na zagipsowanej nodze, kuśtykał do wejścia. Matka, podpierając go swoim ramieniem, usiłowała pomóc synowi, jednocześnie drugą ręką wyciągając leżącą na tylnym siedzeniu zaspaną Agatkę. Kiedy Pawełek dotarł do podestu i pewnie złapał się klamki drzwi wejściowych, mogła wreszcie wziąć małą na ręce i ruszyć do domu. Pozostała tylko sprawa rozliczenia z taksówkarzem. Nim jednak zdążyła zastanowić się, jak to załatwić, facet znów stał przy tylnych drzwiach samochodu, wyciągając do niej ręce.

– Niech pani pozwoli... – rzucił, odbierając od niej Agatkę – wezmę małą, a pani niech się zaopiekuje synkiem.

Kolejny raz zaskoczona jego propozycją nawet nie próbowała protestować. Szczerze – chętnie przyjęła tę pomoc, zadowolona, że nie będzie musiała sama dźwigać obojga dzieci na drugie piętro, bo przecież Pawełek, choćby nawet bardzo się starał i tak będzie potrzebował oparcia. Wcisnęła więc kilka klawiszy domofonu, wbijając kod i otworzyła wejście. Zapaliwszy światło na klatce schodowej, patrzyła, jak super atrakcyjny mężczyzna niesie w swych masywnych ramionach jej na wpół śpiącą córeczkę z taką delikatnością, jakby obawiał się, że dotykiem może ją zranić. Wzruszający widok. Nigdy nie widziała, by Jacek z taką troską obchodził się z córką. W jej zmęczonych oczach zawirowały łzy. Dość! – syknęła w myśli. Nie mogła sobie na to pozwolić. Nie będzie się dołować dupkiem Jackiem i nie będzie się rozpyliwać nad nic nie znaczącą grzecznością ze strony faceta, który za chwilę zniknie z jej życia. Bo przecież to chwila. Cudowna i wzruszająca, ale tylko chwila. Nic więcej – tłumaczyła sobie, automatycznie pokonując kolejne stopnie, które kojąco poskrzypywały starym drewnem.

Zatrzymawszy się pod drzwiami mieszkania, Kaśka gorączkowo gmerała w torebce, poszukując kluczy. Pawełek wiercił się niespokojnie, narzekając na ból, a ona coraz bardziej podenerwowana niezręcznością sytuacji, jednocześnie zdeterminowana, by jak najszybciej podać synowi tabletkę przeciwbólową, odnosiła wrażenie, jakby jej torebka pęczniała do rozmiarów niekończącej się czeluści. Tylko czekać, jak facet położy małą obok drzwi i wkuty odejdzie, informując, że rachunek za kurs podeśle pocztą – knuła w swej głowie teorie spiskowe, gdy tymczasem on, nadal trzymając Agatkę na rękach, usiadł spokojnie na stopniu schodów.

– Wiesz, Paweł – zagadnął do pojękującego smyka – jestem ciekaw, jak ci zakładali ten gips. To musiało być niesamowite. Ja nigdy nie miałem gipsu i nie mam zielonego pojęcia, jak się to robi.

Mały inwalida, znalazłszy się nagle w centrum zainteresowania tego miłego pana z Mercedeselem, w mgnieniu oka zapomniał, że właśnie jest w trakcie narzekań i ochoczo pokuśtykał do stopnia, na którym siedział Sławek.

Kaśka nie przysłuchiwała się ich rozmowie. Po raz kolejny tego wieczora wdzięczna za pomoc, skupiła się na poszukiwaniach, przetrząsając torebkę na wszystkie strony. Jezu! Jak ja się odwdzięczę temu człowiekowi? Oby rachunek nie był za wysoki, bo to by była katastrofa – pomyślała, intensyfikując poszukiwania. O Boże! Jestem niewypłacalna. Jeszcze facet zażyczy sobie w naturze i co wtedy? – pokręciła głową i obejrzała się za siebie, spoglądając na siedzącego mężczyznę. Młody, przystojny, urodziwy, delikatny... A co tam! – zaśmiała się w duchu. Niech sobie życzy!

– Są! – zawołała entuzjastycznie, tryumfalnie unosząc rękę trzymającą klucze.

Wszedłszy do środka, rozebrała siebie i syna z wierzchnich okryć. Właśnie chciała wskazać mężczyźnie, wciąż tulącemu śpiącą Agatkę, pokój dzieci, ale gdy ona usiłowała powiedzieć mu, które to drzwi, Pawełek już ciągnął go za sobą, pogrążony w intrygującej rozmowie. Nawet się na nią nie obejrzeli. Pochłonięci dyskusją na temat korzyści płynących z posiadania gipsu weszli do dziecięcego pokoju, a kuśtykający Pawełek zamknął za nimi drzwi, zostawiając oszupiałą matkę na pustym korytarzu. Syn zapomniał o nękającym go bólu, a obcy facet zachowywał się w jej domu, jak by tu mieszkał od zawsze. Rozbawiona absurdalnością sytuacji pokręciła umęczoną głową i uśmiechając się, weszła za nimi do środka.

– Panowie – jej głos był łagodny, zabarwiony nutką wesołości – nie zapomnieliście czasem o czymś?

I choć „panowie” sugerowałyby odpowiedzialność zbiorową, to jednak pytanie zdecydowanie skierowane było do zaskoczonego Pawełka. Jak mogłaby w tak bezpośredni

sposób zwracać się do obcego mężczyzny? Wszak zamieniła z nim zaledwie kilka pobieżnych zdań.

– O tobie, mamusiu? – spytał zatroskany malec, jakby nagle przypomniał sobie, że ma matkę.

Kaśka zaczęła się śmiać, widząc strapioną minę chłopca.

– Nie, synku. – Podeszła do malca i uspokajająco potarła mu głowę. – O tym, że już pora do łóżka. Jest bardzo późno, Pawełku, i twój gość na pewno musi iść spać. – Fortele były całkiem skutecznym sposobem na wyegzekwowanie od syna posłuszeństwa.

Malec spojrział na Sławka z niedowierzaniem, ale i szczerym wyrazem współczucia.

– Nie, mamusiu. Tacy dorośli panowie nie chodzą tak wcześnie spać – ripostował, wyraźnie zdeterminowany, by ustrzec swego gościa przed widmem konieczności pójścia do łóżka.

– I tu cię zaskoczę, kolego – odezwał się Bogusław rozbawiony elokwencją smyka. – Dorośli panowie z wielką chęcią chodzą o tej porze do łóżka. Wieczorami w łóżku możemy napotkać magiczny świat – mówiąc to, spojrział na Kaśkę i delikatnie acz wymownie się uśmiechnął.

Nie trzeba było większej zachęty. Pawełek podskakując ochoczo na swojej zdrowej nodze, popędził do łazienki, by dopełnić rytuału wieczornej toalety. Przed zaśnięciem próbował jeszcze tylko uściślić kwestię tego magicznego świata – tak na wszelki wypadek, żeby wiedzieć, na co szczególnie zwracać uwagę, gdy ten świat już wkroczy do jego łóżeczka. Potem obdarował każde z nich buziakiem i wgramolił się pod kołdrę. Kaśka z rozbawieniem znów potarła malca po czuprynce i wycisnąwszy soczystego całusa na jego czole, rzuciła jeszcze okiem na Agatkę. Dziewczynka, starannie nakryta kołderką, spała smacznie, położona do łóżka przez swego nowego opiekuna. Małe buciki stały równo obok łóżeczka, a przez poręcz przewieszona była kurteczka i czapka z szalikiem. Jasny gwint – westchnęła, znów tłumiąc niepokorne, matczyne łzy; koleś stale ją zaskakiwał.

– Chyba ją tak zostawię. Agatkę... – powiedziała, zwracając się do Sławka i zamykając za sobą drzwi, gdy wychodzili z dziecięcego pokoju.

O cholera, tłumaczę się obcemu facetowi z matczyńskich decyzji. To są jakieś jaja!

– Może ma pan ochotę na kawę albo herbatę? Chociaż tyle się panu należy z mojej strony za poświęcony nam czas. A przy okazji porozmawiamy ze spokojem o rozliczeniu za kurs – zaproponowała, stojąc z nim w korytarzu.

Dziwnie się czuła. Nie wiedziała, jak ma wyrazić swoje myśli. Z jednej strony nie chciała, żeby facet poczuł się urażony, z drugiej zaś, nie chciała wypaść głupio, sprawiając wrażenie desperatki, która w obliczu nagłej sytuacji nie może liczyć na ojca swoich dzieci i pomocy szuka u obcych.

– Jeśli pani pozwoli, to poproszę o szklankę wody... to mi wystarczy.

Woda?! – zaskoczył ją. A może...

– Boże! Ale ze mnie gapa! Przecież pan na pewno jest głodny. Spędził pan z nami tyle godzin. Powinam panu jakąś kolację zaproponować. – Poczula, jak obłazi ją wściekle wyrazisty rumieniec.

Bez wątpienia mężczyzna zauważył upokarzający mankament jej urody, bo spoglądając na jej malinowe policzki, uśmiechnął się protekcjonalnie.

– Nie. Woda wystarczy. Dziękuję.

– Kurczę, chyba znowu jakąś gafę palnęłam – rumieniec nabierał kolorów, a jej głos stał się piskliwy, ujawniając oznaki paniki. – Na pewno pan się do domu spieszy... do dzieci, a ja pana zatrzymuję. – Pokręciła głową z dezaprobatą i miną krzyczącą „idiotka”.

– Nie, niech się pani nie martwi. Nie spieszę się. Mogę spokojnie tę szklankę wody tutaj wypić. Ale umówmy się... tylko woda, okej? – Uśmiech nie schodził z jego twarzy.

– Okej – westchnęła, prowadząc go do kuchni. – To pozwoli pan, że sobie zrobię jakąś kanapkę? Zawsze, gdy się denerwuję, muszę coś zjeść. A teraz jestem ciągle jeszcze zdenerwowana. Wie pan... ten wypadek. Zresztą ostatnio dość często jestem zdenerwowana, co niestety od razu na mnie widać – wybelkotała i nie czekając na odpowiedź, otworzyła lodówkę.

Matko! Znowu mu się tłumaczę. I to z czego? Z problemów małżeńskich i nadwagi. Po raz kolejny pokręciła głową kompletnie zrezygnowana. Chyba nie dojdzie już dzisiaj ze sobą do ładu.

Co się dzieje? – wyczuł jej zmieszanie, niepokój, zakłopotanie. Czuł, jak piętrzą się w niej negatywne emocje i że niewiele trzeba, by kobieta kompletnie się załamała. Nie chciał filtrować jej myśli, nie chciał naruszać jej prywatności – to nie byłoby fair, ale mógł złagodzić frustrację i niepokój. Powoli tchnął w nią mentalny spokój i opanowanie, wyciszając jej immanentny chaos. Niemal namacalnie czuł, jak kobieta zaczyna się odprężyć. Teraz patrzyła na niego rozluźniona, a krępujący rumieniec ustąpił miejsca pogodnemu uśmiechowi.

– Oczywiście, proszę sobie zrobić coś do jedzenia. Pani przecież też nic nie jadła – zauważył. – I proszę wybaczyć, że nie będę jadł razem z panią, ale mam zasadę, że po dwudziestej pierwszej nie jem.

– Widzi Pan?! – Obróciła się w jego stronę i teatralnie machnęła nożem umazanym masłem. – Też tak powinnam. Nie miałabym teraz takiego wielkiego tyłka i może mąż nie znalazłby sobie tej seksownej zdziury.

A więc stąd ta wymizerowana twarz. Ale, cholera...! – czyżby przeholował z tym rozluźnianiem? Kobieta mówiła, jakby była na haju. Prawda – dawno nie używał mocy, a w takiej formie, by kogoś wyciszyć, już nawet nie pamiętał kiedy, ale mimo wszystko nie powinna tak zareagować. Wycofał więc nieco swoje emocje. Pozwolił, by poczuła własne i zbudowała własny spokój, a nie karmiła się jego. Niemniej... Alleluja! Dupek sam się zwinął. Chwała Najwyższemu! – fetował w duchu.

Mniej więcej dwie minuty później sytuacja był opanowana, Kaśka krzątała się po kuchni, a on spokojnie przyglądał się pomieszczeniu. Spore – jak przystało na kuchnię w przedwojennych kamienicach. Urządzone gustownie i przytulnie, z zachowaniem wszelkich zasad obowiązujących trendów. Śmietankowe szafki z mosiężnymi uchwytnymi i ciemnobrązowym, drewnianym blatem obstawiały ściany. Dalej doskonale odrestaurowana, węglowa „angielka” wykończona białą emalią z mosiężnymi relingami, biała kuchenka gazowa z piekarnikiem i duża, biała lodówka. Na środku, w bezpośredniej bliskości podwójnych drzwi balkonowych duży, prostokątny stół z drewna w kolorze blatów, z czterema śmietankowymi krzesłami. W odległym narożniku niewielkie drzwi – zapewne do spiżarni. Kuchnia emanowała dobrą energią nie tylko za sprawą stylowego urządzenia, ale i nielicznych, lecz gustownie dobranych dodatków. Pomieszczenie w najmniejszym stopniu nie przypominało nowoczesnej, stylistycznie chłodnej kuchni w jego apartamencie. W każdym kącie czuło się ciepło kobiecej ręki, a rustykalna atmosfera przywodziła na myśl minione czasy, które dobrze wspominał.

Nie czekając na zaproszenie, podszedł do stołu, odsunął krzesło i wygodnie się na nim usadowił, obserwując, jak kobieta przygotowuje sobie kanapkę z serem i herbatę. Po chwili ustawiła przed nim szklankę wody, a sama usiadła naprzeciwko ze swoją kanapką i parującym kubkiem.

– A pańskie dzieci... w jakim są wieku? – zapytała, kompletnie go zaskakując.

– Nie mam dzieci.

– Nie wierzę. – Zdawała się szczerze zaskoczona. – Tak świetnie poradził pan sobie z

Pawełkiem. A wcześniej, w szpitalu, z Agatką. Dałabym sobie głowę uciąć, że ma pan dzieci.

– I straciłaby pani tę uroczą głowę. – Mówiąc to, uśmiechnął się bałamutnie, spoglądając jej prosto w oczy.

Czy on ze mną flirtuje? – zastanawiała się, popijając herbatę. Boże! Chłopcze jesteś pewnie z 10 lat młodszy ode mnie, do tego urodziwy, dobrze wychowany, czuły i delikatny – zaśmiała się w duchu. Nie licz na to, że rzuci się na ciebie cholernie wygłodniała faceta, zdesperowana, porzucona, puszysta, samotna matka, z widmem czterdziestki na karku. Tym razem nie zdołała ukryć grymasu rozbawienia.

– Miałaby pani coś naprzeciw, żebyśmy mówili sobie po imieniu? – zapytał, nim zdążyła uderzyć w niego trafną ripostą.

Czy ten facet nie przestanie mnie dziś zaskakiwać?!

– Nie! oczywiście, że nie! – rzuciła się na jego propozycję z takim entuzjazmem, jakby czekała na nią całe życie.

– Wiem, że ma pani na imię Kasia. Ja jestem Sławek, a właściwie Bogusław, ale w skrócie Sławek.

Skąd wiesz? Człowieku! Skończ z tym zaskakiwaniem mnie, bo zacznę cię podejrzewać, że czytasz mi w myślach!

– Bogusław, mówi pan?

– Tak. – Uśmiechnął się zalotnie. – Bogusław Zborski.

– Bogusław, to takie niespotykane imię. Jakby niedzisiejsze. Ale piękne – dodała, nie wnikając już, czy zdąży wyrazić do końca swoją myśl, nim znowu ją czymś zaskoczy.

– Katarzyna też nie jest wytworem współczesnej myśli twórczej. To potężne imię z bardzo starą tradycją.

A jednak... – znów ją zaskoczył.

– No to Bogusław czy Sławek? A może Bogusławek? To takie pogodne – zachichotała.

– Jeśli chcesz, może być Bogusławek. – Też się zaśmiał. – Jak dotąd, nikt tak do mnie nie mówił.

– A widzisz... – Uśmiechnęła się ciepło, spoglądając w te niesamowite, błękitno-srebrne oczy.

Jakieś trzy szklanki wody i dwie parujące herbaty później wciąż siedzieli przy kuchennym stole. Ona, znużona wydarzeniami minionego dnia, chętnie słuchała jego opowieści, czerpiąc z nich odprężenie. On, szczęśliwy przychylnością losu, raczył ją swym życiorysem niczym przygodami literackich bohaterów, jednocześnie podtrzymując w niej emocjonalną harmonię.

– Studiowałem filozofię – oznajmił w pewnym momencie w nawiązaniu do wcześniejszej historii.

No, no... filozofia – pomyślała zaintrygowana. Stąd jesteś taki zrównoważony.

– I etnografię – dorzucił, jakby w uzupełnieniu. – Dużo podróżowałem, głównie po Europie. Lubię zgłębiać inne kultury.

Studia, podróże, zgłębianie kultur... Matko Boska, kiedy? Chyba jeszcze w pieluchach – dedukowała, konfrontując jego opowieści ze zbyt młodym obliczem.

– Super! To opowiadaj – rzuciła zaciekawiona.

Opowiadał. Szalenie ciekawie. O krajach i ludziach, o obyczajach, obrzędach, przyzwyczajeniach i dziwactwach, a wszystko z taką swobodą i lekkością jakby na ich zgłębianiu spędził całe wieki. Zadawała mu różne pytania, a on udzielał wyczerpujących odpowiedzi. Okazało się, że zna biegle kilka języków, a kilka następnych dość dobrze rozumie, że uwielbia czytać książki i obserwować nocne niebo. Że jest zwyczajnym singlem, który woli żyć nocą, stąd

praca w TAXI NIGHT. Nie było w jego słowach przechwałek – ot, normalna, ciekawa opowieść człowieka, który ma coś do powiedzenia i który czerpie przyjemność ze zwykłej rozmowy. I choć w tym co mówił, znalazła kilka nieścisłości, jak by mu się czasami epoki mieszały, a historii, które opowiadał starczyło na dziesięć żyć, a nie jedno, Kaśka postanowiła nie dociekać. Pewnie i tak widzą się po raz ostatni, więc głupio drażyć w cudzym życiorysie, zwłaszcza nie znając tej osoby dostatecznie dobrze. Odsunęła zatem wątpliwości, poddając się urokowi jego gawędy.

Bogusław mówił, Kaśka słuchała i każde z nich pławiło się w wyjątkowości chwili. Ze stojącej na oknie miniwieży sączyła się muzyka, tworząc subtelne tło dla jego gawędy. Niezwykłe – pomyślała – jakby w jego głosie była magia. Kto wie? Może była? Magia płynąca z jego uroku, ujmującej osobowości, frapujących opowieści, serdecznej rozmowy i chwil, które poświęcał tylko dla niej – krótko mówiąc z wszystkiego, z czym cholernie rzadko się spotykała. Przyglądała mu się więc, słuchając ciepłego, głębokiego głosu. Było w tym mężczyźnie coś takiego, co przynosiło wytchnienie i pozwalało zapomnieć o problemach. Nie miała pewności, czy jego swobodny sposób bycia wynikał z serdecznej atmosfery czy też z kompletnej nieznamośności realiów, w jakich żyła. Nieważne. Ważne, że był naturalny, elokwentny i zabawny, nie siłąc się przy tym na opowiadanie głupich dowcipów. Nie szukał pokłasku, a wszystko co robił, robił dla niej – by po prostu poczuła się lepiej.

Nie wiedzieć dlaczego, niemal jednocześnie spojrzeli na ścienny zegar, orientując się, jak dużo czasu upłynęło od momentu, gdy usiedli przy kuchennym stole. Zegar wskazywał wpół do trzeciej, podczas gdy oni czuli, jakby minęło zaledwie kilka chwil, odkąd Kaśka postawiła przed sobą kubek z herbatą i kanapkę.

– Bardzo fajnie mi się rozmawiało, aleee... chyba powinienem już iść – stwierdził nieco zmieszany.

Uśmiechnęła się ciepło. Cholerka, szkoda – i ona nie potrafiła ukryć zakłopotania. Ale co zrobić, skoro obłudny czas pędził stanowczo za szybko? Mogłaby siedzieć przy tym stole jeszcze długo, długo i słuchać jego seksownego głosu. Mogłaby, ale, jak mówią, życie to nie bajka. Takie ciacha jak Bogusław Zborski nie zostają na dłużej i nie zaprzatają sobie głowy rozwódkami z dziećmi. Spadnij na Ziemię, kobieto! – ofuknęła się, przywołując myśli do porządku.

– Nie miej mi za złe, proszę, że to ja mówiłem przez cały ten czas, prawie nie dopuszczając cię do słowa. Sądziłem, że tego właśnie potrzebujesz, by się nieco odprężyć, a skoro nie nalegałaś bym przestał mówić... – wzruszył ramionami jakby lekko speszony – to jak widzisz, skrzętnie wykorzystałem sytuację. – Uśmiechnął się przyjaźnie, wstając od stołu.

– Naprawdę z przyjemnością cię słuchałam – zapewniła. – Ale przyznam, że mam kilka wątpliwości, które chętnie bym wyjaśniła. Jednak faktycznie, o tej porze... to chyba nie czas na dociekania.

Rzucił jej niepewne spojrzenie. Fuck! Nie do końca wiedział, co chciała przez to powiedzieć. Czyżby nieopatrznie powiedział coś, czego nie powinien? Nieeee. Chyba nie – próbował przekonać samego siebie.

– Następnym razem twoja kolej na zwierzenia – stwierdził pospiesznie, aby uciec od niewygodnych myśli.

– Następnym razem? Myślisz, że będziemy mieli okazję do następnego razu? Przyznam, że nie chciałabym, aby któremuś z dzieci znowu coś się stało.

– Nie rozumiem. – Zdawał się zmieszany. – Ja też nie chcę, żeby coś się stało twoim dzieciom, więc... – Zawiesił głos, robiąc zdziwioną minę.

– No wiesz... chodziło mi o to, że wtedy potrzebowałabym taksówki – zaśmiała się rozbawiona jego nagłą nielotnością.

– Aaaa. Mało domyślny ze mnie gość, co? – Uśmiechnął się, pukając w czoło. – A nie

bierzesz pod uwagę innej możliwości?

– Nie biorę. Jaką możliwość miałabym brać? – bąknęła niepewnie.

– Umów się ze mną. – Tym razem on zdawał się rozbawiony. Czyżby nielotność była zaraźliwa?

– Cooooo? To znaczy... słucham?

Szczere zaskoczenie Kaśki było rozbijające.

– Umów się ze mną. Zgoda?

– Hmm... – W na wpółzywej Kasinej głowie momentalnie zaiskrzyły wszystkie styki, błyskawicznie analizując wszelkie za i przeciw. „Przeciw” oczywiście było w miazdzącej przewadze w stosunku do „za” i chyba właśnie dlatego całkiem pewnie rzuciła „zgoda” niemal natychmiast dodając: – Boże, nie wierzę, że to powiedziałam. Chyba upadłam na głowę – zachichotała.

– Dziś wieczorem? – dopytywał, uśmiechnięty. Ignorując ostatnie dwa zdania jej odpowiedzi, szedł za ciosem, nie dając jej szans na wycofanie.

– Obawiam się, że dziś nie mogę. Podejrzewam, że Jacek... ojciec Pawełka – dodała, uściślając – będzie chciał się z nim zobaczyć i przesiedzi tu aż do wieczora.

– To może jutro?

– Nie poddajesz się tak łatwo? – zaśmiała się, wychodząc razem z nim na korytarz.

– Nie. Jak już się na coś zdecyduje, nie ma odwrotu. – Patrzył na Kaśkę zdeterminowany, zakładając kurtkę. – Robię wszystko, by to osiągnąć.

– Postaram się – obiecała, widząc jego determinację i uświadomiła sobie, że naprawdę chce się postarać. Może to jedyna szansa, by jeszcze choć troszkę poczuć się kobietą? Od tak wielu miesięcy nie czuła się tak dobrze jak dziś, dlaczego miałyby sobie tego odmawiać?

Oczywiście upierała się, że zapłaci za kurs, ale on kategorycznie nie chciał o tym słyszeć.

– Jeśli umówisz się ze mną, to będzie najlepsza zapłata; sprawisz mi tym ogromną przyjemność – stwierdził w końcu, zamykając temat.

Nie bardzo pojmowała logikę tej kalkulacji, ale okej, skoro w ten sposób prowadził swoje finanse?

– W takim razie daj mi numer swojej komórki; zadzwonię i powiem, kiedy i o której możemy się spotkać. Chyba że wolisz mój numer? – spytała pospiesznie, znów się rumieniąc. – Tak na wszelki wypadek. Wiem, że czasami mężczyźni zmieniają zdanie... co do umówionych spotkań – dodała wyjaśniająco – więc... gdybyś zmienił zdanie... – zaczęła się płatać; aż żał było patrzeć, jak nie potrafi logicznie wybrnąć z tej płątaniny.

– Okej. Daj mi swój numer – wszedł jej w słowo, nie pozwalając dokończyć nedorzecznego toku myślowego.

Wiedziała – westchnęła przekonana, że jednak nie zadzwoni. Przecież właśnie potwierdził jej obawy. Ale podyktowała numer. Trzydzieści może czterdzieści sekund później, odprowadzając Sławka do drzwi wejściowych, już zaczynała wątpić w zasadność swoich podejrzeń. A może jednak źle go oceniłam? Przecież to całe jego zaangażowanie w Pawełka, Agatkę... i w ogóle... Może jest jednym z tych nielicznych, którzy dotrzymują obietnicy? Ale tacy faceci, to gatunek na wymarciu. Zdecydowanie. Znów westchnęła zrezygnowana. Nie rób sobie złudnych nadziei kobieto, a rozczarowanie będzie mniej bolesne. I do tego taki młody... Cała Kaśka i jej nabierający rozpędu emocjonalny rollercoaster.

– Pamiętaj, że wiem, gdzie mieszkasz – uniósł palec w ostrzegawczym geście, słodko się przy tym uśmiechając – więc jeżeli twoja komórka będzie uparcie milczeć albo okaże się, że nie ma takiego numeru, to się tu zjawię po umówioną zapłatę. – W jego głosie słychać było szczerłość.

- Nie robię takich rzeczy – zapewniła poważnie.
- Wierzę. W takim razie... na razie. – Skłonił się. W jego oczach migwały figlarne ogniki.
- Na razie – odpowiedziała z lekkim dystansem, zamykając za nim drzwi.

Nieoświetloną klatką Bogusław schodził w śnieżną noc czekającą na niego na zewnątrz. Ale świat zewnętrzny nie miał znaczenia; w jego sercu zaczynał tlić się płomyk nadziei, który, daj Boże, rozпали w nim prawdziwy ogień. Niewiele pamiętał ze swego ludzkiego życia. Można powiedzieć, że prawie nic. Od dawna więc trawił go lęk, że z każdym traconym wspomnieniem traci kawałek siebie – kawałek swej ludzkiej istoty. Tak wiele lat przestawał z nieumarłymi, że zapomniał już, jak to jest, swobodnie obcować z człowiekiem. Co by nie powiedzieć, okazjonalne, formalne kontakty z ludźmi nie wracały mu człowieczeństwa. Musiał się pożywić, musiał uprawiać seks, musiał pracować, by nie oszaleć. Ale to nie to samo co siedzieć z wymarzoną kobietą przy kuchennym stole, z talerzem kanapek i kubkiem herbaty, i tak zwyczajnie, po ludzku rozmawiać. Super! – rozpromienił się z głupawym uśmiechem szczęśliwca przyklejonym do ust i wyszedł na mróz.

Choć odpowiedź była tak oczywista jak pewność, że jutro wstanie nowy dzień, Kaśka, wchodząc pod prysznic, główkowała, dlaczego właściwie zgodziła się z nim spotkać. Musi być jakiś powód – kokietowała samą siebie. Był. Jasne, że był. Przez ostatnich kilka miesięcy czuła się samotna, zaniedbana, zdołowana i desperacko potrzebowała kontaktu z innym człowiekiem. Nie, nie z człowiekiem, bo przecież miała Gośkę i ewentualnie w odwodzie rodzinę czy uczniów. Potrzebowała kontaktu z mężczyzną. Ale takim, który nie będzie jej dokuczał i obrażał. Po prostu z mężczyzną, który będzie tak zwyczajnie... fajny.

Stała pod prysznicem, delektując się ciepłem spływającej wody, kiedy odezwała się jej komórka, sygnalizując nadejście SMS-a. O tej porze? Zakręciła kran i sięgnęła po szlafrok. Ociekając wodą, chwyciła leżący na umywalce telefon i zostawiając po drodze wilgotne ślady, przebiegła na palcach do sypialni. Usadowiła się na łóżku, odblokowała klawiaturę i odczytała wiadomość: „KOLOROWYCH SNÓW. BOGUSŁAW”. O mamó! – jęknęła w duchu rozanielona. Opadła plecami na łóżko i przywołała na twarz wyraz błęgiego otępienia, tak typowy dla rozmarzonych, szczęśliwych wariatek. W tym momencie była jedną z nich. Jak długo będzie w stanie błęgiej szczęśliwości? Nieważne! Liczyła się ta chwila.

Rozdział 19

Rzeczywiście nazajutrz pojawił się Jacek. Po wczorajszym nieczułym dupku i pieprzonym palancie nie było śladu. Teraz był zaniepokojonym, czułym ojcem i radosnym, podejrzanym przyjacielskim byłym mężem. Co się dzieje?

– No, mały! – zawołał wesoło, widząc kuśtykającego z dziecięcego pokoju Pawła. – Ferie w gipsie... nienajlepsza sprawa, co?

– No, a miało być tak fajnie. Mama obiecała nam Amber Baltic.

– Nic straconego, synku – pocieszała, tarmosząc jego czuprynkę. – Mamy jeszcze drugi tydzień ferii, może nam się uda wyjechać.

Jacek wiedział, że mają jechać do Międzyzdrojów – sam zrobił rezerwację i opłacał ten wyjazd. Wszyscy uwielbiali morze, zaś góry nie ciągnęły ich na tyle, by planować tam wakacje. I niezależnie od pory roku to morze było zawsze pierwszym pomysłem na spędzenie wolnego czasu. Teraz, kiedy hotele oferowały kryte baseny przez okrągły rok, spędzenie zimowych ferii nad morzem nie wydawało się dziwactwem. Do tego jeszcze zbawienny jod – było się na co pokusić. Wprawdzie bywało, że zastanawiał się nad pieszą wędrówką po górach, ale skoro Kaśka zdecydowanie preferowała morze, nie nalegał. Może teraz... – dumał. Tak, może kiedyś zabierze maluchy na jakąś łatwiejszą, górską wyprawę. Zwłaszcza, że Marta nie miała szczególnych preferencji jeśli chodzi o miejsce ich wypoczynku. No, chyba że byłaby mowa o egzotycznych wożach. Ale w tym momencie na egzotyczne woższe się nie zanosilo, więc kto wie? Może jednak latem powędruje z dziećmiakami po górach?

– Myślę, żeby przesunąć rezerwację na następny tydzień – oznajmiła Kaśka. Jacek, odwiesiwszy kurtkę na garderobie, usiadł, by zdjąć buty.

– No, jeśli się da – odpowiedział jakby automatycznie, rozglądając się dookoła siebie. – Schowałaś moje kapcie?

– Hmhmhm – zaśmiała się cicho pod nosem, z niedowierzaniem kręcąc głową. – Wyrzuciłam – odparła rozbawiona. – Nie mam zwyczaju oczekiwać, by goście zdejmowali buty w moim domu. Jacek, ocknij się. To już nie jest twój dom. I to na twoje własne życzenie. Zapomniałeś?

Uniósł brew rozdrażniony, ale nie mógł zaprzeczyć – miała stuprocentową rację. Zaczął więc z powrotem zakładać buty. Nie chciał w samych skarpetach wyglądać jak frajer.

Ledwo zdążył włożyć obuwie i wstać z taboretu, syn przywarł do niego mocno, tuląc się do jego brzucha. Agatka również próbowała dopchać się do tatusinych czułości, ale jako mniejsza i nieposzkodowana miała znikome szanse. Jacek rzucił jej co prawda radosne „cześć mała”, ale potem skupił się na Pawle.

– Szkoda, że nie miałeś wczoraj czasu, tatusiu – zauważył smętnie chłopczyk.

– No wiesz, synku... praca.

Praca! – w Kaśce zawrzało. Jacek zawsze zastawiał się pracą. Fakt – rzeczywiście dużo pracował, dzięki czemu mogła dalej wieść życie na całkiem przyzwoitym poziomie, ale przecież były jakieś granice. I niestety... długo będzie miała do niego żal, że nie zechciał wczoraj znaleźć dla nich czasu. Chociaż... czy powinna? W końcu to dzięki jego niechęci do angażowania się w życie rodzinne poznała tego niesamowitego chłopaka i jeszcze kroi jej się randka. Chyba jednak spojrzysz na Jacka łaskawszym okiem. Dyskretnie zachichotała.

– Ale widzę, że jakoś sobie poradziliście – zauważył Jacek, nie wypadając z roli luzaka.

– Tak tatusiu, jakoś sobie poradziliśmy – upewnił go mały, ale smutek nadal gościł w jego głosie. – Byliśmy w szpitalu i długo musieliśmy czekać, a potem założyli mi gips i musiałem się

z nim wdrapać na to drugie piętro – zaczął rozkręcać swoją opowieść. – Ale mama mi pomogła, a pan Sławek wniósł Agatę, bo nie mogła zostać u pani Basi. A pan Sławek jest całkiem fajny, wiesz? Zaprzyjaźnił się ze mną i opowiadał mi różne fajne rzeczy. – Pawełek nie przestawał plotkować, a Kaśka zaczęła się rumienić.

– O łał, jest pan Sławek? – Jacek miał wypisaną drwinę na twarzy. – Widzę, że nie marnujesz czasu. – Rzucił Kaśce sardoniczny uśmiezek.

Palant. Spojrzała na niego z niesmakiem.

– To pan taksówkarz, tatusiu – tłumaczył Pawełek, próbując zaciągnąć ojca do dziecięcego pokoju w nadziei, że trochę się razem pobawią.

Mały niezdarnie kuśtykał, wspierając się na zaopatrzonyj gipsem nodze, dlatego też Jacek bez trudu poradził sobie z jego niewypowiedziana ofertą. Zdecydowanym krokiem przeszedł do gościnnego pokoju, ignorując potrzebę synka.

– No opowiadaj, opowiadaj, chętnie dowiem się więcej o... panu Sławku – rzucił do malca, sadowiac się wygodnie na kanapie przed telewizorem i biorąc pilota do ręki. – A, Kaśka, może zrobiłabyś mi kawę – nie spoglądając na nią, rozkazał władczym tonem, gdy już wcisnął odpowiedni guzik i na ekranie pojawiła się relacja ze skoków narciarskich.

Cholerny palant! W Kaśce kipiało, ale postanowiła odpuścić, widząc zachwyt syna, który uszczęśliwiony obecnością ojca, gramolił się właśnie na kanapę obok zaprzątniętego telewizyjną transmisją rodzica. Rzuciła tylko gniewne spojrzenie w kierunku eksmeża i wyszła do kuchni przygotować tę przeklętą kawę.

– Nooo, to co z tym panem Sławkiem? – dociekał Jacek, gdy na ekranie pojawiły się spoty reklamowe.

– A nic, pan Sławek to taksówkarz, który z nami wczoraj jeździł i w szpitalu na nas czekał i do domu nas przywiózł.

– Noo, kochana. Myślałem, że to jakiś twój absztyfikant. – W głosie Jacka gościło szyderstwo. – A to zwykły taksówkarz? Stać cię na takie kosztowne kursy? – zawołał w kierunku kuchni.

– Mnie nie, ale ciebie stać, skoro nie mogłeś nas zawieźć do tego szpitala. A poza tym, może jednak najpierw spytasz, co z Pawełkiem i jego nogą, zamiast prowadzić jakieś chore śledztwo w sprawie taksówki – warknęła, stawiając kawę na stoliku.

– Czekaj, czekaj, że z małym jest całkiem nieźle, to widzę. Natomiast, co to znaczy „ciebie stać”? – Usta mu się zwęziły z zajądłości.

– Co się dziwisz? – rzuciła ironicznie, cytując małą bohaterkę ulubionego filmu. – Myślałeś, że poniosę dziecko do szpitala na plecach? – Miała już dość utarczek z Jackiem. Strawiła na nich kilka ostatnich lat i szczerze powiedziawszy, sądziła, że po rozwodzie ich relacje wreszcie się unormują. Zresztą ich pierwsze porozwodowe kontakty sugerowały, że tak właśnie będzie. Widać... płonne nadzieje – westchnęła. Najwyraźniej paskudny charakter Jacka nadal drażył ich rodzinę, jak paskudny robal draży dojrzwały owoc.

– Kaśka – syknął ostrzegawczo. – Nie zadzieraj ze mną. Nie po to kupiłem ci samochód, żebyś się taksówkami rozbijała i to jeszcze przez ileś godzin. Na dodatek, jak słyszę... z kamerdynerską obsługą. Myślisz, że będę płacił za twoje fanaberie? Wybij to sobie z głowy!

– Nie martw się. Dam sobie jakoś z tym radę.

– Tatusiu, tatusiu – zaczął interweniować Pawełek, widząc, jak jego rodzice wielkimi krokami zmierzają do nieuchronnej awantury. – Ale pan Sławek to nasz przyjaciel. Mój i mamusi. I chyba nawet Agatki, ale nie wiem dokładnie, bo jak ją tak przytulał, to ona zasnęła.

Matko święta! – jęknęła Kaśka w pierwszym odruchu. Tego im było trzeba – pieprzonej rewelacji miesiąca.

Ośłupienie? Żeby tylko... Jackowi wprost oczy wyskoczyły z orbit. Ale trzeba przyznać, że z każdą sekundą Kaśce coraz bardziej się to podobało. Już dawno nie widziała tak durnego wyrazu na twarzy byłego męża. Jak nic chłopina nie wiedział, co o tym myśleć, ani jak się wobec owych rewelacji zachować. Zbity z tropu prawnik? Bezcenne.

– Kaśka! – warknął w końcu zjadliwie. – Pozwalasz obcemu koleśowi obściskiwać moją córkę?!

– Nooo, mój drogi – spojrzała na niego wilkiem – i kto to mówi? Gość, który nas zbyt pokrętną wymówką? Praca?! Nie bądź śmieszny! Nie było cię, gdy cię potrzebowaliśmy, więc nie waż się mnie oceniać.

– Żebyś wiedziała, że praca. Ale niech ci będzie. To ty bierzesz na swoje sumienie te... czułości. – Zrobił palcami gest cudzysłowu.

– Jacek, nie idź tą drogą. Zaprowadzi cię donikąd, wierz mi.

– Jak chcesz. Ale... taksówkarz...? – Uderzył w inną strunę z sardonicznym uśmiechem. – Umawiasz się z taksówkarzem? Sądziłem, że stać cię na więcej.

Pokręciła głową zde gustowana. Jeezu! Palnąć go w łeb, to za mało – wyrzekła bezgłośnie, podczas gdy jej mina wyrażała całą pogardę świata dla tego cholernego snoba.

– Oczywiście jaśnie pan uważa, że taksówkarz jest zbyt pospolity, by zawracać sobie nim głowę? Żalotne – skwitowała przygaszona. – Ale, do twojej wiadomości, z nikim się nie umawiam – zaczęła się tłumaczyć, nagle tracąc rezon i oblewając się rumieńcem. Nie było sensu ciągnąć tej przepychanki; ktoś musiał ustąpić, a sugestia randki zdecydowanie zachwiała jej wcześniejszą zuchwałością. Jeszcze sporo będzie musiała popracować nad swoją asertywnością.

– Tatusiu, ale pan Sławek jest naprawdę bardzo fajny i jeździ E-klasą. – Pawełek znów wtrącił swoje trzy grosze, nim dyskusja na temat jej życia pozamałżeńskiego nabrała rozpędu. Mały gaduła uśmiechał się od ucha do ucha z zawiadłą dumą wymalowaną na gadatliwym pyszczku.

Po twarzy wyrachowanego Jacka przebiegła iskra zainteresowania jakże odmienna od lekceważącej ciekawości z przed chwili. Z pewnością E-klasa przemawiała do jego konsumpcyjnej wyobraźni dużo bardziej niż nawet najjaśniejsze peany wygłaszane przez jego syna, wychwalającego „pana Sławka”.

– No cóż, chociaż gość wie, co dobre. – Jacek mrugnął do żony znacząco, z lubieżnym uśmiechem na twarzy.

Palant. Ile razy jeszcze powróci dziś to słowo? Boże, niech już się wreszcie skończy ta powikłana wizyta.

W telewizji jakiś skoczek przekroczył właśnie czerwoną linię, a podekscytowany tym Jacek błyskawicznie oderwał się od otaczającej go rzeczywistości. Z przesadną afektywnością zaczął zwiększać głośność telewizora, chcąc lepiej słyszeć gorące komentarze sprawozdawców. Pawełek też poruszył się zaaferowany wydarzeniami na ekranie, choć bardziej z chęci wciągnięcia się w świat ojca niż z żywego zainteresowania skokami. Nie dane im było jednak bezgraniczne oddanie się telewizyjnej relacji. Agatka, wykorzystując lukę w rozmowie, w mgnieniu oka zawładnęła uwagą ojca. Kolejna mistrzyni niedyskrecji, której przyszło do głowy zaserwować swoją porcję rewelacji pod budzącym kontrowersje tytułem „pan Sławek”.

– Było bardzo fajnie – mówiła mała, opowiadając o godzinach spędzonych w szpitalnej poczekalni – bo pan Sławek grał ze mną w „słowa” i opowiadał bajki o wróżkach i czarownicach i...

Opowiadała, opowiadała, opowiadała – była wyraźnie zafascynowana nowym znajomym, który trzymał ją na kolanach i opiekował się nią, gdy mamusia z Pawełkiem krążyli od gabinetu do gabinetu.

Oniemiałemu ojcu znów rosły oczy i opadała szczęka, a speszonej matce szkarłatny rumieniec znów zabarwił policzki. Cholerne, zdradliwe gówno. Jacek przyglądał im się uważnie, zdecydowanie próbując czytać między wierszami. Cud, że maluchy nie wiedziały, jak długo Bogusław był w ich domu, bo niechybnie ciekawski rodzic nabawiłby się niestrawności.

O tym, że diabelnie fajnie upływał jej czas w towarzystwie tego zniewalającego chłopaka, Kaśka nie śmiała nawet pomyśleć. W tym momencie drażniła ją obecność eksmęża i byłaby szczęśliwa, gdyby sobie wreszcie poszedł. Był dziś tak cholernie nieznośny, że miała już dość jego wrogiej facjaty. Zwłaszcza że zaczął przejawiać przesadną dociekliwość, wykorzystując naiwną szczerotę maluchów. Za oknem coraz bardziej ciemniało zimowe, sobotnie niebo, a ona kombinowała, jak wypchnąć zbyt ciekawskiego Jacka z domu i wreszcie odetchnąć spokojem. Marne szanse.

Ale Jacek miał swoje racje – jakiś obcy koleś wkraczał na jego terytorium, więc może należało dokładniej się temu przyjrzeć. I cóż z tego, że terytorium porzucił dobrowolnie? Samczy instynkt mimowolnie podsycił jego terytorializm.

– Może weź wreszcie maluchy do ich pokoju i pobaw się z nim trochę – zakomenderowała w końcu zdecydowanym głosem. – Tak długo na to czekały. – Nie zwracając uwagi na jego reakcję, chwyciła pilota i wyłączyła telewizor.

Złośliwe zagranie? Oczywiście. Miała tego świadomość. Ale też niech palant nie udaje, że przyszedł tu do dzieci, a potem siedzi i ogląda sport. Albo zabawa z dziećmi, albo... wynocha. Z każdą minutą jej frustracja rosła i Kaśka czuła, że musi coś ze sobą zrobić. Inaczej wybuchnie. Wyszła z pokoju i zamknęła się w łazience – jedynym miejscu, w którym bez zwracania na siebie uwagi mogła spokojnie posiedzieć i ochłonąć. Wiedziała, że przed chwilą przegięła z wrogością. Takie zachowanie nie leżało w jej naturze, ale to sytuacja w jakiej się znalazła, a raczej, w jakiej postawił ją Jacek, wymusiła na niej wrogość. Cholerka. Usiadła na zamkniętej klapie sedesowej i wyjąwszy komórkę z tylnej kieszeni džinsów, wyszukała odebranego w nocy SMS-a. Wybrała opcję „odpowiedz nadawcy” i wystukała:

PROPOZYCJA SPOTKANIA NADAL AKTUALNA? KAŚKA

Nie zastanawiała się nad tym, co robi. Gdyby zaczęła się zastanawiać, z pewnością nigdy nie wysłałaby takiej wiadomości. Kiedy wcisnęła przycisk „wyślij”, serce skurczyło jej się do rozmiaru łebka od szpilki. Jasna cholerka! Do czego jeszcze popchnie ją ten pieprzony palant? Nigdy w życiu nie była zalotna ani jawnie chętna wobec mężczyzn. Musiała stracić nad sobą kontrolę z powodu siedzącego w pokoju obok dupka, żeby do obcego faceta wysłać jednoznaczne propozycje-ponaglenia. Zwiesiła głowę, kryjąc ją we wspartych na kolanach dłoniach. Związane włosy wysunęły się z luźnej frotki i kasztanową zasłoną opadły dookoła twarzy. Jasna cholera, chyba się pod ziemię zapadnę. Kaśka zacisnęła mocno powieki, próbując wydusić z siebie narastające w niej zniecierpliwienie i poczucie bezradności. Właśnie kombinowała, jak odkręcić niefortunnego SMS-a, gdy komórka zasygnalizowała nadejście nowej wiadomości.

OCZYWIŚCIE, KASIU. PRZECIEŻ MAMY TO USTALONE. JUŻ NIE MOGĘ DOCZekać SIĘ JUTRA. ZADZWONIĘ OKOŁO PÓŁNOCY, JAK MALUCHY BĘDĄ SPAŁY, TO POROZMAWIAMY O SZCZEGÓŁACH. BOGUSŁAW.

Rozanielona wariatka – tak w skrócie można by określić stan, który stał się udziałem Kaśki. Uśmiechnęła się szeroko, a jej spięte do tej pory ramiona opadły w rozluźniającym odprężeniu. Wstała, umyła ręce i wyszła z łazienki. Promienny uśmiech nie schodził jej z twarzy. Niech sobie tu siedzi, jak długo chce. Już nie zdoła popsuć mi humoru.

Rozdział 20

Co teraz? Bogusław przeciągnął się w adamaszkowej pościeli koloru gorzkiej czekolady. Głupie pytanie. Faktycznie głupie. Cowieczorny rytuał był od lat taki sam.

Kiedy już odświeżony, ubrany i zaopatrzony w nieodłączną szklaneczkę krwawej Mary stanął przed mięsistymi zasłonami, rozsunął je, uruchomił automatyczne podnoszenie zewnętrznej rolety i otworzył szeroko drzwi balkonowe.

Świat na zewnątrz wyglądał oszalamiająco. Biała, puszysta warstwa okrywała miasto niczym delikatna powłoczka. Domy, drzewa, chodniki, jezdnie – wszystko, dosłownie wszystko, przykryte było srebrzystym puchem, skrzącym się w świetle ulicznych latarni. Jakby nie dość, w wirującym, powolnym tańcu z nieba na miasto spadały ogromne, białe płatki.

Stary wampir stał w drzwiach balkonowych zauroczony. Zawsze lubił zimę, nawet tę bezlitosną, niosącą siarczyste mrozy i wzmożoną śmiertelność biedaków. Ale to były inne czasy. Teraz nawet ostra zima była jak bajkowy obrazek, któremu światła latarni dodawały finezji. To będzie cudowny wieczór. W takiej scenerii nie może być inny – uśmiechnął się enigmatycznie, odstawiając szklanekę na pobliskim stoliku. Bardzo chciał, żeby ten wieczór był wyjątkowy – w końcu miał się spotkać z nią. Po raz pierwszy tak naprawdę. Spotkanie sprzed dwóch dni było przypadkiem. A nocne pogawędki przy kuchennym stole? Nie wiedział, czy tego chciała. Może była spontaniczna? Może po prostu okazywała wdzięczność za jego pomoc? Ale dzisiaj... Szeroki uśmiech rozpromienił jego twarz. I na dodatek jest wolna! Kto by pomyślał, że przychylny los rozwiąże za niego palący problem niewygodnego męża, i że facet sam usunie mu się z drogi? Tak czy siak... dzięki, stary. Stokrotne dzięki.

Dochodziła dziewiętnasta, gdy jego komórka zabrzęczała, sygnalizując połączenie. Rzucił okiem na wyświetlający się numer i zamarł sparaliżowany niepokojem.

– Halo? – spytał nie swoim głosem, przeciągnawszy palcem po ekranie.

– Cześć! Tu Kaśka.

– Dobry wieczór, Kasiu. Czy coś się stało? – Miał nadzieję, że nie zwróciła uwagi na słyszalny w jego głosie lęk. Chce odwołać spotkanie! – panika właśnie zakotwiczyła w jego umyśle.

– Nie, nie. Nic – zapewniła. – Ja tylko chciałam powiedzieć... uprzedzić, że troszkę mogę się spóźnić. – Zrobiła krótką pauzę i ze skrucą, jak dziecko, które coś przeszkrobało, dodała: – Na śmierć zapomniałam, że będę musiała odśnieżać samochód, a że kilka dni go nie używałam, to wygląda jak ogromny bałwan – zachichotała rozbawiona – i trochę mi zajmie, zanim się do niego dokopię.

Że Kaśka nie pomyślała o odśnieżaniu auta? Żadne zaskoczenie. Od dwóch dni głowę miała zaprzątniętą dzisiejszym spotkaniem. Była tak zafiksowana, że świat przestał dla niej istnieć. Fakt – nie zapomniała o dzieciach, ale poza tym... motylki i dzwonki i co tam jeszcze słyszą i czują wszystkie zwariowane na punkcie swojej randki dziewczyny. Dlatego, gdy stanęła przed zaśnieżonym Qashqai'em, nogi się pod nią ugięły. Jasssna cholerka! To mi zajmie pół nocy – jęknęła przerażona. Oczywiście od początku mogła zadzwonić po taksówkę, ale chciała być niezależna. Chciała mieć możliwość błyskawicznego odwrotu. Bała się samej siebie. Doskonale wiedziała, jak reaguje na tego młokosa – w jego obecności każda komórka jej ciała wyła z podniecenia. Stąd spotkanie na miejscu i z własnym transportem. Ale w tej sytuacji za żadne

skarby świata nie zdąży na czas.

– Kasiu, daj spokój. – Słysząc było jak wielki kamień z łoskotem spada mu z serca. – Za dziesięć minut jestem pod twoją bramą – zdecydował uradowany. Ulga w jego głosie grzmiała donośnie niczym Dzwon Zygmunt, ale miał to gdzieś. Najważniejsze, że przyjdzie.

– Nie! Czekaj! Bogusław! – zawołała pospiesznie. – Nie chcę cię fatygować. Z pół godzinki i powinnam się z tym uwinąć. No bo wiesz... zimne auto... Albo... cholerka, ale ze mnie gapa! Przecież mogę zadzwonić po taksówkę i...

Nie dał jej dokończyć. Znow się motała i Bóg jeden wie, jak bardzo się zamota, nim dojdą do ładu z tą niepotrzebną dyskusją. Musiał działać zdecydowanie, inaczej... marne szanse na randkę. Najpierw będzie kombinowała jak go „niesfatygować”, a potem zamarźnie na sopel, odśnieżając zasypane auto. I jeszcze ten pomysł z taksówką... – pokręcił głową rozbawiony. Nie ma mowy.

– Kasia, ja mam auto w garażu. Już schodzę i za minutkę ruszam. Wróc do domu. Jak będę pod twoją bramą, to zadzwonię – paktował łagodnie.

– Dobrze. W takim razie będę czekać – odetchnęła ciężko, zrezygnowana.

Grzeczna dziewczynka – kolejny kamień spadł mu z serca. Jak tak dalej pójdzie, to skończy się kamienną lawiną – zaśmiał się w duchu. Chociaż trzeba przyznać, że kobieta była nieprzyzwoicie wręcz niekonfliktowa. Może z natury jest taka? – zastanawiał się, przypominając sobie jej uległość sprzed dwóch dni. Wówczas też przesadnie łatwo się poddawała.

– To na razie. Będę za chwilę.

– Dobrze. Cześć. – Rozłączyła się.

Bogusław narzucił na siebie kurtkę, wciągnął buty, zatrzasnął za sobą drzwi i popędził do hali garażowej. Wszystko w nieludzkim tempie, ale też czasu miał jak na lekarstwo. Dziesięć minut – koniec, kropka. Nie ma mowy, żeby się spóźnił. I to nie tyle ze względu na nią – przecież czekała w domu, nie marzła. Bardziej ze względu na siebie. Nie chciał uronić ani minuty z tak długo wyczekiwanego spotkania. Ledwo wszedł do garażu, wcisnął pilota, automatycznie uruchamiając silnik. Mercedes odpalił natychmiast. Rozgrzewające się auto pomrukiwało subtelnie, czekając na jego rozkazy. Wyjechał z hali i ruszył w stronę Prusa, nie martwiąc się o koleiny czy śliską nawierzchnię. Ulice w przyzwoitym stanie i zimowe opony gwarantujące dobrą przyczepność – prosty klucz do jego sukcesu. Tak więc odcinek między Ułańską, a Prusa pokonał zaledwie w kilka chwil i nim minęło graniczne dziesięć minut, stał pod bramą, wyciągając komórkę i wybierając numer.

– Słucham?

– Kasiu, już jestem. Możesz schodzić.

– Dobrze, już schodzę – odpowiedziała w tym samym momencie.

Zaśmiali się rozbawieni zbieżnością i rozłączyli rozmowę. Chwilę potem Kaśka zbiegała po schodach niczym kopcuszek spieszący do karety i podobnie jak uroczą bohaterka kultowej bajki miała czas tylko do północy, mimo iż jej kareta nie zamieni się w dynię wraz z wybiciem ostatniego uderzenia zegara. Sąsiadka jednak nie dała jej wyboru – albo do północy, albo wcale. Kaśka bez wahania wybrała bramkę numer jeden.

Kiedy wyszła na ulicę, obłądnie wyglądający Bogusław stał oparty o karoserię od strony pasażera.

– Wskakuj – zachęcił, gdy podeszła, by się z nim przywitać. Otworzył szeroko drzwiczki, zapraszając ją do środka.

Podgrzewane siedzenia emanowały przyjemnym ciepłem, a Kaśka z oglupiałym, pełnym zachwytu wyrazem twarzy przyglądała się swojemu adoratorowi. Jak to możliwe, że przez zaledwie dwa dni zapomniała, jaki jest piękny? Powalająco piękny – poprawiła się. A

niewątpliwie zapomniała, skoro jeden rzut oka sprawił przyspieszone bicie serca i nieznośny rumieniec.

Bogusław usiadł za kierownicą i ruszył, powoli tocząc auto w dół ulicy.

– Przepraszam, że musiałeś się fatygować – wymamrotała.

– Nie ma sprawy. Właściwie, to ja dałem plamę, bo powinienem był uprzeć się, że po ciebie przyjadę.

– Nie, no coś ty... żaden problem. Chciałam dojechać sama. Gdyby nie ten śnieg... – Zaśmiała się, przypominając sobie, jak wygląda jej Nissan pod zwałami białego puchu. – A więc Wiśniowy Sad? – zaczęła z innej beczki. – Nigdy tam nie byłam.

„Nigdy tam nie byłam” stanowiło idealne odzwierciedlenie tego, co działo się w życiu Kaśki od... w zasadzie od zawsze. Jej apodyktyczna matka, za niemą aprobatą wciąż zapracowanego ojca, w swych życiowych wyborach sugerowała się przede wszystkim własnymi zachciankami. Toteż mała Kasia nie poznała zbyt wiele. Dziecięcý, a potem młodzieńczy żywot pędziła na cichej prowincji i dopiero zdana matura otworzyła przed nią wrota poznania. Może dlatego wybrała Poznań? Taka podświadoma gra słowno-ekspresyjna. Tak więc studia w Poznaniu były dla niej wydarzeniem na miarę podboju kosmosu. Toteż gdy udało jej się podbić ów kosmos, siedziała cicho ukryta w towarzyskim kątku, aby nikomu nie przyszło do głowy wykopać ją z tego miejsca. A potem, niczym świetlista kometa, pojawił się w jej życiu Jacek. I gdy już złapała tę kometę za jej oszalałający ogon, aż do niedawna trzymała się go kurczowo w obawie, że gdy go wypuści, pochłonie ją nicieść. Nigdy nie żądała od losu za wiele, więc i los niewiele jej dawał, rzadko sobie o niej przypominając. Może na początku znajomości z Jackiem i przez pierwsze lata małżeństwa była jeszcze elementem towarzyskiej układanki swego wybranka. Jednak odkąd po urodzeniu Pawełka zmieniła się jej sylwetka i priorytety, Jacek zdecydowanie i bez ogródek wykopał ją poza swój towarzyski krąg, uważając, iż pospolita kura domowa nie przystaje do jego ekskluzywnego światka. Pozostawały jeszcze okazjonalne, wykwintne wyjścia, które były dla Kaśki niczym łapanie Pana Boga za nogi. Ale kto by się na to odważył? Na pewno nie taka szara mysz jak ona.

– Tak, Wiśniowy Sad, to fajne miejsce. – Uśmiechnął się łagodnie, odpowiadając. – Bezpretensjonalny, na uboczu... spodoba ci się. Mam taką nadzieję – dodał nieco niepewnie.

– Oczywiście, że mi się spodoba – odparła entuzjastycznie. Cokolwiek zaproponowałby teraz ten facet, przyjęłaby bez mrugnięcia okiem. Była tak oszołomiona jego bliskością, że zatraciła zdroworozsądkowy krytycyzm.

Dalej jechali w milczeniu. Żadne się nie odezwało, choć każde z innych pobudek. Ona, bo przez lata toksycznego związku nauczyła się pozostawać w cieniu. On, bo nawet nie zauważył, że nie zabawia towarzyszkę rozmową. Cisza nigdy mu nie ciążyła, jak więc miał nagle dostrzec tę niestosownieść?

Zajechali pod Wiśniowy Sad jakże idealny na pierwszą, niezobowiązującą randkę. To nie była snobistyczna knajpa, w której na adamaszkowych obrusach, w porcelanie Rosenthal czy Spode, podawano by herbatkę w cenie dwudziestu pięciu złotych za filiżankę. Nie. To niepozorny, acz urokliwy mały domek u wylotu na Komorniki, który zdawał się pamiętać czasy zaborów. Bogusław nie chciał wypaść na snobistycznego palanta, stąd wybór knajpki w prząsnym, rustykalnym stylu.

Na niewielkim parkingu stało kilka samochodów, ale wciąż były wolne miejsca. Zaparkował więc Mercedesa blisko drzwi wejściowych i wysiadł z auta. Nie czekając, Kaśka, nauczona szeroko pojętej samodzielności, też otworzyła drzwiczki i zaczęła wysiadać.

– Zaczekaj – zawołał, podchodząc i wyciągając do niej dłoń.

– Lata przyzwyczajenia – zaśmiała się, nieco oszołomiona jego gestem, który przyszedł

cokolwiek za późno, bo kobieta właśnie zatrzasnęła za sobą drzwi.

O mamę – jęknęła w duchu, wszedłszy do środka. Była jak zamroczone, obezwładniona, odurzona... Jak wiele jeszcze określić można by przywołać, żeby zdefiniować jej stan? Wewnątrz panował przyjemny klimat knajpki z duszą – kwiaty, świece, bibeloty, a przy drewnianych stołach z delikatnymi, kwiecistymi zdobieniami czuło się domową atmosferę minionego czasu. Idealnie. Ta rustykalna gospoda i to ciacho wyglądające niczym bożyszcze tłumów... – westchnęła, czując się jak bohaterka harlekinowskiego romansu, na końcu którego pojawi się biało-grzywy koń, a oni ruszą na jego grzbiecie ku zachodzącemu słońcu. Łał – otrząsnęła się, mrużąc oczy i kręcąc głową.

– Nie podoba ci się tu? – zapytał z troską.

Jej gest, choć nieznaczny, jednak nie uszedł jego uwadze. Cholernie chciał, żeby tego pierwszego razu wszystko było idealne. Czyżby źle ocenił tę kobietę? Czy to możliwe, że nie trafił w jej gust? Przecież dokładnie przyjrzał się jej domowi – w każdym razie tym wnętrzom, do których miał choćby częściowy dostęp. Stąd uznał, że Wiśniowy Sad będzie odpowiedni. Może jednak się mylił? Fuck!

– Nie! – odpowiedziała entuzjastycznie, niemal wykrzykując odpowiedź. – Nie, nie – powtórzyła już nieco spokojniej. – Jest idealnie. Po prostu jestem oszołomiona. To miejsce... – westchnęła, teatralnie unosząc ramiona – idealne na dzisiejszy wieczór. Jak je znalazłeś?

– To żadne wielkie odkrycie – stwierdził nieco zgaszony. – Po prostu w moim fachu człowiek zna niemal wszystkie knajpy w mieście i okolicy.

No tak, logiczne. Jak mogła zadać tak bezsensowne pytanie? Podczas gdy ona karciała się za bezmyślność, on delikatnie uchwycił jej łokieć i podprowadził do stolika przy oknie, gdzie ośnieżony widok zza szyby dodawał miejscu uroku. Zdjęła płaszcz i położyła na krześle obok siebie.

– Podaj, proszę. – Odebrał od niej okrycie i odwiesił na pobliskim wieszaku wraz ze swoją kurtką.

Wracając do stolika, uśmiechnął się czule, widząc jak Kaśka rozgląda się, wnikliwie taksując każdy detal wystroju. Nie zamierzał psuć jej tej chwili. Usiadł i sam zaczął podziwiać. Choć to nie wnętrze stało się obiektem jego podziwu, a siedząca naprzeciw niego niewiasta. Wyglądała cudownie. Miała na sobie tę śliwkową sukienkę, w której widział ją w Słodowni, czarne, skórzane bolerko i długie, czarne kozaczki na półszpilce. Kasztanowe loki związała na czubku głowy w niesforny koczek, z którego, niby przypadkiem, wymykały się pojedyncze pukle, opadając na kuszący kark. Cholera. Taka fryzura z pewnością doprowadziłaby do szału niejednego faceta. Bogusław oczami wyobraźni widział swoje dłonie brodzące w tych nęcących, kasztanowych falach. Jakby tego nie dość, kuśliła pełnymi ustami dyskretnie muśniętymi błyszczkiem i prawie niezauważalnym makijażem podkreślającym delikatne rysy.

Ciepłe oświetlenie lokalu, przyćmiony płomień palącej się na stole świecy, delikatnie sącząca się muzyka i ona. Ta, za którą tak długo tęsknił, o którą od tak dawna zabiegał, choć ona nie miała o tym bladego pojęcia, i która wreszcie stała się rzeczywistością. Czym zasłużył sobie na takie cholerne szczęście? Może jednak nie był takim złym gościem, skoro los mu sprzyjał? A że sprzyjał, to pewne. Przecież siedziała tu wraz z nim i była tu wyłącznie dla niego, wyglądając niczym zmysłowe piękności ze starych obrazów. Sławek jęknął pod wpływem tego obrazu. Kiedy wreszcie będzie mógł zagarnąć tę istotę w swoje ramiona, by pokazać, jak bardzo jej pożąda? Dobra stary. Opuść! – nakazał sobie. Może nigdy nie nadejdzie ten moment. Może spotkała się z tobą z grzeczności, żeby odwdziżyć się za pomoc. Nie bądź głupcem. Taka kobieta nie zainteresuje się na poważnie kimś takim jak ty. Czymś takim jak ty – poprawił się. I co z tego, że kobiety zerkały na niego pożądliwym wzrokiem? Ile w tym wzroku było szczerej

pożądliwości, a ile stymulacji płynącej z jego wampirzej natury? Nie miał pojęcia. Odkąd lata temu Jagienka „przywłaszczyła” go sobie, nigdy nie był pewien, czy kobiety są nim prawdziwie zainteresowane. Zresztą kogo to obchodziło? Jego na pewno nie – Jagienka była całym jego światem. Aż do tej przerażającej, weneckiej nocy. Wtedy wszystko się zmieniło. Musiało, ale i wówczas nie zależało mu na prawdziwej pożądliwości niewiast, które posiadał. Tym, którymi sam się interesował, zaszczerpiał chęć obcowania z nim, a cała reszta nie miała znaczenia. Po wszystkim po prostu czyścił im pamięć i znikał. Teraz nie chciał zniknąć. Co więcej – diabelnie mu zależało, aby ta kobieta była nim szczerze zainteresowana. Wkrótce się o tym przekona.

W czasie gdy Bogusław delektował się Kaśką, zarazem udzielając sobie bezsensownej reprimendy i rozważając własną, być może wątpliwą, atrakcyjność, ona, po raz setny, zachwycała się jego pięknem i knuła typowe sobie teorie spiskowe. O mamó – jęczała w duchu, ukradkiem łowiąc jego łakome spojrzenia. Co tak nieprzyzwoicie atrakcyjny, młody mężczyzna robi w tym miejscu z nieatrakcyjną, starszą od siebie kobietą? – zastanawiała się pełna obaw. Dziwny facet.

Gdyby mogli nawzajem usłyszeć swoje myśli, nieźle by się ubawili. Niestety – dla śmiertelnej Kaśki zero szans. Bogusław zaś już na wstępie odciął się od jej emocji, taktownie nie zamierzając grzebać jej w umyśle. Tak więc jedno i drugie zapamiętało karmiło swoje lęki chorymi obawami, tuczając je bezwstydnie, niczym nieszczęsne gęsi pasione na tucz. I pewnie paśliby je tak w nieskończoność, gdyby nie szczupła, ciemnowłosa kelnerka. Dziewczyna podeszła do ich stolika, podając karty dań, które przyjęli z nieskrywanym entuzjazmem, jakby w nich mogli wyczytać recepty na własne rozterki.

Kaśka wertowała strony, przeglądając spis potraw, choć właściwie od początku wiedziała, że nie będzie zamawiać nic do jedzenia. Gigantyczny węzeł, który zapętlił się na jej żołądku, sprawiał, że z pewnością nic by nie przełknęła. Była koszmarnie spięta. A przedwczorajsza, swobodna relacja między nimi? Przepadła gdzieś, zołza, bez śladu. W tej sytuacji jedynym antidotum na drążący ją niepokój mogło być coś mocniejszego. Cholerka jak dobrze, że śnieg zasypał samochód – radośnie zachichotała jej podświadomość. Ale czysty alkohol nie wchodził w grę. Z jej słabą głową? Nie ma mowy! Wynałazła więc kawowo-lodowy koktajl z bitą śmietaną i Bailey’sem i gdy kelnerka wróciła, przyjął zamówienie, poprosiła o quasi drinka.

– Wodę. Niegazowaną – uściślił Bogusław, gdy dziewczyna spojrzała w jego stronę. – Prowadzę – stwierdził lakonicznie, odpowiadając na niewypowiedziane pytanie Kaśki.

Ciemnowłosa kelnerka odeszła realizować zamówienie, a oni znów siedzieli w krępującej ciszy, która, przysiadłszy się do ich stolika, uparcie nie chciała odejść. Sytuacja była na wskroś żenująca i tylko muzyka i ruch, nieustannie odbywający się gdzieś na obrzeżach ich postrzegania, zdawały się ich ratunkiem. Ta niezręczna chwila ciągnęła się przez wieczność, więc gdy kelnerka postawiła przed Kaśką wysoką szklankę ze słomką w smakowicie wyglądającym drinku i banalną Kroplę Beskidu z równie wysoką szklanką dla Sławka, odetchnęli głęboko. Wreszcie mogli na czymś skupić dłonie i niesforne myśli.

– Jakoś... nie klei nam się dzisiaj rozmowa. – Kaśka spuściła wzrok i utkwiała go w szklance, po której krawędzi wodziła opuszką wskazującego palca.

– Ano, nie. – Zdawał się niepewny. Paniczna obawa, że może wszystko schrzanić i zrazić ją do siebie, odebrała mu śmiałość. – Jak się mały czuje? – zagadnął w końcu, by przerwać milczenie.

– Och! – Ożywiła się. – Całkiem nieźle. No, może trochę podłamany, że wakacje mu się skomplikowały. Dużo o tobie mówi – dodała po chwili.

– Naprawdę? Chyba jednak nie ma aż tak wiele do opowiadania.

– Och, nie masz pojęcia, jak barwne potrafią być opowieści dziecka, nawet jeśli nie ma za

wiele do opowiadania – zaśmiała się, pociągając spory łyk koktajlu.

W istocie – nie miał pojęcia, ale bardzo liczył, że dzięki Kaśce i jej dzieciom w końcu się to zmieni.

– Masz fantastyczne dzieciaki. Wiele bym dał, by mieć taką rodzinę jak twoja.

– Oj, jestem przekonana, że nic straconego. – Uśmiechnęła się życzliwie. – Jesteś młodym mężczyzną. Całe życie przed tobą. Jeeezu, walę truizmy – jęknęła w duchu. Niestety nie mogła już tego cofnąć, dziarsko więc brnęła dalej. – Z pewnością znajdzie się dziewczyna, z którą będziesz miał taką rodzinę. Cholerka. I to niejedna. Tabuny dziewczyn ustawią się w kolejkę, jak chłopak ogłosi chęć ustatkowania.

Bogusław uśmiechnął się zagadkowo.

– Lubię twoją rodzinę – odparł, świdrując Kaśkę wymownym spojrzeniem.

– Po jednym dniu? – roześmiała się szczerze, ignorując świdrujące spojrzenie i akcent na „twoją”, i włożywszy słomkę do ust, pociągnęła kolejny spory łyk. – Dziecieciaaku... słodki jesteś – dodała, przełknąwszy.

Tym razem on roześmiał się serdecznie. Tego im było trzeba – szczerego, ożywczego śmiechu, który skruszy lody. Nim się obejrzeni, zajmująca rozmowa pochłonęła ich całkowicie.

Bogusław chciał ją lepiej poznać, więc opowiadała. O dzieciństwie w małym miasteczku i o despotycznej matce. O ojcu, który, niczym zahukany Dulski, pędził swój żywot w cieniu jaśniejącej gwiazdy żony i który wyzionął ducha zbyt wcześnie, by się zestarzeć. O wymarzonych studiach i tym, że spełniając te marzenia sprawiła, iż teraz – w trudnej sytuacji, jest na finansowej łasce byłego męża. O tym, że kocha grę i że każda dawana przez nią lekcja jest wciąż nową, ogromną przyjemnością.

– Jako dziecko nikt się nie przejmował tym, bym cokolwiek poznała, a gdy już byłam na tyle dorosła, żeby samodzielnie poznawać świat, szybko wyszłam za mąż – mówiła, tłumacząc, dlaczego tak niewiele udało jej się poznać. – A potem równie szybko pojawił się Paweł i wszystkie swoje marzenia musiałam odłożyć na bok. – Westchnęła tęsknie. – Nie masz pojęcia, jak bardzo ci zazdroszczę, że mogłeś tyle świata zobaczyć – stwierdziła z nieskrywanym uznaniem. – I dzięki temu znasz języki. Jeeezu, ile bym dała, żeby poznać to wszystko co ty? Ale, jak widać, nie wszystkim jest to dane. – Zaśmiała się smętnie. – Języki też znam słabo – dodała. – Wiesz, tyle co ze szkoły i studiów. To raczej zenujący poziom – przyznała z rozbrajającą szczerością i skrępowana opuściła głowę, znów skupiając się na drinku.

Bogusław docenił tę ujmującą szczerłość. Jak wiele osób w obecnym świecie przyznaje się do niewiedzy? Ta kobieta zadziwiała go coraz bardziej i coraz bardziej zdobywała jego serce.

– Wierzyłam, że moje dzieciaki będą miały bogatsze życie – kontynuowała. – W końcu ojciec, wzięty prawnik, to rodzi jakieś nadzieje... ale teraz... trudno powiedzieć. Mnie z pewnością nie będzie stać na to, żeby pokazać im to wszystko, co bym chciała. Może Jacek będzie się do czegoś poczuwał, ale to nie jest pewne. Zresztą – dodała zakłopotana – już czujemy skutki rozwodu. Od września będę musiała przenieść Pawełka do innej szkoły. Nie stać mnie już na tę, do której chodzi, a Jacek też ma swoje zobowiązania, więc... może jednak rozwód, to była nierozważna decyzja? – spytała po chwili jakby samą siebie, spoglądając gdzieś poza horyzontem.

– Nie podejmuj pochopnych decyzji. – Bogusław wpatrywał się w nią intensywnie.

– Co masz na myśli?

– No, tę szkołę. Może nie powinnaś tak od razu decydować się na to przeniesienie, skoro ta szkoła jest dla niego dobra.

Nie mógł ujawnić, co chodzi mu po głowie, ale przecież, jeśli tylko ziszczą się jego plany, będzie ją stać na najlepszą szkołę dla małego i na podróże, i naukę języków. Jednak w tym

momencie wszystkie jego zamysły lewitowały w sferze marzeń. Na szczerłość było stanowczo za wcześnie. Zresztą oferowanie jej swego bogactwa już na wstępie, to jak kupować tę kobietę, a przecież nie chciał jej kupować, chciał ją zdobyć. Swoją drogą – i tak nie dałaby się kupić. Znał ją na tyle, by wiedzieć, że zwyczajnie wykopałaby go na zbity pysk. Nie, zdecydowanie za wcześnie – upewnił samego siebie.

– Hmhmhm – uraczyła go gorzkim śmiechem. – To nie jest pochopna decyzja, to konieczność. Rozumiesz? – Spojrzała na niego, jakby mówiła do dziecka albo do ociężałego umysłowo. – Ale... co ty możesz wiedzieć o życiu czy kłopotach finansowych? Za młody jesteś na doświadczenia życiowe i za bogaty na problemy finansowe. Szczęściarz – dodała, wzdychając.

– Oj Kasiu, Kasiu... – Jego oczy jaśniały czułością. Boże, jak bardzo chciałby powiedzieć jej prawdę o sobie. Może kiedyś... – Daj spokój z tym wiekiem. Nie jestem taki młody, jak ci się wydaje.

Nie mógł walczyć z jej przykrymi doświadczeniami, ale mógł zmienić temat, zwłaszcza, że Kaśka zaczęła spoglądać na niego podejrzliwie. Nim jednak zdążyła sformułować niewygodne pytanie, zagrał na jej wrażliwej strunie:

– Więc rozumiem, że muzyka jest twoją pasją – zauważył, koncentrując uwagę kobiety na czymś innym niż jej problemy i jego wiek.

– Jedną z... ale, tak – potwierdziła, łapiąc przynętę. – Choć to raczej pasja zawodowa niż hobby i z racji wcześniejszych życiowych wyborów w bardzo marginalnym zakresie. Wiesz... dom, dzieciaki, ograniczone fundusze. – Wzruszyła ramionami. – Ale wciąż staram się śledzić nowe trendy, czasami bywać na koncertach, a jeśli nie mogę sobie na to pozwolić, to chociaż obskakuję darmowe happeningi – oznajmiła szczerze. – Ach, kurczę, jak już mówimy o darmowych imprezach... – zapaliła się nagle – jaki super był w tym roku koncert w Sylwestra. Wiesz, ten na Placu Wolności. No niesamowity. Byłeś może?

– Byłem.

– Hejku! Ja też! – ekscytowała się jak mała dziewczynka, nieświadomie wierząc się na krześle. – Z moją przyjaciółką, Gośką. Może nawet się spotkaliśmy, tylko nie zwracaliśmy na siebie uwagi? – roześmiała się, nie zdając sobie sprawy, jak bliska była prawdy.

Boże, żeby wiedziała... Ona nie zwracała uwagi na niego, to pewne, ale on doskonale wiedział, że tam była i patrzył na nią łapczywie, póki chore wspomnienia nie pochłonęły go całkowicie.

– Chociaż nie, niemożliwe, żebyś nas spotkał – ciągnęła. – Przecież gdybyś nas spotkał, zauważyłbyś Gośkę. To jest kobieta, której żaden mężczyzna nie jest w stanie zapomnieć. – W jej głosie słychać było zachwyt, a na twarzy malowało się rozmarzenie. – Jest piękna, seksowna, idealna pod każdym względem...

– Hej, lecisz na dziewczyny? – przerwał jej, uśmiechając się zaczepnie. Widział jak z każdym słowem wypowiedzanego zachwytu, Kaśka zapada się w sobie.

– Nie! Oj, oczywiście, że nie – zaprzeczyła z zapałem, chichocząc i rumieniąc się jednocześnie. – Chociaż, gdybym miała u Gośki jakieś szanse... to kto wie? – Śmiejąc się perliści, spojrzała na niego łobuzersko. – Chyba bym przemyślała sprawę.

– Figlara. – Zadziornie pogroził jej palcem.

Atmosfera rozluźnienia na dobre rozpanoszyła się przy ich stoliku, a oni szczerze rozbawieni, z ochotą ustępowali jej miejsca. Bogusław co rusz błyskał śnieżnobiałymi zębami, ich nienaturalną bielą przykuwając mimowolną uwagę Kaśki, która, zauroczona, podświadomie dociekała źródła ich krasy. Matko, co trzeba zrobić, żeby mieć takie zęby? Nie miała odwagi zapytać.

– Nooo, to dobrze, że nie możesz liczyć na taką przychylność ze strony Gośki, bo wtedy nie miałbym u ciebie żadnych szans – powiedział niby żartem, gdy pohamowali rozbawienie. Tymczasem serce waliło mu jak przysłowiowy młot, w oczekiwaniu na jej odpowiedź.

– Nie flirtuj ze mną chłopcze, bo jeszcze się skuszę na twoje młode ciało. – Najwyraźniej trzecia kolejka drinków zaczynała dobrze rozgrzewać ją od środka, skoro bezwstydne propozycje kierowane do małolata nie budziły w niej większych emocji. Co więcej... szczerze mówiąc, dobrze się bawiła i nie miała nic naprzeciw, żeby rozmowa utrzymywała się w takim klimacie.

– A co jeśli ja chcę, żebyś się skusiła? – podchwycił.

– Lubisz starsze panie, co? – Znow perlisty śmiech.

– Lubię ciebie – odpowiedział, poważniejąc nagle, choć w jego błękitnych oczach wciąż błyszczwały iskry uśmiechu.

– O nie, nie, nie. – Pogroziła mu palcem. – Nie uderzamy w poważny ton. Poza tym, mój mały – zaczęła protekcyjnie – w życiu takie rzeczy się nie zdarzają. Młodzi, szalenie przystojni chłopcy, nie kręcą się koło podstarzałych rozwódek z dziećmi.

– Boże! Dziewczyno! Podstarzała?! Ile ty wypiałaś tych drinków, co?

– Trzy – zachichotała, wyciągając w jego kierunku dłoń z wyprostowanymi trzema palcami.

Bogusław nie przepuścił takiej okazji – łączywie pochwycił tę dłoń i przez chwilę czule pieścił, pocierając kciukiem kostki. Atmosfera zaczęła gęstnieć, a on pochylił głowę i z powagą spoglądając Kaśkę w oczy, jął delikatnie całować koniuszki jej palców. Znow chwilę bawił się tą pieśczołą, a potem powoli obrócił Kasiną dłoń jakby zamierzał wróżyć jej z ręki i przymknawszy oczy, zaczął całować od wewnętrznej strony. W migocącym blasku świecy wyglądał zjawiskowo. Pochylona głowa, opadające na piękną twarz niesforne włosy, przymknięte powieki i usta zatopione w jej dłoni – O mamo! – jęczało całe jej wnętrze, kiedy iskry podniecenia niczym błyskawica przesywały ciało Kaśki. Ostatni raz czuła takie iskry...? Nie pamiętała. Spragniona czułości, ba – spragniona jego czułości, też przymknęła oczy i na moment oddała się rozkoszy. Ożeż w mordę! – ryknęła niewybrednie jej podświadomość, budząc ją z tego osobliwego letargu. Kaśka wyrwała dłoń i zażenowana spojrzała na Bogusława.

– Daj spokój – zachnęła się, niemal szepcząc. – To nie jest zabawne. Nie zabawiaj się moimi emocjami.

– O matko, dziewczyno. Nie mam takiego zamiaru – odpowiedział poważnie. – Nie widzisz, że cholernie mi się podobasz? Siedzę tu jak na igłach i cały czas kombinuję, jak ci to powiedzieć. I jak cię przekonać, żebyś zechciała się ze mną umówić na prawdziwą randkę. A nie na spotkanie z wdzięczności – dodał niepewnie.

– Co? O czym ty mówisz?

– O tym, że zdaję sobie sprawę, że umówiłaś się ze mną, bo nalegałem. I że czułaś się w obowiązku... za moją pomoc.

– Oszalałaś?! To chyba ty umówiłaś się ze mną z litości dla samotnej, nieatrakcyjnej rozwódki i podejrzewam, że cały czas kombinujesz, jakby się z tego wywinąć.

– No to teraz mamy jasność – stwierdził trzeźwo.

Zresztą, Kaśka też właśnie wytrzeźwiała i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a może raczej kubła lodowatej wody, znow widziała świat w rzeczywistym wymiarze.

– Może więc zacniemy wszystko od początku? – zasugerował, spoglądając na nią z powagą, acz niepewnie.

– Nie wiem. Co masz na myśli, mówiąc „od początku”? – Zawahała się. – Nie jestem pewna, czy mogę ufać temu, co mówisz.

– To znaczy...? Czego się obawiasz?

– Różnicy wieku, twojej niesamowitej atrakcyjności... nie wiem... wszystkiego.
– Dla mnie różnica wieku nie jest problemem. Żeby wiedziała, o jakiej różnicy wieku jest mowa – pokręcił głową. – A co do atrakcyjności? Kurczę, Kasiu. Jak mam cię przekonać, że jesteś dla mnie najatrakcyjniejszą kobietą pod słońcem?

Roześmiała się histerycznie. Odkąd sięgała pamięcią, żaden facet nie wypalił z taką bzdurą. Czy ten chłopak postradał rozum?

– Dobra, co jest? Moda na antyładne? – zadrwiła.

– Daj spokój, mówię poważnie. Co zrobił ci ten palant, że masz tak niskie poczucie własnej wartości? Jeezu, dziewczyno! Znam cię od niedawna, ale jednego jestem pewien ponad wszelką wątpliwość. – Zrobił pauzę, by nadać odpowiedniej oprawy temu, co właśnie zamierzał powiedzieć i z pasją w spojrzeniu dokończył: – Jesteś śliczną, ponętą kobietą z niesamowitą osobowością, która potrafi zatrzęsnać posadami egzystencji nawet najbardziej zatwardziałego samotnika – oznajmił niemal patetycznie.

– O matko – jęknęła, kryjąc twarz w dłoniach. Nie wiedziała jak zareagować na coś tak... absurdalnego? Szalonego? Niewiarygodnego?

– Jak możesz tego nie widzieć? – W jego słowach głośno brzmiała nuta oburzenia. – Dostrzegłem cię już wtedy w Słodowni, gdy potknęłaś się i o mało na mnie nie wpadłaś. Byłem tobą zauroczony... już wtedy.

Łał. Kaśka siedziała osłupiała, z szeroko otwartymi oczami tudzież opadłą szczęką i słuchała jego słów niczym hebrajszczyzny. Trudno było uwierzyć w ich prawdziwość, ale determinacja Bogusława i zdecydowanie szczerzy wyraz jego twarzy zaczęły do niej przemawiać bardziej niż wypowiedane słowa.

– Nie wierzę – wyszeptała, kręcąc zaciekłe głową. – Zatem...? – spytała niepewnie po dłuższej chwili krępującego milczenia.

– Zatem uwierz mi i daj nam szansę. – W jego oczach jaśniała determinacja.

Chryste! Nam?

– Znamy się tak naprawdę kilka godzin – zaczęła speszona. – Potrzebuję czasu. Muszę przemyśleć to wszystko. To... twoje słowa i twoje zainteresowanie mną, są dla mnie jak... to jak... rewolucja.

– Rozumiem, że potrzebujesz czasu. Mogę poczekać, ale nie traćmy ze sobą kontaktu. Nie wyznaczaj jakichś szalenie odległych terminów. Proszę. – Błagalny ton jego głosu zaskoczył jego samego.

Zapanowała kolejna niechciana cisza. Ona kombinowała, co zrobić z fantem niespodziewanie podrzuconym przez los, on zaś drżał z niepokoju, by nie uciekła w popłochu przerażona osaczającym ją szaleńcem.

– Teraz są ferie – stwierdziła spokojnie, choć jej będące w nieustającym ruchu dłonie, świadczyły o trawiących ją emocjach. To wykręcała palce, to splatała, to zwijała dłonie w pięści, to masowała kostki, podświadomie sygnalizując napięcie. – Mam w planach wyjazd z dziećmi nad morze. Może jak wrócę... – Zawiesiła głos. Właściwie nie była pewna, co chciała dalej powiedzieć. Że co? Że zadzwoni? Że się z nim spotka? Nie, nie miała pojęcia, co dalej.

– Dobrze. Oczywiście – wybawił ją. – Będę czekał. Ale w tym czasie pozwól, że będę dzwonił i pisał SMS-y, i mam nadzieję, że ty też czasem zadzwonisz i przyślesz jakiegoś SMS-a.

– Zgoda. – Nieznacznie kiwnęła głową. – Na tyle mogę się zdecydować. Na tyle... mogę ci zaufać.

– Dziękuję – wyszeptał wzruszony. Znów pochwycił jej dłoń i czule, niemal z pietyzmem, ucałował.

Chętnie siedziałby tak jeszcze i jeszcze, ale wolny czas Kaśki topniał nieubłaganie.

Zebrali się więc i nim zdążyła włożyć płaszcz, Bogusław uregulował rachunek, po czym chwycił ją za rękę i wyszli z lokalu. Siarczysty mróz kłuł niczym solidnie zaostrzone szpilki, ale kto by się tym przejmował, gdy od środka rozpalał ich żar? Żar podsycany splecionymi dłońmi. I znów – kiedy ostatni raz Kaśka czuła coś takiego? Chryste! – ile razy jeszcze będzie musiała zadać sobie to pytanie?

Jego dotyk był inny niż jawnie erotyczna pieśczoła, gdy bawił się jej dłonią przy stoliku. Był delikatny, choć zdecydowany, chłodny, ale elektryzujący – szalenie intrygujące doznanie. Znowu lekko gładził ją kciukiem, sprawiając, że i tym razem zmysłowe mrowienie przebiegło jej po plecach. Kaśka chłonęła każdą sekundę tego dotyku. Jeszcze chwila, a zacznie mruczeć i ekstatycznie pojękiwać. Znowu cofnęła rękę, choć nie z zażenowania, bardziej z obawy, że Sławek wyczuje jej rozochocenie. I wszystko przez to, że facet chwycił mnie za rękę? Obłąd!

Oczywiście, że czuł jej emocje. Ten nieznaczny, fizyczny kontakt był jak przekaz telegraficzny. I zdecydowanie to co odbierał, bardzo mu się podobało.

Gdy dotarli pod jej dom, nie podejmowali już żadnej rozmowy. Mieli zaledwie kilka chwil na pożegnanie.

– To był zaskakujący, ale bardzo miły wieczór – zauważyła, chwytając klamkę, by otworzyć drzwiczki. – Dziękuję.

– To ja dziękuję. – Po raz kolejny ujął jej dłoń i ucałował.

Kaśka spojrzała na niego czule. Matko, co ja mam zrobić z tym młokosem? – lamentowała w duchu, gdy tymczasem on chwycił ją za podbródek i przyciągnął do siebie, fundując jej niespodziewany pocałunek. Nie walczyła – poddała się, oddając pieśczołę. Lekko rozchyłone usta, muśnięcie języka i przyspieszony oddech... nic więcej. Ich pierwszy pocałunek – delikatny, prawie przelotny, a jednak...

– Dobranoc – powiedziała, odrywając się od niego, łapiąc oddech.

– Dobranoc – wyszeptał, a w jego oczach dostrzegła dziwny, srebrzysty żar.

Udało się! – wykrzyknął w myślach, gdy drzwi wejściowe do budynku na Prusa zatrzasnęły się, a on odjeżdżał od krawężnika. Kurde, może nie do końca, ale jednak. Udało się.

Kaśka wyszła spod zbawienego prysznic, który splukał z niej to oszałamiające otępienie. Czy to wszystko działo się naprawdę? Cholerka! Jasne że tak – zaśmiała się w duchu. Narzuciła na siebie szlafrok i umywszy zęby, i przeczesawszy włosy, powędrowała do sypialni. W niezasłoniętym oknie jaśniała poświata bijąca od zaśnieżonego miasta, a ona chwyciła leżącą na nocnym stoliku komórkę i wybrała numer.

– Halo? – Po kilku sygnałach usłyszała zaspiany głos.

– Gośka, czy ty wiesz, z jakim facetem miałam dzisiaj randkę? – zawołała rozmarzona.

– Kobieto! A czy ty... wiesz, która jest godzina?

Rozdział 21

Kaśka przetarła zaspane oczy i rozejrzała się po sypialni. Wiosenne słońce nachalnie wdzierało się do środka, zalewając swym blaskiem czekoladowe ściany. Pokój od strony wschodu jest idealny na sypialnię – pomyślała, napawając się buszującymi po ścianach promieniami. Oczywiście miała grube, ściśle zasłony i nawet szczelną roletę zewnętrzną – wszystko, by dokładnie zabezpieczyć się przed rażącym światłem porannego słońca, ale prawie nigdy z nich nie korzystała. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze uwielbiała widok słonecznych promieni ciepło pelzających po ścianie.

Po raz pierwszy od chwili, gdy Jacek wyprowadził się z domu, nie czuła się zdołowana myślą o rozpoczynającym się dniu. Lepiej – ta sobota miała być wyjątkowa, a ona już nie mogła się doczekać, kiedy wciągnie ją w swój nurt. Rzeźkim krokiem ruszyła więc do łazienki, by zadość uczynić porannej toalecie, po czym szybciotko wskoczyła w dżinsy i trykotową bluzeczkę z długim rękawem w biało-czarne prążki. Włosy związała w zwarty warkoczek i dziarsko ruszyła budzić dzieciaki.

Zegar na nocnym stoliku wskazywał dziesiątą, a zuchwałe słońce na dobre rozpanoszyło się po pokoju. Plan na ten dzień był tak banalnie prosty, że na samo jego wspomnienie szeroki uśmiech pojawił się na Kasinej twarzy. Zasadniczo obejmował cztery podstawowe punkty. Po pierwsze – rano nakarmić i wyszykować maluchy na spotkanie z ojcem. Po drugie – w południe wydać dzieciaki ojcu na najbliższy weekend i ogarnąć nieco mieszkanie. Po trzecie – po południu wziąć prysznic albo może relaksującą kąpiel i wyszykować się na randkę. Po czwarte – wieczorem RANDKA!!! Kaśka w myśli wyliczyła wszystkie punkty i serdecznie się roześmiała. Nie widziała się z Bogusławem od tego zaskakującego wieczoru w Wiśniowym Sadzie. Potrzebowała czasu, żeby wszystko poukładać we własnym sumieniu i przekonać samą siebie, że randki z młodszym facetem to nic strasznego. Zwłaszcza, że chłopak był naprawdę słodki – częste SMS-y i długie telefoniczne rozmowy za każdym razem bardziej przekonywały ją, że znajomość z nim, to całkiem niezłe posunięcie. Dziś postanowiła wreszcie dać im szansę – nie koleżeńskie spotkanie tylko... prawdziwa randka.

Wchodząc do kuchni, rzuciła okiem na leżącą na blacie komórkę, sygnalizującą oczekującego SMS-a. Podeszła do szafki i wzięła do ręki telefon. Wiadomość była krótka, ale treściwa – "ODLICZAM KAŻDĄ DZIELACĄ NAS SEKUNDE. BOGUSŁAW".

Cudowny początek, cudownie zapowiadającego się dnia – pomyślała Kaśka, odkładając telefon. Z bananem szczęśliwości na twarzy włączyła płytę Roda Stewarda na kuchennej miniwieży i, podrygując rytmicznie, ochoczo zabrała się do szykowania śniadania. Dzieciaki krzątały się na przemian w łazience i w swoim pokoju, by po chwili, ubrane i rzeźkie, pojawić się w kuchni. Słońce, jak zwykle towarzyskie, postanowiło razem z nimi zasiąść do stołu i całej trójce umilać rodzinne śniadanko. Jedli więc w blasku ciepłych promieni, kiedy rozdzwoniła się komórka. Zimny dreszcz przebiegł Kaśce po plecach, gdy na wyświetlaczu ujrzała: JACEK. Chwilę wpatrywała się w telefon, desperacko pragnąc odrzucić połączenie. Przeczynała katastrofę. Krnąbrne urządzenie nie dawało jednak za wygraną, wcisnęła więc zielony guziczek i odebrała.

– Słucham – powiedziała tak posepnie, że nawet radosne słońce nieco zbledło na kuchennym blacie.

– Hej, Kaśka. Co się stało? Źle się czujesz? Jakoś marnie brzmisz. – Jacek z kolei zdawał się nienaturalnie radosny.

– To zależy, co masz mi do powiedzenia. Podejrzewam jednak, że gdy skończysz, to

faktycznie nie będę się czuła najlepiej.

Czyżby usłyszała sapnięcie po drugiej stronie?

– Słuchaj... bo jest taka sprawa... – Zrobił krótką pauzę, jakby szukał odpowiednich słów. Zaczynało się robić poważnie. – Ja wiem – kontynuował – że miałem wziąć dzieciaki tylko na sobotę i niedzielę do osiemnastej, ale jest tak pięknie, że pomyślałem sobie... czy byś się zgodziła, żebym zabrał je na te dwa dni nad morze? – Znowu pauza, jakby oczekiwał na wybuch jej irytacji. Ponieważ milczała zbita z tropu nieoczekiwaną propozycją, Jacek drażył temat w nadziei na jej przychylność. – No wiesz. To co jest między nami nie powinno wpływać na moje relacje z maluchami. Zgódź się, żebym mógł je przywieźć w poniedziałek. Bo rozumiesz... jazda w jedną stronę to jest pół dnia, więc jeżeli musiałbym się zmieścić w czasie, to nie ma sensu jechać.

Choć mówił dość nieskładnie, co chwilę pauzując, z każdym jego słowem na twarzy Kaśki malował się coraz szerszy uśmiech.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała, z ochotą akceptując jego plan. Nigdy nie zamierzała utrudniać kontaktów dzieci z ojcem i ograniczać ich stricte do sądowych ustaleń, zaś ta propozycja była nie tylko super frajdą dla maluchów, ale też dawała jej odrobinę swobody. – Wiesz, że nie mam w zwyczaju robić komukolwiek na złość. Jestem dupowata. A już z pewnością nie moim dzieciom, ale Pawełek idzie w poniedziałek do szkoły...

– Kaśka, daj spokój. Nic się nie stanie, jak opuści jeden dzień.

No niby nie.

– No wiem, ale muszę go spytać, co on na to. W zasadzie Agatka też powinna wyrazić swoją opinię, nie uważasz?

– Ty i ta twoja rodzinna demokracja – zaśmiał się protekcyjnie.

Minutę później rozanielone dzieciaki entuzjastycznie rzuciły się na propozycję ojca i z zapalem zabrały za pałaszowanie śniadania.

– Jedziecie tylko we troje? – spytała, ustaliwszy pokrótce plan przygotowań z maluchami. Nie mogła oprzeć się pokusie, by spytać. Głupia, głupia, głupia!

– Nie. To jakiś problem? – Jacek przybrał obronny ton.

– Absolutnie żaden. – Była tak naturalna i przekonująca, że zaskoczyła tym samą siebie. – Po prostu chciałam wiedzieć. Wiesz, taka babska ciekawość – zachichotała radośnie, sprawiając, że po drugiej stronie zapanowała nieco niepokojąca cisza. Nie spodziewała się, że jej dobry nastrój odbierze mowę zawsze wygadnemu eksmężowi.

– Kaśka? – Znowu chwila ciszy. – Masz kogoś? – Jacek brzmiał tak poważnie, jakby pytał o stan zdrowia ciężko chorej osoby.

Nie zamierzała odpowiadać. Po pierwsze, sama jeszcze nie знаła odpowiedzi, po drugie, nawet jeżeli coś kroilo się na horyzoncie jej niestabilnego życia, nie chciała tego zapisać zbyt wczesnym ujawnieniem. Istotnie boski Bogusław nie ustawał w okazywaniu jej uwagi, ale wcale nie musiało to doprowadzić do na tyle trwałego związku, by mogła powiedzieć, że „ma kogoś”. No i po trzecie – co mu do tego?

– To, o której będziesz? – Udając, że nie było pytania, zmieniła temat.

– Koło dwunastej. Może być? Zdasz spakować dzieciaki? – Jacek zdawał sobie sprawę, że nie ma co drażyć tematu. Jedyne czego mógłby się doczekać, to wymijająca odpowiedź.

– Tak, oczywiście. Dzieci już pognały do pokoju, szykować swoje plecaczki z „najważniejszymi rzeczami”. – Znowu radośnie się zaśmiała. – Okej, to do dwunastej. Będziemy gotowi. Cześć i pozdrów swoją dziewczynę.

Rozłączyła się, a potem zaniosła tak serdecznym śmiechem, że zaskoczone maluchy przybiegły do kuchni.

– Już dawno się tak nie śmiałaś, mamusi – stwierdził Pawełek odrobinę zaniepokojony. Nie wiedział czy ten śmiech to zapowiedź nowej, szczęśliwej mamusi, czy powrót zdolowanej, zapłakanej mamusi z huśtawką nastrojów sprzed kilku tygodni.

– Wiem, syneczku, wiem. Ale mam nadzieję, że od dzisiaj już zawsze będę się tak śmiać. I obiecuję, że będę to robić często. – Podeszła do syna i czule go wyściskała, a potem zagarnęła w ramiona Agatkę.

Była naprawdę szczęśliwa i szczerze wierzyła, że to szczęście zostanie przy niej na dłużej. Nawet jeżeli nowy adorator okaże się tylko przelotną przyjemnością, ona i tak nie wróci do dawnego przygnębienia. Już nigdy więcej! – obiecała sobie solennie. W około panoszyła się wiosna, a wraz z nią wszystko odżywało ze wzmoczoną siłą, więc i Kaśka odżyje.

Dokładnie w południe Jacek zjawił się po dzieciaki. Zaskakująco serdecznie przywitał się z maluchami i była żoną, a potem, pierwszy raz od niepamiętnych czasów, przyjrzał się Kaśce dokładniej. Wyglądała całkiem atrakcyjnie mimo codziennego stroju i braku makijażu. Jej twarz była promienna, a sylwetka nabrała sprężystości. Nie zostało w niej nic z bezbarwnej, by nie powiedzieć zszarzałej kobiety przytłoczonej ciężarem życiowych doświadczeń. Hmmm – zamyślił się, wykrzywiając twarz w pokracznym grymasie. Coś było nie tak. Rozejrzał się podejrzliwie po domu, węsząc grubszą intrygę.

Coś nie tak? Kaśce też się tak zdawało. Serdeczny Jacek? Niemożliwe. Ale tak właśnie się zachowywał. Jak by byli starymi przyjaciółmi – zero śladu po nieudanym małżeństwie i niedawnych, przykrych przeżyciach. Cholerka, to nie mój Jacek. Znowu? – powątpiewała jej podświadomość.

– Wolność ci służy – rzucił, kiwając głową z aprobatą, nie zwęszywszy jednak domniemanej grubszej intrygi.

– Skoro tak uważasz...

– Nic więcej nie powiesz?

– Nic więcej ze mnie nie wyciągniesz. – Puściła do niego oczko, a potem obdarzyła promiennym uśmiechem.

Cholera! A może jednak grubsza intryga? Oszołomiony nowym „ja” byłej żony, Jacek zaczął poważnie rozważać wpływ innego mężczyzny na tę cudowną przemianę. Czyżby tajemniczy pan Sławek? Tak czy siak, dzisiaj faktycznie nic więcej z niej nie wyciągnie. Może bąble puszczać parę.

Stojąc w korytarzu i rozmawiając o błahostkach, czekali, aż dzieciaki wyszykują się do drogi. Nie musieli długo czekać. Rozanielone maluchy wybiegły ze swojego pokoju w pełnym ekwipunku, mocno wyściskały pozostającą w domu matkę i trzymając ojca za ręce, bez wahania ruszyły w swoją weekendową przygodę.

– W poniedziałek rano zadzwonię i powiem ci, koło której możesz się nas spodziewać – rzucił Jacek na odchodnym.

– Okej. Bawcie się dobrze. – Kaśka zamknęła drzwi, odwróciła się i oparła o nie plecami. Stojąc tak z zamkniętymi oczami, kontemplowała spokój. Jakieś trzydzieści, czterdzieści sekund później wzięła głęboki haust powietrza, po czym wypuściła je głośno nosem, odepchnęła się od drzwi i zaczęła przygotowania do wieczornej wizyty.

Po pierwsze należało ogarnąć trochę mieszkanie. W pokoju dzieci królował tak zwany artystyczny nieład. Po dziecięcym pokoju przyszła kolej na sypialnię. W niej było najmniej pracy. Stosunkowo duży pokój z niedużą ilością sprzętów sprzątało się szybko i z przyjemnością, a zasłane starannie łóżko z gustowną narzutą i ozdobnymi poduchami dodawało pomieszczeniu elegancji. Sprzątnięcie reszty poszło równie sprawnie. W zasadzie odkąd dom stał się niemal wyłącznie jej królestwem nie było w nim bałaganu – wyłączając pokój maluchów, oczywiście.

Koło siedemnastej cały dom lśnił jak na obrazku, a pływająca dotychczas ze ścierką w rytm towarzyszącej muzyki gospodyni, udała się do świeżo wyszorowanej łazienki na zasłużoną, gorącą kąpiel z pianką. Prawdę powiedziawszy, Kaśka, podekscytowana perspektywą frapującego wieczoru, miała w sobie tyle energii, że mogłaby obskoczyć jeszcze ze trzy sąsiednie mieszkania, nim poczułaby cień zmęczenia.

Kiedy zbliżała się dwudziesta pierwsza, wyszykowana na randkę krążyła nerwowo po mieszkaniu, co rusz przeglądając się w dużym, kryształowym lustrze, wiszącym na ścianie w korytarzu. Nie była ubrana formalnie. W końcu to nie miało być przyjęcie z wielką pompą ani wyjście do eleganckiej restauracji, na które trzeba się jakoś szczególnie wystroić. I dobrze. Dzięki temu mogła założyć spodnie, które zawsze dodawały jej towarzyskiej odwagi. W sukienkach i spódniczkach czuła się niekomfortowo, często wręcz nieatrakcyjnie i zbyt oficjalnie.

Stała przed lustrem po raz setny, upewniając się, że wszystko jest jak należy, gdy dojmujący pisk domofonu rozdzwonił się niemal tuż przy jej uchu. Podskoczyła przestraszona nagłym, świdrującym dźwiękiem, po czym podeszła do drzwi, by wpuścić oczekiwanego gościa.

Bogusław stanął w progu mieszkania, rzucając Kaśce zachwycone spojrzenie. Gdy wszedł do środka, wciąż nie spuszczał z niej wzroku. Mimo niezobowiązującego stroju wyglądała bardzo atrakcyjnie. Miała na sobie granatowe spodnie z cieniutkiego sztruksu ściśle przylegające do ciała, podkreślające krągłe pośladki, i krótką, koszulową bluzeczkę w kolorową kratkę z przewagą granatu i purpury, wykończoną białymi wyłogami. Krojem bluzeczka podkreślała wydatny biust właścicielki, a guziki zapięte były tak, by ciekawskiemu obserwatorowi ukazać wiele obiecujący dekolt. Subtelny makijaż i błyszczący na ustach podkreślały miękkie rysy jej delikatnej twarzy. Całość wieńczyła ta cholernie zmysłowa fryzura ze zmotanych w niesforny kok loków, które fantazyjnie plątały się na czubku głowy, a kilka swobodnych pasemek opadało dookoła twarzy, nadając jej wyraz pogodnego elfa.

Odkąd widział ją po raz ostatni, Bogusław często przypominał sobie urok, jakim emanowała ta kobieta, ale i tak jej widok go oszołomił. Na domiar, co zresztą zauważył już wcześniej, nie używała perfum. Wspaniale! Przy jego wyczulonym węchu modne, agresywne perfumy były nie do zniesienia. Wokół Kaśki roznosiła się jedynie delikatna, ledwo wyczuwalna aura... czekolady? Zdjął kurtkę, odwiesił na garderobie, po czym podeszedł do niej i wręczył bukietik goździków.

To był strzał w dziesiątkę. Nie krzyczące, czerwone róże. Nie mdłe gerbery czy kolorowe jak papużki frezje, ale delikatne, różowe goździki. Kaśka była oczarowana. Nie tylko kwiatami zresztą – sam Bogusław również oczarowywał. Oczywiście miał na sobie drogie, markowe ciuchy, nie wspominając o bajecznie drogim zegarku. A jakże – pomyślała, taksując jego wygląd. Szaroniebieskie džinsy i granatowy sweterek do kompletu doskonale podkreślały srebrzysto-jasny błękit jego oczu, a opadające wokół nienagannie gładkiej twarzy złociste fale sprawiały, że wyglądał niemal jak nastolatek. Kaśce na moment zaparło dech w piersi. Chryste – jęknęła, wierząc, że nie zauważył palącego ją zachwyty.

– Są prześliczne – wymamrotała, przyjmując kwiaty. – Dziękuję. – Lekko uniosła się na palcach i cmoknęła go w policzek. Wywinęła się zgrabnie, kiedy, wykorzystując sytuację, próbował ją przytrzymać i pocałować. – Zaczekaj w pokoju, proszę. – Ruszyła do kuchni po wazon, jednocześnie gestem ręki wskazując szerokie drzwi naprzeciwko.

Zaprosiła go do dużego, gościnnego pokoju, urządzonego równie gustownie jak reszta mieszkania. Pierwszą rzeczą, która przykuła uwagę Sławka było otwarte palenisko kaflowego pieca, z palącymi się sporymi szczapami drewna, tworzące klimat otwartego kominka. Od pieca biło przyjemne ciepło, aż miało się ochotę podejść i oprzeć o rozgrzane kafle. Jasna poświata ognia rzucała światło na pięknie utrzymany, błyszczący parkiet, dodając mu blasku.

Dwuskrzydłowe, rozsuwane drzwi prowadzące do pokoju dzieci były teraz zamknięte, a w zamontowanych w nich lustrach odbijający się wizerunek pokoju znacznie powiększał jego przestrzeń. Pokój był podzielony na funkcjonalne strefy, z których żadna nie dominowała nad pozostałymi. Stół z krzesłami harmonizował z tworzącą strefę wypoczynkową, narożnikową kanapą ze skóry w śmietankowym kolorze i prostokątnym stolikiem z ciemnego drewna oraz dużym telewizorem, stojącym naprzeciw nich. Zorganizowany w wykuszu okiennym, ciekawie przemyślany kącik czytelniczy ze zgrabnym szezlongiem obitym w kwieciste wzory dodawał klasy pomieszczeniu. Zmyślnie – stwierdził z uznaniem Bogusław zaskoczony sposobem rozkładu regałów na książki. Zazwyczaj tam, gdzie zbiegały się trzy wykuszowe okna, ustawiano okazały kwiat w wielkiej donicy, a pod parapetami montowano kaloryfery. W tym pokoju pod parapetami były wbudowane regały na książki z ciemnego drewna. Po środku tej swoistej mini biblioteki stał ów szezlong, do którego przez trzy duże okna za dnia z pewnością docierała ogromna ilość słonecznego światła, stwarzając doskonałe warunki czytającemu. Biblioteka zaczynała się i kończyła w części wypoczynkowej pokoju, ustawionymi po obu bokach wykusza regałami z tego samego ciemnego drewna, zaczynającymi się również na poziomie podłogi, a sięgającymi do wysokości framug okiennych.

Sławek podszedł do szezlonga i przysiadł na jego brzegu, by przyjrzeć się księgozbiorowi. Trudno opisać jego zaskoczenie, gdy wśród zebranych książek znalazł okazałą kolekcję współczesnej literatury kobiecej, której bohaterami były wampiry.

– Lubisz wampiry? – zapytał, biorąc do ręki jedną z pozycji.

– O mój Boże! – Zaśmiała się frymuśnie i oblała rumieńcem. – Wiem, że to śmieszne, ale uwielbiam je.

Łał. Tego się nie spodziewał.

– Wiesz... książki są między innymi po to, by sprawiać przyjemność. Jeżeli czytanie o wampirach sprawia ci przyjemność, to z czego tu się śmiać? – Spojrzał na nią ciepło.

– Matko, jesteś chyba jedynym facetem na tym globie, który nie śmieje się z babskiej fascynacji wampirami.

– Zdziwiłabyś się, gdybym ci powiedział, jak wielu znam takich facetów.

– No, panie mądraliński... jak wielu?

– Setki, a nawet tysiące.

Roześmiała się perlistym „nie wierzę” śmiechem.

– Może kiedyś będę miał okazję ci to udowodnić.

– Dobra, trzymam cię za słowo.

– Zawsze zastanawiałem się, co takiego jest w tych wampirach, że kobiety za nimi szaleją – spytał, wertując jedną z książek.

– Nie wiesz?! Są inne niż każdy ludzki facet. – Zdawała się zde gustowana jego niewiedzą. – Gdybym ja trafiła na takiego wampira, też bym nie miała nic przeciwko bliższej znajomości. – Posłała mu zawadiacki uśmiezek. – No wiesz... są delikatne, czułe, wyrozumiałe, kochające, opiekuńcze... – rozmarzyła się, jednocześnie uroczo chichocząc. – Mogłabym tak wymieniać jeszcze przez godzinę. No i ten seks... – Urwała nagle, przykładając palce do ust. – Boże, nie wierzę że to powiedziałam. – Oblała się rumieńcem jak zawsze, gdy czuła się niekomfortowo.

– Masz coś przeciwko seksowi? – spytał, figlarnie się uśmiechając.

Podniósł się z szezlonga i pomału ruszył w stronę drzwi, w których stała od dłuższego czasu z dwoma kieliszkami i butelką wina w dłoniach. Odebrał od niej butelkę i kieliszki i odstawił na pobliskim stole. Stali więc naprzeciwko siebie i milczeli. On patrzył na nią łakomie, gdy tymczasem Kaśka krążyła spojrzeniem po najodleglejszych zakamarkach pokoju. Chwycił ją

za dłoń i delikatnie przyciągnął do siebie. Kiedy oparła się o jego pierś, uniósł lekko jej głowę i wierzchem dłoni powiódł po zarumienionym policzku i dalej aż do podbródka, by koniuszkiem kciuka muskać jej dolną wargę. Zupełnie niezamierzoną, ale jakże naturalną reakcją był gorący dreszcz podniecenia wędrujący wzdłuż jej kręgosłupa. Bezwiednie zadrżała w jego ramionach i kusząco rozwarła usta, prowadzona ruchem jego kciuka. Spojrzała na Bogusława rozpalonym wzrokiem mówiącym, jak bardzo chce więcej. On też chciał. Pochylił więc głowę i delikatnie ją pocałował. Krótki pocałunek tylko podsycił ich pragnienie. Teraz ich usta zwarły się w gorącym, długim pocałunku. Rozchyliła szerzej wargi pod dotykiem jego szukającego języka. Wykorzystał to zaproszenie i wsunął go do środka. Ich języki dotykały się, pieściły, podniecały. Gdy zaczęła cicho pojękiwać, delikatnie dotknął jej dekoltu, by pomału osuwać dłoń w kierunku piersi. Rozsunął bluzkę i wsunął dłoń do stanika. I choć pierś, którą uchwycił, nie była jędrną piersią nastolatki, a ciepłą, delikatną piersią dojrzalej kobiety – piersią matki, dająca ukojenie, zatracił się w jej pieśczości. Zaczął ją namiętnie zgniatać w dłoni, pobudzając sprężystość, kciukiem pieścił nabrzmiałą brodawkę. Ich pocałunek, coraz gorętszy, pchał ich ku dalszym pieśczoitom. Kaśka z pasją głąskała jego plecy, wyczuwając pod dłońmi każdy doskonale wyrzeźbiony mięsień. Dyszała podniecona, poddając się jego zachłannym ustom i dłoniom. On też nie pozostawał obojętny. Przyspieszony oddech i coraz większa pasja zaczęły go pochłaniać. Gdy pożądanie buzowało w nich jak ogień pod piekielnym kotłem, odbierając ostatnie przebliski trzeźwego myślenia, oderwała usta od niego i energicznie pokręciła głową, jakby chciała wytrząsnąć ze świadomości ten niesamowity pocałunek.

– O Boże! Nie! To się nie dzieje naprawdę – jęknęła.

– Co? – Z trudem łapał oddech. – Nie podobał ci się nasz pierwszy pocałunek? – zapytał miękko nieco oszołomiony.

– Pierwszy?! Matko! – Panika zagnieździła się w niej na dobre, gdy patrzyła w nieskazitelną twarz chłopaka. – Nie możemy tego robić! Spójrz na nas! Ile ty masz lat?!

– Zdziwiłabyś się, gdybym ci powiedział.

– No oczywiście! Pewnie ledwie dobiegasz trzydziestki.

– Mam więcej niż trzydzieści lat.

– Dobra. Trzydzieści jeden?

– Sporo więcej. – Sławek nie był w stanie ukryć rozbawienia.

– To nic. I tak czuję się jak pedofil. – Panika wyraźnie narastała.

– Dziewczyno, jestem starszy od ciebie.

– Dobra, dobra – rzuciła z ironią. – Zresztą, nawet nie wiesz, ile mam lat. Jak możesz twierdzić, że jesteś starszy?

– Wierz mi, wiem co mówię. Na sto procent jestem starszy od ciebie. – Nie zdołał ukryć rozbawienia.

– Bzdury! Mówisz tak, żeby zagłuszyć moje poczucie winy.

– Niczego nie chcę zagłuszać. – Przewrócił oczami, nie wiedząc, jak ma dalej z nią rozmawiać. Diabelnie nie chciał majstrować przy jej emocjach. To nie mogło być jedyne remedium na jej równowagę. – Chcę się z tobą całować, to wszystko.

– Całować?! – Krótka pauza. – Całować?! O Jezu! Przecież przed chwilą miałeś rękę w moim staniku!

Uśmiechnął się delikatnie i frywolnie uniósł brwi.

– Kasiu, proszę. Nie popadaj w paranoję. Po prostu poddaj się tej namiętności, którą przed chwilą oboje czuliśmy.

– O Matko! – Teraz ona przewróciła oczami, jednocześnie łapiąc się za głowę. – Chłopcze! Naoglądałeś się oper mydlanych, czy co? Poddać się namiętności, którą przed chwilą

oboje czuliśmy?! – Panika i sarkazm szalały, rozkręcając w Kaście emocjonalne tornado.

– Proszę. Po prostu odstaw wątpliwości na boczny tor.

– Uwierz! – jęknęła. – Mam bardzo kreatywną wyobraźnię, ale jednak, mimo ogromnych wysiłków, w żaden sposób nie potrafię tego bocznego toru zlokalizować. – Teraz do paniki i sarkazmu w głosie, dołączyły jeszcze gesty rozwartych dłoni z szeroko rozczapierzonymi palcami.

Bogusław wiedział, że nadszedł moment, w którym musi wyciszyć jej emocje – inaczej kobieta eksploduje jak odbezpieczony granat. Po raz kolejny przepełniony spokojem otworzył się na nią i pozwolił jej żywić się swoją energią. Odsunął się od niej i znów podszedł do szezlonga.

– Usiądź – powiedział łagodnie, wskazując dłonią kanapę.

Musiała dzielić ich odległość, nie mogli oboje siedzieć na tej kanapie, jeżeli dziewczyna miała wrócić do emocjonalnej równowagi. Znów wziął książkę do ręki i zaczął wertować kartki. Chłonąca jego wyciszającą energię Kaśka podeszła do kanapy, przyglądając się temu co robił.

– Przeczytałem je wszystkie – zagadnął, wskazując dolne regały z wampiryczną literaturą, jednocześnie dostrzegając, że kobieta coraz bardziej się odpręża.

– Żartujesz?!

– Nie. Też lubię książki o wampirach.

Zaniosła się histerycznym śmiechem.

Czas się wycofać – pomyślał, świadom, że jeśli jeszcze chwilę pozwoli jej płynąć na fali własnych uczuć, kobieta znowu skończy na emocjonalnym haju.

– Zawsze mnie tylko zastanawia, która wersja wampiryzmu jest najbardziej prawdopodobna – kontynuował, by nie straciła wątku i nie popadła w uczuciową huśtawkę.

– Ja się nad tym nie zastanawiam. Jestem żałośnie bezkrytyczna dla autorskich fantazji twórców i przyjmuję wszelkie wizje wampiryzmu, jakie mi podsuwają. – Znowu się zaśmiała, ale już całkiem normalnie, wyraźnie go uspakajając. – Natomiast wiesz, nad czym się zastanawiam? Dlaczego te wszystkie wampiry są takie cholernie dobre? Poza tymi złymi oczywiście. – Kolejny śmiech. – I wiesz, co wykombinowałam? Że chyba po prostu tak długo żyją już na tym świecie, że zrozumiały, że nic dobrego z bycia złym nie wychodzi, więc są dobre. Cholerka, ale się zaplatałam – zachichotała, kręcąc głową.

– Poplątane, fakt, ale nieźle kombinujesz. Chyba coś w tym jest. – Bogusław przysiadł na kanapie obok Kaśki i w przyjacielskim geście objął ją ramieniem. – To w końcu ile masz lat? – spytał, zupełnie ją zaskakując.

Spojrzała mu w twarz, zmierzwiła płowe włosy, przeczesując je palcami i zaskakująco szczerze, bez kobiecej kokieterii odpowiedziała, uśmiechając się ciepło:

– Trzydzieści siedem, dzieciaku.

– Dzieciaku? Nic z tego, jestem starszy od ciebie.

– No, no. – Popukała się w czoło, jasno dając do zrozumienia, co myśli o jego poczytalności i roześmiała się rozbawiona jego zalotnością. – Chcesz powiedzieć, że dobiegasz czterdziestki? Z tą twarzą i sylwetką? Nie czaruj mnie, nie dam się zwieść.

– Nie czaruję, mówię poważnie. – Ciepłe iskiereczki rozbłysły w jego jasnych oczach. Żeby wiedziała, jak dawno już przekroczył czterdziestkę...

– Taaa? To w takim razie... – urwała oczywiste pytanie, bo właśnie ujął dłonią jej policzek i obrócił tak, by mogli spojrzeć sobie w oczy – ile masz lat? – dokończyła szeptem, powoli cedząc każde słowo.

Zapierało jej dech, gdy tak na niego patrzyła, a pragnienie pocałunku rosło z każdą sekundą.

– Więcej – odpowiedział krótko również szeptem, po czym, jakby czytając jej w myślach,

pochylił się nad nią i delikatnie pocałował.

Po tym ledwie muśnięciu ust nastąpiło kolejne, nieco bardziej zachłanne, a potem kolejne i jeszcze jedno, a każde intensywniejsze, dłuższe, bardziej pożądliwe. Kaśce znów po głowie fruwały przedziwne myśli – barwne feniksy, zmieniające kolor w zależności od tragicznego bądź euforycznego zabarwienia, które spalały się pod siłą kontrargumentów, by po chwili odrodzić się z większą mocą i znów zrywać do lotu. Jakkolwiek jedna była wyjątkowo natarczywa – to nieprawda, że jest ode mnie starszy, oszukuje! Ale w czasie, gdy ona knuła kolejne teorie spiskowe – znowu, on tak fantastycznie całował – znowu! Chłonęła tę gorącą namiętność, oferowaną dotykiem jego ust i rąk, przyspieszonym oddechem i delikatnym pojękiwaniem. Namiętność, której od tak dawna nie zaznała, a której pragnęła każdą cząstką swego niezaspokojonego ciała. Brała od niego tę żarliwość, rozpalając w sobie doznanie dawno niespotykanej rozkoszy. Ostatecznie poddawszy się temu uczuciu, przestała zaprzętać sobie głowę przeciwnościami, które hałaśliwy umysł nieustannie jej podsuwał. Pieprzyć to! – zdecydowała stanowczo. Skoro smarkacz mnie chce, to dlaczego nie? Ta myśl kompletnie ją rozluźniła. Zaczęła namiętnie oddawać pocałunki i pieszczoty. Rozchyliła zachęcająco usta, pojękując namiętnie, a wprawione w ruch ręce zachłannie szukały każdego skrawka pożądanego ciała. Chwyciła ściągacz jego swetra i uniosła do góry, wsuwając pod niego dłonie i napotykając cudownie jędrny, gładki tors. Jej palce, coraz bardziej zachłanne, wpijały się w niego i zahaczały delikatnie paznokciami, wprawiając go w dreszcze podniecenia. Bogusław nie pozostał obojętny na rozkwitające w kobiecie żądze. Wysunął jej piersi ze stanika i żarliwie pieścił, a ustami składał setki zachłannych pocałunków na wargach, twarzy, szyi. Wodził językiem od płatka ucha, poprzez szczękę aż do zagłębienia w okolicy obojczyka, gdzie zbiegała się szyja z ramieniem i gdzie dawniej znajdował najsmakowitsze miejsce na ludzkim ciele. Nawet się nie zorientował, jak instynkt drapieżnika zawładnął jego świadomością. Kły wysunęły się automatycznie, a on zaczął delikatnie podgryzać jej szyję w miejscu, gdzie przyzywająco pulsowało oszalałe tętno. Nawet nie zauważył, że głodny warkot wydostał się z jego gardła, a on odchylił głowę, by za moment uderzyć z impetem i jak drapieżca zatopić kły w swej ofierze. Ale Kaśka zauważyła. Nagle odskoczyła i w bezruchu, z szeroko otwartymi oczami, przyglądała się Sławkowi, nie dowierzając własnym zmysłom. Jasna cholera! To się nie dzieje naprawdę! – ryknęła jej podświadomość bezgranicznie przerażona.

On również zamarł, Fuck! Fuck! Fuck! Jego oczy świeciły srebrną poświatą, która zaczynała przygasać, a długie, lśniące kły pomału chowały się za górną wargą. Od setek lat nie zareagował tak impulsywnie na akt miłosny. Nigdy nie przypuszczał, że jakakolwiek kobieta rozpali w nim jeszcze kiedyś takie podniecenie, a już z pewnością nie ludzka kobieta.

– Powiedz, że nie widziałam tego, co właśnie widziałam – szepnęła ledwie dosłyszalnie. Wstała z kanapy i pomału zaczęła się cofać w kierunku drzwi.

Bogusław milczał. Jego mina wyrażała bezgraniczne zażenowanie i bezgraniczne poczucie winy.

– Powiedz, proszę, że to tylko moja wyobraźnia, że naczytałam się bzdurnych książek, że takie rzeczy nie zdarzają się w prawdziwym świecie – nalegała, kręcąc głową kompletnie zdruzgotana. – A ja ci uwierzę – wymamrotała w końcu.

Nie panikowała, nie oblewała się rumieńcem. Była zaskakująco, boleśnie wręcz spokojna. Może to faktycznie wpływ tych kiczowatych książek o wampirach? Pieprzona wyobraźnia! – obsesyjnie szukała ratunku, wytłumaczenia, czegokolwiek... Nie potrafiła znaleźć, stała więc w drzwiach i czekała.

– Nie mogę – odpowiedział w końcu.

Również szeptał. Głowę miał zwieszoną, nie mogąc spojrzeć jej w oczy. Siedział w

bezruchu na kanapie dokładnie w tym miejscu, w którym przed chwilą tak namiętnie oddawali się rozkoszalnemu pożądaniu i opierając się łokciami na szeroko rozstawionych kolanach, ukrył twarz w dłoniach.

Nastąpiła długa, krępująca cisza. Perspektywa niechybnej katastrofy dyndała nad ich głowami jak niepożądany wisielec, ale żadne nie miało odwagi odciąć sznura i rozwiązać pęczniący w umysłach problem. Kaśka stała w oczekiwaniu na jakikolwiek ruch z jego strony, a on bał się zrobić cokolwiek, by jej nie przestraszyć. Absolutnie patowa sytuacja.

– W takim razie poproszę cię, żebyś wyszedł. – Nie wytrzymała napięcia. – Żebyś zniknął z mojego i tak już cholernie popieprzonego życia. – W jej głos zaczęło wkradać się załamanie. – Nie zrobisz mi teraz krzywdy, wiem. Gdybyś chciał mnie skrzywdzić, zrobiłbyś to już dawno. – Wciągnęła głęboki haust powietrza, po czym wypuściła je powoli.

Bogusław podniósł się z kanapy i powoli ruszył do wyjścia. Milczał. Nie wiedział, co miałby powiedzieć, żeby przełamać sytuację. Gdy zrównał się z nią w drzwiach, odsunęła się, robiąc mu przejście.

– Nie wiem, ile jest prawdy w tych wszystkich kiczowatych książkach, ale jeżeli wymazujesz pamięć, to nie rób mi tego – poprosiła nagle, zupełnie go zaskakując. – Chcę cię pamiętać. Chcę pamiętać to... co było piękne. – Zamilkła, a podstępne, niechciane łzy same zaczęły płynąć jej po policzkach. – Potrafisz wymazać pamięć, czy to tylko literacka fantazja?

– Potrafię.

– Czytasz w myślach? Manipulujesz umysłami?

– Poniekąd. – Zatrzymał się, stojąc odwróconym do niej plecami. – Odczytuję emocje i czuję głębokie doznania... nie słyszę słów, ale czuję ich sens jeśli się na nich skupię. Trudno to określić... to bardziej jak obrazy niż czysty tekst. Potrafię też... zaszczepić sugestię – dodała po chwili.

– Zaszczepić sugestię? – rzuciła poirytowana. – Czyli narzucić komuś własną wolę, tak?

– Jeśli chcesz tak to ująć? Ja wolę słowo „sugestia”.

– Robiłeś to ludziom?

– Setki razy. Musiałem, jeżeli chciałem przeżyć i żeby oni przeżyli.

– A mi?

Bogusław odwrócił się powoli.

– Dwa razy.

– Boże! Żywiłeś się na mnie?! – Przerazenie malowało się na jej twarzy.

– Nie! Absolutnie nie! – Teraz on był przerażony. Jak mogła go o to posądzić?

– A co?

– Podzieliłem się z tobą moimi emocjami.

– Że co? Kiedy?

– Pierwszy raz, kiedy byłeś taka niespokojna po powrocie ze szpitala. Zaczęłaś się wtedy nieracjonalnie zachowywać. Oddałem ci mój spokój, żebyś mogła się wyciszyć. A drugi raz dzisiaj, kiedy zaczęłaś popadać w paranoję, obwiniając się o pedofilię.

Twarz Kaśki wykrzywił zboląły uśmiech, gdy wspomniął jej niedawne obawy.

– No, faktycznie. To chyba była paranoja, bo z pewnością nie jestem pedofilem... w świetle zaistniałych okoliczności.

Bogusław delikatnie pokręcił głową i spojrzał na nią pierwszy raz, odkąd zaszło to niefortunne zdarzenie. Miał tak jasne i ciepłe spojrzenie, że nie mogła oprzeć się podejrzeniu, iż nią manipuluje.

– Nie rób tego. Nie wpływaj na mnie – dodała, widząc malujące się na jego obliczu zdziwienie.

– Nic nie robię. Po prostu patrzę na ciebie i chcę cię tak bardzo, że czytasz to w moim spojrzeniu.

Gdy zamknęła za nim drzwi w przygnębiającej atmosferze niedomówienia, ogarnęła ją nagła, niezrozumiała pustka. Poszła do kuchni zaparzyć sobie gorącej herbaty z cytryną i cukrem. Czowała, że nic na świecie nie jest jej w tym momencie potrzebne bardziej niż właśnie czarna herbata z cytryną i dwoma solidnymi łyżeczkami cukru. Wyjęła z szafki starą filiżankę Rosenthal'a po babci, której używała tylko w wyjątkowych chwilach i wsadziła do niej dyndającą na sznureczku torebkę. To nic, że właśnie profanowała rodzinną pamiątkę, tworząc groteskową kompozycję. Jak wyjmie tę trywialną torebkę z filiżanki, wszystko znowu będzie na miejscu.

Po chwili, z piękną, jasną herbatą w ekskluzywnej filiżance, Kaśka wędrowała do pokoju, w którym jeszcze kilka minut temu rozpalalo ją gorące uniesienie. Teraz usiadła samotnie na kanapie i biorąc pilota do ręki, włączyła telewizor. Z filiżanki unosił się słodkawy zapach zachęcająco parującej herbaty. I pomyśleć, że miał to być zupełnie inny wieczór – westchnęła w duchu. Miły, zabawny, może nawet ponętny. A jaki był? Gdy zaczęła się zastanawiać, czy popaść w histeryczny szloch, czy może lepiej histeryczny śmiech, jej komórka zasygnalizowała nadejście SMS-a.

„JESTEŚ MOIM MARZENIEM. PRZEPRASZAM. BOGUSŁAW” – odczytała.

Rozdział 22

Na ekranie osamotniony Blade właśnie wyrzynał w pień nieskończone hordy krwiożerczych wampirów, a na pobliskim stoliku piętrzyły się, czekając na swą kolej, następne pozycje wampirycznej klasyki kinematograficznej z nieśmiertelnym „Draculą” i kultowym „Wywiadem z wampirem” włącznie. Bogusław siedział na kanapie z wyciągniętymi nogami, opierając stopy o blat tegoż stolika, a zmieszana z Wyborową 0Rh+ zaczynała przyjemnym ciepłem coraz szybciej krążyć po jego odrętwiałym organizmie. Po raz kolejny chwycił do ręki komórkę i wystukał przepaszającego SMS-a. Nie pamiętał ile ich już wysłał, ale wiedział jedno – na żadnego nie otrzymał odpowiedzi. Kuuurwa! – zaklął siarczyście w myśli. Nie mogłem tego bardziej zjechać. I pomijając skrajny wulgaryzm jego zwięzłych rozważań, z pewnością nie można było odmówić mu racji. Jeśli szczęście, które sprzyjało mu, gdy postanowił zdobyć tę kobietę, teraz się na niego wypnie, to z pewnością już nigdy więcej nie spotka Kaśki.

– Czego?! – warknął do telefonu, gdy ten zadzwonił nagle i głośno, przywołując go do rzeczywistości.

– Łał, widzę że jesteś w szampańskim nastroju.

– W żadnym, kurwa, nastroju! Czego chcesz, Leon?

– Stęskniłem się za moim ulubionym wampirem i pomyślałem, że zadzwonię, spytam co słyhać i takie tam... No wiesz? Zwykła, przyjacielska pogawędka.

– Nie mam nastroju na „takie tam” i przyjacielskie pogawędki – odburknął, prawie bełkocząc.

Alkohol w krwawym drinku działał, można by rzec, znakomicie, gdyż świadomość Bogusława stawała się coraz bardziej płynna, żeby nie powiedzieć rozmyta.

– O cholera, stary. Widzę, że potrzebujesz wsparcia. Nie baluj tak intensywnie beze mnie. Za pół godzinki jestem. Zostaw coś dla mnie, to razem urządzimy sobie popijawkę.

Nie trzeba było wiele, by Leon zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. Zapijaczony wampir? To mogła być katastrofa. Jeszcze sto lat temu jakoś dałoby się zatuszować jej tragiczne skutki, ale dziś – kiedy każdy głupek mógł nakręcić film byle komórką i wrzucić go do neta? Nie ma mowy – trzeba działać błyskawicznie. Nie siląc się na pożegnania, rozłączył rozmowę i wybiegł z gościnnego domku w rezydencji. Garaż już otwierał przed nim swe wnętrza, natychmiast reagując na uruchomionego pilota. Leon nie bawił się w najlepsze wybory – wsiadł do pierwszego z brzegu auta i odpalił silnik. Jeśli los będzie mu sprzyjać, powinien być w City Parku za jakieś piętnaście minut. Ograniczenia prędkości? Nie tym razem.

Q7 pognało w kierunku Poznania i faktycznie nie minęło piętnaście minut, a Leon pukał do drzwi przyjaciela.

– Nikt cię tu nie zapraszał – powitał go Bogusław, zamaszystym ruchem otwierając drzwi na oścież.

– Hej, ja też się cieszę, że cię widzę. – Leon błyskawicznie wtargnął do środka, by Bogusławowi nie przyszło do głowy, zatrzaskać mu drzwi przed nosem.

– Nie wyjeżdżaj mi tu z kinoamerykańskimi cytatami, smarku.

– Kinoamerykańskie cytaty czy nie, ale cieszę się, że tu jestem. Co się dzieje? Gadaj!

– A co ci do tego, hej? – Zatrzaskał drzwi i balansując ciałem, skierował się do pokoju.

– E, no nic. Poza tym, że pierwszy raz w życiu widzę zalanego wampira? No. Tak.

Zdecydowanie nic.

– I co? Kiedyś musi być pierwszy raz. – Sławek pomachał mu ręką przed nosem i z impetem opadł na kanapę.

Blade właśnie wysysał resztki żywota ze swej wyrodnej matki, ale właściciel telewizora z pewnością nie dostrzegł dramatycznej sceny, na stojącym przed nim ekranie. Stan Bogusława był tak nieważki, że gdyby teraz osunął się z kanapy, z pewnością mógłby lewitować.

– Nie stawiaj mi się tu staruszk, tylko gadaj. Co jest grane?

– Gówno! Nic nie powiem.

– Co?! Jaja sobie robisz?! Chłasz wodę, która może cię zabić, a na pewno doprowadzić do tego, że będziesz chciał zabijać innych i ty mi mówisz „nie powiem”?!

– Nie powiem – Sławek zabełkotał, znacząco machając palcem wskazującym i kręcąc zapijaczoną głową. – A skąd wiesz, że może mnie zabić, co? Mi to nawet smakuje.

– Smakuje, smakuje. Cholera! Wiesz, głupku, że sprawdzona jest tylko neutralna woda, reszta może nas wypalić od środka, jeśli tego wcześniej nie zbadamy. Zresztą, komu ja to mówię?

– Leon pokręcił głową zrezygnowany. – Facetowi, który właśnie balansuje na krawędzi nirwany?

– Jestem dobrowolnym testerem. – Bogusław czknął, rozkosznie mrużąc oczy. – Jak przeżyję do jutra, to znaczy, że możemy chlać.

– Nie możemy! Ale pogadamy o tym później. Jak wytrzeźwiejesz.

– O nie, Nie, nie i nie. Nie wytrzeźwieję. Nie ma mowy. Nie chcę wytrzeźwieć. Będę zalany w... trupa – zaśmiał się sardonicznie rozbawiony mimowolną grą słów – jak długo się da.

Kurde, to się robi naprawdę niebezpieczne. Młody musiał dowiedzieć się, w czym tkwi problem, nawet gdyby miał poddać przyjaciela wyrafinowanym torturom. Cholera, drażnienie trudnego tematu nigdy nie było jego mocną stroną. Był roztrzepanym lekkoduchem, trudne tematy omijał szerokim łukiem, teraz jednak musiał stawić temu czoła.

– Raz kozie śmierć, nalej mi – próbował zająć przyjaciela od zawietrznej. – Może jak będę tak zalany jak ty, to lepiej cię zrozumiem.

– Nie zrozumiesz. Nie masz szans.

– Bo?

– Bo nie masz kobiety.

– A co kobieta ma do tego? My faceci zawsze się dogadamy.

– Ha! Chciałbyś wiedzieć, co kobieta ma do tego? – Bogusław otworzył szeroko oczy i spojrzał na Leona. – Bardzo dużo ma. Kobieta wyzwala żądze.

Byli na dobrej drodze. Jeszcze chwila i powinien wyciągnąć z niego istotę problemu.

– Nooo... chyba to normalne, że kobieta wyzwala w facecie żądze. No nie?

– Ale nie ludzka kobieta w nas – Bogusław jęknął żałośnie. – Ujawniłem się, Leon.

Kurwa! Ujawniłem się.

Leona zamurowało. Huston! Mamy problem! Musiał zastanowić się nad rewelacjami Bogusława i tylko kinoamerykański cytat przychodził mu teraz do głowy. Dobra – trzeba będzie kobiecie przeczyścić pamięć, ale tym zajmie się później. W tym momencie musiał zatroszczyć się o Sławka, by nie pogrążył się bardziej i wyprowadzić go z upojenia alkoholowego, nim przyjaciel ruszy w miasto na łowy.

– Stary – zaczął uspokajająco. – Jak już wiemy, nie ty jeden ujawniłeś się przed ludzką partnerką.

– Nie jest moją partnerką. I pewnie nigdy nie będzie. Wyrzuciła mnie z domu.

– I?

– I co „i”? Nic. Wyszedłem. Co miałem zrobić?

– Kiedy to było?

– Wczoraj.

– I od wczoraj pijesz?! Nieźle. To znaczy, że przeżyjesz – zaśmiał się Leon.

– No, tylko co mi po tym? Zależy mi na niej, rozumiesz? Na niej, a nie na tym, czy

przetrwam to cholerne chłanie.

Bogusław zaaferowany rozmową przestał wlewać w siebie kolejne dawki krwawego alkoholu. Jego organizm błyskawicznie zaczął zwalczać trującą substancję, próbując pokonać skutki pijaństwa równie łatwo i szybko jak każdego innego zdarzenia. Próżny trud – krnąbrna trucizna stawiała czynny opór, a zawiany Bogusław wciąż zdawał się nieważki.

– Widzę, stary, że zaczynasz popadać w deprechę. Mam na to sposób. Pakuj się, wyjeżdżamy.

– Co? Dokąd?

– Do głuszy, mój przyjacielu. Do głuszy. Mamy ogrom roboty do odwalenia. Zapomniałeś? Jak się wciągniesz w wir pracy, to zapomnisz.

– Nie chcę zapomnieć, Leon. Nie chcę zapomnieć. Chcesz, możemy jechać, ale z pewnością nie zapomnę.

– To chociaż się zdystansujesz, a to już coś.

Leon błogosławił los, że podsunął mu Q7. Teraz nie musiał martwić się o leśne wertepy, czekające na nich w mrocznych ostępach, broniących dostępu do niepozornej chatki Marka.

Trasę do Włocławka miał już w małym paluszku. Tyle razy przebył ją w ciągu ostatnich kilku miesięcy, że trafiłby tam z zamkniętymi oczami. Pędził więc w noc, niemalże nie zwracając uwagi na drogę. Wywiezienie Bogusława jak najdalej od wszelakich pokus, było w tym momencie jego priorytetem. Oddadzą się pracy i zwyczajnym ludzkim rozrywkom – zapolują na leśnego zwierza, będą dużo rozmawiać i dużo śmiać się – już on się o to zatroszczy. A czas zaleczy rany – łudził się, Leon. Ba – oszukiwał samego siebie. Dobrze wiedział, że coś takiego jak „leczenie ran czasem” w ich przypadku nie istnieje, a jeśli nawet, to trwa wieki. Z tego co słyszał, Bogusław po stracie Jagienki nie mógł się otrząsnąć przez kolejnych trzysta lat i gdyby niespodziewanie ta kobieta nie zawróciła mu w głowie, to pewnie po dziś dzień żyłby posepnie jak wcześniej.

Marek znów stał na progu, gdy Q7 zaparkowało pod chatą. Szeroki uśmiech na jego twarzy świadczył, że chętnie witał u siebie tych dwóch koleś.

– Cześć, człowieku! – zawołał Leon. – Czy ty nigdy nie spisz? Ilekroć się tu zjawiamy, zawsze stoisz na tym pieprzonym ganku, jakbyśmy wysłali wcześniej zwiastuna.

– Co takiego? – zaśmiał się Marek. – Zwiastuna?

– No, takiego zwiastuna, wiesz... osoba, która przynosi nowiny, czy wieści o czymś co ma nastąpić.

– Chyba herolda?

– Stary, nie kłuć się ze starszymi. Wiem, co mówię, a jak nie wierzysz, to sprawdź w wikipedii.

– No dobra, dobra, zobaczymy, a teraz włączcie. Cholernie się cieszę, że jesteście. Już za wami tęskniłem.

Leon ponaglił milczącego i niechętnego Bogusława, by wysadził swój zapijaczony tyłek z auta i ruszył w stronę domu.

– Co was sprowadza, chłopaki?

– Kryzys – odparł młody lakonicznie, gdy już znaleźli się w środku i zaczął krążyć po izbie, przyglądając się wszystkiemu wnikliwie.

– Co? Jaki kryzys?

– Emocjonalny...

– Milcz! – warknął Bogusław, nim Leon zdążył ponownie otworzyć usta.

– Cholera, widzę, że jest nieciekawie. – Marek usiadł na kanapie, przyglądając się siedzącemu w fotelu obok Sławkowi.

– Może i jest, ale to mój problem. Rozumiesz? Mój, kurwa, i nikogo więcej.

– Nie byłbym tego taki pewien – zripostował Leon. – Odkąd ujawniłeś nas postronnej kobiecie i chłasz, stwarzając zagrożenie dla ludzi, to już przestaje być twój problem, a zaczyna być problemem Rodzaju. Ciesz się, że w porę się pojawiłem i może jeszcze jakoś temu wszystkiemu zaradzimy. – Młody miał rację. Sławek był na najlepszej drodze, by wpisać się na gorącą listę łowców.

– Czemu chcesz zaradzić? – Bogusław nie spuszczał z przyjaciela zabójczego spojrzenia. – Chlałem, fakt, ale nie wychodziłem, nie polowałem. Aż taki głupi nie jestem. Wiem, że mógłbym nie zapanować nad głodem. A z ujawnieniem się... cóż?

– Czy ktoś mi może jednak przybliżyć nieco zagadnienie? – domagał się Marek w subtelny sposób.

– Milcz! – Bogusław był nieustępliwy.

Tym razem jednak Leon najnormalniej w świecie olał rzucony rozkaz i piorunujące spojrzenie.

– Słuchaj! – warknął. – Nie będę milczał. Przywiozłem cię do niego, to ma prawo wiedzieć.

– Cholera, to jest człowiek – stary wampir nie dawał za wygraną.

– Może i jest człowiekiem, ale ty jesteś w tym momencie cholernym dupkiem. Marek, to przede wszystkim twój przyjaciel. Nie skumałeś tego jeszcze?

– Dzięki, Leon. – Łowca przykleił do ust promienny uśmiech.

– Proszę bardzo. – Młody wyszczerzył się równie szeroko. – A poza tym – zwrócił się do Bogusława, a jego twarz automatycznie spochmurniała – to co? Twoja kobieta, to nie człowiek? Więc lepiej skończ z tym rasizmem.

Łowca podszedł do lodówki i wyciągnął dwa woreczki 0Rh+, przelał zawartość do szklanek i podgrzał w mikrofalówce. Na kuchennej szafce ekspres do kawy parował pachnącym naparem, więc napełnił kubek, a potem załadowawszy wszystko na tacę, wrócił do kumpli i postawił ją na stoliku. Czuł, że czeka ich dłuuga noc. Trzeba się zatem pokrzepić.

– No, to opowiadajcie – rzucił, sadowiac się wygodnie.

– Nie wiem za wiele – zaczął Leon. – Poza tym, że Sławek chlał, bo się ujawnił, a laska go olała. Dobrze mówię, stary? Olała cię? – znów zwrócił się do Bogusława. – A ten wariat zrobił sobie wzmocnioną krwawą Mary i zalewał robaka. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby ruszył w miasto?

– Wolę nie.

– Doskonale cię rozumiem.

– Bogusław, kurwa, powiedz coś wreszcie. – Marek nie mógł już dłużej znieść jego obojętnej miny i ostentacyjnego olewania kumpli.

– Zostaw go. Trzeźwieje. – zauważył Leon rzeczowo. – Zanim wytrzeźwieje na tyle, żeby coś z siebie wydusić, kobieta może roznieść plotki po szerokim świecie. Trzeba ją znaleźć i wyczyścić jej pamięć, zanim zacznie nam zagrażać.

– Ani. Mi. Się. Kurwa. Waż – wycodził Bogusław przez zaciśnięte zęby. – Wara mi od niej. Zrozumiano?

– Sławek, ale zrozum Leona. Jego racje są logiczne. Skoro nie chcesz nam powiedzieć, co zaszło i jak z twojego punktu widzenia wygląda sprawa, to co możemy innego zrobić?

– Fuck – wysyczał wrogo. – Dobra, a więc... – Potarł kark, czując nadciągającego mega kaca.

Opowiedział wszystko – o wypadku, o eksmężu, który odmówił pomocy, o super nocy spędzonej na rozmowach przy kuchennym stole. O spotkaniu w „Wiśniowym sadzie” i o

godzinach przegadanych przez telefon, a w końcu o feralnej randce, kiedy to błyszczące srebrem oczy i wysunięte kły ujawniły jego prawdziwą naturę, kiedy właśnie przechodził do rzeczy.

– Tylko, kurwa, nie mów „Huston, mamy problem” – warknął w kierunku Leona, wskazując na niego palcem – bo dostaniesz w zęby.

– Dobra, dobra. Nie powiem. Właściwie, to chyba nic nie powiem. Cholera, nie wiem nawet, co miałbym powiedzieć.

– Wiecie co? Myślę, że już dzisiaj za wiele nie wykombinujemy. Za chwilę świt i wszystkim nam przyda się trochę snu. A wieczorem zabierzemy się znowu ostro do pracy. Może w międzyczasie coś konstruktywnego wpadnie nam do głowy. – Marek jak zawsze trzeźwo spoglądał na rzeczywistość.

– A jak nie? – powątpiewał Leon.

– To urządzimy burzę mózgów.

Roześmiali się kordialnie – w tym momencie ich mózgi były tak zlasowane, że z pewnością żadna burza, ba, nawet dyskursywne El Nino, nie odniosłyby pożądanego efektu.

Kilka kolejnych dni intensywnej pracy może i posunęło ich nieco do przodu w związku ze śledztwem, ale sprawa Bogusława i jego nieszczęsnego zauroczenia nadal tkwiła w martwym punkcie.

– Myślę, Leon – odezwał się nagle Marek, spoglądając znad rozłożonej na biurku mapy – że nie pozostaje nam nic innego, jak ją poznać.

– Że co?

Nie tylko Leona zaskoczył niezrozumiały wywód. Również siedzący przy jednym z komputerów Bogusław obrócił się na obrotowym fotelu i spojrzał na łowcę.

– Ale, że niby kogo? Albo... co?

– No tę Sławka Kaškę.

Powiedzieć, że osłupienie zmroziło obu nieumarłych, byłoby niedomówieniem miesiąca. Oni po prostu zamarli w bezruchu i zdawało się, iż w tej drętwocie będą tkwić do końca świata i jeden dzień dłużej.

– Nie patrzcie tak na mnie. Siedzimy tu razem już kilka ładnych dni i nic. Najwyższy czas coś z tym zrobić. Rozwiązać jakoś tę sprawę. Jak długo chcesz jeszcze udawać, że nic się nie stało? Że odepchnąłeś od siebie ten problem? Myślisz, że nie widzę, jak co wieczór wysyłasz SMS-y? A do kogo je ślesz jak nie do niej? Stary, przestań się zadręczać. Musisz się z nią spotkać, wszystko wyjaśnić, zawalczyć. Sam mówiłeś, że będziesz o nią walczył. To walcz, do cholery! A my będziemy w pobliżu, żeby chronić twój tyłek.

Odrętwiałe wampiry wciąż nie reagowały.

– Nooo, nie patrz tak na mnie. Bierz komórkę i dzwoń – ryknął łowca, podchodząc do Bogusława z komórką w wyciągniętej dłoni.

– Wolę wysłać eskę.

– Dobra, rób co chcesz, byle zadziało.

– A jak nie zadziało?

– Wtedy... – Marek zawiesił głos, a jego wyraz twarzy nie zwiastował niczego wesołego – trzeba będzie wyczyścić jej pamięć.

Spojrzeli po sobie i cała trójka pokiwała głowami, godząc się z potencjalnym nieuniknionym.

Wiosna zuchwale panoszyła się po mieście, okraszając drzewa i krzewy soczystą zielenią, oraz syjąc kolorowym kwieciami małą krakowianka na kościelnej procesji. Zaślubione

jej ostre, gorące słońce rozświetlało te wielobarwne obrazy złocistymi promieniami, nadając im wyrazistości. Całości wtórowało chętne ptactwo, uświetniając tę inscenizację donośnym świergotem. Tak więc przyrodniczy performans trwał, a świat piękniał w zgodnym z prawami natury rytmie. Wymęczeni szarością ostatnich miesięcy poznaniacy nie ociągali się z przyjęciem owych darów i skwapliwie wykorzystywali każdą sekundę, ochoczo uczestnicząc w tym swoistym powrocie do życia.

Kaśka siedziała na przylegającym do kuchni balkonie i usiłowała pograżyć się w lekturze. Cóż z tego, skoro jej umysł nieustannie zaprzętały niepożądane myśli? Wciąż próbując otrząsnąć się z ostatnich, zaskakujących odkryć, nie potrafiła pogodzić się z bolesną prawdą o Nim; z makabryczną rzeczywistością. Najchętniej załadowała by się w samochód i uciekła gdzieś daleko. Gdzieś, gdzie szalony świat by jej nie do sięgnął. Nad morze – pierwsza myśl, która podświadomie zareagowała na jej pragnienie. Jednak w życiu pobożne życzenia mają się zazwyczaj nijak do wrednej rzeczywistości. Pomarzyć o wyjeździe nad morze fajna rzecz, ale codzienność niestety więziła ją w Poznaniu. Całe szczęście, że świat z dnia na dzień piękniejszy – pomyślała, patrząc na rozświetlony słońcem widok z balkonu.

Pogoda sprzyjała rodzinnym spacerom i rekreacji na świeżym powietrzu, ale złośliwa grypa żołądkowa, która dopadła maluchy, uwięziła ich w domu w tę słoneczną sobotę. Dzieciaki leżały więc z obolałymi brzuskami przed telewizorem w gościnnym pokoju, męcząc jakąś bajkę, gdy tymczasem Kaśka próbowała wygospodarować dla siebie choć chwilkę. Delektowała się ciepłem i blaskiem słońca, wykorzystując każdy promień, żeby podładować sobie baterie. A energia tego dnia z pewnością jej się przyda. Na popołudnie zapowiedziała się Gośka, która od ponad dwóch tygodni usiłowała się z nią spotkać, a którą Kaśka nieustannie zbywała. Wiedziała, że to nie fair, ale w tych okolicznościach... Tak, bez wątplenia była usprawiedliwiona. A więc teraz chwilka z książką, a potem trzeba będzie znów zakręcić się koło maluchów. No a popołudniu... pokręciła głową przerażona. Nawet nie chciała myśleć o tym, w jaki sposób wypije piwo, które sama naważyła; jedno było pewne – za żadne skarby nie może powiedzieć Gośce, jaka jest prawda. Po diabła dzwoniłaś do niej w tej nocy, głupia kobieto? Zachciało ci się chwalić niesamowitym facetem, to teraz masz. Krótka chwila w knajpce, bajeczny całus na pożegnanie, a teraz będziesz się wiała, żeby z tego wybrnąć – besztala samą siebie. Ale co z tego, że biczowała się mentalnie? Z pewnością nic konstruktywnego – westchnęła. Trzeba będzie przetrwać to pieprzone popołudnie i tyle.

Pieprzone popołudnie nadeszło nadspodziewanie prędko i nim Kaśka uświadomiła sobie, że to już pora, dzwonek domofonu zaanonsował gościa.

Gośka wtargnęła do środka niczym rzeźki podmuch – promienna i piękna jak zawsze.

– Kaśka! Tyle czasu! – zawołała od progu, ściskając przyjaciółkę. – Już zaczęłam się bać, że celowo odkładasz nasze spotkanie.

Mądra dziewczyna. Umie wyczuć pismo nosem.

– Tak wyszło – odparła wymijająco, przyklejając sztuczny uśmiech na usta. Cholera, nie umiała być zdystansowana, jeśli chodziło o Gośkę; przecież już od dawna była to najbliższa jej osoba.

Wymęczone całodniowymi perturbacjami w ich małych brzuskach, dzieciaki jakiś czas temu padły zmordzone leczniczym snem. Toteż nie było już wymówki – musiała stawić czoła wyzwaniu pod hasłem „babskie pogaduchy”. Pogaduchy, które miały dotyczyć tylko jednego tematu – facet-cudo. Skąd Kaśka mogła wiedzieć, dzwoniąc wtedy do Gośki, że wdepnęła w takie gówno? Czowała się tak diabelnie szczęśliwa; musiała komuś o tym powiedzieć, a komu jeśli nie najlepszej przyjaciółce? Jasssna cholerka! – jęknęła, ale za późno było na odwrót. Czy świat był niewiarygodnie popaprany czy też nie, musiała jakoś z tego wybrnąć. Tak więc, robiąc dobrą

minę do złej gry, podjęła wyzwanie, gotowa opowiedzieć o niefortunnym adoratorze najogólniej jak się da. Karkołomne zadanie? Z pewnością, bo że Gośka będzie oczekiwać szczegółowej relacji z randki, było pewne – na bank. Dlatego wiedząc, co ją czeka, Kaśka kombinowała, by odwlec ten moment. Na co liczyła? Trudno powiedzieć, bo chyba nie na koniec świata? Tak – koniec świata byłby jedyną okolicznością, mogącą ją od tego uchronić. Zbyć przyjaciółkę nie łatwo, ale Kaśka wiedziała, że istnieje magiczny temat, doskonale zniechęcający Gośkę do rozmów – jej chłopacy. Fakt, temat chłopaków, z którymi się spotykała, zawsze omijała szerokim łukiem. Być może dlatego, że jak dotąd trafiała na samych palantów nie oczekujących od niej niczego poza rozkładaniem nóg? Gdyby podporządkowała się tym oczekiwaniom, z pewnością jedyną pamiątką po palantach byłyby rozległe otarcia na Gosinych udach. Ale takie numery nie z nią. Ona oczekiwała czegoś więcej, a dupki, z którymi się spotykała, za nic nie potrafiły tego pojąć. Efekt? Krótki, niesatysfakcjonujący okres randkowania kończący się zawsze tak samo – szybkim wykopaniem absztyfikanta poza intymny krąg Gośki.

– No dobra, Kaśka. Widzę, że migasz się od sedna. – Dziewczyzna zakładając nogę na nogę, rzuciła jej filuterne spojrzenie.

Jak zwykle ubrana była prosto, w obcisłe džinsy i sweter, i jak zwykle wyglądała oszałamiająco. Opadający z boku warkocz i przezroczyście makijaż tylko dodawały jej uroku.

– No cóż? Nie ma za wiele do opowiadania.

– Coś ty!? Dziewczyno! To ja w emocjonalnej agonii tkwię od ponad... dwóch?... trzech tygodni? A ty mi mówisz, że nie ma za wiele do opowiadania? Kobieto, zerwałaś mnie w środku nocy, by w euforycznej ekstazie rozpląwać się nad facetem, a teraz... nie ma za wiele do opowiadania? Kaśka, do cholery, co jest grane?! – Utkwiła w nią wzrok krzyczący „tak łatwo się nie wywiniesz”.

Kaśka przysiadła na krześle przy kuchennym stole i ujęła w dłonie kubek z herbatą. Początkowo zakładała, że tym razem rozgoszczą się w gościnnym pokoju, ale nie wyszło. Znów wylądowały w kuchni, każda z własnym kubkiem w dłoniach.

– Jezu, Gośka, zrozum – jęknęła. – Są momenty, gdy ogarnie cię euforia, a potem, po niedługim czasie, okazuje się, że to był tylko miraż. Przecież doskonale wiesz, jak to jest. Ile razy sama to przerabiałaś?

Przyjaciółka patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Niedowierzenie malowało się na jej twarzy.

– Kaśka, nie ściemniaj – rzuciła, wężąc podstęp. – Takie rzeczy trafiają się mnie – zauważyła, trafnie zgadując, w którą stronę zmierzał ten wywód. – Do tego już przywykłam. Ale tobie? Nie. Ty zawsze miałaś farta do najlepszych facetów w puli. Nie wierzę, że tym razem szczęście cię opuściło. Coś musiałoś skaszać i tyle.

– Gooosiu. – Pokręciła głową zrezygnowana. – Jakiego farta? Jakich facetów w puli? Raz trafiłam Jacka i popatrz, jak to się skończyło? A teraz... nawet się jeszcze nie zaczęło i już okazało się niewypałem. Wierz mi, nie ma o czym gadać – podsumowała, ciężko wzdychając.

– Jasny gwint! – Rozdrażniona Gośka wprawnym ruchem głowy odrzuciła warkocz na plecy. – Chyba nie popadłaś w deprechę? Kobieto, żal na ciebie patrzeć.

– No, doskonale cię rozumiem. Sama nie mogę na siebie patrzeć. Postarzałam chyba o jakieś... sto lat.

– Nie w tym rzecz. Ty jesteś po prostu w nim zabujana. To widać jak cholera. Naprawdę nie da się już nic z tym zrobić? Jakiś ratujący sytuację telefon? Jakiś SMS? Zastanów się, może da się to jeszcze odkręcić?

– Jezu, ja nie chcę tego odkręcić – oświadczyła Kaśka dobitnie. – Facet po prostu absolutnie do mnie nie pasuje. Koniec. Kropka.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nawet nie spróbujesz o niego zawalczyć? – dopytywała Gośka w podrygach desperacji.

– Nawet nie ulegnę jego walce o mnie.

– Czyli jednak? – W oczach dziewczyny rozbłysła iskierka nadziei.

– Błagam – jęknęła Kaśka. – Temat jest zamknięty. Ten facet to przeszłość, nawet jeśli nie zaczęła się jeszcze terazniejszość.

– Hmm. – Gośka westchnęła ciężko, spoglądając na przyjaciółkę z dezaprobatą.

Widziała, że kobieta cierpi, dlaczego więc, na Boga, była tak zdeterminowana, by nie dać chłopakowi żadnych szans? Dlaczego?! – krzyczało całe jej wnętrze. Szkoda dociekać. Istotnie – dalsze drażnienie tematu nie miało sensu. Znała Kaśkę na tyle, by wiedzieć, że niczego więcej już z niej nie wycisnie. Zresztą, jak mogłaby ją za to winić, skoro w kwestii facetów była taka sama?

Choć siedziały jeszcze przez jakiś czas, próbując przywołać jakikolwiek neutralny temat, rozmowa się nie kleiła. Tymczasem Enya zawodziła smętnie w kuchennej miniwieży, kopiąc coraz głębszego doła w labilnych emocjach Kaśki uparcie robiącej wszystko, by się z niego nie wy dostać. Może potrzebowała tego nowego doła, by odreagować starego, który więził ją przez długi czas po wrednym wysoku Jacka? Tak czy siak, na ten moment najlepsza przyjaciółka Gośki pogrążała samą siebie, a ona nie mogła nic na to zaradzić. Cholera, trzeba się związać do domu. A w chacie obmyślę strategię wyciągnięcia jej z tego marazmu – powzięła żelazne postanowienie.

Gdy zamknęły się drzwi za gościem, Kaśka opadła na stojący w przedpokoju taboret, a piekące łzy bezsilności zawirowały jej pod powiekami. Odkrycie czym jest Bogusław bezsprzecznie było jak cios obuchem, ale przecież nie mogła negować tych wszystkich cudownych chwil. Znała go krótko, jednak mężczyzna zdawał się o niebo lepszym „człowiekiem” niż jej były małżonek. Nic więc dziwnego, że utrata go, tak cholernie bolała.

Siedziała w tym swoim wielkim, wygodnym, małżeńskim łożu... sama... i oparta o zagłówek czytała. Jednak nie ulubioną, wampiryczną literaturę dla kobiet. O nie! Skądinąd trudno ją winić, że po ostatnich, niefortunnych zdarzeniach jakoś nie miała do niej serca. Zdecydowanie lepiej było przerwyc się na bezpieczny, lokalny, zabarwiony nutką humoru obyczaj dla młodzieży, w którym nie było ani „śmiertelnie” przystojnych i urodziwych mężczyzn, ani dziko namiętych, „demonicznych” romansów. Czytała po prostu któryś z tomów „Jeźycjady” i ta lekka powiastka zdawała się właśnie tym, co chwilowo tygryski lubiły najbardziej. Zero porywających uniesień. Zero zniewalających mężczyzn. Zero pobudzania głodnej wyobraźni – i bez tego była w nieustannej rozterce. Może dzięki neutralnej literaturze z pogodnym małżeństwem i rubasznymi dzieciakami na pierwszym planie łatwiej będzie jej zapomnieć? Albo chociaż przejść do codzienności bez uprzykrzonego supła w żołądku? Gdyby nie te nieustanne SMS-y – wyrzekała zdruzgotana. Jakby na zawołanie leżąca na nocnym stoliku komórka oznajmiła nadejście kolejnego. Kaśka nie musiała spoglądać na telefon, by wiedzieć, kto jest nadawcą. SMS-y przychodziły co wieczór, a każdy miał w sobie skruchę i oddanie. Mówiły jak mu przykro, jak bardzo przeprasza i jak szalenie pragnie, by mu wybaczyła. I cóż z tego, że na żaden nie zareagowała? I tak przychodziły z denerwującą regularnością. Gdy więc nadszedł jeszcze jeden, nie spodziewała się przełomu. Westchnęła zniechęcona i odłożywszy książkę, sięgnęła po telefon.

„SPOTKAJ SIĘ ZE MNĄ. BŁAGAM!!! CHOCIAŻ JEDEN JEDYNY RAZ. MUSZĘ CI TO WSZYSTKO WYJAŚNIĆ, INACZEJ OSZALEJĘ!!!” – głosiły rozpaczliwe słowa podkreślone mnogimi wykrzyknikami. Żadnego podpisu, żadnego „hej” czy „cześć”, po prostu bolesne błaganie.

A jednak... Tym razem treść wiadomości wymusiła na niej reakcję. Bijąca z nich udręka

nie mogła pozostawić jej obojętnej. Mimo całej determinacji, by nie reagować i nigdy więcej się z nim nie spotkać, czuła, że nie może tego tak zostawić. Zwłaszcza ostatnie słowa: „inaczej oszaleję” chwyciły ją za serce. Chryste Panie! – zawyła jej podświadomość. Nawet jeżeli Bogusław okazał się nie być człowiekiem, a jego istota napawała ją lękiem, chciała czy nie, była w niego zaangażowana. Szaleńczo. Ale jak mogła nie być? Wspomnienie jego szlachetności, gdy trwał przy niej i dzieciach w szpitalu, powodowało drżenie serca. Co ona by zrobiła bez jego pomocy? Boże, jak wiele razy od tej feralnej randki roztrząsała już tę kwestię? I nie tylko tę. Każda spędzona razem chwila została przez nią przeanalizowana setki razy i na wszystkie możliwe sposoby. Prawdopodobnie nawet wojskowi specje od analityki, na gorących liniach frontowych, nie rozpracowywali tak każdego zagadnienia, jak Kaśka miała rozpracowane swoje relacje z Bogusławem. I cóż z tego? Teraz zagubiona wpatrywała się w tego nieszczęsnego SMS-a, nie wiedząc, co na niego odpowiedzieć. I czy w ogóle odpowiadać. Z jednej strony jej serce... i kobiece sedno rwało się do niego głuche na wszelkie podszepty zdrowego rozsądku, z drugiej zaś pragmatyczna podświadomość nieustannie wierciła jej dziurę w mózgu niepodważalnymi kontrargumentami. Huśtawka emocjonalna? Jakie to dla niej typowe. Tak więc wiedzioną głosem owego rozsądku postanowiła usłuchać podszeptów pragmatycznej podświadomości. Nie mieć z nim nic wspólnego, już nigdy więcej – taka powinna być jej decyzja. Niemniej... Przecież nie należała do osób, które nie reagują na czyjś ból i udrękę.

– Cholerka! Cholerka! I jeszcze raz Cholerka! – jęczała w poduszkę, nie radząc sobie z tym bałaganem.

Może odmówić zaproszeniu, ale odpowiedzieć musi. Tylko znów – czy powinna odmówić? Boże dopomóż! – wyło całe jej wnętrze, gdy tymczasem niezawodna kobieca intuicja jasno wyrokowała – jeśli nie odmówi, jeśli się z nim spotka, przepadnie. Zacznie żyć nadzieją na szczęśliwy koniec. Nadzieją, że wszystko da się poukładać równie bajecznie jak w literackiej fikcji, a potem będą żyli długo i szczęśliwie.

– Nie bądź głupia! – warknęła sama do siebie, śmiejąc się histerycznie i zakrywając twarz dłońmi. On będzie żył długo. Czy szczęśliwie? Tego nie wiadomo, ale długo z pewnością. Jednak ty, moja droga, zemrzesz szybko... stara, brzydka i z pewnością schorowana. Gdzie tu miejsce na szczęśliwy koniec?

Rozdział 23

Schyłek dnia rozpieszczał poznaniaków przyjemnym ciepłem i gwieździstym niebem, które otulało miasto, dając im podświadomą gwarancję spokojnego snu. Ci, którzy nie mieli jeszcze ochoty na sen, delectowali się sobotnim zmierzchem w zaciszu domowego ogniska bądź w wieczornym zgiełku ulic. Uliczki Starego Miasta żyły więc życiem wędrujących po nim przechodniów, którzy leniwie spacerowali, racząc się przyjemną aurą lub szukali miejsc, w którejs z licznych kafejek, na dalszy ciąg obiecująco zapowiadającego się wieczoru, a może i nocy.

– Może zostanę w samochodzie? – zaproponowała Gośka, czując się nieswojo.

– Absolutnie wybij to sobie z głowy! – warknęła Kaśka, parkując Qashqai'a.

– Kobieto! To jest twoja randka. Nie możesz iść na randkę z przyzwoitką. Mamy dwudziesty pierwszy wiek! – Gośka przewróciła oczami, dosadnie dając do zrozumienia, co myśli o swoim udziale w tym spotkaniu.

– To nie randka. To zwiad.

Panika w głosie przyjaciółki, uświadomiła dziewczynie, że czas negocjacji się skończył. Chcesz czy nie chcesz, musisz tam wejść razem z nią – stwierdziła, odpuszczając.

Niemniej sprawa była dużo bardziej skomplikowana niż się zdawało. Sęk w tym, że Kaśka nie zdradziła sedna problemu. Ale jak miała opowiedzieć o swojej pierwszej randce z cudownym facetem i że ten właśnie facet okazał się wampirem? To by było jak eksplozja granatu z gazem rozweselającym. Już widziała zwijającą się Gośkę, która trzymając się za brzuch, ryczy w histerycznym śmiechu, aż jej się uszy trzęsą. Nie ma mowy! Nigdy się do tego nie przyzna. Wiara w wampiry w dwudziestym pierwszym wieku oznaczała szaleństwo, a ona na pewno się na to nie narazi. Wampiry były wymysłem fantazji literackiej. Owszem, pokutującym na całym świecie, ale nadal tylko wymysłem i jedynie jako takie miały rację bytu we współczesnej rzeczywistości. Poza tym nie potrafiła narazić Bogusława na ujawnienie. Ot, tragizm nieszczęsnego odkrycia – westchnęła. Przed oczami przemknęli jej ci wszyscy literaccy bohaterowie – bardzo pozytywne postacie, które miały taki ogrom miłości do ludzkich kobiet i troski o człowieka, że trudno było dopatrzeć się w nich krwiożerczego potwora. Ilekroć się nad tym zastanawiała, dochodziła do wniosku, że Bogusław też taki był. Dlatego zgodziła się z nim spotkać i wysłuchać, co ma jej do powiedzenia. Dlatego postanowiła dochować jego tajemnicy. Wiara w jego dobroć nie pozwalała jej narazić go na demaskację.

– A skąd będziesz wiedziała, który to? – Gośka dociekała w nadziei, że może jednak coś wyratuje ją z tej przedziwnej sytuacji. – Macie jakiś umówiony sygnał czy co? No wiesz... jakaś na pół zwinięta gazeta w narożniku stolika albo czerwona róża...? – Próbowała nadać groteskowy wydźwięk tej konspiracyjnej nerwowości.

– Widziałam go przez skypa.

– Co?!

– No. – Kaśka jakby trochę zmiękła. – Rozmawiałam z nim dwa razy przez skypa i widziałam go w kamerce.

– Cholera! I dopiero teraz mi mówisz, że randkujesz z facetem już od jakiegoś czasu? Niezła z siebie przyjaciółka.

– Sorry, ale nie wiedziałam, czy w ogóle będę chciała się z nim spotkać, więc nie chciałam budzić w tobie niezdrowego zainteresowania.

Gośka pokręciła głową rozczarowana. Ale z drugiej strony trudno dziwić się Kaśce, skoro ona też nie zwierała się ze swoich przygodnych romansów. Bo i czym tu się chwalić? Ilekroć

zaczynało się wydawać, że gość jest do rzeczy i może coś z tego będzie, on okazywał się kolejnym, niedojrzałym popaprańcem i romans rozpadał się z trzaskiem.

– Naprawdę nie chciałam cię urazić – usprawiedliwiała się Kaśka. – Wierz mi, ale w mojej sytuacji wolałam zachować dystans.

– Dobra. Rozumiem. No to chociaż powiedz, jaki on jest.

Kaśka przymknęła oczy, by przywołać w pamięci obraz absolutnie boskiego oblicza. Nie mogła jednak obnażyć zżerającego ją zachwyty. Przecież podobno widziała go tylko przez internetową kamerkę, a jak człowiek wygląda w takiej kamerce, każdy wie – jeśli nie jak negatyw zdjęcia rentgenowskiego, to co najmniej jak ofiara mordu, zalegająca w cmentarnej lodówce od ładnych kilku tygodni. No dobra, w najlepszym razie... żaden szal. Po prostu człowiek jak człowiek i tyle.

– No wiesz... – zaczęła, wahając się – blondyn, dość długie włosy, raczej urodziwy. Trudno powiedzieć, miał półmrok w pomieszczeniu.

– Aaaa, to przez ten półmrok się obawiasz, czy gość jest w porządku?

– Nie. Nie wiem. Jakoś tak... po prostu będę się lepiej czuła, wiedząc, że jesteś w pobliżu.

Gośka znów pokręciła głową, choć tym razem jej śliczną buzię zdobił wyraz zrozumienia. Widziała, że przyjaciółka czuje się nieswojo. W takim razie nie mogła zostawić Kaśki samej. W końcu od czego ma się przyjaciół?

– No dobra – rzuciła pojednawczo. – To chodźmy zobaczyć to twoje cudo.

Wysiadły z samochodu i zatrzasnąwszy drzwi, spojrzały na siebie, jakby w tym samym momencie jakaś telepatyczna łączność nakłoniła je do wzrokowego kontaktu.

Gośka wyglądała zjawiskowo. Normalka. Niby kompletnie zwyczajnie, jak zawsze gdy nie musiała wbijać się w formalny uniform, a i tak dech zapierało. Standardowo w obcisłych, błękitnych dzinsach, a potem... co jej w rękę wpadło. Dziś wpadł czarny golf ozdobiony jedynie dużym, szarym kamieniem w srebrnej oprawie na długim srebrnym łańcuchu i krótkie, czarne botki na wysokiej szpilce. Na wierzch narzuciła krótką, czarną, skórzaną kurteczkę z szerokim paskiem. Włosy zebrała w koński ogon, a twarz pokrywał delikatny makijaż. Niby nic, ale starczyło, by Kaśka uznała, jak zwykle zresztą, że lepiej schować się w jej cieniu i nie psuć sobą oszałamiającego wrażenia. Boże! A jeżeli on zobaczy Gośkę i się nią zauroczy? Przystanie się mną interesować – kolejna teoria spiskowa. Jej twarz wykrzywił dziwny grymas. Co to właściwie ma za znaczenie? – upomniała się pospiesznie. Przecież i tak nie miała zamiaru dawać szansy potencjalnemu związkowi. Wysłucha, co Sławek ma do powiedzenia, a potem kończy z wampirami raz na zawsze. Jeszcze raz rzuciła taksujące spojrzenie stojącej przed nią blond piękności i uśmiechnęła się do niej przyjaźnie. Wiedziały, obie, że niezależnie od piętrzących się wokół trudności, zawsze będą mogły na siebie liczyć. Cenna wiedza.

Już w progu Cafe Kawka powitała je osobliwą atmosferą. Może dzięki wystrojowi, a może wewnętrznym zaułkom zapewniającym gościom prywatność? Nieważne. Ważne, że panował w niej przyjemny, przesylny klimat, bez wątplenia działający kojąco na kobiece zmysły. Znowu – zaśmiała się w duchu Kaśka, przypominając sobie randkę w Wiśniowym Sadzie. Puściła Gośkę przodem i rozejrzała się niepewnie po sali. Bogusław siedział przy stoliku, wyraźnie spięty. Poderwał się, zauważywszy, że podchodzi, a malujące się na jego twarzy napięcie, ustąpiło miejsca błogiej uldze.

W tym czasie Gośka znalazła wolny stolik. Szybko usiadła, by nie budzić zbędnego zainteresowania i wodząc wzrokiem wokół, udawała zaciekawienie wystrojem lokalu. Jeśli Kaśka chce, to proszę bardzo – może mieć gościa na oku, ale przecież nie może się na niego bezczelnie gapić. Tak więc wodziła wzrokiem po ścianach, od czasu do czasu przyglądając się

siedzącym w knajpce ludziom. Przy okazji złowiła zaciekawione spojrzenia dwóch atrakcyjnych mężczyzn siedzących przy pobliskim stoliku. Mimo wyraźnej różnicy wieku zdawali się być przyjaciółmi, a prowadzona przez nich ożywiona rozmowa, świadczyła o tym, że wiele ich łączy. Uroda młodszego, który zdawał się mieć niewiele ponad dwadzieścia lat, szczególnie przykuła jej uwagę. Kryło się w nim jakieś rzadkie, niepokojące piękno. Lazurowo-błękitne oczy, na kredowo bladej twarzy miały magnetyczną siłę przyciągania. A lśniące, czarne, gęste, rozrzucone w artystycznym nieładzie włosy dopełniały wizerunek bożyszczka. Ich długość teoretycznie wołała o fryzjerską interwencję, ale tak naprawdę była idealna, by nadać filuternego wdzięku tej pięknej twarzy. Do tego masywne, sprężyste, umięśnione ciało. Mężczyzna emanował wewnętrzną mocą i niebezpieczeństwem. Miał w sobie dzikość drapieżnika. Jak gepard, który w swej pozornie delikatnej sylwetce kryje całą grację i siłę nieokiełznanej natury. Jakby nie dość – chłopak, bez wątplenia świadom swej atrakcyjności, podkreślał owe niezaprzeczalne walory powierzchowności modnym i drogim ciuchem. Krótko mówiąc – był po prostu oszałamiający; pod każdym względem.

– Madre de Dios! – jęknęła pod nosem Gośka, która nigdy dotąd nie widziała tak idealnego połączenia wszystkich zewnętrznych cech męskiej urody. Jakby ktoś wyprodukował go na specjalne zamówienie, montując w tym jedynym, niepowtarzalnym egzemplarzu tylko najdoskonalsze elementy. Oddychaj, Małgorzato Mróż. Do cholery! Oddychaj! – próbowała otrząsnąć się z tego oszołomienia, niestety z niepokojąco mizernym skutkiem.

Tak więc, mimo woli, patrzyła na niego, nie mogąc oderwać wzroku. Nie chciała bezczelnie się gapić, by błędnie nie odczytał jej zainteresowania, ale intrygująca uroda zniewalała, zmuszając ją do nieracjonalnego zachowania.

Oczywiście on też wydawał się być nią oczarowany. Ale Gośka przywykła już do takich reakcji. Wiedziała, że jeżeli natychmiast nie zerwie tej wzrokowej komunikacji, znowu wpakuje się w jałową konwersację – pierwszy krok do kolejnego nietrwałego, bezsensownego związku. Wykluczone! – ryknęła jej podświadomość. Nie wpuści się po raz kolejny w te miłosno-erotyczne maliny, choćby koleś miał twarz anioła i oferował jej niebo każdej spędzonej z nim nocy. Jakże była bliska prawdy – rozpatrując ich potencjalne, wzajemne relacje w kategorii spędzonych nocy oczywiście. Desperacko oderwała od niego wzrok i spojrzała na Kaśkę, podchodzącą właśnie do stolika, przy którym siedział kolejny facet jak marzenie. Jasny gwint! Ten też? Co tu się, kurna, dzieje?! Jakiś zlot Mister Uniwersum czy co? Mężczyzna wyglądał po prostu bosko, choć jego uroda była biegunowo odmienna od urody chłopaka, którym Gośka zauroczyła się przed sekundą. Poza kredową bledością, absolutnie na porządku dziennym w tym okresie, i oczami o niebieskim zabarwieniu, różnili się wszystkim. Ten, który czekał na Kaśkę, był rosły i barczysty. Miał jasne oczy o srebrzystym odcieniu błękitu i piękne, płowe, falujące w artystycznym nieładzie włosy do ramion. Wypieprzone włosy serfera – zaśmiała się w duchu, przypominając sobie słowa przyjaciółki. Jego uroda była równie niepokojąca, ale miast drapieżnej dzikości emanowała potęgą spokoju i opanowania. Jakby facet miał za sobą diabelnie długie i ciężkie życie, które u swego schyłku wryło piętno dojrzałej mądrości na jego pięknej twarzy. Był oszałamiający; bez dwóch zdań. Ale... trochę za młody, by interesować się kobietą w wieku Kaśki. Co prawda w obecnych czasach związku z młodszymi mężczyznami nie były na cenzurowanym, mimo to zdarzały się rzadko i raczej w elitarnych kręgach. Wśród szaraczków, takich jak one, różnica wieku zazwyczaj działała na korzyść płci brzydkiej. Gdy zobaczył Kaśkę, jego twarz rozpromieniła się, sprawiając wrażenie jakby emanował pozytywną energią. Szczęściara – przemknęło Gośce przez myśl. Znowu udało jej się trafić niesamowicie atrakcyjne ciacho. Co prawda poprzedni związek z niesamowicie atrakcyjnym ciachem skończył się dla Kaśki niezbyt szczęśliwie, ale przecież... Nie można tracić wiary w udane związki tylko dlatego,

że poprzedni partner okazał się zakłamanym dupkiem i cholernym palantem. Twarz dziewczyny wykrzywił ironiczny grymas. Tak, tak. Powiedz to sobie, mądrało. Ciekawe co zrobisz, jak następny facet się koło ciebie zakręci? Uciekniesz z podkulonym ogonem, aż się będzie kurzyło. Fakt – złe doświadczenie odbiera chęć do pozytywnego nastawienia. Gośka z pewnością każdego następnego adoratora zmierzy miarą wszystkich poprzednich. Wiedziała o tym i nie była z tego zadowolona, ale wolała się asekurować, niż cierpieć po raz kolejny.

Nim po krótkim, niepewnym „cześć” Kaśka na dobre rozsiadła się w fotelu, kelnerka podeszła z kartą i serdecznym uśmiechem. Otaczająca dziewczynę pogodna aura dodała jej odwagi. Dotąd nie miała pojęcia, jak powinna się wobec niego zachować, ale teraz postanowiła dać Bogusławowi szansę na wyjaśnienia. Chociaż co tu wyjaśniać? Sytuacja była tak klarowna jak destylowana woda w laboratoryjnej probówce.

– Czy mogę liczyć na to, że mnie wysłuchasz? – zapytał, gdy już złożyła zamówienie. – Chciałbym, żebyśmy po prostu skupili się na tym, co mam ci do powiedzenia, nim zupełnie skreślisz mnie ze swego życia – był spokojny, więcej – przesadnie opanowany.

Chwila milczenia zawisła nad nimi niczym ciężka, śnieżna chmura, z której prawdopodobnie spadnie oczyszczający atmosferę, lekki, biały puch, ale póki wisi, nie ma pewności, co naprawdę w sobie kryje.

– Słucham cię. – Kaśka starała się przybrać obojętną minę. – Przecież po to tu jestem.

Sławek nie do końca wiedział, jak zacząć, by nie sparać wszystkiego już na samym wstępie. Cholernie bał się ją spłoszyć – wtedy już nigdy nie da mu szansy na wyjaśnienia, a więc i na wspólne życie.

– Wiem... – zaczął w końcu niepewnie. – Czuję, że nie jestem ci obojętny, ale wierzę, że po tym co ostatnio zaszło, masz prawo czuć do mnie niechęć.

Pokręciła głową, uśmiechając się kąśliwie. Tak – stać ją na kąśliwość. Przecież Jackowi też pokazała, że potrafi być nieustępliwym przeciwnikiem.

– Nie czuję do ciebie niechęci – powiedziała spokojnie. – Myślę, że zdecydowanie upraszczasz sprawę.

Skinął głową, w niemym geście przyznając jej rację i spojrzał z tkliwością, która sprawia, że kobietom z nóg robi się wata, w sercu wali wielki dzwon, a w żołądku zaczynają krążyć motylki. Wszystkie objawy bezkrytycznego zauroczenia na raz. Boże dopomóż!

– Ja po prostu nie umiem się w tym odnaleźć – prawie wyszeptała, spuszczać głowę. Kiedy na niego nie patrzyła, jakoś łatwiej było jej się ogarnąć.

– Pozwól mi skończyć – powiedział tym samym, spokojnym tonem. – Chcę, żebyś dowiedziała się o mnie wszystkiego. A wtedy zdecydujesz, czy widzisz dla nas jakąś szansę.

– Skupmy się na tym, co masz mi do powiedzenia. – Zawiesiła głos, wciąż spoglądając na blat stolika. – Sprawę szansy dla nas pomińmy na razie milczeniem. Zgoda?

– A mam inne wyjście? – Uśmiechnął się cierpko. – Zgoda.

Kaśka rozejrzała się po sali. Musiała na czymś skupić wzrok, nim kelnerka wróci z zamówieniem. Szukając wsparcia w otoczeniu, mimochodem spojrzała na dwóch mężczyznach siedzących przy niedalekim stoliku. Młodszy z nich był szczególnie piękny. Równie blade i równie niepokojąco urzekający jak Sławek, mimo skrajnie odmiennej urody. Wiedziała kim jest, choć nie zostali sobie przedstawieni. Niemniej po ostatnich doświadczeniach skonfrontowanych z własnymi przemyśleniami, i posiłkowanymi literacką fikcją, potrafiła rozpoznać charakterystyczne cechy tej intrygującej urody.

– Nie jesteś tu sam – stwierdziła jakby od niechcenia. – Ci dwaj mężczyźni przy stoliku we wnące okiennej są z twojego gatunku.

– Jeden jest taki jak ja. Drugi jest człowiekiem. I tak, są ze mną.

– W jakim celu?

– To moi przyjaciele. I moja ochrona – dodał.

Człowiek przyjacielem? Zastanawiające.

– Ochrona?! – zapytała z nutą ironii w głosie. – Boisz się mnie?

– Nie ciebie. Są... niebezpieczne czasy... teraz – cedził słowa, nie wiedząc, jak najogólniej przedstawić jej prawdę. – Nigdy nie wiadomo, kiedy możemy zostać zaatakowani. Dlatego oni tu są.

O cholera! Słowo „atak” robiło potężne wrażenie. Na tyle potężne, że Kaśka zaczęła nerwowo rozglądać się po sali w poszukiwaniu potencjalnego źródła niebezpieczeństwa. Dotychczas myślała, że to on może być zagrożeniem, a teraz dowiadywała się, że coś zagraża jemu. To nie miało sensu.

– Jesteś niesamowicie silny, prawda?

– Tak.

– Jak więc możesz czuć się zagrożony?

– Ludzie, którzy na nas polują, doskonale zdają sobie sprawę z naszej siły, więc nie podejść blisko. Nie zdecydują się na bezpośrednią konfrontację. Oni atakują z odległości. Ale gdyby na przykład tu weszli, żeby strzelić do mnie, gdy będę zajęty rozmową z tobą, a więc mniej czujny, to wtedy Leon i Marek zareagują.

– Leon i Marek – automatycznie, powtórzyła imiona i pokiwała głową, uśmiechając się enigmatycznie.

– Jak skończymy tę rozmowę, to ci ich przedstawię, a ty poznasz mnie z tą blondynką, która jest tu prawdopodobnie dla twojej ochrony. Czyż nie? – Spojrzał na Kaśkę z pobłażliwym uśmiechem i uniósł pytająco jedną brew.

Chryste! Jaki on piękny – jęknęła zniewolona. Nie mogę przy nim racjonalnie myśleć. Zarumieniła się, patrząc na niego z rozmarzoną miną. Zaczynała fiksować. Znowu. Czy zawsze w jego obecności będzie musiała skuwać umysł kajdanami rozsądku, by nie odlecieć w intelektualny niebyt?

– To Gośka – powiedziała w końcu, przywołując myśli do porządku. – Moja przyjaciółka.

W kawiarni zaczynało przybywać gości. Rezulutna kelnerka pojawiła się z gorącą czekoladą z bitą śmietaną i wiśniami dla Kaśki oraz butelką wody mineralnej i szklanką dla Sławka.

– Woda? – Uniosła zadziornie brew, przypominając sobie wcześniejsze spotkania. Nigdy nie poprosił o nic innego. Zawsze tylko woda. Uśmiechnęła się przelotnie, ale uszło to jego uwadze.

– Jedyna sprawdzona rzecz z ludzkiego menu, którą mogę przyjmować bez konsekwencji.

O wódce wolał nie wspominać, bo choć, przetestowawszy na sobie alkoholowego mixa, przekonał się, że nie zabija i nie wypala ich od środka, jak wcześniej przypuszczano, to jednak trudno pominąć zgubne następstwa jej spożywania.

– No dobrze, więc mów – westchnęła. Chciała wreszcie przebrnąć przez tę trudną rozmowę, a co potem? Zobacz.

– Nie chcesz zadawać pytań? – był szczerze zaskoczony.

– Nie wiedziałabym od czego zacząć i co jest istotne. Po prostu mów, a ja dopytam, jakbym czegoś nie zrozumiała, albo chciała wiedzieć więcej.

– Dobrze – zgodził się Bogusław i rozpoczął opowieść od tej ostatniej nocy w wielkopolskim borze, gdy wraz z kompanami i Gniewomirem stanęli na popas, nim dotrą do rodzinnej osady.

– Jezu! – jęknęła, nawet nie próbując ukryć zaskoczenia. – Chcesz powiedzieć, że masz

tysiąc lat?!

– Nooo... troszkę ponad. – Uśmiechnął się niepewnie.

Ona zaś, ukrywając twarz w dłoniach, zaczęła histerycznie chichotać, wspominając, jak jeszcze niedawno zarzucała sobie pedofilskie skłonności.

– Kasiu... – upomniał ją stroskany, dyskretnie rozglądając się wokół.

– Okej. Już... już się uspokajam – tłumiała chichot w zaciśniętej pięści.

Zakłopotany Bogusław przez chwilę przyglądał się kobiecie. Nie chciał znów ingerować w jej emocje. Na szczęście faktycznie szybko się pozbierała i patrzyła teraz na niego wyczekująco; tylko od czasu do czasu drgały jej kąciki ust, wtórując cichemu „hmhm” tłumionego śmiechu.

Upewniwszy się, że rzeczywiście jest „okej”, chwycił szklankę do reki i popijając kolejne niewielkie łyżki, opowiadał dalej. Mówił o nieprzeciętnej sile i do przesady wyostrzonych zmysłach odkrytych po przemianie. O więzi, którą Jagienka połączyła go ze sobą, gdy po raz pierwszy obudził się i zrozumiał czym go uczyniła. O wspólnych wędrówkach po Europie i o tragicznej nocy w Wenecji. W końcu o setkach lat samotności i braku nadziei.

Boże, kochał inną kobietę. I stracił ją. A potem nie chciał nikogo innego. Ta myśl obudziła w niej współczucie. On tymczasem mówił dalej. O mimowolnych reakcjach na krew i podniecenie (coś na ten temat wiedziała), o głodzie krwi i lęku przed zabijaniem.

– Zabijeś kogoś, żeby wypić jego krew? – przerwała mu, dopytując. Mimo trawiącego ją niepokoju, chciała wiedzieć. Nie mogła tego pytania pozostawić bez odpowiedzi. Co zrobi z tą wiedzą, gdy okaże się potworna? Tego jeszcze nie wiedziała, ale była absolutnie pewna, że odpowiedź chce znać.

– Nie.

– Nigdy?

– Nigdy. To było bardzo trudne, ale wierz mi... nigdy nikogo nie zabiłem, pożywiając się na nim – spokój w głosie świadczył o rzetelności jego słów. Że zabijał z innych pobudek, to już zupełnie odrębna sprawa.

– Gryząc, nie zabijacie?

– Nie musimy. Są tacy, którzy przez setki lat upajali się ludzkim lękiem i smakiem krwi ostatniego tchnienia, ale ja nigdy nie żywiłem się na ofierze, która byłaby choćby tego świadoma, a co dopiero budzić w niej lęk i zabijać, by podnieść walory smakowe posiłku.

– Walory smakowe posiłku, łał – zadrwiła. – Nieźle.

– Nie dziw się. Przez setki lat byliśmy dzicy i drapieżni, a nasza siła i zdolność manipulowania umysłami śmiertelnych, dawała nam nieograniczoną władzę nad każdym człowiekiem.

– To straszne.

– Tak, to straszne, ale świat był kiedyś strasznym miejscem. Ludzie umierali często i licznie. Mordowali się w walkach plemiennych, wojnach religijnych i grabieżczych podbojach. Jeżeli nawet przeżyli okrucieństwo innego człowieka, to wyniszczały ich zarazy i nędza. Kto by w takich czasach przejmował się pojedynczą ofiarą wampira?

– Ty – wyszeptwała ledwo dosłyszalnie. Tak, tego, że Bogusław nie był zdolny do okrucieństwa była pewna. Absolutnie.

Czy właśnie dostrzegł błysk czułości w jej spojrzeniu?

– Byłem jednym z nielicznych.

– A co z tymi wszystkimi mitami o kołkach i słońcu?

– Jest w nich ziarno prawdy. Drewno wbite w serce lub gdziekolwiek indziej, niezależnie od tego jakie to drewno, powoduje wieczną martwość, ale zabija nas tylko ścięcie głowy. Nie

działa na nas święcona woda, czosnek czy krzyż, to tylko mity i literacka fikcja. No i mamy odbicie w lustrze i możemy być fotografowani. Dlaczego, na Boga, nie miałbym mieć odbicia w lustrze? – zapytał z uśmiechem, wyrażającym zarazem zdziwienie i rozbawienie. – Przecież mam ciało jak każdy człowiek.

– Więc o co chodzi z tymi lustrami?

– Wierz mi. Sami zachodzimy nad tym w głowę od setek lat. Być może ludzie muszą mieć jakieś baśniowe wyobrażenie o nas, inaczej bylibyśmy dla nich za bardzo ludzcy. A przecież mamy być potworami.

Uśmiechnął się, ale Kaśce nie było do śmiechu. Nie chciała widzieć w nim potwora. Potwór przekreślał jakąkolwiek szansę na szczęśliwe zakończenie, a ona coraz bardziej chciała, by było szczęśliwe zakończenie. Z każdym kolejnym słowem, ta rozmowa utwierdzała ją w jego szlachetności, łagodności i ogromnej życiowej mądrości. Nie widziała w nim nikogo innego jak ze wszech miar atrakcyjnego – no dobra, super atrakcyjnego – mężczyznę i szaleńczo pragnęła, żeby tak już było do końca. Bała się, że drążąc dalej temat jego życia, natknie się na coś, co przekreśli dobre wrażenie. Taki obrót sprawy byłby jej diabelnie nie na rękę. W tym momencie potrzebowała spokoju i nadziei. Postanowiła odpuścić. Jeżeli będzie się z nim spotykać, to prędzej czy później nadarzy się okazja, by wyjaśnić sobie wszystko do końca. A jeżeli to ich ostatnie spotkanie, jakie znaczenie mają te wszystkie nieznanne jej fakty?

– Co wiesz o mnie twoi przyjaciele? – spytała więc, zbaczając z tematu.

– Niewiele, poza tym, że masz nieciekawego eksmęża, dwoje dzieci i niesamowitą, zachwycającą osobowość. Ale przede wszystkim wiesz, że szaleńczo ciebie chcę – Bogusław spojrzął jej w oczy wymownie, sprawiając, że Kaśce mocniej zabiło serce. – Co wie o mnie twoja przyjaciółka?

– Nic.

– Czyżby? – uniósł znacząco brew, a twarz wykrzywił mu niejasny grymas.

– Słowo – zaklinała się. – Powiedziałam jej, że poznałam cię przez internet i że to nasza pierwsza randka, więc obawiając się potencjalnego zbrodźcy, wolałam mieć ją przy sobie – zrobiła zakłopotaną minę i uświadamiając sobie, że właśnie określiła go mianem potencjalnego zbrodźcy, oblała się amarantowym rumieńcem.

– Potencjalny zbrodźca z internetu? – zaśmiał się pod nosem, spoglądając na nią z czułością. – No nieźle.

– Wiem. – Rumieniec się pogłębił, a Kaśka zaczęła nerwowo wydłubywać resztki czekolady z pucharka. – Wybacz, ale jak inaczej mogłabym ją tu zaciągnąć? Kto przy zdrowych zmysłach idzie na randkę z przyzwoitką? – zaśmiała się. – A musisz przyznać, że po ostatnim twoim wyskoku mogłam żywić pewne obawy.

Bogusław pochylił głowę i pocierając kark, przyznał:

– Mogłaś.

Zapanowała niezręczna cisza. Oboje nie wiedzieli, co zrobić z tym niedomówieniem, które właśnie między nimi zawisło. Chlerka! – sapnęła w duchu, widząc, że poczuł się zażenowany. Przecież nie chciała wpędzać go w poczucie winy. Teraz, kiedy wiedziała już kim jest, rozumiała, a w każdym razie tak jej się zdawało, jego reakcję tego feralnego wieczora. Zrób coś z tym, kobieto! – ponagliła ją podświadomość. Łatwo powiedzieć, tylko co? Ale jakoś trzeba było przerwać to nachalne milczenie i rozładować sytuację.

– Zostawmy tę rozmowę na później – zaproponowała.

– Dajesz mi nadzieję? – ożywił się.

– Nie wiem. Nie. Kurczę, nie rozpatruję tego w takich kategoriach. Mówię tylko, że nie chcę dłużej rozmawiać na te wszystkie trudne tematy. Jeżeli będzie na to odpowiedni czas... i

sposobność, to do nich wrócimy.

Sławek uśmiechnął się ciepło. Mimo wszystko nadzieja zagościła w jego sercu.

– Może się do nich dosiadziemy? – zaproponował, gestem głowy wskazując stoliki w pobliżu okna.

– Świetny pomysł. – Przynajmniej nie będzie musiała zdawać szczegółowej relacji podekscytowanej przyjaciółce. Skoro Gośka pozna Bogusława osobiście, istniało duże prawdopodobieństwo, że odpuści.

Bogusław wziął swoją szklankę, Kaśka pucharek ze smętnymi resztkami czekolady i ruszyli w stronę stolików, przy których siedziała zaczytana w jakiejś książce Gośka i niedaleko niej pogrążeni w rozmowie przyjaciele Sławka. Prezentacja i przetasowanie miejsc przebiegły zaskakująco sprawnie. Wprowadzie wyraźny elektryczny impuls przemknął przez Gośkę i Leona, gdy witając się, podali sobie ręce, ale Boże drogi, czy to pierwszy raz zaiskrzyło między chłopakiem i dziewczyną przy ich pierwszym spotkaniu?

Rozmawiali swobodnie, jakby wszyscy całkiem nieźle się znali się. Ale coś było nie tak. Ci faceci są jacyś... dziwni – główkowała Gośka. Cóż, może dlatego, że mieli nienagane, by nie powiedzieć staroświeckie maniery? Większość znanych jej mężczyzn była arogancka i z przerośniętym ego, które puchło z każdą kolejną minutą rozmowy. Z nimi było inaczej – oni robili wszystko, by będąc w ich towarzystwie kobiety, dobrze się bawiły. Do tego, zawsze wycofana Kaśka, zdawała się czuć całkiem swobodnie w ich obecności. Zwłaszcza w obecności Bogusława. Przecież to ich pierwsza randka. Podobno – Gośka nie dowierzała, widząc, jak tych dwoje podświadomie lgnie do siebie. Jakby jakiś niewidzialny magnes przyciągał idealnie pasujące do siebie połowy.

– Co czytasz? – zapytał niespodziewanie Leon, dotykając okładki książki, którą dziewczyna przed chwilą zamknęła i odłożyła na stole.

Zrobiła zakłopotaną minę i widać było, że wolałaby nie odpowiadać.

– Aaa, takie tam babskie czytadło – powiedziała w końcu, widząc, że wszystkie oczy zwrócone są na nią wyczekująco.

– Romans? – Chłopak nie dawał za wygraną.

– Coś w tym rodzaju.

– Gośka, no nie bądź taka tajemnicza – rzuciła jakby od niechcienia Kaśka, doskonale wiedząc, jakiego typu książki czytuje ostatnio jej przyjaciółka. Prawdę mówiąc, zaczynała się nieźle bawić myślą o reakcji reszty towarzystwa, gdy usłyszą odpowiedź. Sama przez to przechodziła niedawno, kiedy tłumaczyła się Sławkowi z własnego gustu literackiego.

Spojrzenie, posłane jej przez przyjaciółkę, miało w sobie tę niesłychaną moc rażenia, której nie powstydziałaby się nawet Meduza. Niestety – jego skutek, ku udręce poirytowanej Gośki, nie był tak spektakularny. Kaśka nadal siedziała po drugiej stronie stołu cała i nienaruszona, i wraz z resztą towarzystwa wpatrywała się intensywnie w przyjaciółkę, oczekując odpowiedzi. Oh my God! – biadoliła dziewczyna w duchu. Teraz to błahe z pozorów pytanie zadane przez wrednie wścibskiego, jej zdaniem, Leona, urosło do rangi problemu, obok którego nikt już nie mógłby przejść obojętnie. Trzeba było go rozwiązać za wszelką cenę. Kaśka cały czas podśmiechiwała się pod nosem, a Gośkę zaczął oblewać, obcy jej dotychczas, wstydlivy rumieniec. To będzie cholerna kompromitacja – stwierdziła zdesperowana. Już ja się z tobą policzę, ty zdradliwa zołzo – słała przyjaciółce nieme groźby.

– Dobra, podaj chociaż tytuł – zaproponował pojednawczo Leon w nadziei, że tym zakończy sprawę. – Nie będziemy cię nękać o treść, skoro nie chcesz powiedzieć.

Fuck! – gorszego pytania nie mógł zadać. Opowiadając treść, mogła jeszcze jakoś wybrnąć z tej kabały, ale tytuł? Masakra – spojrzała po ich twarzach. Kaśka skrycie rechotała,

ledwo mogąc utrzymać pozory powagi. Bawi cię to, paskudo jedna? Czekaj, policzymy się, tylko stąd wyjdziemy. Mężczyźni natomiast mieli spojrzenia pełne... zaciekawienia? Troski? Obawy? Trudno określić mieszaninę uczuć, która plątała się po ich twarzach. Jedno było pewne – ona nie wyplącze się z tego tak łatwo. Po cholere brałam tę pieprzoną książkę? Nie mogłam wziąć ze sobą „Twojego stylu” albo chociażby „Pani domu”? Nie, kurna! Zachciało mi się książki! I cóż z tego, że Gośka przeklinała w duchu samą siebie? I tak nie wywinie się od odpowiedzi. Już nie. Za daleko zabrnęła. Niemniej mogła grać na zwłokę.

– A, taki tam cykl o miłości. No wiecie... babskie książki. – Udawała wyluzowaną.

– Harlekiny? – drążył Leon z radosnym uśmiechem.

– Na miłość boską, nie harlekiny! – jęknęła zdołowana. – Po prostu zwykłe, solidne, współczesne romansidło. Zejdź ze mnie wreszcie człowieku i odpuść sobie tę książkę.

– Ależ, Gośka! – Kaśka skarciła przyjaciółkę, z dzikim rozbawieniem w głosie. – No rzuć już wreszcie ten tytuł i będziesz miała sprawę z głowy. Przecież to tylko książka.

Ponownie zabójczy wzrok Meduzy utkwiał w rozbawionym obliczu kobiety i ponownie efekt był niewspółmierny do jego siły rażenia.

– Dobra – syknęła przez zęby. – „Sekretne życie wampira” – wymamrotała niemal niedosłyszalnie.

– Jak? Bo nie dosłyszałem? – Tym razem Marek dręczył biedną ofiarę.

– „Sekretne życie wampira”! – ryknęła Gośka, zupełnie wyprowadzona z równowagi. –

Podoba się?!

Wszyscy, ale to wszyscy, ludzie w kawiarni zawiesili na moment swoje czynności, by skupić uwagę na pięknej blondynce, która właśnie krzyczała coś o sekretnym życiu wampira. Jej towarzysze natomiast w ciszy, z zaciśniętymi szczelnie ustami spoglądali na nią ubawieni, by po chwili ryknąć gromkim, szczerym śmiechem. Ta reakcja uwolniła zawieszonych w pustej czasoprzestrzeni pozostałych gości i personel, którzy swobodnie powrócili do porzuconych przed chwilą rozmów, deserów i obowiązków.

– Wampiryyyy! – zawołał ożywiony Leon. – Noooo, to wszystko jasne. Trzeba było tak od razu. Czego się wstydzisz, dziewczyno? Ja uwielbiam wampiry. Czytałem chyba wszystko, co napisała do tej pory Kerrelyn Sparks i Ivy Aleksandra, i Lara Adrian... i całą resztę tej wampirzej twórczości. A „Czystą krew” i „Pamiętniki wampirów” oglądasz? Czekaj, jest jeszcze.... chłopaki, jaki to miało tytuł?

– „Pod osłoną nocy” – podrzucił mu usłużnie Bogusław.

– No właśnie. Ale to marne jest. Nie polecam.

– „Anioł ciemności” – Marek również go wspomagał.

– No. – Leon wycelował palcem w łowcę. – Ale to też badziew. W każdym razie... jest tego trochę.

Gośkę zatkało. Gość jest nienormalny, czy co? Zresztą... wygląda na to, że cała trójka. Jaki mężczyzna ogląda seriale o wampirach i czyta takie książki? No dobra, seriale jeszcze, ale książki...? Może geje czytają? Ale to ciacho nie wygląda na geja. Pokręciła głową. Nieee, absolutnie nie. Taki macho jak Leon nie może być gejem. Jednak...?

– Jesteś gejem? – spytała niepewnie. Rzadko kiedy w życiu Gośki zdarzały się sytuacje, w których czuła się niepewnie.

Odpowiedziała jej kolejna kanonada śmiechu, roznosząc się echem po niewielkim lokalu. Tym razem jednak znieczuleni już współgoście nie raczyli nawet zerknąć w stronę rozbawionego stolika pod oknem.

– Nieee. – Leon pokręcił przecząco głową. Malujące się na jego twarzy zdziwienie nie było w stanie pokonać wciąż goszczącej na niej wesołości. – Dlaczego tak sądzisz?

– Nooo... – Bezradnie wzruszyła ramionami. – No bo nie znam faceta, który czytuje takie książki, więc pomyślałam... – Znow wzruszyła ramionami.

– A geje, których znasz, czytują?

– W zasadzie... Cholera, ale się zaplątałam. Nie znam żadnego geja.

Znow wszyscy ryknęli śmiechem i nawet Gośka rozładowała dokuczliwe napięcie, zaśmiewając się wraz z nimi.

– Wiesz co, Gosiu? – zagadnął Bogusław po ojcowsku. – Żeby ci pokazać, że świat nie zawsze jest taki oczywisty, jak się wydaje, przyznam ci się, że też uwielbiam wampiry i też przeczytałem wszystko, co do tej pory pojawiło się na naszym rynku.

– No nie, jaja sobie robisz? Tacy faceci jak wy czytają „Playboya” albo „CKM”, a z książek to nawet nie wiem co... jakiegoś Lema? Albo Sapkowskiego? Czy Tolkiena?

Wszyscy trzej roześmiali się pod nosem, ale to Bogusław znow jej odpowiedział.

– Nie, nie robię sobie jaj. A czasopism na pograniczu nie czytuję. Chociaż „Playboy”... dlaczego nie? Literaturę, o której wspomniałaś, też znam, ale wampiry to mój ulubiony temat i żeby było śmieszniej... jestem przekonany, że Marek też jest zagorzałym fanem wampirów.

Dziewczyna uniosła wysoko brwi kompletnie zaskoczona i zrezygnowana.

– Kaśka też jest ekspertką od wampirów – dodała jakby w uzupełnieniu jego wypowiedzi.

– W to nie wątpię. – Sławek spojrzał na rudowłosą piękność i puścił do niej oko.

– To może założmy klub miłośników wampirów. – Gośka zdawała się już kompletnie rozluźniona.

– Jestem absolutnie pewien, że na świecie są setki takich klubów, ale my możemy mieć własny. Czyż nie? – Odwrócił się do swych przyjaciół, spoglądając, jak Leon z Markiem chichoczą pod nosem.

Dużo później wciąż siedzieli i rozmawiali, już całkiem swobodnie, ale czas pędził nieubłaganie i nim się zorientowali nadeszła pora, by opuścić lokal. Miła kelnerka znow podeszła do ich stolika.

– Poproszę jeden rachunek za wszystkie zamówienia – powiedział Bogusław, palcem wskazującym robiąc gest, obwodzący kółkiem wszystkie naczynia i obdarzył dziewczynę gwiazdorskim uśmiechem.

Oczarowana kelnerka z maślanymi oczami odwzajemniła uśmiech i wróciła do kontuaru, by przygotować paragon. Gdy chwilę później podała mu niewielką, skórzaną oprawę, Bogusław spojrzał do środka, odczytał należną kwotę, sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wydobywszy z niej elegancki portfel, włożył do skórzanej oprawki banknot o wysokim nominale.

Kiedy wyszli z lokalu, rozgwieżdżone niebo nadal przychylnie otulało powoli zasypiające miasto.

– Może się przejdziemy? – zaproponował, delikatnie chwytając Kaśkę za koniuszki palców.

– Nie bardzo. Muszę odwiedzić Gośkę do domu. Poza tym, już jest późno.

– Ty się mną nie zastawiaj. Dam sobie radę – odcięła się przyjaciółka.

– Pewnie, że sobie da – wtrącił Leon. – To w końcu duża dziewczynka. – Spojrzał na nią filuternie. – Poza tym, ja mogę ją odprowadzić, a przy okazji pogadamy o naszych ulubionych książkach – puścił do niej oko i uśmiechnął się, sprawiając, że Gośce zwiotczały kolana i odjęło jej mowę.

– Dobra, kochani. Zrobimy tak. – Jak zwykle racjonalny Marek trzeźwo zareagował na te flirtarskie gierki. – Jeżeli Gośka nie ma nic przeciwko temu, żeby Leon ją odwiózł, to wsiadajcie do auta i możecie jechać. A ja sobie tu pospaceruję razem z Kaśką i Sławkiem.

– Dla mnie okej – odpowiedział Leon.

Gośka pokiwała głową na znak zgody. Chociaż... po co Kaśce i temu Sławkowi kolejna przyzwoitka? Wzruszyła ramionami. Ale w końcu, czy to jej problem?

– Ja też się zgadzam. – Ukradkiem spojrzała na Leona, by sprawdzić, czy aby nie słyszy, jak pędzi jej głupie, zauroczone nim serce. – Tylko co Kaśka na ten spacerowy trójkącik? – dodała rozbawiona, nie mogąc się powstrzymać.

– Myślę, że nie będzie miała nic naprzeciw – odpowiedział Marek pewny, że Bogusław uprzedził kobietę o konieczności asekuracji.

Nim dziewczyna zdążyła zripostować, już ręka Leona oplatała ją delikatnie w pasie bez jakiegokolwiek wyczuwalnej natarczywości i razem zmierzali do bajeranckiej limuzyny zaparkowanej na pobliskiej uliczce.

Kaśka odwróciła się do Bogusława i spoglądając na niego ciepło, chwyciła go za rękę.

– No to chodźmy.

Gdy podjechali pod bramę na Prusa, błądy świt zaczynał niepewnie wypełzać na poznańskie ulice, ale Bogusław odpychał od siebie dręczącą świadomość kurczącego się czasu. Chciał być z Kaśką jak najdłużej. Ona z kolei zdawała się nieświadoma, że to, co dla niej jest źródłem życiodajnej energii, może za chwilę poczynić spore spustoszenie w organizmie Sławka. Na szczęście Marek zachowywał trzeźwość umysłu za nich oboje.

– Musimy spadać – rzucił do Bogusława bez ogródek. – Za chwilę świt.

– O, matko! – Kaśka aż podskoczyła na swoim siedzeniu. – Nie pomyślałam, że w ten sposób goni nas czas.

– Niestety, to nasza niefajna rzeczywistość.

– Dobra, skończcie już gadać. Sławek, naprawdę musimy już spadać. Dajcie sobie po buziaku, a resztę obgadajcie przez telefon, bo za chwilę będzie z tobą kiepsko. Pamiętaj, że musimy jeszcze dotrzeć do ciebie, a ja jestem tylko człowiekiem. Trochę nam to zajmie.

– Weźcie moje auto.

– Co? – Marek był zaskoczony. Kto w tym kraju pożycza obcemu swoje auto?

– No. Weźcie moje auto, a potem faktycznie umówimy się przez telefon jak je odbiorę. Prawdopodobnie nie będzie mi jutro potrzebne. Dzieciaki są z ojcem więc... – Zawiesiła głos. – Dopiero w poniedziałek będę musiała odwieźć maluchy do szkoły i przedszkola.

Marek nie zastanawiał się długo. Błyskawicznie wysiadł z samochodu, by z tylnej kanapy przesiąść się na miejsce kierowcy. Bogusław ujął tymczasem twarz Kaśki w dłoń i nim wysiadła, robiąc miejsce Markowi, delikatnie ją pocałował.

– Wieczorem zadzwonię – powiedział, gdy otwierała drzwiczki.

– Będę czekała – szepnęła.

Marek zajął miejsce za kierownicą Nissana, chwilę pomajstrował przy ustawieniach, odpalił silnik i ruszył. Nim Kaśka zdążyła wbić kod i otworzyć drzwi do budynku, samochód zniknął już za zakrętem.

W mieszkaniu było przejmująco cicho i pusto. Jacek już w piątek popołudniu zabrał dzieciaki. Znowu planował wspólny wypad nad morze. Zawsze uwielbiał morze, zresztą jak i ona, szkoda tylko że, gdy byli małżeństwem, nigdy nie przyszło mu do głowy, by zafundować im taki rodziny wypad na weekend. Najwyraźniej teraz nadrabiał zaległości. Może Marta umiała od niego wygzekwować przyjemności? Cóż, jeśli dzieciaki przy tym korzystały, to tylko się z tego cieszyć.

Nim gotowa do snu, opadła kompletnie wymęczona na wielkie łożo, świt natarczywie wdarł się do jej sypialni. Coraz zuchwalsze promienie słoneczne dziarsko wpełzały przez trzyskrzydłowe okno, zmuszając znużoną Kaśkę, by wykrzesać ostatnie siły i dowlokła się do okna. Chwyciła pokrętło i przesunęła dźwignię, uruchamiając spuszczenie rolety. Gdy wracała do

łóżka, leżąc na nocnym stoliku komórka zasygnalizowała nadejście SMS-a. Kaśka chwyciła telefon i ledwo widzącym wzrokiem odczytała wiadomość:

„JUŻ TĘSKNIĘ. ŚPIJ SPOKOJNIE. DO WIECZORA. BOGUSŁAW”

Rozdział 24

Rozwarta szeroko szafa znów drwiła z niej złośliwie. Zdecydowanie nie były najlepszymi przyjaciółkami. Paskudna raszpla – pomyślała Kaśka, patrząc wilkiem na bezduszny mebel. Była przekonana, że szafa czuła się od niej lepsza. I, cholerka, miała po temu pełne prawo. Zdolność właściwego doboru stroju była Kaśce dalece obca – tak w każdym razie uważała – dlatego też, gdy już coś do owej szafy trafiało, stawało się jej integralną częścią, której Kaśka nie potrafiła później właściwie wyegzekwować. A przecież dzisiaj był jej... Kolejny Wielki Dzień.

Randka zapowiadała się naprawdę smakowicie i choć na samą myśl o tym co może się wydarzyć, Kaśka dostawała gęziej skórki z niepokoju, to jednak pokusa była niebagatelna.

A więc, stała teraz przed szeroko otwartą szafą, odziana zaledwie w bieliznę (nową i jakże kuszącą) oraz nowusienkie samonośne pończochy i usiłowała dobrać do tego odpowiedni ciuch. Nie przebierała w wiszących wewnątrz okryciach, po prostu wertowała spojrzeniem wieszaki, próbując zaakceptować poszczególne stroje. W końcu jej wzrok padł na zwiewną, ciemnoszarą sukienkę w błękitno-wrzosową łączkę. Może nie był to ostatni krzyk mody, ale sukienka była naprawdę wysokiej klasy, a do tego zdecydowanie i niezaprzeczalnie kobieca. Nie zastanawiając się długo, sięgnęła po nią i szybko włożyła. Idealnie – polechtała swoje kobiece ego. Faktycznie sukienka była doskonała i leżała na niej pierwszorzędnie. Półdługi rękawek ledwie zakrywał łokieć, obszerny dekolt zapinanego na rząd małych guziczków stanika uwydatniał wyeksponowany biust, a odcinana w pasie, szeroka spódnica nadawała jej sylwetce lekkości i wdzięku. Kaśka okręciła się wokół własnej osi, a spódnica zafalowała w lustrzanym odbiciu. Tak, z pewnością nie był to ostatni krzyk mody, ale ilekroć ją zakładała, miała przed oczami kultową scenę z Marylin Monroe, której podmuch pędzącej pod chodnikiem kolejki metra podwiewa fałdy sukienki. Nie na darmo po dziś dzień niejeden męski pokój zdobił fotos z tą rozkoszną i jakże seksowną sceną. Kaśka uwielbiała się nią dowartościowywać. Zwłaszcza, że sylwetką zdecydowanie przypominała kobiety lat pięćdziesiątych, daleko odbiegając od obecnych kanonów piękna. Miała zbyt obfite biodra, zbyt krągły brzuch, zbyt niski wzrost – jak tu sprostać wymogom dwudziestego pierwszego wieku? Nie miała szans.

Jeszcze raz rzuciła okiem na własne odbicie i z aprobatą pokiwała głową. Sukienka leżała jak ulał, ciało smakowicie pachniało czekoladowym balsamem, włosy były spięte w frywolny koczek, a paznokcie radośnie połyskiwały malinowym lakierem. Jeszcze kilka dodatków, lekki makijaż, seksowne czółenka na szpilce i może ruszać na pierwszą prawdziwą randkę z wampirem.

O tym, że znajdzie się w tym punkcie, świadczyły wszystkie znaki na niebie i Ziemi. Długo bronila się, by je dostrzec, ale przecież od pierwszej chwili, wyczuwalne było między nimi to nasycone erotyzmem iskrzenie. Teraz Kaśka stała pod drzwiami Bogusława doskonale świadoma, w jakim kierunku zmiierzają.

Nie chciała, by po nią przyjeżdżał. Znów. W swej naiwności próbowała zwiększyć tym szansę na ewentualną ucieczkę, choć tak naprawdę wcale nie zamierzała uciekać. Przed czym? Przed kim? – poprawiła się. Przed rozkoszą i boskim mężczyzną, który ją oferuje? Głupia baba. Teraz trzeba było tylko unieść rękę i zapukać.

– Jesteś – wyszeptał, wodząc po niej głodnym spojrzeniem i szeroko otwarłszy drzwi, zaprosił do środka.

Weszła. Nie dał jej szansy, by choć rozejrzała się dookoła. Zamknął za nią drzwi, a potem szybkim, niecierpliwym ruchem zamknął ją w swym uścisku, przypierając do ściany. Gorący, namiętny pocałunek zaraz potem, był kolejnym oszalamiającym momentem tego

niekonwencjonalnego powitania.

Kaśka stała w bezruchu, nogi jej się trzęsły, a Bogusław coraz bardziej zatracił się w pachnących włosach i delikatnie wodził palcami po jej udzie pod uniesionym rąbkiem sukienki. Mierzwił spięte loki, uwalniając pojedyncze kosmyki, by po chwili rozpiąć klamrę i całkowicie uwolnić tę kasztanową burzę zmysłowości. Co faceci mają z tymi włosami? – marudziła jej podświadomość.

W rzeczy samej od zarania dziejów włosy działały na mężczyzn jak afrodyzjak. Pewnie dlatego najnowsze badania wykazywały, że główną cechą odróżniającą żony od kochanek są włosy – kochanki mają dłuższe. Kaśka była święcie przekonana, że kochanki są młodsze, może szczuplejsze, ale w życiu nie podejrzewałyby, że facet zacznie zdradzać żonę dlatego, że ma za krótkie włosy. To było pokręcone. Pieprzona, męska logika.

W tym momencie jednak jej włosy sprawiały, że stojący przed nią mężczyzna, który pożerał ją swymi pocałunkami, zaczynał głębiej oddychać, jego pierś falowała, a on coraz namiętniej gładził jej udo, jednocześnie zatracając się w jej lokach. Jęknęła, ulegając jego afektowi. Bogusław powoli i zmysłowo muskał ustami jej szyję, wyczuwając narastające w niej podniecenie. Nagle odsunął się wyraźnie zażenowany.

– Wybacz – wyszeptał. – Tak diabelnie jestem szczęśliwy, że jesteś, że zapomniałem o dobrych manierach. Wybacz proszę – powtórzył speszony.

– Nie ma sprawy – wyszeptała równie speszona.

Nie ma sprawy? Matko! Już czegoś bardziej beznadziejnego nie mogłam wykombinować – karciała się w myśli. On tymczasem chwycił ją za rękę i poprowadził w głąb mieszkania. Choć nazwać tę przestrzeń mieszkaniem to z pewnością spore niedomówienie. Raczej należałoby powiedzieć – szalenie gustowna garsoniera czy może luksusowy mini apartament, by nie nadawać miejscu pejoratywnego klimatu. A zatem ów mini apartament był perfekcyjnie urządzone i zachwycał każdym, nawet najdrobniejszym detalem. Właściwie, znając gust i klasę Bogusława, Kaśka mogła się tego spodziewać, a mimo wszystko czuła się oszołomiona.

Gdy podprowadził ją do kanapy, automatycznie usiadła, choć właściwie nie zamierzała siadać. Chciała rozejrzeć się po tym wytwornym wnętrzu, nawet jeśli to trochę niestosowne. Ale jakże babskie – usprawiedliwiała się w duchu.

– Rzucę okiem – powiedziała, wstając, i wymownym gestem dłoni ogarnęła przestrzeń dookoła siebie. – Pozwolisz?

– Oczywiście, proszę bardzo, ale to małe mieszkanko, nie za wiele jest do zwiedzania. – Uśmiechnął się serdecznie.

– To nic, po prostu lubię przyglądać się wnętrzom. Więc, jeśli nie masz nic naprzeciw...

– Ależ nie, nie. Proszę.

Ruszyła niespiesznie na tych niebotycznie wysokich szpilkach, kusząco kołysząc biodrami, a idący za nią Sławek, nie mógł oderwać oczu od jej cholernie ponętnej tyłeczka. Fuck – jęknął, z zapartym tchem przyglądając się kobiecie, która wyglądała jak filmowa gwiazda lat pięćdziesiątych – po prostu bosko. Wchodząc do kuchni, wykonała półobrót, rzucając mu przez ramię niepewne spojrzenie.

– Naprawdę mogę się porozglądać? – Okrasiła pytanie słodkim uśmiechem. Szeroka spódnica zafalowała wdzięcznie, ukazując kawałek dość pełnego uda.

– Ależ oczywiście, nie krępuj się. – Podświadomie oblizał wargi, reagując na budzące się w nim podniecenie.

Kuchnia, po prostu marzenie każdej pani domu – z pełnym wyposażeniem, spełniająca najwyższe standardy. Ale w domu wampira? Kto by pomyślał?

– Gotujesz? – spytała zaskoczona.

– Nie – odpowiedział równie zaskoczony.
– To po co ci taka wypasiona kuchnia?
– Aaaa, o to chodzi? – załapał. – Nie, Kasiu, nie gotuję, ale za to jaką mam ekstra lodówkę. – Zaśmiał się i podszedłszy, pogłaskał wielkiego grata po srebrzystej powierzchni. – To jedyny sprzęt, z którego tu korzystam. A reszta... cóż, była i tyle. To nie jest moje mieszkanie. Ja je tylko podnajmuję.

– Aha. – Poczula się głupio, drażąc w jego osobistych sprawach, ale przecież niezamierzenie.

– Nie ma sprawy, nic się nie stało. Nie musisz czuć się nieswojo – powiedział, widząc, jak Kaśka oblewa się pąsem. – Wielu z nas nie posiada własnych nieruchomości, chociaż bez problemu moglibyśmy sobie na to pozwolić. Po prostu... tułacze życie mamy... we krwi. – Z uśmiechem wzruszył lekko ramionami.

– No tak, musicie się przemieszczać. Nie starzejecie się, to by was zdradziło.

– No właśnie. Ale coraz więcej z nas zaczyna prowadzić osiadły tryb życia.

– To znaczy?

– Nooo, budujemy domy, kupujemy apartamenty. Oczywiście w różnych miejscach, niekiedy nawet w różnych krajach, i przenosimy się co ileś lat, by powracać po jakimś czasie jako własny potomek lub krewny. Wiesz... w tym okresie okoliczna ludność zmienia się już na tyle, że nas nie rozpoznają.

– Wymierają – rzuciła, spoglądając mu prosto w oczy. – Nie musisz owijać w bawełnę. Ludzie wymierają i tyle.

– Nie tylko – odparł łagodnie. – Również wyprowadzają się, ale tak, w przeważającej większości wymierają. Po prostu staramy się nie wracać wcześniej jak co dwa, trzy pokolenia.

– No dobrze, ale ty żyjesz w apartamentowcu, masz bezpośrednich sąsiadów – zauważyła z lekkim niepokojem w głosie.

– To jest wyjątkowy blok – zaczął, jednocześnie wyprowadzając ją z kuchni w kierunku skórzanej kanapy. – Mogłbym tu mieszkać sto lat i nikt by się nawet nie zorientował, że się nie starzeję. Taka tu jest rotacja.

– O, to wygodne.

I znów siedziała na kanapie. A obok niej Bogusław, który trzymał w swych dłoniach jej rękę, delikatnie gładząc ją kciukiem od wewnętrznej strony. Podsunął bliżej niej paterę pełną owoców.

– Często się – zaproponował. – Mogłem zamówić coś z cateringu, ale sądzę, że nie sprawiłoby ci to przyjemności.

– Masz rację. – Posłała mu promienny uśmiech.

W Sławku zawyło wygłodniałe libido. Bywały momenty, w których rozkoszne grymasy jej twarzy czy drobne gesty apetycznego ciała sprawiały, że jego penis reagował nerwowymi podrygami. I, cholera, to właśnie był jeden z tych momentów. Na dodatek wyglądała urzekająco w tej zwiewnej sukience. Nie ma co udawać... – pomyślał, czując, że oczy zaczynają się wysrebrzać, a kły zanadto wysuwać. Nie ukryje, tego czym jest, ani rosnącego pożądanego. Zwłaszcza, że wydatne wybrzuszenie w spodniach mówiło samo za siebie, dorzucając rozpustne trzy grosze do wymownych oczu i porywczycy kłów. Oto cały ja – jęknął podłamany – Tego tylko trzeba, żeby znów się przeraziła i to na samym wstępie. Ucieknie. Jak nic ucieknie. Znowu – biadolił w duchu. Spanikowany spojrzał na Kaśkę, sprawdzając jej reakcję. Ale nie – nie było w niej śladu lęku czy choćby zniesmaczenia. Patrzyła ciekawie, jakby chciała lepiej poznać jego odmienność. Jedynie zarumieniła się lekko pod jego badawczym spojrzeniem. Może to dziwne, ale lubił, gdy się rumieniła – wyglądała wtedy tak niewinnie. Niemniej chcąc złagodzić jej

zmieszanie, Bogusław pochylał się i delikatnie musnął jej dłoń nabrzmiałymi pod naporem kłów ustami. Cóż, jeśli nawet obrał nieco pokrętną taktykę, bo rumieniec miast zniknąć nabrał tylko kolorków, to przecież przyświecały mu szlachetne intencje. I pomińmy tu kwestię wybrukowanego piekła, bo w tym momencie dużo bliżej było mu do raję. Zwłaszcza, że wciąż zarumieniona kobieta nie cofnęła dłoni. Zachęcony więc niemym przyzwoleniem wyznaczał pocałunkami szlak wzdłuż jej ręki. Delikatna tkanina rękawa nie stanowiła żadnej bariery dla zmysłowych doznań, dlatego nim się spostrzegła, Kaśka siedziała z odchylną głową i rozmarzonym wzrokiem, poddając się pieścizocie. On tymczasem podążał dalej – do ramienia i po obojczyku, aż w końcu pochylał się nad jej ustami. Przymknęła powieki w oczekiwaniu. Bogusław nie przegapił takiej okazji. Pocałował ją, nie napierając jednak za bardzo, by ostre kły nie narobiły zbędnego spustoszenia w jej – jak się obawiał – mimo wszystko płochym przyzwoleniu. Kaśka rozwarła usta i zapraszająco zaczęła pieścić go językiem. Nie trzeba mu było większej zachęty. Łapczywie porwał się na tę pieścizotę, oddając pocałunek. Przez jakiś czas bawili się swymi językami i miękkością ust, dostarczając pożywkę rosnącemu podnieceniu, aż ich ciała zaczęły ocierać się w zmysłowym tańcu.

– Przenieśmy się do sypialni – wymruczał jej do ucha.

Co tu dużo kryć – może i skórzana sofa była super wygodna do oglądania telewizji i popijania drinków, ale do tego? Zdecydowanie nie.

Kiwnęła głową, zgadzając się bez słów. Ledwo łapała oddech, nie mówiąc o braku odwagi, by wydobyć z siebie jakiegokolwiek słowo. Bogusław wstał i podając Kaśce rękę, podciągnął ją do góry, chwycił w ramiona i zaniósł do obszernej sypialni, w której kusiło wielkie łóże. Postawił ją u szczytu łóżka i powoli zaczął rozbierać. Oczy intensywnie błyszcząły mu srebrem, ale nie krył już tej nieodłącznej cechy swej istoty. Nawet jeśli wciąż obawiał się, że kobieta się rozmyśli, że w pewnym momencie po prostu stchórzy, i tak nie był w stanie temu zaradzić. Choćby poruszył niebo i ziemię, nie zmieni siebie. Od wampiryzmu nie było odwrotu. Koniec, kropka. Tak więc ona stała przed nim oniemiała i bezwolna, a on drżał, by nie rozmyśliła się nagle. Ale prawdę mówiąc, ta niepewność go nakręcała.

– Fuck! – zaklął pod nosem. Czuł, jak jego samokontrola wiotczeje, uwodzona zapachem jej podniecenia i słodkim zapachem... czekolady? Wtulił nos w jej obojczyk i zaciągnął się głęboko. Cholera, tak. Teraz był już pewien – to ten zapach. Pachniała czekoladą. Słodko, kusząco, smakowicie. Matko!

Zwiewna sukienka stała się teraz jego celem, ale już na samym starcie miał mocno pod górkę, bo niewielkich guziczków spinających przód było chyba z milion. Chryste! Chyba dla wyprowadzenia mnie z równowagi – biadolili w duchu. Okej – duch duchem, ale do celu zamierzał dotrzeć, nawet jeśli tych wrednych guziczków byłoby jeszcze więcej. I nie, nie da się wyprowadzić z równowagi. Nie, nie rozerwie sukienki. Cierpliwie, metodycznie będzie zdobywał każdy centymetr tego upragnionego ciała, nawet jeśli głód wypalał mu trzewia.

Jakiś milion guziczków później rozchylił wreszcie rozpiętą część sukienki ukazującą obiecujący dekolt i warknął z pożądania. Już nie było dla nich odwrotu. Czuł, że i Kaśka nie zamierza wycofać się z rozpoczętej właśnie gry. Powiódł po niej niecierpliwym spojrzeniem. Stała z lekko odchylną do tyłu głową, przymkniętymi powiekami i delikatnie rozwartymi ustami, czubkiem języka pieściząc górną wargę. Wydawała się nieomal rozplęwać w zmysłowym upojeniu. Jeśli jeszcze tliła się w nim jakakolwiek niepewność, to ten widok nie pozostawiał żadnych wątpliwości – kobieta była równie zdecydowana na kolejny krok jak on. Pospiesznie zsunął z niej rozpięty ciuszek i oniemiał.

Kiedy sukienka opadła, Kaśka jakby wróciła do rzeczywistości. Stała więc teraz przed nim w czarnej, eleganckiej bieliźnie i czarnych, samonośnych pończochach, i szeroko otwartymi

oczami patrzyła na niego prowokująco.

Sławek trwał przez chwilę w bezruchu oniemiały, wodząc odkrywczym spojrzeniem po jej seksownym ciele. Była tak piekielnie nęcąca z tą burzą rudych loków i doskonale porcelanową skórą, i z tymi lekkimi krągłościami we wszystkich tych miejscach, w których krągłości nadawały zmysłowości kobiecemu ciału, że przez moment zapomniał o oddychaniu. Była idealna. Dokładnie taka, jaką ją sobie wyobrażał. O jakiej marzył.

– Jezusie – jęknął. Tego się nie spodziewał.

Zawsze tak prostolinijna, delikatna, niemal wycofana, zdawała się robić wszystko, by być po prostu kobietą i tyle, a tu nagle to? Kuscielski stanik typu bardotka i stringi, a na dokładkę pończochy z szerokim pasem seksownej koronki? Dziewczyna ewidentnie przygotowała się na tę randkę. Nawet czarne szpilki świadczyły o tym, że ma pojęcie, jak zakusić faceta na śmierć. Czy w łóżku będzie tak ostra, jak się wydaje? Daj Boże, żeby tak. W końcu, wciąż ogarniając ją boleśnie pożądlivym spojrzeniem, dłonią przesunął wzdłuż jej ręki od nadgarstka aż po szyję i wzdłuż szczęki, by zatrzymać się na dolnej wardze. Zadrżała i lekko rozwarła usta, zębami chwytając jego palec wskazujący. Piekielnie zmysłowe. Już dłużej nie mógł się hamować. Przywarł do niej, zagarniając jej usta w zachłannym pocałunku. Powitała go chętnie, dysząca i równie żarliwa. Każdy milimetr jej ciała domagał się uwagi, jej piersi wołały o pieszczotę, jej łono pulsowało i emanowało zapachem, który go przywoływał.

Wewnętrzna bestia odpowiedziała błyskawicznie na tę prowokację, wysuwając kły. Ale Sławek nie pozwolił, by osiągnęły pełną długość – nie teraz. Potrzebował sprawnych, nieskrępowanych ostrymi kłami ust. Za to oczy... oczy mogły swobodnie reagować na jego podniecenie, toteż ich srebrna poświata rozblęsnęła w półmroku sypialnianych ścian.

Posadził Kaśkę na krawędzi łóżka, a ona opadła na nie plecami, wspierając się łokciami na satynowej pościeli i prowokująco spoglądając mu w oczy, gdy odsunął się, by ją podziwiać. Przyglądał się. Lekko rozchylone nogi, stopy w wysokich szpilkach oparte na podłodze, rozpuszczone włosy swobodnie opadające, muskające pościel za jej plecami. Na Jowisza! W tej pozycji była piorunsko kusząca. Chwycił ją za kolana i rozsunął jej uda. Jęknął, gdy dostrzegł plamkę wilgoci na skąpym skrawku tkaniny okrywającym jej pleć. Była absolutnie gotowa.

Boże, ile razy marzył o tej chwili? Ile razy nie miał nawet odwagi o niej marzyć? A teraz, ta zniewalająca kobieta leżała w jego sypialni, rozkładając dla niego nogi, by mu się oddać. Opadł na kolana i energicznym ruchem zerwał z niej frywolne stringi. To co ujrzał, zaparło mu dech w piersi. Znowu. Jasny gwint! – jęknął, podświadomie bojąc się, że za chwilę zabraknie mu wykrzykników. Ale co tam wykrzykniki, skoro ścielący się przed nim widok ścinał go z nóg?

Była całkowicie wydepilowana. Kolejna rzecz, której się po niej nie spodziewał. Jej podniecenie na absolutnie obnażonym łonie błyszczało wilgocią. Przez chwilę karmił się tym widokiem i upajał unoszącym się w powietrzu zapachem będącym czystą esencją jej pożądania, a potem pochylał głowę i zanurzył twarz między jej rozwartymi udami. Jego język bardzo szybko odnalazł drogę do kobiecej wrażliwości. Wsuwał się i wysuwał, lizał, ssał, podgryzał, a ona pojękując z rozkoszy, unosiła biodra, by wyjść naprzeciw jego pieszczotom. Po chwili wiedział już, że to jej nie wystarcza. Jemu też nie wystarczało. Okrążył językiem łechtaczkę i zassał mocno, jednocześnie rozsunął delikatne fałdki i głęboko wsunął palec. Opadła na plecy z jękiem i szarpnęła się, unosząc biodra jeszcze wyżej, by naprzeć na jego rękę. Wsłuchiwał się w jej ciche jęki, rozkoszując się wyszeptanym brzmieniem własnego imienia, które niby westchnienie, wydostawało się z jej ust.

– Bogusław. Och. Tak. Dobrze. Tak. Jeszcze.

O rany! Kiedy ostatni raz było jej tak piekielnie dobrze? Nie pamiętała. Nie pamiętała, kiedy dotyk mężczyzny dawał jej rozkosz. A ten z pewnością był czystą rozkoszą.

Teraz palce współpracowały z językiem i gdy podgryzał i ssał jej lechtaczkę, jej pochwę wypełniały już dwa palce, a nawet trzy. Kaśka leżała na chłodnej pościeli, jej nogi mocno zapierały się o podłogę, a ona z zaciśniętymi powiekami płynęła na fali pożądania, wijąc się pod tym zniewalającym dotykiem. W porywie podniecenia uniosła ręce ponad głowę, by po chwili zacząć wplatać palce w swoje rozwichrzone włosy, pobudzając do gwałtownych szarpnięć jego i tak już obolałego z pożądania penisa. Cóż z tego, skoro wciąż zniewolony spodniami, Bogusław nie mógł pozwolić sobie na zaspokojenie własnych pragnień? Zresztą liczyła się ona i jej zaspokojenie. Jego kolej nadejdzie... niedługo... za chwilę.

Kaśka coraz głośniejsz pojękiwała i dyszała, a przyspieszony oddech i szaleńcze bicie pobudzonego serca zwiastowały jedno – była na krawędzi spełnienia. Bogusław przyspieszył ruchy ręki i mocniej zaczął ssać i lizać. Jej orgazm wybuchł intensywnymi skurczami. Jęki rozkoszy i szybkie, płytkie oddechy rozeszły się po pokoju.

– Och! Och! Jezu! Och! – wykrzykiwała, a konwulsyjne drgawki ogarnęły całe jej ciało.

Bogusław spijał jej wyzwolenie i upajał się krzykami, gdy nagle jej paznokcie wbiły się w jego ramiona, by trzymać mocno wręcz żarliwie. Uniósł głowę i spoglądając na nią, oblizal wilgotne usta. Ona też na niego spojrzała. Wzrok miała mglisty, orgazm nadal w niej pulsował, teraz pogłębiony lubieżnym gestem jego języka. W bezwiednej reakcji zaskakująco sprawnie przerzuciła jedną nogę ponad jego głowę i krzyżując uda zacisnęła je mocno w ekstatycznym uniesieniu, szczelnie zamykając i tak już pioruńsko ciasne wejście. Dwa palce nadal tkwiły w niej, a więc teraz nie był w stanie ich uwolnić. Musi poczekać, aż fala orgazmu przeminie, uwalniając jednocześnie jego palce od zmysłowego uścisku. Na razie rozkoszował się pulsującym w niej żarem. Jeszcze raz przeciągnął delikatnie językiem, smakując skrawek wrażliwego, wydepilowanego łona, po czym oparł czoło tuż nad nim, delektując się chwilą.

Jak długo tak trwali? Nieważne. W końcu jednak Kaśka rozluźniła się, a erotyczne napięcie przerodziło się w błogi bezwład. Westchnęła, pozwalając zwolnić oddechowi. Leżała z rękoma rozrzuconymi szeroko na pościeli, a jej kasztanowe pukle rozpościerały się między nimi.

– To dopiero początek, moja droga – wyszeptał, powoli wysuwając palce i unosząc się znad niej.

– Mam taką nadzieję – prowokowała z bałamutnym wyrazem twarzy.

O dobry Jezu – jęknęła, gdy jej mózg uwolnił się z seksualnego otępienia, pomału formułując jaśniejsze myśli. Ten diabelnie zniewalający akt... to co ten mężczyzna potrafi... łał – brakowało jej słów. Kiedy ostatni raz była tak zaspokojona? Nie pytajcie. To naprawdę zaskakujące, jak długo kobieta potrafi przetrwać bez dobrego seksu. Cholera! W ogóle bez seksu. Żenada. Jak mogła obawiać się dzisiejszego wieczoru? Stara wariatka – zachichotała w duchu. Przygotowała się na tę randkę, a mimo wszystko jadąc tu, obawa nie opuszczała jej ani przez moment. Wiedziała, czym się to skończy. Skończy? Boooże! Zacznie, będzie trwało, a w końcu faktycznie skończy... tylko kiedy. Taką miała nadzieję, mimo całego lęku, który gdzieś podskórnie drażył jej wnętrze. I nie zawiodła się. Ten facet z pewnością wie, do czego natura go stworzyła. A to dopiero gra wstępna – znów zachichotała pełna nadziei na dalszy ciąg. Uniosła się lekko na łokciach i spojrzała na niego zalotnie.

Cholera – Bogusław przeklął, dumając. Nie znał tej kobiety. Gdzie się podziała zalękniona, zahukana, „porzucona żona”, która obawia się wpuścić kogoś nowego do swojego życia? Ale niech go szlag, jeśli ta nowa Kaśka nie podobała mu się do szaleństwa. Może tak długo była zaniedbywana, że teraz nadrabia stracony czas? Może jest taka tylko w łóżku? – główkował, zachłystując się odkrytą w niej pasją. Ale z drugiej strony, może to nie bezpośrednio w niej tkwił potencjał? Może pod wpływem kompletnie przewrotnej sytuacji w jaką ją wciągnął, kobieta zareagowała tak żywiołowo? Mniejsza z tym. Ważne, że teraz mogli cieszyć się jej

nieokielznanym temperamentem.

Spoglądając jej prosto w oczy, zaczął uwalniać się z ubrania, szybkim ruchem ściągnął przez głowę sweter. Podziwiać, czy pomóc? – deliberowała oczarowana Kaśka, delektując się striptizem. A było na co popatrzeć – muskularne, mistrzowsko wyrzeźbione ciało, wypieprzone włosy nadające dzikości, rozpalona pożądaniami twarz. A przecież tylko zdjął sweter, co więc czekało na nią dalej? Podniosła się i siedząc na krawędzi łóżka, zaczęła rozpinąć mu spodnie. Dżinsy opadły na podłogę, w ślad za nimi podążyły bokserki i wreszcie wolny, niebywale okazały penis zaczął prężyć się dumnie, zdradzając jego intencje.

– O matko – wyszeptała, widząc jak dorodny fallus nabiera tężyzny.

To nie mogła być spuścizna genów! Absolutnie nie! Co prawda do tej pory jedyny penis, z jakim miała do czynienia należał do jej męża, ale była na tyle dojrzałą kobietą, by wiedzieć, że coś tak niesamowicie fantastycznego musiało być tworem jakiejś nadnaturalnej mocy. Wyraźnie jednak jego przeznaczenie zadrwiło sobie z natury, sprawiając, że mężczyzna obdarzony tak imponującym przyrodzeniem, nie posiadał zdolności prokreacyjnych. Jakkolwiek w tym momencie zamierzała sprawić, by jego fizyczna moc nie poszła na marne. Absolutnie – zachichotała frywolna podświadomość.

Bogusław spojrział na skonsternowaną Kaśkę i uśmiechnął się lekko speszony.

– To niestety jeden ze skutków stania się tym, czym jestem – odpowiedział na malujące się na jej twarzy rozterki.

– Nie... no nie – jąkała się, nie wiedząc, co dokładnie chce powiedzieć. – Dlaczego „niestety”? – Rubaszny uśmieszek przemknął jej przez usta. – Ja nie narzekam... po prostu... podziwiam. Dlatego te trzy palce? – kombinowała wciąż zauroczona widokiem, przypominając sobie, jak chwilę temu pieścił jej kobiecość.

– Podziwiasz? Hmm... – Z enigmatycznym uśmieszkiem pochylił się nad łóżkiem i odrzucił kołdrę. – Chodź – zaproponował, kładąc się, a jego niski, zmysłowy głos sprawił, że znów poczuła mrowienie pożądania.

Kaśka zrzuciła szpilki i w niekompletnej bieliźnie i pończochach położyła się obok niego. Nie potrafiła jednak całkowicie się odprężyć. W tej bezpośredniej bliskości i jednoznacznej sytuacji, pamiętając jego niedawne wyjaśnienia, pewna niepokojąca myśl zaprzętała jej głowę.

– Tylko mnie nie gryź – wyszeptała błagalnym głosem, gdy zaczął zmysłowo gładzić jej ramię. – Boję się... bólu... tego... sama nie wiem. Po prostu nie gryź mnie, dobrze?

– Dobrze – odpowiedział zdecydowanie, choć nie potrafił stłumić kryjącego się w głosie rozczarowania. – Ale pewne mechanizmy działają instynktownie... jeśli wiesz, co mam na myśli. Seks, podniecenie... to pobudza w nas pragnienie krwi. Nasze kły samoistnie się wysuwają, nic na to nie poradzę.

– Tak, rozumiem. Będę musiała się z tym oswoić – dodała po chwili.

Wiedziała już, że jego oczy i kły reagują na podniecenie. Wiedziała, że nie może nad nimi zapanować, choćby bardzo się starał. Jeśli chciała zbliżenia z tym fascynującym mężczyzną, musiała to zaakceptować. Jakże często bohaterki jej ulubionych książek przeżywały ten kuszący moment, opisując go jako niewyobrażalnie rozkoszne wręcz transcendentalne doznanie. Dobra, ale co innego czytać, a co innego samej doświadczać. Booóó! W życiu nie przypuszczała... w swych najśmielszych fantazjach nie podejrzewała, że kiedykolwiek zetknie się z takim problemem. Tak – problemem. Może i w książkach to była rozkosz, ale dla niej w tym momencie był to problem i to spory. Problem, z którym niestety będzie musiała uporać się samotnie. W wielu sytuacjach Bogusław byłby dla niej wsparciem, opoką, która nigdy nie zawiedzie, ale w tej jednej sytuacji, to jego natura była tym, z czym Kaśka musiała sobie dać radę. Sama.

Niespokojne myśli dumnie paradowały po Kasinej świadomości, roszcząc sobie prawo do

jej całkowitej uwagi, ale Sławek miał wobec niej inne plany na dalszy ciąg wieczoru – żadnych dręczących myśli. Nieokiełznany seks do utraty tchu, aż do świtu – to był jego plan na nadchodzące godziny. Odrzucił kołdrę i pieścił ją namiętnie, gorącym językiem sunąc po dekolcie. W końcu uwolnił piersi z krępującego je stanika. Nie bawił się w rozpinanie zmysłnej zapinki – znów jedno zdecydowane szarpnięcie wystarczyło, by pozbyć się okrycia. Cholerka, będzie wracać do domu bez bielizny pod zwiewną sukienką. Jakie to perwersyjne – zaśmiała się w duchu.

Teraz leżała odziana jedynie w seksowne pończochy, które diabelnie go nakręcały. Jej piersi były cudowne – delikatne i jedwabiście gładkie. Niewielkie brodawki przeżyły się w oczekiwaniu na pieszczoty. Gdy zassał sterczący sutek, iskry rozkoszy przeszły ciało kobiety. Namiętnie drażnił językiem i podgryzał jedną pierś, a drugą pieścił zachłanną dłonią. Kiedy jednak jego palce niecierpliwie przebiegły wzdłuż jej ciała, by znów zanurzyć się i pieścić ją rytmicznie, nie pozostała mu dłużna. Podniosła się i przewracając go na plecy uklękła przy jego boku na szeroko rozsuniętych kolanach. Ujęła gorący, naprężony członek w dłoń. Bogusław jęknął pobudzony, gdy ciepła dłoń zaczęła zdecydowanie przesuwać się wzdłuż jego męskości. Przymknął powieki i oddał się jej we władanie.

Delikatny penis z dużą, jedwabistą główką tak cholernie, erotycznie pachniał. Pieściła go, a on reagował na jej dotyk rosnąc, pulsując, prężąc się. Sławek odrzucił głowę do tyłu, a jego oddech przyspieszył. Lepka kropla wypłynęła na nabrzmiałą główkę – zdecydowanie Kaśka zmierzała w dobrym kierunku. Otarła kroplę kciukiem, a potem, utkwivszy wzrok w srebrzystych oczach kochanka, zmysłowo wsunęła palec do rozwartych ust i wysuwając język, zlizwała tę oznakę jego podniecenia. Głośno jęknął, przyglądając się tej igraszce. Jasny gwint, ta kobieta naprawdę gorąco pogrywa. Nim sklecona w przebłyskach przytomności myśl opuściła jego świadomość, ona znów skupiła się na jego penisie, przesuając dłonią w górę i w dół, jednocześnie drugą ręką pieszcząc nabrzmiałe, twarde jądra. Był niesamowicie pobudzony. Poddał się więc temu pobudzeniu, pojękując i dysząc. Jednocześnie podsunął palce pod jej wejście, a ona zaczęła miarowo opuszczać się i unosić, ujeżdżając jego palce. Uwielbiał czuć to wilgotne ciepło, tę ciasną, gorącą kobiecość, otwierającą się na niego przy każdym sugestywnym ruchu jej bioder.

Kaśka czuła, że tą pieszczotą i własnym pobudzeniem kwitnącym w jej dłoniach, znów błyskawicznie doprowadzi ją na szczyt, ale on niespodziewanie przerwał, pozostawiając ją oszołomioną i niemal udręczoną.

– Nie – jęknęła.

Zaśmiał się filuternie. Droczył się z nią. Jego nozdrza zafalowały, gdy na swoich palcach poczuł intensywny zapach kobiecego pożądania. Taaak – z pewnością była to obietnica ognistego seksu.

Zręcznym ruchem ułożył ją pod sobą, a potem spojrzął skrzącym się wzrokiem w na wpół przymknięte oczy kochanki i delikatnie się opuszcił. Rozsunęła szeroko uda, a on wszedł w nią powolnym, acz zdecydowanym pchnięciem. Jęknęła wypełniona twardym, sztywnym gorącym – jeszcze nigdy nic tak zachwycającego nie pieściło jej kobiecości. Wypełniał ją całą, a wspaniałe męskie ciało rytmicznie pieściło ją swym dotykiem – nie czuła jego ciężaru tylko zmysłowy dotyk. Oplotła go ramionami i pieściła, głaszcząc i delikatnie drażniąc jego skórę paznokciami. Całowała ramiona, lizła szyję, ssała małżowinę. Gdy zagłębiła język w jego ucho wydał z siebie jęk rozkoszy. Nie pozostał jej dłużny – też pieścił ją pocałunkami, lizął i podgryzał delikatnie wysuniętymi kłami. Nie zlekła się. Upajała się niecodzienną pieszczotą, wiedząc, że nie może walczyć z jego naturą. Taki był. Takiego go pragnęła.

Pieszczoty i rytmiczna penetracja, znów zaczęły doprowadzać Kaśkę do krawędzi

rozkoszy, ale on znów nie pozwolił, by jej sięgnęła. Pewnym ruchem przekreślił się tak, że nagle był pod nią, a ona leżała na nim. Rękami zaciśniętymi na jej pośladkach zaczął nadawać tempo ich ruchom. Zdecydowanie wchodził w nią i wychodził coraz szybciej i szybciej. Kaśka czuła, jak jej łono płonie wypełnione po brzegi tym cudownym mężczyzną. Coraz bardziej dziko, niemal zwierzęco zmięli ku zaspokojeniu. Jak długo jeszcze będzie dręczył ją tą rozkoszą? W nieskończoność – dyszała ekstatycznie rozchochocona podświadomość.

Szybki seks małżeński, który do tej pory zdawał się całkowicie zaspakajać jej intymne potrzeby, był cholernym nieporozumieniem. Teraz to wiedziała. Czuła to każdym skrawkiem siebie. Trzeba było dzikiego seksu z wampirem, by poznała smak prawdziwej rozkoszy. Pragnęła spełnienia, bardzo, a jednocześnie marzyła, by to szalone uniesienie trwało, i trwało, i trwało. Jak to pogodzić? Ambiwalencja tęsknot – niesamowite przeżycie.

Bogusław, jakby wyczuwając jej rozterki, zwolnił i skupiwszy się na namiętnych pocałunkach, wysunął się spod niej. Kaśka opadła na prześcieradło i teraz leżała na brzuchu, ocierając się o pościel gorącym z niezaspokojenia łonem. Na szczęście on nie pozostawił jej nawet chwili na protesty. Przywarł do jej pleców, odgarnął rudą burzę loków i zaczął zmysłowo całować – najpierw ramiona, potem kark i niżej, coraz niżej. Obsypywał pocałunkami, lizał i ssał doskonale delikatne ciało, aż dotarł do tych smakowitych pośladków. Nieco speszona, Kaśka leżała niemal w bezruchu, dysząc i pojękując, a on pieścił je zębami i językiem. Delikatnie przeciągnął kciukiem wzdłuż rowka. Jęknęła głośniej i wygięła się z rozkoszy, ale nie chciała pozwolić na więcej.

– Nie – szepnęła, obawiając się, że Bogusław może mieć ochotę na seks analny. Nie była na to gotowa. Zdecydowanie nie. Nie знаła tego, nigdy wcześniej nie pozwoliła sobie, ani Jackowi na takie gierki. Teraz też nie zamierzała pozwolić.

– Ciii – wyszeptał jej wprost do ucha, przykrywając ją swoim ciałem. – Nie zrobię nic, na co się nie zgodzisz.

Mówiąc to, wsunął pod nią rękę i szczerze przywarł do Kaśki, a jego palce bezbłędnie odnalazły jej wnętrze. Łechtaczkę pobudzał kciuk kochanka, dwa palce pieściły spragnioną kobiecość. Ruchy bioder sprawiały, że jego wilgotny, sztywny członek ślizgał się teraz wzdłuż jej rowka zagłębiony między pośladkami. Wielkie nieba! Niech ją piekło pochłonie, jeśli to nie nakrecało jej podniecenia. Tak długo, jak nie będzie próbował zagłębić się w jej tyłek, ona nie ma nic naprzeciw, żeby pieścił siebie i ją w ten sposób. A więc delikatna pościel muskała jej piersi, wprawna dłoń pieściła wnętrze i pobudzała łechtaczkę, a gorący, solidny penis pobudzał ją od tyłu. Do owych impresji dołączyła zmysłowa delikatność ocierającego się o nią męskiego ciała i Kaśka była na granicy. Jej jęki przybrały na sile, oddech przyspieszył, stał się urywany i krótki, pierś zaczęła mocniej falować, a całe ciało spinało się coraz bardziej, dążąc do zaspokojenia. Gdy już była pewna, że sekundy dzielą ją od kolejnego orgazmu, Sławek znów przerwał pieszczoty i błyskawicznym ruchem uniósł się, klękając za Kaśką. Przyciągnął do siebie jej biodra i wszedł w nią od tyłu pewnie i zdecydowanie. Zaskoczona zareagowała nagłym skurczem, zaciskając się na nim szczerze. Była gorąca, spragniona i absolutnie na niego gotowa. Momentalnie złapała jego rytm, jednocześnie zaciskając się mocniej, za każdym razem, gdy się w niej zagłębiał. Jej mięśnie fundowały mu dodatkową, nieznaną wcześniej pieszczotę. Tysiąc lat na karku, a żadna kobieta wcześniej nie pieściła go kurcząc i rozkurczając mięśnie pochwy podczas stosunku. Niewiarygodne doznanie. Za każdym razem, gdy jego główka napierała na jej wejście, ona zaciskała się, czyniąc pieszczotę intensywniejszą.

Hormony wrzały, ciała ociekały potem, jęki rozkoszy narastały. Bogusław zwiększył tempo, trzymając mocno jej biodra i uderzając w nią z impetem, zmięli do zaspokojenia. Jej pośladki napierały na niego, a on coraz bardziej nabierał tężyzny. Ich jęki się wzmogły, oddechy

urywały, a serca galopowały w szalonym rytmie. Kaśka czuła, jak twardnieje, rośnie, sztywnieje gotowy, by eksplodować w jej wnętrzu. Gdy on, pewnie trzymając jej biodra, wypełniał ją rytmicznie, ona zaczęła stymulować siebie, drażniąc łechtaczkę własnymi palcami. To nakręciło jego podniecenie. Ryk uwolnienia wydostał się z jego gardła, gorący strumień wybuchł w jej wnętrzu, i wypełniły ją silne, niemal zwierzęce pchnięcia pulsującego penisa. Intensywne spełnienie kochanka sprawiło, że zareagowała równie silnym, nieokiełznanym orgazmem. Drżała i napierała na niego pośladkami, jakby chciała pochłonąć go całego i na zawsze. Dyszała, jęczała, szeptała jego imię. Gigantyczny orgazm trwał i trwał, nie chcąc jej uwolnić. Rozpalona pochwa płonęła żarem ich obojga, łechtaczka świerbiła wciąż tłącą się żądzą, a intensywny, słodkawy zapach spermy zaczął ją znów nakręcać. Niekończący się orgazm pochłaniał Kaśkę, dręczył, zniewalał, pozostawiając wciąż niezaspokojoną.

Sławek tkwił w niej gorący i cholernie zaspokojony, jednak ona zdawała się wciąż nie mieć dość. Pochylił się więc, podsuwając pod nią dłoń i wypełniając ją kolejnymi pchnięciami zaczął pieścić nabrzmiałą łechtaczkę. Serce Kaśki galopowało w szalonym pędzie, a poruszające się rytmicznie ciało błagało o kolejne spełnienie. Była tak spięta, że zdawało się, iż za moment rozpadnie się na miliony kawałków. I rozpadła się, wyzwolona z dręczącego orgazmu, który eksplodował nowym, silniejszym, przesywającym. Krzycząc słowa rozkoszy i zaspokojenia, opadła kompletnie wyczerpana na zroszone potem prześcieradło i poddając się delikatnym drgawkom ekstazy, uległa bezwładowi. Spełnienie przyniosło wszechogarniającą ulgę, a łzy szczęścia spłynęły jej po policzkach.

Bogusław opadł obok Kaśki, podczas gdy jego penis nadal szczelnie ją wypełniał. Gorący, czuły pocałunek, którym ją obdarzył świadczył, że i on był usatysfakcjonowany. Podwójnie usatysfakcjonowany. Zaspokoić taką kobietę? No, no, nie lada wyczyn – łechtał własne ego.

Niesamowity seks? Mało powiedziane – najlepszy, jaki kiedykolwiek zdarzyło się Kaśce doświadczać. Była w tym akcie pasja, namiętność i intensywność, a ona dała się nieść na fali tych doznań bez żadnych zahamowań. Ktoś powie, że mając trzydzieści siedem lat, powinna wiedzieć o seksie wszystko. Nic bardziej błędnego. Wprawdzie Jacek był jej jedynym mężczyzną, nie miała więc wielkiej skali porównawczej – no dobra, żadnej – ale mimo wszystko nie była nowicjuską. Przecież na początku małżeństwa trudno im się było od siebie oderwać, kochali się więc często i do utraty tchu. Co prawda przez ostatnich kilka lat jej erotyczna świadomość oscylowała wokół piętnastominutowych „obowiązków małżeńskich”, którymi od czasu do czasu zaszczycił ją Jacek, ale to?! To był seks w najczystszej postaci. Namiętność, żądza, pasja – emocje, o których dawno już zapomniała. Seks z Bogusławem był jak lot promem kosmicznym – niewiarygodny, pobudzający i wynoszący w magiczny wymiar. Kaśka tak zatraciła się w tym szalonym miłosnym akcie, że wszystkie galaktyki wszechświata przemieszczały się wokół niej, a ona niczym nikła drobina pozwalała nieść się na falach niedoświadczanych wcześniej wrażeń.

Gdy przycichły oddechy i odprężyły się ciała, Bogusław nie miał ochoty na sen. Leżeli wtuleni w siebie, a on obejmował Kaśkę ramieniem, bawiąc się jej lokami. Wymarzona scena, po wymarzonym seksie. Ale nie można powiedzieć, by czuł się komfortowo. Już wcześniej inny głód eksplodował w nim równie intensywnie jak pożądanie, a teraz dręczył go, skupiając na sobie wszystkie myśli. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek znalazł się w takiej sytuacji. Nie mógł się posilić. Zrezygnować z seksu po pożywieniu, okej, ostatecznie do zaakceptowania, ale odwrotnie? Katorga, męka, udręczenie... – mógłby wymienić wszystkie synonimy świata, określając swój obecny stan. Na dodatek czuł gorącą, pulsującą krew pod swoimi dłońmi, słyszał jej szum, a jego wyostrzony węch wyczuwał intensywny, postseksualny zapach. Cholera, cierpiał katusze. Ale przecież prosiła „tylko mnie nie gryź”. Czy zdawała sobie sprawę, o co prosi? Czym

będzie dla niego dotrzymanie tej obietnicy? Z pewnością nie. Być może kiedyś zrozumie, jak wiele go to kosztowało. Być może kiedyś... Teraz jednak musiał skupić się na czymkolwiek innym aniżeli głód krwi, jeśli nie chciał wpakować się w jeszcze większe gówno niż ostatnio. Tym razem z pewnością straciłby Kaśkę na zawsze.

Wciąż wysunięte kły domagały się pożywienia, dziąsła bolały, żołądek dręczył głębokim ssaniem, kobieta w jego ramionach oddychała miarowo, przysypiając, a jego głód nie malał. Fuck! Fuck! Fuck! Nie mógł sobie pozwolić na zaspokojenie tego głodu. Nie mógł się zapomnieć, jeśli chciał tej kobiety. A że chciał, nie było żadnej wątpliwości. Zwłaszcza teraz. Pożywił się przed jej przyjściem solidnie i to musi mu wystarczyć. Musi! – nakazał sobie ostro. Nie ma innego wyjścia. Żeby nie dręczyć się dłużej, z ogromnym wysiłkiem pchnął swoje myśli w innym kierunku. Katarzyna – kobieta w jego ramionach. To na niej się skupi. Zwłaszcza, że w tym momencie była nie lada zagadką. Nie chciał czekać ani chwili dłużej, by lepiej ją poznać.

– Znam cię od niedawna, ale po dzisiejszej nocy... jakby... odkrywam cię na nowo.

– I jak? Przerażony? Czy może być? – zachichotała.

– Kochanie, zdecydowanie „może być”. Jesteś niesamowita. – Zawiesił głos, by po chwili dodać: – I wiesz co? Facet, który zrezygnował z takiej kobiety, był po prostu głupcem.

– Głupiec, który ze mnie zrezygnował, nie znał „takiej kobiety”.

– Nie rozumiem.

– Widzisz. Kiedy mąż „zaharowuje” się po godzinach, nierzadko zarywając nocki, pozostawia żonie tylko dwa wyjścia: albo znaleźć sobie kochankę, albo uciec w świat fikcji. Ja na długie, samotne noce wybrałam fikcję. Kochanek w moim przypadku zdawał się nieosiągalny. – Zaśmiała się delikatnie. – A fikcja literacka, którą wybrałam... cóż? Poza serwowaniem czytelnikom pięknych, nierealnych mężczyzn, serwuje też wyjątkowo obrazowe sceny erotyczne. A ja... widocznie szybko się uczę... – Znowu zachichotała, wtulając się szczerzej w jego ramię.

– Czyli znów powinienem podziękować twojemu mężowi. Gość zostanie chyba moim idolem. – Bogusław pogładził jej nagie ramię. – Najpierw dobrowolnie wypuścił cię z rąk, a teraz jeszcze okazuje się, że dzięki niemu jesteś nieokiełznana w łóżku. Ale... całkowita depilacja? To chyba nie jest...

– Nieee – roześmiała się jowialnie, wchodząc mu w słowo. – To mój własny wkład w moją edukację seksualną. Poza tym, jak mogłabym się nie depilować, nosząc stringi? Wyobrażasz sobie, jak by to wyglądało, gdyby dookoła śladowego skrawka materiału kłębiło się futro?

– No nie. – Też się roześmiał. – To faktycznie byłby fatalny widok. Ale stringi też mnie zaskoczyły. Sądziłem, że to raczej domena... hm... profesjonalistek, a nie...

– Dojrzałych gospodyń domowych? – dokończyła, sądząc, że trudno mu będzie ogłędnie wyrazić tę jakże oczywistą prawdę. Może nie postrzegał jej jako dojrzałą gospodynię domową, ale powiedzmy sobie prawdę: była nią i tyle. – Uwielbiam stringi – stwierdziła z emfazą. – Dają swobodę i są takie seksowne. – Znowu zachichotała. – A jeśli mnie to jakoś łączy z... jak to mówisz... profesjonalistkami? Ja z tym nie mam problemu, a ty masz?

– Nie. Absolutnie nie. – Wciąż gładził jej ramię, jednocześnie bawiąc się rudym puklem.

– To dobrze, bo wiesz, że era bawełnianych galotów, w mojej świadomości przeminęła bezpowrotnie. – Roześmiali się serdecznie, a on jeszcze bardziej zagarnął ją w swoje ramiona.

Leżeli otuleni wytworną pościelą, rozkoszując się chwilą. Bogusław to wędrował dłonią po krągłym ciałku kochanki, to znów bawił się jej włosami, które opadając swobodnie, muskały jego klatkę piersiową, aż w końcu zatrzymał się na udzie i delikatnie gładził je palcami. Kaśka w połowie wsparta na jego szerokim torsie czuła się drobna i krucha w ramionach tego silnego

mężczyzny. Wszystko co do tej pory wpędzało ją w kompleksy nieatrakcyjnego grubasa, zdawało się ginać na tle jego atletycznej sylwetki.

Ciepła, lepka substancja powolnie spływała po wewnętrznej stronie jej uda, będąc jawnym dowodem przeżytej przed chwilą rozkoszy. Kaśka uśmiechnęła się świadoma zmysłowości tego doznania.

– Wiesz? – zagadnęła, przerywając chwilę ciszy. – Zawsze, gdy czytam te współczesne książki, ich bohaterki, z reguły wojowniczeki, uprawiają seks albo między walkami, albo tuż przed walką, po czym ubierają się i ruszają znowu kopać tyłki wrogom. Zastanawiałam się, jak to się dzieje, że nie mają problemu ze ściekającą spermą – dokończyła niepewnie.

Bogusław parsknął gromkim śmiechem. Jej słowa zaskoczyły go tym bardziej, że kobieta zdawała się być absolutnie poważna i rozpatrywała problem w kategoriach realizmu.

– Nie, no poważnie – Kaśka nie dawała za wygraną. – No powiedz, w czym tkwi problem? Czy wojowniczeki w jakiś magiczny sposób absorbują spermę, czy co? Ja mam po chwili większość spermy na udach.

– Tak. Absorpcja spermy to zdecydowanie cecha wojownicza – odpowiedział, wciąż z trudem zachowując powagę.

– We mnie nie ma wojowniczości – stwierdziła z pozornie żalną miną.

– Wiem i za to właśnie cię kocham, skrzacie.

Słowa wyrwały mu się, jeszcze zanim zdążył się nad nimi zastanowić, a potem nastąpiła głucha cisza.

„Właśnie za to cię kocham”. ... cię kocham? Czy on mówił poważnie? To nie może być tak. Nie, cholera! Nie wiem... co dalej? Okej, seks to jedno. Dobra, szalony, fantastyczny, niepowtarzalny, et cetera seks, ale żeby od razu „kocham cię”? Jezusie, chyba się zapędził i pewnie teraz kombinuje, jak się z tego wyplątać.

„Kocham cię skrzacie”? Odbiło mi? Dobra, jestem zakochany, jestem zafascynowany, pragnę tej kobiety jak niczego innego na świecie, ale żeby tak od razu z grubej rury? Cholera jasna! Jeszcze ją to przerazi i ucieknie. Dopiero co pozbyła się ze swojego życia jednego palanta, może nie chce pakować się w niewiadome. Fuck! Trzeba tooo... naprawić? Czy brnąć dalej w szczerłość? I „skrzacie”?! Jak mogłem nazwać ją skrzatem? To nie jest Jagienka. Cholera minęło tyle lat, a przyzwyczajenie... Nie, nie może być „skrzatem”. Nigdy więcej.

Przez ich głowy nieskładne myśli gnały w bezkresną przestrzeń niczym kolej transsyberyjska, ale żadne nie odważyło się nawiązać do tych kilku słów. Chwilę jeszcze leżeli w milczeniu, a ich ciała splecione w luźnym uścisku emanowały gorącem. W końcu Kaśka uniosła się lekko na łokciu i spojrzała Bogusławowi w twarz.

– Muszę się trochę odświeżyć, jeśli pozwolisz – oznajmiła, jakby słowa, które wywołały w ich umysłach tak wielkie zamieszanie, nigdy nie padły.

– Oczywiście. Weź prysznic, czy cokolwiek na co masz ochotę, a ja w tym czasie przygotuję ci małą przekąskę. – W jego głosie słychać było niepewność.

Kaśka wygramoliła się spod satynowej pościeli i cicho, niemal na paluszkach, przeszła do łazienki.

Prysznic był kojący. Strumienie ciepłej wody obmywały jej ciało, rozgrzewając i relaksując, ale zaskakujące słowa kochanka wciąż zaprzętały jej umysł. Stała oparta o ściankę kabiny i kombinowała co dalej, gdy jej uszu dobiegło ciche pukanie.

– Tak?! – zawołała.

– Chciałem podać ci szlafrok. Pozwolisz?

Oczywiście, że pozwoli. Właśnie robili najintymniejszą rzecz, jaką dwoje ludzi może ze sobą robić, to czego miałyby się wstydzić? Gorącej wody spływającej po jej ciele? Śmieszne.

– Wejdz, oczywiście, że możesz wejść.

Wszedł i na stojącej w pobliżu prysznic szafce położył świeżutki płaszcz kąpielowy i duży ręcznik, po czym wyszedł, by nie krępować kobiety biorącej prysznic w jego łazience. Kobieta w jego łazience – ta myśl, nie wiedzieć dlaczego, napawała go dumą. Tak, na ten moment może tylko myśleć „w jego łazience”, ale diabelnie pragnął, by nadszedł dzień, w którym będzie mógł myśleć „jego kobieta”.

Popijał krwawą Mary, marnym substytutem zaspokajając dręczący głód i słuchał, jak woda leje się w prysznicu. Wyobrażał sobie jej nagie ciało oblewane strumieniami ciepłej wody i mokre włosy opadające wzdłuż pleców. Cholernie chciał być tam razem z nią, ale chyba nie był to jeszcze moment, by dzielić wspólny prysznic.

– Bogusław, czego ty ode mnie chcesz? – zapytała niepewnie, gdy oboje odświeżeni, w szlafrokach rozsiedli się na wygodnej kanapie w pokoju.

Na stoliku przed nią stała taca z gotowanymi jajkami, kieliszkiem, kubkiem parującej herbaty i talerzykiem, na którym smakowicie rozlokowały się plasterki wędliny i żółtego sera. Obok koszyczek z kilkoma skibkami bagietki i maselniczka. Wszystko wyglądało szalenie zachęcająco, ale Kaśka nie potrafiła skupić na tym swojej uwagi. Wiedziała, że niefortunne wyznaczenie nie może zostać zbagatelizowane – Bogusław nie był mężczyzną, którego „kocham cię” można puścić mimo uszu. Bojąc się, że ten niesamowity seks był ostatnim przystankiem w ich wspólnej podróży, jednocześnie obawiała się, że będzie chciał ciągnąć tę znajomość, a może nawet stworzyć coś na kształt związku. To chore! – upomniała ją podświadomość zmęczona nieustanną dwoistością jej przemyśleń. Ale co zrobić, skoro Kaśka nie była pewna, czy może pozwolić sobie na cokolwiek poza dzisiejszym wieczorem? Niestety, te zaskakujące słowa nadały ich relacji nowy aspekt. Pytanie tylko jaki?

– Żebyś się ze mną spotykała – odpowiedział spokojnie, doskonale odczytując jej rozterki. – A jeśli zdecydujesz, że widzisz we mnie coś więcej niż tylko to, czym... – zawahał się – kim jestem, że może dostrzeżesz we mnie mężczyznę, być może swego partnera, chciałbym, żebyśmy spróbowali być razem. Ja mam czas, Kasiu – dodał po chwili. – Mogę na ciebie długo czekać. Jestem też bardzo cierpliwy. Nie będę cię ponaglał, wezmę, ile mi zaoferujesz i cały czas będę miał nadzieję, że kiedyś zechcesz mnie u swego boku.

Tak, brnął w szczerłość. Jaki to odniesie skutek? Miał nadzieję, że taki jakiego oczekiwał.

Niesforny rumieniec zażenowania zagościł na bladym obliczu Kaśki. Cóż miała mu odpowiedzieć? Pewnie, że chciałaby takiego mężczyznę przy swoim boku, na zawsze. Jaka kobieta by nie chciała? Chyba tylko szalona. Ale jednak...

– To nie takie proste – wyszeptwała w końcu dość oklepany frazes, ale jakże trafny w ich sytuacji. W podświadomym odruchu zaczęła nawijać na palec kosmyk mokrych włosów. – Ja nie mam tyle czasu co ty. Jak byś nie zauważył, jestem już dość dojrzałą kobietą. Już wyglądam jak twoja starsza siostra, za chwilę będę wyglądać jak twoja matka. A poza tym... Bogusław, ja mam dzieci.

– Nie martw się tym, Kasiu. – Ujął jej dłoń w swoje dłonie i spojrzawszy w oczy, uśmiechnął się ciepło. Nie wpływał na nią emocjonalnie. Nie musiał. Jej emocje były zaskakująco stabilne. – Jeżeli zdecydujemy się na wspólne życie, wszystko da się ułożyć.

– No, ale popatrz tylko – nie dawała za wygraną. – Chociażby taka prosta rzecz... ja żyję w dzień, ty w nocy. Jak sobie to wyobrazasz? Że będziemy zostawiać sobie kartki z wiadomościami na kuchennym stole?

– Niezła myśl. Ale myślę, że da się to rozwiązać w prostszy sposób. Teraz też udaje nam się spotykać, a nie żyjemy nawet pod jednym dachem.

– Fakt, ale to są chwile. To nie jest codzienność. Poza tym nie tylko pory doby, w których

funkcjonujemy czy reakcja na upływ czasu nas różni. Różni nas niemal wszystko. Nasze światy są zupełnie różne... tak myślę. Ty o świecie ludzi wiesz chyba wszystko jak każdy. Ja o twoim nie wiem nic. Boże! Dopiero się dowiedziałam, że taki świat faktycznie istnieje. Nawet się nie zastanawiałam, jak wielu was jest. Czy świat jest pełen wampirów?

– Nieee. – Pokręcił głową rozbawiony. – Wampiry to nie produkcja masowa. Kiedyś trudno było stworzyć wampira, więc nasza populacja nie rozrastała się za bardzo, a teraz, gdy można by zastosować najnowsze technologie, żeby monitorować przemianę i śmiertelność „rodzących się” ograniczyć do zera, nie robimy tego, bo jest za duży „monitoring” ludzi. Nie wiem, czy dość jasno się wyrażam. – Zawahał się, spojrzawszy na Kaśkę wyczekująco. Gdy przytaknęła, kontynuował. – Po prostu kiedyś człowiek zniknął i już, teraz to nie przejdzie. Na samorodki też nie ma szans, bo nie żyjemy się bezpośrednio ze źródła. Wygląda na to, że jesteśmy populacją na wymarcie – zaśmiał się ironicznie.

– A co z mocami? Lewitacja? – zaczęła drążyć, faktycznie chcąc dowiedzieć się czegoś więcej.

– Nie. Jezu! Dlaczego mielibyśmy nagle zacząć latać? To śmieszny i całkowicie nielogiczny wymysł literacki.

– Zasłanianie cieniem?

– Poniekąd.

– Lecznicza krew?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo, ale enzymy w naszej ślinie spowalniają procesy starzenia i działają jak szczepionka wobec wszelkich chorób.

– To ciekawe. – Zamyśliła się, by po chwili kontynuować. – Nadmierna siła?

– Bez przesady. Tira nie udźwignę.

– Wystarczy, że udźwigniesz konia, to i tak imponujący wyczyn.

Bogusław zaśmiał się i spoglądając jej w oczy, przytaknął.

– No, na konia może bym się pokusił. Okej, jestem znacznie, znacznie silniejszy od człowieka, ale widzę, dziewczyno, że podążasz śladem literackiej fikcji, to wypacza twój obraz rzeczywistości.

– O jakiej rzeczywistości ty mówisz?! – Przewróciła oczami zirytowana, podśmiechując się pod nosem ironicznie. – Bogusław, gdybym komukolwiek, nawet Goście, powiedziała, że randkuję z wampirem, to pewnie najpierw kulałaby się ze śmiechu, a potem kazała mi się leczyć. W ludzkim świecie nie ma miejsca dla twojej rzeczywistości. Ludzie nie akceptują odmienności nawet w obrębie własnego gatunku. Wystarczy, że masz inny kolor skóry albo jesteś innego wyznania i już podlegasz dyskryminacji. Rzeczywistość równoległa, w której funkcjonuje inny gatunek? Zapomnij. Nie ma mowy. Dlatego nie dziw się, że fikcja literacka jest dla mnie punktem odniesienia. Szybkość? – dodała zupełnie innym tonem, powracając do swoich pytań, jakby przed sekundą nie wygłosiła tej tyrady.

Bogusław zamyślił się. Miała rację – świat ludzi nie zaakceptuje równoległej rzeczywistości. A zresztą po co to roztrząsać? Przecież i tak nikt z Rodzaju nie miał zamiaru się ujawniać. Na razie.

– Jest szybkość, ale nie taka, że wampir jest jak podmuch wiatru. Być może dla oka ludzkiego to zawrotna szybkość, ale cały czas jesteśmy dostrzegalni. A może...? – Zawahał się. – Właściwie trudno mi to ocenić, mam inne zmysły i widzę inaczej. Być może są sytuacje, w których jesteśmy dla was tylko wiatrem.

– Co z piciem krwi? Jesteś nieustannie spragniony? – dociekała z lekką nutą lęku w głosie.

Matko! Chyba nie pyta o dziki głód postseksualny? Jeśli nawet, to nie zamierzał jej teraz

tego tłumaczyć.

– Nie ma konieczności codziennego pożywiania – stwierdził rzeczowo – ale łatwiej zachować kontrolę, jak się nie czuje potrzeby krwi. Teraz, jak są chętni dawcy i woreczki z ludzką krwią można trzymać w lodówkach, nikt nie ryzykuje głodu.

– Chyba, że zwyrodnialec?

– Chyba, że zwyrodnialec – przytaknęła. – Ale o takim już bardzo dawno nie słyszałem.

– Luksus?

– Boże, Kasiu! A kto nie lubi luksusu? – zaśmiał się. – To zależy od osoby, ale tak, lubimy się otaczać luksusem, zwłaszcza, że większość z nas przez stulecia zdążyła zebrać pokaźne majątki, a poza tym, całkiem nieźle radzimy sobie w biznesie.

– Ciekawe. Będziesz mi musiał kiedyś o tym opowiedzieć.

– O czym tu opowiadać? Prowadzimy legalne interesy tak jak ludzie. Spójrz, ja na przykład jestem taksówkarzem.

Pokiwała głową w milczeniu, godząc się z jego słowami.

– Co z lodowato zimnym ciałem?

– Nasze ciało staje się lodowato zimne, gdy długo się nie pożywiamy. Wtedy zapada w coś na kształt hibernacji, ale jeśli regularnie dostarczamy krwi, nasza temperatura jest zbliżona do temperatury ciała człowieka. Zresztą, dotykasz mnie, to czujesz, jak jest naprawdę. Krew w nas płynie, przenosi tlen, więc dlaczego mielibyśmy być zimni? To znowu fikcja literacka. Serca w nas biją, jesteśmy ciepłi.

– Co czuję? No, jesteś nieznacznie chłodniejszy. Chyba, że jesteś podniecony. – Zarumieniła się. – Wtedy jesteś równie gorący jak ja. Ale przecież jesteście... martwi? – dodała zdecydowanie zniesmaczona. – Tak?

– Z naszego punktu widzenia nie jesteśmy martwi, tylko niemal nieśmiertelni lub inaczej... nieumarli. Śmierć dotknęła każdego z nas zaledwie przez ułamek sekundy. I popatr... paradoksalnie śmierć dodała mi witalności. Jestem szybszy i silniejszy, a moje wszystkie zmysły niepomiarne się wyostriły. Nie stałem się jednak kuriozalnym monstrem. Nie latam, nie znikam, nie zamieniam się w nietoperza. – Westchnął, jednocześnie kręcąc głową. – Jesteśmy jak wy, tylko to, co w waszym świecie sporadycznie cechuje pojedynczych ludzi, w naszym mają wszyscy i w każdej dziedzinie. Słyszałaś pewnie nie raz opowieści o ludziach albo wręcz bezpośrednie relacje ludzi, którzy przeżyli śmierć kliniczną?

Przytaknęła, kiwając głową.

– Widzisz? Każdy z tych ludzi, po powrocie do życia odnajdował w sobie jakąś uśpioną, wcześniej nie ujawnioną zdolność. Jedni stają się jasnowidzami, inni stają się medium, jeszcze inni siłą woli zginają metalowe pręty lub znajdują w sobie inne zdolności. Z nami jest podobnie. A poza tym, czy ci ludzie są martwi? Nie! Oni po zetknięciu ze śmiercią powrócili do życia. Z nami też tak jest, tylko... jak by to powiedzieć? Na trochę innych zasadach.

Zamyśliła się, rozważając jego słowa. Pozornie wszystko zdawało się logiczne.

– Ale ci ludzie w końcu umierają – zauważyła roztropnie.

– Dlatego mówię... zasada jest trochę inna, ale też nie taka szalenie odległa.

– A co ze słońcem? Ludzie, nawet po śmierci klinicznej, nie boją się słońca, a dla was jest niebezpieczne.

– Słońce bardzo szybko nas wyniszcza, to fakt i gdybyśmy poddawali się jego działaniu, to zasuszylibyśmy się prawie do skrajnego wyczerpania. Nie możemy żyć na słońcu, ale też nie płoniemy jak pochodnia, gdy tylko padnie na nas pierwszy promień. To też mit i literacka fikcja. Jakby odnieść to do ludzkich reakcji, jesteśmy po prostu bardziej uczuleni na słońce, niż ci, którzy przeżyli śmierć kliniczną.

– Taka wredna odmiana alergii? – drwiła zadziornie.

– Coś w tym rodzaju – podłapał rozbawiony.

– A kołki? Nie do końca rozumiem co z tymi kołkami. Osinowe, tak?

– Wszelkie. Kołek w serce sprawia, że zapadamy w bezkresny sen. Wbity gdziekolwiek indziej paraliżuje. Chyba, że ktoś zetnie nam głowę, wtedy jest to ostateczny kres naszej pośmiertnej egzystencji, ale też... jeżeli wyjmie się kołek z serca, niezależnie od tego ile czasu upłynęło od jego wbicia, powracamy do... życia. – Uśmiechnął się enigmatycznie.

Życie nie dotyczyło Rodzaju w dosłownym znaczeniu, ale jak to inaczej nazwać? W końcu to tylko zawilość semantyczna, nic poza tym. Byt, egzystencja, istnienie, życie – wszystko i tak sprowadzało się do jednego – świadomego funkcjonowania. A on w tym momencie miał wyjątkowo silną świadomość funkcjonowania. Właśnie przeżył niesamowity seks z kobietą, której pragnął od dawna. Właśnie ta kobieta była w zasięgu jego ręki i zdawało się, że jego los zaczął obierać właściwy kierunek. Nie zamierzał z tego rezygnować. Chciał dalej świadomie funkcjonować, mając ją u swego boku.

– Kasiu... – zagadnął, chcąc przyhamować jej dociekliwość.

W końcu wśród jego gatunku nikt nie odkrywał się tak bardzo, nie zdradzał wszystkich szczegółów. Gdy będzie z nim, gdy zdecyduje się na dzielenie z nim życia, wtedy powie jej wszystko, ale teraz było na to za wcześnie. Zwłaszcza że przecież niedawno próbował jej to wszystko przybliżyć. Fakt, może pobieżnie, ale też kawiarniana atmosfera nie sprzyja wyjawianiu tajemnic nadnaturalnego świata. Nie szczegółowo. Najwidoczniej jednak ona musiała poznać szczegóły, rozebrać wszystko na niepodzielne drobiny. Być może dopiero wtedy będzie mogła znaleźć dla siebie miejsce w jego rzeczywistości.

– Kasiu – podjął ponownie. – To trudna i długa rozmowa. Jeśli zechcesz być ze mną, wszystkiego się dowiesz... z czasem. Najpierw jednak zastanów się. Przemyśl moją propozycję. Wiesz, że cię chcę. Bardzo. Ale decyzja należy do ciebie.

– Wiem – odpowiedziała niemal szeptem.

Objął ją i mocno przytulił. Ciepły pocałunek przez chwilę pieścił jej usta, a potem Bogusław poprowadził ją do sypialni, gdzie przewietrzona, chłodna pościel czekała na nich, obiecując kojący sen.

Rozdział 25

Zasadniczo Kaśka nie lubiła dzielić się swoimi intymnymi sprawami, ale... Boże drogi! Naprawdę było się czym dzielić. Szczęście rozsadzało ją od środka, a samo wspomnienie upojnej nocy rozpałało jej zmysły. Przecież chyba każda kobieta chce coś takiego wykrzyczeć w przestworza?

– Z ramion twych wprost do nieba, do nieba... – nucila pod nosem, schodząc klatką schodową.

Była w doskonałym nastroju. Może dlatego, że wiosna w pełnym rozkwicie fundowała miastu słoneczne kąpiele umilone ptasią muzyką, a może dlatego, że właśnie wyekspediowała dzieciaki na weekend u ojca i wybierała się do Gośki na babskie pogaduchy. Zresztą co to ma za znaczenie? Ważne, że miała przed sobą całe sobotnie popołudnie i z pewnością jeszcze sporo wieczoru, żeby nagadać się do woli. Zwłaszcza, że od ich ostatniego spotkania minęło kupę czasu i naprawdę stęskniła się już za przyjaciółką.

– Wszystko czego dziś chcę, pamiętaj o tym, polecieć chcę tam i z powrotem, z ramion twych wprost do nieba, do nieba – wyśpiewywała energicznie stary przebój Izabeli Trojanowskiej, pospiesznie odpalając silnik, by nie uronić ani sekundy ponad konieczne, z czekających ją babskich pogaduszek.

A o czym będą rozmawiać? Oczywiście, że o facetach. W końcu Gośka też miała nowe ciacho na oku. I to jakie? Gdyby tylko wiedziała... Kaśka pokręciła głową i uśmiechnęła się szeroko. Dawno się nie widziały, a przecież takich spraw nie można omawiać przez telefon. Takie sprawy! – zachichotała.

Wynajmowane na Osiedlu Piastowskim mieszkanie nie rzucało na kolana, ale było schludnie utrzymane i dzięki kilku osobistym dodatkom stwarzało całkiem przytulne wrażenie. Gdy drzwi otwarły się i Kaśka stanęła w progu, gospodyni porwała ją w ramiona. Ubrana była zwyczajnie – czarne legginsy i malinowy podkoszulek na szerokich naramkach. Na wierzch narzuciła szaro-piaskowy, obszerny blezer, a włosy zmotowała w luźny węzeł, ale i tak wyglądała świetnie – jak to Gośka.

– Wchodź, wchodź – zachęciła, ciągnąc przyjaciółkę do środka.

Nie zwlekając, zaciągnęła ją do pokoju i usadziła na kanapie. Była naprawdę przygotowana. Na okolicznościowym stoliku stała patera z piętzącymi się owocami, a małe talerzyki deserowe i nożyki do cytrusów leżały w gotowości tuż obok. Poza tym butelka Wyborowej i cola oraz dwie szklanki do drinków. Gośka była zwolenniczką prostych rozwiązań, a wódkę z colą uważała za jedno z nich. Połała trunek z colą do szklanek i zasiadła obok, podwijając jedną nogę pod siebie.

– Ja dziękuję. – Kaśka pokręciła głową, broniąc się przed drinkiem. – Prowadzę – dodała gwoli wyjaśnienia.

– Chyba sobie żartujesz?! Nie ma mowy. Zostajesz do rana. – Nieznoszący sprzeciwu ton Gośki sprawił, że Kaśka bez wahania przyjęła podaną jej szklankę.

– No to na zdrowie – rzuciła i uśmiechając się ciepło, tryknęła stojącą na stoliku szklankę przyjaciółki.

Z początku zahaczały o bezpieczne tematy – praca Gośki, w miarę poukładane życie rodzinne Kaśki, oraz krążący na orbicie tego życia jej były mąż. Ale napięcie rosło, atmosfera gęstniała i wiadomo było, że tak czy siak w końcu dojdą do sedna. Po co więc było zwlekać?

– Jezu! – Gośka chwyciła do ręki szklankę i pociągnęła spory łyk drinka. Spragniona sensacji nie zamierzała już dłużej tracić czasu. – Dobrze, że wreszcie znalazłaś czas. Już nie

mogłam się doczekać tego spotkania. Tyle mamy do opowiadania.

– No. I popatrz, obie mamy o czym opowiadać. Jakbyśmy się zmówiły – zaśmiała się Kaśka.

– Chyba nie można nas porównywać. Ty z pewnością masz za sobą więcej wrażeń. – Dziewczyna uniosła figlarnie brew, spoglądając na przyjaciółkę. – Ja nie byłam na pierwszej nocnej randce z przystojnym chłopaczkiem.

– No cóż... fakt.

– To opowiadaj. Umieram z ciekawości.

– Od czego by tu zacząć?

– Od końca – rzuciła przewrotnie Gośka, szeroko się uśmiechając.

– No dobra. A więc... on chce... cholerka... on chce, żebyśmy byli razem. Rozumiesz?

Chce, żebym się z nim związała na poważnie. – Kaśka miała raczej zdegustowaną minę.

Chwyciła kiść winogron i oderwawszy gronko, położyła je sobie na talerzyku.

– A ty się wahasz?!

– No pewnie, że się waham! Dziewczyno, ja niedawno się rozwiodłam...

– No, z gnojkiem, który prostował ci rogi, a w nowym związku był, jak się zdaje, na długo przed końcem waszego małżeństwa. Jest się kim przejmować. Jak cholera. Kobieto, nie chcesz go, to twoja sprawa, ale nie zastawiaj się palantem, który nie jest tobie nic winien i... ani mi się waz zastawiać dzieciakami – zagroziła.

– No, to mi wytrąciłaś drugi atut z ręki.

– Atut? Kaśka! Ty nie masz żadnych atutów. Ty możesz jedynie nieudolnie kombinować, ale nic nie przemawia za twoimi racjami.

– A widziałaś go? Gośka! Jak ja przy nim wyglądam? Jak jego matka!

– Taaa, wmawiaj sobie. Okej, może chłopak i wygląda na trochę młodszego od ciebie...

– Trochę?! No błagam! Gośka! Oczu nie masz?!

– ...ale co to za problem w dwudziestym pierwszym wieku? Żaden – kontynuowała Gośka, jakby nagła seria wykrzykników nie miała miejsca. – Ale jak już chcesz mówić o tym, co widziałam... to niech mnie kule... ła! Chłopak jest powalający. Tak w ogóle, to muszę ci powiedzieć, że jak weszłam do tej Kawki, to mi się nogi ugięły. Najpierw on, a potem ten Leon... skąd ty ich wytrzasnęłaś? Aaa, zapomniałam, z internetu – udzieliła sobie błyskawicznej odpowiedzi. – Kaśka, jakby wszyscy faceci w necie tak wyglądali, to kobiety przestałyby krążyć po realu. Już widzę, te zaślinione klawiatury – zaśmiała się lubieżnie. – Z takim boskim facetem, to i seks pewnie jest boski, co?

– Oj, jest – rozmarzyła się Kaśka. – Żebyś wiedziała, że jest.

– Coś ty?! – Gośka aż podskoczyła, podekscytowana; zaczynało się robić ciekawie. – Opowiadaj! Ze szczegółami! Byłaś z nim? Krude, a myślałam, że stchórzysz. Że może jakieś buzi, buzi i macanko, a ty poszłaś na całość? – szczebiotała radośnie. – Nieee noo, teraz ci nie odpuszczę.

Że Gośka nie odpuści, Kaśka wiedziała od początku. W końcu od czego są przyjaciółki? – zażartowała w duchu. Oczywiście mogła przemilczeć sprawę, udawać, że nic się nie dzieje, że nic nie zaszło, ale czy godzi się przemilczeć coś takiego? Absolutnie nie! Każda kobieta powinna kiedyś zaznać takiej rozkoszy.

– No coś ty, przecież nie opowiem ci wszystkiego ze szczegółami, ale wiedz... było naprawdę gorąco – zachichotała radośnie. – Co tam gorąco? Erotyczny rollercoaster to mało, żeby oddać sedno.

– Nooo, teraz to już z pewnością nie odpuszczę pikantnych szczegółów. Chociaż powiedz, jak taki bosko zapowiadający się facet wygląda nago. – Utkwiła w Kaśce błagalne spojrzenie.

– Jak... wygrana na loterii? Jak... najbardziej wymarzony prezent bożonarodzeniowy? Nie wiem... sama sobie odpowiedz. W każdym razie dech zapiera – westchnęła rozmarzona. – Jezu, Gośka, jeszcze teraz mam gęsią skórkę, jak sobie przypomnę tę jego klatę, taką muskularną, szeroką, twardą, ale jedwabście gładką. Jak pieprzony gladiator... szkoda gadać. Aż się chce pieścić, całować, lizać, jęczeć i rozpląwać na ten widok. Mówię ci... nogi same się rozkładają – zanosła się frywolnym śmiechem.

Lubieżnie szczerą Kaśka? Frywolna Kaśka? Przenajświętsza panienko! Facet musiał zafundować jej naprawdę niezły odlot. Ech... – dziewczyna westchnęła w duchu, a rozmarzenie wypłynęło na jej piękne oblicze niczym topielec na krystalicznie czystą powierzchnię, ujawniając swą niechcianą obecnością głęboko skrywane tajemnice.

– Chcesz mi powiedzieć, że od dawna nie miałaś faceta? – Kaśka nie bawiła się w dyplomację.

– Nic nie mówiłam, więc skąd wiesz, co chcę powiedzieć?

– Gosiu, nie musisz nic mówić, wystarczy na ciebie spojrzeć. – W głosie kobiety slychać było tę charakterystyczną, rodzicielską pobłażliwość; jak w rozmowie z małą dziewczynką, której buźka zdradza wszelkie sekrety.

– Co mam ci powiedzieć? Faktycznie od dawna nie miałam faceta. Zadowolona?

– Nie, kurde. Dlaczego miałabym być zadowolona? Dziewczyno, byłabym zadowolona, widząc cię szczęśliwą. To, że nie układa ci się z facetami, wcale mnie nie zadawała. Jesteś piękną, mądrą, wartościową kobietą. Jesteś super laską. Powinnaś mieć przy sobie kogoś. Kogoś kto dostrzeże w tobie to wszystko i doceni.

Najwidoczniej słowa przyjaciółki podziały na kilka solidnych drinków jak emocjonalny katalizator, bo smutne łzy pokulały się po Gosinym policzku.

– Cholera, Kaśka – wyszeptwała. – Nic mi nie mów. Już straciłam nadzieję. Wiesz, chyba bym już nie zaufała facetowi. Nawet, gdybym teraz trafiła na tego jedyne, to pewnie bym go nawet nie rozpoznała, a co dopiero mówić o zaufaniu. Poza tym – ożywiła się nagle – single są teraz w modzie.

– Nie pieprz bzdur. To wymówka dobra dla szpetnych, starych panien, a nie dla takiej laski jak ty. A co z Leonem? Widziałam, jak pożerał cię wzrokiem...

– No, i co z tego? – Zdawkową odpowiedź wsparł kolejny łyk ukazujący dno kolejnej szklanki. Dziewczyna wzięła do ręki butelkę i uzupełniła braki, nie zapominając oczywiście o gościu.

– Gośka. Teraz ja chcę znać wszystko ze szczegółami. Gadaj.

– Dobra, dobra. Już. No więc... nie ma za wiele do opowiadania. Odwiózł mnie do domu, był miły i nienaturalnie grzeczny. Nawet nie proponował, że wejdzie czy, że może... jakiegoś drinka razem... czy coś. Nic. Posiedzieliśmy w tym jego super wozie... Widziałaś ten wóz?! Marzenie...

– Nie widziałam i nie zbacza z tematu.

– Okej, ale naprawdę nie ma o czym gadać. Trochę jeszcze zagadnął mnie o książki. Ty! On naprawdę zna wampiry – ekscytowała się Gośka, wsadzając do ust kulkę winogrona.

– Co?! – Zaskoczenie z niedowierzaniem przepychały się, które pierwsze odmaluje się na twarzy Kaśki, a podświadomość złapała się za głowę. Nie wierzę! Powiedział jej o wampirach przy pierwszym spotkaniu? Oszalał czy co?

– No zna. Chyba wszystkie paranormalne romanse, jakie się kiedykolwiek pojawiły. Słuchaj, on zna takie książki, o których nawet nie słyszałam.

Zastygłe wewnątrz jej płuc powietrze, właśnie uszło z Kaśki jak z przebitego balonika. Chryste. Książki, nie prawdziwe wampiry. Oklapła uspokojona.

– No dobra, gadaliście o książkach, a co było potem? Jakies buzi, buzi czy coś? No wiesz... macanko? – uśmiechnęła się złośliwie, przywołując słowa przyjaciółki. – Uderzał do ciebie?

– Nie. Właściwie, to nie. Zresztą skoro ty mówisz, że wyglądasz przy Bogusławie jak jego matka, to pomyśl, jak ja bym wyglądała przy tym małolacie. Ile on ma lat? Dwadzieścia? Dwadzieścia dwa? Chłopaczek chyba jeszcze nigdy dobrze się nie zabujał, więc o czym tu gadać? Chociaż zdawało mi się, że zaiskrzyło między nami, ale... nie wiem... z nim jest coś nie tak – szczebiotała, nakręcana mocą krążącego w jej żyłach trunku. – To jest pierwszy chłopak, który do mnie nie startował. Flirtował ze mną, fakt, ale nic ponad to. – Gośka była podekscytowana i urzeczona jednocześnie. Właśnie zdała sobie sprawę, że Leon zachował się zaskakująco inaczej niż wszyscy mężczyźni, których do tej pory poznała. – Kaśka... on mi się podoba – dodała z enigmatycznym uśmiechem.

– Dziewczyno, a komu by się nie podobał? Znajdź choć jedną kobietę na tym pieprzonym globie, której on się nie spodoba, a dam ci milion.

– Do diaska, masz rację. Nie ma co marzyć o twoim milionie i tak bym przegrała.

Roześmiały się. Babskie rozmowy i drinczek zawsze potrafiły wprowadzić je w dobry nastrój, a przecież dwóch diabelnie pięknych mężczyzn to z pewnością idealny temat do babskich rozmów.

Za oknem po słonecznych kąpielach nie było już śladu i teraz ulice zaczynały pogrążyć się w tętniącym życiem sobotnim wieczorze z gwieździstym niebem i pyzatym księżycem na deser. Bajkowa sceneria? Jasne, że tak. Kobiety też czuły się bajkowo, jak zawsze, gdy miały siebie, dobry temat do plotkowania i coś na poprawę nastroju. Gośka przeprosiwszy gościa, pobiegła do toalety pędzona zewem natury solidnie motywowanym sporą ilością płynu w pęcherzu, tymczasem Kaśka, czekając na jej powrót, wzięła pilota do ręki i zaczęła przerzucać kanały.

– Znajdziemy coś fajnego? – zaproponowała, gdy lżejsza o kilka drinków przyjaciółka znów wygodnie rozlokowała się obok niej. – Może jakiś „hit na sobotę” czy co to tam dają o tej porze...

– Zapomnij o hicie na sobotę! – Gośka wyjęła jej pilota z ręki i bezceremonialnie wyłączyła telewizor. – Mamy temat do obgadania, a ty najwyraźniej się migasz. Miały być pikantne szczegóły. Zapomniałaś?

– Goooska, jakie pikantne szczegóły? Byłam na takim erotycznym hajcu, że nawet nie jestem w stanie racjonalnie o tym myśleć. Chłopak zafundował mi taki gorący odlot, że do teraz trudno mi się po tym pozbierać. – Znów chichotała. – Po latach małżeńskiego seksu? Dziewczyno! Tego się nie da po prostu opisać, to trzeba przeżyć.

– A niech mnie. Nooo, to faktycznie masz przerabane. Bo ty się wahasz... tak? – na wszelki wypadek dopytała, wspominając niedawne wątpliwości Kaśki. – Niech pomyślę... ten twój Bogusław jeeeeest... piękny, młody, napalony na ciebie jak diabli, do tego jest pieprzonym mistrzem seksu... noo, faktycznie nie ma co się nim interesować. Odupść sobie. Koleś nie jest ciebie wart.

Oslupienie katatoniczne albo lepiej, akinezja – tak można by na pierwszy rzut oka zdiagnozować stan, w jaki popadła Kaśka. A mówiąc kolokwialnie, słowa przyjaciółki po prostu ją zamurowały. Czy ona mówi poważnie? Cholerka, to nie tak. Istotnie, zastanawiała się, czy zaryzykować bliższą znajomość z Bogusławem, ale żeby od razu tak drastycznie? I co to znaczy „nie jest ciebie wart”?

– Nie mówisz serio? – spytała niepewnie, uporawszy się z pierwszą reakcją.

– Kurde! Pewnie, że nie! Chcesz wiedzieć, co ja bym zrobiła na twoim miejscu?

Zgodziłabym się. Na związek... zgodziłabym się. I modliłabym się o „żyli długo i szczęśliwie”. Bo widzisz... kobiety trafiają na naprawdę wrednych palantów i wiążą się z nimi, żywią nadzieję na szczęście. Zresztą, co ja ci będę tłumaczyć? Sama to przerabiałaś. Ale jak teraz trafia ci się szalowy chłopak i być może okazja na coś naprawdę fajnego, to ty nie chcesz dać wam szansy? – Gośka westchnęła ciężko i pokręciła głową z dezaprobatą. – Spójrz na siebie. Jesteś młodą i naprawdę atrakcyjną babką. Nie będę ci tu kadzić, żeby ci się w głowie nie przewracało. – Porozumiewawczo łypnęła na Kaśkę okiem, szczerząc się słodko. – Ale prawda jest taka, że zasługujesz na szczęście jak cholera. Jeśli nie ty, to kto? Więc przemyśl sprawę. Nie możesz reszty życia spędzić na wspominkach z byłym mężem w tle. Ja na twoim miejscu bym się nie wahała. No, ale ja nie jestem na twoim miejscu – dodała po chwili.

– Cholerka. Masz dar przekonywania. Mówisz, że mam dać nam szansę? Okej... przemyślę sprawę.

– Nooo.

Może niekoniecznie Gośce spadł kamień z serca, ale drobne kamyczki posypały się – to pewne. Naprawdę chciała, żeby przyjaciółka była szczęśliwa. Zasługiwała na szczęście w stu procentach i tylko trzeba było wstrząsnąć babsztylem, by dotarła do niej ta oczywista prawda. Problem z Kaśką polegał jednak na tym, że nie wierzyła, iż coś jej się należy. Wszystko, co do tej pory osiągnęła, było dla niej wyzwaniem. A więc teraz też trzeba było z tej prostej sytuacji zrobić wyzwanie – tylko tak istniała szansa, że Kaśka je podejmie.

– To dawaj te pikantne szczegóły. – Na twarzy Gośki zakwitł lubieżny uśmiezek. – Nie myśl, że się z tego wymigasz.

– Okej. – Kaśka przewróciła oczami. – Ma niesamowitego penisa. – Oblała się pąsem, a Gośka zanosła się donośnym śmiechem.

– Widzisz? Wreszcie gadasz do rzeczy.

– Nie ma wątpliwości. – Marek odłożył na stolik kartkę z odręcznym szkicem, wydruk z google maps i odręczne zapiski. – Z pewnością właśnie odkryliśmy miejsce ich siedziby.

Był piękny sobotni wieczór, a oni zamiast imprezować na mieście, znów roztrząsali bolesne sprawy z trupami, zabójcami, szalonymi mnichami i mnóstwem nierozwiązanych zagadek w tle.

– To zbyt proste – stwierdził sceptycznie Otto. – Nie wierzę, że ten zalękniony mnich zna jej faktyczne położenie. Nie wierzę nawet, by był prawdziwym zabójcą. To jakaś podpucha.

Rzeczywiście, udało się grupie południowej schwytać drania, który próbował zabić kolejną parę i na ich niespodziewane szczęście okazało się, że szubrawiec jest z samego szczytu organizacji. Podobno.

– Nas nie można oszukać. Zapomniałeś? – upomniał go Leon. – Chłopie, tak dawno obcujesz tylko z naszą rasą, że zapomniałeś o cholernie skutecznej zdolności manipulowania ludzkimi umysłami?

– O niczym nie zapomniałem – warknął Otto. – Tylko jestem przekonany, że gość będący tak wysoko w hierarchii, tak po prostu by się nam nie poddał. A jeśli już, to byłby hardy, zamknięty w sobie. Ten mięczak, z tego co wiem, trzęsie się jak osika i gada jak nakręcony. Tak twoim zdaniem zachowywałby się rasowy zabójca? Ty młokosie nie masz pojęcia, jak IN NOMINE PATRIS potrafi wyszkolić swoich zabójców. Są niemal nieuchwytni jak pierdzielone nindże, a poza tym... kanalie są prawie nie do zmanipulowania. Nie wierzę mu, i tyle. Ta lokalizacja, którą tak łatwo udało się uzyskać, może być po prostu zasadzką – zakończył tyradę.

– To całkiem prawdopodobne – odezwał się spokojnie Bogusław. – Ale weź też pod

uwagę, że to nie jest to IN NOMINE PATRIS, które znaleźliśmy przez stulecia. To nowy twór, z pewnością w wielu aspektach niedoskonały, bo i kiedy miał się udoskonalić, skoro działa zaledwie kilka lat. Oczywiście, że przez te kilka lat bractwo zebrało już całkiem pokaźne żniwo, ale myślę, że to raczej zbieg okoliczności, przypadek, fart... wszystko jedno jak to nazwiesz – wzruszył ramionami – ale z pewnością nie żelazna dyscyplina i pierwszorzędne wykształcenie. Poza tym może koleś jest dobry technicznie, ale wewnątrz słaby.

Siedzieli w gabinecie już od kilkudziesięciu minut i roztrząsali problem. Bogusław miał dziwnie niemiłe wrażenie, że coś w tej sprawie im umyka. Że jest jakiś istotny szczegół, który ignorują. Pierwsze pytanie brzmiało: jakim cudem bractwu znów udało się zlokalizować potencjalne ofiary? A po drugie: na ile informacja o lokalizacji ich zakonu była prawdziwa?

– Tooo jak dokładnie brzmiał ten raport z pochycenia zabójcy? – wymamrotał bardziej do siebie niż do któregośkolwiek z pozostałych i chwyciwszy do ręki kartkę z mailem od Honzy, zaczął bezgłośnie czytać.

26 maja 2012

1. Pojmaliśmy zabójcę.
2. Brak ofiar śmiertelnych.
3. Szczegółowe raporty i akta w załączeniu.

Notatka z zajścia

Mężczyzna uzbrojony jak klasyczny zabójca bractwa, w dniu wczorajszym na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi usiłował zgładzić mieszaną parę.

Niedoszłe ofiary z okazji swojej rocznicy opuściły bezpieczny teren i pod eskortą ochrony udały się do restauracji w centrum Łodzi. Tam zostali zaatakowani przed wejściem do lokalu. W wyniku przesłuchania ustaliliśmy, że zabójca nie spodziewał się, iż ofiary są objęte nadzorem i tylko dlatego nie zdołał dokonać planowanej zbrodni. Drewniana strzałka dosięgła celu – mężczyzna Rodzaju (akta w załączeniu). Wtedy zabójca został zdjęty przez ochroniarza – mężczyzna Rodzaju (akta w załączeniu). Zabójca nie oddał żadnego strzału do człowieka (akta w załączeniu).

Ludzka partnerka ofiary nie doznała obrażeń, ale jest w szoku i przebywa pod nadzorem psychologa – członek Rodzaju.

Poddany psychomanipulacji zakonnik zeznał w szczegółach, jak miała wyglądać jego misja i gdzie znajduje się siedziba zakonu (raport z przesłuchania w załączeniu). Ponadto prawdopodobnie człowiek ten jest odpowiedzialny również za kilka innych zbrodni, znanych z wcześniej zebranej dokumentacji.

Koordinator Ziem Południowych
Honza Bart

– No tak, panowie – odezwał się po dłuższej chwili Bogusław, przerzuciwszy jeszcze wydruki z załączników. – To wygląda zbyt gładko. Nie neguję tego, że zakonnik mówi prawdę. Wierzę, że południowe wampiry są wystarczająco silne, by złamać nawet szkolone umysły. Zastanawia mnie natomiast inna rzecz. – Zrobił krótką pauzę i rozejrzał się po twarzach kolegów. – Oni są zbyt dobrze poinformowani.

– Co? – Leon nie ukrywał zaskoczenia.

– Cholera! – w tym samym czasie zaklął Marek.

– Popatrzcie – kontynuował Bogusław. – My nawet nie wiemy, ile mamy takich par. Tak rozproszyliśmy się po kraju i tak nie ingerowaliśmy w osobiste sprawy poszczególnych członków Rodzaju, że teraz znamy zaledwie tych, z którymi przez lata byliśmy dość blisko, by co nieco o nich wiedzieć. Znamy też naszych decydentów, ale tak było zawsze. A oni? Oni dokładnie wiedzą, kto z naszych związany jest z człowiekiem i gdzie się w danym momencie znajduje... i

we właściwym czasie skutecznie uderzają.

– Że też wcześniej nie zwróciliśmy na to uwagi – zadumał się Otto.

– Chwalimir to zasugerował... chyba... na pierwszym naszym spotkaniu – przypomniał Bogusław. – Ale wtedy żaden z nas nie brał takiej ewentualności na poważnie. Czyżbyśmy popełnili błąd?

– Kurwa! – ryknął wyraźnie zeźlony Leon. – Niech no dorwę skurwiela, który jest szpiclem. No normalnie urwę mu łeb i nasikam do gardła.

– Młody, to nie czas na popisywanie się kinoamerykańskimi cytatami – ofuknął go Sławek.

– Kinoamerykańskie cytaty czy nie, żebyś wiedział, że jak dorwę gnoja, to urwę mu jaja.

– Ale to wcale nie musi być on – zasugerował Marek.

– Cholera, masz rację. Dlaczego zawsze zło rozpatruje się w kategoriach męskich?

– Ale czekajcie – stopował ich Bogusław. – Wracając do sedna. Być może moja hipoteza jest błędna. Może po prostu bractwo ma zajebistego farta i nikt nie szpieguje na ich rzecz...

– Ta, ta – Leon wszedł mu w słowo. – A słonie mają skrzydełka jak motylki i zapylają kwiatki na łąkach.

– Dobra. Wiem, że to co tu rozważamy, jest cholernie prawdopodobne, ale nie możemy działać pochopnie – stary wampir próbował właściwie ukierunkować rozmowę. – Musimy przyjąć jakiś logiczny system działania. Nie wiem... sprawdzenie... ludzi... naszych... cholera, sam nie wiem. No trzeba się zastanowić i już.

– Okej. – Marek miał pewne sugestie, więc starym zwyczajem wyciągając przed siebie dłoń i kolejno zahaczając palce, zaczął wyliczać. – Proponuję po pierwsze: skatalogować... – zrobił palcami gest cudzysłowu i znów zahaczył kciuk – wszystkie pary mieszane, a katalog musi być cholernie szczegółowy. Po drugie: trzeba prześwietlić życie tego dupka – ich wodza, na wszystkie możliwe sposoby. No wiecie... od dnia urodzenia każdą cholerną chwilę jego pieprzonego życia, wszystko. Co je, co pije, z kim sypia, nawet kiedy drań do kibla chodzi i ile razy. Rodzina, znajomi... po prostu wszystko. Po trzecie: musimy mieć oczy i uszy szeroko otwarte, bo każdy najdrobniejszy bzdet może mieć kluczowe znaczenie w wyłowieniu potencjalnej wtyki. I po czwarte: chociaż gadulstwo nie jest waszą cechą gatunkową, to jednak radzę trzy razy się zastanowić, nim raz coś powiecie. Zwłaszcza ty, Leon – spojrzał na młodego znacząco – trzymaj swój porywczy język na wodzy.

– Jaaa?! Okej, może i gadam troszkę więcej niż nakazuje nasza natura, ale nie jestem papłą – obruszył się młody.

– Dobra, nie jesteś – zreflektował się łowca – ale pamiętajcie, to nie przelewki. Musimy mieć się na baczności.

– Będziemy – zapewnił Bogusław. – A więc teraz czeka nas spore wyzwanie z tym katalogiem, ale przede wszystkim mozolna robota z inwigilacją przywódcy bractwa.

– Trzeba będzie wynająć do tej roboty specjalistów – zauważył trzeźwo Otto.

– To wynajmij – polecenie Bogusława nie podlegało dyskusji. – O ile się nie mylę, mamy firmy detektywistyczne w wachlarzu naszych usług.

Faktycznie, w ich rękach było niemal wszystko. Prawie każda dziedzina życia. To było wygodne – taksówki, zakłady pogrzebowe, lokale rozrywkowe, salony piękności, prywatne kliniki, laboratoria, banki krwi, również ochrona i detektywi. W każdym razie – długo by wymieniać.

– Dobra, zgłoszę się do chłopaków ze Szczecina. Nie są tani, ale z tego co słyszałem, są najsprawniejsi. Mają na swoich usługach nie tylko nieumarłych, ale też ludzi i potrafią być cholernie skuteczni. Wyłuskają każdą niezbędną informację, a tu nie ma się co cackać.

– Tak. Myślę Otto, że to będzie najlepsze wyjście. I nie sędzę, by którykolwiek z Dworów szczenił w tej sytuacji grosza.

– A co masz na myśli, mówiąc „cholernie szczególowy katalog”? – Otto spojrział na Marka i chwyciwszy do ręki notes i długopis czekał na wskazówki.

– No wiesz... zestawienie wszystkich wspólnych danych dla każdej z par. Myślę, że można by to ująć w czymś w rodzaju tabeli. Na przykład imiona, nazwiska, data urodzenia, rok poznania, miejsce poznania, miejsce stałego pobytu w latach... kurde, no nie wiem w tym momencie dokładnie, co jeszcze mogłaby zawierać tabela ogólna. Popracujemy nad tym razem i dopracujemy szczegóły. A potem dokładne dossier każdego z osobna. Musimy non stop monitorować ich i ich otoczenie, żeby zapewnić im bezpieczeństwo, a bez takich dokładnych danych nie ma na to szans.

– To ma sens – zauważył Leon. – Kurde, jak wiele zła będzie się musiało jeszcze wydarzyć, żebyśmy zaczęli bardziej zwracać na siebie uwagę?

– No wiesz, młody – podchwycił Sławek – do tej pory mieliśmy ochronę klanów i to nam starczało. Kto by podejrzewał, że to gównu wróci?

– O jakiej ochronie klanów mówisz? To szopka, a nie ochrona. No bo chyba nie bierzesz pod uwagę tych wszystkich sądów polubownych czy innych bzdur, którymi zajmowali się królowie czy baronowie. Stary, to są relikty dawnej świetności, dziś tylko marionetki, jak się niestety okazało. Bezradni, bezsilni, słabi wobec człowieka. Kurwa! Trzeba nam było tego gówna, żeby nam się oczy pootwierały?

– Najwidoczniej. Choć przyznam szczerze, że nie do końca podzielam twoją opinię. Wyobrażasz sobie, jak wyglądałby nasz i śmiertelny świat, gdybyśmy nie mieli tych, jak to nazwałś, marionetek? Ludzie zdziesiątkowani, a my pogrążeni w nieustannych, krwawych sporach. Nie, stary. Może i wobec śmiertelnego świata nasi protektorzy stali się słabi i bezsilni, ale w Mrocznym Świecie ład zachowuje się tylko dzięki nim. A słabość wobec ludzi? Cóż, zbyt długo traktowaliśmy ich jak źródło pożywienia, a takie źródło rzadko kiedy postrzega się jako zagrożenie, stąd teraz ten cały bajzel.

Zapadło nieznośne milczenie. Każdy z nich trawił gorzkie słowa Bogusława.

Otto podszedł do ozdobnego, zmyślnie podgrzewanego barku i otworzywszy szklane drzwiczki, wyjął ze środka kryształową karafkę, w której smakowicie połyskiwała krwistoczerwona Rh. Napełnił trzy stojące na mosiężnej tacy kryształowe szklanki i postawił na okolicznościowym stoliku. Potem do dużej, kryształowej koniakówki nalał Remy Martin i postawił przed Markiem.

– No to mamy tu niezłe gównu – powiedział spokojnie, siadając w klubowym fotelu i biorąc do ręki swoją szklankę. – Kto by się tego spodziewał? Przez stulecia czuliśmy się panami świata. Niedościęgnionymi, niepokonanymi. Dawne bractwo zniknęło, łowcy przyczaili się, zostawiając nas w spokoju. Zdawało się, że nikt i nic nam nie zagraża. Jak w takiej sytuacji nie zachłysnąć się własną potęgą? Kiedyś musiało się to obrócić przeciwko nam.

– Ale teraz nie jesteśmy zagrożeniem dla ludzkiego gatunku – oponował Leon. – Dlaczego więc właśnie teraz? Nie zabijamy, nie rozmnażamy się, nawet się nie pożywiamy ze źródła.

– Wygląda na to, że sprawa jest o wiele bardziej zagmatwana, niż sądziliśmy na początku. – Sławek wziął łyk krwawej Mary i odprężywszy się nieco, rozsiadł się wygodnie.

– Całe szczęście, że Chwalimir chwycił to wszystko w garść, nim zaczęło się paskudztwo rozlać – dorzucił Marek, grzejąc w dłoni swój koniak. – Zawsze go podziwiałem, ale w tej powikłanej sprawie okazało się, że facet naprawdę ma jaja. Po prostu mnie zadziwił.

– Tylko co nam po tym, jeśli to któryś z nas?

Pytanie Bogusława zawisło nad nimi jak gradowa chmura i chyba żaden z nich nie potrafił zapobiec nadciągającej nawałnicy. Czyżby znów czekała ich długa chwila dręczącego milczenia?

– A jak tam twój związek z Wandą? – Leon niespodziewanie rzucił w stronę Ottona, znacznie zbaczając z tematu. – Kwitnie?

– Co? – Bogusław nie ukrywał zaskoczenia. – Ty i Wanda? Nie miałem zielonego pojęcia. Opowiadaj, człowieku. To mi dopiero sensacja. Dwa stare wampiry w związku? No, no. Mroczny Świat naprawdę wywraca się do góry nogami.

– Nie miałeś zielonego pojęcia? No to witaj w klubie – zachnął się łowca. – Mnie też nic o tym nie wiadomo.

– Mareeek... – jęknął Bogusław.

– Wiem, wiem. Jestem człowiekiem, jestem nowy, jestem łowcą. Dość argumentów przeciw?

– No widzisz, chłopie. Jak chcesz, to potrafisz sobie wszystko logicznie wytłumaczyć – droczył się z nim Leon. – I co?! I nawet ja z porywczym jęzorem nie wygadałem się przed tobą – puszył się.

– Jak to się nie wygadałeś?! – obruszył się Otto. – A przed chwilą to co to było?!

– Ups. – Młody zasłonił usta dłonią i zrobił tak rozbijającą minę, że nawet słodziarski kot kumpel Shreka, odpadał przy nim w przedbiegach.

Krótkie „ups” było najlepszym podsumowaniem nie tylko gafy Leona, ale i jej meritum. Dwa wiekowe wampiry razem? W Mrocznym Świecie rzecz nie do pomyślenia. Tak stare osobniki jak Otto i Wanda nie łączyły się w pary i już. Po wiekach samotniczej egzystencji nikt nie miał ochoty kusić się na zmiany. A takie partnerstwo niewątpliwie wiązało się ze zmianami i z dostosowaniem. Dla wygodnych, egocentrycznych nieumarłych to zbyt duże wyzwanie. Dogodniej było stworzyć kogoś nowego – nawet jeśli to niełatwe – i „układać go pod siebie”, niż uczyć się starych, nierzadko trudnych do zaakceptowania przyzwyczajęń. Ale Otto i Wanda rzeczywiście byli przyjaciółmi, nawet jeśli pojęcie przyjaźni było Rodzajowi obce. Obserwując tych dwoje, po prostu widać było, że nadają na tych samych falach.

Wanda – postawna, by nie powiedzieć atletyczna, z krótko przyciętymi blond włosami i zdecydowanymi rysami z pewnością nie była piękną. Ale przy całej zwałości postury i surowości oblicza miała w sobie wewnętrzną delikatność. Wodnisto-błękitne oczy jaśniały ciepłem, a pełna, rumiana twarz pogodą ducha. Wyglądała poważnie – postronny obserwator bez mrugnięcia okiem dałby jej około czterdziestki, mimo iż w dniu przemiany zaledwie przekroczyła trzydziesty rok życia. Po prostu w jej czasach kobiety dużo szybciej dojrzewały i niestety dużo szybciej pojawiały się oznaki starości. I cóż z tego, że cudowne cechy Rodzaju wygładziły jej cerę i nadały sprężystości ciału oraz olśniewający bielą uśmiech? Niektórych zmian nie dało się już cofnąć. Szczęśliwie dziś czterdziestolatka była wciąż w kwiecie wieku i wciąż jeszcze życie stało przed nią otworem, a wyglądający o kilka lat młodziej, atrakcyjny partner też nie raził. Poza tym, przy okazałych rozmiarach Ottona jej masywna sylwetka nieco ginęła. Tak więc seksapilu Wanda nie miała za grosz, za to sporo pozytywnej energii. Czy to wystarczy, by zauroczyć wiekowego wampira? Najwyraźniej. Zresztą, może w odczuciu Ottona seksapil niekoniecznie był najważniejszą cechą, jaką powinna posiadać jego kobieta? Skądinąd mając za sobą wieki istnienia, patrzy się na świat innymi oczami – zewnętrzne piękno przestaje być najbardziej pożądanym atutem partnera. To cecha ulotna i bardzo krucha, którą tylko ludzie mogli podnieść do tak rozbuchanej, przesadnej wartości, sprawiając, że w ich krótkim żywocie zewnętrzność stała się dobrem nadrzędnym. Dla Rodzaju zdecydowanie... niekoniecznie. Każdy z nich szukał w swojej partnerce czegoś więcej niż tylko pozornego piękna – ważniejsza była atrakcyjność wewnętrzna, a tego Wandzie nie brakowało.

Może najmniej dojrzały w materii związków był Leon. Sam obezwładniająco piękny lubił otaczać się pięknem. Ale i on, mając solidną setkę na karku, wiedział, że nie powłoka zewnętrzna stanowi o wartości człowieka, choć nieodparcie uważał, że fajnie mieć kogoś powabnego u swego boku. Na ten moment jednak nie był absolutnie zainteresowany jakimkolwiek związkiem. Dość regularne korzystanie z usług luksusowych prostytutek w zupełności zaspakajało obydwaj jego głowy. Z pewnością nie będzie pakował się w jakieś zasrane gówno w chwili, gdy nawiedzony szaleniec grasuje na wolności, intensywnie szukając okazji, by ściąć kolejną głowę. Z drugiej jednak strony przyjaciółka Sławkowej Kaśki – seksowna Gośka, faktycznie budziła jego ciekawość. Chętnie by ją poznał lepiej. Dużo lepiej. Uznając jednak swą obecną egzystencję za absolutnie satysfakcjonującą, postanowił jak najdłużej zachować status quo. A skoro jego kumple zdecydowali inaczej? Cóż, ich sprawa.

W rzeczy samej. Wybory Bogusława i Ottona istotnie były ich indywidualną sprawą, a w takim razie skoro Otto wybrał Wandę, oni będą mu kibicować. Zwłaszcza, że oboje zasługiwali na szczęście, choć droga, którą obrali, z pewnością nie była łatwa.

Trzej mężczyźni siedzieli w gabinecie, próbując coś z niego wyciągnąć, a Otto wił się jak piskorz, by ominąć temat szerokim łukiem. Poza tym, gdyby wampiry oblewały się pąsem, jego twarz jarzyłaby się jak czerwone światło ulicznej sygnalizacji. O tym, że miał słabość do Wandy wiedziało niewiele osób, bo też kontakty towarzyskie były w ich świecie ewenementem, jednak Otto nie musiał silić się na interpersonalne kontakty, by wścibski Leon wyczał jego słabość. Wystarczyło, że mały drań mieszkał w rezydencji, a miał go jak na widelcu.

– Cóż? Nie ma o czym mówić. Po prostu... znamy się z Wandą tyle lat...

– Stary, przestań mydlić nam oczy. – Leon nie godził się na jego wykręty.

– Oj, nie migaj się, Otto – Bogusław trzymał ciekawską stronę młodego. – Wanda to fajna babka. Może wygląda trochę poważniej od ciebie, ale kto w dzisiejszych czasach na to patrzy?

– Hej, Sławek, nie pogrywaj sobie ze mną. Czy ja cię pytam o twoją kobietę?

– No, Sławka Kaśka też wygląda, jak jego starsza siostra, a w końcu jest od niego młodsza o jakieś tysiąc lat – śmiejąc się, dorzucił Leon niemal równocześnie.

– A pytaj, pytaj. Chłopie, jestem tak szczęśliwy, że chętnie się tym szczęściem z tobą podzielę – podchwycił Bogusław entuzjastycznie, pomijając milczeniem uwagę Leona.

– Cholera, ty nie jesteś normalny – zawyrokował Otto, spoglądając na starego wampira spode łba. – Ja tam wolę zachować swoje sprawy dla siebie.

– To takie cholernie wampirze – skomentował lakonicznie Marek, wciąż kręcąc w dłoni chyba już parujący koniak.

– A ty siedź cicho, człowieku – warknął na niego Otto. – Znajdź sobie najpierw jakąś ponętą wampirzycę, wtedy będziesz mógł się wtrącać do męskich rozmów.

Zaśmiali się. Sytuacja zgoła kuriozalna? Z pewnością. Trzej mężczyźni Rodzaju i człowiek siedzieli przy szklaneczce i zwyczajnie, po kumplowsku gawędzili. Świat zmieniał się na ich oczach, a oni całkiem nie zamierzenie stali się trybikami napędzającymi te zmiany.

Rozdział 26

Od pamiętnej gorącej nocy z Kaśką minęło kilka ładnych tygodni. Bogusław, nie czekając na nadejście mroku, zrywał się teraz ze snu o dobrą godzinę wcześniej niż zwykle. Zewnętrzne rolety i gęste zasłony zapewniały mu bezpieczeństwo. Szybka toaleta, błyskawiczna krowa Mary oraz długi czas spędzony przed szafą i lustrem, by wyglądać jak najlepiej, a wszystko po to, żeby z ostatnim słonecznym promieniem zbiec do hali garażowej i ruszyć na Prusa.

Starał się nie przepuścić żadnej okazji, by spotkać się z Kaśką, co w praktyce oznaczało, że bywał u niej niemal codziennie. Niemal, bo niestety problemy związane z bractwem wciąż jeszcze nie były rozwiązane. Chciał nie chciał, bezpieczeństwo wielu nieumarłych i ich śmiertelnych partnerów spoczywało między innymi w jego rękach i było w tym momencie sprawą priorytetową. I niezależnie od tego, jak bardzo nowa namiętność zawróciła mu w głowie, musiał rozróżnić te dwie rzeczywistości. A w Mrocznym Świecie obowiązkiem Bogusława było doprowadzić kwestię zabójstw i bractwa do końca.

Pojawiał się więc na Prusa, gdy tylko słońce chowało swą płomienną głowę za horyzontem. Niekiedy przynosił kwiatki lub czekoladki dla Kaśki, albo drobiazgi dla dzieciaków, i z każdym wieczorem coraz bardziej się zadamawiał. Nieraz wpadał na krótko, po czym znikał, by pograć się w koszmarnych tajemnicach swojego kręgu, nieraz po prostu wyjeżdżał na miasto popracować, a niekiedy zostawał niemal do świtu. Wtedy bawił się przez jakiś czas z dziećmi skwapliwie egzekwującymi od niego każdą minutę, póki pora snu nie zapędzała ich do łóżka, a potem spędzał kilka upojnych godzin w towarzystwie jedynej kobiety, która poruszyła jego uszione od setek lat serce. Bywało, że Kaśka siadała do pianina, sprawiając mu tym ogromną przyjemność, choć śpiące w przeciwległym końcu mieszkania maluchy, znacznie ją ograniczały. Kiedy indziej oddawali się rozmowom, czasem pieścili i całowali, ale nigdy nie posunęli się dalej. Bogusław nie naciskał. Zdawał sobie sprawę, że Kaśka potrzebuje czasu, by oswoić się z nim, z jego naturą, z sytuacją, z nowym wyzwaniem jakie stawiało przed nią życie. Wiedziała o bractwie. Musiał jej powiedzieć. To była zbyt poważna sprawa, by przemilczeć ją dla ewentualnych własnych korzyści. Zaryzykował wszystko i się nie zawiódł – kobieta znów wykazała się zaskakującą wyrozumiałością.

– To jest zagrożenie dla mnie i dzieci? – zapytała poważnie, gdy skończył wyjaśniać czym jest IN NOMINE PATRIS.

– Nigdy nie pozwolę, żeby bractwo wam zagrażało.

– Ale sama znajomość z tobą już stwarza dla nas zagrożenie z ich strony.

– Nie, póki się o nas nie dowiedzą. Dlatego nie mieszkamy razem, nie wychodzimy razem, nie pokazuję się z tobą, ani dziećmi w miejscach publicznych. W naszym świecie nie ma układów towarzyskich, więc krąg osób, które o nas wiedzą też jest bardzo ścisły i tylko dlatego, że się asekuruję, ujawniłem to przed Leonem i Markiem. Wie jeszcze Otto. Poza tą trójką nikt inny nie powinien zdawać sobie sprawy z naszej zażyłości.

– Nie powinien?

– Mam na myśli, że nikt inny nie dowiedział się o tym ode mnie. Z tą trójką pracuję nad śledztwem, stąd Otto też musiał zostać wtajemniczony. Jeśli on nie powiedział o tym Chwalimirowi, to krąg zaznajomionych z naszą sytuacją ogranicza się do tych trzech mężczyzn. A Chwalimir... jest królem. Powinien wiedzieć wszystko, więc prawdopodobnie Otto powierzył mu moją tajemnicę.

Kaśka pokiwała głową ze zrozumieniem. Siedzieli przy kuchennym stole. Ona jadła kolację, a on przyglądał się jej z uwielbieniem. Lubił patrzeć, jak je. Może dlatego, że sam od

stuleci nie mógł delectować się ludzkim posiłkiem?

– Współczuję twojemu przyjacielowi. To musi być straszne. Stracić najbliższą osobę, na dodatek w taki makabryczny sposób. – Pokręciła głową wyraźnie przybita okrutną tragedią, która spotkała Marka.

– Nie zdręczaj się tym, kochanie. Na to, co do tej pory niosła ze sobą działalność bractwa, nie mieliśmy wpływu, ale wierz mi, że robimy wszystko, aby nie dopuścić do kolejnych zabójstw. Teraz to jest też moja osobista walka – dodał po chwili, ścisząc głos.

Tę rozmowę odbyli jakiś tydzień temu i od tego czasu nie wracali już do tematu. Ale Bogusław był pewien, że Kaśkę dręczą wątpliwości. Potrzebowała czasu, by się z tym oswoić i odnaleźć miejsce dla siebie i dzieci w Mrocznym Świecie, z jego makabrycznym obliczem, które teraz szczyrzyło drapieżne kły na każdego, kto chciał okazać odrobinę więcej człowieczeństwa, niż nakazywała natura Rodzaju.

Na szczęście Bogusław miał czas – cierpliwie czekał, aż ponurą rzeczywistość jego świata przyćmią kolejne pogodne spotkania. Co wieczór zjawiał się więc i dawał z siebie wszystko, by kobieta przestała zdręzczać się przykrymi rozważaniami. Zabawiał ją dobrym humorem, delikatnymi pieszczotami, czasem swawolną adoracją. Wiedział, że kiedyś musi nastąpić moment, w którym Kaśka znów będzie radosną, ciepłą kobietą, gotową na kolejny krok. Dlatego, gdy tego wieczora nieoczekiwanie zaproponowała, by został z nią na noc, osobliwy grymas zaskoczenia mieszającego się z błogostanem przemknął przez jego oblicze. Co wieczór marzył o tej chwili i o tym, co nastąpi potem, a kiedy nadeszła, nie wiedział, czego właściwie Kaśka się po nim spodziewa. Do tej pory była miła, zaangażowana i nawet bardziej niż chętna, ale zawsze, gdy docierali do pewnej granicy, powstrzymywała się przed zrobieniem kolejnego kroku. Nigdy więc nie zaszli tak daleko jak wtedy, gdy przyszła do niego po raz pierwszy, zdeterminowana, by mu się oddać. Oczekiwała czułości, pieszczot i namiętności, ale nigdy ekstazy. Jakby bała się tego co potem. Nigdy też nie zaprosiła go do swojej sypialni. Może po prostu krępowała się obecnością śpiących za ścianą dzieci? A może faktycznie potrzebowała więcej czasu.

Właściwie nie był pewien czy dzisiejsza propozycja dotyczy tylko wspólnej nocy, czy może tym razem posunąć się dalej i znów przeżyją cudowne chwile rozkoszy. Trzeba będzie pójść na żywioł.

Jeszcze nigdy sypialnia na Prusa nie zdawała się Kaśce tak zmysłowym miejscem jak dziś. Owszem – przeżyła tu niejedną nieprzespaną noc z Jackiem, ale nie było w tym zmysłowości. Ot, zwyczajny małżeński seks – pospieszny, zdawkowy, bez polotu i zbędnych emocji. Ciekawe, czy z Martą też jest taki? – jątrzyła jej podświadomość. Teraz jednak pojawiał się mężczyzna, który wiedział, jak okazać czułość i pożądanie. O polocie nie wspominając – uśmiechnęła się w duchu. Mężczyzna, który wchodząc do sypialni, sprawiał, że Kaśka dostawała gęsiej skórki, a jej wnętrze iskrzyło podnieceniem. Tego jej było trzeba, by znowu poczuła się kobietą. Dlatego właśnie półnagi Bogusław leżał teraz obok niej na miękkiej poduszce i zabawiał ją pieszczotami, pomrukując kusząco. Gładził jedwabiste, rude loki, czując, jak podniecenie rozwija w nim skrzydła niczym zrywający się do lotu, wygłodniały drapieżnik. Jeszcze chwila i ta niepozorna pieszczota przerodzi się w szaleńczy żywioł. Uniósł się na łokciu i spojrzał w delikatną twarz kochanki. Opromieniał ją rozmarzony uśmiech, a lekko przymknięte powieki nie pozostawiały wątpliwości – też oczekiwała uwolnienia drzemiącej w niej namiętności. Jego oczy delikatnie połyskiwały srebrem, a dzikość drapieżcy wypłynęła na spokojne oblicze. Gdy pochylał się nad nią, by w gorącym i pełnym pożądania pocałunku przejść wreszcie do sedna, głośny dzwonek leżącego na nocnym stoliku telefonu wyrwał ich z wiele obiecujących objęć i przywołał do szarej rzeczywistości.

Napis JACEK nie pozostawiał wątpliwości. Szlag by... – zakłęła w duchu Kaśka, wściekła na byłego męża, który właśnie w tym najmniej odpowiednim momencie miał ochotę na pogaduszki.

– Jacek? Co się stało?! – zapytała z niepokojem. Bo, że coś się stało, było oczywiste, skoro zdecydował się zadzwonić dobrze po dwudziestej trzeciej.

– No wiesz, nic. To znaczy niby coś, ale... – zaczął się plątać, ale nie dane mu było dokończyć.

– Jacek! Mów, do cholery! – zażądała, zdecydowanie przerywając niejasny bełkot. – Przystań się jękać i powiedz, o co chodzi!

Chryste! I on jest świetnym prawnikiem, którego nikt nie jest w stanie przegadać?! Pokręciła głową poirytowana. Jej irytacja wzrosła jeszcze, gdy na ramieniu poczuła gorący dotyk męskiej dłoni. Jeśli miał ją uspokoić, to cholernie chybiony pomysł. Skutek był zdecydowanie odwrotny – dreszcz pożądania przeszył ciało Kaśki, wzmagając jej zniecierpliwienie. Gwałtownym ruchem odwróciła się plecami do Bogusława. Musi jak najszybciej dowiedzieć się, co takiego „nic się nie stało”, a potem odda się w opiekę tym gorącym dłoniom.

– Dobra, Kaśka – zaczął Jacek nieco pewniej, słysząc jej determinację. – Nie mogę zabrać dzieciaków na te wakacje w przyszłą sobotę.

– Co?!

– No. Nie mogę. Muszę odwołać ten wyjazd. – Głos mu drżał i odnosiła wrażenie, że jest mocno rozdrażniony.

Pewnie jakaś sprzeczka zakochanych – pomyślała, wiedząc, jak skory do zaczepek był jej eks małżonek, a ponoć temperamentna Marta też nie ustępowała mu pod tym względem.

– Ale co się właściwie stało? – dociekała stanowczo.

Pomijając dziwaczną godzinę, generalnie pora na taką rozmowę była mało stosowna. Do wyjazdu został tydzień, toteż niewiele można było zmienić, z drugiej zaś strony wiele mogło się w tym czasie wydarzyć, czyniąc obecną rozmowę bezprzedmiotową. Niemniej na ten moment wszystko było już zaklepane, maluchy w połowie spakowane i szalenie podekscytowane wyjazdem, a ich ojciec właśnie oznajmiał, że nie zamierza wywiązać się z danej im obietnicy. O co chodziło?

– Bo wiesz... – znów się jękał – Marta... jest chyba w ciąży... i źle się czuje, więc nie mogę jej narazić na trudy podróży i górskie wędrówki, a zostawić tu samej też nie mogę. Dzwonię już teraz, żebyś mogła coś wykombinować w zastępstwie.

W Kaśce zawrzało.

– Co takiego?! – niemal ryknęła do telefonu. – Chyba w ciąży?! Człowieku! W dwudziestym pierwszym wieku nie można być chyba w ciąży! O testach ciążowych słyszałeś? A o wysokiej klasy specjalistach i powszechnie dostępnym sprzęcie diagnostycznym? – Nie mogła powstrzymać sarkazmu. Nie w sytuacji, kiedy wszystko miała już związane na ostatni guzik i jak sądziła, jedynie ciężki kataklizm mógł pokrzyżować jej plany. Jak cholernie się myliła. Wystarczyła „chyba ciąża”, a wakacyjne plany jej i maluchów legły w gruzach. – Ciekawa jestem, jak mam to wytłumaczyć dzieciom? Co mam im powiedzieć? Nie jedzcie z tatą na wakacje, bo... bo co? – Pokręciła głową i zaśmiała się pogardliwie.

– Kaśka, przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś ty z nimi pojechała. Wszystko jest opłacone.

– Jacek – westchnęła ciężko. Nie pozostawało jej nic innego, jak uspokoić się i dojść z tym bałaganem do jako takiego porządku. – Ja mam już plany na ten czas i wiesz, że nie chodzę po górach. Poza tym dzieci mają mnie na co dzień przez cały rok. Ty widzisz je raz na miesiąc, nieraz rzadziej. One chciały jechać na tę wyprawę z tobą. Rozumiesz?

– Rozumiem, ale tak wyszło. Nic na to nie poradzę. – Nabierał swej rutynowej pewności.

Kaśka, choć wciąż zachowywała spokój, uśmiechnęła się zjadliwie. Czy wściekłość coś zmieni? Absolutnie nic. Pewnie i tak już podjął decyzję – szeptał jej rozsądek.

– Sądzę, że gdybyś to jeszcze raz przemyślała, znalazłbyś jakieś rozwiązanie. A przede wszystkim wyślij Martę do lekarza, może się okaże, że to przedwczesny alarm – mówiła spokojnie, choć wściekłość w jej głosie była tak intensywna, że gdyby fale głosowe przenosiły potencjał emocjonalny, Jacek po drugiej stronie słuchawki padłby teraz trupem.

– Kaśka! – obruszył się, przybierając doskonale znany jej, opryskliwy ton. – Ja już wszystko przemyślałem, a Marty nie będę nigdzie wysyłał. Niech sama zdecyduje. Nie będę na nią naciskał. Zresztą, to nie twoja sprawa. Przyjmij po prostu do wiadomości, że nie jadę i już.

– I dzwonisz właśnie w tym momencie, żeby mi to zakomunikować?! Pieprz się, dupku! – warknęła z wściekłością, rozłączając rozmowę i odrzuciła telefon na nocny stolik. Nim całkowicie opadła na miękką poduszkę, silne, gorące ramiona oplótły ją w zmysłowym uścisku. – Nie mam teraz ochoty na seks – burknęła, sama nie spodziewając się po sobie takiej reakcji.

– Ja właściwie też nie – odpowiedział spokojnie Bogusław, wciąż nie wypuszczając jej z objęć. O tym, że doskonale słyszał całą rozmowę i rozumiał jej wzburzenie nie trzeba nawet wspominać. – Ale mogę cię chyba przytulić? Tulenie jest kojące – dodał, nieznacznie manipulując jej emocjami. Nie znośił, gdy wzburzona nie radziła sobie z uczuciami.

– Możesz – odparła niechętnie.

Odwrocił ją delikatnie i przysunął bliżej siebie. Leżała więc na jego obnażonej piersi, a on tulił jej głowę tuż nad własnym, spokojnie bijącym sercem. Czuł, że emocje zaczęły z niej opadać, toteż wycofał się i gładząc ją po włosach, delikatnie pocałował w czubek głowy. Drgnęła.

– Nie podoba ci się, że cię tu pocałowałem?

– Nie, nie przeszkadza mi to.

– A jeśli pocałuję cię tu? – Cmoknął ją w skroń, swobodnie zmieniając przy tym pozycję.

– Nie, też nie.

– A tu? – Pocałował ją w policzek.

– Nie. – Pokręciła delikatnie głową i uśmiechnęła się do niego.

– A tu? – Teraz musnął ustami jej brodę.

– Też nie.

– A tu? – Uniósł się nad nią i wymownie spojrzał na jej usta. Hipnotyczny wzrok błękitno-srebrnych oczu zapał jej dech w piersi.

– Nie, absolutnie nie – wyszeptała.

Bogusław pochylił się powoli i delikatnie musnął jej dolną wargę, by po chwili unieść wzrok i spoglądając zachłannie, znów ją pocałować. Tym razem pocałunek był bardziej zdecydowany, jednoznaczny – nie delikatna, kojąca pieszczota, a zaranie budzących się żądz. Odpowiedziała, zapraszająco rozchylając wargi. Spragnione języki splatały się w żarliwej pieszczocie, ręce powędrowały za ich przykładem, oddechy zaczęły się zrywać. Nim się zorientowali, byli nadzy, a dziko pobudzony Bogusław leżał na drobnym ciele kochanki i napierał na nią w nie budzącej wątpliwości pozie. Już nie był w stanie ukryć swych intencji. Gorący członek prężył się niecierpliwie, kły połyskiwały pełną krasą, oczy nabrały blasku czystego srebra. Kaśka rozsunęła ochoczo nogi, a on wszedł w nią twardy i gotowy. Pojękując z rozkoszy, objęła go, splatając nogi na jego pośladkach. Zaczęli rytmicznie poruszać biodrami, coraz głośniej pojękując. Silne, głębokie pchnięcia doprowadzały Kaśkę na skraj erotycznego oblędu. Mocno zacisnęła palce na ramionach kochanka, wczepiając się w niego, gdy wysuwał się z niej, by po chwili powrócić z jeszcze większą pasją. W pewnym momencie Bogusław wysunął się z wilgotnego, gorącego łona partnerki i zachłysławszy się zapachem podniecenia,

zdecydowanym ruchem obrócił ją na brzuch. Chwilę gładził delikatne pośladki, delektując się widokiem. Uwielbiał te krągłości – były tak niesamowicie kobiece. Uniósł jej pupę do góry i energicznym, głębokim pchnięciem wszedł w nią od tyłu. Kaśka jęknęła rozpalona, ochoczo się wypinając. Wsparłszy się na wyprostowanych rękach, odrzuciła głowę na bok, sprawiając, że rude loki opadały, obnażając nęcący kark. Bogusław warknął wygłodniały – teraz również jego kły domagały się zaspokojenia. Ale w uszach wciąż brzmiało „tylko mnie nie gryź”. Zaborczo chwycił kuszące biodra i mocno przyciągnął do siebie. Pieprzył ją ostro, z uwielbieniem patrząc jak krągłe pośladki falują przy każdym jego pchnięciu. Pochylił się i wprawnymi palcami zaczął drażnić jej łechtaczkę. Coraz bardziej urywany oddech i ekstatyczne jęki Kaski zapowiadały bliskie spełnienie – jeszcze chwila, jeszcze kilka ruchów... i dojdzie.

– Nie tak szybko, skrzacie – wyszeptał, zabierając pieśczącą dłoń, by teraz głąskać prężące się przed nim plecy. – Poczekaj jeszcze chwilkę. Chcę cię czuć w ten sposób i chcę podziwiać ten fantastyczny tyłeczek, jak mi się oddajesz – szeptał zmysłowo.

Jego słowa, chrapliwy głos i delikatna pieszczota na plecach tylko podsyciły jej podniecenie.

– Oh! Oh! Jeszcze! Jeszcze! Taaak! – zaczęła zmysłowo zawodzić, ręce się pod nią ugięły i opadła głową na poduszki, otwierając się bardziej na jego pchnięcia.

Zwiększyli tempo, uderzając w siebie z impetem, a odgłos objijających się o siebie ciał i ekstatyczne jęki zagęszczały atmosferę. Bogusław położył dłoń u zbiegu jej pleców i pośladków i ledwie się zagłębiając, pieścił kciukiem analne wejście kochanki, pobudzając w niej dziewicze doznania. Drgnęła, niepewna czy chce tej pieszczoty. Wprawdzie poprzednim razem też pieścił tę okolicę, ale jakby mniej jawnie – przesuwający się między jej pośladkami penis nie był tak sugestywny. Teraz jego kciuk był jednoznacznym sygnałem. Nigdy wcześniej nie pozwalała dotykać się w ten sposób, uznając to za wulgarne i nieprzyjemne, może nawet bolesne, ale ten mężczyzna sprawił, że zaczęła upatrywać w tej pieszczocie niemal psychodelicznej zmysłowości. Wsparta na łokciach, wsunęła rozwarte palce między kosmyki włosów i splatając dłonie, przesunęła na bok luźno opadające, kasztanowe loki, unosząc je wysoko ponad karkiem. Zwichrzone w kusicielskim nieładzie pukle, obnażony kark, smukła linia opadłych pleców, wystawione na niego, krągłe pośladki i rytmiczne, głębokie pchnięcia – Tak, kurwa! – ryknęło dziko jego libido, spychając Bogusława na krawędź erotycznego upojenia.

– Oh! Oh! Nie! Matko! Nie! Bogusław! Oh!

– O tak! Tak! Tak! Skrzacie! Ooo taaak!

Każdy wykrzyknik pieczętowany był głębokim, zuchwałym pchnięciem prowadzącym ich prosto na szczyt. Coraz bardziej nabrzmiały członek zaczął symptomatycznie pulsować w jej wnętrzu, a nieśmiały do tej pory kciuk wdarł się bezlitośnie, wysyłając nieznanne dotąd iskry rozkoszy wzdłuż kręgosłupa. Nie protestowała – już nie stanowiło to dla niej problemu. Przeciwnie – było zdecydowanie zmysłową i jakże stymulującą podniecią, gdy poruszał nim rytmicznie zgodnie z ruchami swego penisa.

Orgazm wystrzelił w obojgu niczym sylwestrowe fajerwerki – silny, nieokiełznany, gorący i cholernie satysfakcjonujący. Gdy ostatnie drgawki rozkoszy przygasły, opadli na łóżko, dysząc z wciąż tłącej się w nich przyjemności. Bogusław delikatnie zsunął się z Kaśki, oswobadzając jej plecy z ciężaru swego torsu, choć jego członek nadal tkwił w jej wnętrzu, lekko pulsując. Uwolnił jej tyłeczek od swojego kciuka, a grymas satysfakcji przemknął po jego twarzy. Był pewien, że tą pieszczotą sprawił jej ogromną przyjemność. Sam też czuł ruchy swego palca w jej wnętrzu przy każdym kolejnym pchnięciu, nakręcając tym swoje podniecenie.

– A mówiłam ci, że nie mam ochoty na seks – wydyszała szeptem, błogo się uśmiechając.

– Wiem. Ja właściwie też nie miałem.

Roześmiali się, wiedząc, że tak naprawdę żadne z nich nie przepuściłoby tak fantastycznego bzykanka. Kaśka wygramoliła się spod Bogusława i przewróciła na plecy. On wciąż leżał na brzuchu w rozkosznej pozie spełnionego faceta. Nie mogła się powstrzymać, by nie zmierzić tych cudownych, płowych włosów opadających mu lekko na policzek. Piękne kły drapieżnika zaczęły się cofać, a srebrzysta poświata w spojrzeniu przygasać. Widok tego do bólu olśniewającego mężczyzny... łał. Kaśka spojrzała na niego rozmarzona.

– Zawsze będzie tak fantastycznie? – spytała niepewnie.

– Jak długo tylko będziesz chciała – wyszeptał. – Jestem do twoich usług, pani. Przez całą wieczność. – Uśmiechnął się, a w jego spojrzeniu odbijało się całe oddanie dla niej; cały zachwyt i pożądanie.

– Chyba nie jestem jeszcze gotowa na poważne deklaracje.

– Wiem. Możemy z tym poczekać.

Objął ją jedną ręką, przyciągając do siebie, a drugą czule głaskał po udzie. Raczyli się sobą, póki sen nie wkradł się cichcem do ich sypialni.

Odgłos otwieranych drzwi i tupot małych stópek na podłodze wyrwały Kaśkę ze snu. Nim zorientowała się, że nadal leży w ciasnych objęciach Bogusława, Pawełek już wpętał pod ich kołdrę. Cholerka! – panikowała w duchu. Oczami wyobraźni widziała zdegustowaną minę małego, gdy zorientuje się, że leżący obok niej mężczyzna, nie jest jego ojcem. Jasna cholerka! W dodatku oczywiście nie może go teraz obudzić, nawet zaciemniających pokój zasłon nie można rozsunać, by nie wyrządzić mu krzywdy. Jasna, jasna cholerka! Ale przede wszystkim... byli nadzy. Jasna, jasna... jasna cholerka! Otuliła się szczelniej rąbkiem kołdry, nie przejmując się, że tym samym bardziej odsłania nagi tors kochanka. W końcu facetowi obnażona pierś bardziej ujdzie płazem.

– Cześć, mamó. – Mały miał radosny głosik. – Strasznie długo spałaś, ale to fajnie, my też sobie mogliśmy poleniuchować.

– W końcu wakacje, no nie? – zagadnęła niepewnie.

– Nooo, fajnie. – Smyk głębiej wgramolił się do łóżka, wpychając swoje drobne ciało obok Bogusława, by znaleźć się bliżej matki. Przelotnie rzucił okiem na twardo śpiącego mężczyznę i wygodnie usadowił się na swoim miejscu. – Pan Sławek jeszcze śpi? – zapytał, jakby normalnym było, że Bogusław leży w łóżku razem z jego matką.

–Yhm, no cóż... – Nie wiedziała, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji. – Był bardzo zmęczony, więc chyba jeszcze trochę sobie pośpi. Ale my możemy wstawać i szykować śniadanie. Jesteś głodny? – zapytała, zmieniając temat. – Może jajecznica na szyneczce ze szczypioreczkiem dla mojego małego mężczyzny, co? – Złapała syna za ramionka i mocno przytuliła, wyciskając na jego główce siarczystego całusa.

– Oooo, pewnie i wiesz co mamusiu? Chętnie ci pomogę, a jak pan Sławek się obudzi, to śniadanie już będzie na niego czekało.

Cholerka!

– Myślę, że pan Sławek tak szybko się nie obudzi i wiesz co? Nie będziemy się tym przejmować. Jak już się wyśpi i wstanie, to wtedy razem zrobimy mu coś fajnego do zjedzenia.

Jasna Cholerka! Jak wytłumaczyć malcowi, że całe jedzenie, jakie mogą zaoferować „panu Sławkowi”, to woda i...? Bezradnie pokręciła głową. Okej, pogłówkujemy nad tym później.

– Chodź, sprawdzimy co robi twoja siostra – rzuciła, znów zmieniając temat.

– Maluje.

– Co?! – Kaśka poderwała się na równe nogi, przy okazji wprawnym ruchem zarzucając na siebie nocną koszulę.

„Maluje” oznaczało porozchlapywaną wodę i wymażgane farbami wszystko dookoła, jeśli uprzednio nie przygotowało się dziecku odpowiedniego miejsca pracy.

– Maluje. Rozłożyła się na podłodze i maluje. – Mały łobuziak chichotał, świadom narastającego niepokoju matki.

Jeśli Kaśka miała jeszcze jakieś wątpliwości, czy wstawać tego dnia z łóżka, to właśnie rozwiały się z siłą huraganu. Wypadła z sypialni jak przysłowiowa torpeda i pognała do dziecięcego pokoju, by osobiście dokonać inspekcji i oszacować rozmiar zniszczeń. Podekscytowany impulsywną reakcją rodzicielki Pawełek ochoczo tupał tuż za nią. Uff – jęknęła, zamaszycie otwórz drzwi, stając w progu dziecięcego pokoju. Wprawdzie Agatka faktycznie dawała upust swej malarskiej pasji, szerokim gestem prowadząc pędzel po niewielkiej kartce papieru, ale leżący pod kartką dywan, zabezpieczał przed nadmiernym rozmachem małej artystki rozłożony starannie kąpielowy ręcznik, który jeszcze wczoraj wieczorem wisiał w łazience. Okej, ręcznik z pewnością szybciej da się doprowadzić do porządku niż zamalowany plakatówkami dywan. Zresztą, w ostateczności zawsze można go wyrzucić bez większych strat.

Początek lata był dość chimerny, ale z czystym sumieniem można było stwierdzić, że w przeciwieństwie do reszty kraju, całkiem solidnie rozpieszczało ono poznaniaków. Słoneczna pogoda sprawiała więc, że dzień zapowiadał się pierwsza klasa, ze wspólnym leniuchowaniem w zanadrzu. Bo w końcu jak inaczej spędzić pierwszy dzień wakacji?

Jeszcze przed wyjściem Kaśka upewniła się, że zrobiła wszystko, by zapewnić bezpieczeństwo Bogusławowi. Gdy w korytarzu dzieciaki wciągały sandaalki i kolorowe czapeczki, ona poszła do sypialni i spuściła zewnętrzną roletę. Rzadko z niej korzystała, bo lubiła poranne słońce baraszkujące po sypialni. Roletę zamontowali z Jackiem zaraz po kupnie mieszkania, tak na wszelki wypadek, gdyby kiedyś uznali, że chcą całkowitego zaciemnienia. Jak widać właśnie nadeszło owo „kiedyś”, sprawiając, że całkowite zaciemnienie okazało się zbawienne. Sprawdziwszy jeszcze raz, że nic mu nie zagraża, spokojna o bezpieczny sen kochanka, Kaśka wraz z dzieciakami ruszyła w miasto.

W niecałe dziesięć minut dotarli do uwielbianego przez maluchy starego ZOO. Bąble zawsze wynajdywały tu jakąś nową atrakcję, a ich największym zainteresowaniem cieszyły się najbardziej niepozorne stworzenia. Cóż, nigdy nie wiadomo, co tak naprawdę zachwyci dziecko. Przewędrowali niewielki ogród w tę i z powrotem, gawędząc, zatrzymując się od czasu do czasu przy co ciekawszym zwierzaku, a potem wsiedli w tramwaj i podjechali kilka przystanków, by na Starym Rynku w przykawiarnianym ogródku zjeść ogromne porcje lodów z bitą śmietaną i owocami. Przez cały czas Kaśka intensywnie kombinowała, jak wypełnić maluchom resztę dnia, by nie wracać do domu zbyt wcześnie. Ukrywanie nietypowego trybu życia jej nowego przyjaciela nie było łatwym zadaniem, zwłaszcza że Pawełek co chwilę dopytywał, czy jednak nie powinni wracać.

– Bo jak pan Sławek się obudzi, to może być mu przykro, że zostawiliśmy go samego – argumentował.

– Nie martw się, synku – uspakajała. – Zostawiłam mu wiadomość na stole w kuchni. Z pewnością zadzwoni, jak już wstanie.

Dobra, mogła go tak zwodzić przez kilka godzin, ale jak przetrzymać dzieciaka prawie do dwudziestej drugiej? Że też to cholerne słońce musi tak późno zachodzić! Na szczęście dla Agatki długotrwałe tułanie się po mieście i fakt, że Bogusław spał tak długo, nie stanowiło problemu. Przeciwnie – cieszyło ją wszystko, co razem robili, a marudzenie brata, którego wyraźnie niepokoił twardy sen pana Sławka, puszczała mimo uszu.

Po lodach było kino w Starym Browarze, a po kinie odrobina „trucizny” w tamtejszym fast-foodzie. I choć atrakcje tego dnia sypały się jak z przysłowiowego rogu obfitości, to jednak

nadszedł moment, w którym niepokojonej Kaśce wyczerpały się wszelkie pomysły na dalszą tułaczkę. W tych okolicznościach, koło dwudziestej, zrezygnowana postanowiła ruszyć w drogę powrotną. Niech się dzieje wola nieba – westchnęła bezgłośnie. Złapała brzdące za rączki i powędrowała w stronę Jezyc.

Niez mordowane maluchy były zachwycone tak doskonale spędzonym dniem. Nawet przemycona między atrakcjami wiadomość o odwołaniu przez ojca wyprawy w góry nie była w stanie zepsuć im humorów. Dla przyzwyczajonych do samochodu dzieciaków choćby przejażdżka tramwajem stanowiła nie lada rozrywkę i gdyby nie dręczący Pawełek niepokój o to, że pan Sławek wciąż nie zadzwonił, byłby to z pewnością jeden z jego ulubionych dni.

– Synku, daj spokój. Panu Sławkowi z pewnością nic nie jest, wierz mi. Czasem ludzie muszą trochę odespać. I tyle.

Co innego mogła powiedzieć? Tak po prawdzie brakowało jej pomysłu na logiczne wytłumaczenie całej sytuacji. I tak była zaskoczona, że Pawełek nie boczył się na nią za obcego faceta w jej łóżku. Booże! Obcy facet w łóżku! Co ja jeszcze zafunduję tym biednym brzdącom? Westchnęła przybita. Kurczę, dlaczego biednym?! Upomniała się po chwili i pokręciła głową wściekła na własną głupotę. Ich ojciec funduje im nową „mamusię” każdego miesiąca i dobrze. Nie przejmuj się, że dzieci widzą ich razem nawet w łóżku, a ja bicuję siebie mentalnie? Głupia baba!

Przekręcając klucz w zamku, modliła się w duchu, by Bogusław był już na nogach. Wiedziała, że to tylko pobożne życzenie, w końcu słońce miało jeszcze odrobinę czasu, ale co szkodzi pomarzyć?

W korytarzu panował wieczorny półmrok. Nic dziwnego skoro drzwi do pokoi od zachodniej strony były zamknięte, a wpadające z kuchni i małego gabinetu wschodnie światło było szarżale jak zawsze o tej porze. Tylko sypialnia miała dziwny układ i, mimo że usytuowana od wschodu, wieczorem łapała zachodnie światło odbijające się w szybach okien budynku na przeciwko. Teraz jednak zasłony w sypialni były zaciągnięte, a szczelna roleta zewnętrzna stała niewzruszenie na straży mroku, zatem z pewnością Bogusławowi nic nie groziło.

Kaśka zamknęła drzwi i zapaliła światło.

– No bąble, ściągając buty i do łazienki łapki myć – poleciała i nim dzieciarnia zorganizowała się, by wkroczyć do łazienki, sama umyła ręce i szybko zabrała się za przygotowywanie kolacji.

Piętnaście minut później wszyscy troje siedzieli przy kuchennym stole, a wymęczone dzieciaki z apetytem pałaszowały kolację, nieustannie paplając o superowym, jak to ujął Pawełek, dniu.

– Hej! – Bogusław stanął niepostrzeżenie w kuchennych drzwiach. – Jak minął dzień?

Na jego widok buźka Pawła rozpromieniła się, a Kaśkę ogarnęło dziwne uczucie ulgi. Chłopiec błyskawicznie zeskoczył ze swego miejsca i podbiegł do mężczyzny, chwytając go za rękę i prowadząc do stołu. Jeszcze dobrze nie usiedli, gdy mały gaduła zaczął ze szczegółami opowiadać, żalując jednocześnie, że Bogusław spał w tym czasie i nie mógł uczestniczyć wraz z nimi w tych wszystkich atrakcjach. Podekscytowana Agatka też co chwilę próbowała dorzucić kilka istotnych szczegółów do relacji brata.

– Więc było super – podsumował swoją opowieść ożywiony malec.

– No. I byłoby jeszcze suprzej, gdyby pan był z nami – dodała jego siostra.

Do diaska! Dzieciaki ewidentnie były spragnione ojcowskiej obecności, nawet jeśli w tej roli miał występować inny mężczyzna.

– A właściwie to dlaczego pan śpi, jak wszyscy inni nie śpią? – dociekał mały ciekawski, wpychając do ust kolejny kęs kolacji.

Kaśka zadrżała. Spojrzała na Bogusława z przerażeniem, nie mając pojęcia, jaka padnie odpowiedź. Wszak sama nie była pewna, co by odpowiedziała na tak bezpardonowo postawione pytanie.

– Taki mam tryb życia – odpowiedział Sławek łagodnie. – Widziałeś moją taksówkę?

– No pewnie, przecież jechałem nią do szpitala – mały odpowiedział zadziornie, nie do końca rozumiejąc, po co to pytanie.

– A widziałeś napis na niej? TAXI NIGTH, wiesz co to znaczy? Nocna taksówka. Od tak dawna jeżdżę nocami na mojej taksówce, że zupełnie poprzestawiał mi się czas. – Bogusław zaśmiał się, przyjaźnie spoglądając na malca. – Widzisz, mój mały przyjacielu, taki już mój los, że jak inni śpią, to ja pracuję, ale jak inni pracują, to ja sobie smacznie śpię.

Chyba nie tylko Kaśka usłyszała łomot spadającego z jej serca kamienia, bo w tym samym czasie, gdy ona odetchnęła z ulgą, Bogusław obdarzył ją ciepłym, mówiącym „nic się nie martw, wszystko jest pod kontrolą” spojrzeniem. Jego wytłumaczenie było banalnie proste i zaskakująco logiczne. Nie trzeba było wdawać się w paranormalne zawilości, żeby wytłumaczyć, dlaczego ten facet za dnia sypia kamiennym snem.

– To chyba jednak nie będę chciał być taksówkarzem – konkludował Pawełek w zamyśleniu.

– A rozważałeś taką ewentualność? – Zaskoczony Bogusław spojrzał pobłaźliwie na malca.

– No – padła bardzo stanowcza odpowiedź. – Kiedyś chciałem być prawnikiem jak tatuś, ale mamusia dużo przez to płakała i była smutna, więc zmieniłem zdanie. A jak pan jest przy mamusi, to ona się cieszy i jest szczęśliwa, więc chyba taksówkarze są fajni, a ja chcę być fajny.

Bogusław uśmiechnął się enigmatycznie, wymieniając z Kaśką porozumiewawcze spojrzenie, nim ta zwiesiła głowę zmieszana zdumiewająco dojrzałym osądem malca. Nie spodziewała się, że jej ośmioletni syn był tak doskonałym obserwatorem. I od kiedy tak wnikliwie przyglądał się temu, co działo się w domu? Przy kuchennym stole zapanowała nieprzyjemna cisza. I podczas gdy dzieciaki nie zdawały sobie sprawy, jak ważne były spostrzeżenia Pawełka, po głowach dorosłych gnały tabuny nieokiełznanych myśli. Trzeba było szybko działać, by drętwa atmosfera nie zasiadła z nimi do kolacji.

– No cóż, Paweł – Bogusław zaczął ratować sytuację – jesteś jeszcze bardzo młodym człowiekiem i wierzę, że przez następne lata znajdziesz godne siebie zajęcie.

– A ja będę malarką – wtrąciła się do rozmowy Agatka, wstając ze swojego krzesła i swobodnie gramoląc się Bogusławowi na kolana.

Kaśka, widząc spontaniczną reakcję córki, jednocześnie przypominając sobie jej nieugięty zapal do artystycznych form wyrażenia siebie, wybuchnęła rozluźniającym śmiechem.

– No co? – oburzyła się mała artystka. – Będę malarką, mamusiu.

– Oczywiście, słoneczko. Możesz być malarką, jeśli tylko zechcesz. No maluchy, a teraz zbierać się do łóżek. Po dniu pełnym wrażeń zdecydowanie zasłużyliście sobie na solidny sen.

Dzieci ruszyły posłusznie, acz leniwie w stronę korytarza, ale jak się okazało, nie wszystko jeszcze zostało wyjaśnione.

– A pan znowu będzie spał z mamusią? – spytał jakby nigdy nic Pawełek, przejawiając przesadną docieklivość w kwestii sennych perypetii Bogusława.

– No, no! Młody człowieku, nie jesteś aby za bardzo ciekawy? – skarciła go matka.

Maluch zrobił skruszoną minę. Otworzył usta, szykując się do przeprosin, lecz nim zdążył odpowiedzieć na karcący zarzut rodzicielki, Bogusław wszedł mu w słowo.

– Bardzo bym chciał. – Uśmiechnął się filuternie, spoglądając jednocześnie na Kaśkę. – Ale dziś muszę popracować, a jak skończę pracę, to wy już będziecie wstawać, więc chyba

pojadę odespać do własnego domu. Poza tym... – Znow rzucił jej znaczące spojrzenie. – Wasza mama pewnie chce trochę ode mnie odpocząć.

– Szkoda. – Chłopczyk zwiesił głowę prawdziwie strapiiony i odwrócił się w stronę łazienki.

– Ale wiesz co, mały przyjacielu? – rzucił Sławek nim Pawełek zdążył zrobić krok. Podszedł do malca, chwycił go na ręce i wprawnym ruchem posadził na stole, po czym pochyliwszy się nad nim, spojrzał chłopcu w oczy, a w jego spojrzeniu błyskały figlarne ogniki. – Mam propozycję. Może spędzimy razem wakacje? Wiesz, mam takie małe gospodarstwo w lesie, a w nim różne zwierzaki i jest tam niedaleko jezioro. Zapraszam was do siebie, wtedy będziemy mogli spędzić razem więcej czasu. Co ty na to?

– Super! – Pawełek zachłysnął się niespodziewaną propozycją, lecz jego reakcja była niczym w porównaniu z totalnym zaskoczeniem Kaśki, której oczy rozszerzyły się do rozmiaru pięciozłotówki.

– Bogusław, no coś ty? Nie możemy skorzystać z twojej propozycji – oponowała niepewnie, przywołując się do porządku.

– Dlaczego nie, mamusiu?

– No właśnie. „Dlaczego nie, mamusiu”? – Bogusław powtórzył po malcu, uśmiechając się szeroko i nim Kaśka zdążyła wyklarować w swej skołowanej głowie jakąkolwiek odpowiedź, wziął na ręce rozradowaną Agatkę i posadził obok brata.

– Sama nie wiem. Nooo... po prostu, nie możemy robić tobie kłopotu.

– To żaden kłopot, Kasiu. Zapraszam was i mam nadzieję, że się zgodzisz. Dzieciaki już się zgadzają. Prawda maluchy?

Chóralne „taak” było wystarczającym argumentem, by niezdecydowana matka obiecała przemyśleć sprawę.

– Pogadamy jutro, a teraz marsz do łazienki... i do łóżek oczywiście – rzuciła pozornie gniewne spojrzenie, a rozanielone perspektywą ekstra wakacji bąble pognały z piskiem do łazienki.

Kilka czułych uścisków i soczystych pocałunków później, Kaśka była już absolutnie przekonana co do zasadności spędzenia wakacji w leśnej chacie Bogusława. Obiecała zadzwonić nazajutrz do Jacka, by odwołał rezerwację niefortunnej wyprawy w góry.

Gdy w końcu żegnali się w korytarzu, Bogusław całował ją tak żarliwie, jakby nie mieli się nigdy więcej spotkać.

– Bogusław – zaśmiała się, uwalniając z jego uścisku – udusisz mnie tym pocałunkiem. Spojrzał poważnie, a potem złożył delikatnego, czułego całusa na jej czole.

– Co się dzieje? – Niepokój w jej głosie był aż nadto czytelny.

– Nie będzie mnie przez jakiś czas.

– To znaczy?

– Nie wiem dokładnie. Może... około tygodnia? – Wzruszył ramionami pozornie wyluzowany.

– Co się dzieje? Bogusław? – nalegała.

– Jesteśmy już blisko. No wiesz... z bractwem. Będziemy chcieli zakończyć tę sprawę.

– O mój Boże! – Utkwiła w nim strapiiony wzrok, jednocześnie dłonią przykryła usta. Nie potrafiła ukryć przerażenia.

– Nie martw się, skrzacie. Dam sobie radę.

– Obiecay, że wrócisz cały – zażądała z troską w głosie. – Nie wyobrażam sobie, żebym miała cię stracić. Nie teraz, kiedy... – Urwała, rumieniąc się płomiennie.

O w mordę! – zachłysnęło się męskie ego Bogusława, kwitując wymowne niedomówienie

Kaśki promiennym uśmiechem.

– Ja też – odpowiedział, po czym znów porwał ją w ramiona i mocno tuląc, całował, całował, całował.

Rozdział 27

Aż do dziś najważniejszym miejscem na mapie Polski była dla Rodzaju podwłocławska chata Marka – tajna baza, w której dwunastu nieumarłych i jeden śmiertelny łowca prowadzili intensywne śledztwo, by doprowadzić do wyeliminowania widma ostatecznej śmierci wiszącego nad głowami niepokornych wampirów. Teraz wiedzieli już wszystko co konieczne, i znając miejsce, w którym ukrywali się zabójcy, mogli wreszcie przypuścić atak i zlikwidować IN NOMINE PATRIS w załączku.

Zdeterminowani i gotowi do działania ostatnią naradę przenieśli do Poznania leżącego w połowie drogi pomiędzy bazą, a celem. W wyznaczonym terminie dwunastu mężczyzn Rodzaju jak jeden mąż stawilo się w podpoznańskich Chybach, znajdując gościnę w posiadłości króla protektora. Następnego wieczora wypoczęci i pełni zapału mieli przystąpić do operacji. Wspierający ich w walce łowca też zjawił się na czas.

Poza pierwszym spotkaniem, kiedy zjechali do chaty Marka dla wzajemnej prezentacji i ustalenia wspólnego frontu, nie mieli okazji na zebranie się w pełnym składzie. Fakt – pojawiali się tam całkiem regularnie, by omawiać bieżące sprawy z trzymającym rękę na informacyjnym pulsie łowcą, ale nigdy nie zjawiali się w komplecie. Teraz byli tu wszyscy bez wyjątku.

Bogusław celowo wyznaczył początek narady tuż po zapadnięciu zmroku – skoro mieli ruszyć na łowy, nie mogli tracić ani chwili. Od samego początku należało rzetelnie przyłożyć się do sprawy, w końcu czekała ich nieprzewidywalna akcja. Nie mogli dopuścić, by coś było niedopracowane czy nie do końca wyjaśnione. Zgrani i solidnie przygotowani – oto recepta na ich sukces. I nie ważne, że do tej pory byli w stałym kontakcie mailowym czy telefonicznym lub co jakiś czas w okrojonym składzie spotykali się w bazie – właśnie nadszedł czas, żeby wszyscy, absolutnie wszyscy, stanęli przy sztabowym stole i obrali wspólny kurs. Krótko mówiąc, pełen profesjonalizm bojowych jednostek operacyjnych nawet jeśli żaden z nich nie był nigdy członkiem takiej jednostki.

Z wybicciem dwudziestej pierwszej trzydziści otwarły się drzwi królewskiej sali narad, a stojący w nich Bogusław szerokim gestem zaprosił gości do środka. Punktualność była dla Rodzaju wartością przewodnią, stąd też wszyscy przybyli niemal równocześnie.

Pierwszy wszedł Stanisław – średniego wzrostu i średniej budowy, o szarawo-brązowych włosach i ciemnych oczach. Swym wyglądem ludzako przypominał groteskowego Dyzmę z kultowego serialu epoki świetlanego socjalizmu i podobnie jak owo krotochwilne indywiduum charakteryzował się ponadprzeciętnym sprytem życiowym gwarantującym przetrwanie nawet w najmniej sprzyjających warunkach. U jego boku stanęli Kirył i Piotr. Te trzy wampiry reprezentowały Ziemie Wschodnie, stąd też nie dziwił rosyjsko brzmiący Kirył. Na przestrzeni dziejów tereny wschodniego królestwa niejednokrotnie znajdowały się pod rosyjskim zarządem, a zwalisty mężczyzna o posturze niedźwiedzia i niedźwiedzio kudłatej czuprynie, z jasnymi oczami i nalany, rumianym obliczem świadczył o daleko posuniętej wśród Rodzaju wymianie kulturowej. Piotr z kolei był jego całkowitym przeciwieństwem. Drobnny, anemicznie biały chudzielec, z dużymi sińcami pod szarymi oczami przyciągającymi wzrok do jego kościstej twarzy, ginął w cieniu swego potężnego towarzysza.

Dalej do sali weszła grupa z Ziemi Północnych, potwierdzając etniczną różnorodność Mrocznego Świata. Na czele stał Gerard – wysoki, barczysty, rudowłosy Szkot o surowym obliczu, słynący z tężyzny fizycznej i nieugiętej woli walki. Za nim Roger i Kazimierz. I podczas gdy przeciętnie wyglądający, szczupłej budowy, z myszowatymi włosami Kazimierz był typowym polskim szarakiem, potężny Roger z kędzierzawą, blado-pomarańczową czupryną i

piegowatą twarzą, posturą i urodą przypominał swego dowódcę. Nic dziwnego, skoro obaj charakterystyczne cechy wyglądu zawdzięczali celtyckiemu pochodzeniu.

Ci dwaj Szkoci dotarli na tereny Królestwa Ziemi Północnych w XV wieku wraz z tysiącami im podobnych, kiedy to ożywione kontakty handlowe wywołane okresem zbożowej prosperity przyciągały do Gdańska szkockich kupców. Przybysze bez oporów asymilowali się z lokalną ludnością, a szkocki podróżnik William Lithgow pisał: „Ze względu na pomyślność powinienem Polskę nazwać Matką lub Mamką młodych ludzi i młodzieniaszków ze Szkocji, których wielka liczba przybywa tutaj co roku.”. W 1577 roku Stefan Batory nadał Szkotom przywileje dworzan królewskich, a asymilacja na przestrzeni stuleci doprowadziła do ujednoczenia ich cech genetycznych z cechami rdzennej ludności. Tak więc dziś po kraju krążyły niewyróżniające się z masy rzesze postasymilacyjnych potomków, jednak ci dwaj mężczyźni za sprawą przemiany zachowali swą tak odmienną od słowiańskiej, typową urodę przodków. Charakteryzowało ich więc swoiste piękno proporcjonalnych rysów i kontrastujących barw – płomiennie rude włosy, intensywnie jasno-zielone oczy i wampiryczna bledość oblicza sprawiały, że nieustannie przyciągali spojrzenia, zwłaszcza płci pięknej.

Za roslimi, urodziwymi Szkotami i mizernym Kazimierzem szło trzech kolejnych nieumarłych. Przewodził im przyjaźnie wyglądający Wojciech z nieustającym uśmiechem na twarzy. Spoglądając na niego, odnosiło się wrażenie, że nic złego w jego obecności nie może się wydarzyć, a świat od tego momentu z każdą chwilą będzie coraz lepszy. Poza osobliwą fizis Wojciech był absolutnie przeciętny, acz z wyjątkową bystrością umysłu i nieschematycznymi zdolnościami dedukcyjnymi. Prawdopodobnie dla tych przymiotów i umiejętności rozładowania pogodnym obliczem każdej napiętej sytuacji, król Ziemi Południowych uczynił go dowódcą. Tuż za nim kroczył rubasznie wyglądający Honza i skrajnie kontrastujący z nim, posępny Karol. To kuriozalne trio z Ziemi Południowych mogło zwieść każdego, ale mimo niemal błazeńskiej powierzchowności byli twardzi, nieugięci i konsekwentni do bólu.

Jako że wszyscy zdążyli poznać się tej pierwszej nocy w leśniczówce Marka, dziś nie tracili czasu na prezentacyjne wstępy. Że nie będzie spotkania z królem było oczywiste od samego początku. Nikt nawet nie napomknął o właścicielu posiadłości – nie przyjechali się gościć. Mieli diabelnie mało czasu i pilne zadanie do wykonania. Na biesiadowanie i etykietę przyjdzie czas, gdy sprawa zostanie rozwiązana i zamknięta raz na zawsze.

Przez minione miesiące każdy z zespołów na własnym terenie prowadził śledztwa, tropił posłańców i zabójców, przesłuchiwał świadków i chronił potencjalne ofiary. Dziś wszystkie te sprawy trzeba było połączyć w spójną całość. Polecając każdemu z dowódców przygotowanie pełnej dokumentacji, Bogusław już wcześniej zadbał, by ta ostatnia narada przebiegała sprawnie, bez zbędnej krzątaniny. Teraz dokumentacja leżała na stole, czekając na stosowny moment, by ją wykorzystać. Termokubki z ciepłą krwią zabezpieczały ewentualny głód potrafiący zmącić nawet najtwardszy umysł, a przy potężnym, centralnie ustawionym stole w królewskiej sali obrad, gdzie utworzono coś na kształt tymczasowej siedziby operacyjnej, zwarty i gotowy sztab kryzysowy przystąpił do pracy.

Zajmujący miejsce na szczycie stołu Bogusław wstał i wspierając się na obu rękach w pozie wodza, zarządził:

– Dobra, panowie. Zbierzmy do kupy wszystko, co mamy.

Przez następną godzinę toczyli konstruktywną naradę. Dowódcy zespołów kolejno przekazywali informacje, które w dużej mierze pokrywały się z wymienianymi wcześniej przez koordynatorów. Teraz zebrane dawały całkiem pokaźny zasób wiedzy, a najistotniejsze z nich dotyczyły siedziby bractwa.

– Więc jesteś absolutnie przekonany, że wystarczająco manipulowaliście tym

człowiekiem, by wykryć ewentualne oszustwo?

– Tak. Na sto procent – odpowiedział Wojciech. – Jest niemal pewne, że to zasadzka, ale informacje o lokalizacji są absolutnie miarodajne.

– Dobra, w takim razie robota Marka nie poszła na marne i wygląda na to, że wreszcie posuniemy się do przodu. Jak dobrze pójdzie, panowie, to jutro zamkniemy sprawę.

– Jakieś techniczne szczegóły akcji? – dociekał Gerard.

– Cóż, każdy z nas... no prawie każdy – tu Bogusław rzucił spojrzenie Leonowi, a potem równie wymownie spojrzął na Kiryła – jest wojownikiem. Co prawda dawno nie toczyliśmy żadnych walk, ale takich umiejętności się nie zapomina. Wielu z tych ludzi, to zwykli mnisi ze zmanipulowanymi umysłami, a nie wojownicy...

– Z tego co wiemy, są szkoleni do walki – wszedł mu w słowo Roger.

– Zgadza się, ale chyba nie mogą się z nami równać. Jak wielu ludzi zabiłeś we wszystkich potyczkach, w których brałeś udział?

Roger nie odpowiedział, tylko, wzruszywszy ramionami, znacząco pokiwał głową.

– No właśnie. Każdy z nas ma na swoim koncie wiele ściętych głów. Oni z pewnością nie. Mają tylko trening. Oczywiście nie wolno nam tego lekceważyć, ale po naszej stronie jest szybkość, siła, doświadczenie w zabijaniu i przede wszystkim element zaskoczenia. Nawet jeśli to zasadzka i spodziewają się naszego nadejścia, to nie wiedzą kiedy.

– Dobra, jaki plan? Dokładnie. Wyrzynamy ich w pień? – W głosie Kiryła pobrzmiwało szyderstwo.

– Absolutnie nie! – ryknął Bogusław, ignorując jego ironię. – Wyrok jest tylko na tego zwyrodnialca Olafa i na zabójców. Resztę trzeba będzie „przeżyścić”, a nawet jak się da, to zafałszować ich wspomnienia. Kurde, Kiry! To jeszcze dzieciaki! Otumanione, zmanipulowane dzieciaki. – Otrząsnął się z niechęcią, spoglądając na pyzatego wampira i jego głupawy uśmiezek na rumianej twarzy.

– A więc Olafa likwidujemy na miejscu, jeśli tylko się uda? – upewniał się Piotr.

– Tak. Zdecydowanie tak. Nie możemy ryzykować, że nam umknie. Kto będzie miał okazję go zabić... – Bogusław zawiesił głos, wzruszając ramionami – niech zabija.

– Cholera, stary. To człowiek. – W głosie Leona słychać było niepewność.

– Tak, wiem. Ale na wsparcie ludzkiego wymiaru sprawiedliwości i uczciwy proces nie możemy sobie pozwolić... tak dla twojej wiadomości – dodał, wymownie spoglądając na przyjaciela.

– Absolutnie zgadzam się ze Sławkiem i z tym wyrokiem – odezwał się milczący dotąd Marek. – Ta kanalia przestała funkcjonować w ludzkich realiach. Odkąd wkroczyła do Mrocznego Świata, podlega naszym prawom.

– Naszym? Nie zapędziłeś się za bardzo... człowieczku?

– Dość! – ofuknął Kiryła jego dowódca. – Co się z tobą dzieje?! Przestań się zachowywać jak podchmielony watażka!

Rosjanin skinął posłusznie, a jego oblicze nabrało wyrazu pozornej powagi.

– Skoro mogę już kontynuować... – Bogusław posłał ostre spojrzenie w stronę pyzatego wicherzyciela. – Wyroki wydał Konwent Monarchów, a ja zostałem upoważniony do tego, by je wam przekazać.

Zebrani spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Konwent Monarchów? Ciekawe – snuł domysły Roger.

– Wiem o czym myśleliście, ale tak, wasi królowie też wydali ten wyrok. To, że Chwalimir jest protektorem, nie znaczy, że nie liczy się ze zdaniem pozostałych monarchów. Mamy czas pieprzonego kryzysu i super, że facet wziął sprawy w swoje ręce, ale jak to wszystko

się skończy, nasz świat wróci do normy i wtedy królowie odzyskają swoje uprawnienia. Chwalimir musiałby być idiotą, by ich teraz lekceważyć i robić sobie z nich wrogów. To by było bardzo krótkowzroczne. Nie, panowie. Nasz Chwalimir to roztropny monarcha. Nie popełnia takich błędów.

Milczeli, niemal niezauważalnie kiwając głowami. Przez moment zdawali się nieobecni, jakby zastygli w nienaturalnej martwocie, rozmyślając nad dosadnymi słowami Bogusława, by po chwili zwyczajnie powrócić do tematu narady. Ot, wampirza reakcja.

– A co wiemy o zamku? Jeżeli mamy sprawnie przeprowadzić akcję...

– Masz rację, Kirył – przerwał mu Marek niezrażony porywcznością krnąbrnego wampira.

– Zamek, to moja działka i wierz mi, że przekażę wam wszystko, co wiem. Też chcę wyjść z tego cało. – Chwycił do ręki pilota i wcisnął przycisk. Z ledwie zauważalnej szczeliny w suficie wysunął się ogromny ekran, a palące się światła zaczęły stopniowo przygasać, by w końcu zgasnąć zupełnie. Na ekranie pojawiła się ogromna mapa Polski, na której łowca laserowym wskaźnikiem kilkakrotnie obwiodł punkt symbolizujący położenie Poznania. – Stąd ruszamy – rzucił, po czym obwiodł kolejny na południowy zachód od poprzedniego. – A to jest nasz cel. Gościszów. A w nim ruiny zamku, w podziemiach których ukrywa się wielogłowa hydra.

– Wielogłowa hydra? Co ty pieprzysz człowieku? – dociekał Kirył w mało subtelny sposób.

Marek westchnął zrezygnowany.

– IN NOMINE PATRIS, gamoni – dorzucił już w myśli. – A wielogłowa, bo na czele stoi Olaf, ale wspierany przez kilku zabójców. Wystarczająco jasno wyluszczyłem? – spytał, z powątpiewaniem spoglądając po reszcie. Mężczyźni, nawet jeśli wcześniej mieli podobne co Kirył wątpliwości, teraz kiwali głowami ze zrozumieniem, nie ośmielając się już odezwać. – Dobra – kontynuował Marek, widząc w ich spojrzeniach oczekiwanie. – A więc mamy... hydrę... w ruinach. My musimy się tylko tam dostać i urwać łby tej cholерnej poczwary.

Dalej nastąpiła prezentacja pokazowej galerii zdjęć, ukazujących ruiny w najróżniejszych odsłonach. Po nich kolejne prezentowały każdy najdrobniejszy szczegół, mogący mieć znaczenie dla operacji. Ogólnie rzecz ujmując, zamek był w opłakanym stanie, prezentując sobą żalosne rumowisko. Przeróżnej maści architektoniczne detale, które kiedyś dodawały blasku zamkowi, teraz wały się wokół, będąc ohydną karykaturą jego dawnej świetności, i piętrzyły się na porośniętym chwastami zwalisku. To urągające zabytkowi śmietnisko wieńczyły szkarzaty szkielet murów, będących niegdyś okazałym zamczyskiem. Krasy nie dodawał też obraz szerokiej fosy, równie zapuszczonej jak każdy inny fragment tej budowli.

– Cholera, fosa – jęknął Gerard.

– No, jest to pewnego rodzaju utrudnienie – zgodził się Bogusław. – Należy się spodziewać, że lochy będą albo znacznie głębiej, albo znacznie dalej, niż byśmy tego chcieli.

– Ale musimy przejść przez ruiny. Tak sędzę. – wtrącił Marek. – Nie ma opcji, żeby podziemia zaczynały się gdzieś poza nimi – wymamrotał, drapiąc się po brodzie jakby w zamyśleniu. – Cholera, przeczesałem tę okolicę wszędy i wzdłuż. Za dnia. Na tyle, na ile się dało, oczywiście – dodał. – Nic nie znalazłem.

– Za dnia i nic nie znalazłeś?! – Honza nie ukrywał irytacji.

– Weź pod uwagę, że miałem ograniczone możliwości poszukiwań. To ludzie. Wtedy, kiedy ja kręciłem się po okolicy rumowiska, oni też byli aktywni. Musiałem udawać zapaleńca zafascynowanego zamczyskiem, żeby nie nabrali podejrzeń.

– W takim razie musimy tam dotrzeć na tyle wcześnie, żeby mieć osłonę nocy, jak będziemy przeczesać ruiny – zauważył Piotr.

– To jednak zakon – wtrącił Otto.

– No i?

– Pamiętaj, że zakonnicy wstają wraz ze wschodem słońca, a noc jest cholernie krótka. Jeśli do tego czasu nie znajdziemy włazu, możemy odpuścić. Wywieszają nas.

– Tak czy siak – znów odezwał się Marek – trzeba będzie rozejrzeć się na miejscu. Nie możemy dłużej czekać. Musimy polegać na waszych wyostrzonych zmysłach. Z pewnością znajdziecie to, co ja mogłem przeoczyć.

– Kurwa! Nie mogłeś puścić któregoś z nas na zwiad?! Teraz nie byłibyśmy w czarnej dupie – wściekał się Kirił. – Tak to jest, jak się ważne sprawy powierza śmiertelnikom. Cholera, na nich nigdy nie można polegać – westchnął teatralnie i machnął ręką zrezygnowany.

– Kirił, opanuj się – wysyczał przez zęby Stanisław.

– Nie. Nie mogłem puścić na zwiad któregoś z was – warknął jednocześnie rozdrażniony łowca. – Uznałem, że lepiej nie kręcić się za dużo koło ruin. Wzbudzanie ich czujności nie leży w naszym interesie, nie sądzisz? Poza tym jestem pewien, chłopaki, że dacie sobie radę – dodał już zupełnie spokojnie, z zadziornym uśmiechem na ustach.

– Ważne, że mamy namierzony cel i wiemy, z ogromnym prawdopodobieństwem, że właśnie teraz są tam wszyscy. Tak wynika z raportu przesłuchania więźnia. – Trzymając w ręce rzeczony raport, Bogusław spojrzał na Wojciecha, szukając u niego potwierdzenia. – A swoją drogą... nie mogliście wyciągnąć od jeńca, jak dostać się do środka? – Przebiegł wzrokiem trzymany w ręku świstek. – Przecież nic prostszego. Teraz nie musielibyśmy główkować, jak się spać, żeby zdążyć przed świtem i znaleźć ten cholerny właz. No i Kirił byłby spokojniejszy – dodał, uśmiechając się do Rosjanina kąśliwie.

– Nie dało się – mruknął Wojciech niepewnie. – Gość kompletnie nie jarzył wejścia. Jakby ktoś wyczyścił mu pamięć.

– Że co?! – ożywił się Leon.

– Daj spokój, młody – studził jego zapal Otto. – Teraz to i tak nic nie zmieni.

Wszyscy wiedzieli, co sugeruje enigmatyczna uwaga Wojciecha, ale to był problem do rozwiązania na inny czas.

– Samochody zostawimy tu. – Łowca, pozostawiając sugestywne niedomówienie bez komentarza, znów umieścił na mapie laserowy punkcik. – Nie możemy przecież zajechać takim konwojem do wioski w środku nocy. Od razu by nas ktoś przyuważył. Bryki muszą pozostać w ukryciu.

– Jasne. Logiczne. Bezdyskusyjne – zgodził się Leon. Pozostali kiwnęli głowami, aprobując.

– Co do broni... – rozpoczął Marek, ale jako że większość zebranych zaniósł się śmiechem, nie dokończył.

– Nie kłopotz się o naszą broń, ludzka istoto. – Kirił wciąż nie trawił, że w ich szeregach jest człowiek. – Mamy wystarczające atuty, by dać sobie radę z twoją rasą bez waszej broni.

– Dobra, mądralo, ale ja chciałem opowiedzieć o tym, czym oni mogą się posługiwać. – Łowca nie krył rozbawienia, ucierając nieco nosa przemądrzałemu palantowi. – W moc waszych możliwości nie wątpię, ale czy jesteście... – spojrzał na pozostałych, którzy przed chwilą zanieśli się śmiechem – jesteście... na sto procent przekonani, że wiecie, z czym się zetkniemy?

– Święcona woda i krzyże. To zawsze jest na wyposażeniu takich oszołomów jak to całe bractwo – Rosjanin nadal drwił. – Aaaa i nie zapomnijmy o nadprzyrodzonej mocy czosnku. – Zarechotał złośliwie.

Kirił był młodym wampirem. Gdy ponad trzysta lat temu Bogusław zgładził ostatniego grasującego po Europie zabójcę, on nie był jeszcze członkiem Rodzaju. Pojawił się na terenach Księstwa Warszawskiego w 1814 roku i gdy uległ przemianie, bractwo nie istniało już od

jakiegoś czasu. Nic dziwnego zatem, że nie zdawał sobie sprawy, jak światli i dociekliwi ludzie zasilali wówczas jego szeregi i jak niebezpieczną spuściznę mogli po sobie pozostawić. Teraz ta spuścizna, ponad wszelką wątpliwość, znajdowała się w rękach Mistrza Olafa.

W istocie nikt nie był pewien, co zawierały tajemne zapiski organizacji, ale każdy, kto miał choć odrobinę oleju w głowie, wiedział, że nie wolno ich lekceważyć. Wskreszenie IN NOMINE PATRIS było jednoznaczne ze wskreszeniem śmiertelnego zagrożenia dla każdego z nich. Zagrożenia, z którym musieli się liczyć na każdym kroku, nie mając pewności, kiedy się zmaterializuje. Wobec tej drapieżnej organizacji byli słabi, by nie powiedzieć bezbronni. Dziś jednoczyli się, by położyć kres bezwzględnej, brutalnej działalności, którą chory przywódca bractwa, obrócił nie tylko przeciw wampirom, ale i przeciw własnemu gatunkowi. Gdy go dopadną, unicestwią nie tylko jego, ale wszystko, co mogłoby kiedykolwiek naprowadzić na trop Rodzaju. Najpierw jednak musieli dostać się do siedziby.

– Obyś się nie zaskoczył – warknął Marek zirytowany nieustającymi zaczepkami buńczucznego Rosjanina.

– Miejmy nadzieję, Kirył, że to wszystko czym dysponują – w tym samym czasie stwierdził z powagą Bogusław. – Obawiam się jednak, że mogą dysponować czymś znacznie potężniejszym niż te nic nie warte śmieci. To nie są głupi ludzie, dla których pożywką są gusła i zabobony. Fakt że ich przywódcę postrzegamy jako szaleńca, nie oznacza, że wszyscy są upośledzeni. On sam z pewnością nie jest głupi. Szalony, ale nie głupi. Zresztą patrząc wstecz, znamy z historii nie jeden przykład, kiedy światłe umysły oddawały swój intelektualny potencjał na usługi obłąkańców. Skąd możemy wiedzieć, że i tym razem tak nie będzie?

– Właśnie o tym chciałem mówić – rzucił wciąż rozdrażniony łowca, próbując dokończyć przerwana kwestię. – Nie bądźcie zbyt pewni swych mocy. Oni mogą dysponować bronią, której w ogóle się nie spodziewamy. Z pewnością będą mieć kusze z drewnianymi strzałami, kołki, drewniane sztylety i cholernie ostre miecze. Ale czy to będzie wszystko? Tego nie możemy być pewni. Za cholera! – podkreślił dosadnie.

– Cóż, panowie. To z pewnością nie będzie spacerek. Tak naprawdę, to solidny sprawdzian dla nas i dla nich. Obyśmy okazali się lepsi – podsumował Honza, zachowując stoicki spokój i nieprzeniknione oblicze.

Zapanowało wymowne milczenie. Do tej pory zakładali, że są lepsi, a pokonanie przeciwnika to tylko kwestia czasu. Teraz jednak Honza postawił między nimi, a bractwem znak równości, a szala zwycięstwa była w pozycji równowagi.

Rozdział 28

Lało i grzmiało, kiedy następnego wieczora dwanaście wampirów i jeden śmiertelny łowca stanęli przed bramą garażową, szykując się do drogi. Nikt poza Markiem nie zaprzętał sobie głowy bronią – przecież i tak w starciu z nimi ludzie nie mieli szans. Teoretycznie. W tym momencie jednak najistotniejszy był czas. Zbyt krótkie czerwcowe noce były im diabelnie nie na rękę, ale przecież nie mogli czekać do jesieni. Z drugiej zaś strony nie chodziło o pochopny zryw – mieli przeprowadzić skomplikowaną operację, bez narażania jej na niepowodzenie.

Choć letnia burza zdecydowanie im sprzyjała, sprawiając, że ulewny deszcz zagłuszał niemal wszystko, a niebo zaszło ciężkimi chmurami, nie zwiastując zmian w ciągu najbliższych godzin, to jednak czuli za plecami bezlitosny oddech świtu. Musimy znaleźć się w tych przeklętych podziemiach wcześniej – pomyślał Bogusław i spoglądając w ołowiane niebo, wsiadł do samochodu.

Dwa Range Rover, Toyota Land Cruiser i Nissan Patrol ruszyły w drogę.

Zważywszy, iż zamek w Gościszowie leżał niewiele ponad dwieście kilometrów od Poznania, czekała ich, w przybliżeniu, dwugodzinna jazda. Wyjątkowo krótki czas? Być może, niemniej luksusowe terenówki i wampiryre zmysły to wystarczająca gwarancja sprawnego dotarcia do celu. Tak więc droga umykała spod kół z zawrotną prędkością, a wygodne auta były niczym mini wozy pancerne mogące pokonać każdą pojawiającą się przeszkodę – nie mogli dopuścić, by powstrzymały ich drobne przeciwności, skoro u celu czekała obietnica piekła.

Dowodzenie akcją powierzono Bogusławowi. Od początku nie było alternatywy dla tego wyboru. Jako jedyny był ponad wewnętrzne i zewnętrzne układy pozostałych członków Rodzaju i ponad standardowe wampirzo-ludzkie relacje z łowcą.

– Pamiętajcie – rzucił stary wampir, spoglądając na siedzącego za kierownicą Leona, a potem obejrzał się za siebie, gdzie siedział Otto – musimy zrobić wszystko, żeby ofiar było jak najmniej. Tobie nie będę dawał takich wskazówek – zwrócił się do Marka – liczbę twoich ofiar pozostawiam twojemu sumieniu. Porachunki ludzko-ludzkie to nie moja działka.

– Czyli wy jesteście ci dobrzy, a ja mogę sobie być ten zły, jeżeli tylko będę miał na to ochotę?

– Skoro tak to rozumiesz.

– Nie wiem tylko, czy ten twój plan wypali, może się okazać, że na bycie dobrym nie będzie tam miejsca.

– Może i tak się okazać. To całkiem prawdopodobne. Zobaczymy.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Normalka. Wampiry jak zwykle nie widziały w tym nic niestosownego, łowcy nie było spieszno do pogawędki na banalne tematy, a o tym co ich czeka, nikt nie miał ochoty rozmawiać. Wszystko powiedzieli sobie wczoraj na trwającej do świtu naradzie i teraz nie było już nic do dodania.

Niespełna dwie godziny później stanęli przed ruinami.

– Cholernie przygnębiający widok – skostatował Leon, patrząc z niesmakiem.

Trudno było z nim polemizować. Smutne, zapomniane, niechciane, nikomu nie potrzebne były bardziej odrażającym rumowiskiem niż pozostałością okazałej, czternastowiecznej budowli o niezaprzeczalnej wartości historyczno-artystycznej. A jednak to właśnie w tym miejscu samozwańczy Mistrz Zakonu Kawalerów Mieczowych XXI Wieku i bractwa IN NOMINE PATRIS postanowił ulokować ich siedzibę.

Przeglądając się miejscu, wiedzieli, że wszystko czego szukają, ukryte jest w podziemnej części budowli. Sterczące na zewnątrz, przerażające kikuty dawnych murów z pewnością nie

były w stanie utrzymać w sobie żadnej tajemnicy.

– Znalezienie drogi do podziemi... – Otto pokręcił głową. – Cholera, to nie będzie takie proste. Nawet nie musi znajdować się na terenie ruin. Może na przykład... kilkaset metrów stąd.

– Wzruszył ramionami i spoglądając na szkaradne zgliszcza, machnął ręką przed siebie. – Będziemy musieli podzielić się na grupy i przeczesać teren.

– No to ruszajmy. Podzielmy teren według stron świata i ruszajmy odpowiednimi grupami. No wiecie... ziemie północne, północ... i tak dalej – zakomenderował Marek.

– Przejąłeś dowodzenie? – Leon nieco rozbawiony spojrzał na człowieka.

– A co? Nie podoba się? To dopiero hardkor – cicho zaśmiał się łowca – jeden słaby człowiek dowodzący dwunastoma potężnymi wampirami. Jest się na co połasić, nie sądzisz?

Zanieśli się tłumionym śmiechem. Nie mogli sobie pozwolić, żeby ich usłyszano, ale przecież nikt nie powiedział, że muszą zachować śmiertelną powagę.

– Czekaj! Wrócimy z tej wojenki, to znajdziemy ci jakąś ostrą wampirzycę. Będziesz sobie mógł wtedy dowodzić ile dusza zapagnie.

– Trzymam cię za słowo, młody. A teraz do roboty, chłopaki... szalenciec czeka.

Przetrząsanie terenu okazało się trudniejsze, niż przypuszczali. Zwieńczone fosą rumowisko, z czarnymi czeluściami otworów okiennych i pooranymi przez czas i łupieżców murami, zajmowało nierówny teren obsypany mnogością zwalistych kamieni – niegdyś elementów podkreślających świetność i urodę tego miejsca. Dziś elementy te nikły wśród nieokiełznanej natury, porastając drobną roślinnością i zapadając się w grunt, wydatnie utrudniając poszukiwania. Kiedyś okazały, szeroki most prowadzący do zamku ponad szeroką fosą, w której miast klarownie czystej wody niczym szyderstwo znajdowała się teraz błotnista breja, dziś był mizernym wspomnieniem swej świetności, a każdy postawiony na nim krok groził kontuzją. W miejscu wieńczącej tę drogę bramy, jawiła się dziś żalosna otchłań, niechlujnie zabita szerokimi deskami, a zdziczałe krzaki samosiejki i karłowate drzewa skutecznie zasłaniały ewentualne, tajemne wejścia.

W tak niegościnnym otoczeniu przeczesywali każdy centymetr sypiących się murów i posadzki będącej teraz bardziej klepiskiem aniżeli kamiennym duktem. Rozchylali gałęzie, podnosili kamienie, rozgrzebywali ziemię. Szukali. Włazu, bramy, furty, ukrytych schodów czy piwnicznego okna – czegokolwiek, co zaprowadzi ich do podziemi. Trudne. Ale nikt nie zamierzał dać za wygraną.

Świt coraz zuchwalej dyszał nad ich ramionami, a oni nadal błądzili po omacku.

– W mordę! – zaklął Marek, wąpiąc, że uda im się tej nocy dostać do środka. Podeszedł do Bogusława, by zasugerować odwołanie akcji.

– Kurwa! Mam! – syknął Karol przez zaciśnięte zęby, odwalając wielki głaz u szczytu mostu.

Nie trzeba było więcej, by w ułamku chwili reszta zmaterializowała się tuż obok, patrząc w zionący chłodem, szeroki tunel ciągnący się pod zamczyskiem.

– Muszą mieć kogoś we wsi, kto zamyka to cholerne wejście – warknął Leon, stając w szerokim rozkroku i splatając ręce na piersi. Jego grzywka ociekała deszczem spływającym dalej po urodziwej twarzy.

– Całkiem prawdopodobne. – Karol otrzepał ubłocone dłonie.

– To mogą już wiedzieć, że tu jesteśmy. Uważny obserwator nie przeoczyłby naszych samochodów. – Piotr zdawał się zatroskany.

– Ani grupy rosłych facetów wędrujących nocą. – Najwyraźniej Wojciech też chciał mieć swój udział w tych rozważaniach.

– Panowie, wyluzujcie. Może być prostsze rozwiązanie. Może do podziemi prowadzi

więcej niż jedno wejście i tamte są łatwiej dostępne. A wtedy nadal jesteśmy bezpieczni i nikt się nas nie spodziewa. – Marek wzruszył ramionami, gdy milcząc, wszystkie wampiry utkwili w nim kamienny wzrok.

– To się okaże, jak dotrzemy na miejsce – rzucił zwięźle Bogusław i ruszył w głąb tunelu. Nawet jeśli towarzyszył mu niepokój, jego oblicze było niewzruszone. Nie pierwszy raz miał stawać oko w oko z wrogiem.

Ciemność, wilgoć i cmentarny odór zgnilizny towarzyszyły im przez kolejnych kilkanaście, a może kilkadziesiąt minut, kto wie? Nie liczyli, nie przykładali do tego wagi – świt pozostał w tyle, a reszta dopiero przed nimi.

– Ja pierdołę! – syknął Kirył, gdy stanęli w progu kaplicznej sali.

– Wyjąłeś mi to z ust – wyszeptał Gerard tuż za nim. Reszta w milczeniu chłonęła widok. Kto by pomyślał, że w tych przepastnych lochach, po przebyciu niezmierzonej długości cuchnącego labiryntu, natrafią na takie cudo?

Miejsca kultów religijnych cechuje albo ascetyczna prostota, albo iście królewski przepych, to bezspornie porażało przepychem. Zewsząd niemalże kapłało złoto. Marmurowa kolumnada podparła kopulaste sklepienie pokryte starosakralnym freskiem, w nawach bocznych stały masywne, dębowe ławy, a środkiem nawy głównej, prowadząc do ofiarnego stołu, biegł grubo tkany kobierzec. Za nim misternie rzeźbiony ołtarz z rytualnym kielichem w centrum. Kaplicę pokrywała patyna czasu, niemniej ktoś włożył sporo pracy, choć niekoniecznie pieniędzy, by przywrócić jej minioną świetność. W tej wystawnej oprawie zakonnicy szykowali się do porannych modłów i na powitanie kolejnego dnia.

Jedno ogarnięcie całości wprawnym okiem wampira starczyło, by Bogusław zorientował się w hierarchii bractwa.

Stojący wzdłuż ław, odziani na czarno mężczyźni – Kadeci – oszacował ich w mgnieniu oka – byli najniżej w strukturach bractwa. Trzech kolejnych, przy ofiarnym stole, miało wysoko ugruntowaną pozycję. Zabójcy. Nie znał ich, ale spowijający ich ciała odór śmierci nie pozostawiał wątpliwości. Dwaj z nich, w czarnych strojach zakonnych z czerwonymi wyłogami z jedwabnej satyny, trzymając w rękach gromniczne świece, asystowali trzeciemu w krwistoczerwonym habicie. Na samym szczycie hierarchicznej drabiny był ten, który, niejako w cieniu tego rytualnego zgromadzenia, w śnieżnobiałych szatach ze złotymi zdobieniami siedział na paradnym, bogato złożonym tronie pomiędzy ołtarzem, a stołem ofiarnym.

Ich cel.

Mnich Maciej – nieśmiały i jakby nadmiernie uduchowiony, zszedł do klasztornej biblioteki. Zadanie powierzone mu przez przeora wróżyło długie miesiące trawione w piwnicznych celach na pracy, za którą nie przepadał. Owszem lubił czytać, czytał wszystko, co wpadło mu w rękę, a książki z historyczną kanwą lubił najbardziej, ale to nie oznaczało, że miał zacięcie do prac konserwatorskich. Dlaczego właśnie ja? – jęknął w duchu, niejako kontestując los, by po chwili korzyć się przed Najwyższym. Wybacz mi Panie, nie powinienem buntować się wobec wyzwania, które przede mną stawiasz – skrucza w jego myślach krzyczała donośnie. Przyjmę to zadanie z pokorą, służąc tobie, Panie, najlepiej jak potrafię. Przeżegnał się i ucałował koniuszek kciuka. Gdy wziął do ręki „Żywot świętego Metodego”, by zająć się zmuśną i czasochłonną renowacją, nie przypuszczał, jak bardzo stara księga odmieni jego spokojne, ascetyczne wręcz życie. Tymczasem opasły rękopis, oprawny w grubą skórę z okuciami z brązu i starannie zachowanym zamkiem, krył w sobie coś więcej niż tylko zapiski kolei losu dawno nieżyjącego człowieka. Biograficzne źródło wiedzy o średniowiecznym świętym okazało się

tajemnym schowkiem, skrywającym przed światem przerażającą rzeczywistość.

Z pergaminów ukrytych pod skórzaną obwolutą mnich Maciej dowiedział się o budzących grozę, nieumarłych istotach – wampirach mianujących siebie Rodzajem i o tajnym bractwie IN NOMINE PATRIS oraz o walce, którą wydali tym potworom zaprzysiężeni w bractwie mnisi.

– Teraz rozumiem, dlaczego postawiłeś przede mną to wyzwanie. – Padł na kolana i składając dłonie do modlitwy, uniósł wzrok ku niebu. – Panie! Niezbadane są Twe wyroki. Wybacz mi, raz jeszcze błagam. I pozwól służyć sobie, a oddam za Ciebie ostatnie tchnienie – z tą krótką modlitwą poczuł w sobie boską moc.

To wtedy w jego posłusznej głowie powstała samowolna myśl, by zbadać prawdziwość zawartych w zapiskach informacji. To wtedy uznał, że walka z krwiopijczymi stworami jest jego misją, i uwierzył, że Bóg powołał go, by zbawił ludzi od panoszącego się pod postacią wampirów szatana.

Przez trzy kolejne lata pędzone w klasztornych podziemiach opanowany, flegmatyczny zakonnik przeistaczał się w żadnego krwi i śmierci, charyzmatycznego przywódcę. IN NOMINE PATRIS stało się jego pragnieniem, celem, obsesją.

Klasztorna biblioteka okazał się skarbnicą informacji, toteż w jej zaciszu całymi dniami i nierzadko nocami zgłębiał tajemnice Rodzaju. Pod pretekstem konserwacji dzieła przeczesał stopy dawno zapomnianych zapisków, legend i podań. Poznawał zwyczaje i słabości kreatur, gromadził notatki o sposobach ich unicestwienia, w szczegółach dopracowując technikę kołkowania i ścinania głowy mieczem. Ciekawe – pomyślał, wyczytawszy o poparzeniu kwasem, które, choć stanowiło swego rodzaju zabezpieczenie, nie doprowadzało do ostatecznej zagłady. Powoli, jak kropla wody drąży skałę, tak on drążył temat, studiując skrypty i doskonaląc bojowe umiejętności. Równie powoli, acz zdecydowanie rosło w nim przekonanie o potrzebie armii bojowników gotowych poświęcić się dla sprawy.

Jego pozornie czysta dusza z każdym dniem stawała się karykaturą pokornej osobowości i niczym portret Doriana Greya karmiła się wszelką okrutną myślą i wszelkim odrażającym zamysłem, wynaturzając swój wizerunek. Jego wrodzona perfekcja, samozaparcie i wola poświęcenia ukształtowały go na silnego, pewnego siebie, twardego wojownika – rycerza z krwi i kości, który teraz mógł kontynuować boskie dzieło zbawienia, prowadząc za sobą podobnych mu rycerzy. Z każdym zgłębionym słowem coraz mniej było w nim uległego, skromnego mnicha Macieja. Stawał się Mistrzem. Gotowy, przybrał dumnie brzmiące imię i odszedł, by rozpocząć krucjatę jako Olaf – mistrz bractwa.

Błyskawiczne i niemal bezszelestne poruszenie się sprawiło, że zebrani w kaplicy mnisi nawet nie spostrzegli sprawnej drużyny dwunastu nieumarłych, która wtargnęła do ich sanktuarium.

O w mordę! – jęknął w duchu Bogusław. Scena, na którą patrzyli, przywodziła na myśl niskobudżetowe widowisko o kostiumowo-historycznym zabarwieniu, w którym są tylko źli i bardzo źli bohaterowie. Król Słońce – pomyślał z ironią, patrząc na ociekający złotem tron z białą-złotą postacią do złudzenia przypominającą wielbiącego przesadny przepych, francuskiego monarchę. Koszmarnie teatralne. Stary wampir pokręcił głową zniesmaczony żalonym palantem.

Choć stroje jednoznacznie określały pozycję, różnicując poszczególnych członków tej osobliwej społeczności, to niezależnie od rangi, miał zwyczajowego krzyża jako symbolu przynależności do chrześcijańskiej wspólnoty, zdobił wszystkich taki sam szklany naszyjnik w

kształcie sporej łyzy na grubym rzemieniu. Łza zdawała się być wypełniona przezroczystą cieczą.
– Święcona woda – wyszeptał Leon, zaśmiaawszy się pod nosem. – Czy oni ciągle jeszcze wierzą, że to zadziała? Ale jaja. Będzie zabawnie.

– Nie byłbym tego taki pewien – odparł poważnie Bogusław, z troską kładąc dłoń na ramieniu przyjaciela. – To może być kwas.

– Co?

– Kwas. Potem ci wyjaśnię, ale lepiej, żebyś nie był w pobliżu, jeśli tego użyją. – Spojrzał po swoich druhach i niemal bezgłośnie wyszeptał: – Uważajcie, mogą mieć kwas.

Przytaknęli w milczeniu. Tylko Kirył patrzył pytająco, równie nieświadom zagrożenia jak Leon. Młodsze wampiry nie miały pojęcia o sposobach walki bractwa, a minione trzy stulecia sprawiły, że nikt pośród Rodzaju nie czuł się odpowiedzialny, by w tym względzie doszkaląć narybek.

Oprócz szklanych łez, mnichów zdobiło też coś na kształt mini miecza bądź sporego sztyletu z metalową klingą i drewnianą, ostro zakończoną rękojeścią, przytroczone w skórzaną pochwie do pasa okalającego habit. Zabójcy mieli dodatkowo dwa duże, bitewne miecze skrzyżowane w pochwie na plecach.

Nastąpiło chaotyczne poruszenie, gdy dwunastu rosłych wampirów zmaterializowało się wewnątrz mistycznego zgromadzenia. Ale chaos nie trwał długo – wszyscy kadeci sprawnie stanęli w zwartym szeregu, tworząc wokół swego przywódcy ochronny kordon. Biedne dzieciaki – pomyślał Bogusław, patrząc na ich poddańczo pochylone głowy i wrogie spojrzenia; żaden nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Mistrz – wysoki mężczyzna z łysą głową i mrocznym spojrzeniem czarnych oczu wstał pewny siebie, jakby mierzył się z równym sobie przeciwnikiem. A przecież, mimo krzepkiej postury, nie mógł w swej kruchej, ludzkiej postaci równać się z niewiarygodnie silnymi wampirami. Hardość jego spojrzenia obudziła w Bogusławie żądzę pierwotnego głodu. Kły wysunęły się automatycznie, a jasnobłękitne oczy nabrały srebrzystej poświaty, gdy pragnienie zaczęło drążyć jego wnętrzości. Obserwujący to mężczyzna w bieli nie bawił się w polityczną poprawność.

– Spójrz na siebie, wampirze! Tym jesteś! Krwiożerczym instynktem, nic ponad to! I ty śmiesz się zespalać z ludzką kobietą, której istota pochodzi od Boga?! – wypluł z siebie w pierwszych słowach, nie kryjąc obrzydzenia. Patrzył Bogusławowi prosto w oczy z nienawiścią, zapominając, że to właśnie jego Bóg nakazywał miłosierdzie.

To, że rozgorzeje walka, w której większość zgromadzonych u boku charyzmatycznego szaleńca śmiertelników zginie, było niemal pewne. Bogusław nie miał najmniejszej wątpliwości, że opętany żądzą morderczej krucjaty klecha bez mrugnięcia okiem pošle te dzieciaki na śmierć. Jedyne co mógł teraz zrobić, to odwlekać nieuniknione, z nadzieją, że ich Bóg ocali tych zagubionych ludzi. Prowokując samozwańczego mistrza do słownej potyczki, mógł co najwyżej próbować zyskać na czasie, by wymyślić inne rozwiązanie niż pozbawienie ich wszystkich życia.

– Kimże ty jesteś, aby mnie oceniać, człowieku?! – prowokował, postępując krok w przód. Chciał zbliżyć się do nich i mentalnie przerwać zwarty pierścień. Byłe dotrzeć choć do jednego i wywołać poczucie zwątpienia, wyizolować go z reszty. To by dało iszkierkę nadziei. Wiedział, że pozostałe wampiry odczytają jego intencje.

– Jestem Olaf. Mistrz IN NOMINE PATRIS, wampirze. Jestem tym, który w imię Najwyższego zaprowadza porządek w tym bluźnierczym świecie – oznajmił mnich patetycznie, niczym olimpijski bóg oświecający swego ziemskiego cziciela.

No, no, w porządku. Nieźle cię pogięło, chłopie – sarkastyczna podświadomość Sławka mentalnym palcem sugestywnie postukała się w czoło.

– Czy mógłbyś powtórzyć? – rzucił wampir drwiącym, prowokującym tonem. – Chyba przeoczyłem tę część, która miała powalić mnie na kolana.

Mnich spojrział na niego z surowością. Oczy lśniły mu niepokojącym blaskiem, jakby emanując magią, a okrutny, surrealistyczny grymas zmazał z jego twarzy człowieczeństwo – niczym istota, która zwodniczo przybrała ludzką postać, choć wewnątrz niej jarzą się demoniczne ognie. Co więcej, otaczała go intensywna woń ziołowej mieszanki. Nieszczęśniku... – Bogusław zaśmiał się w duchu i pokręcił głową lekceważąco, czując miłorząb, lawendę, aronię i kilka innych zupełnie zbędnych roślin, a nad nimi intensywny zapach czosnku. Najprawdopodobniej miały strzec Olafa przed wampirami. Żalodne.

– Nie rozumiesz, wampirzy pomociu, że to już koniec! – To nie było pytanie, a obelga rzucona w twarz wrogowi, będącemu na przegranej pozycji. – Przyszliście tu na swoją zgubę, a gdy skończymy z wami, dorwiemy też resztę i te ludzkie kreatury, które ośmieliły się zbezczęścić wiarę Pana.

– Zbezczęściły wiarę Pana? – Bogusław zarechotał w szyderczym śmiechu.

– Oczywiście! Związały się z nieżyjącymi! Z chodzącymi trupami! To chore! To obrzydliwe! Tooo... nekrofilia! – Z każdą wyplwaną frazą głos mnicha grzmiał coraz silniej, a obrzydzenie oblażyło jego obliczu niczym niezdzieralne macki.

– Nekrofilia powiadasz? Masz, człowieku, poczucie humoru – stary wampir drwił, choć wiedział, że nieubłaganie zbliżają się do końca tej słownej przepychanki i za chwilę rozpocznie się krwawa walka.

– Zaraz zginiesz, martwy śmieciu – wycedził Olaf przez zaciśnięte zęby.

– Dobrze się nad tym zastanów – warknął Bogusław, również cedząc słowa. Jego oczy były srebrzyste, kły całkowicie wysunięte i z daleka widoczne; nie było sensu ich ukrywać i tak wszyscy wiedzieli, kim jest. Zbliżył się do kręgu, nie zwracając uwagi na bezpieczeństwo skupionych w nim adeptów. Uczestnictwo w tym szaleństwie było ich świadomym wyborem i właśnie nadszedł moment, by za niego zapłacić.

– Błogosławieństwo mocy jaką daje mi Pan, przyniesie nam zwycięstwo. Nieważne, jak długo przyjdzie nam z wami walczyć i ile ta walka pochłonie ofiar, w końcu i tak zwyciężymy. – Mistrz zaśmiał się szyderczo, a echo odbite od monumentalnego sklepienia powtórzyło jego śmiech.

– Oh przestań... – rzucił Bogusław, ironizując i podrapał się po głowie, robiąc sobie czas na małą pauzę. Kurwa! To cisza przed burzą i zaraz rozpęta się piekło. Nic nie ocali tych durnych dzieciaków. – Pleciesz jakieś dyrdymały o Panu i mocy... Próbujesz powiedzieć, że zostałeś Wybranym? – Patrząc w oczy Olafowi, uniósł zadziornie brew, kryjąc pod maską ironii trawiącą go irytację. – Nie wierzę. Nie masz żadnej mocy, inaczej nie chowałbyś się za plecami tych wyrostków.

Przebiegły klecha zaśmiał się donośnie śmiechem, który dudnił, odbijając się od ścian, sprawiając wrażenie, jakby dochodził ze wszystkich stron jednocześnie.

– O nie, wampirze, mocy mi nie brakuje.

Marek do tej pory przyglądał się całej scenie zza węgła podziemnego korytarza – czekał na właściwy moment, by wkroczyć. Teraz uznając, że właściwa chwila nadeszła, biegiem rzucił się w stronę ołtarza. Jako jedyny był uzbrojony. Nieumarli, w nieracjonalnym przekonaniu o konieczności chronienia tych okrutnych śmiertelników, przyszli tu nieuzbrojeni, ale nie można powiedzieć, że byli bezbronni – mieli swą nieprzeciętną szybkość i siłę.

Walka rozpoczęła się błyskawicznie, zaskakując chyba wszystkich. Gdy stojący tuż przy Bogusławie Gerard rzucił się na czerwonego mnicha, by swemu przywódcy utorować drogę do Olafa, opętany żądzą zabijania oprawca szarpnął swój miecz i ciął nim, raniąc wampira głęboko

w pierś. Szkot odskoczył, wyszarpując się wbitemu ostrzu, a potem dopadł przeciwnika i skręcił mu kark, nim ten zdał sobie sprawę, że jego walka właśnie dobiegła końca. W ręku rudowłosego wojownika błysnął ogromny miecz, który jeszcze przed chwilą jawił się jako jego fatum. Gerard uniósł w górę zdobyczne trofeum, wydając z siebie bitewny ryk, a reszta mu zawtórowała. Nagle wszystko potoczyło się jak na filmie ze zwielokrotnioną prędkością emisji. Niczym niedostrzegalne cienie wampirze sylwetki przemykały pomiędzy przerażonymi, zdezorientowanymi ludźmi. Nieprzewidywalny przeciwnik – tym byli.

Kręcąc się wokół własnej osi, niewprawieni w bezpośredniej walce mnisi wypatrywali nadejścia śmierci i próbując się przed nią obronić, beładnie wymachiwali sztyletami. Ogarnięci popłochem, oszaleli ze strachu zbili się w zwartą masę u stóp ołtarza i kiedy zdawało się, że koniec tej nierównej walki jest zaledwie kwestią sekund...

– Kwas! – ryknął któryś z wampirów będących blisko tego ludzkiego kotłowiska. – Kurwa! Kwas!

Ryk uderzył w sklepienie, niosąc się wielokrotnym pogłosem, podczas gdy kadeci z żarliwością zrywali swe wisiory i zwalniając zatyczkę, rzucali nimi w przeciwnika. Podnieceni chwilą dwaj pozostali przy życiu zabójcy wyciągnęli swoje miecze i cięli nimi na oślep wierząc, że dosięgną wroga. Teraz szalejące wampiry stawały się dla ludzkiego oka jedynie wiatrem i mgłą. Byli niedostrzegalni i solidnie rozwścieczeni. Szale na wadze zwycięstwa wychyliły się jednoznacznie – ludzka walka była skazana na porażkę.

– Śmierć śmiertelnym! – poniosło się gromkim echem po zbyt wysokich ścianach kaplicy. Kto rzucił ten rozkaz? Nie wnicali.

Choć Leon nie był szkolonym, wprawionym w bitwach bojownikiem, to jednak dzika natura Rodzaju i nadzwyczajne cechy samorodka czyniły z niego równie niebezpiecznego i nieprzewidywalnego przeciwnika jak z reszty jego druhów. Młody wampir przykucnął, uchylając się przed ciosem zabójczego ostrza, gdy skierowany ku niemu miecz ciął powietrze nad jego głową. Śmierć śmiertelnym! – przemknęło mu przez myśl. W tej chwili miał gdzieś humanitarne nakazy Bogusława – nie zamierzał dbać o ludzkie życie. Zresztą na zabójców i tak wydano wyrok. Błyskawicznie podciął walczącego z nim zabójcę, powalając go na kamienną posadzkę, po czym skoczył, siadając okrakiem na jego piersi i jednym wprawnym szarpnięciem rozerwał ludzkie gardło, wrywając krtań i tchawicę. Zwiotczałe zwłoki opadły pod nim bezwładnie, a śmiertelny miecz wypadł z ręki martwego człowieka. W tym czasie ostatni zabójca ginął z ręki Wojciecha, a jego skręcany kark wiotczał pod wampirzym uściskiem. Wszyscy mieli ręce pełne roboty. Makabrycznej roboty. Ale czy można było ich winić? To nie oni wszczęli tę bezsensowną krucjatę.

Oszalały z wściekłości, rozjuszony zdradliwą bronią Bogusław bezwzględnie rozprawiał się z każdym, kto stawał na jego drodze do celu. Ale ludzka barykada broniąca dostępu do Olafa pęczniała z każdym jego krokiem, zmuszając do zadawania bezsensownej śmierci, gdy tymczasem nie posuwał się na przód. Skąd oni się biorą? – przemknęło mu przez myśl, gdy skręcał karki kolejnym młokosom gotowym bezkrytycznie oddać życie za tego śmiecia.

Tymczasem łowca widząc, jak niemożliwym zdaje się dotarcie Bogusława do samozwańczego mistrza, postanowił sam skupić uwagę na chowającym się za ludzką zasłoną przebiegłym zakonniku. Nie musiał być filozofem, by zauważyć, że obłudny przywódca wysłał na śmierć wszystkich bez mrugnięcia okiem, chcąc wyjść z tej potyczki cało. Zamiary Olafa były przeraźliwie czytelne – kanalia nie postąpił ani kroku w kierunku walczących, przeciwnie – błyskawicznie odwrócił się od walki i rzucił do ucieczki. Był za daleko, by Marek mógł wciągnąć go w bezpośrednią konfrontację, a należało reagować natychmiast, inaczej stracą szansę, żeby go dopaść. Niemal automatycznie łowca sięgnął po długi, stalowy łańcuch i wprawnym ruchem

rzucił nim w kierunku uciekającego. Chciał podciąć drania, powodując upadek, a potem dopaść i policzyć się z nim w bezpośrednim starciu. W końcu to ten skurwysyn był winien śmierci jego siostry, toteż jego śmierć byłaby doskonałym zadośćuczynieniem.

– Kurwa! – syknął Marek, gdy mimo precyzyjnie wykonanego rzutu, zbyt ciężki łańcuch nie sięgnął celu, upadając kilka centymetrów przed mnichem, który skonsternowany spojrzął w jego stronę. Teraz albo nigdy – decyzja zapadła błyskawicznie. Łowca nie miał czasu na walkę fair play – cel uświęca środki – trywialne usprawiedliwienie przemknęło mu przez myśl. Zabije gnoja, a potem... może... będzie się nad tym zastanawiał. W jednej chwili sięgnął po nóż i rzucił w kierunku uciekającego Olafa, celując tak, by zabić. Rzut był wprawny, ćwiczony przez lata – musiał dosięgnąć celu. Jeśli trafi w kręgosłup, skurczybyk będzie jego. Wszystko, co potem, potoczyło się w ułamkach sekund. Nóż trafił ofiarę w tym samym momencie, w którym Mistrz niespodziewanie, jakby wyczuwając nadciągające zagrożenie, pochylił się i jednocześnie skręcił w lewo, a potem dopadłszy tajemnej furty pod ołtarzem, zniknął w ukrytym przejściu z ostrzem wbitym głęboko w łopatkę.

– Nieeee! – ryk zawodu wyrwał się z gardła łowcy. Niczym rój szarańczy dopadło go kompletne osłupienie, by po chwili ustąpić miejsca poczuciu druzgocącej porażki. Nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek chybi. – Ja pierdolę – jęknął, opadając na kolana. To pieprzone bractwo sprawiło, że wszystko poszło na marne – dudniło w jego głowie. Faktycznie całe lata treningów w jednej chwili rozwiały się jak poranna mgła. Miał być skuteczny i miał bronić ludzi. Gdy zmuszony, by zweryfikować swoje przekonania, w końcu skierował umiejętności przeciwko człowiekowi, zawiódł nieskutecznością. Czy można czuć się podlej?

Zgnębiony Marek trawił na kolanach swoje rozterki, a tymczasem kwasowe poparzenia rozlażyły się po wampirzych ciałach, pustosząc je coraz głębiej. Jątrzyły i niemiłosiernie bolały, napędzając wściekłość.

Niedobitki kadetów żałośnie próbujących bronić się przed tą wściekłością rozproszyły się po kaplicy, ale ich los był przesądzony. Ludzkie głowy spadały odrąbywane mieczem lub po prostu machnięciem mocnej jak stalowy pręt, wampirzej reki, a łamane karki trzaskały niczym drobne gałązki. Nieumarli nie okazywali litości, a gdy skończyli, żaden śmiertelnik nie został przy życiu.

Od początku wiedzieli, że stoczą szybką, nierówną walkę. Ale czy mieli wybór? Może gdyby te dzieciaki nie rozpoczęły zabawy z flakonikami...? Prawdopodobnie oszczędziliby kadetów, zabijając jedynie zabójców i Mistrza. Cóż z tego? Wydarzenia potoczyły się raptownie i zdecydowanie nie po ich myśli. Stali więc na żalonym poboju z wątpliwym poczuciem tryumfu. De facto cała walka trwała zaledwie pięć minut i teraz było już po wszystkim, a niechlubny stos młodych ciał leżał u ich stóp. Do tego Olaf uciekł jak tchórz, gdy tylko walka się rozpoczęła. Zniknął w tajemnym przejściu, wykorzystując moment, w którym Gerard zaatakował czerwonego zabójcę, a fanatyczni wyznawcy utworzyli ludzką barykadę. Przebiegły skurczybyk wymknął się nie tylko wampirom, ale i wprawnej ręce łowcy.

Bogusław stał otoczony druhami i w milczeniu przyglądał się dokonanej jatce, kiedy ciało Karola osunęło się na posadzkę. Zaraz za nim na ziemię upadli Kirył i Piotr. To oni w ferworze walki pierwsi rzucili się do forsowania ludzkiej barykady i to oni przyjęli na siebie skomasowany atak kwasowych wisiorów.

– Jeezu – jęknął Wojciech, gdy pochylił się, by podnieść Kiryła. Wszyscy spojrzeli w jego stronę. To co zobaczyli, było przerażające i przechodziło wszelkie wyobrażenia.

Trzy wampiry wiły się na zakrwawionej posadzce, skręcały w bolesnych katuszach i jęczały, błagając o śmierć. Ich ciała były jedynie kłębowiskiem gnijącego mięsa, obrazem błyskawicznie postępującego rozkładu, w którym trudno było dopatrzeć się ludzkiego kształtu.

Fiolki z kwasem musiały trafić w nich w momencie, gdy nie zasklepiły się jeszcze rany cięte i żrąca substancja dostała się do krwioobiegu. Teraz powolna, niekończąca się agonია, trawiła każdy skrawek ich materii, nie pozostawiając nadziei. Na ich cierpienie nie było lekarstwa. Nawet niewiarygodna zdolność Rodzaju do samoleczenia była wobec tego bezsilna. Wypalane kwasem rany mogły trawić ciało latami, póki ktoś nie zadał ofierze ostatecznej śmierci w jedyny skuteczny sposób.

Pozostali też mieli na ubraniach ślady kwasu, ale nieliczne, i najwyraźniej substancja dosięgnęła tylko ich naskórka. Tamci trzej mieli mniej szczęścia.

– Chryste. To niemożliwe – wyszeptał zszokowany Leon. – Przecież nasze rany same się goją. Wszystkie – jęknął, niedowierzając własnym oczom.

– Nie te. Nie od kwasu – wymamrotał Bogusław. Cierpienie i bezsilność wryły się na jego twarzy. – Jak kwas dostanie się do krwioobiegu, nie ma ratunku. Krew mutuje i roznosi żrącą substancję po całym ciele. A najgorsze, że może to robić w nieskończoność. Organizm walczy, próbuje zaleczyć, a krew w każdym, nawet najmniejszym naczyniu włosowatym žre, žre i žre... bez końca.

– Chryste – powtórzył Leon zbolalym głosem.

Byli załamani. Wszyscy. Dopadło ich przerażenie i świadomość nieuniknionego. Nawet stale radosny Wojciech nie potrafił wyrzesać z siebie pogody i nadziei. Mieli za sobą setki lat quasiczłowieczego istnienia, ale w tym momencie poczuli się przesadnie ludzcy, jakby ich był zaledwie chwilą. Chwilą, którą trzeba łapać, bo nie wiadomo kiedy się skończy.

– Dobijcie mnie – ledwie wyjęczał Kyrył, kierując swoje błaganie w nieokreśloną stronę. Zresztą, czy to ważne kogo prosił? Wiedzieli, że nie ma innego wyjścia, któryś z nich będzie musiał chwycić miecz i odciąć mu głowę. Jemu, jak też Piotrowi i Karolowi, którzy, targani konwulsjami, nie mieli nawet siły, by błagać. Ich ciała były w stadium jeszcze głębszego rozkładu niż ciało Kyryla. Jedyne na co mogli się zdobyć, to ciche, agonalne jęki, które nie przypominały żadnego artykułowanego dźwięku.

– Chłopaki...? – Pytanie Marka zawisło pod kaplicznym sklepieniem. Nie miał siły patrzeć na tę makabryczną scenę. – Nie możecie ich tak zostawić. Dla nich już naprawdę nie ma żadnego ratunku – wyszeptał po chwili, ciężko wzdychając i otarł z policzka nieproszoną łzę.

– Wiemy. – Wojciech pokiwał głową z nieczytelnym grymasem twarzy, jakby przekonywał samego siebie, że naprawdę nic już nie można zrobić.

Stanisław stał milczący, zatopiony w swej rozpaczy. Jego dwaj kompani właśnie dogorywali, a on miał zadać im cios ostatecznej śmierci. To zdawało się ponad jego siły. Nawet wampirze siły.

– To na co czekacie?! – Gdy Marek wykrzyczał swoje pytanie porażony tempem postępowania rozkładu, Staszek podniósł leżący opodal miecz i wprawnym cięciem odrąbał głowę Kyryłowi, a kilka sekund później Piotrowi. W tym czasie Wojciech zakończył pośmiertną egzystencję Karola.

Rzucona zapalka rozpałiła wielkie ognisko, w którym płonęły ludzkie ciała i wampirze szczątki. Stos Mrocznego Źniwiarza płonął ponurym ogniem, a nieprzyjemny swąd palącej się śmierci drażnił wrażliwe nozdrza wampirów. Mimo to trwali w milczeniu. Niewzruszenie czekali, aż ostatni płomień zgaśnie, by ostatecznie odwrócić się od makabrycznego paleniska i opuścić to przekłete miejsce, w którym nikt nie mógł czuć się wygranym. Zwłaszcza, że ten, który rozpętał to piekło, uciekł. Należało więc oczekiwać, że jeszcze długa walka przed nimi.

– Miałem nadzieję, że zakończymy tu wszystko raz na zawsze – wyszeptał Bogusław, wlokąc się krok za krokiem cuchnącym tunelem. – I że straty nie dotkną nas osobiście.

– Tak. Chyba każdy z nas po cichu żywił taką nadzieję. – Smutek Stanisława rósł z

każdym słowem. On też ciągnął nogi niczym niedołężny starzec. Zresztą i tak do zmroku musieli tkwić w podziemiach, mogli więc powolnie snuć się zatęchłymi korytarzami, zostawiając za sobą koszmarną kaplicę.

– Teraz trzeba będzie nasilić śledztwo. Obawiam się, że Olaf szybko się otrząśnie. – Marek również nie potrafił milczeć. Rozmowa była ucieczką zagłuszającą echa tragicznych przeżyć.

– Może nie tak szybko. – Otto szedł tuż za nim. – W końcu stracił tu wszystkich. Fakt, poświęcił ich, by ratować siebie, ale teraz jest sam. Nie będzie mu tak łatwo znów ruszyć do walki.

– Obyś miał rację – odpowiedział niespiesznie łowca. – Nie cieszyłbym się jednak przedwcześnie. Nie wiemy, jak daleko sięgają jego macki. Może to był tylko wierzchołek góry lodowej?

– Może? Pewnie dość szybko się o tym przekonamy. Jeśli masz rację, ale miejmy nadzieję, że się mylisz, bo jak nie...

– To pewnie gnojek zaostrzy swoją krucjatę – dodał Leon. – Teraz dopiero będziemy musieli mieć się na baczności. Być może zabierze się za nas wszystkich, bez wyjątku.

Drastyczna, ale wielce prawdopodobna perspektywa. W końcu dlaczego nie miałby chcieć wytępić wszystkich nieumarłych? Przecież tak po prawdzie, nie tylko ci wiążący się z ludźmi byli w jego przekonaniu posłańcami szatana.

Cztery wozy, ciągnąc za sobą smętny welon frustracji, mknęły niczym zjawy otulone czarną peleryną nocy. Bogusław siedział w Nissanie obok prowadzącego Stanisława. Uznał, że jako dowódca operacji jest winien wsparcie osamotnionemu kamratowi. Zmierzali do rezydencji w Chybach, by ochłonąć w zaciszu własnych kwater. Jutro spotkają się na naradzie i znowu będą roztrząsać te okrutne wydarzenia. Ale to jutro...

Rozdział 29

Złowrózbnie grzmoty okraszone jaskrawymi błyskawicami coraz bardziej przybierając na sile, zwiastowały nadciągającą burzę. Energiczne poddmuchy wiatru unosiły najrozmaitsze drobiny, przemieszczając je w nieskładnym tańcu. Ciężkie, duszne, niemalże lepkie powietrze zalegało nieprzyjemnie nad rozgrzaną ziemią i tylko chwile dzieliły świat od zbliżającej się, oczyszczającej nawałnicy.

Złoty Jaguar XJ w wydłużonej wersji LWB wjechał na obszerny parking przed kompleksem hotelowym stanowiącym zaledwie jeden z elementów rozległej posiadłości. Duży, błyszczący napis w agresywnej stylistyce na budynku głównym głosił: Hotel Spa Wieczne Piękno.

Wieczne Piękno – słynne miejsce odnowy biologicznej otoczone ścianami lasów mieściło się na obrzeżach niewielkiej, podszczecińskiej miejscowości. Kompleks należący do Margo Wik – barona Okręgu Szczecina był szczególnie popularny wśród bardzo zamożnej klienteli. Nic dziwnego – świadczone tu usługi nie tylko na bardzo wysokim poziomie, ale i za niebotycznie wysokie stawki, przyciągając nimi bogaczy jak magnesem. Ale dlaczego nie, skoro oszaleli na punkcie zewnętrznego piękna ludzie skłonni byli płacić krocie, by jak najdłużej karmić się ułudą młodości?

Tego wieczora owo miejsce zaczynało tętnić życiem Rodzaju, goszcząc najważniejszych dostojników Mrocznego Świata. Chwalimir jako król protektor obrał je na spotkanie z królami trzech pozostałych królestw Ziem. Zamierzał rozliczyć się z działań zespołów śledczych i rzec protektoratu, przywracając monarchom równorzędną władzę.

Może i był najpotężniejszym władcą wśród Słowian, ale przy całej swej potędze był też cholernie rozważny – wiedział, że choć najbardziej wpływowy, nie był wszechmogącym. Wobec tego należało utrzymywać Unię Królestw w dobrej kondycji, a nie kusić się o absolutyzm.

Oczywiście mógł zwołać Konwent Monarchów we własnej posiadłości. Czyż niegdysiejsi władcy nie prowadzili wielkiej polityki w nieprzyjaznych murach własnych ponurych zamczysk? Dziś jednak, w dobie luksusowych rezydencji okolonych parkami z rekreacyjnymi obiektami i basenami wewnątrz, mało kto chciał uprawiać polityczne rozgrywki we własnym domu. Chwalimir też nie chciał. Najwidoczniej korporacyjne zwyczaje śmiertelników zaczynały wkraczać również do elitarnych kręgów Mrocznego Świata. Zatem wybór padł na rozległą posiadłość Margo gwarantującą bezpieczeństwo, dyskrecję i luksus oraz prawo królewskiej kontroli własnego terytorium.

Zbytłowna limuzyna z dostojnictwem zaparkowała na podjeździe. Opodal stało jeszcze kilka innych kosztownych limuzyn – najwyraźniej zaproszeni goście zaczęli już zjeżdżać.

– Dziękuję – zwrócił się Chwalimir do kierowcy, który zaparkowawszy, błyskawicznie wysiadł, by uchylić drzwi monarsze.

– Fiu, fiu, fiu – gwizdnął Otto z uznaniem, rozglądając się po posiadłości. – Niezłe miejsce. – Jemu i Karlowie nikt drzwi nie otwierał, ale też nie oni byli dostojnikami w tym gronie.

– Rzeczywiście, ciekawy obiekt – zauważył powściągliwie monarcha, zmierzając w stronę głównego budynku. Mrukliwy Karl jak zwykle się nie odezwał.

Tymczasem luksusowe Audi S8 wjechało na parking. Bogusław z Markiem wysiedli z auta, a zaraz po nich z miejsca kierowcy żwawo wyskoczył Leon.

– Ta bryka jest jak niezła dupa – rzucił, spoglądając łakomie na Jaguara. – Ilekroć na nią patrzę, to mi staje – zarechotał lubieżnie młody.

– To sobie taką kup. Nie będziesz się musiał napalać na cudze – doradził Bogusław z kąśliwym uśmiechem.

– Coś ty! To tak, jak byś mi radził zenić się za każdym razem, gdy mi kuśka drgnie na widok jakiejś laski. Podymać można, ale żeby tak od razu do ołtarza...? – Roześmiał się zawadiacko.

– Coś w tym jest – zauważył Marek, śmiejąc się wraz z Bogusławem z cwanej uwagi młodego.

– No masz... – Krótkie kliknięcie pilota i Leon ruszył za kumplami w stronę Chwalimira, stojącego u podstawy szerokich schodów.

Rozległy, parterowy, na wskroś nowoczesny budynek, wyróżniał się ścianami lustrzanych przeszkleń oraz naturalnym kamieniem i egzotycznym drewnem zdobiącym elewację. Doskonale utrzymany teren wokół hotelowego kompleksu tonął w zieleni oświetlonej gustownie dobranymi latarniami. Skryte alejki z granitowej kostki i zaciszne zakątki z ukrytymi wśród nienagannie przyszyżonych krzewów ławeczkami tworzyły szczególny klimat, sprzyjając relaksowi. Z wnętrza budynku teren rozjaśniało światło, które niemal wylewało się poprzez wielkie przeszklenia. Całość otaczał wysoki żywopłot, zapewniając gościom prywatność.

Na czas tego osobliwego zjazdu cały obiekt został wyłączony z użytku, a ludzka obsługa urlopowana i zastąpiona starannie dobranymi nieumarłymi oraz wampirami z prywatnej świty monarchów. Przez dwie najbliższe doby hotel był do wyłącznej dyspozycji Rodzaju. Istniało tylko jedno odstępstwo – łowca.

– Wasza Wysokość... – Marek schylił głowę w geście szacunku, gdy podeszli do monarchy i jego przybocznych.

– Witam. – Chwalimir skinął z nieprzeniknionym obliczem. Formalna maska obojętności obrazowała jego drugie „ja”. Nawet jeśli wewnątrz był ulegającym emocjom facetem, na zewnątrz zawsze zachowywał powściągliwość, jak na monarchę przystało.

Bogusław z Leonem również skinęli królowi, a potem obdarzywszy skinieniem Ottona i Karła, weszli do budynku, puszczając monarchę przodem. Przydzielona im obsługa przejęła nad nimi opiekę, prowadząc w stronę pokoi.

– Gdzie biuro? – spytał Chwalimir nader młodo wyglądającą kobietę, która z pewnością jednak miała za sobą kilka stuleci.

Wysoka, dobrze zbudowana, urodziwa brunetka, ubrana w przesadnie formalną garsonkę w kolorze popiołu i białą bluzkę z delikatnym żabotem, wykonała półobrót na niebotycznie wysokich obcasach. Nim zdążył przyjrzeć jej się dokładniej, kobieta wskazując ręką, powiedziała:

– Tędy, Wasza Wysokość. – Miała dziewczęcy, ciepły głos.

Ruszył szerokim korytarzem, taksując ją z zachwytem. Już dawno żadna istota nie zrobiła na nim takiego wrażenia, ale też było na czym oko zawiesić. Idąca kilka kroków przed nim kobieta miała lśniące, ciemnobrązowe włosy schludnie upięte w misterny kok odsłaniający ponętny kark. Długie, mocne nogi i jędrne pośladki opinała wąska spódnica z przesadnie głębokim rozporkiem, który rozchyłał się przy każdym kroku, ukazując smakowite uda. Płynne ruchy drapieżcy dodawały jej powabu. Mimo zbyt sportowej sylwetki emanowała seksapilem. Była świadoma swej atrakcyjności i pewna siebie.

Chryste – jego wygłodniałe libido oblizało się ze smakiem. Od zawsze pociągały go kształtne brunetki znające swoją wartość. Bezsownie Margo doskonale знаła swego króla i wiedziała, jak mu się przypodobać. Ta „osobista asystentka” była strzałem w dziesiątkę. Chwalimirowi oczy błysnęły srebrem, a dziąsła zaczęły boleśnie śwędzić. Co do cholery?! – skarcił swoje instynkty. Już dawno nauczył się trzymać pożądanie na wodzy, tym bardziej, że to

ani miejsce, ani czas, by dawać upust długo nie zaspakajanyim żądom. Na szczęście nim zdążył doszczętnie się wygłupić, obnażając swoje pragnienia, kobieta zatrzymała się przed oszklonymi drzwiami i zapukała.

– Wejść! – Zdecydowany głos Margo zabrzmiał z wnętrza pokoju.

– Madame, Jego Wysokość Chwalimir chciał złożyć pani wizytę – zaanonsowała go w progu na wpół uchylonych drzwi.

Margo zerwała się z fotela i poprawiając swój równie ponury kostium, stanęła u szczytu biurka.

– Proś, Jadwigo. Proś Jego Wysokość do środka – rzuciła niemal spanikowana.

– Spokojnie, Margo – Chwalimir odezwał się pogodnie, stając za plecami seksownej brunetki. – Chciałem tylko przywitać się z tobą. W końcu jesteś tu gospodynią, należy ci się uszanowanie z naszej strony.

– Ależ, Chwalimirze... nie musiałeś. Jestem zaszczycona – dodała po chwili, wskazując gościowi fotel w centralnej części swego biura. Obok stały jeszcze trzy takie fotele i prostokątny stolik kawowy.

– Nie będę siadał – stwierdził, wchodząc w głąb gabinetu. Pomieszczenie było surowe w swej stylistyce, ale szalenie gustowne, by nie powiedzieć wysublimowane. – Naprawdę przyszedłem tylko się przywitać. – Skinął głową. – Jutro będzie czas na rozmowy. A tak przy okazji... są już wszyscy?

– Nie. – Pokręciła głową, lekko się rozluźniając. – Przedstawiciele Dworu Ziemi Południowych jeszcze nie dojechali. Czekamy na nich. Ale oni mają najdłuższą drogę do przebycia – zauważyła jakby na ich usprawiedliwienie. – Poza tym... również kilku baronów jeszcze nie przyjechało.

– Dobrze. W razie czego, informuj mnie o wszystkim.

– Oczywiście.

– W takim razie, do zobaczenia na konwencie.

– Tak, do zobaczenia – odpowiedziała, po czym zwróciła się do stojącej przy drzwiach brunetki – Jadwigo, odprowadź Jego Wysokość Króla Protektora do apartamentu i bardzo proszę... zaopiekuj się nim należycie – dodała zabawnie konspiracyjnym tonem.

– Oczywiście, madame. – Jadwiga, manifestując pełen profesjonalizm, znów zgrabnie obróciwszy się na przesadnie wysokich obcasach, podążyła w stronę skrzydła z apartamentami dla gości.

Jego wysokość król protektor! Psiakrew, teraz faktycznie czuję, że mam tysiąc lat na karku – pokręcił głową zirytowany. Cóż poradzić, że oficjalne tytułowanie sprawiało, iż Chwalimir czuł na swych barkach całe minione milenium? Nie znosił tego, ale taka była cena władzy, a z tą nie zamierzał się rozstawać. Należny mu tytuł w ustach kobiety sprawił jednak, że poczuł się do bólu leciwy i samotny. Cholera! Diabelnie chciał, by czasem ktoś dostrzegł w nim normalnego faceta, by zwyczajnie poklepał go po ramieniu i potraktował jak kompana. Boże! Kompan – jęknął w duchu przygnębiony. Kompan oznaczało równy. Równy? – drwiła jego podświadomość. Zero szans. Fakt. Zawsze będzie na szczycie drabiny hierarchii, wszyscy inni będą poniżej. W każdym razie póki wiódł tę pośmiertną egzystencję bliskie, swobodne relacje nie miały prawa go dotyczyć. Nigdy. Nagle zdał sobie sprawę, że nie dotyczą go już od setek lat. Żalotne. Miał wiernych poddanych, oddaną świtę, Leona, którego traktował niemal jak syna, ale nikt nie był mu równy; nawet wolny wampir mimo swej niezależności. Otaczała go cześć należna monarsze, w którą wpisane było osamotnienie. Cholernie przygnębiające.

– Czy Wasza Wysokość czegoś jeszcze oczekuje ode mnie? – spokojny, kobiecy głos przywołał go do rzeczywistości. Jadwiga zatrzymała się pod drzwiami jego apartamentu i

przeciągnęła kartę przez czytnik, zwalniając zamek.

Spojrzał na nią. Jak cholernie seksownie wyglądała i jak cholernie wiekowy czuł się przy tej... dziewczynie. Naraz stracił zdolność racjonalnego myślenia, wypierając ze świadomości fakt, że stojąca przed nim piękność ma jedynie ciało nastolatki, a jej dusza jest dojrzała i doskonale zorientowana w zawiłościach dorosłego życia. I choć płonął z pożądania, nie potrafił z rozmysłem skusić się na tę kobietę.

– Nie chcesz wiedzieć, czego tak naprawdę oczekiwałbym od ciebie – odpowiedział posępnie, naciskając na klamkę i uchylając drzwi do pokoju. Jego ciało wydzielало silną woń męskiego podniecenia, której niestety nie potrafił w sobie stłumić, niemniej mógł choć udawać obojętność pod maską tej posępności.

– Jeśli dobrze odczytuję nieme sygnały twego ciała, Wasza Wysokość, to sądzę, że wiem, czego oczekujesz i byłabym zaszczycona, mogąc ci służyć. – Zrobiła krok w jego kierunku, ponętnie balansując biodrami.

– Widzisz, moja droga... – Spojrzał w piękne, brązowe oczy i na chwilę zawiesił głos. – Chciałbym, żeby kobieta, która odczytuje te sygnały, pragnęła tego tak samo jak ja. By jej ciało, jak moje, wysyłało czytelne sygnały. Nie wezmę do łóżka kobiety, dla której seks ze mną to przede wszystkim zaszczyt, a... służenie mi w tym względzie... pozostawiam sownie opłacanym profesjonalistkom.

Czy na pewno chciał jej to powiedzieć? Cholernie nie chciał, ale nie uznawał poddaństwa w łóżku, chyba że uprawiał seks z dziwką – wtedy różne opcje wchodziły w grę.

– Wybacz mi, panie, niezręczne sformułowanie – zaczęła się usprawiedliwiać. Zwiesiła poddańczo głowę i gdyby wampiry oblewały się rumieńcem, byłyby teraz pąsowa niczym dorodna róża w pełnej krasie. – Nie chciałam cię urazić, oczywiście, że też...

– Spokojnie, Jadwigo. – Chwalimir wszedł kobiecie w słowo i uśmiechając się serdecznie, wziął w dłonie jej piękną twarz i spojrzał jej w oczy. – Nie oczekuję od ciebie tak daleko posuniętej służalczości. Te czasy mamy już dawno za sobą. I wierzę, że byłby to dla ciebie zaszczyt, więc dajmy już temu spokój. Jesteś piękną kobietą i, jak miemam, każdy mężczyzna, który ma przyjemność spotkać cię na swej drodze, reaguje na ciebie w ten sposób. Teraz miałas tego pecha, że trafiłaś na króla, który na dodatek jest pod twoją opieką przez najbliższe dwie doby. Masz przechlapane dziewczynko – zaśmiał się. – Ustalmy więc, że potraktujesz mnie w tym względzie tak samo, jak każdego innego faceta i dasz mi kosza. Zgoda?

Uśmiechnęła się niepewnie, patrząc w zielone oczy monarchy, w których wciąż pobłyskiwało srebro pożądliwości.

– Jeśli taka twoja wola, Wasza Wysokość – wyszeptala niepewnie. – Ale chcę, żebyś wiedział...

– Wiem. – Znów wszedł jej w słowo.

– Zatem... – zaczęła niepewnie – czy jest może coś poza tym, co mogłabym dla ciebie zrobić, panie?

– Możesz dotrzymać mi towarzystwa. Zapraszam cię do środka. Porozmawiamy, wypijemy po szklaneczce krwawej Mary, może potem wybierzemy się na basen. Spędzimy miło czas. Zgoda? Przyjmujesz moje zaproszenie?

– Z przyjemnością. – Uśmiechnęła się ciepło i weszła do środka.

Gdy zamykał drzwi, Chwalimir czuł się jak zwykły facet, który poderwał super laskę, ale miał świadomość, że tak naprawdę jest ona daleko poza jego zasięgiem. Zaskakujące – pomyślał, widząc że władza nie była dla niej wystarczającym afrodyzjakiem. Z tego co obserwował, w ludzkim świecie pozycja mężczyzny była godziwą podniętą budzącą u kobiet fizyczny pociąg. Jednak Jadwiga zdawała się nieczuć na zaszczyty i tak naprawdę bardzo mu to imponowało.

Była profesjonalistką w każdym calu – знаła swoje miejsce w hierarchii i związane z tym obowiązki, traktując funkcję osobistej asystentki króla z pełną powagą i fachowością. Zwykły facet, hmmm – Chwalimir uśmiechnął się dyskretnie. Pociężne.

Kolejny wieczór nadszedł zaskakująco szybko. Właściwie, rozlokowując się w swoim pokoju, Bogusław nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był znużony. Ledwo zdołał się odświeżyć i posilić krwią z designerskiej karafki, a już opadł na szerokie, wygodne łóżko i zasnął, nie czekając na świt. Teraz, owinięty miękkim kąpielowym płaszczem, stał przed lustrem w nowoczesnej łazience i rześki po prysznicu, szykował się do konwentu. Tak bardzo chciał mieć już to wszystko za sobą i wrócić wreszcie do spokojnego życia. Dobra, może ostatnimi czasy nie było ono takie najspokojniejsze, ale to, co działo się w kilku ostatnich tygodniach... Hmmm – westchnął ciężko; wołał o tym nie myśleć. Dobrze, że miał choć te kilka dni odskoczni po rzezi w Gościszowie, kiedy zawoził Kaśkę z dziećmi do borów.

– Jeszcze nie gotowy?! – wykrzyknął Leon, nagle materializując się w uchylonych drzwiach łazienki.

– Jezu! Nie masz w zwyczaju pukać?

– Daj spokój, przecież nie ukrywasz nikogo w szafie – zadrwił młody.

– Skąd wiesz? Cholera, jestem aż tak przewidywalny? – Bogusław zawadiacko uniósł brew.

– Jak diabli.

– Co wy tu jeszcze robicie? – zawołał Marek zza pleców Leona.

– Noo niee – jęknął Sławek, przewracając oczami. – Kolejny, który nie ma pojęcia o dobrym wychowaniu.

– Że co? Że niby wszedłem bez pukania? Drzwi były otwarte, więc po co pukać? – Marek wrzucił ramionami i z szelmowskim uśmieszkiem oparł się o futrynę.

– Cholera! Spadajcie stąd! Siadźcie w pokoju albo co i dajcie mi jeszcze chwilę. Niech chociaż porządnie się wytrę.

Szybkie wycieranie, szczotkowanie zębów, zmirzwienie wilgotnych włosów, a potem rzut oka w lustro i...

– Gotowe. – Bogusław uśmiechnął się do swego odbicia wyraźnie usatysfakcjonowany i wyszedł z łazienki. Ledwie zaczął wrzucać na siebie ubrania, lekkie pukanie ponagliło jego i dwóch intruzów. – No, chłopaki, zbieramy się – rzucił, wciągając mokasyny i otworzywszy drzwi, gestem pogonił kumpli.

Za drzwiami czekała korpulentna blondynka z krótko przystrzyżonymi włosami. Za nią stali Otto i Karl. Wszyscy poznali kobietę ubiegłego wieczora, gdy, jako asystentka przydzielona im na czas pobytu w kompleksie, odprowadzała ich do pokoi. Byli zaledwie świtą króla, więc o osobistej asystentce mogli co najwyżej pomarzyć, ale tak po prawdzie żaden z nich nie miał takich aspiracji. Zresztą każdy doskonale sam trafiłby do swojego pokoju, zatem przydzielenie im tej dziewczyny było tylko kurtuazyjnym ukłonem ze strony Margo.

Szli szerokim korytarzem utrzymanym w ciemnobrązowej tonacji. Ściany do wysokości futryn pokrywała kosztowna lamperia z egzotycznego drewna, z którego wykonano też drzwi i ościeżnice. W regularnych odstępach rozmieszczono drogie, proste w formie, eleganckie kinkiety, a nad całością górował szeroki pas ściany zlewającej się z sufitem za sprawą przytulnego, czekoladowego koloru. Trzeba przyznać, że ta wyrafinowana estetyka robiła wrażenie.

Kobieta w szarej garsonce szła marszowym krokiem, głośno stukając obcasami, prowadząc ich przez hotelowy kompleks. Nie rozmawiała, nie zagadywała, nie objaśniała. Gdyby chcieli czegoś się dowiedzieć, mogli pytać. Wyglądali śmiesznie, jak mini oddział podążający za

swym surowym dowódcą, ale kto by się tym przejmował? Oni z pewnością nie. Przemaszerowali więc przez rozległe, przesadnie oszklone lobby z recepcją i powędrowali dalej w stronę pomieszczeń konferencyjnych.

Sala obrad, równie ultranowoczesna jak reszta obiektu, była niezbyt obszerna, ale też okoliczności nie wymagały większej. Stalowszare ściany zdobiła skromna, acz wyrafinowana grafika, a gustownie skomponowana, bujna roślinność pięła się po wymyślnym stelażu w lewym rogu pomieszczenia. W centralnym punkcie dominował długi, owalny stół w kolorze mahoniu, wzdłuż którego ustawiono skórzane krzesła z wysokimi oparciami. Przed każdym znajdowała się teczka oraz wizytówka z jego imieniem, nazwiskiem bądź przydomkiem i barwami królestwa, które reprezentował. Pośrodku stołu rozpościerała się dziwaczna kompozycja kwiatowa harmonizująca stylem z resztą ascetycznego wystroju. Równomiernie rozstawione butelki z mineralną wodą i szklanki nadawały zgromadzeniu groteskowo ludzki wydźwięk.

Stanąli w progu zaskoczeni gwarem rozmów. Prawie trzydzieści osób – monarchowie, ich asysta, baronowie okręgów i zespoły śledcze – wszyscy zdawali się podekscytowani. Czekano już tylko na nich, a właściwie na Chwalimira. Widocznie osobista asystentka króla protektora miała za zadanie, wprowadzić go na końcu.

Chwalimir wkroczył do sali ubrany w szyty na miarę, kaszmirowy garnitur i nieskazitelnie białą koszulę, jedwabny krawat dopełniał całości. Powitał wszystkich bardzo oficjalnie, z zachowaniem wszelkich kanonów etykiety i zaraz przeszedł do sedna.

– Moi drodzy! – rozpoczął protekcyjnie największy szczyt od dziesięcioleci. – Zwołałem ten konwent ponieważ sprawy, które od kilku miesięcy wstrząsały naszym światem, osiągnęły, jak zapewne wiecie, pewien konkretny etap i należy się z niego rozliczyć. Po pierwsze, Bogusław, jako nadrzędnie odpowiedzialny za śledztwo, przedstawi raport o pracy grup. Po drugie, chcę, abyśmy wspólnie omówili możliwe aspekty walki z bractwem, oraz zapewnienia bezpieczeństwa zagrożonym członkom Rodzaju i ich ludzkim partnerom. A po trzecie... – Zawiesił głos i z kamienną twarzą rozejrzał się po zebranych. – Niniejszym oficjalnie zrzekam się protektoratu, przywracając równowagę.

Pomruk zaskoczenia rozszedł się po sali. Nikt nie był przygotowany na tę sensacyjną deklarację, a najmniej monarchowie. W obecnej sytuacji taki obrót sprawy niekoniecznie był dla nich korzystny. Jednoosobowe rządy Chwalimira, a co za tym idzie jednoosobowa odpowiedzialność, w tych niespokojnych czasach były im na rękę.

– Nie powinieneś tego robić, Chwalimirze. Twoje autokratyczne rządy okazały się słusznym posunięciem, więc nie ma potrzeby z nich rezygnować – Błażej mówił zdecydowanie, choć jego twarz zdradzała niepewność. – Jestem przekonany, że mówię nie tylko jako monarcha Ziem Północnych, ale jako przedstawiciel nas wszystkich. – Rozejrzał się po zebranych i z zadowoleniem uznał, że jego słowa spotkały się z ogólną aprobatą. Wszyscy z powagą potakująco kiwali głowami, nie wyłączając dwóch pozostałych monarchów. Nawet król Ziem Wschodnich – Bartłomiej, zazwyczaj walczący o jak najdalej posuniętą niezależność, teraz podzielał jego zdanie i nie zamierzał tego ukrywać.

– To uprzejme z twojej strony, Błażeju. Ale w tym niejasnym okresie, gdy zdawało się, że spójność naszego świata może się rozpaść pod wpływem morderczej aktywności bractwa, wykazaliście się doskonałą umiejętnością panowania nad trudnościami. Nie mogę wam tego nie doceniać, a co za tym idzie, nie ma sensu, by odbierać wam przywileje.

– Niczego nam nie odbierzesz, zachowując obecny stan rzeczy.

Chwalimir uśmiechnął się enigmatycznie. Kto by się spodziewał, że będą problemy, by przywrócić ich do pełnej władzy? – zastanawiał się, próbując rozszyfrować pobudki współwładców. Co skłaniało tych mężczyzn do takiej spolegliwości? Tchórzostwo? Wygoda? A

może jednak wiara w jego nieprzeciętne zdolności przywódcze? Chwalimir chętnie lechtałby swoje ego, ale wiedział, że nie do końca jego zasługi były motorem napędzającym owo zaskakujące oddanie.

– Cóż. Nie przyjechałem tu, by się spierać czy dyskutować na ten temat. Przez ostatnie miesiące wykazaliście się daleko posuniętą troską o bezpieczeństwo swoich klanów i roztropnością w działaniu. Nie ma potrzeby, bym nadal sprawował rządy we wszystkich królestwach Ziem. Moja decyzja jest jasna. Zrzekam się protektoratu. Od teraz każdy z władców musi sam wziąć odpowiedzialność za swoich poddanych. – Sposepniał, po czym dodał: – I módlmy się, by czasy terroru, które zmusiły mnie do odebrania wam należnych uprawnień, już nigdy nie wróciły.

Cichy szmer – oto cała reakcja na jego zdecydowaną deklarację i niepokojącą sugestię. Faktycznie nikt nie życzyłby sobie kolejnych, okrutnych egzekucji. A powinność wobec klanów? Monarchowie wiedzieli, że jej nie unikną, ale protektorat Chwalimira był dla nich wsparciem. Nie chcieli go stracić. Nie mieli też odwagi polemizować, choć ta decyzja była im nie na rękę. Protektorat okazał się dobrym posunięciem, dlatego więc nagle Chwalimir postanowił się go zrzec? Zwłaszcza, że walka z bractwem wciąż nie była zakończona.

– Jeśli sądzisz, że sprawy związane z IN NOMINE PATRIS są już na tyle opanowane, że możemy czuć się spokojni – zaczął król Ziem Południowych niskim, chrypliwym głosem, doskonale przystającym do wyglądu twardego, zdecydowanego typu. A jednak sytuacja z bractwem przerosła również jego i teraz czuł się słaby wobec stanowczości Chwalimira – to oczywiście przyjmujemy twoją wolę, Chwalimirze. Jakkolwiek wolelibyśmy, żebyś jeszcze raz przemyślał swoją decyzję.

– Nie bawmy się w jałowe gierki, Szczepanie – ofuknął go Chwalimir. – Dobrze wiesz, jak my wszyscy zresztą, że sprawy nie do końca potoczyły się po naszej myśli. Ale to nie znaczy, że nadal mam przywłaszczać sobie władzę nadrzędną. Jesteśmy mądrzejsi o wiedzę i doświadczenia ostatnich kilku miesięcy, i znamy wroga. Przeorganizowaliśmy nasz świat, zbliżyliśmy się do siebie. Chronimy siebie nawzajem i naszych ludzkich partnerów. Zaakceptowaliśmy nieuchronne zmiany. To dużo. Ale... – Chwalimir zawiesił głos i przyjrzał się twarzom siedzących opodal monarchów. Determinacja, by zmiany, które spowodowały, że nagle przywłaszczył sobie sporą część ich władzy, nie odebrały im teraz tego niespodziewanego luksusu ograniczonej odpowiedzialności, była główną emocją błędzącą po ich twarzach. Mroczny Świat płonął w pogorzeliisku rozpętanego przez bractwo ognia, a silna ręka Chwalimira była dla nich gwarantem względnego bezpieczeństwa. – Skoro w tym momencie taka wasza wola – ciągnął po chwili – mogę zachować protektorat jeszcze przez jakiś czas. Widzę, że nie dacie mi spokoju – rzucił niby żartem – a w końcu nie po to się tu zebraliśmy, by roztrząsać zagadnienia władzy w Unii. Od tego jest Konwent Monarchów. Więc do zwołania Konwentu Monarchów przyjmuję władzę, którą mi dobrowolnie oddajecie i zgadzam się sprawować protektorat nad wszystkimi Królestwami Ziem. A teraz... Bogusławie – zwrócił się do wolnego wampira łagodniejszym tonem, zamykając ostatecznie gorący temat – bądź uprzejmy zabrać głos.

Co tu się, do cholery, właśnie stało? – zastanawiał się Bogusław zszokowany, acz pełen podziwu. Mistrzowskie posunięcie. Bez dwóch zdań. Nie można było rozegrać to lepiej. Królowie błagający Chwalimira, by przejął ich władzę. Matko przenajświętsza! – stary wampir pokręcił głową z niedowierzaniem. I to w obecności ponad dwudziestu świadków. A Konwent Monarchów? Jaki konwent? – zaśmiał się w duchu – skoro to on będzie teraz decydował, kiedy go zwołać, i czy w ogóle zwołać. Nawet temat konwentu będzie wyłącznie jego wyborem. Cały kraj w rękach Chwalimira i trzy marionetki na krótkich sznurkach, a wszystko zdobyte w niespełna dziesięć minut i bez ofiar. Ten gość jest moim idolem. Oniemiały spojrział na swego

króla. Tak, ponad wszelką wątpliwość to był jego król. Z takiego króla był dumny i nie zamierzał dłużej wypierać się przynależności do grona jego poddanych.

Otrząsnął się i rzucił okiem na zebranych. Patrzyli na niego w milczeniu. Czekali na raport. Do wszystkich w jakimś stopniu dotarły echa ostatniej walki. Wiedział, że są świadomi ledwie połowicznego zwycięstwa. Póki Olaf żył i dysponował tajnymi manuskryptami, wszystko było możliwe. Wampiry już nie mogły czuć się bezpieczne. Bezpieczeństwo – przemknęło mu przez myśl. Na swój pokręcony sposób przedziwne zjawisko.

Zaiste. Jak świat światem każdy, kto przekroczył próg Mrocznego Świata, czuł jego nieprzewartą moc i bezwzględność. Ta moc i bezwzględność otaczały go, pochłaniały i oferowały siebie. Nikt nie odwracał się od takiej hojności. Czerpali z nich podwaliny swej pośmiertnej egzystencji, a Mroczny Świat władał całym Rodzajem. Podstępnie wkładał się też do słabego, nieświadomego budzącej grozę prawdy, świata ludzi. Ci zaś w swej naiwności i ignorancji byli wobec niego bezbronni i bezradni. Tymczasem moce Rodzaju dawały jego ludowi absolutną władzę nad śmiertelnymi drobinami. Tak było przez stulecia. Ale gdy Mroczny Świat wciąż tkwił w bezkrytycznej ufności we własną wszechwładzę, rwący nurt przemian porwał świat ludzi, zmieniając układ sił i nieustannie zewężając cienką linię dzielącą tajemną wieczność od naiwnej doczesności. Toteż dziś ludzie nie byli już zabobonnymi, tchórzliwymi ignorantami. Gdy Rodzaj niezmiennie zachłystywał się odwiecznymi mocami, oni uzbili się w naukę, technikę, światłość umysłu i żądzę wiedzy, ale przede wszystkim w bezwzględną broń – wszędobylskie media. Wystarczył zaledwie ułamek chwili, by internetowy nius obiegił świat z prędkością światła, ujawniając wszystko wszystkim. Jak w takiej rzeczywistości nieumarli mogli chronić swe istnienie? Nie mogli. Ich bezpieczeństwo zdawało się wisieć na włosku.

Bogusław w końcu wstał ponaglany wyczekującymi spojrzeniami i nim zaczął swój raport, posiłkując się prezentacjami i arsenałem informacji Marka, pochylił głowę i złożył hołd druhom, którym nie dane było uczestniczyć w tym zgromadzeniu.

– Kirył, Piotr i Karol. Nie ma ich już wśród nas, choć razem z nami powinni dziś zasiadać przy tym stole. Byli prawdziwymi wojownikami, którzy oddali swe istnienie, by reszta z nas mogła czuć się bezpiecznie. Chwała im – zakończył.

Odpowiedziała mu posępna cisza. I choć członkowie Rodzaju nie byli wylewnym ludem, to strata kogoś z ich klanów, dotykała nawet pozornie nieczułe wampirze serca.

Po tej krótkiej chwili zadumy Bogusław zaczął swój raport. Nie omieszkał wyrazić uznania dla pracy zespołów śledczych oraz dokonań i nieocenionej pomocy łowcy, z podziwem wspominał zdumiewający ośrodek pod Gdańskiem, aż w końcu dotarł do niechlubnego momentu rzezi w Gościszowie. Wszyscy słuchali w skupieniu. Tak naprawdę dopiero teraz dysponowali pełną wiedzą. Wyczerpujący raport Wolnego dał im kompletny obraz mozolnej pracy zespołów, ale i potencjalnego zagrożenia.

– Tak przedstawiają się sprawy na ten moment. – Bogusław westchnął, kończąc sprawozdanie w minorowym nastroju. – Jeśli chcecie wiedzieć coś więcej... pytajcie.

– Jak to możliwe, że tak wielu z nas łączy się z ludźmi? – zapytał baron okręgu Łodzi, jednocześnie nie ukrywając swego zniesmaczenia.

Chryste! – Bogusław przewrócił oczami.

– Sądzę, że na ten moment, to chyba najmniej istotne pytanie – zauważył Marek, nie czekając aż ktoś inny odpowie.

– Nie wiem człowieku, czy masz rację – odburknął baron. – Gdyby nie wy, bylibyśmy bezpieczni.

– Gdyby nie my, bylibyście prawdziwie martwi. Dawno – odciął się Marek.

– Nie umieramy śmiercią głodową, jeśli to masz na myśli.

– Nie, ale stajecie się obłąkami, a wtedy wkraczają łowcy.

– Dość! – Chwalimir uciął spór. – Faktycznie w tym momencie nie jest istotne, że wielu nieumarłych łączy się z ludźmi. Nasz świat się zmienia i to jest jedna ze zmian. Musimy to zaakceptować i nauczyć się funkcjonować z ludźmi świadomymi naszego istnienia... przy naszym boku. Dziś problemem nie są mieszane związki, lecz szaleniec, który nie rozumie tej relacji. Bractwo zaatakowało znienacka i boleśnie. Teraz musimy zrobić wszystko, żeby więcej do tego nie dopuścić.

– Zdecydowanie zgadzam się z tobą, Wasza Wysokość. – Marek jednoznacznie manifestował, po której stronie się opowiada. – I wiedz, że nie ustaniemy w poszukiwaniach, walce i determinacji, by ostatecznie zniszczyć Olafa i jego stronników.

Zapadła świdrująca cisza. Słaba istota stawała z nimi ramię w ramię, przeciwko swemu pobratymcowi? Stanowcze słowa i determinacja człowieka budziły w nich podziw. Jakby nie pojmowali, że Marek nie był przeciętnym człowiekiem – był łowcą wzrastającym w świadomości Mrocznego Świata, szkolonym do walki i funkcjonowania wśród Rodzaju. Te cechy sprawiały, że dysponował potencjałem, z którego nie zdawali sobie sprawy.

– Cóż, moi drodzy. Odnoszę niemiłe wrażenie, że rozgrywka dopiero się rozpoczyna – zasepił się Chwalimir. – Musimy ostro zabrać się do roboty, by dopaść Olafa, nim zdoła się pozbierać i ponownie ruszyć do walki. Ten sukinsyn z pewnością znów zechce bawić się z nami w kotka i myszkę. To, zdaje się, sprawia mu nieopisaną przyjemność. Trzeba zrobić wszystko, by nie dopuścić do odrodzenia bractwa. Zebranie nowej grupy ludzi i poddanie ich intensywnej indoktrynacji to zadanie wymagające czasu. Ten czas działa na naszą rzecz. Musimy dobrze go wykorzystać.

Trzy godziny później konwent wciąż trwał, napędzany wielowątkową dyskusją, ale poza słowami konkretnej deklaracji ze strony łowcy i podsumowującym wnioskiem króla protektora, nie wnosił nic odkrywczego. Chwalimir postanowił zakończyć zgromadzenie – mimo że czasu miał w nadmiarze, nie znosił marnować go na jałowe dyskusje. Jak by na sprawę nie spojrzeć, wszystko i tak było w rękach wolnego wampira i jego ludzi pod czujnym okiem królewskiej protekcji.

W sali obrad obsługa zaczęła sprzątać nietknięte szklanki i butelki Perrier, a wampirze szychy ospale rozchodziły się do swych kwater, deliberując w mniejszych grupach.

– Słyszałem, że ty również związałeś się z człowiekiem – szepnął Chwalimir do Bogusława tak, by nikt inny go nie usłyszał.

– Plotki szybko się rozchodzą, Wasza Wysokość – odpowiedział, nie ukrywając swej niechęci.

– To plotka? – Monarcha uniósł brew, wyginając usta w szyderyczym uśmiešku.

– Cóż... – Bogusław nie zamierzał roztrząsać tematu.

– Tak myślałem. Nie rozumiem tylko, dlaczego teraz. Narażasz siebie, ją i... dzieci.

– Cholera!

– Bogusławie, muszę wiedzieć, co dzieje się w moim królestwie. Taka moja powinność. – Położył rękę na jego ramieniu. – Powiedz mi zatem... warto ryzykować?

– Zadałeś niewłaściwe pytanie, Chwalimirze. Nie warto tracić ani jednego dnia bez niej. Może kiedyś spotkasz kobietę, która też będzie dla ciebie początkiem i końcem, światłością i mrokiem, bytem i niebytem. Po prostu wszystkim i w każdym aspekcie.

– Skąd możesz wiedzieć, że ona jest dla ciebie tym wszystkim? Zawarliście więź?

– Nie. Jeszcze nie, ale tak właśnie czuję. Tęskniłem do niej od pierwszej chwili, gdy ją ujrzałem. Jak więc mogłoby być inaczej?

Szli pustym korytarzem oświetlony delikatnym półmrokiem przyćmionych lamp. Nie

rozmawiali więcej. Ten związek był prywatną sprawą Bogusława i Chwalimir nie zamierzał w niego ingerować. Szanował decyzję wolnego wampira, ufając jego rozsądkowi. Potwierdzenie lub zaprzeczenie tej zażyłości było wszystkim, czego oczekiwał. Niemniej myślami krążył wokół zaskakującej sugestii Sławka: „może kiedyś spotkasz kobietę, która też będzie dla ciebie początkiem i końcem, światłością i mrokiem, bytem i niebytem. Po prostu wszystkim i w każdym aspekcie”. To niemożliwe – stwierdził trzeźwo. Tysiąc lat w samotności i nigdy nawet nie pomyślał, by mieć partnera. Ba – nawet jego stwórca nie utworzył z nim więzi, od pierwszej chwili traktując jak zabawkę, póki po stuleciu udręki Chwalimir nie wywalczył sobie niezależności. Jak więc nagle mógł pragnąć bliskości? Jako „nowonarodzony” był osamotnionym i wykorzystywanym narzędziem w bezwzględnych łapskach swego stwórcy, jako członek Rodzaju był samotnikiem, wreszcie jako monarcha zwalczał w sobie osobiste pragnienia i pokusy, skupiając się na powinnościach, na byciu królem. Nawet potrzebę seksu – zdawałoby się nieodzowny element pożywiania, potrafił stłumić w sobie do absolutnego minimum. Wampiry nie czują – wmawiał sobie z uporem. Nie potrzebujemy nikogo. Nie potrzebujemy partnerów czy ogłupiającej miłości. Instynkt i żądza, to wszystko. A jednak czuł w sobie pustkę, coś kłuło go głęboko w nieumarłym sercu. Choćby ta wczorajsza historia z Jadwigą... Taaa – westchnął – w istocie, ta historia daje do myślenia. Był światłym mężczyzną, więc jak długo jeszcze zdoła oszukiwać samego siebie?

W obszernym lobby jasne światło zalało ich oślepiającym blaskiem.

– A tak przy okazji... moje gratulacje. Mistrzowskie posunięcie. – Bogusław skłonił się i skierował w stronę korytarza prowadzącego do jego pokoju.

– Do zobaczenia – odpowiedział król na pożegnanie, nie komentując słów wolnego wampira. Nim jednak zdążył je przemyśleć, Leon pojawił się znieca, zatrzymując Chwalimira w miejscu.

– Co ci odbiło, żeby się zrzekać protektoratu?! – Nie owijał w bawełnę i nie ukrywał swego oburzenia. – To była niepowtarzalna szansa żeby wywindować Ziemie Zachodnie ponad resztę!

– Taki absolutyzm rodzi pazerność na władzę. Do tej pory byłem może silniejszy od pozostałych, ale równy – odparł spokojnie Chwalimir, jakby zaskakujące pojawienie się Leona nie zrobiło na nim wrażenia.

Jako że każdy z nich mieszkał w innym skrzydle, stali u zbiegu korytarzy i rozmawiali niemal niesłyszalnym szeptem. Przez ściany przeszkleń rozległy park zachwycał widokiem, a na skórzanych kanapach w lobby siedziało kilku baronów i przybocznych, dzierżąc w rękach termokubki, poruszając kwestie dalece odległe od tematyki konwentu.

– Ale dlaczego chcesz być równy? – wysyczał młody przez zaciśnięte zęby, nie dając za wygraną.

– Rodzaj to bardzo chimeryczny twór. Łatwo znaleźć się na celowniku jakiegoś żądnego absolutnej władzy szaleńca. Teraz podział jest klarowny i daje równe szanse wszystkim. To gwarantuje pokój i wzajemne bezpieczeństwo. Pomyśl, jeśli któryś z monarchów postanowiłby zawładnąć moją ziemią, miałby nadal tylko skrawek całości. Do tego z pewnością nie przetrwałby tego starcia, bo jestem silniejszy. Poza tym – ciągnął Chwalimir spokojnie – walka o Ziemie Zachodnie osłabiłaby go na tyle, że nie byłby w stanie sięgnąć po pozostałe królestwa. Nie na tyle szybko, by je zdobyć, zaskakując pozostałych monarchów. Ale jeśli będę jednowładcą, cały zjednoczony obszar będzie do przejęcia za sprawą jednego przewrotu. Myślisz, Leonie, że co nam dawało spokój i zapobiegało bratobójczej masakrze między klanami? Właśnie podział na równe i równorzędne części. Unia Królestw to dobry układ. Nie ma sensu go zastępować ryzykownymi rozwiązaniami.

– Ale oni sami chcieli, żebyś wziął władzę w swoje ręce. – Leon nie odpuszczał.
– Chcieli, żebym zachował protektorat, a to różnica. Wiesz, co oni robią? Próbują umyć ręce od tego cholernego gówna z bractwem. Protektorat to dla nich wygodne posunięcie. Nadal władają swymi Ziemiami, ale gdy dzieje się coś naprawdę złego, mówią „to nie nasz problem, przecież mamy protektora”. Umywają ręce, rozumiesz? – powtórzył dosadnie. – Już nawet nie zwołują Konwentu Monarchów, tylko zostawiają decyzje mnie. Nie, Leonie, nie podoba mi się to. Wypracowaliśmy Unię Królestw jako najlepszą opcję dla naszego ludu i tak powinno zostać. Jedyne na co mogę się zdecydować, to zwołać Konwent Monarchów i wtedy przeanalizuję wszystko, ale już z zupełnie innej perspektywy.

– To znaczy?

– Nie chciałbym jeszcze o tym mówić. Za wcześnie na ujawnianie mojego stanowiska.

– Ale przemyślisz to jeszcze?

– Tak, oczywiście, że tak. Przecież, jak mówisz, to doskonała okazja, by „wywindować Ziemię Zachodnie ponad resztę”. – Chwalimir uśmiechnął się zagadkowo i po ojcowsku poklepał Leona po ramieniu. Czyżby młody nie zauważył, że właśnie jego król przejął władzę nad Unią i to na wyraźne błagania reszty monarchów? „Przyjmuję władzę, którą mi dobrowolnie oddajecie” powiedział w obecności świadków i to starczyło, by zagwarantować sobie absolutyzm na wieczność. Jeśli Leon tego nie uchwycił, to reszta też mogła odebrać jego zgodę jako rozwiązanie tymczasowe. Zwłaszcza, że podsunął im tę sugestię. „Zgadzam się sprawować protektorat nad wszystkimi Królestwami Ziem” powiedział. Mieli zatem prawo odczytać to w ten sposób. I dobrze. Nie należało wyprowadzać ich z błędu. Bogusław zrozumiał – przemknęło mu przez myśl. Ale on jest po mojej stronie. – Zaufaj mi, młody – rzucił zdawkowo. – Wiem, co robię.

– Dobra, w takim razie spadam do siebie. Ale nie myśl, że ci odpuszczę. Jeszcze wrócimy do tej rozmowy.

– Z pewnością, mój mały – zaśmiał się Chwalimir i skręcił w stronę swojej kwatery.

Podchodząc do drzwi apartamentu, usłyszał stłumione kroki nadchodzące zza zakrętu. Zatrzymał się i czekał. Kto jeszcze? – pomyślał z niepokojem. Długie, zniewalające nogi w cholernie seksownych szpilkach ukazały się po chwili, a zaraz za nimi cała postać. Kobieta szła, kołysząc biodrami, powolnym krokiem zbliżając się do Chwalimira.

– Jadwiga – szepnął.

Uśmiechnęła się nęcąco.

Bogusław gnał przez noc. Wskazówka szybkościomierza już dawno przekroczyła setkę, on jednak zdawał się tego nie zauważać. Uciekał. Chciał uciec jak najdalej od tego koszmaru, który pochłaniał go przez kilka ostatnich tygodni. Przed oczami tańczyły mu obrazy zmasakrowanych zwłok mnichów, przeplatających się z poskręcanyymi w śmiertelnych konwulsjach ciałami druhów i z szyderczą, nienawistną, żądną krwi twarzą Mistrza. To go dobijało. A potem walczyli całość jeszcze wiele razy na ciągnących się godzinami naradach i na konwencie, analizując każdy szczegół i wyciągając wnioski. Ale wszystko musiało być dokładnie przemyślane, gdy nieobliczalny Olaf szalał poza jakąkolwiek kontrolą z ich strony. Gdzie się ukryje? Co teraz robi? Jak daleko jeszcze będzie zdolny się posunąć? Co teraz czeka Rodzaj? Nieskończona lista pytań, na które nie znali odpowiedzi. Owszem, wyeliminowali prawie całe bractwo. Prawie! Ale cóż z tego, że zmasakrowali bestię? Jej łeb nadal żył i pewnie już zaczął regenerować swe obmierzłe cielsko. Bogusław desperacko nie chciał dopuścić tej myśli do świadomości. Pragnął odciąć się od tego przerażającego okrucieństwa. Czy opętany żąda

eksterminacji Olaf zdawał sobie sprawę, jak ogromne spustoszenie sieje nie tylko w Mrocznym Świecie, ale i w świecie śmiertelnych? Wydawało się, że tak, i że doskonale się przy tym bawił zwyrodnialec. Kiedy ostatni raz Sławek zetknął się z takim bezsensownym śmiercią? Nie pamiętał. Lata temu wyeliminował ostatniego zabójcę i od tego czasu rzeczywistość w ich wymiarze stała się lepsza. Niestety, bezlitosne koło losu kręci się, sprawiając, że po latach spokoju i dobrobytu nadchodzi czas, gdy poszanowanie życia zastępuje bezgraniczny fanatyzm i żądza władzy.

– W cholerę z takim gównem – zaklął. Nie chciał o tym myśleć. Pragnął jedynie, znaleźć się w domu. Wreszcie poczuć spokój i ciepło ramion Kaśki – westchnął. Ta kojąca myśl wiodła go ciemną drogą w stronę Borów Tucholskich i starej, drewnianej chaty. Lubił to miejsce, choć rzadko do niego zaglądał – sama świadomość posiadania takiej samotni sprawiała mu przyjemność. Ale gdy Kaśka przyjęła jego zaproszenie, poczuł się niewiarygodnie szczęśliwy. Wreszcie nadarzała się okazja, by choć przez chwilę wrócić do człowieczeństwa. By choć przez jakiś czas stworzyć sobie namiastkę domu. A może, jak dobrze to rozegrasz, zyskasz dom na zawsze? Dom i upragnioną rodzinę – uwodziła jego podświadomość.

Rozdział 30

Kaśka stała na zacienionym ganku, obserwując bawiące się dzieci. Nie spodziewała się, że po wakacyjnej katastrofie, którą zafundował im Jacek, trafią do tak urokliwego miejsca, gdzie na dodatek nieziemsko przystojny gospodarz będzie usilnie zabiegał o jej względy. Ale prawda była taka, że cholernie jej się to podobało.

Leśniczówka zdawała się rajem na Ziemi. Boże! W życiu nie spodziewała się zastać tu czegoś takiego. Wspaniały, drewniany dwór, który Bogusław nazywał starą chatą, kryty był drewnianym gontem. Stojąc na niewielkim wzniesieniu w centralnym punkcie dziesięciohektarowej działki, znajdował się w środku głębokiej głuszy. Okalało go niewysokie ogrodzenie z szerokich, poprzecznych desek przybitych do masywnych bali, wsparte ligustrowym żywopłotem, który puszczony swobodnie, szczyrzył swoje najeżone odrosty. Dwustumetrowy budynek na planie prostokąta wspierały dwie pary okrągłych filarów, tworzących wraz z daleko wysuniętym dachem i głębokim podestem spory ganek. Nienaturalnie szerokie, łukowate drzwi zapraszały do środka. W centralnej części parteru, tuż za sporym holem, znajdowała się rozległa izba będąca teraz pokojem dziennym, w centrum którego zachwycił lśniący, czarny fortepian.

– Grasz? – spytała zaskoczona, kiedy pierwszy raz stanęła w progu pokoju.

– Nieee – zaśmiał się przeciągle Bogusław. – To dla ciebie. – Wskazał ręką kosztowny instrument.

– Ale... – Wtuliła się w niego oszołomiona. – Dziękuję – wyszeptała. – Ale jak mam na nim grać? W nocy pobudzę dzieciaki, a za dnia tobie nie dam pospać – martwiła się.

– Możesz grać całymi dniami. Przede wszystkim mam diabło mocny sen, a po drugie wiesz, że uwielbiam jak grasz. – Cmoknął ją w czubek głowy.

– Załatwione. – Uśmiechnęła się. – W takim razie będę ci grała kołysanki.

Od tamtej rozmowy Kaśka siadała do fortepianu przy każdej sposobności i, nie bacząc, iż Bogusław śpi w sypialni na górze, dawała „koncerciki”, jak zwały to maluchy zawsze chętne posłuchać. Cały dom rozbrzmiewał wówczas muzyką, a nie rzadko i śpiewem, w którym umuzykalniona dzieciarnia chętnie jej wtórowała.

Jak na kilkusetletni dwór przystało z pokoju dziennego w amfiladzie można było przejść przez podwójne drzwi z jednej strony do słonecznego, obszernego gabinetu, z drugiej zaś do równie jasnej, przestronnej kuchni. Bajecznie droga kuchnia stylem przypominała tę w mieszkaniu Kaśki i wciąż jeszcze pachniała nowością. Najwyraźniej Bogusław zadbał o jej urządzenie dopiero niedawno i z pewnością jedynie z uwagi na nowych lokatorów tego domostwa. Prawdę powiedziawszy, cały dwór pachniał i błyszczał świeżością dowodzącą niedawnego remontu. Kiedy Bogusław to załatwił? – zastanawiała się, wiedząc jak bardzo pochłania go walka z bractwem. Ale prawdą jest, że mając pieniądze i dobre chęci, można dziś wszystko załatwić za sprawą zaledwie kilku telefonów i korespondencji mailowej.

Wszystkie pomieszczenia parteru miały duże, przeszklone wyjścia na rozległy taras i dalej do kolorowo ukwieconego ogrodu typu łąka. Natomiast szerokie schody z holu wiodły na piętro, gdzie czekały cztery spore sypialnie pod skosami, każda z osobną łazienką i rozkosznym, mansardowym okienkiem. Urządzone były prosto, gustownie, przytulnie.

Dzieciaki od razu rozpanoszyły się w oddzielnych pokojach, szczęśliwe, że nie muszą dzielić przestrzeni. Trzeba było zorganizować dwie wyprawy do Poznania i kilka pomniejszych do pobliskiej miejscowości, by na czas prawie dwumiesięcznego pobytu zaopatrzyć maluchy w absolutnie niezbędne rzeczy. Wprawdzie dla bąbli pojęcie „absolutnie niezbędne” oznaczało

zdecydowanie co innego niż dla ich rodzicielki, na szczęście jednak konstruktywne dyskusje doprowadziły w końcu do satysfakcjonującego kompromisu. Tym sposobem dzieciaki miały w swych sypialniach szafki pełne absolutnie niezbędnej odzieży oraz kosze i pudła pełne absolutnie niezbędnych zabawek, przyborów plastycznych i skarbów.

Chociaż Bogusław sugerował taką ewentualność, Kaśka nie zajmowała osobnej sypialni. Odkąd dzieci z pełną aprobatą przyjęły jego obecność w rodzinnym kręgu, nie widziała potrzeby, by ukrywać łączącą ich zażyłość. Tak więc co rano maluchy gramoliły się do ich łóżka, figlując z Kaśką w ramach wspólnej pobudki, całkowicie ignorując pogrążonego w kamiennym śnie pana Sławka. Spacerzy, pluskanie w pobliskim jeziorze, zabawy w obejściu – ich wakacyjne życie było spokojne, radosne, wręcz sielankowe.

Ciekawe kiedy pęknie ta bańka szczęśliwości i powróci szara rzeczywistość? – jątrzyła skora do teorii spiskowych Kasina podświadomość, gdy w tym samym czasie Pawelek brykał po padoku ze swoim nowym przyjacielem – kucykiem Bonzo, a Agatka, siedząc na ogrodowej ławeczce, trzymała na kolanach szarego kota i głaszcząc go, nuciła piosenkę.

– Mój Boże. – Kaśce łzy radości zakręciły się pod powiekami. Promienne szczęście nie schodziło z twarzy dzieci, więc i na jej obliczu zagościło szybko i zdecydowanie.

Nie tylko radosne dzieciaki i super wakacje sprawiały, że delectowała się szczęściem – minioną noc w ramionach Bogusława... łał. Zresztą, każda noc w jego ramionach była niesamowita. Jak długo jeszcze? Nieważne. Trzeba brać, póki dają i cieszyć się tym, póki można – wsparta o balustradę ganku dumiała nad swoją, być może, niepewną przyszłością, a słońce leniwie zaczęło chować się za konarami wysokich drzew. Chętne ptactwo prześcigało się, by nadać tej chwili rys nastrojowej aury, a szeleszczące na lekkim wietrze liście wtórowały leśnym śpiewakom. Nadciągał ciepły, pogodny wieczór.

Bogusław podszedł do swojej kobiety niemal bezszelestnie. Oplótł ramiona wokół jej talii i złożył namiętny pocałunek na odsłoniętym karku.

– Ach, ten karczek... smakowity kąsek – wymruczał, sunąc ustami po nagrzaną skórę.

Wyglądała diabelnie kusząco, gdy tak stała, tyłem do niego, w jasnych dzinsach opinających pośladki i białym podkoszulku na naramkach demonstrującym opalone, krągłe ramiona. Całym sobą chłonał ten ponętny widok, uwalniając wyobraźnię. Ilekroć miał tę kobietę w zasięgu wzroku, jego frywolna wyobraźnia zrywała się do lotu, nie pozostawiając go obojętnym na wdzięki kochanki.

– Witaj. – Przytrzymała jego ręce swym objęciem. – Jeszcze słońce nie zdążyło się dobrze schować, a ty już na nogach?

– Tęskniłem – wyszeptał.

Kaśka roześmiała się perliście, czując jak jego ciepły oddech omiata jej policzek. Uwalniając się z uścisku, odwróciła się twarzą do Bogusława i spojrzała mu w oczy – uwielbiała ich niespotykany, błękitno-srebrny blask. Gładząc czule jego policzek, wspięła się na palcach i pocałowała delikatnie.

– To miłe – rzekł, gdy oderwała od niego usta. – Chyba będę musiał przestawić swój dobowy tryb, żeby więcej z tobą przebywać.

– Nie, nie musisz. – Spoważniała. – Tak jest dobrze. Nie chcę, żebyś przeze mnie zmieniał coś w swoim życiu, a już z pewnością nie zgodzę się, żebyś się przeze mnie narażał.

– Nie narażam się, Kasiu. Promienie słoneczne mnie tu nie dosięgną. – Uśmiechnął się zalotnie.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Wiem, wiem. Ale na wszystko można znaleźć sposób.

– Na wampiryzm chyba nie można? – W jej głosie słychać było drwinę.

– Ach, ty mądralo – zaśmiał się i uniósł ją wysoko, tuląc mocno.
– Puszczaj, brutalu – chichotała. – Udusisz mnie.
– Wyjdź za mnie – rzucił niespodziewanie, stawiając ją z powrotem na podeście.
– Oszalałeś? – roześmiała się. Zaskoczył ją, ale postanowiła obrócić to w żart. – Dopiero się rozwiodłam.

– I?
– Jak to będzie wyglądać, gdy od razu rzucę się w drugie małżeństwo?
– Dlaczego się tym przejmujesz? Boisz się ludzi? Tego, co sobie pomyślą? – Nagle spochmurniał.

Kaśka zdała sobie sprawę, że Bogusław nie żartuje, że jego propozycja jest absolutnie poważna. Matko święta! – jęknęła w duchu skołowana. Zaskoczenie, lęk, radość, oszołomienie – skrajne emocje harcowały, nie pozostawiając zbyt wiele swobody na logiczne myślenie.

– Tak. – Chwilę trwało, nim odpowiedziała. – Jestem tchórzem, wiem. Ale nic na to nie poradzę. Pomyśl chociażby, co by Jacek na to powiedział.

– Boooooże, Kasiu.
– Co? – Spojrzała niepewnie. – Nie patrz tak na mnie.
– Dobra, nie będę na ciebie patrzył. – Demonstracyjnie odwrócił głowę.
– Sławek, proszę... zrozum. Nie mogę tak po prostu wyjść ponownie za mąż. Mam dzieci, to mnie zobowiązuje.

– Do czego? Do uciekania od własnego szczęścia przez kolejne lata?
– Nie, absolutnie nie tak. Zobowiązuje mnie do odpowiedzialności.
– Co jest nieodpowiedzialnego w małżeństwie z facetem, który cię ubóstwia i szaleje za tobą, a do tego uwielbia twoje dzieci i chce im stworzyć prawdziwy dom?

– Bogusław, proszę, nie dręcz mnie. Może po prostu nie jestem jeszcze gotowa na taki krok.

– Skoro tak uważasz... Okej. Poczekamy z tą rozmową na lepszy moment – mówił spokojnym, niemal kojącym głosem, patrząc na nią ciepło.

– Ooo, ho, ho, ho! – Kaśka spojrzała na Bogusława ze zmrużonymi oczami i pogroziła mu palcem. – Znam ten ton i to spojrzenie. Nie wąż się majstrować przy moich emocjach. – Uśmiechnęła się przebiegle, hardo unosząc głowę i piorunując go wzrokiem.

– Oj, skrzacie – pokręcił głową, wciąż ciepło na nią spoglądając – wszędzie węszysz podstęp. Nie majstruję. Nawet mi to do głowy nie przyszło, ale może powinienem. Może wtedy twoja decyzja byłaby inna.

– Zrozum, proszę. Po prostu boję się, że Jacek może to jakoś pokrętnie wykorzystać.
– Przecież nigdy nie robił ci świństw. To palant, fakt. Ale od rozwodu nigdy nie przekroczył granicy przyzwoitości.

– Masz rację, ale to prawnik. Nigdy nie wiadomo kiedy i z jakiego powodu coś mu strzeli do głowy.

– Kasiu, nie rozumiem, dlaczego tak się nim przejmujesz. Gość był w kolejnym związku, nim jeszcze skończyło się jego małżeństwo. Teraz jeszcze, prawdopodobnie, będzie miał dziecko. Nowa kobieta, chyba-cięża... – Bogusław zaśmiał się pod nosem kąśliwie – wierz mi, jego myśli z pewnością zaprzątnięte są innymi sprawami, aniżeli kombinowaniem, jak ci dokopać. Poza tym myślę, że argumenty są po naszej stronie. A swoją drogą – dodał po chwili – myślisz, że jak zechce ci dokopać, to nie wykorzysta, że bez ślubu żyjesz z innym mężczyzną?

– Chryste! Dlaczego twoje rozumowanie jest zawsze takie cholernie logiczne?
– Setki lat na karku. – Uśmiechnął się szelmowsko, puszczając do niej oko. – To do czegoś zobowiązuje.

– Dobra, dobra, dzieciaku. – Kaśka zmierzwiła płowe włosy kochanka i spojrzała w piękną, młodą twarz, wciąż nie mogąc uwierzyć, że dzieli życie z tysiącletnim mężczyzną. – Widzisz? To też jest problem. Ty zawsze będziesz miał ledwie trzydzieści lat, a ja? Już niedługo mnie po prostu nie będzie. – Zwiesiła smętnie głowę, świadoma tej niepodważalnej prawdy.

– Wiesz, że nie musi tak być – odpowiedział spokojnie. – Możesz żyć ze mną bardzo, bardzo długo, a jeśli kiedyś zechcesz... to nawet wiecznie.

– Nie wiem, Sławek. Boję się tego. Tak zupełnie zwyczajnie, po ludzku, boję się tego. A co powiem dzieciom, jak za dwadzieścia lat będziemy wciąż wyglądać tak samo?

– Będziemy się tym martwić za dwadzieścia lat. Poza tym, dorastając przy nas, same znajdą rozwiązania i swoje miejsce w naszym świecie.

– Jesteś tak piekielnie pewien swoich racji, ale ja nie mogę uwierzyć ci na słowo.

– To nie wierz. Po prostu doświadcź tego wszystkiego, co ci oferuję. Reszta rozwiąże się sama. – Przyciągnął kobietę do siebie i czule przytulił. Zrezygnowana wsparła czoło o jego szeroką pierś. – Nie martw się, skrzacie. Wszystko się ułoży, trzeba tylko w to uwierzyć. – Pochylił się i wycisnął czulego buziaka na Kasinej głowie.

Przy kolacji maluchy nawet nie spytały, dlaczego pan Sławek pije tylko wodę. Spędziły z nim dość czasu, by przywyknąć do jego niestandardowych zachowań. Zresztą, alergią była wystarczającym argumentem, tłumaczącym większość jego dziwactw, a co najśmieszniejsze – wcale tak bardzo nie mijają się z prawdą.

Kolejny dzień pełen wrażeń, a potem wieczorne ognisko i opowieści pana Sławka, w których dawni wojowie przeżywali mroźne krew w żyłach przygody, to dość, by dzieciaki nie oponowały przed pójściem do łóżek. Zasadniczo Kaśka z Bogusławem też chcieli jak najszybciej znaleźć się w łóżku.

Szybka krzątanina przy brzdącach, potem równie szybki prysznic i oboje znaleźli się w sypialni nadzy i gotowi, znów spragnieni siebie – nieujarzmiona wzajemna fascynacja była solidnym stymulantem.

Wielkie łóżko czekało, ciepłe światło świec pełzało po śnieżnobiałej pościeli, deski starej podłogi poskrzypywały pod ich stopami. Kaśka pchnęła stojącego przy łóżku Sławka na plecy, sprawiając, że zatonął w miękkiej pościeli. Zaśmiał się i założywszy ręce pod głowę, zaczął taksować jej nagość, gdy zsunęła z siebie szlafrok, który miękko opadł u jej stóp. To ciało to poezja. Westchnął zauroczony. Dość miał silikonowych cycków i modelingowych, wychudłych sylwetek dziewczyn, które jeszcze do niedawna spotykał. Ale czy miał wybór? Wszak korzystał z usług profesjonalistek, a te zawsze chciały być na topie. Szczęśliwie teraz miał stałą partnerkę i to zachwycającą. Kręciły go jej nieduże piersi, drobne niedoskonałości sylwetki, kilka niewielkich rozstępów czy blizn z dzieciństwa, które jego wybitny wzrok wylapywał nawet w grobowych ciemnościach. Kaśka była autentyczna – diabelnie człowiecza i o dziwo wcale z tym nie walczyła.

– Co jest? – spytała, podejrzliwie przymrużywszy oczy.

– Upajam się widokiem.

– To zupełnie tak jak ja – wymruczała zalotnie, stając tuż przy jego nogach, delikatnie muskając jego kolano własnym.

A było się czym upajać – cholernie seksowne, umięśnione ciało, dzikość w wysrebrzonych oczach, żądza manifestująca się w dorodnym penisie. Przez chwilę podziwiała swojego mężczyznę, a potem spragniona opadła na kolana. Rozwarła jego muskularne uda i patrząc mu wyzywająco w oczy, wzięła go do ust. Bogusław jęknął i przymknąwszy powieki oddał się we władanie chciwym ustom kochanki.

– Mhmm – wymruczała, czując, jak wilgotna kropla krystalizuje się na jej języku.

Zassała ją zachłannie.

Jego jęki i przyspieszony oddech narastały wraz z kolejnymi, coraz bardziej zachłannymi pociągnięciami gorącego języka i głębokim, rytmicznym ssaniem.

– Ooo. Taak. Taak. Cuudoownie – mamrotał, sapiąc i pojękując, a twardy penis przeżył się w jej ustach. Niejeden stosunek oralny miał za sobą, ale żadna dziewczyna nie wkładała w to tyle pasji co ona. Ta kobieta... była niesamowita. Penis głęboko w jej ustach, penetrujący jej gardło, główka mistrzowsko pieszczona zwinnym językiem... – O fuck! – kilka minut później rozochocony wysyczał przez zaciśnięte zęby, biorąc jej głowę w dłonie, by raz za razem wbijać się w nią głębiej. Zaczął symptomatycznie pulsować. Jeszcze chwila, jeszcze kilka sekund, kilka posunięć wewnątrz jej gorących ust i dojdzie.

– Nie tak szybko, mój drogi – rzuciła, uwalniając go nagle.

– Jasna cholera! Kaśka, co robisz? – jęknął przerażony.

– Mówiłam. Nie tak szybko. To dopiero gra wstępna, kotku – zaśmiała się delikatnie rozbawiona desperackim protestem i gorącą żądzą bijącą ze srebrzystych oczu.

Bogusław leżał rozpalony. W zaciśniętych dłoniach zawzięcie miał bogu ducha winną pościel, gdy tymczasem ona powoli, pomrukując zmysłowo niczym skradająca się kotka, zaczęła wspinać się na łóżko. Łakome pociągnięcia wilgotnego języka wprawiały jego ciało w drżenie. Jej usta i język wędrowały po nim zapamiętale, trafiając w końcu na stwardniały sutek. Znów zaczęła zachłannie ssać, okrążając go językiem. Trudno powiedzieć, by Bogusław wcześniej przepadał za tą pieszczotą – zadowolenie z lizania i ssania jego sutków zdawało mu się niemęskie, ale też wcześniej nie robił tego z nią. A jej pieszczoty były... jedyne w swoim rodzaju. Złapał się na tym, że myśli o seksie z Kaśką jak o nigdy niedoświadczanym doznaniu – jakby dopiero dzięki niej uczył się, czym jest uprawianie miłości. Gdy on, pojękując z rozkoszy, konstatawał jej pieszczoty, ona dotarła do spragnionych ust i nie zważając na wysunięte kły, wessała jego dolną wargę. Zaczęła ją lekko podgryzać. Ich języki splotły się, aż w końcu posiadała go w zachłannym, gorącym pocałunku.

– Mhmm... smakujesz tak cudownie – wymruczała mu w usta.

– Czyli jak? – Wodził dłońmi po jej pośladkach.

– Jak esencja seksu – wyszeptala zmysłowo i opadła na szeroką pierś Bogusława.

Leżąc na nim, zaczęła ocierać wilgotną pcią o wyczekującego członka. Spragnione męskie dłonie ruszyły w wędrowkę po pysznych, kobiecych krągłościach. Kaśka uniosła się i usiadła na nim okrakiem. Chwyciła swoje włosy i uniosła wysoko, przytrzymując je oburącz na czubku głowy w zmysłowym nieładzie. Znów zaczęła się poruszać. Wyuzdane, posuwiste ruchy – przód tył, przód tył – jej wilgoć ociekająca na jego nabrzmiałą główkę i ta rozpustna poza. Bawiła się z nim i było jej z tym cholernie dobrze.

– Na Boga, Kaśka, zlituj się – wychrypiał. Była bezwstydnie seksowna, a on coraz bardziej napalony przeżył się pod nią. – Jeśli mnie nie dosiądziesz, oszaleję, albo zerżnę cię po mojemu.

Pełne chuci słowa sprawiły, że zrobiła się jeszcze bardziej wilgotna – jeśli to w ogóle możliwe. Uśmiechnęła się usatysfakcjonowana. Doprowadzała tego oszalamiającego mężczyznę do szaleństwa... kto by pomyślał?

– Dla ciebie wszystko, skarbie. – Uniosła się dość wysoko, by chętny członek wyprężyć się swobodnie, a potem ustawiła się dokładnie nad nim i powoli, delikatnie, naprowadzając go ręką, zaczęła opadać, przyjmując go w siebie.

Oboje jęknęli z rozkoszy, gdy duży, twardy fallus wypełnił ją aż po nasadę. Kaśka zamarła, czując gorącą główkę sięgającą jej macicy, a potem rytmicznie unosząc się i opadając, zaczęła go ujeżdżać.

– Tak, skrzacie, tak. Taak dobrzee – mamrotał. Serce waliło mu jak młot, krople potu perlily się na ciele, gdy unosząc biodra, wychodził jej na spotkanie.

Ich ruchy stały się szybsze i dziksze, nieartykułowane dźwięki niosły się po sypialni. Odchyliwszy się do tyłu, Kaśka oparła ręce na jego udach, dając mu pełny widok na wilgotnego od jej soków penisa, gdy unosiła się nad nim, pieprząc go zapamiętane. Wciąż wilgotne po kąpielii loki omiały jego ciało, nakręcając podniecenie.

Sprawne palce Bogusława zaczęły stymulować jej lechtaczkę. Przyjemność przetaczała się przez nią, uda drżały, serce galopowało. Poczła intensywne mrowienie – preludium wielkiego finału.

– Jak cudownie – jęknęła, mrużąc powieki i zwiększając tempo.

Jęki, przyspieszone oddechy, słowa rozkoszy, wszystko prowadziło ich na ten jedyny szczyt, który pragnęli osiągnąć. Teraz pochyliła się do przodu i wsparłszy ręce na jego klatce, zaczęła jeszcze intensywniej go ujeżdżać. Tymczasem Bogusław wciąż drażnił jej lechtaczkę. On również czuł, że zbliża się do punktu, z którego nie ma odwrotu.

– Szybciej! Szybciej! Och! Och! Oj! Boże! Sławek! Taaaaak! – wykrzyczała, dochodząc w zapierającym dech orgazmie.

– Tak! Tak! Tak! Jasna cholera, kochanie! Jeszcze! Jeszcze! Taaaak... – Doszedł, jednocześnie karmiąc się jej spełnieniem.

Otępiąła z rozkoszy i wyczerpana, Kaśka opadła na klatkę piersiową kochanka. Otoczyła go ramionami i wsłuchiwała się w szaleńcze bicie jego serca. Leżeli spleceni, dysząc i rozkoszując się chwilą, a ich ciała podrygiwały, wciąż jeszcze wstrząsane dreszczami ekstazy. Cholerka – jęknęła w duchu. Nie przypuszczała, że kiedykolwiek odważy się na przejście inicjatywy, ale teraz była z siebie dumna. To był naprawdę cholernie dobry seks. Jeśli takie będą wszystkie następne, może się pieprzyć bez przerwy do końca świata i jeszcze jeden dzień dłużej.

– To był odlot – wymruczał Bogusław, jakoby czytając jej w myśli, również oszołomiony jej odwagą.

Do tej pory Kaśka była rewelacyjna w łóżku, ale raczej poprzez całkowitą uległość i nie stawianie barier. Teraz okazało się, że była również zdolna, by wziąć sprawy w swoje ręce. I nie tylko – zaśmiał się w duchu. Niesamowita – rozpływał się. I ten oral... odlot, to mało. Ta kobieta była mu pisana, tego był pewien, tylko czy potrafi ją do tego przekonać?

Nie wiadomo jak długo tak trwali, czując się całkowicie, bezgranicznie spełnieni. Pięć minut? A może piętnaście? Może nawet przysnęli na chwilę wtuleni w siebie, czerpiąc przyjemność z samego przytulania. Tak czy inaczej teraz znów byli pobudzeni, gotowi do dalszych igraszek. Penis Bogusława znów prężył się dumnie, a Kaśka znów była gorąca i wilgotna w środku.

– Ugryź mnie – wypaliła niespodziewanie, dysząc w jego ramionach.

– Co? – Zamarł, podczas gdy jeszcze przed chwilą jego zachłanne ręce zmierzały we właściwym kierunku, sprawiając, że jej ciało drżało, domagając się rozkoszy.

– Ugryź mnie... proszę – powtórzyła, nie bacząc na jego bezruch. – Chcę zaznać z tobą wszystkiego. Jeśli to ma się udać, muszę cię znać... całego... dokładnie. Ciebie i wszystko, co niesie ze sobą twoja istota – tłumaczyła. – Ugryź mnie. Chcę tego. – Zdawała się zdeterminowana.

Nie potrzebował większej zachęty. Może powinien oponować, bronić się, by jak najdłużej widziała w nim człowieka, ale nie potrafił. Nie chciał. Marzył o tym, odkąd pierwszy raz zbliżył się do jej pysznego ciała. Być może jeszcze dawniej?

Jednym sprawnym ruchem przewrócił ich i teraz on leżał na niej niczym wielki zwycięzca, łakomie spoglądając jej w oczy. Mimo niedawnego zaspokojenia jego srebrzyste

tęczówki wciąż manifestowały pożądanie, podobnie jak połyskujące kły drapieżcy. Delikatnie przeciągnął palcem po szyi kochanki, by zaraz potem uchwycić podbródek i namiętnie ją pocałować. Kaśka zadrżała, spinając się bezwiednie.

– Boisz się. Nie chcę sprawiać, byś się mnie bała. – Odsunął się i z powagą przyglądał się kobiecie.

Nie odpowiedziała. Wtuliła czoło w zagłębienie jego obojczyka i czekała. Cóż miała odpowiedzieć?

– Możemy z tym zaczekać, jeśli chcesz – uspakajał, głaszcząc ją delikatnie po policzku. – Gdy przyjdzie odpowiedni moment, sam zdecyduję, że możemy to zrobić. Teraz nie jesteś gotowa. Dobrze?

– Dobrze – wyszeptała, rozluźniając się. – Ale wiesz, że się zgadzam?

– Tak, skrzacie. Wiem.

Westchnęła. Może i chciała zaznać z nim wszystkiego, ale ten pioruński lęk... Teraz jednak czuła się spokojniejsza. Poczeka na odpowiedni moment... aż będę gotowa – powtarzała, jakby usprawiedliwiając się przed samą sobą.

Bogusław przygarnął ją do siebie i tuląc w „jest okej” uścisku, wyciskał na skroni kojące całusy. Wszystko było jasne, a więc odłożywszy sprawę na niewiadome „potem”, znów pograżyli się w namiętności. Ich ręce bezbłędnie nadażały za rosnącą żarliwością. Sławek zsunął dłoń wzdłuż jej ciała, docierając między rozpalone uda. Rozchylił je delikatnie i zaczął pieścić najczulsze miejsce jej kobiecości. Kaśka wyprężyła się, chętna na więcej. Nie trzeba było klarowniejszego zaproszenia. Była tak wilgotna i otwarta, że rozochoczone palce bez trudu wślizgnęły się do jej wnętrza. Jęknęła i zacisnęła się, gdy zaczął nimi rytmicznie poruszać. Gorąca sperma wciąż pobudzała ją lepkością i intensywną, piżmową wonią. Dysząc zmysłowo, z na wpół przymkniętymi powiekami i rozchylonymi ustami sprawiała, że członek kochanka prężył się, gotowy ją pojąć. Sławek językiem drażnił jej ucho, zarys szczęki, a w końcu rozchylone usta. Nie chciał już dłużej czekać – rozpalone ciało kobiety wzywało go, zapraszało. Kaśka pieściła dłonią nabrzmiałego penisa i gdy po raz kolejny przejechała kciukiem po napiętym wędzidelku, docierając do szerokiej, wilgotnej główki, syknął z rozkoszy. Uniósł się nad nią i uwalniając swą męskość z pieszczącej go dłoni, wszedł w nią zdecydowanym pchnięciem. Oboje jęknęli, gdy powoli zaczął wbijać się w nią coraz mocniej i mocniej, zatracając się w niej, pochłaniając ją w swym uścisku. Rytmiczne ruchy, urywane oddechy i pomruki rozkoszy brzmiały echem rozpalającej ich żądz.

Gdy poczuła subtelne draśnięcie, nawet nie wiedziała, że właśnie w tym momencie Bogusław zatopił w niej kły. Nagle świat wokół Kaśki zaczął wirować. Jak gdyby Ziemia stanęła w miejscu, a potem zupełnie innym torem zaczęła przyspieszać i kręcić się w oszalamiającym pędzie, niosąc ją ze sobą. W jednej chwili stała się małą drobiną, która zatracala się w szalonym wirze, ale to był jej wir, jakby specjalnie dla niej powstał, jakby stanowił jej tylko należne miejsce. Odkrywała świat na nowo. Po raz pierwszy w życiu czuła się prawdziwie bezpieczna, spokojna, kochana. To był ułamek sekundy, gdy te wszystkie doznania uderzyły w nią z niebywałą siłą i gdy zdała sobie sprawę, co jest tego przyczyną. Teraz jednak nie miała czasu na analizy. Właśnie kochała się z najfantastyczniejszą mężczyzną na planecie, a gigantyczny, nieokielznany orgazm, napierał na nią z siłą tsunami. Otaczała ją magia, której z niczym nie można było porównać. Jej magia, jego magia – ich magia. Magia miłości, jedności, całkowitego oddania. W tym momencie wiedziała, że ten mężczyzna jest jej przeznaczeniem. I tak już będzie zawsze.

Bogusław drżał, ssąc jej słodką krew. I dla niego świat nagle zmienił swój bieg. W okamgnieniu zdał sobie sprawę, że całe jego dotychczasowe, tysiącletnie życie zmierzało właśnie

do tej chwili. Każdy dzień, każda godzina niekończącej się egzystencji była podporządkowana temu mistycznemu zdarzeniu. Nawet jego związek i śmierć Jagienki nabrały teraz sensu. Już wiedział, w czym tkwiła ich istota. Jagienka była zdesperowana, by kogoś mieć – kogokolwiek. Nie umiając odnaleźć się w samotności, posiadała go, czyniąc go swym partnerem i wiążąc się z nim słowami. Ich miłość narodziła się z wypowiedzianej więzi. Teraz było inaczej. Wiedział, że z tą kobietą, więź narodzi się z miłości, nie ze słów mantry. Ta ludzka kobieta była mu przeznaczona od zawsze, była jego dopełnieniem. Nigdy nie było nikogo innego poza nią, od dnia jego narodzin, musiał jedynie na nią poczekać. Tylko dlaczego aż tysiąc lat? Cholera, los nieźle sobie z nim pogrywał.

Oboje czuli, że każde z nich ma siebie, a jednocześnie każde jest częścią drugiego, tworząc spójną, nierozdzielalną jedność. Narastająca z niewiarygodną mocą euforia popychała ich ku sobie jak nigdy wcześniej. Jęki, dzikie, spragnione oddechy i wykrzywane słowa spełnienia, zakończyły ten szaleńczy, niemal zwierzęcy seks.

Rozpaleni, oszołomieni ostrym zapachem erotycznych uniesień opadli na łóżko. Żadne z nich nie doświadczyło wcześniej takiej zmysłowości, takiej ekstazy. Oboje to czuli. W tej jednej mistycznej chwili narodziło się między nimi coś nieodgadnionego i niepowtarzalnego. Coś, co już zawsze będą chronić jak największy skarb, największą wartość, jaką kiedykolwiek posiadli.

Przez chwilę leżeli w bezruchu, łapiąc oddech, wyciszając rozszalałe emocje.

Bogusław przetoczył się na plecy, uwalniając drobne, kobiece ciało spod swego ciężaru i podłóżwszy ręce pod głowę, z westchnieniem wbił w sufit rozmarzony wzrok. Kaśka przewróciła się na bok i wsparła na łokciu.

– Ugryzłeś mnie – szepnęła, przyglądając się jego rozmarzonemu obliczu.

– Ymhmy – przytaknął, kiwając głową i przymknął powieki.

– Mieliśmy poczekać – stwierdziła z lekkim wyrzutem.

– Aż będziesz gotowa. Wiem.

– No więc?

– Uznałem, że już jesteś gotowa.

– Ty łobuzie – zachichotała. Naskoczyła na niego i mocno wtuliła się w swojego mężczyznę. – Kocham cię – wyszeptała niepewnie.

Jeezu – jęknął w duchu. Mało oryginalne, fakt, ale też nic poza tym nie przychodziło mu do głowy. Nawet jeśli wcześniej bywały chwile, w których domyślał się jej uczuć, to tak naprawdę aż do teraz nie śmiał marzyć o jej miłości. Nic więc dziwnego, że oszołomiony tym wyznaniem kompletnie stracił rezon.

– Kocham cię tak bardzo – wyszeptał w końcu z determinacją, a potem przytulił ukochaną, pragnąc, już nigdy nie wypuszczać jej z objęć.

Kaśka delikatnymi pocałunkami obsypywała jego twarz – czoło, powieki, nos, policzki, podbródek, aż dotarła do miejsca, które od początku było jej celem. Zmysłowe usta Bogusława rozwarły się ochoczo, zapraszająco. Ich języki spletały się, ciała drżały, intensywny zapach podniecenia znów rozniósł się po sypialni.

– Widzę, że to będzie długa noc – zaśmiał się, czując, jak jego penis znów rwie się do działania. – Gotowa na kolejną rundkę?

Nie odpowiedziała, tylko spojrzawszy zalotnie, zaczęła wycalowywać ścieżkę na jego torsie. Uchwyciła zębami sztywny sutek i zassała, jednocześnie omiatając go gorącym językiem. W tym momencie nie trzeba było słów – Bogusław wiedział, że jego ukochana z chęcią przyjmie go znowu.

– Kobieto – sapnął. – Kiedyś przez ciebie oszaleję.

– Kiedyś – zachichotała. – Ale teraz nie trać czasu. Masz coś o wiele przyjemniejszego do

roboty.

Stary wampir siedział na ganku leśnej chaty i spoglądał w niebo. Nastanie świtu było kwestią zaledwie kilkunastu minut. Oglądał ten moment już tak wiele razy, że z dokładnością niemal co do minuty potrafił określić nadejście słońca. Lada chwila będzie musiał skryć się przed niebezpiecznym promieniowaniem, ale teraz miał jeszcze ten krótki czas, by rozkoszować się latem.

W dzwoniącej, leśnej ciszy za ścianą spała jego kobieta – miłość jego życia i dzieci, których od tak dawna pragnął, a o których myślał, że nigdy nie będzie mu dane posiadać. Teraz miał wszystko. Teraz wiedział, że ten właśnie los był mu pisany już tysiąc lat temu. Tylko dlaczego kazał na siebie tak cholernie długo czekać? – buntował się. Właściwie... nieważne. Najważniejsze, że się spełnił. Tak. I dał mu to szczęście, a on zrobi wszystko, by pielęgnować je każdego kolejnego dnia. No... może nocy.

Słońce, jak co dzień, zaczęło swym blaskiem pieścić korony wysokich drzew i tylko chwila dzieliła Bogusława od momentu, w którym promienie zaczną pełzać po ganku. Świt nie był mu obcy – nie raz zdołał mu się przyjrzeć; choćby przez ułamek sekundy. Dziś okazywało się to niewystarczające. Pragnął żyć życiem swojej rodziny, a do tego potrzebował mieć dzień po swojej stronie. Lub chociażby jego część. Będzie musiał to dokładnie przemyśleć. W tym momencie wiedział, że jeśli zechce, nie ma dla niego rzeczy niemożliwych – przecież w końcu udało mu się zdobyć najwspanialszą kobietę na Ziemi. Nieprawdaz?

Epilog

Ulice Berlina skąpane były w słonecznym blasku. Letnie upały dawały się we znaki spragnionym ochłody mieszkańcom. W skąym cieniu kamieniczek przy Kadettenweg, nie zwracając niczyjej uwagi, siedł wysoki, postawny, schludnie odziany mężczyzna. Nikt nie rozpoznałby w nim mistrza sekretne go bractwa. W jego głowie rodził się wyrafinowany plan zemsty, a człowiek, do którego zmierzał, miał mu ją ułatwić.

Podziękowania

Ogromnie dziękuję wszystkim, którzy uwierzyli w moją książkę. To dzięki Wam Tajemnice ujrzały światło dzienne, a kolejne dwa tomy są już na pisarskim warsztacie.

W pierwszej kolejności za bezcenną pomoc dziękuję mojemu synowi Kajetanowi. Mogłabym długo wymieniać, ograniczę się więc zaledwie do doskonałej znajomości języka polskiego, twórczych sugestii, konstruktywnych uwag, entuzjazmu oraz czasu, którymi dzieliłeś się ze mną przez cały okres powstawania książki.

Dziękuję mojemu mężowi i córce za niezachwianą wiarę we mnie, słuszne rady i nieustający doping.

Szczególne podziękowania należą się Klaudii Szwarz z Wrocławia – nieocenionej specjalistce od okładek :). Dziękuję Ci za czas, umiejętności i niespożyte pokłady cierpliwości w urzeczywistnianiu kolejnych moich wizji.

Oczywiście wielkie dzięki należą się moim przyjaciółkom – Beacie Augustyniak z Poznania, Beacie Kasprzyk ze Strzegomia, Bożence Powałowskiej z Chojny i Ewie Morcinek z Czechowic-Dziedzic – fantastycznym kobietom, zakręconym na punkcie wampirów i innych magicznych stworzeń równie mocno jak ja, które od początku stały się fankami Tajemnic. Dzięki dziewczyny za Wasze trafne uwagi i rady oraz mentalny bat, którym mobilizowałyście mnie do pracy :).

Byłabym niewdzięczna, gdybym nie wyraziła podziękowań niezawodnym użytkownikom portalu chomikuj.pl. Dziękuję wielkie, że zechciałyście przeczytać projekt mojej książki, oraz za budujące komentarze, doping i wspieranie mojej niezdecydowanej natury rzeczowymi sugestiami.

Podziękowania kieruję również do Pani Katarzyny Krzan – redaktor naczelnej Wydawnictwa za miłą atmosferę przy korekcie tekstu, konstruktywne sugestie oraz sprawną współpracę okołowydawniczą.

Przypisy

1 Wąpierz – ówczesna nazwa wampira.

2 Gwiazdor – regionalna nazwa Świętego Mikołaja. W Wielkopolsce Święty Mikołaj przynosi drobne prezenty szóstego grudnia, a w gwiazdkę prezenty rozdaje Gwiazdor.

3 Buongiorno signora maschera! – wł. Dzień dobry pani masko! – W okresie karnawału weneccjanie witali się tylko tym jednym pozdrowieniem niezależnie od płci pozdrawianego. Wiązało się to z brakiem pewności czy za maską ukrywa się osoba, której chcieli przekazać pozdrowienie.